



Arturo Pérez- Reverte

Mężczyzna, który
tańczył tango

znak

MINI PERIOD-16-18-18





Arturo Pérez- Reverte

Mężczyzna, który
tańczył tango

przekład Joanna Karasek

Wydawnictwo Znak
Kraków 2013

„Taka kobieta jak ty i taki mężczyzna jak ja nieczęsto spotykają się na tym świecie”.

Joseph Conrad, *Wśród prądów*,
przekład Teresa Tatarkiewiczowa

W listopadzie 1928 roku Armando de Troeye wyjechał do Buenos Aires po to, by skomponować tango. Mógł sobie na to pozwolić. W wieku czterdziestu trzech lat autor *Nokturnów* i *Pasodoble dla Don Kichota* znajdował się u szczytu kariery i wszystkie hiszpańskie magazyny ilustrowane zamieściły zdjęcie, na którym stojąc obok swojej pięknej żony, opiera się łokciami o reling transatlantyku Cap Polonio należącego do towarzystwa Hamburg-Südamerikanische. Najlepsze zdjęcie ukazało się w dziale Śmietanka Towarzyska magazynu „Blanco y Negro”: małżonkowie de Troeye na pokładzie pierwszej klasy, on w angielskim trenczu narzuconym na ramiona, z jedną ręką w kieszeni marynarki i z papierosem w drugiej, uśmiecha się do żegnającego go na lądzie towarzystwa, ona, Mecha Inzunza de Troeye, w futrze i eleganckim kapeluszu, tworzącym piękną ramę dla jej jasnych oczu, określonych przez entuzjastycznego dziennikarza redagującego podpis pod zdjęciem jako „cudownie głębokie i złociste”.

Tamtego wieczoru, kiedy światła brzegu widoczne jeszcze były w oddali, Armando de Troeye ubierał się do kolacji, nieco spóźniony z powodu lekkiej migreny, która dobrą chwilę nie ustępowała. Nalegał jednak, by jego żona spędziła ten czas w sali tanecznej, słuchając muzyki. Jako że był człowiekiem drobiazgowym, dość długo napełniał złotą papierośnicę, którą wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki smokingu, oraz rozmieszczał w pozostałych kieszeniach przedmioty potrzebne tego wieczoru – złoty zegarek z dewizką, zapalniczkę, dwie białe, starannie złożone chustki, puzderko z pigułkami na trawienie i portfel z krokodylej skóry z wizytówkami i banknotami o niewielkich nominałach na napiwki. Potem zgasił elektryczne oświetlenie, zamknął za sobą drzwi do kabiny apartamentu i powoli, starając się dopasować ruchy do łagodnego kołysania pokładu olbrzymiego transatlantyku, ruszył przed siebie po dywan, który

głuszył odległe wibracje maszyn napędzających statek, w głąb atlantyckiej nocy.

Zanim przekroczył próg salonu, podczas gdy *maître de table* wychodził mu na spotkanie z listą rezerwacji w ręce, de Troeye przyjrzał się w wielkim lustrze *foyer* odbiciu wykrochmalonego gorsu, mankietom koszuli i czarnym wyglansowanym butom. Wieczorowy strój zawsze podkreślał jego elegancki i kruchy zarazem wygląd – był średniego wzrostu, o rysach raczej regularnych niż atrakcyjnych, sporo zyskiwał dzięki spojrzeniu inteligentnych oczu, zadbanym wąsom i pofalowanym czarnym włosom, przetykanym przedwczesną siwizną. Przez chwilę wrażliwe ucho kompozytora podążało za taktami melancholijnego, wolnego walca granego przez orkiestrę. De Troeye uśmiechnął się słabo, z wyrozumiałością. Wykonanie było co najwyżej poprawne. Następnie wsunął lewą dłoń do kieszeni spodni i odpowiedziawszy na pozdrowienie *maître'a*, podążył za nim do stolika, zarezerwowanego na całą podróż, w najlepszym miejscu sali. Niektóre spojrzenia zatrzymywały się na nim. Pewna piękna kobieta, w kolczykach ze szmaragdami, skierowała ku niemu pełen zaskoczenia i podziwu trzepot rzęs. Był rozpoznawany. Orkiestra zaczęła grać kolejnego wolnego walca, kiedy de Troeye siadał przy stole, gdzie stał nietknięty koktajl z szampana, tuż obok fałszywego płomienia elektrycznej świecy umieszczonej w kryształowym tulipanie. Z parkietu, spomiędzy par tańczących w rytm muzyki, uśmiechnęła się do niego jego młoda żona Mercedes Inzunza, która dotarła na salę dwadzieścia minut przed nim i teraz tańczyła w objęciach młodego, przystojnego partnera w wieczorowym stroju – zawodowego tancerza zatrudnionego na statku, by zapewnić rozrywkę paniom podróżującym pierwszą klasą bez towarzystwa lub w towarzystwie mężczyzn, którzy nie tańczą. Odpowiedziawszy na

uśmiech żony, de Troeye założył nogę na nogę, wyjął afektowanym gestem papierosa ze złotej papierošnicy i zapalił.

1. FORDANSER

W dawnych czasach tacy jak on mieli cień. A on był najlepszy ze wszystkich. Na parkiecie niezawodnie trzymał rytm, a poza nim mógł liczyć na zręczne i spokojne dłonie, na ustach miał zawsze odpowiednie słowa, właściwą, błyskotliwą odpowiedź. Dzięki temu mężczyźni uważali, że jest sympatyczny, a kobiety podziwiałały go. W tamtych czasach oprócz tańców towarzyskich, którymi zarabiał na życie – tango, fokstrot, boston – do mistrzostwa opanował sztukę tworzenia fajerwerków za pomocą słów i kreślenia melancholijnych pejzaży poprzez milczenie. Przez długie, owocne lata rzadko tylko pudłował: wszelkie zamożne kobiety w dowolnym wieku z trudem tylko mogłyby się mu oprzeć podczas wieczorków tanecznych w jakimś Palace, Ritzu czy Excelsiorze, na tarasach Riwiery lub w salonach pierwszej klasy na transatlantykach. Był typem mężczyzny, którego rankiem można było spotkać ubranego we frak, w cukierni, gdzie zaprosił całą służbę z domu, w którym poprzedniego wieczoru sam gościł na balu lub kolacji. Miał ten dar czy też inteligencję. Był też w stanie, przynajmniej raz w życiu, rzucić wszystko, co miał, na zielone sukno w kasynie i wracać na platformie tramwaju kompletnie zrujnowany, pogwizdując melodię *Człowiek, który rozbił bank w Monte Carlo*, zachowując pozory obojętności. Z taką elegancją zapalał papierosa, poprawiał węzeł krawata i odsłaniał wykrochmalone mankiety koszul, że nigdy żaden policjant nie odważył się go aresztować, o ile nie przyłapał go na gorącym uczynku.

– Max.

– Tak, proszę pana.

– Możesz wstawić walizkę do bagażnika.

Słońce nad zatoką w Neapolu razi oczy, odbijając się w chromowanych listwach jaguara Mark X, przypominających dawne samochody, które niegdyś prowadził on sam czy też ktoś inny. Ale nawet to się zmieniło i dawny cień nie pojawia się z żadnej strony. Max Costa spogląda pod stopy, porusza się nieco, bez skutku. Nie wie, kiedy dokładnie się to stało, ale to najmniej ważne. Cień zniknął, pozostał gdzieś w przeszłości, tak jak i wiele innych spraw.

Ma zrezygnowany wyraz twarzy, a może to tylko słońce razi go w oczy, kiedy stara się myśleć o czymś konkretnym, namacalnym – ciśnieniu w oponach, miękkiej przekładni w skrzyni biegów, poziomie oleju, żeby odsunąć od siebie to słodko-kwaśne ukłucie, pojawiające się zawsze, gdy nostalgia albo samotność materializują się nagle nazbyt wyraźnie. Potem oddycha głęboko, powoli, przeciera flanelową szmatką srebrnego kota wieńczącego maskę chłodnicy i wkłada żakiet szarej liberii wiszący na oparciu przedniego fotela. Zapina go starannie i poprawia węzeł krawata, dopiero potem wchodzi powoli po stopniach otoczonych przez pozbawione głów marmurowe rzeźby i kamienne wazy, prowadzących do głównego wejścia.

– Proszę nie zapomnieć o małej walizeczce.

– Bez obaw, proszę pana.

Doktor Hugentobler nie lubi, żeby służba we Włoszech zwracała się do niego „panie doktorze”. Ten kraj, mawia często, pełen jest różnych *dottori*, *cavalieri*, *commendatori*. A ja jestem szwajcarskim lekarzem. Człowiekiem poważnym. Nie życzę sobie, żeby mnie brano za jednego ze swoich, bratanka kardynała, mediolańskiego przemysłowca czy kogoś podobnego. Co do Maxa Costy, wszyscy w osadzie położonej na przedmieściach Sorrento zwracają się do niego po prostu Max. Co jest właściwie paradoksem, biorąc pod uwagę liczbę nazwisk i tytułów, jakich używał

w swoim życiu, arystokratycznych bądź plebejskich, w zależności od okoliczności lub potrzeb chwili. Ale już od pewnego czasu, od kiedy jego cień ostatni raz pomachał mu chusteczką i się pożegnał – niczym kobieta, która znika na zawsze w chmurze pary, w obramowaniu okna wagonu sypialnego, a człowiek nigdy nie wie, czy odeszła w tym momencie, czy też zaczęła odchodzić już dużo wcześniej – odzyskał swoje nazwisko, to prawdziwe. Zamiast cienia – nazwisko, które aż do chwili wycofania się z branży, nieuniknionego, niedawnego i w pewnym sensie naturalnego, biorąc pod uwagę pewien czas spędzony w więzieniu, figurowało na grubych teczkach akt policyjnych w blisko połowie Europy i Ameryce. W każdym razie, myśli, biorąc skórzaną aktówkę i walizkę Samsonite, które umieszcza w bagażniku, nigdy, nawet w najgorszych momentach, nie wyobrażał sobie, że skończy, odpowiadając „tak, proszę pana”, kiedy ktoś będzie się do niego zwracał do imienia.

– Ruszajmy, Max. Gazety zabrane?

– Tak, proszę pana, leżą z tyłu.

Dwa trzaśnięcia drzwiczek. Wkłada, zdejmuje i znów wkłada czapkę szofera, pomagając wsiąść pasażerowi. Siedząc już za kierownicą, kładzie ją na siedzeniu obok i z pewną dawną kokieterią spogląda we wsteczne lusterko, przyglądając siwe włosy, wciąż jeszcze gęste. Nic lepiej niż ten szczegół z czapką, myśli, nie oddaje ironii całej sytuacji: absurdalności plaży, na którą wyrzuciły go fale przyboju po ostatniej katastrofie. A jednak kiedy jest w swoim pokoju w willi i goli się przed lustrem, licząc zmarszczki, jakby liczył blizny po bitwach i miłościach, każda ze swoim konkretnym imieniem – kobiety, ruletki w kasynach, niepewne poranki i popołudnia chwały lub klęsk – zawsze na koniec puszcza do siebie oko, wybaczająco, jakby w tym wysokim staruszk, już nie tak szczupłym, o ciemnych, zmęczonych oczach, rozpoznawał portret dawnego współnika,

któremu nie trzeba niczego wyjaśniać. Bo właściwie, dając do zrozumienia odbicie, lekko cyniczne, a nawet nieco łajdackie, trzeba przyznać, że mając sześćdziesiąt cztery lata i naprawdę kiepskie karty, jakie życie rozdało mu w ostatnich latach, może jednak uważać się za szczęściarza. W podobnych okolicznościach inni – Enrico Fossataro czy stary Sándor Esterházy – musieli wybierać między przyjęciem publicznej dobroczynności i minutą niewygodnych drgawek, kiedy zwisa się nagle z krawata w łazience marnego pensjonatu.

– Są jakieś ważniejsze wiadomości? – pyta Hugentobler.

Słychać szelest gazet na tylnym siedzeniu samochodu, dźwięk leniwie przewracanych stron. Bardziej był to komentarz niż pytanie. We wstecznym lusterku Max widzi opuszczony wzrok swojego pracodawcy, okulary do czytania na czubku nosa.

– Rosjanie zrzucili gdzieś bombę atomową czy coś takiego?

Hugentobler żartuje, naturalnie. Szwajcarskie poczucie humoru. Kiedy jest w dobrym nastroju, ma zwyczaj żartowania z personelem, może dlatego że jest samotny i nie ma rodziny, która śmiałaby się z jego dowcipów. Max układa na twarzy zawodowy uśmiech. Dyskretny, z odpowiednim dystansem.

– Nic specjalnego, proszę pana: Cassius Clay wygrał kolejną walkę i astronauta z Gemini XI wrócili na Ziemię cali i zdrowi... No i zaostroża się wojna w Indochinach.

– Wietnam ma pan na myśli.

– Właśnie. Wietnam... A z wiadomości lokalnych, w Sorrento zaczyna się szachowy mecz Campanelli: grają Keller z Sokołowem.

– Wielkie nieba – mówi Hugentobler sarkastycznie, z roztargnieniem. – Naprawdę będę żałował, że mnie przy tym nie było... Rzeczywiście, Max, na świecie znajdują się amatorzy wszystkiego.

– Święta racja, proszę pana.

– Czy można to sobie wyobrazić? Całe życie nad szachownicą. Źle kończą wszyscy szachiści. Tracą rozum, jak ten Bobby Fischer.

– Oczywiście.

– Proszę jechać drogą w dole. Mamy czas.

Żwir przestaje chrzęścić pod kołami, kiedy po minięciu żelaznej bramy jaguar zaczyna toczyć się asfaltową drogą pomiędzy drzewkami oliwnymi, mirtami i figowcami. Max spokojnie redukuje bieg przed ostrym zakrętem, za którym w głębi, na tle spokojnego, świetlistego morza, odcinają się, jakby w matowej szybie, kształty pinii i domów wznoszących się na wzgórzach, z sylwetą Wezuwiusza po drugiej stronie zatoki. Przez chwilę zapomina o obecności pasażera i głaszcze kierownicę, skupiając się na przyjemności prowadzenia auta, ruchu pomiędzy dwoma punktami, których umiejscowienie w czasie i przestrzeni jest mu obojętne. Powietrze wpadające przez otwarte okno pachnie miodem i żywicą, i ostatnimi woniami lata, które w tych okolicach najdłużej opiera się śmierci, wydając naiwną i rozczulającą bitwę kartkom w kalendarzu.

– Cudowny dzień, Max.

Mruga, wracając do rzeczywistości, po czym znów podnosi wzrok na lusterko wsteczne. Doktor Hugentobler odłożył gazety i trzyma w ustach hawańskie cygaro.

– Istotnie, proszę pana.

– Obawiam się, że kiedy wrócę, pogoda już się zmieni.

– Miejmy nadzieję, że nie. To tylko trzy tygodnie.

Hugentobler wydaje chrząknięcie, któremu towarzyszy kłęb dymu. Ten mężczyzna o czerwonawej cerze i łagodnym wyglądzie jest właścicielem sanatorium leżącego nad jeziorem Garda. Dorobił się majątku w latach powojennych, zajmując się leczeniem psychiatrycznym bogatych Żydów,

k którzy przeżyli horror nazizmu, budzili się w nocy, sądząc, że jeszcze leżą w baraku w Auschwitz, a na zewnątrz szczekają doberman i esesmani wskazują drogę pod prysznic. Hugentobler i jego włoski wspólnik doktor Bacchelli pomagali im pokonać koszmary, polecając na koniec leczenia wycieczkę do Izraela, zorganizowaną przez kierownictwo sanatorium, i zamykając leczenie wstrząsającymi fakturami, które pozwalają Hugentoblerowi na utrzymanie domu w Mediolanie, mieszkania w Zurychu i willi w Sorrento z pięcioma samochodami w garażu. Od trzech lat Max dba o to, żeby wszystkie były sprawne, i prowadzi je, doglądając równocześnie wszystkich prac związanych z utrzymaniem willi, w której zatrudnione są jeszcze małżeństwo z Salerno, służąca i ogrodnik o nazwisku Lanza.

– Proszę nie jechać prosto do portu. Przejedźmy przez centrum.

– Tak, proszę pana.

Rzuca okiem na zegarek, poprawny, choć tani – festinę pokrytą fałszywym złotem – który nosi na lewym nadgarstku, i prowadzi między nielicznymi samochodami, które o tej porze jadą przez corso Italia. Mają więcej niż dość czasu, żeby zdążyć na motorówkę, która przewiezie doktora z Sorrento na drugą stronę zatoki, oszczędzając mu pokonywania zakrętów na drodze prowadzącej na lotnisko w Neapolu.

– Max?

– Tak, proszę pana.

– Proszę się zatrzymać przed Rufolo i kupić pudełko cygar montecristo numer dwa.

Stosunek pracy Maxa Costy i jego obecnego pracodawcy zaczął się niczym miłość od pierwszego wejrzenia: psychiatra spojrział na niego i zaraz zapomniał o jego znakomitych dokonaniach – wszystkich kompletnie fałszywych, swoją drogą – opisanych w listach referencyjnych.

Jako człowiek praktyczny, przekonany, że jego intuicja i doświadczenie zawodowe umożliwiają mu zawsze właściwą ocenę natury spotkanego człowieka, Hugentobler stwierdził, że człowiek, ubrany z pewną niedzisiejszą elegancją, o twarzy szczerzej, spokojnej i pełnej szacunku, a przede wszystkim o widocznym dobrym wychowaniu i rozwadze bijących z postaci i słów, to żywy obraz uczciwości i przyzwoitości. Jest to więc człowiek godny, by mu powierzyć olśniewający park samochodowy – jaguara, rolls-royce’a Silver Cloud II i trzy stare automobile, między nimi bugatti 50T coupé – który stanowi dumę doktora w Sorrento. Naturalnie, doktor jest jak najdalszy od tego, by przypuszczać, że jego szofer w innych czasach cieszył się posiadaniem bądź używaniem samochodów równie luksusowych jak te, które teraz prowadzi jako kierowca. Gdyby Hugentobler o tym wiedział musiałby zrewidować część swoich poglądów na temat natury ludzkiej i poszukać szofera o wyglądzie mniej eleganckim i o bardziej konwencjonalnym życiorysie. Tak czy inaczej, popełniłby wówczas błąd. Każdy, kto zna ciemną stronę prawdy, wie, że ludzie, którzy stracili cień, są jak kobiety z bujną przeszłością wychodzące za mąż: nie ma na świecie nikogo wierniejszego od nich, bo wiedzą, czym ryzykują. Jednak z pewnością Max Costa nie będzie tym kimś, kto przy tej wysokości stawki miałby kształcić doktora Hugentoblera w kwestiach dotyczących znikania cieni, uczciwości dziwek lub koniecznej przyzwoitości starych salonowych tancerzy, później złodziei w białych rękawiczkach. Choć nie zawsze rękawiczki pozostawały całkiem białe.

Kiedy łódź motorowa Riva oddała się od nabrzeża portu Marina Piccola, Max Costa przez chwilę stoi oparty na falochronie osłaniającym molo, obserwując, jak kilwater rozcina niebieską płytę zatoki. Potem zdejmuje krawat i żakiet liberii i trzymając go na ramieniu, wraca do samochodu zaparkowanego nieopodal budynku Guardia di Finanza, pod

skarpią podtrzymującą górną część Sorrento. Daje pięćdziesiąt lirów chłopcu, który pilnował jaguara, zapala silnik i prowadzi powoli drogą, która najpierw zakreśla ostry łuk, po czym wznosi się do centrum. Wjeżdżając na plac Tasso, zatrzymuje się przed trójką przechodniów wychodzących z hotelu Vittoria: są to dwie kobiety i mężczyzna, których z roztargnieniem śledzi wzrokiem, kiedy przechodzą bardzo blisko przed jego chłodnicą. Wyglądają na zamożnych turystów, takich, którzy pojawiają się poza sezonem, żeby cieszyć się w spokoju, bez udręki właściwej letnim tłumom, słońcem, morzem i przyjemną aurą utrzymującą się tutaj aż do bardzo późnej jesieni. Mężczyzna nie ma nawet trzydziestki, nosi ciemne okulary i jest ubrany w marynarkę z zamszowymi łatami na łokciach. Młodsza z kobiet jest brunetką o miłym wyglądzie, w krótkiej spódnicy, z włosami splecionymi w długi warkocz na plecach. Druga jest starsza, bardziej dojrzała, ubrana w długą tunikę z beżowej dzianiny i ciemną spódnicę, głowę chroni pogiętym męskim kapeluszem z tweedu, spod którego wystają bardzo krótkie włosy, siwe ze srebrnymi cieniami. Kobieta dystygowana, docenia Max. Ma tę elegancję, która nie wynika ze stroju, ale ze sposobu noszenia go. Dużo powyżej średniej tego, co można zobaczyć w willach i dobrych hotelach Sorrento, Amalfi i Capri, nawet o tej porze roku.

W tej drugiej kobiecie jest coś, co każe mu śledzić ją spojrzeniem, kiedy przechodzi przez plac Tasso. Być może sposób, w jaki się porusza: powoli, pewna siebie, z prawą ręką wsuniętą leniwie do kieszeni tuniki, idzie tak, jak zazwyczaj chodzą osoby, które przez większą część życia pewnie stapały po dywanach całego świata, będącego ich własnością. A może tym, co przyciąga uwagę Maxa, jest jakby znajome pochylenie głowy w kierunku osób jej towarzyszących, kiedy śmieje się z tego, o czym mówią między sobą, lub wypowiada słowa, których brzmienie tłumia

dźwiękoszczelne szyby samochodu. Naraz w jednej chwili, z szybkością, z jaką nagle człowiek przypomina sobie oderwany fragment zapomnianego snu, do Maxa dociera echo wspomnienia. Dawny, odległy obraz wyrazu twarzy, głosu, uśmiechu. Jest tak zaskoczony, że dopiero pod wpływem dźwięku klaksonu za plecami wrzuca pierwszy bieg i rusza, ciągle obserwując trójkę, która dotarła na drugą stronę placu i siada w słońcu, przy jednym ze stolików w ogródku baru Fauno.

Kiedy ma już wjechać w corso Italia, wrażenie czegoś znajomego znów porusza jego pamięć: twarz, głos. Jakaś scena albo ich cały ciąg. Naraz zaskoczenie przemienia się w osłupienie i Max tak gwałtownie naciska pedał hamulca, że zarabia drugi klakson jadącego za nim samochodu, któremu towarzyszą tym razem wściekłe gesty kierowcy, podczas kiedy jaguar nagle skręca na prawo i znów hamując, zatrzymuje się przy krawężniku.

Wyciąga kluczyki ze stacyjki i zastanawia się, siedząc nieruchomo z dłońmi opartymi na kierownicy. W końcu wysiada z samochodu, wkłada zakiet i przechodząc pod palmami przez plac, idzie w stronę baru. Jest zaniepokojony. Obawia się potwierdzenia tego, co mu się kołacze po głowie. Cała trójka nadal tam siedzi zajęta ożywioną rozmową. Starając się pozostać niezauważonym, Max zatrzymuje się blisko krzewów parkowej części placu. Stolik jest w odległości dziesięciu metrów, kobietę w tweedowym kapeluszu widzi z profilu, jak gawędzi z pozostałą dwójką nieświadoma szczegółowej analizy, jakiej poddaje ją Max. Prawdopodobnie swego czasu była bardzo atrakcyjna, jej twarz zachowuje wyraźne ślady minionej urody. Może być tą kobietą, konstatuje niepewnie, choć nie potrafi tego stwierdzić niezbitcie. Zbyt wiele kobiecych twarzy nakłada się na siebie, sporo przed nią i bardzo wiele po. Ukryty pośród klombów Max szuka w pamięci wszelkich pasujących do tego obrazu szczegółów i nie

dochodzi do żadnego ostatecznego wniosku. Wreszcie świadomy, że stojąc w tym miejscu, zaraz zacznie zwracać na siebie uwagę, okrąża ogródek i siada przy jednym ze stolików w głębi. Zamawia u kelnera *negroni* i przez kolejnych dwadzieścia minut obserwuje profil kobiety, analizuje każdy jej gest i ruch, porównuje ze wspomnieniami. Kiedy trójka wstaje od stolika i znów przechodzi przez plac w kierunku rogu via San Cesareo, wreszcie ją rozpoznaje. Podnosi się i idzie za nimi, pozostając daleko w tyle. Od wieków jego stare serce nie biło tak szybko.

Kobieta dobrze tańczy, stwierdził Max Costa. Swobodnie i z pewną zuchwałością. Odważyła się nawet towarzyszyć mu w krokach bocznych, nieco bardziej skomplikowanych, fantazyjnych, jakie zaimprovizował, by sprawdzić jej zręczność, takich, które łatwo mogły pozbawić wdzięku taniec mniej doświadczonej tancerki. Zbliża się do dwudziestu pięciu lat, szacował. Wysoka i szczupła, o długich rękach, delikatnych nadgarstkach i nogach, które wydawały się nieskończenie długie pod lekkim, ciemnym jedwabiem o fioletowych refleksach, odsłaniającym jej ramiona i plecy aż do pasa. Dzięki wysokim obcasom, które dodawały szyku wieczorowej sukni, jej twarz znajdowała się na wysokości twarzy Maxa, spokojna, ładnie zarysowana. Pszeniczne włosy, lekko ondulowane, zgodnie z aktualną modą tego sezonu, miała obcięte prosto, odsłaniające kark. Kiedy tańczyła, jej wzrok utkwiony był nieruchomo ponad ramieniem partnera odzianym we frak, na którym opierała dłoń ze lśniącą obrączką na palcu. Ani razu, od chwili, kiedy do niej podszedł z grzecznym ukłonem, zapraszając do wolnego angielskiego walca zwanego bostonem, nie spojrzeli sobie w oczy. Jej tęczyki miały kolor przejrzystego miodu, niemal płynnego; kształt oka podkreślała odpowiednia ilość tuszu – ani jednego pociągnięcia więcej, niż to było konieczne, podobnie jak karminu na ustach – pod łukami brwi wydepilowanymi w cieniutką nitkę. Nie miała nic wspólnego z innymi

kobietami, jakim Max towarzyszył tego wieczoru w sali tanecznej – dojrzałym paniom, wyperfumowanym zapachem bzu i paczuli, niezręcznym podlotkom w jasnych i krótkich sukienkach, które zagryzały wargi, uważając, żeby nie zgubić rytmu, i rumieniły się, kiedy kładł im dłoń w pasie albo biły brawo, kiedy zabrzmiała hupa-hupa. Czyli pierwszy raz tego wieczoru fordanser z Cap Polonio zaczął cieszyć się swoją pracą.

Nie spojrzeli sobie w oczy do końca bostona – był to *What I'll do* – kiedy orkiestra zaczęła tango *A media luz*. Przez chwilę stali nieruchomo na opustoszałym parkiecie, twarzą w twarz, i widząc, że kobieta nie wraca do stolika – mężczyzna w smokingu, zapewne małżonek, przed chwilą tam usiadł – przy pierwszych taktach wyciągnął ramię, a kobieta natychmiast się poddała niewzruszona tak jak poprzednio. Oparła lewą dłoń na jego ramieniu, wyciągnęła leniwie drugą rękę i zaczęli poruszać się po parkiecie – płynąć, Max pomyślał, to lepsze słowo – znów tęczówki w kolorze miodu były utkwione gdzieś w tyle za tancerzem, nie patrzyła na niego, choć spleciona z jego ciałem z zadziwiającą precyzją, w rytmie pewnym i powolnym, nadawanym przez mężczyznę, który ze swojej strony starał się zachować odległość właściwą i pełną respektu, mimo bliskości nieodzownej do komponowania kolejnych figur.

– Czy tak pani odpowiada? – spytał po skomplikowanej ewolucji, którą kobieta wykonała z absolutną naturalnością.

Wreszcie spojrzała na niego, przelotnie. Pojawił się też delikatny zarys uśmiechu, który natychmiast zniknął.

– Doskonale.

Ostatnimi laty, za sprawą paryskiej mody, przyniesione z potańcówek półświatka tango, oryginalnie pochodzące z Argentyny, robiło furorę po obu stronach Atlantyku. Parkiet zaraz zaludnił się parami, które poruszając się z większym lub mniejszym wdziękiem, obracały się, rozdzielały i znów

spotykały, i w zależności od przypadku i wprawy tancerzy wrażenie, jakie sprawiali, mieściło się w spektrum od poprawności do groteski. Partnerka Maxa jednak z całkowitą swobodą odpowiadała jego najbardziej skomplikowanym krokom, przystosowując się zarówno do ruchów klasycznych, przewidywalnych, jak i tych, które on, coraz pewniejszy swojej towarzyszką, improwizował od czasu do czasu, zawsze spokojny i powolny, co stanowiło o jego własnym stylu, ale wprowadzając cięcia i sympatyczne kroki boczne, które ona przyjmowała z naturalnością. Bawiła się też ruchem i muzyką, co można było dostrzec w jej uśmiechu, którym teraz obdarowywała Maxa nieco częściej, przy krokach bardziej skomplikowanych, jednak zakończonych sukcesem, i w złotym spojrzeniu, które od czasu do czasu powracało z oddali i przez kilka sekund spoczywało z zadowoleniem na partnerze.

Podczas kiedy poruszali się po parkiecie, on obserwował jej męża profesjonalnym okiem spokojnego myśliwego. Był do tego przyzwyczajony: mężowie, ojcowie, bracia, synowie, kochankowie kobiet, z którymi tańczył. Mężczyźni, którzy zazwyczaj towarzyszyli im z dumą, arogancją, znużeniem, rezygnacją czy innymi równie męskimi uczuciami. Wielu użytecznych informacji dostarczały szpilki do krawata, dewizki u zegarków, papierośnice i obrączki, ważne też były grubość portfeli otwieranych przy kelnerach, jakość i krój marynarek, kant spodni czy błysk skóry na butach. Nawet forma węzła u krawata. Wszystko to stanowiło materiał, dzięki któremu Max Costa mógł przy akompaniamencie muzyki określić metody i cele; czy mówiąc bardziej prozaicznie, przejść od tańca towarzyskiego do działalności bardziej lukratywnej. Upływ czasu i doświadczenie utwierdziły go w opinii, jaką uzyskał przed siedmioma laty z ust hrabiego Borysa Dołgorukiego-Bagrationsa – kaprała w pierwszym regimencie Legii Cudzoziemskiej – który półtorej minuty wcześniej

zwymiotował całą butelkę okropnego koniaku na tylnym podwórzu burdelu u Fatimy:

– Kobieta nigdy nie jest tylko kobietą, kochany Maksie. Jest też, a raczej przede wszystkim, mężczyznami, których miała, ma i mogłaby mieć. Żadnej nie da się zrozumieć bez nich... A ten, kto poznaje ich wykaz, dostaje klucz do sejfu. Wytrych do jej tajemnic.

Spojrzał ostatni raz na męża, już z bliska, kiedy po skończeniu utworu odprowadzał swoją partnerkę do stołu – mężczyzna elegancki, pewny siebie, po czterdziestce. Nie był przystojny, ale miał przyjemny wygląd, podkreślony cienkim, wytwornym wąsikiem, pofalowane, przyprószone siwizną włosy, żywe i inteligentne oczy, które dostrzegały – stwierdził Max – każdy szczegół z tego, co się działo na parkiecie. Poszukał jego nazwiska na liście rezerwacji, zanim podszedł do kobiety, kiedy jeszcze była sama, i *maître* potwierdził, że jest to znany hiszpański kompozytor Armando de Troeye z małżonką: specjalna kabina apartament w pierwszej klasie i rezerwacja stolika w głównej jadalni, tuż obok stołu kapitana, co na pokładzie Cap Polonio oznaczało mnóstwo pieniędzy, znakomitą pozycję towarzyską, i niemal zawsze obie te cechy równocześnie.

– To była prawdziwa przyjemność. Znakomicie pani tańczy.

– Dziękuję.

Pochylił głowę gestem niemal wojskowym – kobiety zazwyczaj lubiły ten sposób pozdrawiania, podobnie jak naturalność, z jaką ujmował ich palce, by zbliżyć do nich usta – na który odpowiedziała słabym, zimnym skinieniem, siadając na krześle, które mąż, teraz stojący obok, jej podsunął. Max obrócił się do nich plecami, przyglądził na skroniach lśniące czarne włosy, zaczesane do tyłu brylantyną, najpierw prawą, a potem lewą ręką, i odszedł, wymijając pary tańczące na parkiecie. Szedł z uprzejmym uśmiechem na ustach, nie patrząc na nikogo, ale zauważając z wysokości

metra siedemdziesięciu dziewięciu centymetrów wzrostu, ubrany z nienaganną starannością – na strój wydał ostatnie oszczędności, zanim wszedł na pokład z kontraktem w jedną stronę do Buenos Aires – zainteresowanie kobiet dobiegające od stolików, które goście zaczynali już opuszczać, żeby udać się do jadalni. W tej chwili pół salonu mnie nienawidzi, stwierdził z rezygnacją, ale i rozbawieniem. A drugie pół to kobiety.

Cała trójka zatrzymuje się przed kramem z książkami, pamiątkami i pocztówkami. Chociaż część sklepów i restauracji zamyka się po sezonie, w tym nawet niektóre eleganckie magazyny przy corso Italia, zabytkowa dzielnica obok via San Cesareo jest miejscem odwiedzanym przez turystów cały rok. Ulica nie jest szeroka, a więc Max Costa zatrzymuje się w rozsądnej odległości, obok wędliniarni, przed którą stoi tablica z ofertą wypisaną kredą, zapewniająca mu dyskretną osłonę. Dziewczyna z warkoczem weszła do sklepu, a kobieta w kapeluszu została na ulicy i rozmawia z młodzieńcem, który zdjął okulary słoneczne i uśmiecha się. Jest ciemnowłosa, przystojny. Kobieta zapewne bardzo go lubi, bo w pewnym momencie głaszcze go po twarzy. Potem on mówi coś, na co ona wybucha śmiechem, którego dźwięk wyraźnie dociera do obserwującego ją mężczyzny – śmiech szczery i perlisty, który bardzo ją odmładza, a Maxowi przywodzi na myśl wyraźne wspomnienia z przeszłości. To ona, stwierdza. Minęło dwadzieścia dziewięć lat od dnia, kiedy widział ją ostatni raz. Padał wtedy słaby deszcz na jesienny nadmorski pasaż, jakiś pies biegał po wilgotnych otoczkach na plaży pod balustradą wzdłuż Promenady Anglików w Nicei, a miasto w tyle za białą fasadą hotelu Negresco rozplątywało się w mglistym szarym pejzażu. Cały ten czas, który upłynął pomiędzy obiema scenami, mógł zatrzeć wspomnienia. A jednak dawny fordanser, obecnie służący i szofer doktora

Hugentoblera, nie ma już wątpliwości. To ta sama kobieta. Identyczny śmiech, ten sam sposób, w jaki przechyla głowę na bok, spokojne ruchy. Elegancki, naturalny gest, z jakim trzyma rękę w kieszeni tuniki. Miałby ochotę podejść i upewnić się, przyjrzeć się jej twarzy z bliska, ale nie ma odwagi. Kiedy walczy ze sobą, dziewczyna z warkoczem wychodzi ze sklepu i wszyscy troje wracają tą samą drogą, przechodząc znów przed wędliniarnią, w której Max szybko się ukrywa. Widzi stamtąd, jak kobieta w kapeluszu przechodzi obok, obserwuje jej profil i sądzi, że jest już całkiem pewny. Oczy koloru miodu, stwierdza z dreszczem. Niemal płynnego. I ostrożnie, zachowując przezornie dystans, idzie za nimi drogą powrotną, do placu Tasso i ogrodzenia przed hotelem Vittoria.

Spotkał ją znów następnego dnia, na pokładzie z łodziami. Przez czysty przypadek, bo żadne z nich nie powinno było tam się znajdować. Podobnie jak cała reszta pracowników Cap Polonio, którzy nie zaliczali się do załogi, Max Costa nie mógł zbliżyć się do sektora i pokładów należących do pierwszej klasy. Żeby ominąć ten pokład, gdzie pasażerowie opalali się na leżakach z drzewa tekowego i wikliny w słońcu wznoszącym się nad sterburtą – pokład przy bakburcie zajęty był przez osoby grające w kule, shuffleboard lub trenujące strzelanie do rzutków – Max postanowił wejść po schodkach prowadzących na drugi pokład, gdzie się znajdowało osiem z szesnastu szalup ratunkowych, umieszczonych na podstawach swoich żurawi i ustawionych po obu stronach trzech wielkich pomalowanych na biało-czerwono kominów transatlantyku. Była to spokojna, neutralna przestrzeń, której pasażerowie raczej nie odwiedzali, bo obecność wielkich łodzi ratunkowych odzierała to miejsce z urody i przesłaniała widok. Jedynym udogodnieniem dla osób, które jednak zdecydowałyby się korzystać z tego pokładu, były drewniane ławki; a na jednej z nich, kiedy przechodził między biało pomalowanym świetlikiem i dyszą jednego

z wentylatorów dostarczających świeże powietrze do wnętrza statku, fordanser rozpoznał kobietę, z którą tańczył poprzedniej nocy.

Był to słoneczny, bezwietrzny dzień, dość ciepły jak na tę porę roku. Max nie miał kapelusza, rękawiczek ani laseczki – był ubrany w szary garnitur z kamizelką, koszulę z miękkim kołnierzykiem i trykotowy krawat – przechodząc obok kobiety, ograniczył się do uprzejmego skinienia głową. Ona miała na sobie elegancki wełniany kostium, żakiet trzy czwarte i prostą plisowaną spódnicę. Czytała książkę rozłożoną na podołku, a kiedy mężczyzna przechodził obok, zasłaniając jej przez chwilę światło, podniosła twarz okoloną wąskim rondem filcowego kapelusza i zatrzymała na nim wzrok. Wydało mu się, że w jej spojrzeniu dostrzega rozpoznający go przeblysk i Max zatrzymał się na chwilę, z taktem odpowiednim do okoliczności i pozycji na pokładzie każdego z nich.

– Dzień dobry – odezwał się.

Kobieta, która już opuszczała wzrok z powrotem na książkę, odpowiedziała milczącym spojrzeniem i krótkim skinieniem głowy.

– Jestem... – zaczął mówić, czując się nagle całkiem nieporadnie. Niepewny na gruncie, po którym stapał, już żałował, że się do niej odezwał.

– Tak – odpowiedziała spokojnie. – Dżentelmenem, którego spotkałam wczoraj.

Powiedziała dżentelmenem, a nie fordanserem, a on podziękował jej za to w duchu.

– Nie wiem, czy powiedziałem – dodał – że tańczy pani znakomicie.

– Powiedział pan.

Już wracała do książki. Powieść, stwierdził, spoglądając na książkę, teraz przymkniętą na kolanach: *Czterech jeźdźców Apokalipsy* Vicente Blasco Ibañeza.

– Do widzenia. Życzę przyjemnej lektury.

– Dziękuję.

Odszedł, nie wiedząc, czy kobieta wróciła do lektury książki, czy patrzyła za nim. Starał się iść swobodnie, obojętnie, z ręką w kieszeni spodni. Kiedy dotarł do ostatniej szalupy, zatrzymał się i używając jej jako osłony od wiatru, wyciągnął srebrną papierośnicę – wygrawerowane litery nie były jego inicjałami – po czym zapalił papierosa. Wykorzystał ten ruch, żeby ukradkiem spojrzeć w kierunku dziobu, na ławkę, gdzie kobieta czytała książkę z pochyloną twarzą. Obojętna.

Grand Albergo Vittoria. Zapinając guziki żakietu, Max Costa przechodzi pod złotym napisem umieszczonym na żelaznym łuku nad bramą, pozdrawia portiera i idzie aleją wysadzaną stuletnimi sosnami, otoczoną wszelkiego rodzaju drzewami i krzewami. Ogrody hotelowe są rozległe, ciągną się od placu Tasso aż do samej krawędzi klifu, nad portem żaglowym Marina Piccola i morzem, gdzie wznoszą się trzy budynki tworzące zasadniczy korpus hotelu. Pośrodku, na końcu kilku stopni prowadzących w dół, Max wchodzi do holu, na wprost witrażu wychodzącego na ogród zimowy i tarasy, które są – co niebawem dla tej pory roku – pełne gości pijących teraz aperitif. Po lewej stronie, za ladą recepcji, znajduje się stary znajomy Tiziano Spadaro. Ich znajomość trwa od pradawnych czasów, w których obecny szofer doktora Hugentoblera mieszkał jako gość w takich miejscach jak hotel Vittoria. Wiele sutych napiwków, które przeszły z rąk do rąk zgodnie z niepisanymi regułami, przygotowało żyzny grunt dla sympatii, z czasem szczerzej i obopólnej. Łącznie z mówieniem sobie na ty, co byłoby niewyobrażalne jeszcze dwadzieścia lat wcześniej.

– Witaj, Max! Nie wierzę własnym oczom! Dawno cię nie było.

– Prawie cztery miesiące.

– Cieszę się, że cię widzę.

– I wzajemnie. Jak leci?

Wzruszając ramionami, Spadaro – mężczyzna o przerzedzonych włosach, któremu wydatny brzuch rozpycha czarną kamizelkę od munduru – recytuje frazesy właściwe dla jego zawodu poza sezonem: mniej napiwków, weekendowi goście z panienkami marzącymi o karierze aktorki albo modelki, grupy rozwrzeszczanych Amerykanów na objazdowych wycieczkach Neapol – Ischia – Capri – Sorrento – Amalfi, po jednym dniu w każdym miejscu, z wliczonym śniadaniem, zamawiający wodę w butelkach, bo nie mają zaufania do wody z kranu. Na szczęście – Spadaro wskazuje ruchem głowy na witraż i wypełniony ogród zimowy – nagroda Campanelli ratuje sytuację, pojedynek Keller-Sokołow wypełnił hotel szachistami, dziennikarzami i amatorami tego sportu.

– Chciałbym cię prosić o pewną informację. Pełna dyskrecja.

Spadaro nie dorzuca „jak w dawnych czasach”, choć jego spojrzenie, najpierw zaskoczone, potem ironiczne, odrobinę zaniepokojone niespodziewaną prośbą, ożywia się dawnym porozumieniem. O krok od emerytury, po pięciu dekadach w zawodzie, w którym zaczynał jako boy hotelowy w neapolitańskim Excelsiorze, widział już wszystko. A to wszystko obejmuje też Maxa Costę w jego najlepszych czasach. Które być może trwają nadal.

– Myślałem, że się wycofałeś.

– Bo tak jest. To coś zupełnie innego.

– Aha.

Stary recepcjonista wydaje się uspokojony. Max przedstawia mu sprawę: starsza pani, elegancka, w towarzystwie dziewczyny i przystojnego młodzieńca. Weszli jakieś dziesięć minut temu. Być może są gośćmi hotelu.

– Naturalnie że są! Młodzieniec to Keller, ni mniej, ni więcej!

Max mruga, jakby nie rozumiał. Chłopak i dziewczyna mniej go interesują.

– Kto taki?

– Jorge Keller, chilijski arcymistrz. Pretendent do tytułu szachowego mistrza świata.

Max wreszcie kojarzy i Spadaro dodaje szczegóły. Mecz Luciana Campanelli, w tym roku rozgrywany w Sorrento, jest sponsorowany przez tego turyńskiego multimilionera, jednego z głównych akcjonariuszy koncernów Fiat i Olivetti. Jako wielki miłośnik szachów Campanella organizuje coroczne spotkania w najważniejszych miejscach we Włoszech, zawsze w najlepszym hotelu, zaprasza najważniejszych mistrzów szachowych, którym doskonale płaci. Rozgrywka trwa cztery tygodnie, odbywa się na krótko przed oficjalnym pojedynkiem o tytuł mistrza świata i obaj najlepsi szachiści danej chwili – mistrz i najpoważniejszy pretendent do tego tytułu – traktują go, jakby był nieoficjalnym meczem mistrzowskim. Poza nagrodami – pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla zwycięzcy i dziesięć tysięcy dla drugiego finalisty – prestiż nagrody opiera się na tym, że dotychczas zwycięzcy każdej kolejnej edycji potem zdobywali oficjalny tytuł lub go zachowywali. Obecnie Sokołow jest mistrzem, a Keller, który pokonał wszystkich pozostałych graczy, pretenduje do tego tytułu.

– Ten młody to Keller? – pyta Max, zaskoczony.

– Tak. To miły chłopiec, niezbyt kapryśny, co jest cechą rzadką w jego rzemiośle... Rosjanin jest bardziej oschły. Zawsze otoczony ochroniarzami i skryty jak kret.

– A ona?

Spadaro robi nieokreślony gest, zarezerwowany dla gości niższej kategorii. Bez specjalnej historii.

– To narzeczona szachisty. Należy też do jego ekipy – recepcjonista kartkuje książkę meldunkową, żeby odświeżyć sobie pamięć. – Irina, nazywa się... Irina Jasenović. Ma jugosłowiańskie nazwisko, ale paszport kanadyjski.

– Miałem na myśli tę starszą kobietę. Tę z krótkimi siwymi włosami.

– A, to jest matka.

– Czyja? Dziewczyny?

– Nie. Kellera.

Spotkał ją znowu dwa dni później w salonie tanecznym na Cap Polonio. Była to oficjalna kolacja, wydawana przez kapitana na cześć jednego z wybitnych uczestników rejsu, i kilku pasażerów zamieniło ciemne garnitury i smokingi na wąskie i obcisłe żakiety z długimi połami, wykrochmalone gorsy i białe krawaty fraków. Stołownicy zbierali się w salonie i pili koktajle, słuchając muzyki, po czym przechodzili do jadalni, skąd z kolei najmłodszy i najbardziej zabawowy wracali po skończonej kolacji i zostawali do bardzo późna. Orkiestra zaczęła od wolnych walców i spokojnych melodii, jak zazwyczaj, a Max Costa zatańczył jakieś pół tuzina utworów, niemal wszystkie z młodymi pannami i paniami podróżującymi z całymi rodzinami. Jednego slow-foxa zatańczył z pewną Angielką, nieco starszą, lecz o przyjemnym wyglądzie, podróżującą w towarzystwie przyjaciółki. Widział, jak szeptały sobie do ucha i tręcały się łokciami, ilekroć tańczył w ich pobliżu. Angielka była okrągłą blondynką, dość szorstką w obejściu. Może nawet była odrobinę wulgarna – rozpoznał na jej skórze zapach My Sin, w nadmiarze, była obwieszona biżuterią, ale nie tańczyła źle. Miała też ładne niebieskie oczy i dość pieniędzy, by wydawać się atrakcyjną; torebka leżąca na stole była ze złotej siatki, stwierdził po krótkim rzucie okiem, kiedy stanął przed nią, by

ją zaprosić na parkiet; biżuteria robiła wrażenie porządnej, zwłaszcza bransoletka z szafirów, z kolczykami do kompletu – po ich wyjęciu wszystkie kamienie byłyby warte jakieś pięćset funtów szterlingów. Nazywała się *miss Honeybee*, co stwierdził na liście u kierownika sali o nazwisku Schmöcker – niemal wszyscy oficerowie, marynarze i stały personel statku byli Niemcami – który twierdził, że jest wdową albo rozwódką, z absolutną pewnością, wynikającą z doświadczenia zdobytego podczas półsetki rejsów atlantyckich, jakie miał na swoim koncie. Zatem po wielu tanecznych *pas* i wnikliwej analizie reakcji damy na jego maniery i bliskość, choć nie wykonał ani jednego gestu, który byłby nie na miejscu, zachowywał nienaganny dystans i zawodową obojętność, a po zakończeniu tańca ze wspaniałym męskim uśmiechem, kiedy odprowadzał ją do stolika – na co Angielka odpowiedziała uległym *so nice* – fordanser umieścił *miss Honeybee* na liście opcji. Pięć tysięcy mil morskich i trzy tygodnie podróży dają wiele możliwości.

Tym razem małżonkowie de Troeye pojawili się razem. Max zrobił sobie przerwę i wycofał się w pobliże kwietników, które otaczały podest dla orkiestry, by chwilę odetchnąć, wypić szklankę wody i zapalić. Stamtąd zobaczył wchodzącą parę, poprzedzoną przez usłużnego Schmöckera; małżonkowie de Troeye szli jedno obok drugiego, ona nieco z przodu, mąż z białym goździkiem w butonierce w klapie z czarnego atłasu, z jedną ręką w kieszeni spodni, przez co prawa poła żakietu fraka była lekko uniesiona, i z zapalonym papierosem w palcach drugiej dłoni. Armando de Troeye okazywał obojętność na zainteresowanie, jakie budził wśród pasażerów. Jego żona natomiast wyglądała tak, jakby zeszła ze stron ilustrowanych magazynów, miała na sobie sznur pereł i kolczyki do kompletu. Szczupła, spokojna, idąca pewnie na wysokich obcasach po lekko kołyszącym się pokładzie, jej ciało rysowało linie proste i wydłużone, niemal

nieskończone, na długiej, lekkiej sukni w kolorze zielonego jadeitu – przynajmniej pięć tysięcy franków w Paryżu, na rue de la Paix, oszacował Max okiem eksperta – która odsłaniała jej ręce, ramiona i plecy aż po pas, wiązana subtelnym paseczkiem na szyi, w cudowny sposób wynurzającej się spod krótkich włosów. Max, zachwycony, doszedł do dwóch wniosków. Była to jedna z tych kobiet, które widziane pierwszy raz, wydają się eleganckie, a drugi – piękne. A także należała do pewnej klasy kobiet, które urodziły się, żeby nosić suknie takie jak ta, w taki sposób, jakby były częścią ich skóry.

Nie zatańczył z nią wtedy. Orkiestra zagrała po sobie *cake-walk* i *shimmy* – melodia o absurdalnym tytule *Tutenchamon* jeszcze ciągle była modna – i Max musiał poświęcić czas, żeby nasycić żywiołowość, jednej po drugiej, dwóch pańek nadzorowanych z daleka przez swoich krewnych – dwa miło wyglądające brazylijskie małżeństwa; dziewczęta ze swobodą tańczyły, wysuwając na przemian ramię prawe i lewe, to w przód, to w tył, do niemal całkowitego wyczerpania, przy okazji jego też. Potem, kiedy zabrzmiały pierwsze takty *black-bottom* zatytułowanego *Miłość i prażona kukurydza*, Max został poproszony przez Amerykankę, jeszcze młodą, niezbyt urodziwą, ale w dobrej sukni i stosownej biżuterii, która okazała się zabawną partnerką w tańcu i która po tym jak odprowadził ją do stolika, wsunęła mu w dłoń, bardzo dyskretnie, zwinięty banknot pięciodolarowy. Wielokrotnie podczas tego ostatniego tańca Max znajdował się blisko stolika zajętego przez małżeństwo de Troeye, zawsze jednak kiedy tam kierował wzrok, kobieta wydawała się patrzeć w inną stronę. Teraz stolik był już wolny, kelner zabierał dwa puste kieliszki. Zajęty zabawianiem swojej partnerki Max nie widział, kiedy wstali i przeszli do jadalni.

Wykorzystał przerwę na kolację, która wypadła o siódmej, żeby wypić kubek rosółu. Nigdy nie jadł nic cięższego, kiedy miał tańczyć: to kolejne z przyzwyczajzeń, jakich nabył przed laty w Legii Cudzoziemskiej, choć wtedy o inny rodzaj tańca szło, a pusty żołądek był zdrowym środkiem ostrożności na wypadek, gdyby został ranny w brzuch. Po wypiciu zupy włożył płaszcz i poszedł zapalić papierosa na pokład spacerowy przy sterburcie, żeby przewietrzyć głowę, patrząc na coraz pełniejszy księżyc odbijający się pomiędzy barankami na powierzchni morza. Kwadrans po ósmej wrócił i usiadł przy jednym z pustych stolików w pobliżu orkiestry, gdzie gawędził z muzykami, dopóki pierwsi pasażerowie nie zaczęli wychodzić z jadalni – mężczyźni kierowali się do sali gier, biblioteki albo palarni, a kobiety, młodzież i te pary, które miały najwięcej energii, zajmowały stoliki wokół tanecznego parkietu. Orkiestra zaczęła stroić instrumenty, *maître* Schmöcker zmobilizował swoich kelnerów, zaraz zabrzmiały śmiechy i wybuchy korków od szampana. Max wstał, upewnił się, że muszkę nadal ma porządnie zawiązaną, a kołnierzyk i mankiety koszuli są na swoim miejscu, obciągnął pikowaną kamizelkę, przebiegł wzrokiem po stolikach, czy nikt nie potrzebuje jego usług. Wtedy zobaczył ją, jak wchodzi do salonu, tym razem pod rękę ze swoim mężem.

Zajęli ten sam stół. Orkiestra zaczęła grać bolero i pierwsze pary natychmiast ruszyły się z miejsca. Miss Honeybee i jej koleżanka nie wróciły z jadalni i Max nie wiedział, czy wrócą jeszcze tego wieczoru. Właściwie to go ucieszyło. Nie mając na myśli jasno uświadomionego celu, przeszedł przez parkiet, wymijając ludzi kołyszących się w płynnym rytmie muzyki. Małżonkowie de Troeye siedzieli w milczeniu, obserwując tańczących. Kiedy Max zatrzymał się przy ich stoliku, kelner stawiał tam właśnie dwa kieliszki o szerokiej czaszy i kubek z lodem, z którego wystawała butelka Veuve Clicquot. Pochylił głowę w stronę męża,

rozpartego na krześle, z łokciem na stole, skrzyżowanymi nogami i z kolejnym, nieodłącznym papierosem w lewej ręce, gdzie, na tym samym palcu co obrączka, błyskał złoty sygnet z niebieską pieczęcią. Następnie Fordanser spojrział na kobietę, która przyglądała mu się zaciekawiona. Jediną biżuterią, jaką miała na sobie – nie nosiła bransoletek ani pierścionków, poza ślubną obrączką – był wspaniały naszyjnik z pereł i kolczyki do kompletu. Max nie otworzył ust, żeby zaproponować swoje towarzystwo w tańcu, jedynie znów skinął głową, nieco krócej niż poprzednio, równocześnie trzaskając obcasami, w sposób niemal wojskowy, po czym pozostał nieruchomo, w oczekiwaniu, aż kobieta z powolnym uśmiechem i uprzejmym wyrazem twarzy odmówiła gestem głowy. Fordanser już miał przeprosić i odejść, ale mąż zdjął łokieć ze stołu, uważnie poprawił kanty na nogawkach spodni i spojrział na małżonkę poprzez kłęby dymu.

– Jestem zmęczony – odezwał się lekkim tonem. – Sądzę, że zjadłem za dużo. Ale chciałbym popatrzeć, jak tańczysz.

Kobieta nie wstała od razu. Spojrzała na męża, który zaciągnął się dymem, równocześnie mrużąc oczy z niemym przyzwoleniem.

– Baw się dobrze – dodał po chwili. – Ten młodzieniec znakomicie tańczy.

Max rozłożył ramiona ostrożnie, kiedy się podniosła. Potem delikatnie ujął jej prawą dłoń, a swoją objął ją w pasie. Poczł zaskoczenie dotykiem jej ciepłej skóry, nie spodziewał się go. Widział długi dekolt wieczorowej sukni, odsłaniający plecy kobiety, jednak nie pomyślał, pomimo bogatego doświadczenia w obejmowaniu kobiet, że tańcząc, będzie trzymał dłoń na jej nagim ciele. Konsternacja trwała ledwie chwilę maskowana niewzruszoną miną zawodowego tancerza, jednak jego partnerka dostrzegła ją albo jemu wydało się, że tak było. Spojrzenie prosto w oczy było tego

oznaką, jednak trwało zaledwie moment, a potem jej wzrok zagubił się w przestrzeni salonu. Max rozpoczął taniec, pochylając się w bok, a kobieta z całkowitą naturalnością poszła w jego ślady i wmieszali się pomiędzy inne pary poruszające się na parkiecie. Przelotnie, dwa razy, popatrzył na naszyjnik, jaki miała na sobie kobieta.

– Czy miałyby pani ochotę na kilka obrotów? – szepnął Max chwilę później, przewidując akordy muzyki, przy których można było wykonać te ruchy.

Jej spojrzenie i cisza trwały kilka sekund.

– Jasne.

Cofnął dłoń z jej pleców, zatrzymując się na parkiecie, a jego partnerka dwukrotnie obróciła się kolejno w przeciwnych kierunkach, jakby ozdabiając bezruch mężczyzny niezwykle wdziękiem. Znow poruszyli się, doskonale jednocześnie, jego dłoń znalazła się ponownie na łagodnej wklęsłości jej pasa, jakby ten ruch wypróbowali wcześniej pół tuzina razy. Na jej wargach pojawił się uśmiech i Max skinął głową z zadowoleniem. Kilka par odsunęło się nieco, żeby popatrzeć na nich z podziwem lub zazdrością, a kobieta delikatnie ścisnęła napominająco rękę, na której opierała swoją dłoń.

– Nie zwracajmy na siebie uwagi.

Max przeprosił, otrzymując w zamian wybaczący uśmiech. Lubił tańczyć z tą kobietą. Jej wzrost pasował idealnie do jego sylwetki, przyjemnie było czuć łagodny łuk jej szczupłego pasa pod prawą dłoń, podobał mu się sposób, w jaki opierała palce na jego drugiej ręce, swoboda, z jaką poruszała się w rytm muzyki, nie tracąc ani na chwilę elegancji i pewności siebie. Była może odrobinę wyzywająca, choć nieprzesadnie, jak wtedy gdy zgodziła się wirować wokół niego, z gracją najnaturalniejszą w świecie. W tańcu zachowywała cały czas nieobecne spojrzenie, utkwione

gdzieś w oddali, co pozwalało Maxowi przyjrzeć się jej ładnie zarysowanej twarzy, ustom pociągniętym nie nazbyt intensywnym karminem, dyskretnie upudrowanemu nosowi, wydepilowanym łukom brwi na gładkim czole, ponad długimi rzęsami. Pachniała delikatnie, perfumami, których nie potrafił dokładnie zidentyfikować, bo zdawały się stanowić część aromatu jej młodej skóry – być może był to Arpège. Niewątpliwie była kobietą godną pożądania. Spojrzał na jej męża, który przyglądał się im od stolika, jakby lekko nieobecny, nie zwracając na nich specjalnej uwagi, unosząc do ust kieliszek szampana, a potem rzucił szybkie spojrzenie na naszyjnik odbijający matowo światło elektrycznych żyrandoli. Musiało w nim być, kalkulował, przynajmniej dwieście pereł nadzwyczajnej jakości. Mając dwadzieścia sześć lat, dzięki własnemu doświadczeniu i pewnym nietypowym znajomościom, Max wiedział o perłach tyle, by rozróżnić perły płaskie, okrągłe, połówkowe, barokowe i oszacować ich wartość oficjalną i czarnorynkową. Te były okrągłe, najwyższej jakości, zapewne indyjskie lub perskie. Warte przynajmniej pięć tysięcy funtów szterlingów – przeszło pół miliona franków. Co miało wartość wielu tygodni z luksusową kobietą w najlepszym hotelu Paryża albo na Riwierze. Ale też, gdyby wydawać rozsądnie, wystarczyłoby na rok spokojnego życia.

– Świetnie pani tańczy – znów powtórzył.

Jakby niechętnie, jej spojrzenie powróciło z oddali.

– Mimo wieku? – odezwała się.

Nie brzmiało to jak pytanie. To oczywiste, że obserwowała go przed kolacją, kiedy tańczył z brazylijskimi nastolatkami. Słyszając jej słowa, Max okazał odpowiednie oburzenie.

– Wieku?! Na Boga, jakże pani może mówić coś podobnego!

Nadal przyglądała mu się ciekawie. Może nawet rozbawiona.

– Jak się pan nazywa?

– Max.

– Proszę, Max, niech się pan odważy. Ile mam lat?

– Nigdy bym nie zgadł.

– Proszę.

Odzyskał już pewność siebie, nigdy mu jej nie brakowało wobec kobiet. Ukazał uśmiech szeroki, biały, który jego partnerka obserwowała z niemal naukowym skupieniem.

– Piętnaście?

Roześmiała się żywo i głośno. Zdrowym śmiechem.

– Dokładnie – pokiwała głową, z wesołością podejmując jego ton. – Jak udało się panu zgadnąć?

– Jestem w tym dobry.

Kobieta przytaknęła ruchem głowy, z miną na wpół szelmowską, na wpół zadowoloną; być może podobało jej się, jak ją prowadzi po parkiecie, pośród innych par, pomimo rozmowy nie gubiąc rytmu muzyki ani nie myląc kroków.

– I nie tylko w tym – powiedziała dość zagadkowo.

Max starał się znaleźć w jej spojrzeniu jakiś dodatkowy sens tych słów, jednak wróciło ono, znów pozbawione wyrazu, ponad jego prawe ramię. W tym momencie skończyło się bolero. Opuścili ręce, stojąc naprzeciwko siebie, podczas kiedy orkiestra przygotowywała instrumenty do następnego utworu. Tancerz znów spojrzał na wspaniałą naszyjnik z pereł. Po chwili odniósł wrażenie, że kobieta zauważyła jego spojrzenie.

– Już dosyć – odezwała się naraz. – Dziękuję.

Biblioteka prasy i czasopism znajduje się na drugim piętrze starego budynku, na końcu marmurowych schodów wznoszących się pod sklepieniem pokrytym zniszczonymi malowidłami. Drewniana podłoga

skrzypi, kiedy z trzema tomami oprawionych czasopism „Scacco Matto” Max zasiada w dobrze oświetlonym miejscu przy oknie, przez które widzi pół tuzina palm i białoszarą fasadę kościoła Świętego Antoniego. Na stole leży też etui z okularami do czytania i kilka dzienników kupionych dziś w kiosku na via di Maio.

Półtorej godziny później Max przerywa sporządzanie notatek, zdejmuje okulary, przeciera zmęczone oczy i spogląda na plac, gdzie popołudniowe słońce wydłuża cienie palm. W tym momencie szofer doktora Hugentoblera zapoznał się już z większością materiałów drukowanych dotyczących Jorge Kellera, szachisty, który przez kolejne cztery tygodnie będzie w Sorrento stawiał czoło mistrzowi świata Michaiłowi Sokołowowi ze Związku Radzieckiego. W magazynach są zdjęcia Kellera, niemal zawsze nad szachownicą, na niektórych wydaje się jeszcze młodszy niż teraz: dzieciak stający przeciw graczom od siebie starszym. Najnowsze zdjęcie ukazało się w lokalnej gazecie – Keller pozuje w holu hotelu Vittoria, w tej samej marynarce, którą miał na sobie tamtego ranka, kiedy obserwowany przez Maxa, chodził po Sorrento w towarzystwie dwóch kobiet.

Urodzony w Londynie w 1938, syn chilijskiego dyplomaty, Keller zadziwił szachowy świat, sprawiając niemałe kłopoty Amerykaninowi Reshevsky’emu podczas symultany na Placu Broni w Santiago: miał wtedy czternaście lat, a w ciągu następnym dziesięciu stał się jednym z najznakomitszych graczy wszech czasów...

Choć kariera Jorge Kellera jest wyjątkowa, Maxa interesują bardziej niż biografia zawodowa informacje dotyczące spraw rodzinnych – i wreszcie udaje mu się coś znaleźć. Zarówno „Scacco Matto”, jak i dzienniki zajmujące się nagrodą Campanelli zgadzają się co do wpływu, jaki jego

matka, po rozwodzie z chilijskim dyplomata, wywarła na rozwój kariery młodego szachisty:

Kellerowie rozwiedli się, kiedy chłopiec miał siedem lat. Posiadaczka własnego okazałego majątku, owdowiała po stracie pierwszego męża w czasie hiszpańskiej wojny domowej, Mercedes Keller znajdowała się w sytuacji pozwalającej jej na zapewnienie synowi najlepszego przygotowania. Kiedy odkryto jego talent szachowy, znalazła mu najlepszych nauczycieli, zabierała na kolejne turnieje w Chile i za granicą i przekonała chilijskiego arcymistrza ormiańskiego pochodzenia Emila Karapetiana, by zajął się jego rozwojem. Młody Keller nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Bez trudu pokonał swoich rywali i pod troskliwym okiem matki i mistrza Karapetiana, którzy stale mu towarzyszą, zajmując się jego treningami i logistyką, poczynił szybkie postępy....

Po wyjściu z biblioteki Max wraca do samochodu, zapala silnik i zjeżdża do portu Marina Grande, gdzie parkuje obok kościoła. Potem kieruje swoje kroki do trattorii Stéfano, która o tej porze nie jest jeszcze otwarta dla publiczności. Idzie w samej koszuli, z rękawami dwukrotnie zawiniętymi na przedramionach, z marynarką przewieszoną przez ramię, wdychając z rozkoszą wschodnią bryzę, niosącą zapach saletry i brzegu spokojnego morza. W ogródku restauracyjki, pod trzciniowym daszkiem, kelner rozkłada obrusy i sztucce na czterech stołach znajdujących się niemal tuż nad wodą, obok rybackich łodzi wyciągniętych na piasek, pośród stert zwiniętych sieci, korków, chorągiewek i linek z haczykami.

Lambertucci, właściciel knajpki, na pozdrowienie odpowiada chrząknięciem, nie podnosząc wzroku znad szachownicy. Ze swobodą stałego gościa Max wchodzi za niewielki bar, na którym stoi kasa fiskalna, kładzie marynarkę na blacie i nalewa sobie lampkę wina, z którą w ręce

podchodzi do stolika, gdzie właściciel lokalu jest pochłonięty jedną z dwóch partii szachów, jakie rozgrywa codziennie od dwudziestu lat z *capitano* Tedesco. Antonio Lambertucci jest chudym, niezgrabnym pięćdziesięcioletkiem; jego niecałkiem czysty podkoszulek odsłania wojskowy tatuaż, wspomnienie czasów, kiedy był żołnierzem w Abisynii, jeszcze zanim trafił do obozu jenieckiego w Afryce Południowej i zanim ożenił się z córką Stéfano, właściciela trattorii. Czarna klapka na miejscu lewego oka, straconego w Benghazi, nadaje jego przeciwnikowi dość bezwzględny wyraz. Nazywanie go *capitano* nie jest niczym niezwykłym – podobnie jak Lambertucci jest rodowitym sorrentyńczykiem i posiadał ten stopień podczas wojny, choć dystynkcje i hierarchie zatarły się w ciągu trzech lat niewoli, które razem spędzili w Durbanie, pozbawieni wszelkich rozrywek oprócz szachów. Poza znajomością zasad poruszania się poszczególnych figur Max ma niewielkie pojęcie o tej grze – dziś w bibliotece nauczył się więcej niż w ciągu całego dotychczasowego życia – natomiast ci dwaj gracze wyglądają na porządnych szachistów. Regularnie bywają w miejscowym klubie i są na bieżąco z mistrzostwami świata, arcymistrzami i tym podobnymi sprawami.

– Co mi powiecie o niejakim Kellerze?

Lambertucci znów chrząka głośno, nie odpowiadając, zastanawia się nad pozornie bardzo ryzykownym ruchem przeciwnika. Wreszcie podejmuje decyzję, następuje szybka wymiana, aż jego partner, niewzruszony, wypowiada słowo „szach”. Dziesięć sekund później *capitano* Tedesco chowa szachy do pudełka, a Lambertucci wyciera nos.

– Keller? – odzywa się w końcu. – Wielka przyszłość. Będzie następnym mistrzem świata, jeśli pokona Rosjanina... Jest błyskotliwy i mniej ekscentryczny od tego drugiego młodzieńca, Fischera.

– Czy to prawda, że gra od dziecka?

– Tak mówią. O ile dobrze wiem, w czterech turniejach został uznany za fenomen w kategorii od piętnastu do osiemnastu lat – Lambertucci patrzy na Tedesca, spodziewając się potwierdzenia, a potem liczy na palcach: międzynarodowy turniej w Portoroz, Mar del Plata, międzynarodowe mistrzostwo Chile i turniej pretendentów w Jugosławii, a to już poważna sprawa...

– Nie przegrał z nikim z wielkich – dodaje Tedesco zgodnie.

– Co to znaczy? – dopytuje się Max.

Capitano uśmiecha się jak ktoś, kto wie, o czym mówi.

– To znaczy Petrosian, Tal, Sokołow... Najlepsi na świecie. Jego ostateczne uświęcenie to była Lozanna, cztery lata temu, kiedy pokonał Tala i Fischera w turnieju dwudziestu graczy.

– Czyli szybka akcja – dodaje Lambertucci, który poszedł po butelkę, a teraz uzupełnia kieliszek Maxa.

– Byli tam najlepsi – podsumowuje Tedesco, mrużąc swoje jedyne oko. – I Keller wykończył ich bez mrugnięcia okiem: wygrał dwanaście partii, a siedem zremisował.

– Dlaczego jest taki dobry?

Lambertucci przygląda się Maxowi z zadziwieniem.

– Masz wolny dzień?

– Mam ich wiele. Szef wyjechał na parę tygodni.

– W takim razie zostań na kolację... Będą bakłażany pod parmezanem i mam taurasi warte grzechu.

– Wielkie dzięki, ale muszę załatwić kilka spraw w willi.

– Pierwszy raz w życiu widzę, żebyś się interesował szachami.

– No cóż, wiesz jak jest. – Max uśmiecha się melancholijnie, dotykając kieliszka wargami. – Campanella i ten cały kram. Pięćdziesiąt tysięcy

dolarów to dużo dolarów.

Tedesco znów mruży marząco swoje jedyne oko.

– Dobrze mówisz. Zwłaszcza dla tego, komu wpadną.

– Dlaczego Keller jest taki dobry? – nalega Max.

– Ma świetne warunki i przeszedł bardzo dobry trening – odpowiada Lambertucci. Potem wzrusza ramionami i spogląda na *capitano*, pozostawiając mu omówienie wszystkich szczegółów.

– To zawzięty chłopak – potwierdza ten, zastanawiając się nad swoimi słowami. – Kiedy zaczynał, wielu największych grało w sposób zachowawczy szachy obronne, a Keller zmienił to radykalnie. Zyskał uznanie przez swoje widowiskowe ataki, nieoczekiwane poświęcanie figur, niebezpieczne kombinacje...

– A teraz?

– Nadal gra w swoim stylu: ryzykownie, błyskotliwie, w końcówkach mogąc przyprawić o zawał serca... Gra, jakby był odporny na lęki, zadziwiająco beznamiętnie. Czasem wydaje się, że jego posunięcia są nieprawidłowe albo nieuważne, ale przeciwnicy tracą głowę, widząc, jak skomplikowane są to ustawienia... Jego ambicją jest tytuł mistrza świata, a pojedynki w Sorrento uważa się za przygotowanie do walki, która odbędzie się za pięć miesięcy w Dublinie. Ostatni sprawdzian.

– Będziecie chodzić na turniej?

– To zbyt drogie. Hotel Vittoria jest zarezerwowany dla ludzi z forszą i dla dziennikarzy... Nam zostaje radio albo telewizja i własna szachownica.

– Czy ten mecz jest taki ważny, jak się mówi?

– Najbardziej oczekiwany pojedynek od meczu Reshevsky-Fischer w sześćdziesiątym pierwszym – wyjaśnia Tedesco. – Sokołow jest twardym i spokojnym weteranem, graczem raczej nudnym, jego najlepsze partie

zazwyczaj kończą się remisami. Jest nazywany Sowieckim Murem, wyobraź sobie... Chodzi o to, że w tej grze stawka jest wysoka. Mówię o pieniądzach, rzecz jasna. Ale w grę wchodzi też polityka.

Lambertucci śmieje się krzywo.

– Mówi się, że Sokołow zamieszkał tuż obok hotelu Vittoria, wynajął cały budynek dla siebie i swojej ekipy, jest otoczony przez doradców i agentów KGB.

– A co wiecie o matce?

– Jakiej matce?

– Matce Kellera. Gazety i magazyny dużo o niej piszą.

Capitano zamyśla się na chwilę.

– No cóż, bo ja wiem... Mówi się, że zawiaduje jego sprawami. Wygląda na to, że odkryła talent syna i znalazła mu najlepszych nauczycieli. Szachy, dopóki jesteś nikim, to bardzo drogi sport. Cały czas podróże, hotele, wpisowe... Trzeba mieć pieniądze albo umieć je znaleźć. Wydaje się, że ona je miała. Wydaje się też, że sama zajmuje się wszystkim, dba o ekipę doradców i o zdrowie syna. Prowadzi jego rachunki... Mówi się, że jest jej tworem, choć to chyba przesada. Jakkolwiek by się im pomagało, to genialni szachiści, tacy jak Keller, są tworam samych siebie.

Następne spotkanie na pokładzie *Cap Polonio* miało miejsce szóstego dnia podróży, przed kolacją. Max Costa od pół godziny tańczył z pasażerkami w różnym wieku, między innymi z Amerykanką od pięciu dolarów i miss Honeybee, kiedy *maitre* Schmöcker odprowadził do tego samego co zwykle stolika panią de Troeye. Przyszła sama, tak jak pierwszego wieczoru. Kiedy Max znalazł się w pobliżu – tańczył wtedy *Piosenkę na ukulele* z jedną z młodziutkich Brazylijek – zauważył, że kelner nalewa jej koktajl z szampanem, a ona zapala papierosa w krótkiej

cygarnicze z kości słoniowej. Tym razem nie miała na sobie pereł, ale naszyjnik z bursztynu. Była w sukni z czarnego jedwabiu z odsłoniętymi plecami, włosy miała zaczesane do tyłu, na chłopczycę, lśniące od brylantyny, a oczy zaznaczone były wyraźnymi kreskami czarnego ołówka. Fordanser spoglądał na nią wiele razy, jednak ich wzrok nigdy się nie spotkał. Zamienił przelotnie kilka słów z muzykami, a kiedy ci usłużnie zaczęli modne wówczas tango pod tytułem *Adiós, muchachos*, Max pożegnał się z Brazylijką, kilka pierwszych taktów szedł w kierunku jej stolika, krótko skinął głową i czekał nieruchomo, z najmiłszym ze swoich uśmiechów na ustach, podczas kiedy inne pary ruszały na parkiet. Mecha Inzunza de Troeye patrzyła na niego przez kilka sekund, a on poczuł lęk, że zostanie odrzucony. Jednak po chwili zobaczył, jak kobieta odkłada do popielniczki dymiącą cygarniczkę i podnosi się z krzesła. Zajęło jej to całą wieczność, a gest, jakim oparła lewą dłoń na prawym ramieniu tancerza, wydawał się nieznośnie ociężały. Ale melodia już doszła do swych najlepszych taktów, otaczając sobą ich oboje, i Max wiedział, że muzyka jest jego sprzymierzeńcem.

Tańczyła w sposób zaskakujący, znów się przekonał. Tango nie wymagało spontaniczności, ale niejednoznacznych gestów, wykonywanych natychmiastowo, w posepnym, jakby zawziętym milczeniu. Poruszali się tak oboje: wyliczone wygięcia, spotkania i mijania, wzajemne wycucie pozwalające sunąć w sposób naturalny po parkiecie pośród par, które tańczyły tango najwyraźniej niezdarnie, w sposób właściwy amatorom. Z zawodowego doświadczenia Max wiedział, że tanga nie da się dobrze zatańczyć bez sprawnej partnerki, zdolnej przystosować się do nagłych zahamowań tempa, rytmu wstrzymywanego przez mężczyznę, jakby w naśladowaniu walki, w której kobieta spleciona z partnerem stale

podejmuje próby ucieczki, zatrzymując się za każdym razem, dumnie i prowokacyjnie pokonana. I ta kobieta była właśnie taką partnerką.

Przez dwa tanga pod rząd – następne nosiło tytuł *Szampańskie tango* – nie zamienili ani słowa poddani całkowicie muzyce i przyjemności ruchu, szelestowi jedwabiu przypadkowo ocierającego się o wełnę, bliskiemu ciepłu, wyczuwanemu przez Maxa, młodego, rozgrzanego ciała jego towarzyski, linii twarzy i włosów zaczesanych w tył, wiodących ku odsłoniętemu karkowi i nagim plecóm. A kiedy w przerwie pomiędzy tańcami zatrzymali się naprzeciwko siebie – bez tchu po wysiłku, w oczekiwaniu na muzykę, ona nie okazując zamiaru powrotu do stolika – Max zauważył dwie maleńkie kropelki potu na górnej wardze kobiety, wyjął jedną z dwóch chusteczek, jakie nosił, nie tę, która wystawała z kieszonki fraka, ale inną, wyprasowaną i nieskazitelną, z wewnętrznej kieszeni, i podał jej całkiem naturalnie. Wzięła do ręki biały batyst, ledwo dotknęła nim ust i oddała mu, nieznacznie zwilgotniały, z leciutkim śladem szminki. Nie zrobiła nawet kroku, jak się spodziewał Max, w kierunku stolika i torebki, żeby się przypudrować. Tancerz otarł też własny pot z nad warg i z czoła – jej spojrzeniu nie umknął szczegół, że najpierw były to wargi – i schował chusteczkę do kieszeni, zaczęło się następne tango, które tańczyli doskonale zsynchronizowani, tak jak poprzednio. Ale tym razem jej spojrzenie nie gubiło się w odległych przestrzeniach salonu: często, po bardziej skomplikowanej ewolucji czy pasażu, który udał im się szczególnie dobrze, kiedy zatrzymywali się na moment, oboje patrzyli na siebie uważnie, po czym w następnym takcie przerywali bezruch i znów krążyli po parkiecie. W pewnej chwili, kiedy on zatrzymał się w pół kroku poważny i niewzruszony, ona niespodziewanie przyłgnęła do niego, kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę, z dojrzałym i pełnym elegancji wdziękiem, jakby udawała, że wymyka się z jego ramion, naprawdę wcale

tego nie robiąc. Pierwszy raz od czasu kiedy pracował jako zawodowy tancerz, Max poczuł pokusę, żeby rozmyślnie dotknąć wargami długiej, eleganckiej i młodej szyi, przechodzącej potem w linię karku. I wtedy stwierdził, przypadkowo tam spoglądając, że mąż jego partnerki siedzi przy stole ze skrzyżowanymi nogami i z papierosem między palcami i mimo pozornej obojętności uważnie się im nieustannie przygląda. A kiedy znów spojrzał na kobietę, zauważył w jej oczach złote refleksy, które zdawały się zwielokrotnione w milczeniu kobiety wiecznej, pozbawionej wieku. Szyfry niepojęte dla żadnego z mężczyzn.

Salon palarnia transatlantyku łączył pokłady spacerowe pierwszej klasy, ciągnące się przy obu burtach, z pokładem przy rufie i Max Costa tam właśnie udał się podczas przerwy na kolację, wiedząc, że o tej porze będzie niemal pusty. Samotny kelner podał mu podwójną kawę w filiżance z emblematem towarzystwa Hamburg-Südamerikanische. Rozluźnił nieco biały krawat i kołnierzyk wykrochmalonego gorsu i zapalił papierosa przy wielkiej szybie, za którą pomiędzy odbiciami świateł z wnętrza widoczna była ciemność nocy i światło księżyca zalewające platformę przy rufie. Powoli, w miarę jak pustoszała jadalnia, pojawiali się kolejni pasażerowie siadający przy stolikach, Max wstał więc i wyszedł z palarni. W drzwiach usunął się, pozwalając wejść grupie mężczyzn z cygarami w dłoniach, pośród której rozpoznał Armanda de Troeye. Kompozytorowi nie towarzyszyła małżonka, zatem w drodze po pokładzie przy sterburcie w stronę sali tanecznej Max szukał jej wzrokiem pomiędzy grupkami okrytych płaszczami, prochowcami i pelerynami kobiet i mężczyzn, którzy stojąc na świeżym powietrzu, patrzyli na morze. Noc była pogodna, ale Atlantyk zaczynał marszczyć się drobnymi falami, pierwszy raz od czasu wypłynięcia z Lizbony, i choć Cap Polonio wyposażony był w nowoczesne systemy stabilizujące, kołysanie pokładu budziło niepokojące komentarze.

Sala taneczna nie była zbyt licznie odwiedzana przez resztę wieczoru, wiele stolików pozostało pustych, w tym ten, który zazwyczaj zajmowali małżonkowie de Troeye. Pojawiły się już pierwsze ofiary morskiej choroby, muzyka nie trwała długo. Max miał niewiele pracy, zaledwie kilka walców, i mógł wcześniej iść do siebie.

Spotkali się obok windy, odbici w wielkich lustrach przy głównych schodach, kiedy on zamierzał zjechać do swojej kajuty znajdującej się na pokładzie drugiej klasy. Kobieta miała na sobie pelerynę ze srebrnych lisów, w ręku niosła maleńką torebkę z lamy, była sama i szła w kierunku pokładów spacerowych; Max z podziwem docenił, po szybkim rzucie oka, pewność, z jaką się poruszała po pokładzie na wysokich obcasach, mimo kołysania, bo podłoga nawet na tak wielkim statku jak ten, którym płynęli, nabierała przy wysokiej fali niewygodnej trójwymiarowości. Cofnąwszy się, fordanser otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz i przytrzymał je aż do chwili, kiedy kobieta znalazła się po drugiej stronie. Ta podziękowała mu krótko, przechodząc przez próg, Max skinął głową, zamknął drzwi i ruszył korytarzem, zrobił jakieś osiem czy dziesięć kroków. Ostatni postawił bardzo wolno, w zamyśleniu, po czym stanął. Do licha, pomyślał. Próbuując, nic nie tracę, stwierdził. Jeśli zachowam odpowiednią ostrożność.

Zaraz zobaczył ją, jak przechadzała się wzdłuż burty, zatrzymał się przed nią w sposób zupełnie naturalny, oświetlony słabym światłem żarówek pokrytych solnym osadem. Z pewnością wyszła na świeże powietrze, żeby uniknąć zawrotów głowy. Większość pasażerów robiła coś przeciwnego, zamykając się w kabinach na wiele dni, i w ten sposób stawała się ofiarami własnych zrewoltowanych żołądków. Przez chwilę Max obawiał się, że kobieta pójdzie przed siebie i nie zwróci na niego uwagi. Ale tak się nie stało. Popatrzyła na niego, stojąc bez ruchu, w ciszy.

– To było przyjemne – odezwała się niespodziewanie.

Maxowi udało się opanować zmieszanie po kilku sekundach.

– Dla mnie też – odpowiedział.

Kobieta nadal mu się przyglądała. Z zaciekawieniem, to chyba właściwe słowo.

– Od dawna tańczy pan zawodowo?

– Od pięciu lat. Choć nie jest to moje jedyne zajęcie. To praca...

– Zabawna? – przerwała mu.

Szli znów przez pokład, dostosowując kroki do kołysania transatlantyku. Czasem mijali ciemne sylwetki albo rozpoznawalne twarze innych pasażerów. Na gorzej oświetlonych fragmentach pokładu z całej postaci Maxa widać było tylko białe plamy gorsu koszuli, kamizelki i muszki, dokładnie półtora cala każdego z nakrochmalonych mankietów i chusteczkę w górnej kieszonce fraka.

– Nie jest to słowo, jakiego szukałem – uśmiechnął się delikatnie. – Absolutnie. To praca dorywcza, chciałem powiedzieć. Załatwia pewne sprawy.

– Jakie sprawy?

– No cóż... Jak pani widzi, pozwala mi podróżować.

W świetle docierającym z jednego z bulajów stwierdził, że teraz ona się uśmiecha z uznaniem.

– Jest pan w tym dobry, biorąc pod uwagę, że to praca dorywcza.

Fordanser wzruszył ramionami.

– Przez pierwsze dwa lata robiłem to stale.

– Gdzie?

Max postanowił pominąć fragmenty swojego życiorysu. Pewne nazwy zachowa dla siebie. Między nimi Barrio Chino w Barcelonie i Vieux Port w Marsylii. I imię pewnej węgierskiej tancerki, Boske, która śpiewała *La*

petite tonkinoise, depilując sobie nogi, i miała słabość do młodzieńców, którzy budzili się w nocy pokryci zimnym potem, bo w koszmarach znów widzieli siebie w Maroku.

– Dobre paryskie hotele w zimie – podsumował. – Biarritz i Lazurowe Wybrzeże w sezonie. Przez jakiś czas bywałem też w kabaretach na Montmartrze.

– O – wydała się zaciekawiona. – Tam mogliśmy się spotkać kiedyś.

Uśmiechnął się z pewną miną.

– Nie. Zapamiętałbym panią.

– Co chciał mi pan powiedzieć?

Zajął mu dobrą chwilę zastanowienie, co mogła mieć na myśli. Wreszcie sobie uprzytomnił, że po spotkaniu we wnętrzu podszedł do niej na pokładzie spacerowym bez słowa wyjaśnienia.

– Że nigdy wcześniej nie tańczyłem tak doskonałego tanga.

Dwie, trzy sekundy milczenia. Może z przyjemnością. Zatrzymała się – była tam żarówka przykręcona do grodzi – i patrzyła na niego w solnym mroku.

– Naprawdę? Coś takiego. Jest pan bardzo uprzejmy... Max, prawda? Tak ma pan na imię?

– Tak.

– Świetnie. Dziękuję pięknie za komplement.

– To nie jest komplement. Dobrze pani wie, że nie jest.

Roześmiała się szczerze. Zdrowo. Tak samo śmiała się dwie noce wcześniej, kiedy w żartach ocenił jej wiek na piętnaście lat.

– Mój mąż jest kompozytorem. Muzyka, taniec są mi bardzo bliskie. A pan jest znakomitym partnerem. Łatwo jest poddać się panu.

– Pani się nie poddawała. Pozostawała sobą. Mam w tym doświadczenie.

W zamyśleniu pokiwała głową.

– Tak. Zapewne ma pan doświadczenie.

Max oparł dłoń o mokry reling. Pośród kołysania pokład pod podeszwami ich butów przekazywał wibrowanie silników w trzewiach statku.

– Pali pani?

– Teraz nie, dziękuję.

– Pozwoli pani, że zapalę?

– Proszę bardzo.

Wyjął papierośnicę z górnej kieszeni marynarki, sięgnął po papierosa i wsunął go do ust.

– Egipskie? – zapytała.

– Nie. Abdul pasha... Tureckie. Z odrobiną opium i miodu.

– To ja też, proszę.

Pochylił się z pudełkiem zapalek w ręce, chroniąc płomień w zagłębieniu dłoni, żeby mogła zapalić papierosa, którego włożyła do krótkiej cygarniczki z kości słoniowej. Potem zapalił swojego. Wiatr szybko zabierał dym, nie pozwalając smakować tytoniu. Pod futrzaną peleryną kobieta zdawała się drżeć z zimna. Max wskazał znajdujące się obok wejście do salonu z palmami, oranżerii z wielkim świetlikiem w suficie, umeblowanej wiklinowymi fotelami, niskimi stolikami i donicami z egzotycznymi roślinami.

– Taniec jako zawód – powiedziała, kiedy weszli do środka. – To dziwne w przypadku mężczyzny.

– Nie widzę specjalnej różnicy... My też możemy to robić dla pieniędzy, jak pani widzi. Nie zawsze taniec jest przyjemnością albo rozrywką.

– Czy jest prawdą to, co się mówi? Że prawdziwy charakter kobiety ukazuje się bez żadnej osłony, kiedy tańczy?

– Czasem. Ale nie bardziej niż mężczyzny.

Salon był pusty. Kobieta usiadła, pozwalając, by peleryna z lisów opadła jej z ramion, przejrzała się w złotej pokrywce puderniczki, którą wyjęła z torebki, i pociągnęła usta szminką Tangee w kolorze delikatnie czerwonym. Zaczesane do tyłu i utrwalone brylantyną włosy nadawały jej twarzy atrakcyjny wyraz, androginiczny i kanciasty, a jednocześnie czarny jedwab podkreślał kształt jej ciała, ocenił Max, w sposób interesujący. Zauważyła jego spojrzenie i założyła nogę na nogę, kołysząc nią lekko. Prawy łokieć wsparła na oparciu fotela i wysoko trzymała dłoń, w której między palcem wskazującym i środkowym – zadbane, długie paznokcie pomalowane były dokładnie na ten sam odcień czerwieni co usta – trzymała papierosa. Od czasu do czasu popiół spadał na ziemię, zauważył Max, jakby wszystkie popielniczki świata były jej najzupełniej obojętne.

– Chciałam powiedzieć, że to ciekawe – odezwała się po chwili. – Jest pan pierwszym zawodowym tancerzem, z którym zamieniłam więcej słów niż te dwa: dziękuję i do widzenia.

Max przysunął popielniczkę i stał obok, z prawą ręką w kieszeni spodni. Palił.

– Dobrze mi się z panią tańczyło – powiedział.

– Mnie też. Mogłabym tańczyć dalej, gdyby orkiestra nadal grała i ludzie zostali w sali.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby teraz to pani zrobiła.

– Słucham?

Przyjrzała się jego uśmiechowi, jakby analizowała grubą niestosowność. Ale fordanser wytrzymał jej spojrzenie z kamiennym spokojem. Wyglądasz na grzecznego chłopca, mówili mu i Węgierka, i Borys Dołgoruki, całkiem zgodnie, choć nigdy się nie poznali. Kiedy uśmiechasz się w ten sposób, Max, nikt nie może wątpić, że jesteś cholernie grzecznym chłopcem. Postaraj się to wykorzystać.

– Jestem pewien, że mogłaby pani wyobrazić sobie muzykę.

Znów popiół spadł jej na ziemię.

– Jest pan zuchwały.

– Mogłaby pani?

Teraz przyszła kolej na uśmiech kobiety, dość wyzywający.

– Jasne, że mogłabym – wypuściła kłęb dymu. – Jestem żoną kompozytora, proszę pamiętać. Muzykę mam w głowie.

– Powiedzmy, niech to będzie tango *Mala junta*. Czy zna je pani?

– Doskonale.

Max zgasił papierosa, po czym obciągnął kamizelkę. Kobieta przez chwilę pozostawała bez ruchu: przestała się uśmiechać i z fotela obserwowała go zamyślona, jakby upewniając się, że nie żartuje. W końcu odłożyła papierosa do popielniczki, bardzo wolno podniosła się, patrząc mu cały czas w oczy, oparła mu lewą rękę na ramieniu, a prawą – na jego dłoni, która oczekiwała wyciągnięcia. Pozostała tak chwilę, wyprostowana i spokojna, z powagą, aż Max lekko dwukrotnie przycisnął jej palce, by w ten sposób zaznaczyć pierwszy takt, i pochyliła nieco ciało w bok, postawiła prawą nogę przed nogą lewą, i oboje zaczęli tańczyć w milczeniu, spleceni ze sobą i patrząc sobie w oczy, pomiędzy wiklinowymi fotelami i donicami salonu oranżerii.

Słysząc twista – śpiewa Rita Pavone – z przenośnego radia Marconiego z białego plastiku. W ogrodzie otaczającym Villę Oriana rosną palmy i sosny o rozłożystych koronach, a między nimi widzi Max, stojący w otwartym oknie swojego pokoju, pejzaż Zatoki Neapolitańskiej: w głębi kobaltowy błękit z szerokim stożkiem Wezuwiusza i linią wybrzeża ciągnącą się w prawo, aż po przylądek Scutolo, z Sorrento przyklepionym do urwistego brzegu, pomiędzy dwoma portami, każdy ze swoimi falochronami ze skał, z łódkami na plaży i większymi łodziami stojącymi na kotwicy przy brzegu. Szofer doktora Hugentoblera od dobrej chwili stoi zamyślony, nie odrywając wzroku od pejzażu. Od kiedy wrócił ze śniadania, zjedzonego w pustej kuchni, tkwi nieruchomo w oknie, rozważając możliwości i szanse powodzenia pewnego pomysłu, przez który całą noc przewracał się w pościeli, nie potrafiąc podjąć decyzji, i którego światło dnia, wbrew jego oczekiwaniom, nie wymazuje z myśli.

W końcu wydaje się, że Max oprzytomniał, robi kilka kroków po skromnym pokoju położonym w rogu na parterze willi. Potem znów spogląda przez okno w stronę Sorrento i wchodzi do łazienki, żeby wodą odświeżyć sobie twarz. Wycierając się ręcznikiem, patrzy na twarz w lustrze z uwagą osoby starającej się sprawdzić, na ile posunęła się starość od ostatniego spojrzenia. Stoi tak dobrą chwilę, obserwując swoje odbicie, jakby szukał kogoś z dawnych czasów. Przygląda się melancholijnie siwym, przeredzonym już włosom, skórze naznaczonej witriolem czasu i życia, bruzdom na czole i w kącikach ust, białemu zarostowi pojawiającemu się na brodzie, opadłym powiekom, gaszącym żywość spojrzenia. Potem dotyka brzucha – na pasku widać liczne ślady cofania się sprzączki – i krytycznie kręci głową. Dźwiga zbyt wiele lat i kilogramów, podsumowuje. Może też zbyt długie życie.

Wychodzi na korytarz, mija drzwi prowadzące do garażu i idzie w stronę salonu. Panuje tu porządek, jest czysto, meble są przykryte pokrowcami z białej tkaniny. Małżeństwo Lanza wyjechało do Salerno na zaległe wakacje. To oznacza zupełny spokój, brak innego zajęcia dla Maxa niż pilnowanie domu, dalsze przesyłanie pilnej poczty i dbanie o jaguara, rolls-royce'a i trzy zabytkowe automobile właściciela domu.

Powoli, ciągle zamyślony, podchodzi do baru w salonie, otwiera szafę z trunkami i nalewa sobie na dwa palce Rémy Martin do kieliszka z rżniętego kryształu. Potem pije koniak drobnymi łykami, unosząc brew. W zasadzie Max pije niewiele. Właściwie przez całe życie, nawet w twardych czasach pierwszej młodości, był pod tym względem wstrzeźliwy – może lepiej byłoby użyć słowa „ostrożny” albo „przezorny” – zdolny do przekształcenia alkoholu, wypitego czy to przez siebie, czy przez innych, nie w nieprzewidywalnego wroga, ale w pożytecznego sprzymierzeńca, zawodowe narzędzie w jego fachu albo fachach, równie skuteczne w niektórych przypadkach jak uśmiech, cios albo pocałunek. W każdym razie na tym etapie życia i w drodze do nieuchronnego ścieku jeden głębszy, kieliszek wina czy wermutu, koktajl negroni dobrze wymieszany, jeszcze ożywiają jego serce i myśli.

Kończąc koniak, przechadza się po pustym domu. Nadal zastanawia się nad sprawą, która nie dała mu spać ostatniej nocy. W ciągle włączonym radiu, rozbrzmiewającym na końcu korytarza, kobiecy głos śpiewa *Resta cu mme*, jakby naprawdę bolały ją jej słowa. Max chwilę stoi zasłuchany. Potem wraca do sypialni, otwiera szufladę, gdzie trzyma książeczkę czekową, i sprawdza stan konta. Swoje skromne oszczędności. Wystarczy ledwo, oblicza w myśli, na konieczne wydatki. Podstawową logistykę. Rozbawiony pomysłem, otwiera szafę i przegląda ubrania, wyobrażając sobie przewidywane sytuacje, po czym kieruje się do głównej sypialni. Nie

jest tego świadomy, ale idzie lekko, śmiało. Tym samym dynamicznym, pewnym krokiem jak przed laty, kiedy świat był jeszcze fascynującą, niebezpieczną przygodą, ciągłym wyzwaniem dla jego temperamentu, sprytu i inteligencji. Wreszcie podjął decyzję, a to upraszcza sprawy: wiąże przeszłość z teraźniejszością i zatacza zadziwiającą pętlę, która poprzez czas wszystko zamyka z pozorną prostotą. W sypialni doktora Hugentoblera meble i łóżko nakryte są pokrowcami, przez zasłony prześwituje złota jasność. Kiedy je rozsuwa, nawał światła zalewa pokój, a za oknem ukazują się widok zatoki, drzewa i sąsiednie wille stojące na zboczu. Max kieruje się do garderoby, zdejmując z półki walizkę od Gucciego, otwiera ją, kładzie na łóżku i podpierając się pod boki, analizuje dobrze zaopatrzoną szafę swojego pracodawcy. Doktor Hugentobler i on mają w przybliżeniu podobny rozmiar kołnierzyka i tułowia, wybiera więc pół tuzina jedwabnych koszul i dwie marynarki. Buty i spodnie nie pasują, bo Max jest wyższy od Hugentoblera – trzeba będzie przejść się do najdroższych sklepów na corso Italia, wzdycha zrezygnowany. Dobry jest nowy skórzany pasek, który chowa do walizki razem z pół tuzinem skarpetek w dyskretnych kolorach. Ostatni rzut oka, i dokłada dwie jedwabne apaszki, trzy ładne krawaty, złote spinki, zapalniczkę marki Dupont – choć przed wieloma laty rzucił palenie – i zegarek Omega Seamaster Deville, też złoty. Kiedy wraca do swojego pokoju, z walizką w ręce, znów słyszy radio, teraz Domenico Modugno śpiewa *Vecchio frac*. Stary frak. Zadziwiające, myśli, jakby na dobry znak. I ten zbieg okoliczności wywołuje uśmiech na twarzy dawnego fordansera.

2. TANGA, ŻEBY CIERPIEĆ, I TANGA, ŻEBY ZABIĆ

– Oszalałeś!

Tiziano Spadaro, recepcjonista w hotelu Vittoria, pochyła się nad ladą, żeby spojrzeć na walizkę, którą Max postawił na ziemi. Potem podnosi wzrok, mierząc go od stóp do głów: buty z brązowej kozłej skóry, szare flanelowe spodnie, jedwabna koszula z apaszką na szyi, ciemnoniebieski blezer.

– W żadnym razie – odpowiada nowo przybyły gość z pełnym spokojem. – Po prostu mam ochotę na kilka dni zmienić otoczenie.

Spadaro zadziwiony przeciąga dłonią po łysinie. Jego pełne podejrzliwości spojrzenie analizuje Maxa w poszukiwaniu ukrytych intencji. Niebezpiecznego sensu.

– Czyżbyś już zapomniał, ile tutaj kosztuje pokój?

– Dwieście tysięcy lirów tydzień. I co?

– Mamy komplet. Już ci mówiłem.

Uśmiech Maxa jest przyjacielski i pewny. Niemal życzliwy. Są w nim ślady dawnej lojalności i bezgranicznego zaufania.

– Tiziano... Bywam w hotelach od czterdziestu lat. Zawsze jest coś wolnego.

Spojrzenie Spadaro opada z niechęcią na blat recepcji z lakierowanego mahoni. Pomiędzy opartymi na nim dłońmi, symetrycznie na środku, Max umieścił zamkniętą kopertę z dziesięcioma banknotami o nomiale dziesięciu tysięcy lirów każdy. Recepcjonista z hotelu Vittoria przygląda się jej jak gracz, któremu dano karty do bakarata, a on nie decyduje się ich zobaczyć. W końcu jedna z dłoni – lewa – rusza się powoli i dotyka koperty kciukiem.

– Zadzwoń później. Zobaczę, co da się zrobić.

Max lubi ten gest: dotknięcie koperty bez otwierania jej. Dawne zasady.

– Nie – mówi spokojnie. – Załatw to od razu.

Milkną, kiedy obok przechodzą jacyś goście. Recepcjonista rozgląda się po holu: nie ma nikogo na schodach wiodących do pokoi ani w szklanych drzwiach prowadzących do ogrodu zimowego, skąd dobiega gwar rozmów, portier zaś jest zajęty rozkładaniem kluczy do odpowiednich skrzyneczek.

– Myślałem, że się wycofałeś – mówi ściszym głosem.

– Bo tak jest. Już ci mówiłem. Po prostu mam ochotę na wakacje, jak w dawnych czasach. Nieco zimnego szampana i piękne widoki.

Znów Spadaro przygląda się podejrzliwie walizce i eleganckiemu ubiorowi swojego rozmówcy. Przez okno recepcjonista dostrzega rolls-royce'a zaparkowanego obok schodów prowadzących do holu.

– Musi ci się dobrze powodzić w Sorrento...

– Jak widzisz, znakomicie.

– Tak nagle?

– Tak właśnie. Nagle.

– A twój szef, ten z Villa Oriana?

– Opowiem ci któregoś dnia.

Spadaro znów gładzi się po łysinie, teraz oceniająco. Doświadczenie jego długiego życia zawodowego sprawiło, że ma węch starego psa gończego, a Max nie pierwszy raz kładzie przed nim kopertę na blacie. Ostatnim razem było to dziesięć lat temu, kiedy recepcjonista pracował jeszcze w hotelu Vesuvio w Neapolu. Pewnej dojrzałej aktorce filmowej o nazwisku Silvia Massari, stałej klientce tego hotelu, zniknął cenny *moretto* od Nardiego z apartamentu przyległego do pokoju Maxa – załatwionego przez Spadaro – podczas kiedy siedziała z nim przy obiedzie na hotelowym tarasie, a wcześniej całą noc i cały ranek spędzili w zażyłości, jakkolwiek jesiennej, to pełnej wigoru. W czasie gdy miało

miejsce to smutne zdarzenie, Max tylko na kilka minut opuścił taras, wspaniały widok i czuły wzrok swojej towarzyszki, po to by umyć ręce. Massari nawet przez chwilę nie zwątpiła w jego uczciwość, szczerść uroczego uśmiechu i liczne oznaki afektu. Wszystko zakończyło się przesłuchaniem i zwolnieniem jednej z pokojówek, choć niczego nie dało się udowodnić. Ubezpieczyciel aktorki załatwił sprawę, a Tiziano Spadaro w chwili gdy wystawił rachunek Maxowi, który opuszczał hotel, rozdając napiwki z manierami doskonałego dżentelmena, otrzymał kopertę podobną do tej, która teraz przed nim leży, tylko znacznie grubszą.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się szachami.

– Nie? – dawny zawodowy uśmiech, szeroki i biały, należy do szczególnie ulubionych ze starego repertuaru. – No cóż. Zawsze byłem amatorem. Niezwykła atmosfera. Jedyna okazja, żeby zobaczyć wielkich graczy... To lepsze niż futbol.

– Co ty kombinujesz?

Max wytrzymuje badawcze spojrzenie, jest opanowany.

– Nic, co zagroziłoby twojej zbliżającej się emeryturze. Masz moje słowo. A przyznasz, że nigdy cię nie zawiodłem.

Długa, pełna namysłu pauza. Na czole Spadaro pojawia się głęboka zmarszczka pomiędzy brwiami.

– To prawda – przyznaje w końcu.

– Cieszę się, że o tym pamiętasz.

Recepcjonista przygląda się guzikom na swojej kamizelce, w zamyśleniu otrzepuje ją dłonią, jakby strząsał z niej nieistniejące pyłki kurzu.

– Policja zobaczy twoją kartę meldunkową.

– I co z tego? We Włoszech zawsze byłem czysty. Poza tym to nie ma nic wspólnego z policją.

– Posłuchaj, na pewne sprawy jesteś już za stary... Wszyscy jesteśmy. Nie zapominaj o tym.

Z kamienną twarzą Max nie odpowiada i patrzy na recepcjonistę. A ten obserwuje kopertę, która nadal leży zamknięta na lśniącym drewnie blatu.

– Ile dni?

– Nie wiem. – Max mówi to z niedbałym gestem. – Zakładam, że tydzień wystarczy.

– Zakładasz?

– Wystarczy.

Spadaro kładzie palec na kopercie. Potem wzdycha i powoli otwiera książkę meldunkową.

– Mogę ci załatwić tydzień. Potem zobaczymy.

– Zgoda.

Szybkim ruchem dłoni Spadaro trzykrotnie naciska dzwonek, żeby przywołać boya.

– To mały pokój, jednoosobowy, bez widoku. Śniadanie nie jest wliczone.

Max wyjmuje dokumenty z kieszeni marynarki. Kiedy kładzie je na blacie, koperty już nie ma.

Zdziwił się, widząc, jak de Troeye wchodzi do baru w drugiej klasie na Cap Polonio. Było późne przedpołudnie, Max siedział przy aperitifie – szklaneczka absyntu z wodą i oliwki – obok rozsuwanego okna wychodzącego na pokład spacerowy przy bakburcie. Lubił to miejsce, stamtąd miał na oku cały salon – z wiklinowymi krzesłami zamiast wygodnych foteli z czerwonej skóry w pierwszej klasie – albo mógł przyglądać się morzu. Nadal pogoda sprzyjała, słońce świeciło całymi dniami i niebo było czyste w nocy. Po czterdziestu ośmiu godzinach nieprzyjemnej wysokiej fali statek przestał się kołysać, a pasażerowie

zaczęli chodzić pewniej i patrzyli na siebie wzajemnie, już nie poruszali się w pozycjach wymuszanych przez ruchome podłoże. W każdym razie Max, który Atlantyck przepłynął pięciokrotnie, nie przypominał sobie równie spokojnego rejsu.

Przy sąsiednich stolikach pasażerowie, niemal wyłącznie mężczyźni, grali w karty, tryktraka, szachy albo stemple-chase. Max, który był jedynym graczem przypadkowym, choć sprawnym – nawet gdy nosił mundur w Maroku nie uległ, nieobcej wielu mężczyznom, namiętności do gier hazardowych – lubił obserwować zawodowych karciarzy pływających na transatlantykach. Sztuczki, oszuści i naiwniacy, reakcje jednych i drugich, kodeksy zachowań, które w szczegółach odzwierciedlały skomplikowaną ludzką naturę, były znakomitą szkołą dla kogoś, kto potrafił uważnie patrzeć, a Max umiał zdobywać w ten sposób pożyteczną wiedzę. Na Cap Polonio, podobnie jak na wszystkich statkach świata, pływali szulerzy pierwszej, drugiej, a nawet trzeciej klasy. Załoga, naturalnie, była w tych sprawach na bieżąco i zarówno pokładowy komisarz, jak administratorzy i szefowie sal znali stałych bywalców, obserwowali ich kątem oka i podkreślali ich nazwiska na liście pasażerów. Przed laty, na Cap Arcona, Max poznał znanego gracza o nazwisku Brereton, żyjącego w nimbie legendy, jakoby uczestniczył w długiej partii brydża w mocno już przechylonym salonie palarni pierwszej klasy na Titanicu tonącym w lodowatych wodach północnego Atlantyku, w rozgrywce, w której wygrał sporą sumę i zdążył jeszcze skoczyć za burtę, aby dotrzeć do ostatniej szalupy ratunkowej.

Tego ranka Armando de Troeye wszedł do salonu barowego drugiej klasy na Cap Polonio i Maxa Costę zaskoczył tam jego widok, bo nieczęsto pasażerowie przekraczali granice terytorium wyznaczonego przez kategorię ich biletu. Zdziwił się jednak jeszcze bardziej, kiedy słynny kompozytor,

ubrany w sportową marynarkę Norfolk, kamizelkę z dewizką przy złotym zegarku, spodnie pumpy i podróżną czapkę, zatrzymał się w drzwiach i omiół spojrzeniem całe wnętrze, a dostrzegłszy Maxa, ruszył z przyjacielskim uśmiechem prosto w jego kierunku, po czym usiadł na sąsiednim krześle.

– Co pan pije? – zapytał, przywołując kelnera. – Absynt? To dla mnie za mocne. Raczej napiję się wermutu.

Kiedy chłopiec w czerwonym żakiecie przyniósł mu szklaneczkę, Armando de Troeye pogratulował Maxowi sprawności na parkiecie i prowadził lekką rozmowę, stosownie powierzchowną, o transatlantykach, muzyce i zawodowym tańcu. Autor *Nokturnów* – obok innych utworów, które odniosły sukces, jak *Scaramouche* albo balet *Pasodoble dla Don Kichota*, rozśławiony przez Diagilewa – był człowiekiem pewnym siebie, stwierdził fordanser, artystą świadomym tego, kim jest i co reprezentuje. Mimo to, choć w barze drugiej klasy zachowywał postawę pełnej elegancji wyższości – wielki kompozytor obok skromnego robotnika najniższego szczebla, pracującego w muzyce – było jasne, że stara się sprawić miłe wrażenie. Jego zachowanie, mimo całej wyraźnej rezerwy, bardzo się różniło od niechętniej obojętności z poprzednich dni, kiedy Max tańczył z jego żoną w salonie pierwszej klasy.

– Zapewniam, że obserwowałem pana uważnie. Ociera się pan o perfekcję.

– Jestem wdzięczny za pańskie słowa. Choć to przesada. – Max uśmiechnął się słabo, uprzejmie. – Wiele zależy od partnerki... A pańska małżonka tańczy znakomicie, o czym pan doskonale wie.

– Naturalnie. To wyjątkowa kobieta, bez cienia wątpliwości. Ale inicjatywa jest pańska. Pan określa pole, proszę mnie dobrze zrozumieć. A tego nie da się zaimprovizować – de Troeye uniósł szklanę, którą kelner

wcześniej postawił na stoliku, i przyglądał się jej pod światło, jakby podejrzewał, że wermut podawany w barze drugiej klasy nie jest najlepszej jakości. – Czy mogę panu zadać pytanie zawodowe?

– Jasne.

Ostrożny łyk. Wyraz zadowolenia pod cienkim wąsem.

– Gdzie nauczył się pan tak tańczyć tango?

– Urodziłem się w Buenos Aires.

– A to niespodzianka – de Troeye wypił następny łyk. – Mówi pan bez akcentu.

– Wcześniej wyjechałem. Mój ojciec pochodził z Asturii, wyemigrował za ocean w latach dziewięćdziesiątych... Sprawy nie poszły mu zbyt dobrze, więc, już chory, wrócił, żeby umrzeć w Hiszpanii. Ale wcześniej zdążył ożenić się z Włoszką, zrobić jej kilkoro dzieci i zabrać nas wszystkich ze sobą do domu.

Kompozytor pochylił się nad wiklinowym podłokietnikiem zaciekawiony.

– Jak długo więc tam pan mieszkał?

– Do czternastego roku życia.

– To wiele wyjaśnia. Te tanga są tak autentyczne... Dlaczego się pan uśmiecha?

Max wzruszył ramionami, szczerze.

– Bo nie ma w nich nic autentycznego. Oryginalne tango jest zupełnie inne.

Prawdziwe zaskoczenie albo przynajmniej wyglądające na takie. Być może tylko uprzejme zainteresowanie. Szklanka zawisła w pół drogi między stolikiem i otwartymi ustami de Troeye.

– Coś takiego! Jakie więc jest?

– Szybsze, grane przez muzyków amatorów. Bardziej lubieżne niż eleganckie, mówiąc krótko. Złożone z ruchów gwałtownie rwanych, z nagłych zwrotów i wygięć, tańczone przez prostytutki i alfonsów.

Rozmówca wybuchnął śmiechem.

– W pewnych kręgach właściwie nadal tak jest – zauważył.

– Nie całkiem. Oryginał uległ dużym zmianom, przede wszystkim wtedy gdy stał się modny w Paryżu, jakieś dziesięć, piętnaście lat temu, i zaczął panować na zabawach półświatka, apaszów... Od tego czasu zaczęli tango naśladować ludzie zamożni. Stamtąd wróciło do Argentyny już sfrancuziałe, odmienione, jako taniec gładki, niemal szacowny. – Znów wzruszył ramionami, dopił resztę absyntu i spojrzał na kompozytora uśmiechającego się przyjaźnie. – Mam nadzieję, że wyjaśniłem.

– Naturalnie. To bardzo ciekawe... Okazuje się pan miłą niespodzianką, panie Costa.

Max nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wymienił swoje nazwisko przy nim albo przy jego żonie. Prawdopodobnie de Troeye zobaczył je na liście personelu pokładowego. Albo specjalnie go poszukał. Przebiegła mu taka myśl, ale nie zastanawiał się nad tym specjalnie, bo wrócił do zaspokajania ciekawości rozmówcy. Kiedy tango miało już paryski sznyt, ciągnął, argentyńskie klasy wyższe, które przedtem odrzucały je jako niemoralny taniec z burdeli, natychmiast je zaakceptowały. Nie było już zarezerwowane dla hołoty z przedmieść, ale weszło do salonów. Do tego czasu prawdziwe tango, to, które w Buenos Aires tańczyły w porcie dziwki i sutenerzy, było muzyką nielegalną, występującą tylko potajemnie w dobrym towarzystwie: dziewczynki z dobrych rodzin grywały tango po kryjomu na domowych pianinach, z nut dostarczanych przez narzeczonych i starszych braci używających nocnego życia.

– Pan jednak – zauważył de Troeye – tańczy tango, nazwijmy to, nowoczesne.

Słowo „nowoczesne” wywołało uśmiech Maxa.

– Jasne. O takie się mnie prosi. I takie znam. Nigdy nie tańczyłem dawnego tanga w Buenos Aires, byłem zbyt młody. Ale widziałem je wiele razy... Paradoksalnie, tanga, które tańczę, nauczyłem się w Paryżu.

– A jak się pan tam znalazł?

– To długa historia. Znudziłaby pana.

De Troeye zamówił następną kolejkę dla obu, nie słuchając protestów Maxa. Wydawało się, że ma w zwyczaju decydować, nikogo nie pytając o zdanie. Należał lub wydawało się, że należy, do tego rodzaju ludzi, którzy zachowują się jak gospodarze nawet przy obcych stołach.

– Miałbym się nudzić? W żadnym razie. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo interesuje mnie to, co pan mówi... Czy w Buenos Aires są jeszcze ludzie, którzy grają tango w starym stylu? Nazwijmy je czystym tangiem...

Max zastanowił się chwilę i wreszcie poruszył głowę z powątpiewaniem.

– Czystego nie ma już niczego. Ale zdarzają się jeszcze takie miejsca. Oczywiście nie są to modne salony.

Rozmówca przyglądał się swoim dłoniom. Były szerokie, silne. Nie takie eleganckie, jakie by sobie wyobrażał fordanser, że są odpowiednie dla znanego kompozytora. Paznokcie krótkie i wypolerowane, zauważył Max. I złoty sygnet z niebieską pieczęcią, na tym samym palcu co ślubna obrączka.

– Chciałbym prosić pana o przysługę, panie Costa. To dla mnie ważne.

Pojawiły się nowe drinki. Max swojego nie tknął. De Troeye uśmiechał się przyjacielsko pewny siebie.

– Chciałbym zaprosić pana na obiad – ciągnął – żebyśmy mogli porozmawiać o tym bardziej szczegółowo.

Fordanser ukrył zaskoczenie pod zakłopotanym uśmiechem.

– Jestem panu wdzięczny, ale nie mogę przyjść do jadalni pierwszej klasy. Personelowi się tego zabrania.

– Ma pan rację. – Kompozytor zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał, do jakiego stopnia może naginać normy obowiązujące na Cap Polonio. – To nieprzyjemna przeszkoda. Moglibyśmy zjeść razem w jadalni drugiej klasy... Mam jednak lepszy pomysł. Moja żona i ja podróżujemy w kabinie apartamencie, gdzie doskonale można przygotować stolik dla trzech osób. Czy mógłby nam pan sprawić ten zaszczyt?

Max zawahał się ciągle speszony.

– Jest pan bardzo uprzejmy. Ale nie wiem, czy powinienem...

– Proszę się nie martwić. Załatwię to z szefem personelu. – De Troeye łyknął ostatni haust i zdecydowanie odstawił szklankę na stolik, jakby to zamykało sprawę. – A więc przyjmuje pan zaproszenie?

Ostatnie wątpliwości Maxa wynikały raczej z czystej ostrożności. Było faktem, że nic nie pasowało do obrazu sytuacji, jaki sam sobie wcześniej wyrobił. Choć może i trochę tak, stwierdził po chwili namysłu. Potrzebuje trochę więcej czasu i informacji, żeby rozważyć wszelkie za i przeciw. Naraz Armando de Troeye wkraczał do gry jako jej nowy element. Niespodziewany.

– Może pańska małżonka... – zaczął.

– Mecha będzie zachwycona. – Rozmówca zamknął sprawę, unosząc brwi gestem przywołującym kelnera, żeby ten przyniósł rachunek. – Powiedziała mi, że jest pan najlepszym tancerzem salonowym, jakiego kiedykolwiek znała. Dla niej to też będzie przyjemność.

Nie patrząc na kwotę, de Troeye podpisał rachunek i podał numer swojego pokoju, zostawił banknot napiwku na talerzyku i wstał. W odruchu uprzejmości Max chciał zrobić to samo, lecz de Troeye położył mu dłoń na ramieniu, powstrzymując go. Dłoń znacznie silniejszą, niż podejrzewałby u muzyka.

– Chciałbym w pewnym sensie prosić pana o radę. – Wyjął z kieszonki zegarek zawieszony na końcu złotego łańcuszka i sprawdził godzinę z obojętną miną. – W takim razie o dwunastej. Kabina numer 3. Będziemy pana oczekiwać.

Odszedł po tych słowach, nie czekając na odpowiedź, przyjmując za pewnik, że fordanser przyjdzie na spotkanie. Jeszcze dobrą chwilę po tym jak Armando de Troeye opuścił salon, Max nadal patrzył na drzwi, przez które wyszedł. Zastanawiał się nad nieprzewidzianym obrotem, jaki sprawy przybierały lub mogły przybrać, nad wydarzeniami, które starał się zaplanować albo zorganizować w najbliższych dniach. Być może mimo wszystko temat stwarza możliwości bardziej skomplikowane, ale też i korzystniejsze niż te, które przewidywał. W końcu z tą myślą położył kostkę cukru na łyżeczce umieszczonej na kieliszku absyntu, polał ją odrobiną wody i patrzył, jak cukier rozpuszcza się w zielonkawym alkoholu. Uśmiechnął się lekko do siebie, podnosząc kieliszek do ust. Ostry i słodki smak tym razem nie przypominał mu ani kaprała Borisa Dołgorukiego-Bagrationsa, ani ciemnych klitek marokańskich koszar. Jego myśli zajęte były naszymi z pereł, który pobłyskiwał, odbijając światło żyrandoli w sali tanecznej, na dekolcie Mechy Inzunzy de Troeye. A także samą linią odsłoniętej szyi, wiodącą od ramion kobiety po kark. Miał ochotę zagwizdać tango i niemal już to robił, lecz uświadomił sobie, gdzie jest. Kiedy wstał, smak absyntu w jego ustach był słodki, jak zapowiedź kobiety i przygody.

Spadaro, recepcjonista, kłamał: pokój jest rzeczywiście mały, umeblowany komodą i starą szafą z wielkim lustrem; łazienka ciasna, a i pojedyncze łóżko nienadzwyczajne. Jednak nie jest prawdą, jakoby z tego miejsca nie było ładnych widoków. Przez jedyne okno, które wychodzi na zachód, widać część Sorrento położoną nad główną mariną, z drzewami parku i willami rozrzuconymi na górzystym zboczu przylądka Capo. A kiedy Max otwiera okiennice i wychyla się na zewnątrz, olśniony światłem, widzi nawet część zatoki, z wyspą Ischia zacierającą się w oddali.

Świeżo wykąpany, tylko w szlafroku z logotypem hotelu wyszytym na piersi, szofer doktora Hugentoblera przygląda się swojemu odbiciu w lustrze szafy. Krytyczny wzrok, wyćwiczony w analizie ludzkich istot – zawsze od tego zależało powodzenie lub klęska każdego przedsięwzięcia – zatrzymuje się na obrazie nieruchomego staruszka przyglądającego się własnym mokrym siwym włosom, zmarszczkom na twarzy, zmęczonym oczom. Jeszcze nie jest tak źle, podsumowuje, jeśli życzliwie potraktuje się ubytki w wyglądzie, jakie zazwyczaj w tym wieku pojawiają się też u innych mężczyzn. Przegrane, straty, rozkład. Nieodwracalne szkody. Szukając odpowiedniego pocieszenia, dotyka materiału szlafroka – jest pod spodem więcej objętości i ciężaru niż kilka lat wcześniej, nie ulega wątpliwości, ale pas ma jeszcze przyzwoity rozmiar, sylwetka jest wyprostowana, oczy żywe i inteligentne, co potwierdza, że mimo dekadencji, trudnych lat i ostatecznej utraty nadziei nigdy jego powierzchowność nie uległa całkowitej ruinie. Jakby na próbę, niczym aktor ćwiczący trudniejszy fragment roli, Max nagle uśmiecha się do staruszka odbijającego się w lustrze, a ten odpowiada pozornie spontanicznym wyrazem, który zdaje się rozświecić jego twarz – sympatyczną, przekonującą, doskonale budzącą zaufanie. Pozostaje tak jeszcze przez chwilę nieruchomo, patrząc, jak powoli znika z twarzy

uśmiech. Potem bierze z komody grzebień i przygląda sobie włosy w staroświecki sposób, do tyłu, zaznaczając wyraźny przedziałek, prosty i nieskazitelny, po lewej stronie, bardzo wysoko. Nadal ma eleganckie manieri, stwierdza po krytycznej analizie osiągniętego rezultatu. Albo może do nich wrócić. Są jeszcze widoczne ślady domniemanego dobrego wychowania – a stąd do domniemanego dobrego pochodzenia w dawnych czasach dzielił go tylko jeden krok, łatwy zresztą do postawienia – które lata, zwyczaje, potrzeba i talent udoskonaliły tak kompletnie, że nie został nawet ślad po początkowym oszustwie. Resztki, wreszcie, minionej atrakcyjności, która w dawnych czasach pozwoliła mu poruszać się z pewnością siebie śmiałego myśliwego po niepewnych terenach, często nieprzyjaznych. Pozwoliła okrzepnąć tam i przeżyć. Albo prawie. Aż do niedawna.

Zdejmując szlafrok, Max pogwizduje *Wróć do Sorrento* i ubiera się z pedantyczną powolnością z dawnych czasów, kiedy włożenie odpowiedniego stroju według dokładnej rutyny, uważając na każdy szczegół, jak pochylenie kapelusza, sposób wiązania krawata czy pięć sposobów ułożenia białej chusteczki w górnej kieszonce marynarki, pozwalało mu czuć się, w chwilach optymizmu i wiary we własne możliwości, jak żołnierz przygotowujący się do walki. I ta odległa emocja z przeszłości, znajomy zapach spodziewanej przygody czy nadchodzącej akcji, gładzi jego odzyskaną dumę, kiedy wkłada bawełniane slipy, szare skarpety – co wymaga pewnego wysiłku, kiedy siedząc na łóżku, zgina się w pasie – koszulę pochodzącą z szafy doktora Hugentoblera, luźną w talii. W ostatnich latach nosi się obcisłe ubrania, spodnie z szerokimi nogawkami, marynarki i koszule wąskie w pasie, jakkolwiek Maxowi, niepoddającemu się takim modom, odpowiada klasyczny krój koszuli Sir Bonsera z bladoniebieskiego jedwabiu, z guziczkami na rogach

kołnierzyka, która pasuje na niego, jakby była szyta na miarę, taka jak zawsze. Przed zapięciem jej jego wzrok zatrzymuje się na bliźnie w kształcie niewielkiej gwiazdki średnicy około cala, widocznej na skórze po lewej stronie klatki piersiowej, na wysokości ostatnich żeber – ślad po kuli strzelca z Rifu, która otarła mu się o płuco podczas bitwy pod Taxuda, w Maroku, 2 listopada 1921 roku, i która po niedługim pobycie w szpitalu w Melilli zakończyła krótkie życie wojskowe legionisty Maxa Costy, pod takim nazwiskiem zarejestrowanego pięć miesięcy wcześniej – porzucającego w ten sposób na zawsze oryginalną godność Máximo Covas Lauro – w Trzynastej Kompanii Pierwszego Regimentu Legii Cudzoziemskiej.

Tango, wyjaśnił Max, jest mieszanką rozmaitych elementów: tanga andaluzyjskiego, habanery, milongi i tańców czarnych niewolników. Kreolscy gauczowie, przychodząc ze swoimi gitarami do tawern, magazynów i burdeli na portowych nabrzeżach w Buenos Aires, stworzyli milongę, którą najpierw śpiewano, a potem tango – czyli pierwotnie tańczoną milongę. Czarna muzyka i taniec były bardzo ważnymi elementami, bo w tamtych czasach pary tańczyły splecione, a nie objęte. Tango było swobodniejsze niż teraz, z krokami krzyżowymi, cofnięciami, obrotami prostymi i bardziej skomplikowanymi.

– Murzyńskie tanga? – Armando de Troeye wyglądał na naprawdę zaskoczonego. – Nie wiedziałem, że Murzyni byli w tamtych rejonach.

– Tak, byli. Dawni niewolnicy, oczywiście. Zostali zdziesiątkowani pod koniec wieku przez epidemię żółtej febry.

Siedzieli we troje wokół stołu ustawionego w podwójnej kabinie pierwszej klasy. Pachniało dobrą skórą skrzyń i walizek, wodą kolońską i terpentyną. Przez szerokie okno widać było niebieskie spokojne morze.

Max, w szarym garniturze, koszuli z miękkim kołnierzykiem i szkockim krawacie, zastukał do drzwi dwie minuty po dwunastej i po pierwszych chwilach, kiedy jedynie Armando de Troeye wydawał się dobrze czuć, obiad – rosół ze słodką papryką, langusty z majonezem i wino reńskie, bardzo zimne – upłynął na miłej rozmowie, początkowo prowadzonej głównie przez kompozytora, który po opowiedzeniu kilku osobistych anegdot odpytał Maxa ze szczegółów jego dzieciństwa w Buenos Aires, powrotu do Hiszpanii i życia zawodowego animatora w luksusowych hotelach, sezonowych kurortach i na transatlantykach. Przezorny, jak zwykle, kiedy chodziło o jego życie, Max zamknął konwersację kilkoma krótkimi komentarzami i wykalkulowanymi ogólnikami. A na koniec, przy kawie, koniaku i papierosach, na prośbę kompozytora znów opowiadał o tangu.

– Biali – ciągnął – którzy na początku tylko przyglądali się czarnoskórym, zaadaptowali ich tańce, zwolnili tempo tych części, których nie potrafili naśladować, i wplekli do nich kroki z walca, habanery, mazurka... Proszę pamiętać, że tango wówczas było po prostu stylem tańczenia. I grania.

Czasami, kiedy mówił, z opartymi na stole nadgarstkami wystającymi z mankietów spiętych srebrnymi spinkami, jego wzrok spotykał oczy Mechy Inzunzy. Żona kompozytora przez niemal cały obiad zachowywała milczenie, przysłuchując się rozmowie, i tylko od czasu do czasu rzucała jakiś krótki komentarz albo wplatała pytanie, z grzeczną uwagą czekając na odpowiedź.

– Tańczone przez Włochów i europejskich emigrantów – kontynuował Max – tango stało się wolniejsze i mniej chaotyczne, choć podmiejscy kolesie przejęli pewne murzyńskie gesty... Kiedy tańczyło się prostą ścieżką, jak tam się to nazywa, mężczyzna nagle przystawał, żeby

zabłysnąć albo zapoczątkować obrót, zatrzymując ruchy swoje i swojej partnerki. – Spojrzał na uważnie słuchającą kobietę. – Chodzi o słynne cięcie, które pani, w przyzwoitej wersji tanga, jaką teraz tańczymy, opanowała znakomicie.

Mecha Inzunza podziękowała uśmiechem za tę uwagę. Miała na sobie lekką suknię z jedwabnej szarmezey w kolorze szampana, a światło wpadające przez okno obrysowywało jej krótkie włosy na karku: uwypuklając wysmukłą linię szyi, która tak bardzo zajmowała myśli Maxa w ostatnich dniach, od owego cichego tanga bez muzyki, tańczonego w oranżerii na transatlantyku. Jediną biżuterią, jaką miała na sobie, były naszyjnik z pereł zawinięty dwukrotnie wokół szyi i ślubna obrączka.

– Kim są ci kolesie? – chciała się dowiedzieć.

– Raczej kim byli.

– Już ich nie ma?

– W ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat wiele się zmieniło... Kiedy byłem dzieckiem, kolesiami nazywaliśmy ubogich młodzieńców, synów i wnuków gauczów, którzy kiedyś przygnali krowy do miasta i osiedlili się na przedmieściach.

– Brzmi to dość niebezpiecznie – zauważył de Troeye.

Max zrobił pobłażliwy gest. Niespecjalnie byli niebezpieczni, wyjaśnił. Zupełnie inaczej niż koleżkowie. Ludzie dużo twardsi, prawdziwi dranie albo dobrze drani udający. Byli używani przez polityków – albo jako ochroniarze, albo przy wyborach i podobnych sprawach. Ale tych prawdziwych, zazwyczaj noszących hiszpańskie nazwiska, zastępowali synowie imigrantów, którzy starali się ich naśladować, szubrawcy najgorszego gatunku, i choć przejmowali oni maniery dawnych nożowników z przedmieścia, nie mieli już ich zasad ani odwagi.

– Czyli prawdziwe tango to taniec koleśków i koleżek? – zainteresował się Armando de Troeye.

– Tak było. Pierwsze tanga tańczone były jawnie obscenicznie, pary przyciskały się do siebie, splatając nogi, towarzyszyły temu ruchy bioder, jak wcześniej mówiłem, przejęte z tańców murzyńskich... Proszę pamiętać, że pierwszymi tancerkami tanga były chińskie markietanki i dziwki z burdeli.

Kątem oka Max zauważył uśmiech Mechy Inzunzy – pogardliwy i zaciekawiony równocześnie. Już dawniej widywał ten uśmiech na twarzach kobiet z jej klasy, kiedy mówiono o podobnych sprawach.

– Stąd ta zła sława, naturalnie – powiedziała.

– Jasne – przez delikatność Max nadal zwracał się do jej męża. – Proszę zauważyć, że jedno z pierwszych tang nosiło tytuł *Dame la lata*, czyli *Daj mi żeton...*

– Żeton?

Kolejne ukośne spojrzenie. Fordanser zawahał się, jakich słów użyć.

– Tak – odezwał się wreszcie – właścicielka domu publicznego dawała żeton za każdego obsłużonego klienta, a potem prostytutka oddawała je swojemu kuplerowi, który zajmował się sprawami finansowymi.

– Kuplerowi? Co za egzotyczne określenie!

– Chodzi o *maquereau* – wtrącił de Troeye. – Sutenera.

– Zrozumiałam doskonale, kochanie.

Kiedy tango zyskało popularność i trafiło nawet na rodzinne uroczystości, ciągnął Max, cięcia nadal były zakazane, jako niemoralne. Gdy był chłopcem, tango tańczono tylko na porankach dobroczynnych towarzystw, włoskich albo hiszpańskich, w domach publicznych i w garsonierach majątnych młodzieńców. Nawet teraz, kiedy zatriumfowało w salonach i teatrach, w pewnych środowiskach utrzymuje się zakaz cięc

i odchyłów. I tego, co dawniej nazywało się wkładaniem nogi. Za towarzyską akceptację tango zapłaciło rezygnacją ze swojego charakteru, podsumował. Kroki stały się wolniejsze i mniej lubieżne. Takie udomowione tango zawędrowało do Paryża i tam zdobyło uznanie.

– Zmieniło się w ten monotony taniec, jaki oglądamy na salonowych parkietach, albo w jego głupią parodię, którą pokazał Valentino w kinematografie.

Czuł na sobie spojrzenie miodowych oczu. Świadomy tego, unikając jej wzroku z całym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć, Max wyciągnął papierośnicę i najpierw poczęstował kobietę. Ta wzięła tureckiego papierosa, mąż drugiego i podał jej ogień złotą zapalniczką, a ona zapaliła papierosa wsuniętego do krótkiej cygarniczki z kości słoniowej. Pochyliła się lekko do płomienia, po czym podniosła głowę i znów spojrzała na Maxa przez pierwszy kłęb dymu, który w świetle wpadającym przez bulaj wydawał się gęsty i niebieskawy.

– A w Buenos Aires? – zapytał Armando de Troeye.

Max uśmiechnął się, uderzając delikatnie końcówką papierosa w zamkniętą papierośnicę i zapalając swojego abdul paszę. Zwrot w rozmowie pozwolił mu znów spojrzeć w oczy kobiety. Wytrzymał spojrzenie trzy sekundy, utrzymując uśmiech na ustach, po czym zwrócił się do jej męża.

– Na przedmieściach, w marnych dzielnicach, czasem jeszcze tancerze odchylają się w pasie i „wkładają nogę”. Tam można znaleźć ostatnie resztki starego tanga... To, co tańczymy my, tak naprawdę jest tego dobrotliwym przedrzeźnianiem. Elegancką habanerą.

– Czy z tekstami jest podobnie?

– Tak, choć to świeższe zjawisko. Najpierw tango było samą muzyką, czasem z teatralnymi kupletami. Kiedy byłem dzieckiem, rzadko tylko

można było usłyszeć tango śpiewane, a i tak zawsze treścią były szydercze i obsceniczne, dwuznaczne historie opowiadane przez cynicznych sutenerów...

Przerwał, wahając się przez moment, czy stosownie byłoby dodać coś jeszcze.

– I?

To ona zadała pytanie, bawiąc się srebrną łyżeczką. To ułatwiło Maxowi decyzję.

– No cóż... Zwróćcie tylko, państwo, uwagę na tytuły tamtych tang: *Qué polvo con tanto viento*, *Siete pulgadas*, *Cara Sucia*, których sens jest dwuznaczny, albo *La c...ara de la l...una*, pisane tak właśnie, z wielokropkami, czy co naprawdę znaczy, przepraszam za wulgarność *La concha de la lora*.

– To nie papuga? *Lora*? Co to znaczy?

– prostytutka, w tamtejszym żargonie *lunfardo*... Tym, którego Gardel używa w swoich piosenkach.

– *A concha*?

Max spojrział na Armanda de Troeye, nie odpowiadając. Rozbawiony wyraz twarzy męża zmienił się w szeroki uśmiech.

– Zrozumiałe – powiedział.

– Zrozumiałe – powtórzyła kobieta po chwili.

Tango sentymentalne, dalej mówił Max, jest świeżym zjawiskiem. Gardel spopularyzował te płaczliwe teksty, zaludniając tango zdradzonymi lotrami i kobietami upadłymi. W jego głosie cynizm alfonsa zamienił się w melancholię i łzy. Cośdla poetów.

– Poznaliśmy go dwa lata temu, kiedy występował w teatrze Romea w Madrycie – wtrącił de Troeye. – Bardzo miły człowiek. Trochę gaduła,

ale sympatyczny. – Popatrzył na swoją żonę. – Z tym swoim uśmiechem, prawda? Jakby nigdy się nie rozluźniał.

– Widziałem go tylko raz, z daleka, jak jadł potrawkę z kury w El Tropezón – powiedział Max. – Był jak zawsze otoczony przez tłum. Nie odważyłem się podejść.

– Rzeczywiście, bardzo dobrze śpiewa. Z takim przejmującym smutkiem, prawda?

Max zaciągnął się dymem. De Troeye, nalewając sobie koniaku, zaproponował i jemu, ale on odmówił ruchem głowy.

– Wymyślił swój styl. Przed nim tango to były tylko kuplety i piosenki z burdeli... Właściwie nie miał poprzedników.

– A muzyka? – De Troeye umoczył wargi w koniaku i spoglądał na Maxa ponad brzegiem kieliszka. – Jakie, pana zdaniem, istnieją różnice między tangiem starym i nowoczesnym?

Fordanser rozparł się na krześle, lekko uderzając palcem w papierosa, żeby popiół spadł do popielniczki.

– Nie jestem muzykiem. Tylko zarabiam na życie tańczeniem. Nie wiem nawet, czym się różni ósemka od półnuty.

– Mimo wszystko chciałbym poznać pana opinię.

Max jeszcze dwa razy zaciągnął się papierosowym dymem, zanim odpowiedział.

– Mogę mówić tylko o tym, co znam. Co pamiętam... Z graniem stało się to samo co z tańczeniem i śpiewaniem. Na początku muzycy kierowali się wyłącznie intuicją, grali tematy mało znane, na podstawie prymki albo z pamięci. Prosto z rusztu, jak tam się mawia... Podobnie jak muzycy z jazz-bandu, kiedy zaczynają improwizować, każdy w swoim stylu.

– A jakie były tamte orkiestry?

Małe, stwierdził Max. Trzech, czterech typów z bandoneonami, proste akordy i szybsze tempo grania. Bardziej było to wykonywanie niż komponowanie. Z czasem takie zespoły zostały wyparte przez te współczesne: sola na fortepianie zamiast na gitarze, kontrapunkt na skrzypcach, akompaniament na bandoneonie. To pomagało początkującym tancerzom, nowym amatorom tego tańca. Orkiestry zawodowe bardzo szybko przystosowały się do nowego tanga.

– Tego, które tańczymy my – zakończył, ostrożnie gasząc papierosa. – Tego, które rozbrzmiewa w sali tanecznej na Cap Polonio i w szacownych salonach w Buenos Aires.

Mecha Inzunza też zgasila swojego papierosa w tej samej popielniczce, trzy sekundy po tym jak zrobił to Max.

– A tamto? – zapytała, bawiąc się cygarniczką z kości słoniowej. – Co dzieje się z tym dawnym tangiem?

Fordanser podniósł, nie bez wysiłku, spojrzenie znad dłoni kobiety – szczupłych, eleganckich, z wyższej sfery. Na serdecznym palcu lewej ręki błyszczała złota obrączka. Kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że Armando de Troeye przygląda mu się beznamiętnie i uważnie.

– Ciągle tam istnieje – odrzekł. – Zmarginalizowane i coraz rzadsze. Nawet kiedy je grają, w wielu miejscach niewielu jest chętnych, by je tańczyć. Jest trudniejsze. Surowsze.

Przerwał na chwilę. Uśmiech, który pojawił się na jego ustach, był spontaniczny. Wywołany wspomnieniem.

– Pewien mój znajomy mawiał, że są tanga, żeby cierpieć, i takie, żeby zabić... Te oryginalne raczej należały do tych drugich.

Mecha Inzunza oparła łokieć na stole, a twarz – na dłoni. Najwyraźniej słuchała z całkowitą uwagą.

– Niektórzy nazywają je tangami starej gwardii – dodał Max. – Żeby odróżnić je od tych nowych. Współczesnych.

– Ładna nazwa – zauważył mąż. – Skąd się wzięła?

Jego twarz nie była już pozbawiona wyrazu. Znów przybrał minę uważnego gospodarza. Max podniósł ręce, jakby chciał uwidocznic oczywistość.

– Nie wiem. Jedno ze starych tang nosi tytuł *Stara Gwardia*... Nie potrafię państwu powiedzieć.

– Czy nadal są one... obsceniczne? – zapytała kobieta.

Matowy ton głosu. Prawie naukowy. Niczym entomolożka badająca, na przykład, czy obsceniczna była kopulacja pary skarabeuszy. O ile, zastanowił się Max, skarabeusze w ogóle kopulują. Pewnie tak.

– To zależy od miejsca – potwierdził.

Armando de Troeye wydawał się tym wszystkim zachwycony.

– Pana opowieść jest fascynująca – powiedział. – Dużo bardziej niż sobie wyobrażałem. I zmienia wiele z tego, co miałem w głowie. Chciałbym móc tam pójść... Zobaczyć tę atmosferę.

Max przybrał wymijającą minę.

– Naturalnie, tak nie gra się w lokalach godnych polecenia. Przynajmniej ja nie wiem o takich.

– Ale zna pan miejsca tego typu w Buenos Aires.

– Niektóre znam. Trudno nazwać je odpowiednimi lokalami – spojrzał na Mechę Inzunzę. – To miejsca niebezpieczne... Niestosowne dla pań.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziała tonem zimnym, bardzo spokojnym. – Bywaliśmy już w niestosownych miejscach.

Mija popołudnie. Zachodzące słońce wznosi się jeszcze nad cyplem Capo, nadając zielonkawe i czerwone tony willom pokrywającym zbocze

góry. Max Costa, w tej samej ciemnoniebieskiej marynarce i flanelowych spodniach, w których przyjechał do hotelu – zamienił tylko jedwabną apaszkę na czerwony krawat w niebieskie cętki z windsorskim węzłem – wychodzi ze swojego pokoju i wtapia się w towarzystwo gości pijących aperitif przed kolacją. Skończyło się lato i towarzyszące mu tłumy, jednak szachowy pojedynek powoduje, że w lokalu panuje spory ruch: niemal wszystkie stoliki w barze na tarasie są zajęte. Afisz stojący na statywie zapowiada na jutro kolejną partię meczu Sokołow-Keller. Max zatrzymuje się przed planszą i przygląda się umieszczonym tam dwóm fotografiom rywali. Spod gęstych, jasnych brwi, w tym samym kolorze co włosy przypominające jeża, jasne oczy radzieckiego mistrza patrzą podejrzliwie na bierki ustawione na szachownicy. Jego okrągła, nieokrzęsana twarz przywołuje na myśl wieśniaka skupionego na szachach, tak jak liczne pokolenia jego przodków skupiały się na obserwacjach, czy zboże w polu już dojrzało albo czy chmury na niebie zwiastują deszcz lub suszę. Natomiast Jorge Keller wygląda na roztargnionego, jakby myślał o czymś innym. Sprawia wrażenie nieco naiwnego, wydaje się Maxowi. Jakby zamiast patrzeć w obiektyw, patrzył na kogoś albo na coś, co znajduje się nieco dalej i nie ma nic wspólnego z szachami, ale ma postać młodzieńczych mrzonek czy nieokreślonych złudzeń.

Letnia bryza. Gwar rozmów, z cichą muzyką w tle. Taras hotelu Vittoria jest rozległy i wspaniały. Poza balustradą rozciąga się piękna panorama Zatoki Neapolitańskiej, która zaczyna rozpływać się w złotym świetle, coraz bardziej poziomym. Szef kelnerów prowadzi Maxa do stolika tuż obok marmurowej kobiety, klęczącej i nagiej, patrzącej w morze. Siadając, Max prosi o kieliszek zimnego białego wina i rozgląda się wokół. Jego otoczenie jest eleganckie, odpowiednio do miejsca i pory. Są tu zagraniczni goście, dobrze ubrani, przede wszystkim Amerykanie i Niemcy,

odwiedzający Sorrento poza sezonem. Inna grupa to goście milionera Campanelli: osoby dystyngowane, którym opłacił podróż i koszty hotelu. Są tu także miłośnicy szachów, których stać na samodzielne pokrycie kosztów pobytu. Max rozpoznaje piękną aktorkę filmową w towarzystwie kilku osób, wśród których znajduje się jej mąż, producent filmowy z Cinecittà. W pobliżu kręci się dwóch młodych mężczyzn, o wyglądzie lokalnych dziennikarzy, jeden z przewieszonym na szyi pentaxem, i za każdym razem kiedy fotograf podnosi aparat do oka, Max dyskretnie maskuje twarz, trze dłonią czoło albo wpatruje się gdzieś w przeciwnym kierunku. To automatyczna reakcja myśliwego uważającego, by samemu nie stać się zdobyczą. Dawne, wynikające z zawodowego instynktu odruchy obronne, które w ciągu długich lat troski o minimalizowanie ryzyka stały się automatyczne. W tamtych czasach nie było niczego bardziej ryzykownego dla Maxa Costy niż odsłonięcie swojej twarzy i tożsamości przed policjantem gotowym zastanowić się, co też może kombinować teraz i w tym miejscu weteran rzemiosła określanego w innych czasach niewinnym eufemizmem: złodziej w białych rękawiczkach.

Po odejściu dziennikarzy Max badawczo rozgląda się wokół. Schodząc tutaj, myślał, że miałby nieprawdopodobne szczęście, gdyby od razu udało mu się spotkać kobietę; i faktycznie, widzi ją tutaj, niedaleko, jak siedzi przy stoliku w towarzystwie innych osób, wśród których nie zauważa ani młodego Kellera, ani chodzącej przedtem z nimi dziewczyny. Tym razem na głowie nie ma tweedowego kapelusza, jej krótkie włosy w kolorze srebrzystoszarym, wyglądającym zupełnie naturalnie, są odsłonięte. Rozmawiając, pochyla twarz w stronę towarzystwa, uprzejmie zainteresowana – gest, który Max pamięta z zadziwiającą dokładnością – i czasem odchyła się na oparcie krzesła, z uśmiechem uczestnicząc w rozmowie. Jest ubrana w sposób prosty, z tą samą elegancką niedbałością

co wczoraj: obszerna, ciemna spódnica, z szerokim paskiem zbierającym w pasie białą jedwabną bluzkę. Nosi zamszowe mokasyny, a tunika z dzianiny, zarzucona na wierzch, okrywa jej ramiona. Nie nosi kolczyków ani innej biżuterii, jedynie na przegubie ręki wąski zegarek.

Max próbuje wino, cieszy go chłód pokrywający kieliszek mgłą, a kiedy pochyla się, żeby odstawić szkło na stolik, spojrzenie kobiety spotyka jego wzrok. To przypadek, który nie trwa nawet sekundy. Kobieta mówi coś do swoich towarzyszy, przebiegając spojrzeniem wokół, i natyka się na wzrok mężczyzny, który obserwuje ją, trzy stoliki dalej. Spojrzenie kobiety nie zatrzymuje się na nim, biegnie dalej podczas rozmowy, a teraz ktoś mówi słowa, którym ona przysłuchuje się uważnie, nie odrywając wzroku od swojego towarzystwa. Max, z melancholijnym ukłuciem zawodu, które godzi w jego próżność, uśmiecha się w duchu do siebie i szuka pocieszenia w kolejnym łyku falerno. To prawda, że się zmienił, ale ona też, stwierdza. I to bardzo, od ostatniego spotkania w Nicei jesienią 1937 roku, dwadzieścia dziewięć lat temu. A jeszcze bardziej od tamtych dni w Buenos Aires, kolejnych dziewięć lat wcześniej. Minęło dużo czasu od ich rozmowy na pokładzie z łodziami ratunkowymi na Cap Polonio, cztery dni po tym jak ona i jej mąż zaprosili go na obiad do luksusowej kabiny, żeby porozmawiać o tangu.

Tamtego dnia też z rozmysłem jej szukał, po bezsennej nocy spędzonej w kabinie drugiej klasy bez zmrużenia oka, czując słabe kołysanie pokładu i odległy szum maszyn w głębi statku. Pojawiły się pytania, które wymagały odpowiedzi, plany, które trzeba było nakreślić. Straty i możliwe zyski. A na dodatek, choć sam nie chciał się przed sobą przyznać, zrodził się pewien osobisty element, niemożliwy do wyjaśnienia, bez związku z wszelkimi materialnymi sprawami. Coś wyjątkowo pozbawionego kalkulacji, za to złożonego z emocji, pociągu, lęku.

Spotkał ją na pokładzie z szalupami ratunkowymi, tak jak poprzednim razem. Statek płynął w dobrym tempie, rozcinając lekką mgłę, którą poranne słońce – niewyraźny złoty krążek unoszący się coraz wyżej nad horyzontem – powoli rozpraszało. Siedziała na ławce z drewna tekowego, pod jednym z trzech wielkich kominów pomalowanych w biało-czerwone pasy. Ubrana była na sportowo, w plisowaną spódnicę i wełnianą bluzę w prążki, w butach na niskim obcasie, jej twarz, pochyloną nad książką, okalało małe, opuszczone rondo słomkowego kapelusza. Tym razem Max nie minął jej z krótkim tylko pozdrowieniem, ale powiedział „dzień dobry” i zatrzymał się przed nią, zdejmując podróżną czapkę z głowy. Fordanser miał słońce za plecami, morze było spokojne i jego cień przesunął się delikatnie po otwartej książce i po twarzy kobiety, kiedy ta podniosła wzrok, żeby spojrzeć na niego.

– No, proszę – odezwała się. – Tancerz doskonały.

Uśmiechała się, choć jej taksujące go spojrzenie było najzupełniej poważne.

– Co u pana słyhać, Max? Ileż to dziewczątek i starych panien deptało pańskie buty w ostatnich dniach?

– Zbyt wiele – jęknął. – Niech pani nie przypomina.

Od czterech dni Mecha Inzunza i jej mąż nie przychodzili do sali tanecznej. Max nie widział ich od tamtego obiadu w kabinie.

– Myślałem o tym, co powiedział pani mąż... O miejscach, gdzie można zobaczyć, jak się tańczy tango w Buenos Aires.

Uśmiech stał się wyraźniejszy. Ładne usta, pomyślał. Wszystko ładne.

– Tango w stylu dawnej gwardii?

– Starej. Tango starej gwardii. O tym właśnie myślałem.

– Znakomicie – kobieta zamknęła książkę i całkiem naturalnie przesunęła się na ławce, robiąc mu miejsce, żeby usiadł. – Zaprowadzi pan

nas gdzieś?

Dzięki zaskoczeniu liczba mnoga okazała się mniej przykra dla Maxa. Nadal stał przed nią, trzymając czapkę w ręce.

– Oboje państwa?

– Tak.

Pokiwał głową potakująco, włożył czapkę – lekko na bakier, zsuniętą nad prawym okiem, z odrobiną kokieterii – i usiadł na tej części ławki, którą kobieta zwolniła. Miejsce było zasłonięte przed wiatrem przez metalową konstrukcję pomalowaną na biało, na której u góry znajdowało się jedno z ujść kanałów wentylacyjnych. Kątem oka Max dostrzegł tytuł książki leżącej na spódnicy. Był angielski: *The Painted Veil*. Nie czytał niczego tego Somersetu Maughama, którego nazwisko znajdowało się na okładce, choć nie brzmiało mu całkiem obco. Książki to nie była jego mocna strona.

– Nie widzę przeszkód – odrzekł. – O ile tylko jest pani gotowa stawić czoło pewnego rodzaju możliwym przypadkom.

– Przeraza mnie pan.

Absolutnie nie wyglądała na przerażoną. Max patrzył w dal za łodziami ratunkowymi, czując na sobie spojrzenie kobiety. Przez chwilę rozważał, czy powinien objawić zakłopotanie z powodu ukrytej ironii jej słów, i postanowił, że nie. Może była szczerą, choć rzeczywiście nie potrafił jej sobie wyobrazić przerażonej. Przez pewnego rodzaju możliwe przypadki.

– To pospolite lokale – wyjaśnił. – W miejscach, które moglibyśmy nazwać dzielnicami biedoty, jak mówiłem. Ciągle nie jestem pewien, czy pani...

Zamilkł, odwracając się do niej. Wydawała się rozbawiona tą celową, ostrożną przerwą.

– Czy powinnam ryzykować, chodząc w takie miejsca, chciał pan powiedzieć?

– Właściwie nie jest to aż tak niebezpieczne. Wszystko polega na tym, żeby się nie obnosić.

– Z czym?

– Z pieniędzmi. Bizuterią. Drogimi albo zbyt eleganckimi ubraniami.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Tym śmiechem beztroskim i zdrowym, pomyślał absurdalnie Max. Jakby sportowym. Nadającym się na korty tenisowe, modne plaże, kluby golfowe i do dwuosobowego kabrioletu hispano-suiza.

– Rozumiem. Powinnam przebrać się za dziwkę, żeby zostać niezauważoną?

– Proszę nie żartować.

– Wcale nie żartuję. – Popatrzyła na niego z niespodziewaną powagą. – Zdziwiłby się pan, jak wiele dziewczynek marzy, żeby się przebrać za księżniczkę, i ile dorosłych kobiet chciałoby się przebrać za dziwkę.

Słowo „dziwka” w jej ustach nie brzmiało wulgarnie, ocenił z zaskoczeniem Max. Raczej prowokacyjnie. Odpowiednio dla osoby zdolnej wybrać się – przez ciekawość albo dla zabawy – do podłej dzielnicy, żeby popatrzeć, jak się tańczy tango. Różnie można powiedzieć różne rzeczy, stwierdził fordanser. Wymawiać pewne słowa albo patrzeć mężczyźnie w oczy, tak jak teraz ona to robi. Cokolwiek by powiedziała, Mecha Inzunza nie byłaby wulgarna, nawet gdyby się starała. Kapralowi legionście Borisowi Dołgorukiemu-Bagracionowi, kiedy jeszcze żył, udało się to dość dobrze określić. Jeśli padnie na ciebie, nie poradzisz, choćbyś nie chciał. A gdybyś chciał, nie padnie na ciebie za Boga.

– To niesamowite, jak bardzo pani mąż interesuje się tangiem – udało mu się powiedzieć, kiedy się opanował. – Myślałem, że jest...

– Poważnym kompozytorem?

Teraz z kolei Max się roześmiał. Zrobił to miękko, z wykalkulowaną pewnością siebie światowca.

– Można tak powiedzieć. Raczej umieściłbym muzykę, którą on pisze, i popularne tańce na dwóch biegunach.

– Powiedzmy, że to kaprys. Mój mąż jest szczególnym człowiekiem.

W myśli Max zgodził się w pełni z tymi słowami. „Szczególny” to bez wątpienia właściwe słowo. O ile dobrze wiedział, Armando de Troeye znajdował się w piątce najbardziej znanych i najlepiej opłacanych kompozytorów na świecie. Spośród żyjących hiszpańskich muzyków jedynie de Falla dorastał do jego poziomu.

– Jest nadzwyczajny – dodała po chwili. – W ciągu trzynastu lat udało mu się osiągnąć wszystko, o czym inni tylko marzą. Wie pan, kim są Diagilew i Strawiński?

Max uśmiechnął się lekko obrażony. Jestem tylko zawodowym tancerzem, mówił wyraz jego twarzy. Muzykę znam jedynie ze słyszenia. Ale tyle wiem.

– Jasne. Dyrektor Rosyjskiego Baletu i jego ulubiony kompozytor.

Skinęła głową i zaczęła opowiadać. Jej mąż spotkał się z nimi w Madrycie podczas wojny europejskiej, w domu ich wspólnej znajomej Chilijki Eugenii de Errazuriz. Przyjechali, żeby na scenie Królewskiego Teatru przedstawić *Ognistego ptaka* i *Pietruszkę*. W tamtych czasach Armando de Troeye był kompozytorem utalentowanym, ale jeszcze mało znanym. Polubili się, on im pokazał Toledo i Eskurial, poznali się bliżej. Następnego roku znów się spotkali w Rzymie i dzięki nim poznał Picassa. Już po wojnie, kiedy Diagilew i Strawiński znów przywieźli do Madrytu *Pietruszkę*, de Troeye zabrał ich do Sewilli, żeby zobaczyli procesje w czasie Wielkiego Tygodnia. Po powrocie już byli przyjaciółmi. Trzy lata

później, w 1923 roku, odbyła się paryska premiera, w wykonaniu Les Ballets Russes, *Pasodoble dla Don Kichota*. No, i ogromny sukces.

– Resztę pewnie już pan zna – zakończyła Mecha Inzunza. – *Tournée* po Stanach Zjednoczonych, niesamowity sukces *Nokturnów* w Londynie, w obecności hiszpańskiej pary królewskiej, rywalizacja z de Fallą i bardzo głośny spektakl *Scaramouche* w Salle Pleyel w Paryżu, z Serge’em Lifarem i dekoracjami Picassa.

– To się nazywa prawdziwy triumf – stwierdził Max, obiektywnie, ze spokojem.

– A czym jest dla pana prawdziwy triumf?

– Jakieś pięćset tysięcy peset rocznie. I w górę od tej sumy.

– No proszę... Nie jest pan zbyt wymagający.

Wydało mu się, że dostrzegł pewien sarkazm w tonie kobiety, i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Jak poznała pani swojego męża?

– Właśnie u Eugenie Errazuriz. To moja matka chrzestna.

– Życie z nim musi być ciekawe, jak się wydaje.

– Tak.

Tym razem ta jedna sylaba zabrzmiała szorstko. Neutralnie. Kobieta patrzyła w morze, po drugiej stronie łodzi ratunkowych, gdzie coraz wyżej stojące słońce wyraźnie rozjaśniało zamglone szarozłote powietrze.

– I co ma z tym wszystkim wspólnego tango? – zapytał Max.

Pochyliła głowę, jakby było wiele możliwych odpowiedzi, a ona zastanawiała się nad każdą z nich po kolei.

– Armando ma świetne poczucie humoru – odezwała się w końcu. – Lubi się bawić, grać. W każdym sensie. W pracy też, oczywiście... To ryzykowne gry, nowatorskie. To właśnie zafascynowało Diagilewa.

Przez chwilę milczała, przyglądając się okładce książki: na ilustracji elegancko ubrany mężczyzna patrzył w morze, stojąc na plaży przywodzącej na myśl Orient, otoczonej palmami.

– Mawia – ciągnęła dalej – że jest mu wszystko jedno, czy jest napisana na fortepian, skrzypce czy werbel... Muzyka to muzyka, uważa. I nie ma o czym gadać.

Poza zaciszem, gdzie siedzieli, wiała lekka bryza powodowana ruchem transatlantyku. Krążek słońca, coraz jaśniejszy i bardziej błyszczący, rozgrzewał drewno tekowe. Mecha Inzunza wstała, a Max natychmiast poszedł w jej ślady.

– Zachowuje poczucie humoru, tak bardzo w jego stylu – mówiła dalej, całkiem naturalnie, nie przerywając wątku rozmowy. – Kiedyś powiedział pewnemu dziennikarzowi, że bardzo by lubił tak pracować, jak to robił Haydn: dla rozrywki swojego monarchy. Symfonia? *Voilà*, wasza wysokość. A jeśli się nie podoba, zaraz poprawię, zrobię z niej walca i dodam słowa... Lubi udawać, że pisze na zamówienie, choć to nieprawda. Takie jego osobiste puszczanie oka. Kokieteria.

– Trzeba wielkiej inteligencji, żeby własne emocje przerobić na sztuczki – powiedział Max.

Przeczytał to gdzieś albo usłyszał. Nie posiadając prawdziwego wykształcenia, potrafił sprawnie wykorzystywać cytaty, tak żeby wyglądały na jego opinie. Trafnie wybierał momenty do ich użycia. Spojrzała na niego lekko zaskoczona.

– Coś takiego, panie Costa. Może nie doceniliśmy pana.

Uśmiechnął się. Szli powoli w kierunku relingu znajdującego się na rufie na tym pokładzie, za ostatnim z trzech kominów.

– Max, proszę mi tak mówić.

– Jasne, panie Maksie.

Dotarli do poręczy i oparli się na niej, obserwując ruch panujący poniżej: sportowe czapki, miękkie kapelusze, białe panamy, szerokie ronda, damskie kapelusze o płytkiej główce, zgodnie z obecną modą, filcowe i słomkowe, z kolorowymi wstążkami. Na pokładzie pierwszej klasy korytarze spacerowe biegnące przy obu burtach schodziły się w niewielki taras, palarnię i kawiarnię o ogromnych oknach, teraz szeroko otwartych, a wszystkie stoliki na zewnątrz były zajęte przez pasażerów korzystających z przyjemnej pogody i spokojnego morza. Była to pora aperitif, około tuzina kelnerów w wiśniowych żakietach kręciło się między stolikami, utrzymując w równowadze tace pełne napojów i talerzyków z przystawkami, a umundurowany szef sali dbał, żeby wszystko przebiegało w taki sposób, jaki gwarantowała wysoka cena biletu.

– Wyglądają sympatycznie – zauważyła kobieta. – Szczęśliwi kelnerzy... Pewnie to dzięki morzu.

– Wcale nie są szczęśliwi. Żyją w strachu przed szefem i oficerami. Sympatyczny wygląd jest częścią ich pracy. Płacą im, żeby się uśmiechali.

Znów spojrzała na niego z zaciekawieniem. Ale teraz inaczej.

– Wydaje się, że wie pan coś o tym – powiedziała.

– Proszę być pewną, że dobrze wiem. Ale rozmawialiśmy o pani mężu. O jego muzyce.

– Ach, tak... Miałam panu powiedzieć, że Armando uwielbia wymyślać apokryfy, tworzyć anachronizmy. Więcej ma przyjemności z pracy nad kopią niż nad oryginałem, to tu, to tam puszcza oko, udając Schumanna, Satie'ego czy Ravela... Maskuje się przy pomocy pastiszu. Parodiuje nawet, i przede wszystkim tych, którzy sami parodiują

– Plagiator ironista?

Znów mu się przyjrzała w milczeniu, przenikliwie. Badając go od środka i z wierzchu.

– Niektórzy nazywają to nowoczesnością – dodał, żeby złagodzić wrażenie, w obawie, czy nie posunął się za daleko.

Użył zawodowego uśmiechu grzecznego chłopca, bez pretensji ani dwuznaczności. Albo, jak to chwilę wcześniej ona nazwała – doskonałego tancerza. Po chwili zobaczył, że opuściła wzrok i pokręciła głową.

– Niech pan pamięta, Max, że to znakomity kompozytor, zasłużył sobie na sukces. Udaje, że poszukuje, kiedy już coś ma, albo że ma w pogardzie szczegóły, choć je wcześniej starannie obmyślił. Potrafi być wulgarny, ale nawet w jego wulgarności jest dystynkcja. To tak jak wystudiowana niedbałość, z jaką pewni eleganccy ludzie się ubierają. Czy zna pan uwerturę do *Pasodoble dla Don Kichota*?

– Nie, przykro mi. Jeśli chodzi o muzykę, moja znajomość niewiele wykracza poza tańce salonowe.

– Szkoda. Lepiej rozumiałby pan, o czym mówiłam. Ta uwertura niczego nie otwiera. To doskonały żart.

– Dla mnie to zbyt skomplikowane – powiedział z rozbijającą szczerością.

– Zapewne. – Kobieta znów przyglądała mu się uważnie. – No tak.

Max nadal stał oparty o pomalowaną na biało poręcz. Jego lewa ręka leżała w odległości dwudziestu centymetrów od jej prawej dłoni, tej, w której trzymała książkę. Fordanser spojrział w dół, na pasażerów pierwszej klasy. Jego wieloletni trening zawodowy pozwolił mu odczuwać jedynie lekki żal. Nic, czego nie dałoby się znieść.

– Czy tango pani męża też będzie żartem? – spytał.

Odrzekła, że w pewnym sensie tak. Ale chodzi nie tylko o to. Tango stało się pospolite. Ludzie teraz szaleją na jego punkcie w eleganckich salonach i w teatrach, w kinie i na ludowych zabawach. Zamiarem Armanda jest więc zabawić się tym szaleństwem. Oddać publiczności

ludową kompozycję, przefiltrowaną jednak przez ironię, o której wcześniej mówiła Maxowi.

– Nałożyć tangu maskę, jak to ma w zwyczaju – dodała na koniec. – Ze swoim wielkim talentem. Tango, które będzie pastiszem pastiszu.

– Niczym powieść rycerska, która stała się końcem wszystkich powieści rycerskich?

Przez moment wydawała się zaskoczona.

– Czytał pan *Don Kichota*, Max?

Po szybkim rachunku prawdopodobieństwa zdecydował, że lepiej nie ryzykować. Dość bezsensownej próżności. Łatwiej zdemaskować sprytnego oszusta niż szczerego głupka.

– Nie – znów nienaganny uśmiech, spontanicznie profesjonalny. – Ale wiele czytałem o nim w gazetach i magazynach.

– Być może słowo „koniec” nie jest odpowiednie. Raczej zostawienie w tyle. Stworzenie czegoś niedoścignionego, co zawierałoby w sobie wszystko. Tango doskonałe.

Odsunęli się od poręczy. Nad morzem, coraz bardziej niebieskim i mniej szarym, słońce rozpraszało ostatnie strzępy niskiej mgły. Osadzone na swoich podporach i pomalowane na biało osiem łodzi ratunkowych umieszczonych na sterburcie odbijało olśniewającą jasność, co zmusiło Maxa do opuszczenia niżej na oczy daszka swojej czapki. Mecha Inzunza wyjęła z kieszeni bluzy ciemne okulary i włożyła je na nos.

– Był zafascynowany tym, co pan powiedział o pierwotnym tangu – odezwała się po kilku krokach. – Cały czas myśli o tym... Bardzo liczy, że dotrzyma pan obietnicy i zaprowadzi nas tam.

– A pani?

Spojrzała na niego z boku, nie przerywając spaceru, dwukrotnie odwróciła twarz w jego stronę, jakby nie była pewna zakresu pytania.

Butelkowana woda Inzunza, przypomniał sobie Max. Widział reklamy w ilustrowanych magazynach w salonie czytelnicy i pytał szefa. Pod koniec poprzedniego wieku jej dziadek farmaceuta dorobił się fortuny, butelkując wodę ze źródła w Sierra Nevada. Potem jej ojciec wybudował w tym miejscu dwa hotele i nowoczesne uzdrowisko, zalecane chorym na nerki i wątrobę, modne wśród zamożnej burżuazji andaluzyjskiej.

– Na co pani liczy? – dopytywał się Max.

Był przekonany, że przy tak długiej rozmowie pozwoli mu zwracać się do siebie po imieniu, Mecha albo Mercedes. Ona jednak nic takiego nie zrobiła.

– Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. I szczerze go podziwiam.

– Dlatego chce pani, żebym go tam zaprowadził? Żebym zabrał was oboje? – Pozwolił sobie na sceptyczną minę. – Pani nie pisze muzyki.

Nie padła odpowiedź. Dalej przechadzała się powoli, z oczami zasłoniętymi ciemnymi szklami.

– Max, a pan? Będzie pan wracał tym statkiem do Europy czy zostaje pan w Argentynie?

– Być może zostanę tam jakiś czas. Dostałem propozycję pracy przez trzy miesiące w hotelu Plaza w Buenos Aires.

– Taniec?

– Na razie tak.

Cisza. Krótka.

– To nie jest specjalnie przyszłościowy zawód... Chyba że...

Max znów zamilkł, choć w myśli mógł dokończyć to zdanie: chyba że uda ci się otumanić tym swoim fantastycznym ciałem, uśmiechem grzecznego chłopca i tangiem jakąś wyperfumowaną wodą Roger & Gallet milionerkę, która zabierze cię ze sobą w roli *chevalier servant*, pokrywając

wszystkie koszty. Czyli, jak to mówią znacznie brutalniej Włosi, jako swojego *gigoló*.

– Nie zamierzam zajmować się tym przez całe życie.

Teraz ciemne okulary były odwrócone w jego stronę. Nieruchome. Widział w nich swoje odbicie.

– Powiedział pan wtedy coś bardzo interesującego. Mówił pan o tangach, żeby cierpieć, i tangach, żeby zabić.

Max gestem dał do zrozumienia, że to bez znaczenia. I tym razem intuicja kazała mu być szczerym.

– To są nie moje słowa, ale mojego przyjaciela.

– Też tancerza?

– Nie... Był żołnierzem.

– Był?

– Już nie jest. Umarł.

– Przykro mi.

– Proszę się nie martwić. – Uśmiechnął się do siebie, wspominając. – Nazywał się Dołgoruki-Bagratiun.

– Nie brzmi to jak nazwisko zwykłego żołnierza. Raczej oficera, prawda? Typ rosyjskiego arystokraty.

– Dokładnie tym był: Rosjaninem i arystokratą. A przynajmniej tak opowiadał.

– I naprawdę nim był? Był arystokratą?

– To możliwe.

Teraz, chyba po raz pierwszy, Mecha Inzunza wyglądała na zakłopotaną. Zatrzymali się przy poręczy, obok jednej z łodzi ratunkowych. Miała ona wymalowaną czarnymi literami na dziobie nazwę statku. Kobieta

zdjęła kapelusz – Maxowi udało się odczytać słowo „Talbot” na etykiecie wewnątrz główki – i potrząsnęła włosami, żeby ułożyły się na wietrze.

- Był pan żołnierzem?
- Jakiś czas. Niezbyt długo.
- Na wojnie europejskiej?
- W Afryce.

Lekko przechyliła głowę zaciekawiona, jakby zobaczyła Maxa pierwszy raz. Przez wiele lat północ Afryki dramatycznie zajmowała pierwsze strony hiszpańskiej prasy, wypełniając portretami młodych oficerów strony gazet: kapitan Taki z regularnych oddziałów, porucznik Siaki z Legii Cudzoziemskiej, chorąży Owaki z oddziału kawalerii, polegli bohatersko – wszyscy bohatersko tracili życie na stronach kroniki towarzyskiej w „La Esfera” albo „Blanco y Negro” – pod Sidi Harazem, Ketamą, Bab el Kharim, Igueriben.

– Ma pan na myśli Maroko? Melillę, Annual i te wszystkie okropne miejsca?

- Tak. Te wszystkie miejsca.

Oparł się o poręcz, z przyjemnością wystawił twarz na chłodną bryzę, mrużąc oczy oślepione blaskiem słońca odbitego od wody i od białej farby łodzi. Kiedy wkładał rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, żeby wyjąć papierośnicę z obcymi inicjałami, zauważył, że Mecha Inzunza przygląda mu się z uwagą. Przyglądała mu się nadal, kiedy podsunął jej otwartą papierośnicą, a ona odmówiła ruchem głowy. Max wyjął jednego abdul paszę, zamknął papierośnicę i uderzył delikatnie o nią końcem papierosa, po czym wsunął go do ust.

- Gdzie pan się nauczył tak zachowywać?

Wyciągnął pudełko zapalek z emblematem Hamburg-Südamerikanische i schronił się za łodzią, żeby zapalić papierosa. Tym razem też był szczery,

odpowiadając:

– Nie wiem, o co pani chodzi.

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Jej tęczówki wydawały się w tym świetle dużo jaśniejsze i bardziej przezroczyste.

– Max, niech się pan nie gniewa, ale jest w panu coś, co zbija z tropu. Ma pan nienaganne maniery, wygląd oczywiście też panu pomaga. Świetnie pan tańczy i ubiera się pan tak dobrze jak niewielu znanych mi dżentelmenów. Jednak nie wydaje się pan mężczyzną...

Max uśmiechnął się, żeby ukryć zmieszanie, próbując równocześnie zapalić zapałkę. Mimo że chronił go w zagłębieniu dłoni, płomień zgasł na wietrze, zanim zdołał zbliżyć go do papierosa.

– Dobrze wychowanym?

– Nie to chciałam powiedzieć. Nie ma w pana zachowaniu niezdarne go ekshibicjonizmu parweniusza ani wulgarnej ostentacji człowieka, który stara się uchodzić za kogoś, kim nie jest. Nie ma u pana nawet tupetu, naturalnego u przystojnych młodych mężczyzn. Wydaje się, że podoba się pan wszystkim, wcale o to nie zabiegając. I to nie tylko kobietom... Rozumie pan, co mam na myśli?

– Mniej więcej.

– Tamtego dnia opowiadał pan o swoim dzieciństwie w Buenos Aires i o powrocie do Hiszpanii. Mam wrażenie, że życie pana wtedy nie rozpieszczało. Potem było lepiej?

Max zapalił kolejną zapałkę, tym razem odniósł sukces i spojrzał na kobietę poprzez pierwsze kłęby dymu. Naraz przestał czuć onieśmienie. Przypomniał sobie Dzielnicę Chińską w Barcelonie, Canebière w Marsylii, pot i strach w Legii Cudzoziemskiej. Zwłoki trzech tysięcy ludzi, wyschnięte w słońcu, rozrzucone po drodze między Annual i górą Arrouit. I Węgierkę Boske, w Paryżu; jej wspaniałe ciało, nagie w świetle księżyca

wpadającym przez jedyne okno w mieszkaniu na poddaszu przy placu Furstenberg, pokrywającym pomięte prześcieradło srebrnymi cieniami.

– Trochę tak – odpowiedział wreszcie, patrząc na morze. – Rzeczywiście, trochę mi się poprawiło.

Słońce schowało się za przylądkiem Capo i Zatoka Neapolitańska powoli ciemnieje, przy ostatnich brudnoczerwonych odblaskach na wodzie. W oddali, poniżej ponurej sylwety Wezuwiusza, zapalają się pierwsze światła wzdłuż linii wybrzeża, biegnącej od Castellamare do Pozzuoli. To pora kolacji i taras hotelu Vittoria pustoszeje z każdą chwilą. Ze swojego krzesła Max Costa patrzy, jak kobieta wstaje i idzie w stronę przeszklonych drzwi. Przez chwilę ich spojrzenia znów się krzyżują, lecz jej wzrok, zabłąkany i nieuważny, przebiega po jego twarzy z tą samą obojętnością co wcześniej. To pierwszy raz, kiedy Max widzi ją z tak bliska tu, w Sorrento, i stwierdza, że choć pozostały ślady jej dawnej urody – oczy są identyczne, kontur ust zachował delikatność linii i wyraźny rysunek – czas dokonał w niej naturalnych zniszczeń: krótkie włosy są siwe, prawie srebrne, tak samo jak włosy Maxa; skóra wygląda matowo, mniej gładko, jest poprzecinana nieskończoną ilością drobniutkich zmarszczek wokół ust i oczu, a ręce, choć jeszcze szczupłe i eleganckie, pokryte są plamkami, nieomylnymi oznakami starości. Jednak jej ruchy są takie same, jak pamięta: łagodne, pewne. Ruchy kobiety, która całe życie szła przez świat stworzony po to, by ona mogła przez niego iść. Piętnaście minut wcześniej Jorge Keller i dziewczyna z warkoczem dołączyli do grupy przy stole, teraz razem z nią idą przez taras, mijają go z bardzo bliska i znikają z zasięgu jego wzroku. Towarzyszy im gruby mężczyzna, łysy, z posiwiałą brodą. Kiedy tylko wszyscy czworo przeszli obok, Max wstaje i idzie za nimi, mijają drzwi i zatrzymuje się na chwilę przy fotelach Liberty i donicach z palmami zdobiącymi ogród zimowy. Może stąd obserwować przeszklone

drzwi wychodzące na hol hotelowy i schody prowadzące do restauracji. Grupka idzie w stronę holu. Kiedy Max tam dociera, cała czwórka już wyszła po zewnętrznych schodach na ogrodową alejkę prowadzącą z hotelu w stronę placu Tasso. Max wraca do holu i podchodzi do lady recepcji.

– Czy to był ten Keller, mistrz szachowy?

Zaskoczenie doskonale udane. Recepcjonista kiwa ostrożnie potakująco głową. Jest wysokim, kościstym młodzieńcem, na klapach czarnego żakietu nosi dwa skrzyżowane złote kluczyki.

– Istotnie, proszę pana.

Tym, czego Max nauczył się w ciągu pięćdziesięciu lat bywania w różnych miejscach, jest pewność, że podwładni są bardziej przydatni niż szefowie. Dlatego zawsze starał się utrzymywać ścisłe kontakty z tymi, którzy naprawdę potrafią rozwiązać problemy – recepcjonistami, portierami, kelnerami, sekretarkami, taksówkarzami i telefonistkami. Ludźmi, którzy dbają, by sprawnie działał cały mechanizm dostatniego społeczeństwa. Jednak tych praktycznych znajomości nie zawiera się w jednej chwili, wyrabiają się z czasem, dzięki zdrowemu rozsądkowi i czemuś, czego nie da się kupić – naturalności kontaktów, oznaczającej: dziś coś dla mnie, jutro dla ciebie, zawsze jestem ci winien przysługę, przyjacielu. Co do Maxa, szczodry napiwek czy bezczelne przekupstwo – jego dobre maniery potrafiły zatrzeć nieprecyzyjną granicę między jednym a drugim – zawsze były jedynie pretekstem do użycia zabójczego uśmiechu stosowanego zaraz później, tuż przed ostatecznym ciosem, zarówno w stosunku do ofiar, jak i współników świadomych i nieświadomych swojej roli. I tak skrupulatnie, przez całe życie, szofer doktora Hugentoblera uzbierał szeroki wachlarz osobistych kontaktów, połączonych z nim specjalnymi i dyskretnymi więzami. Mieszczą się w tym również znajomości wątpliwej reputacji: osobników obojga płci, obiektywnie

niezbyt godnych polecenia, zdolnych ukraść mu bez skrupułów złoty zegarek. Ale też zastawić ten sam zegarek, żeby móc pożyczyć mu gotówkę w potrzebie albo i oddać dług, który on zaciągnął.

– Mistrz idzie pewnie na kolację.

Recepcjonista znów kiwa głową, niezbyt zobowiązująco, tym razem z uprzejmym grymasem ust, niemal mechanicznym, ze świadomością, że starszy pan o dobrych manierach, który stoi po drugiej stronie lady, a teraz niedbałym ruchem wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki ładny skórzany portfel, płaci za każde cztery noce w hotelu Vittoria sumę odpowiadającą miesięcznej pensji recepcjonisty.

– Uwielbiam szachy... Chciałbym się dowiedzieć, gdzie pan Keller je kolację. Fetyszizm wielbiciela, rozumie pan.

Banknot o nominale pięciu tysięcy lirów, dyskretnie złożony we czworo, zmienia właściciela i znika w kieszeni żakietu z kluczykami na klapach. Uśmiech recepcjonisty teraz staje się mniej mechaniczny. Bardziej naturalny.

– Restauracja ‘O Parrucchiano, na corso Italia – mówi, sprawdzwszy w notesie z rezerwacjami. – Bardzo dobre miejsce, żeby zjeść cannelloni albo rybę.

– Wybiorę się tam któregoś dnia, dziękuję.

– Zawsze do usług, proszę pana.

Czasu mam aż nadto, myśli Max. Wchodzi więc po szerokich schodach ozdobionych postaciami o lekko pompejańskim charakterze i przesuując palcami do poręczy, dociera na drugie piętro. Zanim nastąpiła zmiana za ladą recepcji, Tiziano Spadaro podał mu numery pokoi zajmowanych przez Jorge Kellera i osoby mu towarzyszące. Kobieta mieszka pod 429, dokąd Max zmierza korytarzem, po długim dywanie tłumiącym odgłos jego kroków. Drzwi są zwyczajne, z klasycznym kluczem, takim że można

zaglądać przez dziurkę w zamku. Najpierw wypróbować własny klucz – nie pierwszy raz przypadek pozwoliłby uniknąć komplikacji technicznych – a potem, obrzuciwszy ostrożnym spojrzeniem obie strony korytarza, wyjmując z kieszeni prosty wytrych, równie doskonały w swoim gatunku co stradivarius: jest to stalowa sztabka długości pół piędzi, cienka, wąska, zagięta na jednym z końców, wypróbowana parę godzin wcześniej na drzwiach własnego pokoju. Zanim minęło pół minuty, trzy delikatne trzaski oznaczają, że droga jest wolna. Max obraca gałkę i otwiera drzwi z profesjonalnym spokojem człowieka, który przez znakomitą część swojego życia otwierał obce drzwi z kompletnie czystym sumieniem. Potem, po ostatnim ostrożnym spojrzeniu w głąb korytarza, wieszka kartonik *Non disturbare* i wchodzi do środka, pogwizdując przez zęby cichutko *Człowieka, który rozbił bank w Monte Carlo*.

3. CHŁOPCY Z DAWNYCH LAT

Pokój ma drzwi prowadzące na przyjemny taras z łukiem wychodzącym na zatokę, przez który wpadają resztki światła przed zmrokiem. Max przezornie zasłania zasłony, idzie do łazienki po ręcznik, który kładzie na podłodze, zasłaniając szparę pod drzwiami. Potem wkłada cienkie gumowe rękawiczki i zapala światło. Pokój jest jednoosobowy, z fotelami tapicerowanymi adamaszkiem i grafikami na ścianach przedstawiającymi neapolitańskie widoki. W wazonie na komodzie stoją świeże kwiaty, wszystko jest uporządkowane i czyste. W łazience, w kosmetyczce z tkaniny w monogramy, są flakon perfum Chanel, kremy nawilżające i oczyszczające Elizabeth Arden. Max przygląda się, niczego nie dotykając, a potem przeszukuje pokój, starając się, żeby wszystko zostało na swoim miejscu. W szufladach, na komodzie i na szafkach nocnych leżą rzeczy osobiste, notesy i woreczek z kilkoma tysiącami lirów w banknotach i monetach. Max wkłada okulary i spogląda na książki: dwa kryminały Erica Amblera po angielsku – przypominają mu kioski na stacjach kolejowych – i książeczka niejakiego Soldatego, po włosku: *Le lettere da Capri*. Poniżej, z opatrzoną nadrukiem hotelowym kopertą w roli zakładki, leży angielska biografia Jorge Kellera, z jego zdjęciem na okładce, pod napisem *A Young Chessboard Life*, liczne akapity są podkreślone ołówkiem. Max czyta jeden, na chybił trafił.

Pamięta, że bardzo się złościł zawsze, kiedy przegrywał partię, do tego stopnia, że odmawiał jedzenia przez wiele dni i płakał. Jego matka mawiała wtedy: Bez przegranych nie ma zwycięstw.

Max odkłada książkę na miejsce i otwiera szafę. W górnej części leżą dwie walizki od Luisa Vuittona, mocno zużyte, poniżej – stroje

rozwieszane na wieszakach, poukładane na półkach i w szufladach: zamszowa marynarka, suknie i spódnice w ciemnych barwach, bluzki jedwabne i bawełniane, dżersejowe tuniki, francuskie chustki z delikatnego jedwabiu, buty angielskie i włoskie, dobre i wygodne, na niskim lub płaskim obcasie. Pod złożonymi ubraniami Max znajduje spory neseser z czarnej skóry, z małym zamkiem. Mruczy więc z przyjemnością, jak głodny kot na widok ości z sardynek, w palcach czuje mrowienie na wspomnienie dawnych zwyczajów. Pół minuty później, za pomocą metalowego spinacza wygiętego w L, neseser jest otwarty. Wewnątrz znajduje niewielki zwitek franków szwajcarskich i chilijski paszport wystawiony na Mercedes Inzunza Torrens, urodzona w Granadzie, Hiszpania, 7 czerwca 1905 roku. Aktualny adres: chemin du Beau-Rivage, Lozanna, Szwajcaria. Fotografia jest świeża i Max przygląda się jej wszystkim szczegółom, rozpoznaje posiwiałe włosy, obcięte niemal po męsku, spojrzenie utkwione w obiektywie aparatu fotograficznego, wokół oczu i ust zmarszczki, które dostrzegł, kiedy przechodziła obok niego na hotelowym tarasie, a które na zdjęciu są niemiłosiernie wyraźne za sprawą ostrego światła lampy błyskowej. Starsza pani, stwierdza. Sześćdziesiąt jeden lat. Trzy mniej od niego, z tą jednak różnicą, że czas jest bardziej bezlitosny, jeśli idzie o zniszczenia wobec kobiet niż mężczyzn. Mimo wszystko wielka uroda, którą Max poznał przed blisko czterema dekadami na pokładzie Cap Polonio, nadal jest widoczna na zdjęciu paszportowym: spokojny wyraz oczu, które w błysku flesza wydają się jeszcze jaśniejsze, niż pamięta, godny podziwu rysunek linii ust, delikatne rysy twarzy, szyja nadal długa i pełna gracji, charakterystyczna dla wyrafinowanej kobiety z wyższych klas. Nawet starzenie, myśli Max melancholijnie, u pewnych pięknych istot może przebiegać w miarę dobrze.

Odkłada na miejsce paszport i pieniądze, uważając, żeby wszystko zostało tak, jak było i sprawdza, co jeszcze zawiera neseser. Jest trochę biżuterii: proste kolczyki, cienka, wąska złota bransoletka, damski zegarek firmy Vacheron Constantin z czarnym skórzanym paskiem. Jest też płaskie etui z brązowej skóry, mocno zniszczone częstym używaniem. A kiedy je otwiera i rozpoznaje w środku naszyjnik z pereł – sznur dwustu doskonałych sztuk, z prostym zapięciem ze złota – nie może się ustrzec drżenia rąk z powodu podniecenia wywołanego odkryciem i pełen satysfakcji uśmiech przemyka mu przez usta z wyrazem niespodziewanego triumfu, który odmładza jego skupioną twarz.

Dwoma palcami, osłoniętymi gumową rękawiczką, wyjmuje naszyjnik z etui i podziwia go w świetle lampy: jest nietknięty, doskonały, dokładnie taki, jakim go poznał w dawnych czasach. Nawet zamek jest ten sam. Piękne perły odbijają światło z niemal matową delikatnością. Trzydzieści osiem lat temu, kiedy ten sam naszyjnik znalazł się na kilka godzin w jego rękach, pewien jubiler z Montevideo, o nazwisku Troianescu, zapłacił za niego, znacznie zaniżając jego prawdziwą wartość, całkiem poważną sumę trzech tysięcy funtów szterlingów.

Przyglądając się perłom, Max próbuje ocenić, ile teraz mogą być warte. Zawsze był dobry w takich szybkich ekspertyzach: miał bystre oko, wyrobione z czasem dzięki praktyce i licznym okazjom. Oryginalne perły bardzo straciły na wartości przez nadprodukcję pereł hodowlanych, choć te stare, dobrej jakości nadal są w cenie – za ten naszyjnik można by dostać jakieś pięć tysięcy dolarów. Gdyby oddać je zaufanemu paserowi – a zna kilku takich jeszcze z dawnych czasów – mógłby liczyć na cztery piąte tej sumy, czyli prawie dwa i pół miliona lirów, co odpowiada niemal trzyletnim zarobkom na posadzie szofera w Villa Oriana. Tak ocenia Max naszyjnik Mechy Inzunzy, kobiety, którą kiedyś znał, i tej drugiej, której już nie zna.

Tej ze zdjęcia w paszporcie, której nowy, nieznany – a może zapomniany – zapach poczuł, wchodząc do tego pokoju i przeszukując ubrania w szafie. Kobiety innej, choć nie całkiem, która niecałą godzinę temu przeszła obok niego, nie rozpoznając go. Wspomnienia Maxa napływają lawiną przy ciepłym dotyku perłę, pojawia się muzyka i rozmowy, światła z innych czasów, które wydają się innym stuleciem, na wybrzeżu w Buenos Aires, dzwonienie deszczu o szyby okna wychodzącego na Morze Śródziemne, smak letniej kawy na ustach kobiety, jedwab i gładka skóra. Fizyczne doznania, zapomniane od bardzo dawna, których pamięć nagle powraca mocną falą, niby powiewem jesiennego wiatru poruszone suche liście. Budzą całkiem nieoczekiwanie stary puls, który wydawał się już uspiiony na zawsze.

Max, zadumany, siada na łóżku i przez chwilę przygląda się naszyjnikowi, przesuwając w palcach perły, jakby to były paciorki różańca. Wreszcie wzdycha, wstaje, wygładza narzutę i odkłada naszyjnik na swoje miejsce. Chowa okulary, rzuca wokół ostatnie spojrzenie, gasi światło, zabiera ręcznik spod drzwi i złożony odkłada do łazienki. Potem rozsuwa zasłony w drzwiach na taras. Już zapadła noc i w oddali widać światła Neapolu. Wychodząc, zdejmuje karton z napisem *Non disturbare* i zamyka drzwi. Następnie zdejmuje gumowe rękawiczki i idzie po dywanie długim, elastycznym krokiem, trzymając jedną rękę w lewej kieszeni, a kciukiem i palcem wskazującym drugiej poprawiając węzeł krawata. Ma sześćdziesiąt cztery lata, ale czuje się młody. Nawet interesujący. A przede wszystkim – śmiały.

Biegali w tę i z powrotem gońcy z telegramami i wiadomościami, przechodzili dobrze ubrani goście, bagażowi popychali wózki z walizkami. Panował ruch właściwy takim miejscom jak to, drogim i kosmopolitycznym. Na grubych dywanach leżących na posadzce widniały

emblematy hotelu. Od godziny i kwadransa Max Costa czekał w holu z kolumnami hotelu Palace w Buenos Aires, w palarni znajdującej się tuż obok monumentalnych schodów z poręczą wykonaną z żelaza i brązu. Pod wysokim plafonem, ozdobionym malowidłami i ornamentami, popołudniowe słońce oświetlało dwa wielkie witraże, dzięki którym fordansera otaczało przyjemne wielobarwne światło. Siedział w skórzanym fotelu, z którego mógł obserwować obrotowe drzwi prowadzące z ulicy, wielki hol w całej okazałości, jedną z dwóch wind i ladę recepcji. Przyszedł do Palace pięć minut przed trzecią – godziną, na którą był umówiony z małżonkami de Troeye, a teraz zegar stojący na kominku w palarni wskazywał już dziesięć po czwartej. Po kolejnym sprawdzeniu godziny zmienił ułożenie nóg, starając się nie wypchać na kolanach spodni od szarego garnituru, który sam wyprasował w swoim hotelowym pokoiku, po czym zgasił papierosa w wielkiej mosiężnej popielnicy stojącej obok. Ze spokojem przyjmował brak punktualności kompozytora i jego żony. Bo w sumie, w pewnych okolicznościach – tak naprawdę zawsze – cierpliwość bywa użyteczną cechą. Zaletą w najwyższym stopniu praktyczną. A on był myśliwym cierpliwym i praktycznym.

Na lądzie był już od pięciu dni, tak samo jak małżonkowie de Troeye. Po postojach w Rio de Janeiro i Montevideo Cap Polonio wpłynął w głąb bagnistych wód La Platy i po serii powolnych manewrów w porcie zacumował obok dźwigów portowych, pomostów i wielkich magazynów z czerwonej cegły, pośród których mrowił się tłum oczekujących na pasażerów ze statku. Choć w Europie była jesień, w Ameryce Południowej zaczynała się właśnie pora wiosenna, i patrząc z wysokich pokładów transatlantyku, widziało się na nabrzeżu wyłącznie lekkie stroje, ubrania w jasnych barwach i białe słomkowe kapelusze. Max, który nie mógł wysiąść, dopóki statku nie opuścili wszyscy pasażerowie, widział z pokładu

drugiej klasy, jak Mecha Inzunza i jej mąż schodzili po głównym trapie, a u jego końca zostali powitani przez jakieś pół tuzina różnych osób i grupkę dziennikarzy, po czym podeszli do swojego bagażu – sterty walizek i kufrów strzeżonych przez trzech młodych ludzi i przedstawiciela towarzystwa transportowego. Małżonkowie de Troeye rozstali się z Maxem dwa dni wcześniej, po pożegnalnej kolacji, na koniec której Mecha Inzunza zatańczyła trzy kawałki z fordanserem, podczas kiedy mąż palił, siedząc przy stoliku i obserwując ich. Potem zaprosili go do baru pierwszej klasy, i choć pozostawało to w sprzeczności z zasadami dotyczącymi zatrudnionych na pokładzie, Max zaproszenie przyjął, ponieważ był to ostatni dzień jego pracy. Pili koktajle z szampana, nadal, głęboko w noc, rozmawiając o argentyńskiej muzyce, i umówili się, że kiedy już zejda na ląd, Max spełni swoją obietnicę i zaprowadzi ich do lokalu, gdzie tańczy się tango w dawnym stylu.

I dlatego właśnie tu, w Buenos Aires, siedział, uważnie przyglądając się hotelowemu westybulowi, z tym samym zawodowym spokojem, z którym, ufając swojej intuicji – cierpliwość traktowana jako cecha użyteczna – czekał przez ostatnich pięć dni, leżąc na łóżku w wynajętym pokoju marnego pensjonatu przy alei Admirała Browna, paląc papierosa za papierosem i pijąc szklankami absynt, po którym budził się z bólem głowy. Kiedy już miał upłynąć termin, który sobie wyznaczył, żeby spotkać małżonków pod jakimkolwiek pretekstem, właścicielka pensjonatu zastukała do drzwi. Jakiś pan prosi do telefonu. Armando de Troeye miał pewne zobowiązania w porze obiadu, natomiast dysponował wolnym całym popołudniem i wieczorem. Mogli razem gdzieś wypić kawę, potem umówić się na kolację i podjąć wyprawę na terytorium wroga. De Troeye rzucił sformułowanie o terytorium wroga lekkim tonem, jakby nie brał serio ostrzeżeń co do niebezpieczeństw czyhających na odkrywców portowych

knajp. Mecha pójdzie z nami, naturalnie. Dodał po krótkiej przerwie, odpowiadając na pytanie, którego Max nie zdążył zadać. Jest jeszcze bardziej ciekawa niż ja, dodał kompozytor po krótkiej chwili, jakby żona była przy nim – hotel Palace był nowoczesny, telefony znajdowały się w każdym pokoju – i Max wyobraził sobie, jak spoglądają na siebie porozumiewawczo i po cichu wymieniają uwagi, kiedy mąż dłonią zasłania słuchawkę. Ostatniej nocy na pokładzie Cap Polonio, gdy ustalali wszystkie szczegóły, nalegała, żeby im towarzyszyć.

– Nie zmarnowałamby takiej okazji – powiedziała stanowczo i całkiem spokojnie – za nic w świecie.

Mecha Inzunza siedziała na wysokim taborecie przy barze w salonie pierwszej klasy, podczas kiedy barman mieszał koktajl. Na jej szyi lśnił naszyjnik z pereł, opleciony trzykrotnie, ubrana była w suknię od Vionneta, białą i gładką, odsłaniającą ramiona i plecy – podczas pożegnalnej kolacji obowiązywały stroje wieczorowe – co nadzwyczajnie podkreślało jej elegancję. Przez te trzy tanga, które tamtego wieczoru z nią zatańczył – nie widział jej z mężem na parkiecie ani razu podczas całej podróży – Max znów z przyjemnością czuł dotyk jej nagiej skóry pod atłasem sukni, długiej po buty na wysokim obcasie, która w rytm muzyki podkreślała linie jej ciała, bardzo blisko obok, w profesjonalnych, nie zawsze obojętnych, dłoniach fordansera.

– Mogą zdarzyć się kłopotliwe sytuacje – upierał się Max.

– Będę mogła liczyć na pana i na Armanda – odpowiedziała niewzruszona. – Obronicie mnie.

– Zabiorę moją astrę – odpowiedział mąż, lekko poklepując się po pustej kieszeni wieczorowego ubrania.

Robiąc to, puścił oko do Maxa, któremu nie spodobała się ani frywolność męża, ani pewność siebie kobiety. Przez chwilę poczuł

wątpliwość, czy to wszystko ma sens, jednak szybkie spojrzenie na naszyjnik przekonało go. Możliwe straty i prawdopodobne zyski, pocieszył się. Zwyczajna życiowa rutyna.

– Lepiej nie nosić przy sobie broni – ograniczył się do komentarza, pomiędzy dwoma łykami koktajlu. – Ani tam, ani nigdzie indziej. Zawsze istnieje pokusa, żeby jej użyć.

– Po to jest, czyż nie?

Armando de Troeye uśmiechał się niemal kpiąco. Robił wrażenie, jakby się dobrze bawił, udając wesołkowatego poszukiwacza przygód. Max znów poczuł znajome ukłucie złości. Wyobraził sobie, jak kompozytor później przechwala się swoimi portowymi przygodami przed przyjaciółmi, snobami i milionerami, na przykład przed tym Diagilewem z rosyjskiego baletu. Albo przed tym Picassem.

– Wyciągnąć broń to tyle, co zaprosić innych, żeby użyli swojej.

– Coś takiego – odezwał się de Troeye. – Wygląda, że sporo pan wie o broni, jak na tancerza.

Zadźwięczała nuta przykrego szyderstwa w pozornie wesołym komentarzu. Maxowi wcale się to nie spodobało. Prawdopodobnie, pomyślał, słynny kompozytor nie zawsze bywa tak miły, jak się wydaje. A może trzy tanga zatańczone z jego żoną to jak dla niego za dużo na jeden wieczór.

– Coś pewnie wie – odezwała się kobieta.

De Troeye odwrócił się do niej i popatrzył dość zaskoczony. Jakby kalkulował, ile ma informacji na temat Maxa, których on nie zna.

– Jasne – odezwał się ponuro, jakby miał zamiar zakończyć temat.

Potem znów się uśmiechnął, tym razem naturalnie, i włożył nos do swojego kieliszka, jakby najważniejsze rzeczy znajdowały się tam właśnie.

Max i Mecha Inzunza popatrzyli na siebie dłużej. Wyszli tego wieczoru na parkiet jak zawsze w poprzednich dniach, jej wzrok błąkał się ponad jego prawym ramieniem, niemal na siebie nie patrzyli albo starali się nie patrzeć. Od czasu tamtego bezgłośnego tanga w palmiarni unosiło się między nimi coś, co odmieniało ich kontakt przy tanecznych krokach: nieme porozumienie złożone z ciszy, ruchów, reakcji – pewne pauzy i boczne kroki podejmowali za obopólną zgodą, w porozumieniu wynikającym ze wspólnego nieco beczelnego poczucia humoru – i spojrzeń, które nie do końca były wzajemne, albo z sytuacji pozornie tylko zwyczajnych, jak częstowanie jej abdul pashą i powolny gest podawania ognia, odwracanie się, żeby rozmawiać z mężem, choć naprawdę mówił do niej, albo nieruchome oczekiwanie, obcasy razem, pozycja niemal wojskowa, aż Mecha Inzunza wstanie z krzesła i poda mu niedbałym gestem dłoń, drugą rękę opierając na czarnej atłasowej klapie jego fraka, i wspólnie ruszą w doskonałej harmonii, zwinnie wymijając inne pary, mniej atrakcyjne i zręczne, tańczące na parkiecie.

– Będzie zabawnie – powiedział Armando de Troeye, wypijając do dna swojego drinka. Wyglądało to tak, jakby doszedł do takiej konkluzji po długim rozumowaniu.

– Tak – zgodziła się kobieta.

Zbity z tropu Max nie wiedział, co mają na myśli. Nie był nawet pewien, czy oboje mówili o tym samym.

Zegar w palarni hotelu Palace w Buenos Aires wskazywał kwadrans po czwartej, kiedy zobaczył ich w holu: Armando de Troeye miał na głowie kapelusz canotier, a w dłoni laseczkę, jego żona ubrana była w elegancką suknię z krepy żorżety ze skórzanym paskiem i słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Max wziął swój kapelusz – miękki, marki Knapp-Felt,

mocno zużyty, ale całkiem przyzwoity – i wyszedł im na spotkanie. Kompozytor przeprosił za spóźnienie – „Rozumie pan, Jockey Club i ta niezwykła argentyńska gościnność, wszyscy opowiadają o mrożonym mięsie i angielskich koniach”, a że fordanser czekał dobrą chwilę, de Troeye zaproponował spacer, żeby rozprostować nogi i napić się gdzieś kawy. Mecha Inzunza przeprosiła, wymawiając się zmęczeniem, i kiedy ustalili, że spotkają się wszyscy na kolacji, odeszła w stronę windy, zdejmując po drodze rękawiczki. Jej mąż i Max wyszli na ulicę, gawędząc, i przeszli pod łukami straganów na ulicy Leandro Alem, które ciągnęły się wzdłuż parkowego pasażu naprzeciwko portu, ze starymi drzewami, o tej porze roku pokrytymi żółtymi i złotymi kwiatami.

– Barracas, mówi pan – odezwał się de Troeye po uważnym wysłuchaniu tego, co powiedział Max. – To ulica czy cała dzielnica?

– Dzielnica. Myślę, że będzie odpowiednia... Inna możliwość to La Boca. Tam też moglibyśmy spróbować.

– A co pan radzi?

Lepiej Barracas, stwierdził Max. W obu miejscach są kawiarenki i domy publiczne, ale La Boca jest zbyt blisko portu, pełno tam marynarzy, dokerów i ludzi, którzy są tu tylko przejazdem. Spelunki dla zagranicznego motłochu, mówiąc wprost. Tam się gra i tańczy tango w stylu paryskim, ciekawe, ale mniej prawdziwe. Tymczasem Barracas, z mieszkającymi tam imigrantami włoskimi, hiszpańskimi i polskimi, jest bardziej autentyczne. Nawet muzycy są lepsi. Albo takie robią wrażenie.

– Rozumiem. – De Troeye uśmiechał się zadowolony. – Podmiejski scyzoryk jest lepszy do tanga niż marynarski sprężynowiec, chce pan powiedzieć.

Max roześmiał się.

– Coś w tym rodzaju. Ale proszę nie mieć złudzeń. Ostrze może być równie niebezpieczne w jednym i drugim miejscu... Poza tym wszyscy teraz wolą pistolety.

Skręcili w lewo na rogu Corrientes, obok giełdy, pozostawiając w tyle arkady. W głębi ulicy powierzchnia z asfaltu i makadamu była częściowo rozkopana aż do starego budynku poczty, w związku z budową nowego pociągu podziemnego.

– Chciałbym jeszcze raz poprosić – dodał Max – żebyście państwo, i pan, i małżonka, ubrani byli skromnie. Żadnej biżuterii ani drogich ubrań. Ani wypchanych portfeli.

– Proszę się nie martwić. Będziemy wyglądać dyskretnie. Nie chciałbym sprawić panu kłopotu.

Max zatrzymał się, żeby przepuścić przodem swojego towarzysza i nie wpaść w rozkopy.

– Jeśli będą kłopoty, znajdziemy się w nich we trójkę, nie tylko ja sam... Czy to naprawdę konieczne, żeby pana małżonka szła z nami?

– Nie zna pan Mechy. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdybyśmy zostawili ją w hotelu. Wyprawa na przedmieścia nad wyraz ją podnieca.

Fordanser zastanowił się chwilę nad skutkami czasownika podniecać i poczuł rozdrażnienie. Nie podobała mu się frywolność, z jaką de Troeye używał pewnych słów. Potem przypomniał sobie miodowe oczy Mechy Inzunzy, jej spojrzenie na pokładzie Cap Polonio, kiedy rozmawiali o wyprawie na biedne przedmieścia Buenos Aires. Być może, stwierdził, pewne słowa wcale nie są tak nie na miejscu, jak się wydaje.

– Dlaczego pan nas tam prowadzi, Max? Dlaczego pan to dla nas robi?

Zaskoczony, popatrzył na de Troeye. Pytanie brzmiało szczerze. Naturalnie. Tymczasem wyraz twarzy kompozytora zdawał się nieobecny.

Jakby wypowiedział uprzejme pytanie, zwykłą formułkę, myśląc o czymś innym.

– Nie wiem, co panu odpowiedzieć.

Szli dalej prosto, mijając ulice Reconquista i San Martín. Znowu byli robotnicy i kolejne wykopy, tym razem związane z kablami tramwaju i latarniami elektrycznymi, a pomiędzy nimi jeździły liczne samochody i dorożki konne, które zatrzymywały się przy zwężeniach ulicy. Chodniki były pełne ludzi: widać było wiele słomkowych kapeluszy i ciemnych mundurów policji pod markizami ocieniającymi wystawy sklepowe, kawiarnie i cukiernie.

– Wynagrodzę pana odpowiednio, oczywiście.

Max poczuł znowu ukłucie złości. Tym razem jeszcze mocniejsze.

– Nie o to chodzi.

Kompozytor machał swobodnie laseczką. Miał rozpiętą marynarkę od kremowego garnituru, kciuk zatknięty w kieszonce kamizelki, z której zwisała złota dewizka.

– Wiem, że nie o to chodzi. Dlatego zadałem panu to pytanie.

– Mówię, że nie umiem odpowiedzieć – Max dotknął róna kapelusza skonsternowany. – Na statku państwo...

Przerwał rozmyślnie, patrząc na prostokąt światła rozpostarty na skrzyżowaniu ulic Corrientes i Florida. Właściwie to on wypowiadał frazesy, żeby zamknąć temat. Od dobrej chwili siedł w milczeniu, myśląc o kobiecie, jej nagiej skórze na plecach i pod delikatnym dotykiem jedwabiu sukni na biodrach. Z naszyjnikiem na wspaniałym dekolcie, w elektrycznym świetle sali tanecznej na transatlantyku.

– Jest piękna, prawda?

Nie musiał się odwracać, wiedział, że Armando de Troeye patrzył na niego. Wolał nie zgadywać, z jakim wyrazem.

– Kto?

– Dobrze pan wie. Moja żona.

Znów milczenie. Wreszcie Max odwraca się do rozmówcy.

– Panie de Troeye, o co panu chodzi?

Wcale mi się nie podoba jego uśmiech, stwierdził naraz. Na pewno nie teraz. Ta forma wykrzywienia wąsów. Może nigdy wcześniej mi się nie podobał.

– Niech mi pan mówi Armando, bardzo proszę – odpowiedział tamten. – Już najwyższa pora.

– Zgoda, Armando. O co panu chodzi?

Skręcili w lewo, w głąb ulicy Florida: od trzeciej po południu sami piesi, samochody zaparkowane na rogach i dużo wystaw sklepowych. Cała ulica wyglądała jak podwójna galeria witryn handlowych. De Troeye wskazał miejsce, jakby tam odpowiedź była oczywista.

– Już pan wie. Chcę skomponować niezapomniane tango. Taki kaprys i przyjemność.

Mówił, patrząc nieuważnie na wystawę sklepu z koszulami Gath & Chaves. Szli pośród tłumu przechodniów, głównie dobrze ubranych kobiet, sunących po chodniku. W kiosku z prasą wystawiony był ostatni numer „Caras y Caretas”, z szerokim uśmiechem Gardela na okładce.

– Właściwie wszystko zaczęło się od zakładu. Byłem w Saint-Jean de Luz, w domu Ravela, który kazał mi wysłuchać żartu, jaki skomponował dla baletu Idy Rubinstein: bolero, utwór uporczywy, jednostajny, rozwijający się jedynie poprzez stopniowe wykorzystanie orkiestry... Jeśli ty możesz napisać bolero, powiedziałem mu, to ja mogę napisać tango. Śmialiśmy się dobrą chwilę, a potem założyliśmy się o kolację... No i tak, oto jestem tutaj.

– Nie to miałem na myśli, pytając, o co panu chodzi. Nie tylko tango.

– Tango nie da się skomponować z samej muzyki, drogi przyjacielu. Liczy się też zachowanie ludzi. To ono otwiera drogę.

– A co ja robię na tej drodze?

– Są różne powody. Po pierwsze, może pan być użytecznym kluczem do środowiska, które mnie interesuje. Po drugie, znakomicie pan tańczy tango. A po trzecie, wydaje mi się pan sympatyczny... Nie tak jak większość urodzonych tutaj, którzy uważają, że bycie Argentyńczykiem jest ich wielką zasługą.

Idąc bez przystawania, Max naraz zobaczył odbicie swoje i de Troeye w lustrze na wystawie sklepu z maszynami do szycia Singera. Kiedy tak szli obok siebie, słynny kompozytor w niczym nie był od niego lepszy. Pod względem wyglądu Max nawet miał przewagę. Pomimo nieskazitelnych manier i elegancji Armanda de Troeye, to on był wyższy i szczuplejszy. Co do manier, też nie było źle. I choć ubranie miał skromniejsze i bardziej zużyte, na nim lepiej leżało.

– A pańska żona? Co ona o mnie sądzi?

– To już pan powinien wiedzieć lepiej niż ja.

– Jest pan w błędzie. Nie mam pojęcia.

Zatrzymali się z inicjatywy de Troeye przed półkami jednej z wielu księgarni umiejscowionych przy tej ulicy. De Troeye zawiesił sobie laseczkę na ręce i nie zdejmując rękawiczek, dotknął kilku wystawionych książek, nie okazywał jednak specjalnego zainteresowania. Potem zrobił gest wyrażający obojętność.

– Mecha jest wyjątkową kobietą – powiedział. – Nie tylko jest piękna i elegancka, ale ma jeszcze coś. Ma mnóstwo tego czegoś... Ja jestem muzykiem, proszę pamiętać. Choć odniosłem sukces i życie, jakie wiodę, wydaje się całkiem swobodne, zawsze moja praca stoi pomiędzy światem i mną. Często Mecha jest moimi oczami. Moimi antenami, można by

powiedzieć. Filtruje wszechświat dla mnie. Właściwie nie znałem świata ani siebie samego, dopóki jej nie poznałem... Należy do tych kobiet, które pomagają zrozumieć czasy, w jakich przychodzi nam żyć.

– A co to ma wspólnego ze mną?

De Troeye odwrócił się i popatrzył na niego spokojnie. Przewrotnie.

– Obawiam się, że przydaje pan sobie zbyt wiele znaczenia, drogi przyjacielu.

Znów stanął i opierając się na laseczce, lustrował wzrokiem Maxa z góry na dół. Jakby obiektywnie doceniał dobry wygląd fordansera.

– A może i nie, jeśli się dobrze zastanowić – dodał po chwili. – Może to właściwe znaczenie.

Nagle znów ruszył przed siebie, nasunąwszy kapelusz bardziej na oczy. Max po chwili zrównał się z nim.

– Wie pan, co to katalizator? – spytał de Troeye, nie patrząc na niego. – Nie? Naukowo sprawę ujmując, to jest taka substancja, która powoduje reakcje i przemiany chemiczne, choć sama nie ulega zmianie... Mówiąc prościej, ułatwia i przyspiesza rozwój pewnych procesów.

Max usłyszał, jak się roześmiał. Cicho, niemal przez zęby. Jak z dobrego dowcipu, którego znaczenie tylko on zrozumiał.

– Pan wydaje mi się interesującym katalizatorem – dodał muzyk. – Pozwoli pan, że powiem coś, z czym zapewne się pan zgodzi... Żadna kobieta, nawet moja żona, nie jest warta więcej niż banknot stupezetowy albo nieprzespana noc, o ile nie jest się w niej zakochanym.

Max ustąpił drogi kobiecie obładowanej pakunkami. Za jego plecami, na skrzyżowaniu, które właśnie minęli, zadźwięczał klakson samochodu.

– To niebezpieczna gra – stwierdził. – Ta, którą pan rozgrywa.

Śmiech drugiego mężczyzny stał się bardziej nieprzyjemny, po czym powoli wygasł, jakby ze zmęczenia. Znów stanął i patrzył w oczy Maxowi,

lekko z dołu, z powodu różnicy wzrostu.

– Nie ma pan pojęcia o mojej grze. Ale jestem gotów zapłacić panu trzy tysiące peso, żeby i pan wziął w niej udział.

– Wydaje mi się, że to dużo pieniędzy za jedno tango.

– Chodzi o wiele więcej. – Palec wskazujący skierowany był w jego pierś. – Zgadza się pan czy nie?

Fordanser wzruszył ramionami. Sprawa nigdy nie podlegała dyskusji i obaj to wiedzieli. Tak długo, jak długo Mecha Inzunza będzie miała z tym coś wspólnego.

– Zatem Barracas – powiedział. – Dziś wieczorem.

Armando de Troeye powoli skinął głową. Poważny wyraz twarzy kontrastował z zadowolonym, prawie radosnym tonem jego słów.

– Cudownie. Tak. Barracas.

Hotel Vittoria w Sorrento. Popołudniowe słońce wyłącza zasłony w uchylonych oknach sali. W głębi, przed ośmioma rzędami zajęтыми przez publiczność, przytłumione sztuczne światło równomiernie oświetla stół do gry, umieszczony na podeście, i wielką drewnianą szachownicę ścienną obok stolika sędziego, na której asystent arbitra odtwarza rozwój gry. W dużej sali o ozdobnym suficie i ogromnych lustrach panuje uroczysta cisza, przerywana tylko od czasu do czasu szmerem przestawianej bierki na szachownicy i kliknięciem podwójnego zegara, zaraz potem głośno brzmiącego, kiedy każdy z graczy naciska odpowiedni guzik i notuje na karcie rejestracyjnej, leżącej na stoliku, ruch, który właśnie wykonał.

Siedzący w piątym rzędzie Max Costa przygląda się szachistom. Rosjanin, ubrany w brązowy garnitur, białą koszulę i zielony krawat, gra rozparty na krześle, z pochyloną głową. Michaił Sokołow ma szeroką twarz, a do tego zbyt grubą szyję, która wydaje się nadmiernie skrepowana

krawatem; toporność twarzy łagodzą wodnistobłękitne oczy, których wyraz jest smutny i spokojny. Jego tusza i jasne, krótkie włosy obcięte na jeża nadają mu wygląd łagodnego niedźwiedzia. Często po wykonaniu kolejnego ruchu – teraz gra czarnymi bierkami – odrywa wzrok od szachownicy i przeciągle przygląda się swoim dłoniom, w których co dziesięć, piętnaście minut pojawia się nowy zapalony papieros. W przerwach mistrz świata trze nos albo obgryza skórki paznokci, po czym zamyśla się lub bierze następnego papierosa z paczki leżącej obok, razem z zapalniczką i popielniczką. Właściwie, stwierdza Max, Rosjanin więcej czasu poświęca na przyglądanie się swoim rękom, jakby całkowicie go pochłaniały, niż na obserwowanie ruchów na szachownicy.

Kolejny trzask zegara szachowego. Po drugiej stronie stolika Jorge Keller właśnie poruszył białego skoczka, zdjął skuwkę z długopisu i notuje posunięcie, które asystent sędziego natychmiast kopiuje na tablicy na ścianie. Tak jak za każdym razem kiedy poruszana jest jakaś bierka, pomiędzy widzami przebiega jakby rodzaj fizycznego dreszczu, któremu towarzyszy wyczekujące westchnienie i ledwo słyszalny pomruk. To mniej więcej połowa partii.

Jorge Keller, kiedy gra, wydaje się jeszcze młodszy. Czarne włosy, zmierzwione nad czołem, sportowa marynarka i pomięte spodnie w kolorze khaki, wąski krawat z luźnym węzłem i niezwykle buty treningowe przydają młodemu Chilijczykowi niedbałego, choć przyjemnego wyglądu. „Sympatyczny” to właściwe określenie. Jego aparycja i sposób bycia bardziej przywodzą na myśl ekscentrycznego studenta niż groźnego szachistę, który za pięć miesięcy będzie walczył z Sokołowem o tytuł mistrza świata. Max zauważył, że przyszedł na mecz z butelką oranżady – Rosjanin już czekał na niego na swoim krześle – podał przeciwnikowi rękę, nie spojrzawszy nawet na niego, postawił butelkę na stole, zajął swoje

miejsce i natychmiast wykonał pierwszy ruch, prawie nie patrząc na szachownicę, jakby miał to zagranie przygotowane od wielu godzin czy nawet dni. W odróżnieniu od Sokołowa, młody Chilijczyk, kiedy medytuje albo czeka, nie pali i nie wykonuje żadnych gestów, poza wyciąganiem ręki po oranżadę i piciem jej bezpośrednio z butelki. A czasem, oczekując, aż Rosjanin wykona swój ruch – choć obydwaj gracze potrzebują sporo czasu na każde zagranie, Sokołowowi zazwyczaj zabiera więcej czasu podjęcie decyzji – Keller krzyżuje przedramiona na brzegu stołu i spuszcza na nie głowę, jakby w wyobraźni widział więcej niż za pomocą oczu. Podnosi głowę, dopiero kiedy przeciwnik rusza swoją bierkę, jakby alarmował go odgłos lekkiego jej uderzenia o szachownicę.

Wszystko przebiega zbyt wolno jak dla Maxa. Partia szachów, zwłaszcza tej kategorii i z tym protokołem, wydaje mu się najnudniejszą rzeczą na świecie. Wątpi, czy jego zainteresowanie dla szczegółów gry byłoby większe, nawet gdyby Lambertucci i *capitano* Tedesco wyjaśnili detalicznie przewrotność każdego posunięcia. Ale koniunktura pozwala mu z uprzywilejowanego miejsca przyglądać się wszystkiemu z przyjemnością. Nie tylko graczom. Na fotelu na kółkach, w pierwszym rzędzie, w towarzystwie asystentki i sekretarza, siedzi mecenas tego pojedynku, przemysłowiec i milioner Campanella, ze sparaliżowanymi nogami od czasu, kiedy dziesięć lat temu rozbił się swoim aurelia-spiderem na jednym z zakrętów między Rapallo i Portofino. W tym samym rzędzie, pomiędzy młodą Iriną Jasenović i grubym, łysym mężczyzną o posiwiałej brodzie, siedzi też Mecha Inzunza. Ze swojego miejsca, przechylając się odrobinę w bok, żeby ominąć głowę człowieka siedzącego przed nim, Max widzi ją w perspektywnym skrócie, ramiona przykryte tą samą tuniką z lekkiej wełny, krótkie siwe włosy odsłaniające wysmukły kark, ładną jeszcze linię profilu, który może podziwiać, kiedy kobieta odwraca się z komentarzem

wypowiadany cichym głosem do grubego mężczyzny po prawej stronie. I ten jej pewny i spokojny sposób przechylania głowy, kiedy z uwagą obserwuje rozgrywaną partię, tak samo jak w przeszłości skupiała się na innych rzeczach i innych grach, których złożoność – myśli Max z pełnym rozmarzenia i melancholii wyrazem twarzy – była nie mniejsza niż tej partii szachów, jaka teraz toczy się przed jej oczami, na szachownicy ustawionej na stole i jej kopii na ścianie, gdzie asystent sędziego rejestruje każdy wykonany ruch.

– To tu – powiedział Max Costa.

Samochód – limuzyna marki Pierce-Arrow w kolorze bakłazana z emblematem Klubu Automobilowego na chłodnicy – zatrzymał się na rogu długiego muru z cegły, trzydzieści kroków przed stacją kolejową Barracas. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i gdy kierowca zgasił reflektory, pozostało tylko światło pobliskiej latarni elektrycznej i czterech żółtych żarówek pod wysoką markizą na budynku. Na wschodzie, ponad ulicami o niskiej zabudowie, prowadzącymi na lewy brzeg i do doków Riachuelo, noc wygaszała ostatnie ślady czerwonej jasności na czarnym niebie Buenos Aires.

– Co za miejsce... – odezwał się Armando de Troeye.

– Chcieliście państwo zobaczyć tango – odpowiedział Max.

Wysiadł z samochodu, włożył kapelusz na głowę i przytrzymał otwarte drzwi, żeby kompozytor i jego żona mogli wysiąść. W świetle pobliskiej latarni zobaczył, jak Mecha Inzunza, poprawiając jedwabny szal na ramionach, rozgląda się wokół beznamiętnie. Nie miała kapelusza ani biżuterii, była w jasnej popołudniowej sukience, na średnich obcasach, w białych rękawiczkach, długich do łokcia. Zbyt elegancka, mimo wszystko, żeby przechadzać się po tej dzielnicy. Nie wyglądała na

wstrząśniętą widokiem skrzyżowania pełnego niewyraźnych cieni ani ponurym chodnikiem wybrukowanym cegłami, biegnącym gdzieś w ciemność między murem i wysokim, z żelaza i cementu, budynkiem stacji kolejowej. Tymczasem jej mąż – w granatowym dwurzędowym garniturze w tenisowe prążki, do tego kapelusz i laseczka – rzucał wokół niespokojne spojrzenia. W jego przypadku jasne było, że sceneria przerosła oczekiwania.

– Max, czy pan naprawdę dobrze zna to miejsce?

– Pewnie, urodziłem się trzy przecznice stąd, na ulicy Vieytes.

– Trzy przecznice? Do licha...

Fordanser pochylił się do otwartego okienka, żeby wydać instrukcje szoferowi. Był to tęgi, milczący Włoch o ogolonej twarzy i bardzo czarnych włosach wystających spod czapki z daszkiem, należącej do uniformu. W hotelu Palace polecono go jako doświadczonego kierowcę i człowieka godnego zaufania, kiedy de Troeye poprosił o limuzynę. Max nie chciał, żeby samochód zatrzymywał się przed lokalem, do którego szli, bo to zbytby zwróciło na nich uwagę. Małżonkowie i on zamierzali przejść ostatni kawałek drogi pieszo, powiedział więc szoferowi, gdzie powinien zaparkować, czekając na nich – tak by mieć lokal na oku i nie stać zbyt blisko. Zapytał też, ścisząc głos, czy ma przy sobie broń. Mężczyzna krótko skinął głową, ruchem wskazując schowek na rękawiczki.

– Pistolet czy rewolwer?

– Pistolet – brzmiała krótka odpowiedź.

Max uśmiechnął się.

– Pańskie nazwisko?

– Petrossi.

– Przykro mi, że każemy panu czekać, Petrossi. Zajmie to nam jakieś dwie godziny, co najwyżej.

Uprzejmość nic nie kosztuje, a jest inwestycją na przyszłość. Nocą, w miejscu takim jak to, postawny, uzbrojony Włoch był elementem nie bez znaczenia. Dodatkowym zabezpieczeniem. Max w świetle latarni zobaczył, jak kierowca znów skinął głową, profesjonalnie i beznamiętnie, choć w jego szybkim spojrzeniu dostrzegł też wyraz uznania. Położył mu na chwilę dłoń na ramieniu, poklepał przyjaźnie i dołączył do małżonków de Troeye.

– Nie wiedzieliśmy, że to pańska dzielnica – zauważył kompozytor. – Nigdy pan o tym nie wspomniał.

– Nie było powodu.

– I zawsze tutaj pan mieszkał przed przyjazdem do Hiszpanii?

Bardzo wymowny był teraz de Troeye, zapewne by ukryć zaniepokojenie, które mimo wszystko widoczne było w jego słowach. Mecha Inzunza szła obok niego, pomiędzy nim i Maxem, trzymając męża pod rękę. Nadal milczała, obserwując wszystko, słyhać było tylko stukot jej obcasów po ceglany chodniku. Wszyscy troje posuwali się wzdłuż muru, w głąb cichego mroku dzielnicy, którą Max rozpoznawał przy każdym kroku: ciepłe, wilgotne powietrze, żywy, roślinny zapach krzaków rosnących w dziurach przy bruku, błotny odór pobliskiego Riachuelo, w okolicy pomiędzy stacją kolei i niskimi domami, które jeszcze nie straciły charakteru nadbrzeżnego przedmieścia.

– Tak, pierwszych czternaście lat przeżyłem w Barracas.

– Coś takiego. Jest pan niczym skrzynia pełna niespodzianek.

Poprowadził ich przez tunel zwielokrotniający echo ich potrójnych kroków, w kierunku słupa światła kolejnej latarni elektrycznej, umieszczonej po drugiej stronie stacji. Max zwrócił się do de Troeye:

– Wziął pan, zgodnie z zapowiedzią, swoją astrę?

Kompozytor roześmiał się głośno.

– Nie, jasne, że nie... Żartowałem. Nigdy nie noszę broni.

Fordanser z ulgą pokiwał głową. Niepokoila go wizja Armanda de Troeye wchodzącego do podmiejskiej spelunki z pistoletem w kieszeni, mimo jego rad.

– To lepiej.

Wyglądało, że niewielkie zaszły tu zmiany w ciągu dwunastu lat, bo choć Max odwiedził później Buenos Aires parę razy, tutaj nie wracał. Z każdym krokiem stawiał stopy na własnych śladach, wspominając pobliski dom czynszowy, gdzie spędził dzieciństwo i pierwszą młodość, taki sam jak wiele innych na ulicy Vieytes, w całej dzielnicy, w całym mieście. Miejsce barwne, różnorodne, niedające szans na choćby wyobrazalny cień intymności, świat zamknięty w ścianach rozpadającego się dwupiętrowego budynku, w którym gnieździło się półtorej setki ludzi w najróżniejszym wieku i zawsze słychać było głosy mówiących po hiszpańsku, włosku, turecku, niemiecku i po polsku. Mieszkania, gdzie drzwi nie miały zamków, wynajmowane przez wieloosobowe rodziny i grupy samotnych mężczyzn czy emigrantów obojga płci, pracujących – ci, którym się poszczęściło – w Kolejach Południa, na nabrzeżach Riachuelo albo w pobliskich fabrykach, których syreny, ryczące czterokrotnie w ciągu doby, regulowały domowe życie tam, gdzie zegary były rzadkością. Kobiety tłukące mokre pranie w baliach, gromady dzieciaków bawiących się na podwórkach, zawsze zawieszanych pościelą i bielizną, nasiąkającą zapachem smażenia i gotowania, zmieszanym z odorem wspólnych wychodków o wysmołowanych ścianach. W mieszkaniach, gdzie szczury były zwierzętami domowymi. Miejsce, w którym tylko dzieci i z rzadka młodzi ludzie otwarcie się uśmiechali, z niewinnością niewielu przeżytych lat, nie domyślając się jeszcze, że już nadchodzi nieuchronna klęska, jaką los miał przeznaczoną dla nich, niemal wszystkich.

– Oto jesteśmy. To La Ferroviaria.

Zatrzymali się przy latarni elektrycznej. Za stacją kolejową, po drugiej stronie tunelu, przy prostej, ciemnej ulicy stały niemal same niskie domy, poza kilkoma piętrowymi budynkami, z których na jednym zobaczyli świetlny napis Hotel, z ostatnią zgaszoną literą. Lokal, którego szukali, widoczny był w mroku na końcu ulicy: niski budynek wyglądający na magazyn, sufit i ściany z ocynkowanej blachy, nad wejściem żółtawa latarnia. Max zaczekał, aż po prawej stronie pojawiły się dwa bliźniacze reflektory limuzyny, która przejechała powoli i zatrzymała się w miejscu wskazanym kierowcy do zaparkowania, w odległości pięćdziesięciu metrów, na rogu za następną przecznicą. Kiedy światła samochodu zgasły, fordanser popatrzył na małżonków de Troeye i zauważył, że kompozytor z podniecenia chwyta powietrze otwartymi ustami, jak ryba wyjęta z wody, a Mecha Inzunza uśmiecha się z dziwnym błyskiem w oku. Lekko nasunął kapelusz na oczy, powiedział „idziemy” i cała trójka przeszła na drugą stronę ulicy.

W La Ferroviarii czuło się zapach dymu cygar, butelek dżinu, brylantyny i ludzkiego ciała. Podobnie jak inne sale do tanga leżące w pobliżu Riachuelo, był to obszerny magazyn, w którym w ciągu dnia sprzedawano artykuły spożywcze i napoje, a który w nocy zmieniał się w lokal z muzyką do tańca: drewniana podłoga, skrzypiąca, kiedy się po niej chodziło, żelazne kolumny, stoliki i krzesła, zajęte przez mężczyzn i kobiety, naprzeciwko baru obitego blachą i oświetlonego żarówkami bez kloszy, z osobnikami wyglądającymi na bywalców burdelów, opartymi łokciami albo plecami o ladę. Na ścianie, za plecami Galisyjczyka obsługującego klientów z pomocą chudej i niezgrabnej kelnerki, która leniwie poruszała się między stolikami, dominowały wielkie zakurzone lustro z reklamą palonej kawy Águila i plakat towarzystwa

ubezpieczeniowego Francoargentina de Seguros, ozdobiony wizerunkiem gaucza pijącego mate. Na prawo od baru, obok drzwi, przez które widać było tony solonych sardynek i pudła makaronów ze szklanymi pokrywami, pomiędzy zgaszonym piecykiem naftowym i starą, rozklekotaną pianolą Olimpo, znajdowała się niewielka estrada dla orkiestry, gdzie trzech muzyków – na bandoneonie, skrzypcach i pianinie z klawiszami wypalonymi przez papierosy po lewej stronie – grało typową dla Buenos Aires melodię, która brzmiała jak melancholijna skarga i w której dźwiękach Maxowi Coście wydało się rozpoznać tango *Gallo viejo*.

– Znakomicie – mruknął z podziwem Armando de Troeye. – To niespodziewane, doskonałe... Inny świat.

Wystarczy na niego popatrzeć, pomyślał Max z rezygnacją. Kompozytor odłożył kapelusz i laseczkę na krzesło, żółte rękawiczki wystawały mu z lewej kieszeni marynarki, założone nogi odsłaniały brzeg zapiętych getrów pod spodniami z doskonałym kantem. Znalazł się, bez cienia wątpliwości, na antypodach tych dancinów, jakie odwiedzali on i jego żona, w wieczorowych strojach; La Ferroviaria była z innego świata, zaludniały ją istoty innego rodzaju. Żeńska część klienteli lokalu składała się z pół tuzina kobiet, niemal wszystkie były młode, siedziały w towarzystwie mężczyzn lub tańczyły z nimi w wolnej przestrzeni pomiędzy stolikami. Nie były to właściwie prostytutki, wyjaśnił Max po cichu, ale raczej fordanserki, kobiety mające zachęcać klientów do tańczenia z nimi – dostawały za każdy taniec po żetonie, które właściciel wymieniał potem na kilka centavos – i picia jak największej możliwej ilości drinków. Niektóre miały chłopaków czy narzeczonych, inne – nie. Większość tam obecnych osób była związana z tym biznesem.

– Kolesie? – spytał de Troeye, używając terminu, jakim posłużył się Max na pokładzie Cap Polonio.

– Mniej więcej – potwierdził Max. – Ale tu nie wszystkie kobiety mają alfonsów... Niektóre tylko pracują, tańcząc. Zarabiają na życie w ten sposób, jak inne kobiety, które pracują w fabrykach czy w warsztatach w sąsiedztwie... Porządne tancerki tanga, na ile to możliwe.

– Wcale nie wyglądają na porządne, kiedy tańczą – powiedział de Troeye, rozglądając się wokół. – Ani nawet wtedy kiedy siedzą.

Max wskazał objęte pary wolno poruszające się w tanecznej przestrzeni. Mężczyźni poważni, surowi, męscy aż do przesady, zatrzymywali się nagle pośród muzyki – nieco szybszej niż współczesne tanga – zmuszając kobiety do tańczenia wokół nich, bez odrywania się od siebie nawzajem, ocierając się i pozostając bardzo blisko. A kiedy się to działo, kobiety potrząsały biodrami w przerywanych cyklach, przesuwając nogę po jednej i drugiej stronie nóg partnera. Skrajnie zmysłowo.

– To, jak widać, jest inny rodzaj tanga. Inna atmosfera.

Podeszła kelnerka z karafką dzinu i trzema szklankami, które postawiła na stoliku, zmierzyła wzrokiem od stóp do głów Mechę Inzunzę, obrzuciła obojętnym spojrzeniem obu mężczyzn i odeszła, ocierając ręce fartuchem. Po nagłej, nieprzyjemnej ciszy, jaka zapadła po ich wejściu – spojrzenie jakichś dwudziestu par ciekawych oczu śledziło ich od chwili, kiedy stanęli w drzwiach – przy stołach znów ożyły rozmowy, choć nie ustawało bezczelnie otwarte albo ukradkowe gapienie się na nich. Maxowi wydawało się to logiczne, nie spodziewał się niczego innego. Często można było spotkać ludzi z wyższych sfer Buenos Aires na nocnych wyprawach w poszukiwaniu malowniczej strony podmiejskiej żulii, obchodzących podejrzaną kabarety i lokalne bary, jednak Barracas i La Ferroviaria nie znajdowały się na tym szemranym szlaku. Prawie całą klientelę lokalu stanowili rdzenni mieszkańcy tej dzielnicy oraz kilku marynarzy z łodzi i stateczków zacumowanych przy nabrzeżach Riachuelo.

– A co mi pan powie o mężczyznach? – zainteresował się de Troeye.

Max upił nieco dżinu ze swojej szklanki, nie patrząc na nikogo.

– Typowi koleżkowie, cwaniaczki z tych okolic, albo ci, którzy chcą pokazać, że nimi są. Przywiązani do tej roli.

– Słyszę w tym niemal czułość.

– Nie ma w tym cienia czułości. Już mówiłem, że koleżka to prostak z przedmieścia, napastliwy pyszałek... Pewna część tych tutaj jest właśnie taka, a reszta chce taka być albo na takich wyglądać.

De Troeye gestem objął wszystko wokół.

– A ci tutaj, są czy wyglądają?

– Wszystkiego w bród.

– To bardzo ciekawe. Nie uważasz, Mecha?

Kompozytor przypatrywał się łakomie osobnikom siedzącym przy stolikach albo opartym o bar – wszyscy oni mieli wygląd gotowych na wszystko, co nielegalne: kapelusze spuszczone na oczy, wybrylantynowane, błyszczące włosy długie po kołnierze marynarek, odszytych w stylu podmiejskim, krótkich i nieodcinanych, buty w szpic. Każdy ze swoim kieliszkiem grapy, koniaku albo z flaszką dżinu na stoliku, z dymiącym avanti w ustach i zauważalnym kształtem noża za paskiem spodni albo pod pachą kamizelki.

– Niebezpiecznie wyglądają wszyscy – stwierdził de Troeye.

– Niektórzy mogą być niebezpieczni. Dlatego radzę nie przyglądać się im zbyt natarczywie ani też kobietom, z którymi tańczą.

– Natomiast oni nie mają żadnych oporów, żeby się na mnie gapić – odezwała się Mecha Inzunza rozbawiona.

Max odwrócił się w stronę jej profilu. Miodowe oczy badały lokal zaciekawione i wyzywające.

– Chyba pani nie wyobrażała sobie, że nie będą na panią patrzeć w takim miejscu jak to. I oby na patrzeniu się skończyło.

Kobieta zaśmiała się cicho, niemal nieprzyjemnie. Po chwili odwróciła się do niego.

– Niech mnie pan nie straszy, Max – powiedziała chłodnym tonem.

– Nie wydaje mi się – wytrzymał jej spojrzenie całkiem spokojnie. – Naprawdę wątpię, żeby takie rzeczy mogły panią wystraszyć.

Wyjął papierośnicę i poczęstował małżonków. De Troeye odmówił gestem głowy i zapalił własnego papierosa. Mecha Inzunza przyjęła abdul paszę, włożyła go do cygarniczki, pochylając się, żeby fordanser podał jej ogień zapałką. Opierając się na swoim krześle, Max skrzyżował nogi i wypuścił pierwsze kłęby dymu, patrząc na tańczące pary.

– Jak się odróżnia prostytutki od kobiet, które nimi nie są? – chciała się dowiedzieć Mecha Inzunza.

Obojętnie pozwalała, żeby popiół z papierosa spadał na drewnianą podłogę, obserwując kobietę, która tańczyła z mężczyzną otyłym, jednak zadziwiająco sprawnym. Kobieta była jeszcze młoda, o słowiańskim wyglądzie. Jasne włosy, w kolorze starego złota, miała spięte w kok, a niebieskie oczy otoczone jakby dymem z drzewa sandałowego. Ubrana w bluzkę w czerwone i białe kwiatki, niewiele bielizny pod spodem. Spódnica, zbyt krótka, podfruwiała przy obrotach, odsłaniając czasem dodatkowe centymetry ciała w czarnych pończochach.

– To nie zawsze jest łatwe – odpowiedział Max, nie odrywając wzroku od tańczącej kobiety. – Myślę, że trzeba mieć doświadczenie.

– Czy ma pan duże doświadczenie w odróżnianiu kobiet?

– Spore.

Kiedy ustała muzyka, grubas i kobieta przestali tańczyć. Mężczyzna ocierał pot chusteczką, a blondynka, bez słowa, usiadła przy stoliku obok

drugiej kobiety siedzącej tam z mężczyzną.

– A na przykład ta – wskazała na nią Mecha Inzunza. – To prostytutka czy zwyczajna tancerka, jak pan na Cap Polonio?

– Nie wiem. – Max poczuł ukłucie irytacji. – Musiałbym się nieco bardziej zbliżyć.

– Proszę, niech więc się pan zbliży.

Popatrzył na żar papierosa, jakby sprawdzał, czy pali się w sposób właściwy. Podniósł go do ust i zaciągnął się głęboko, po czym powoli wypuścił dym.

– Może trochę później.

Orkiestra zaczęła grać następny utwór i kolejne pary ruszyły do tańca. Niektórzy mężczyźni, tańcząc, trzymali na plecach lewą rękę z papierosem, żeby dym nie przeszkadzał ich partnerkom. Uśmiechniętemu, zachwyconemu Armandowi de Troeye nie umykał żaden szczegół. Max dwukrotnie zauważył, jak wyjmuje niewielki ołówek i coś notuje drobnym, ścisłym pismem na wykrochmalonym mankiecie swojej koszuli.

– Miał pan rację – odezwał się kompozytor. – Rzeczywiście tańczą szybciej. Z bardziej niedbałą posturą. Muzyka też jest inna.

– To tak zwana stara gwardia. – Max poczuł ulgę przy zmianie tematu. – Tańczą tak, jak się gra: szybciej, w sposób urywany. Proszę się przyjrzeć ich ruchom.

– Właśnie się przyglądam. Są rozkosznie świńskie.

Mecha Inzunza gwałtownie zgasła papierosa w popielniczce. Nagle zirytowana.

– Nie bądź prostacki.

– Obawiam, się, moja kochana, że to właśnie jest odpowiednie słowo. Przyjrzyj się. Samo patrzenie na nich jest podniecające.

Uśmiech na jego twarzy, wyraźnie zainteresowanej i cynicznej, stawał się coraz szerszy. Coś w atmosferze zaczęło wibrować, zdał sobie sprawę Max. Niemy język małżonków de Troeye, którego nie potrafił rozszyfrować, podteksty i aluzje, których sens mu umykał. Niepokojące było to, że on sam wydawał się w to włączony. Nieco zirytowany, choć i zaciekawiony, zastanawiał się, w jaki sposób.

– Jak państwu opowiadałem na statku – wyjaśnił – tango początkowo było tańcem murzyńskim. Tańczyło się osobno. Jednak wszystko się zmienia, kiedy nawet w przyzwoitszej wersji robi się to samo z obejmowanym partnerem... Tango salonowe uładziło te wszystkie pozycje, tak że stały się obyczajne. Tutaj jednak, jak państwo widzicie, obyczajność niespecjalnie się liczy.

– Ciekawe – odezwał się de Troeye, który zachłannie wsłuchiwał się w jego słowa. – Czy ta muzyka to jest to prawdziwe tango? To oryginalne?

Oryginalność nie polega na muzyce, odrzekł Max, ale na sposobie jej grania. Ci ludzie tutaj nawet nie potrafią czytać nut. Grają po swojemu, dawnym sposobem, szybko. Mówiąc to, wskazał na niewielki zespół – trzech zniszczonych mężczyzn, chudych, z siwizną na głowach i z wąsami poplamionymi od nikotyny. Najmłodszy grał na bandoneonie, był pewnie po pięćdziesiątce. Jego zęby były równie zniszczone i żółte jak klawisze instrumentu. W tym momencie patrzył na swoich kolegów, ustalając, jaki będą grali kolejny taniec. Skrzypek skinął głową, kilka razy zastukał w podłogę, żeby podać rytm, zabrzmiało pianino, zajęczał miech i wszyscy zaczęli grać *El esquinazo*. W jednej chwili cała przestrzeń do tańca wypełniła się parami.

– Oto i oni – uśmiechnął się Max. – Oto chłopcy z dawnych lat.

Właściwie uśmiechał się do samego siebie, do wspomnień z przedmieścia. Do odległych czasów, kiedy słuchał tej muzyki na

potkańcówkach w niedzielne poranki i na zabawach w letnie noce, gdy razem z kolegami harcował po chodnikach w tej dzielnicy, przy świetle latarni, które wtedy jeszcze były gazowe. Patrzyli z daleka na tańczące pary, podpatrywali ze śmiechem obejmujące się pary w ciemnych zaułkach – „puszczaj tę kość, psie jeden”, głośny rechot i ucieczka – słuchali każdego dnia tych dobrze znanych, popularnych melodii, na ustach mężczyzn wracających z fabryki, kobiet zgromadzonych wokół kałuż mydlanej wody przy domach. Te same melodie, które opryszkowie w kapeluszach spuszczone na oczy, zasłaniających im twarz, gwizdali przez zęby, kiedy podchodzili po dwóch, z błyskającymi w mroku nożami, do nieostrożnych, nocnych przechodniów.

– Chciałbym porozmawiać chwilę z muzykami – zaproponował de Troeye. – Myśli pan, że to możliwe?

– Nie widzę przeszkód. A po rozmowie proszę ich zaprosić na jednego. Albo jeszcze lepiej, proszę im postawić flaszkę... Choć radzę nie pokazywać zbyt dużo pieniędzy. Już i tak zanadto się na nas gapią.

W miejscu do tańca poruszało się wiele osób. Blondynka o słowiańskim wyglądzie znów wyszła na parkiet, tym razem z mężczyzną, który siedział przy jej stoliku. Wyzywający, posepny, ze spojrzeniem zagubionym w dali przesłoniętej dymem z papierosa, prowadził ją w rytm muzyki krótkimi gestami, delikatnym naciskiem dłoni, którą opierał na jej plecach, a czasem po prostu spojrzeniem; zatrzymywał się nagle, w sposób pozornie nieoczekiwany, a ona z obojętną miną, patrząc mu uparcie w twarz, kołysała się w jedną i w drugą stronę, pogardliwa i lubieżna równocześnie, nagle przytulona do ciała mężczyzny, jakby próbowała obudzić jego pożądanie; wijąc się, ruchami bioder i nóg, to z jednej, to z drugiej strony, z pełną posłuszeństwa uległością, jakby z całkowitą naturalnością, przyjmowała intymny rytuał tanga.

– Gdyby nie było bandoneonu, który ma rolę hamulca – wyjaśnił Max – rytm byłby jeszcze dużo szybszy. Bardziej chaotyczny. Proszę wziąć pod uwagę, że stara gwardia początkowo nie używała instrumentów miechowych ani fortepianu, tylko fletu i gitary.

Bardzo zaciekawiony Armando de Troeye to zanotował. Mecha Inzunza milczała, nie odrywając oczu od jasnowłosej tancerki i jej partnera. A ten, nieraz, gdy tańczyli w pobliżu, krzyżował z nią wzrok. Facet dobrze po czterdziestce, stwierdził Max, kapelusz na bakier, niebezpieczny wygląd Hiszpana albo Włocha. De Troeye kiwał głową zamyślony i szczęśliwy. W jego głosie brzmiało podniecenie. Teraz wsłuchiwał się w muzykę, stukając palcami po stole, jakby uderzał w niewidzialne klawisze.

– Rozumiem – powiedział kompozytor zadowolony. – Wiem, co chciał pan powiedzieć, Max. Czyste tango.

Facet, ciągle tańcząc z blondynką, patrzył na Mechę Inzunę z rosnącym uporem, ilekroć znajdował się w pobliżu. Był klasycznym tubylcem albo starał się na takiego wyglądać: gęste wąsy, obcisła marynarka, wysokie buty sprawnie poruszające się po drewnianej podłodze, kreślące długie arabeski, pomiędzy stukotem obcasów jego partnerki. Ze wszystkiego, z każdego gestu biła sztuczność, był zrobiony na nieświeżego kolesia z fumami ostrego cwaniaka. Bystre oko Maxa wypatrzyło anachroniczny kształt noża na lewym boku, między marynarką i kamizelką, gdzie zwisały dwa długie rogi białej jedwabnej chustki zawiązanej na szyi z przemyślaną kokieterią. Kątem oka fordanser dostrzegł, że Mecha Inzunza wyzywająco podjęła grę oprycha, wytrzymała jego spojrzenie, a stary podmiejski instynkt Maxa przewidywał problemy. Nie jest dobrym pomysłem zostanie tu dłużej, pomyślał z niepokojem. Pani de Troeye błędnie bierze La Ferroviarię za salon w pierwszej klasie na Cap Polonio.

– Raczej byłoby przesadą nazywanie tego czystym tangiem – odpowiedział mężowi, starając się skupić na jego komentarzu. – Powiedzmy, że grają je w staroświecki sposób. Po staremu... Dostrzega pan różnicę w rytmie, w stylu?

Małżonek znów skinął głową z satysfakcją.

– Jasne. Ten wspaniały rytm dwa na cztery, czterotaktowe sola na klawiszach, odwrócony temat na skrzypcach... Stukot pianina i podstawowe frazy na niskich tonach bandoneonu.

Grają tak, bo to starsi ludzie, powiedział fordanser, a La Ferroviaria to tradycyjny lokal. Nocami w Barracas ludzie bywają szorstcy, ironiczni, lubią pauzy i nagłe zatrzymania. I żeby kobieta poddawała się facetowi, splecione nogi, pikanterię. Gdyby w ten sposób grano muzykę na niedzielnej zabawie, dla rodzin i młodych ludzi, nikt nie wyszedłby na parkiet. Bo to niemoralne i nie podoba się.

– Moda – zakończył – coraz bardziej oddala się od takiego tanga jak to tutaj. Już niedługo będzie się tańczyło wyłącznie tango udomowione, bez wyrazu i narkotyczne, to, które widzi się w salonach i na kinowym ekranie.

De Troeye zaśmiał się sarkastycznie. Muzyka skończyła się, zespół zaczynał następny kawałek.

– Czyli ugrzecznione – powiedział.

– Może i tak. – Max upił kolejny łyk dżinu. – Chyba i tak można to nazwać.

– Ten facet jednak z całą pewnością nie wygląda na grzecznego.

Max powiódł wzrokiem w kierunku spojrzenia de Troeye. Typ odprowadził blondynkę do stolika, do drugiej kobiety, a sam zmierzał w ich kierunku ze staroświecką ostrożnością typową dla miejscowych przystojniaków: powoli, pewnie, skupiony na każdym kroku. Stąpając

z wyćwiczoną subtelnością. Żeby styl był kompletny, pomyślał Max, brakuje tylko w tle stukotu kijów i kul bilardowych.

– Jeśli będą problemy – szybko powiedział do de Troeye szeptem – nawet się nie oglądajcie... Biegiem do drzwi i wskakujcie do samochodu.

– Jakie problemy? – zapytał mąż.

Nie było czasu na odpowiedź. Facet stanął przed nimi, bez ruchu, poważny, z lewą dłonią wsuniętą, z tanią elegancją, do kieszeni marynarki. Patrzył na Mechę Inzunę, jakby siedziała sama.

– Ma pani życzenie zatańczyć?

Max popatrzył przelotnie na karafkę z dżinem. W razie potrzeby ostry kawałek szkła rozbitego o krawędź stołu może zmienić się w porządną broń. Wyłącznie po to żeby mieć dość czasu na utrzymanie spraw pod kontrolą albo przynajmniej na taką próbę, podczas kiedy będą stąd zmykać.

– Nie sędzę, żeby... – zaczął mówić cichym głosem.

Zwracał się do kobiety, a nie do stojącego w oczekiwaniu faceta. Cały lokal przyglądał się, co się będzie działo, natomiast ona całkiem spokojnie wstała.

– Tak – odpowiedziała.

Zdjęła bez pośpiechu rękawiczki i odłożyła je na stolik. Cały lokal wpatrywał się w nią i faceta, który czekał, nie okazując zniecierpliwienia. Kiedy była gotowa, mężczyzna objął ją w pasie prawą ręką, opierając dłoń na łagodnej krągłości nad biodrem. Ona położyła lewą rękę na jego ramieniu i nie patrząc na siebie nawzajem, zaczęli poruszać się pośród innych par, z głowami zbliżonymi bardziej niż w tangu konwencjonalnym, choć ich ciała pozostawały w rozsądnej odległości. Można pomyśleć, zauważył Max, że już wcześniej tańczyli ze sobą, choć wspomnienie łatwości, z jaką Mecha Inzunza i on sam zgrali się na Cap Polonio złagodziło jego zaskoczenie. Z pewnością była tancerką inteligentną,

o wielkiej intuicji, zdolną dopasować się do każdego dobrego partnera. A ten tutaj poruszał się z męską pewnością siebie, typową dla tych okolic Buenos Aires, prowadząc kobietę sprawnymi zygzakami po niewidzialnym pentagramie. Para kołysała się łagodnie, kobieta poddawała się posłusznie rytmowi muzyki i milczącym wskazówkom przekazywanym gestami przez jej partnera. Ten nagle zatrzymał się, odrywając jakby niedbale prawy obcas od ziemi i rysując półkole czubkiem buta; ku zaskoczeniu Maxa kobieta dokończyła obrót, prześlizgując się z całkowitą naturalnością z jednej i z drugiej strony tancerza, przylegając raz za razem do mężczyzny, żeby następnie odsunąć się, splatając i krzyżując nogi z nieskazitelną podmiejską pewnością siebie. Pieprzyku dodawała akademicka elegancja właściwa tym okolicom, tak znakomicie udana, że wzbudziła aprobatę u tych, którzy obserwowali ich od stolików.

– Do licha – zaśmiał się Armando de Troeye. – Mam nadzieję, że nie skończy się to seksem na oczach wszystkich.

Komentarz zirytował Maxa, zmieniając w złość jego podziw dla swobody, z jaką Mecha Inzunza poruszała się po parkiecie. Facet prowadził ją pewnie, z przyjemnością, ze wzrokiem utkwionym w pustce, z grymasem sztucznej obojętności pod wąsem, jakby obcowanie z kobietami tej klasy było dla niego codziennością. Nagle, w rytm muzyki, mężczyzna zrobił krok w bok i zatrzymał się w miejscu, z uroczystą powagą, trzaskając obcasami z podmiejskim szykiem. Bez najmniejszego zaskoczenia, jakby wcześniej zaplanowali ten ruch, kobieta zakreśliła się wokół niego, ocierając się z oddaniem. Z uległością posłusznej samicy, która Maxowi wydała się niemal pornograficzna.

– O mój Boże – usłyszał mruknięcie Armanda de Troeye.

Zaskoczony Max, obracając się lekko w jego stronę, stwierdził, że kompozytor wcale nie wyglądał na oburzonego, ale z uwagą wpatrywał się

w tańczącą parę. Od czasu do czasu popijał dżin i wydawało się, że alkohol wyzwalał cyniczny, lekko zadowolony uśmiech na jego wargach. Ale fordanser nie miał czasu, żeby się temu przyglądać, bo skończyła się muzyka i parkiet pustoszał. Mecha Inzunza wróciła, stukając wyniośle obcasami, facet odprowadził ją. Kiedy zajęła swoje krzesło, ze swobodą i spokojem, jakby właśnie skończyła tańczyć walca, mężczyzna pochylił się lekko, dotykając róna kapelusza.

– Juan Rebenque – przedstawił się ochryple, ze spokojem. – Do usług.

Potem, niemal nie patrząc na męża ani na fordansera, obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku stolika, przy którym siedziały dwie kobiety. Widząc, jak odchodzi, Max pomyślał, że z pewnością nie było to jego prawdziwe nazwisko – mógł się nazywać Funes, Sánchez czy Roldán – ale pseudonim używany w półświatku, równie pretensjonalny jak jego powierzchowność i sterczący pod marynarką nóż. Autentyczne postaci, do których ten starał się upodobnić, zniknęły z tych okolic piętnaście, dwadzieścia lat temu; i już dawno, nawet wśród typów takich jak ten, rewolwer zastąpił kosę. Zapewne ów Rebenque był furmanem, który nocami urzędował w podejrzanych knajpach, tańczył tango, podrywał dziewczyny i czasami używał swojego anachronicznego noża, żeby udowodnić, jak bardzo jest męski. Wśród ludzi tego typu, zwykłych podmiejskich rzezimieszków, hardy, prowincjonalny sznyt dawno już zanikł, choć nadal byli niebezpieczni.

– Teraz pańska kolej – powiedziała Mecha Inzunza, zwracając się do Maxa.

Właśnie wyjęła z torebki lakierowaną puderniczkę. Nad górną wargą, na lekkim makijażu, perliły się maleńkie kropelki potu. W odruchu uprzejmości Max podał jej czystą chusteczkę, którą nosił w górnej kieszeni marynarki.

– Słucham? – spytał.

Kobieta wzięła z jego palców rąbek białego batystu.

– Chyba pan nie chce – odpowiedziała całkiem spokojnie – żeby sprawy pozostały w takim stanie jak teraz.

Max miał ochotę powiedzieć dość, proszę rachunek i idziemy, kiedy zaskoczył go wzrok, jaki Armando de Troeye skierował ku swojej żonie, spojrzenie, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widział – cyniczny i wyzywający błysk w oku. Trwało to zaledwie chwilę, zanim znów opadła maska frywolnej obojętności, przysłaniająca wszystko. I Max, zmieniając zamiary, odwrócił się do Mechy Inzunzy z rozmyślną powolnością.

– Oczywiście – powiedział.

Jakby rozwodnione dżinem, jasne oczy wytrzymały jego wzrok. Wydawały się jeszcze bardziej płynne w żółtawym świetle elektrycznych żarówek. A potem zrobiła coś dziwnego. Zatrzymała chusteczkę, natomiast wzięła jedną z rękawiczek, które pozostawiła na stoliku przed tańcem, i wsunęła ją do górnej kieszeni jego marynarki, nadając jej szybkim gestem elegancki kształt białego kwiatu. Wtedy fordanser odsunął krzesło, wstał i ruszył w kierunku stolika, przy którym siedział facet z dwiema kobietami.

– Za pozwoleniem – powiedział do mężczyzny.

Ten przyglądał mu się z wyrazem na poły pyszałkowatym i zdziwionym, Max jednak przestał zwracać na niego uwagę, czekając na reakcję blondynki. Ta odwróciła się na moment do koleżanki – banalnej brunetki, starszej od niej – a potem popatrzyła na faceta, czekając na jego zgodę. On jednak nadal przyglądał się fordanserowi, który stojąc z obcasami razem, czekał z widoczną ogładą, z delikatnym uśmiechem na wargach; okazując tę samą ostrożną grzeczność, z jaką zapraszałyby do tańca każdą z dam z najlepszego towarzystwa na herbatce w Palace albo w Plazie. Wreszcie kobieta podniosła się, obejmując Maxa z zawodową swobodą.

Z bliska wydawała się jeszcze młodsza niż z oddali, mimo śladów zmęczenia w oczach, kiepsko zamaskowanych mocnym makijażem. Miała lekko skośne niebieskie oczy, które razem z jasnymi włosami spiętymi na karku podkreślały jej słowiański wygląd. Pewnie Rosjanka albo Polka, uznał Max. Obejmując ją, poczuł intymność bardzo bliskiego ciała, ciepło zmęczenia, zapach tytoniu na sukience i we włosach, w oddechu ostatni łyk grapy z lemoniadą. Woda kolońska kiepskiej jakości na skórze: woda kwiatowa zmieszana z wilgotnym talkiem i lekkim potem kobiety, która od paru godzin tańczyła z różnymi mężczyznami.

Brzmiały już pierwsze takty następnego tanga, w których rozpoznał, mimo niezręczności orkiestry, melodię *Felicia*. Kolejne pary ruszały do tańca. Kobieta i Max rozpoczęli dobrze zgrani, fordanser pozostawił swoje ruchy instynktowi i przyzwyczajeniu. Nie była to świetna tancerka, zrozumiał już przy pierwszych krokach, ale poruszała się z niechętną swobodą, profesjonalnie, ze wzrokiem zagubionym w oddali, szybkimi spojrzeniami odczytywała zamiary i planowane kroki partnera. Obojętnie przywierała korpusem do ciała Maxa, który wyczuwał czubki jej piersi pod wydekoltowanym perkalem. Poruszała się posłusznie, uda i biodra wirowały wokół jego pasa w odważnych ewolucjach, prowadzona przez muzykę i jego dłonie. Nie wkładała w to duszy, stwierdził fordanser. Niby melancholijny, sprawny automat, bez woli ani chęci, tak jak profesjonalistka przystępująca do aktu seksualnego, nie doświadczając żadnej przyjemności. Przez moment wyobraził ją sobie, tak pasywną i uległą, w tanim pokoju hotelowym, takim jak ten tu na ulicy, z przepaloną jedną literą na neonie, podczas kiedy oprych z wąsami chowa do kieszeni dziesięć peso z ustalonej stawki za usługę. A ona zdejmując z siebie ubranie i kładzie się do łóżka, w wymiętej pościeli, na skrzypiących sprężynach.

Powolna, nie doświadczając żadnej przyjemności. Z tym samym zmęczonym wyglądem, jak teraz, kiedy stawia kolejne kroki w tangu.

Z jakiegoś powodu, choć pora nie sprzyjała analizom, ta myśl podnieciła go. Bo czymże jest tango tańczone w ten sposób, jak nie poddawaniem się kobiecie, pomyślał, zadziwiony sobą samym, zaskoczony, że nigdy wcześniej nie doszedł do podobnego wniosku, mimo tylu tańców, tylu tang i tylu objęć. Czymże innym jest tańczenie w dawnym stylu, najdalsze od salonów i etykiety, jeśli nie całkowitym, zgodnym oddaniem się. Ożywieniem pierwotnych instynktów, rytualnych, palących pragnień, obietnic ucieleśnionych na kilka przelotnych chwil muzyki i czaru. Tango starej gwardii. Jeśli istniał jakiś właściwy sposób tańczenia takiego tanga przez niektóre kobiety, bez wątplenia był to właśnie ten. Spojrzenie na sprawę w takiej perspektywie sprawiło, że Max poczuł nagle pożądanie do ciała poruszającego się posłusznie w jego ramionach. Kobieta musiała to zauważyć, bo przez chwilę pytająco wbiła w niego spojrzenie niebieskich oczu, ale zaraz obojętny grymas wrócił na jej usta, a wzrok znów zagubił się w odległych zakamarkach magazynu. Żeby się rozluźnić, Max zatrzymał się, cały ciężar ciała przeniósł na jedną nogę, a drugą symulując kroki w przód i w tył, nakłonił naciskiem prawej dłoni na pas kobiety, żeby ta znów przycisnęła ciało do jego torsu, i przesuwając wewnętrzną stronę uda po jednej i drugiej stronie jego nieruchomej nogi, powróciła do stanu doskonałej podległości. Do bezgłośnego jęku, dojmująco fizycznego, biernej samicy, bez szans ucieczki.

Po tej ewolucji, świadomie bezwstydnej z obu stron, fordanser spojrział pierwszy raz w stronę stołu, gdzie siedzieli małżonkowie de Troeye. Kobieta paliła papierosa w cygarniczce z kości słoniowej, obojętna, uważnie im się przyglądając. I w tej chwili Max zrozumiał, że tancerka,

którą trzymał w ramionach, to był tylko pretekst. Pogmatwane zawieszenie broni.

4. DAMSKIE RĘKAWICZKI

Następuje wreszcie to, na co Max Costa czeka z pewnością kogoś, kto szczegółowo planuje to, co nieuniknione. Siedzi na tarasie hotelu Vittoria, w pobliżu posągu nagiej kobiety patrzącej na Wezuwiusz, i je śniadanie, podziwiając świetlisty niebieskoszary pejzaż zatoki. Szofer doktora Hugentoblera gryzie z przyjemnością grzanekę z masłem, ciesząc się, że zaistniały okoliczności, które na kilka dni przywróciły go do lepszych chwil jego dawnego życia, kiedy wszystko było możliwe, świat stał otworem, a każdy poranek był zapowiedzią nowej przygody: hotelowe bonzurki, zapach dobrej kawy, śniadania na delikatnej zastawie, naprzeciw pejzaży i kobiet, które były osiągalne – i pejzaże, i kobiety – za sprawą wielkich pieniędzy albo wielkiego talentu. Teraz, na powrót w swoim żywiole, odzyskując bez wysiłku dawne maniery, Max ma na nosie ciemne okulary marki Persol, należące do doktora Hugentoblera, podobnie jak niebieski blezer i jedwabna apaszka pod rozchylonym kołnierzykiem łososiowej koszuli. Odstawił filiżankę kawy i zamierza zmienić okulary przeciwsłoneczne na korekcyjne, do czytania, i już wyciąga rękę po neapolitański „Il Mattino”, leżący na białym płóciennym obrusie – z opisem rozgrywki między Sokołowem i Kellerem z dnia poprzedniego, zakończonej remisem – kiedy na dziennik pada cień.

– Max?

Bezstronny obserwator musiałby docenić opanowanie wezwanego: jeszcze przez kilka sekund patrzy na dziennik, a potem kieruje wzrok w górę, z miną, która od niezdecydowania przechodzi do zaskoczenia, a potem do rozpoznania. Wreszcie, zdejmując okulary, dotyka serwetką ust i wstaje.

– O mój Boże, Max!

Poranne światło wyłaca tęczęwki Mechy Inzunzy, tak samo jak w dawnych czasach. Na jej skórze widoczne są ślady wieku i nieskończona mnogość drobniutkich zmarszczek wokół powiek i ust, podkreślonych teraz przez pełen zaskoczenia uśmiech. Jednak nieubłaganemu upływowi czasu nie udało się wymazać całej reszty: spokojnego sposobu poruszania się, elegancji gestów, wydłużonych linii szyi i rąk, których szczupłość z wiekiem stała się jeszcze wyraźniejsza.

– Ileż to lat – mówi kobieta. – Mój Boże.

Stoją, trzymając się za ręce i patrząc na siebie. Max unosi jej prawą dłoń, pochyla głowę i dotyka jej ustami.

– Dokładnie dwadzieścia dziewięć – precyzuje. – Od jesieni tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego.

– W Nicei...

– Tak. W Nicei.

Podsuwa jej krzesło, usłużnie, a ona je zajmuje. Max woła kelnera i po krótkiej konsultacji zamawia drugą kawę. Przez cały czas tej protokolarnej przerwy czuje na sobie uważne spojrzenie oczu w kolorze miodu. Głos jest ten sam, spokojny, kulturalny. Taki sam, jak pamięta.

– Zmieniłeś się, Max.

Unosi brwi, minie towarzyszy melancholijny gest – lekkie, niedbałe znużenie dojrzałego światowca.

– Bardzo?

– Dość, żebym nie od razu cię rozpoznała.

Pochyla się nieco w jej stronę, z grzeczną poufałością.

– Kiedy?

– Wczoraj, choć nie byłam pewna. A raczej sądziłam, że to niemożliwe. Dawne wspomnienie, pomyślałam... Ale dziś zobaczyłam, jak wchodzisz.

Przez chwilę obserwowałam cię.

Max przygląda się jej dokładnie. Usta i oczy. Są identyczne, poza śladami czasu wokół nich. Kość słoniowa zębów jest mniej biała, niż pamięta, bez wątpienia z powodu nikotyny z wielu papierosów. Kobieta wyjęła z kieszeni tuniki paczkę murattich, którą trzyma w palcach, nie otwierając opakowania.

– Ty natomiast jesteś taka sama – stwierdza Max.

– Nie opowiadaj głupstw.

– Mówię poważnie.

Teraz ona przygląda się jemu uważnie.

– Trochę przytyłeś – stwierdza.

– Obawiam się, że więcej niż trochę.

– Pamiętałam cię szczuplejszym i wyższym... Nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie z siwymi włosami.

– A tobie z siwizną do twarzy.

Mecha Inzunza śmieje się głośno, dźwięcznie, żywo, odmłodzona tym zwykłym odruchem. Jak kiedyś i jak zawsze.

– Oszust... Zawsze wiedziałeś, jak rozmawiać z kobietami.

– Nie wiem, o jakich kobietach mówisz. Pamiętam tylko jedną.

Chwila ciszy. Kobieta uśmiecha się i podnosi wzrok, żeby popatrzeć na zatokę. Kelner przychodzi z kawą w odpowiedniej chwili. Max nalewa pół filiżanki, spogląda na cukierniczkę i na nią, a ona zaprzecza ruchem głowy.

– Mleko?

– Tak, poproszę.

– Przedtem piłaś zawsze bez mleka i bez cukru.

Wydaje się zaskoczona, że to pamięta.

– To prawda – mówi.

Kolejna cisza, dłuższa niż poprzednia. Znad brzegu filiżanki, z której pije drobnymi łykami, ciągle mu się przygląda. Zamyślona.

– Co robisz w Sorrento, Max?

– No, cóż... Sprawy związane z moją pracą. Interesy i kilka dni wypoczynku.

– Gdzie mieszkasz?

Wskazuje nieokreślone miejsce, gdzieś poza hotelem i miastem.

– Mam tu w pobliżu dom. Niedaleko Amalfi. A ty?

– W Szwajcarii. Z moim synem. Myślę, że wiesz, kto to taki, jeśli jesteś w tym hotelu.

– Tak, jestem tutaj. I wiem, kim jest Jorge Keller, oczywiście. Choć zmyliło mnie to nazwisko.

Kobieta odstawia filiżankę, zrywa celofan z paczki papierosów i wyciąga jednego. Max bierze pudełko hotelowych zapalek, leżące w popielniczce, pochyla się i podaje jej ogień, chroniąc płomień w zagłębieniu dłoni. Ona też się pochyla, przez chwilę ich palce dotykają się.

– Interesujesz się szachami?

Odchyliła się na oparcie krzesła, wypuszczając dym, który rozwiewa bryza znad zatoki. Znów ciekawe spojrzenie zatrzymuje na Maksie.

– Ani trochę – odpowiada z zimną krwią. – Choć wczoraj poszedłem do sali, gdzie grają.

– I nie widziałeś mnie?

– Raczej nie przyglądałem się uważnie. Poszedłem tylko rozejrzeć się.

– Nie wiedziałeś, że jestem w Sorrento?

Max przeczy spokojnie, z dawną zawodową pewnością siebie. Aż do teraz nie wiedział, mówi, że ma syna o nazwisku Keller. Ani że w ogóle ma

syna. Po Buenos Aires i po tym, co się zdarzyło w Nicei, całkiem zgubił jej ślad. Potem przyszła wojna, wielka wojna, i pół Europy zgubiło ślad drugiej połowy. W wielu przypadkach na zawsze.

– Ale dotarła do mnie wiadomość o twoim mężu. Że został zabity w Hiszpanii.

Mecha Inzunza odsuwa papierosa i ignorując popielniczkę, strząsa popiół na ziemię. Pewnym, delikatnym uderzeniem palca. Po czym znów podnosi papierosa do ust.

– Nie udało mu się wyjść z więzienia, opuścił je tylko po to, żeby zginąć – ton jej głosu jest neutralny, bez żalu czy emocji, odpowiedni, żeby mówić o tym, co zdarzyło się dawno temu. – Smutny finał dla takiego jak on człowieka, prawda?

– Bardzo mi przykro.

Ponownie zaciąga się papierosem. Znów dym rozwiewa bryza. I znów popiół spada na ziemię.

– Tak. Myślę, że to właściwe słowo... Mnie też było przykro.

– A twój drugi mąż?

– Kulturalny rozwód. – Pozwala sobie na kolejny uśmiech. – Sprawa pomiędzy rozsądnymi osobami, w grzeczny sposób. Dla dobra Jorgego.

– On jest ojcem?

– Jasne.

– Rozumiem, że żyłaś spokojnie przez te wszystkie lata. Twoja rodzina miała pieniądze. Nawet jeśli nie bierzemy pod uwagę majątku twojego pierwszego męża.

Kobieta kiwa potakująco głową, obojętnie. Nigdy nie miała tego typu kłopotów, odpowiada. Zwłaszcza po wojnie. Kiedy Niemcy wkroczyli do Francji, wyjechała do Anglii. Tam poślubiła Ernesta Kellera, który był

dyplomata – Max poznał go w Nicei. Mieszkali w Londynie, Lizbonie i w Santiago de Chile. Aż do separacji.

– Zadziwiające.

– Co ci się wydało aż tak zadziwiające?

– Twoje nadzwyczajne życie. I twój syn.

Przez moment Max jest zaskoczony dziwnym wyrazem jej oczu. Niezwykłym skupieniem, przenikliwym i równocześnie spokojnym.

– A ty, Max? Jak nadzwyczajne było twoje życie przez te wszystkie lata?

– No cóż, wiesz, jak jest.

– Nie, nie wiem.

Max gestem ręki wskazuje taras, jakby to był dowód wszystkiego.

– Podróże to tu, to tam. Interesy... Wojna w Europie przyniosła mi pewne możliwości, a zabrała inne. Ale nie mogę się skarżyć.

– Na to wygląda, naturalnie. Nie masz powodu, żeby się skarżyć... Wróciłeś jeszcze do Buenos Aires?

Nazwa miasta wypowiedziana tym spokojnym głosem powoduje dreszcz u Maxa. Uważnie, z ostrożnością, jak ktoś, kto wchodzi tam, gdzie nie powinien, znów przygląda się ukradkowo twarzy kobiety – drobnymi zmarszczkom wokół ust, matowemu, zwiędłemu kolorowi skóry i nieumalowanym ustom. Tylko jej oczy są niezmienione, takie same jak w spelunie z tangiem w Barracas albo w innych miejscach, w których znaleźli się później. W tej dziwnej, wspólnej topografii jego wspomnień.

– Niemal cały czas mieszkałem we Włoszech – wymyśla na poczekaniu. – Trochę też we Francji i w Hiszpanii.

– Mówisz: interesy, tak?

– Nie takie jak kiedyś. – Max stara się uśmiechnąć w sposób właściwy. – Miałem szczęście, zebrałem trochę kapitału, nieźle mi poszło. Teraz się wycofałem.

Mecha Inzunza nie patrzy już na niego w ten sam sposób. Pojawia się mroczny uśmiech.

– Ze wszystkiego?

Max kręci się na krześle zakłopotany. Albo takie robi wrażenie. Naszyjnik, który wczoraj widział w pokoju 429, przemyka mu przez myśl, mściwie połyskując subtelnym, matowym blaskiem. Zastanawiam się, stwierdza, które z nas ma więcej wzajemnych rachunków do wyrównania. Ona czy ja.

– Żyję już inaczej niż w dawnych czasach, jeśli o to ci chodzi.

Kobieta obserwuje go niewzruszona.

– Tak, o to mi chodzi.

– Od dawna już nie jest mi to potrzebne.

Powiedział to bez mrugnięcia okiem. Z absolutną pewnością siebie. No bo w sumie, myśli, to nie jest całkowite kłamstwo. W każdym razie nie wydaje się, żeby miała to kwestionować.

– Twój dom w Amalfi...

– Na przykład.

– Cieszę się, że dobrze ci poszło w życiu. – Kobieta patrzy na popielniczkę, jakby ją dopiero co zauważyła. – Zawsze się obawiałam, czy aby potrafisz normalnie żyć.

– Daj spokój. – Kiwa ręką z palcami w górze, niemal włoskim gestem. – Wcześniej czy później wszyscy się poddajemy... Ja też nie sądziłem, że twoje życie się uspokoi.

Mecha Inzunza delikatnie gasi końcówkę papierosa w popielniczce, powoli odrywając żar. Jakby zastanawiała się dłużej nad ostatnimi słowami Maxa.

– W stosunku do tego, co wydarzyło się w Buenos Aires i w Nicei na przykład?

– Właśnie.

Rozpoznaje nieuchronny posmak melancholii. Nagle pojawia się natłok wspomnień: krótkie słowa niby jęki prześlizgujące się po nagiej skórze, rysunek smukłych, delikatnych linii odbitych w lustrze zwielokrotniającym szarość na dworze, ołowiane światło wpadające przez okno, które jak obraz z początku wieku ujmowało w ramy mokre palmy, morze i deszcz.

– Czym się zajmujesz?

Zatopiony w myślach – tym razem nie udaje – dopiero po dobrej chwili słyszy pytanie, powoli dociera do niego jego sens. Zajmuje go wewnętrzny bunt przeciw nadzwyczajnej niesprawiedliwości natury fizycznej, dotyczący skóry kobiety, którą wszystkie pięć jego zmysłów pamięta jędrną, ciepłą i doskonałą. Nie może to być ta sama, którą ma przed sobą, naznaczoną czasem. W żadnym razie, stwierdza w bezsilnej furii. Ktoś powinien odpowiedzieć za podobny afront. Za tak niedopuszczalne zniszczenie.

– Turystyka, hotele, inwestycje – odpowiada wreszcie. – Tego typu sprawy... Jestem też współnikiem w pewnej klinice nad jeziorem Garda – nagle przychodzi mu do głowy. – Umieściłem tam nieco oszczędności.

– Ożeniłeś się?

– Nie.

Kobieta patrzy na zatokę w dali za tarasem z roztargnieniem, jakby nie zwróciła uwagi na ostatnią odpowiedź Maxa.

– Muszę cię już zostawić... Jorge gra dziś wieczorem, trzeba się dobrze napracować, żeby wszystko było przygotowane. Zeszłam tylko na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza i napić się kawy.

– Zajmujesz się wszystkimi jego sprawami, czytałem. Od dziecka.

– W sporej części. Robię za matkę, menedżera i sekretarkę, organizuję podróże, hotele, kontrakty... Takie rzeczy. Ale on ma całą ekipę asystentów, analityków, z którymi przygotowuje rozgrywki i którzy zawsze mu towarzyszą.

– Analitycy?

– Kandydat do tytułu mistrza świata nie pracuje sam. Partie szachowe nie są improwizacjami. Potrzebna jest ekipa trenerów i specjalistów.

– Nawet w szachach?

– Zwłaszcza w szachach.

Podnoszą się oboje. Max jest zbyt doświadczony, żeby posuwać się dalej. Wszystkie sprawy mają swoje tempo, a przyspieszanie ich byłoby błędem. Wielu ludzi, którzy uważali się za sprytnych, poległo z tego powodu, pamięta. Uśmiecha się więc tak, jak to robił zawsze, a uśmiech rozświetla jego starannie ogoloną twarz, opaloną z umiarem przez słońce nad zatoką – nagle pojawia się biała, prosta, szeroka kreska, ukazująca zęby w dobrym stanie, nieźle zakonserwowane, mimo dwóch koron, pół tuzina plomb i sztucznego kła w pustym miejscu, jakie powstało dziesięć lat temu wskutek ciosu policjanta w pewnym kabarecie w Cumhuriyet Caddesi, w Stambule. Sympatyczny uśmiech, złagodzony przez lata, grzecznego, sześćdziesięcioletniego chłopca.

Mecha Inzunza patrzy na ten uśmiech i wydaje się, że go rozpoznaje. Spojrzenie niemal porozumiewawcze. Przez chwilę się zastanawia albo tak mu się wydaje.

– Kiedy wyjeżdżasz z hotelu?

– Za kilka dni. Kiedy uda mi się załatwić te sprawy, o których mówiłem wcześniej.

– Może byśmy mogli...

– Pewnie, że tak.

Kolejne niepewne milczenie. Kobieta wsunęła ręce do kieszeni tuniki, unosząc lekko ramiona.

– Zjedźmy razem kolację – proponuje Max.

Mecha nie odpowiada. Przygląda mu się zamyślona.

– Przez moment – mówi wreszcie – zobaczyłam, jak stoisz przede mną w sali tanecznej tamtego statku, młody i przystojny, we fraku... Mój Boże, Max, jesteś kompletną ruiną.

Mężczyzna układa na twarzy wyraz przygnębienia, pochyla głowę z elegancją i przesadzoną rezygnacją.

– Tak, wiem.

– To nieprawda – śmieje się jak wcześniej, naraz odmłodzona. Dźwięcznym, szczerym śmiechem, takim jak zawsze. – Dobrze się trzymasz, jak na swój wiek... Czy też – na nasz wiek. Ja tymczasem... Jakże niesprawiedliwe jest życie!

Milknie, a Maxowi wydaje się, że rozpoznaje u niej rysy jej syna, wyraz twarzy Jorge Kellera, kiedy opiera głowę na rękach, nad szachownicą.

– Może i powinniśmy – kobieta odzywa się w końcu – porozmawiać chwilę. Minęło trzydzieści lat od ostatniego razu... Są takie miejsca, do których nigdy nie należy wracać. Sam to kiedyś powiedziałeś.

– Nie mówiłem o konkretnych miejscach.

– Wiem, o czym mówiłeś.

Uśmiech kobiety znów staje się ironiczny. A może raczej jest grymasem beznadziei. Szczerym i smutnym.

– Popatrz na mnie... Naprawdę uważasz, że jestem w stanie dokądkolwiek wracać?

– Nie mówię o takich powrotach – protestuje Max, prostując się – ale o tym, co pamiętamy. O tym, czym byliśmy.

– Wzajemnymi świadkami?

Max wytrzymuje jej spojrzenie, nie podejmując jej gry uśmiechów.

– Może. W tamtym świecie, który znaliśmy.

Teraz wyraz oczu Mechy Inzunzy jest słodki. Światło podkreśla dawne złote tony.

– Tango starej gwardii – mówi cicho.

– Właśnie.

Przyglądają się sobie nawzajem. Znowu jest niemal piękna, stwierdza Max. Cud zaledwie kilku słów.

– Myślę – mówi kobieta – że słyszałeś je wiele razy, podobnie jak ja.

– Jasne. Bardzo wiele.

– Wiesz, Max... Zawsze, za każdym razem, słuchając go, nie mogłam nie myśleć o tobie.

– Mogę powiedzieć to samo: ja też zawsze myślałem o sobie.

Jej wybuch śmiechu – znowu wydaje się nieprawdopodobnie młoda – przyciąga spojrzenia osób siedzących przy sąsiednich stolikach. Na chwilę podnosi lekko dłoń, jakby miała zamiar położyć ją na ramieniu mężczyzny.

– Chłopcy z dawnych lat, powiedziałeś w tamtej speluncie w Buenos Aires.

– Tak – wzdycha Max z rezygnacją. – Teraz my jesteśmy z dawnych lat.

Brzytwa stępiła się i źle goliła. Max wypłukał ją w miednicy, w wodzie z mydłem, osuszył ręcznikiem i przesunął ostrzem po skórzanym pasku, który zawiesił, napinając go, jak to tylko było możliwe, na klamce okna

wychodzącego na zielone, czerwone i fioletowe korony drzew przy alei Admirala Browna. Tak długo walczył z paskiem, aż stal się naostrzyła, a w tym czasie bezmyślnie patrzył na ulicę, gdzie niesamowity samochód – dzielnica, w której stał pensjonat Caboto należała do takich, gdzie raczej widywało się wozy i tramwaje, a końskie odchody rzadko tylko były rozjeżdżane oponami samochodów – zatrzymał się obok muła i wózka, z którego człowieczek w słomianym kapeluszu i białej kurtce sprzedawał mleczne bułki, rogaliki i ciastka z karmelem. Minęła już dziesiąta rano, Max był wciąż bez śniadania i widok wózka piekarza zaostrzył jeszcze pustkę w jego żołądku. Nie miał zresztą za sobą dobrej nocy. Fordanser wrócił do domu późno – towarzyszył małżonkom de Troeye do hotelu Palace z Barracas, po czym spał źle, snem niespokojnym, nieprzynoszącym odpoczynku. Był to rodzaj niepokoju znany mu od dawna – niepewny stan pomiędzy snem i czuwaniem, pełen nieprzyjemnych zjaw; przewracał się z boku na bok w pomiętej pościeli, w tym półśnie pojawiały się nagle obrazy zdeformowane przez wyobraźnię, powodując napady paniki. Najczęstszym obrazem był pejzaż pokryty trupami: wzniesienie żółtawej ziemi, obok muru wspinającego się do fortu w górze, a na drodze biegnącej wzdłuż muru trzy tysiące wysuszonych, szerniałych ciał, zmumifikowanych przez czas i słońce, z widocznymi jeszcze ranami i śladami cierpienia, z jakim spotkała ich śmierć pewnego letniego dnia w 1921 roku. Legionista Max Costa, ochotnik z Trzynastej Kompanii Pierwszego Regimentu Legii Cudzoziemskiej, miał wtedy dziewiętnaście lat i kiedy szedł z kapralem Borysem i innymi czterema towarzyszami broni na wzniesienie, w kierunku opuszczonego fortu – „Sześciu ochotników gotowych na śmierć” otrzymało rozkaz poprzedzenia wejścia całej kompanii – pośród fetoru trupów i horroru obrazów, spocony, oślepiiony słonecznym poblaskiem, sprawdzając położenie pasa z nabojami

i trzymając mausera gotowego do strzału, wiedział z absolutną pewnością, że tylko dzięki przypadkowi nie jest jednym z tych poczerńiałych trupów, ciałem do niedawna jeszcze młodym i żywym, a teraz mięsem porzuconym na drodze między Annual i górą Arrouit. Od tego dnia oficerowie z Legii proponowali żołnierzom srebrnika za każdą głowę martwego Araba. I w ciągu dwóch następnych miesięcy, dopóki w miejscowości zwanej Taxuda – znów usłyszał rozkaz dla „ochotników gotowych na śmierć” – ryfeńska kula nie zakończyła krótkiej kariery wojskowej Maxa, odesłanego następnie na pięć tygodni do szpitala w Melilli, z którego zdezerterował do Oranu, skąd wkrótce wyjechał do Marsylii, udało mu się zarobić siedem srebrnych monet.

Kiedy brzytwa była naostrzona, fordanser, stojąc przed lustrem z rżniętego szkła, przyglądał się krytycznym okiem śladom bezsenności na swojej twarzy. Siedem lat to nie było dość, żeby pożegnać pewne widma. Żeby pozbyć się diabłów, jak mawiali Arabowie i także, za sprawą częstego ich słuchania, starszy kapral legionista Borys Dołgoruki-Bagrations, który na koniec pozbył się wszystkiego, wkładając sobie do ust lufę pistoletu kaliber 9 milimetrów. Ale było to dość czasu, żeby przywyknąć do ich przykrego towarzystwa. Max starał się więc odsunąć od siebie złe myśli, koncentrując się z dużym zaangażowaniem na goleniu brody, podśpiewując *Soy una fiera*, jedno z tang, które grano poprzedniej nocy w La Ferroviarii. Po chwili uśmiechał się zamyślony do namydlonej twarzy spoglądającej na niego z lustra. Wspomnienie Mechy Inzunzy okazało się skuteczną pomocą przy pozbywaniu się diabłów. Albo jego próbie. Jej wyniosły sposób tańczenia tanga na przykład. Jej słowa, złożone z zamilknięć i płynnego miodu. I plany, jakie Max wymyślał powoli, bez pośpiechu, w stosunku do niej, jej męża i przyszłości. Pomysły coraz konkretniejsze, które po kolei

przywoływał w pamięci, podczas gdy, ciągle podśpiewując, przesuwiał ostrożnie stal po skórze twarzy.

Ku jego uldze wypad poprzedniej nocy przebiegł bez incydentów. Po pewnym czasie słuchania starych tang i patrzenia na ludzi – ani Mecha, ani Max nie wyszli więcej tej nocy na parkiet – Armando de Troeye zaprosił do stolika wszystkich trzech muzyków, kiedy ci odłożyli instrumenty, zastąpieni przez zrujnowaną pianolę, która z cylindrów hałaśliwie odgrywała tanga trudno rozpoznawalne. Kompozytor, zapraszając ich, zamówił coś specjalnego. Rzecz bardzo dobrą i bardzo drogą, mówił swobodnie, puszczając w obieg swoją złotą papierośnicę. Jednak najbliższa butelka szampana, poinformowała go znacząco kelnerka po konsultacji z właścicielem, Galisyjczykiem o sztywnych wąsach i niegodziwej twarzy, znajdowała się w odległości czterdziestu przecznic wzdłuż trasy tramwaju numer 17: zbyt daleko, żeby jechać po nią o tej porze. W związku z tym de Troeye musiał zadowolić się grapą i anonimowym koniakiem oraz butelką jeszcze nieotwartego dżinu marki Llave i syfonem w niebieskiej butelce. Wziął na siebie wszystkie koszty, łącznie ze smażonymi pierogami z mięsem na zakąskę, wśród dymu włoskich cygar i papierosów. W innych okolicznościach Max byłby zainteresowany rozmową między kompozytorem i trzema weteranami muzyki – bandoneonista, zezujący i ze szklanym okiem, był weteranem pamiętającym czasy Hansena i Rubii Mireyi, około roku tysiąc dziewięćsetnego – ich uwagami na temat tanga starego i nowego, sposobów wykonywania tekstów i muzyki; jednak fordanser miał głowę zaprzątniętą czymś zupełnie innym. Jednooki muzyk, jak zapewnił on sam po pierwszych uprzejmościach i kieliszkach dżinu, nie umiał czytać nut ani mu to wcale potrzebne nie było. Grał ze słuchu przez całe życie. Poza tym specjalnością jego i jego kolegów były prawdziwe tanga, które tańczyło się tak jak zawsze, w szybkim tempie i z cięciami na

swoim miejscu, a nie te salonowe, nijakie kawałki, teraz modne przez Paryż i kino, po połowie. Teksty z kolei zabijały tango i zniżały tych, którzy je tańczyli, do dziwnego zamięłowania, żeby robić bohaterów z tępych i płaczkliwych rogowczy, porzuconych przez kobiety dla innych, albo z robotnic zmieniających się w zwiędłe kwiaty pośród bagna. To, co prawdziwe, dodał jednooki muzyk pomiędzy kolejnymi łykami dżinu, pośród wyraźnych oznak uznania ze strony kolegów, jest charakterystyczne dla starych ludzi z wybrzeża – złośliwy sarkazm, bezczelność alfonsa albo dziwki, kpiarski cynizm tych, którzy mieli wyznaczone swoje marne miejsce w życiu. Tam nie ma miejsca dla poetów i wyrafinowanych muzyków. Tango jest po to, żeby nauczyć dziewczynę moresu, obejmując inną kobietę, albo żeby z kumplami się zabawić. I to mówi on, który gra całe życie. Tango jest, krótko mówiąc, instynktem, rytmem, improwizacją, bez zbędnego tekstu. Cała reszta, za przeproszeniem szanownej pani – tu jego jedyne oko skierowało się w stronę Mechy Inzunzy – to były pedałstwa przy piwku i wódce, jeśli mogą mu wybaczyć brzydkie słowo. Jak tak dalej pójdzie, z tymi wszystkimi zawiedzionymi miłościami, opuszczonymi alkowami i całą tą czułościowością, wkrótce będzie się śpiewać o mateczce wdowie i ślepej staruszce sprzedającej na rogu kwiatki.

De Troeye był zachwycony tym wszystkim, stał się wymowny i nadskakujący. Wznosił toasty za zdrowie muzyków i pisał ołówkiem dalsze notatki drobnym pismem na mankietach koszuli. Alkohol zaczął prześwitywać w blasku jego spojrzenia, w sposobie artykułowania pewnych słów i w entuzjazmie, z jakim pochylał się nad stołem, uważnie słuchając tego, co mówili. Po półgodzinnej pogawędce trzech muzyków z La Ferroviarii i kompozytor, przyjaciel Ravela, Strawińskiego i Diagilewa, wyglądali na znajomych od kołyski. Max ze swej strony ciągle uważał, widząc kątem oka resztę klienteli lokalu, patrzącą ciekawie lub nieufnie w stronę ich

stolika. Facet, który tańczył z Mechą Inzunzą, nie spuszczał ich z oka, mrużąc powieki przez dym z cygara, które trzymał w ustach, podczas kiedy jego towarzyszka w bluzce w kwiatki, ze spódnicą obciągniętą na kolana i nogą założoną na nogę, pochylała się całkiem obojętnie, żeby poprawić pończochę. Wtedy Mecha powiedziała, że ma ochotę wyjść na papierosa i trochę się przewietrzyć. Po czym, nie czekając na odpowiedź męża, wstała i ruszyła w stronę drzwi, spokojnie stukając obcasami, równie zdecydowana i pewna jak w tangu, które tańczyła wcześniej z miejscowym kolesiem. Oczy rzekomego Juana Rebenque śledziły ją z daleka, bezczelnie i ciekawie, dobrze widząc kołysanie jej bioder; oderwały się od niej, żeby spocząć na Maksie, kiedy ten poprawił sobie węzeł krawata, zapiął guziki marynarki i ruszył za kobietą. I kiedy fordanser zmierzał ku drzwiom, nie musiał nawet odwracać głowy, żeby to sprawdzić, bo wiedział, że Armando de Troeye też na niego patrzy.

Stąpał po własnym długim cieniu, jaki latarnia nad wejściem rzucała na klinkier chodnika. Mecha Inzunza stała nieruchomo na rogu, tam gdzie ostatnie w tej dzielnicy domy, niskie, pokryte blachą falistą, rozpływały się wśród mroku nad pustkowiem przy Riachuelo. Podchodząc do niej, Max szukał wzrokiem pierce-arrowa, którego udało mu się zlokalizować w ciemności po drugiej stronie ulicy dopiero w chwili, gdy kierowca zapalił reflektory, żeby pokazać, gdzie stoi. Dobry chłopak, pomyślał, uspokajając się. Podobał mu się ten zawsze poprawny i przewidujący Petrossi, w swoim niebieskim uniformie, okrągłej czapce i z pistoletem w schowku.

Kiedy podszedł, kobieta upuściła niedopałek papierosa i słuchała nocnego cykania świerszczy i kumkania żab, dochodzących od strony krzaków i starych, gnijących drewnianych pomostów na brzegu. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale żelazna konstrukcja wieńcząca most odznaczała się wysoko w mroku na końcu ciemnej, brukowanej ulicy, ponad

widmowym blaskiem nielicznych świateł, które z drugiego brzegu przecinały noc nad południową częścią Barracas. Max zatrzymał się obok Mechy Inzunzy i zapalił swojego tureckiego papierosa. Poczuł, że obserwuje go w krótkim błysku płomienia zapałki. Zgasił płomień, wypuścił dym i popatrzył na kobietę. Jej profil odcinał się w blasku odległych świateł.

– Podobało mi się pańskie tango – odezwała się naraz Mecha.

Krótką chwilą milczenia.

– Wydaje mi się, że w tańcu – dodała – każdy pokazuje to, co ma: delikatność albo draństwo.

– Tak jak przy alkoholu – odpowiedział Max miękko.

– Właśnie.

Znów zamilkła.

– Ta kobieta – dodała po chwili – była...

Przerwała po tym słowie. Albo już powiedziała wszystko.

– Odpowiednia? – zasugerował Max.

– Może.

Nic więcej nie dodała, Max też nie. Fordanser palił w milczeniu, zastanawiając się nad następnymi krokami. Błędami możliwymi i prawdopodobnymi. W końcu wzruszył ramionami, jakby to był wniosek.

– A mnie z kolei nie podobał się pani taniec.

– Coś takiego. – Wydawała się naprawdę zaskoczona, lekko wyniosła. – Nie sądziłam, że tańczyłam aż tak źle.

– Nie o to chodzi. – Uśmiechnął się odruchowo, wiedząc, że nie mogła tego dostrzec. – Tańczyła pani cudownie, jasna sprawa.

– No to co?

– Pani partner. To nie jest przyjemne miejsce.

– Rozumiem.

– Pewne gry mogą okazać się niebezpieczne.

Trzy sekundy ciszy. Potem pięć lodowatych słów.

– O jakie gry panu chodzi?

Pozwolił sobie na taktyczny luksus nieodpowiadania na to pytanie. Dokończył papierosa i niedopałek odrzucił daleko. Żar zakreślił szeroki łuk i zgasł w ciemności.

– Pani mąż jest w swoim żywiole. Wydaje się zachwycony całym wieczorem.

Kobieta milczała, jakby nadal zastanawiała się nad poprzednimi słowami.

– Tak, bardzo – wreszcie odpowiedziała. – Jest uszczęśliwiony, bo to nie jest to, czego się spodziewał. Jechał do Buenos Aires, myśląc o salonach, dobrym towarzystwie, podobnych rzeczach... Jechał z zamysłem eleganckiego tanga, takiego w białej muszce. Obawiam się, że na Cap Polonio zmienił pan jego wyobrażenia.

– Przykro mi. Nigdy nie zamierzałem...

– Nie ma powodu, żeby było panu przykro. Przeciwnie, Armando jest panu bardzo wdzięczny. Głupi zakład z Ravelem, drogi kaprys, zmienił się we wspaniałą przygodę. Szkoda, że nie słyszy pan, jak teraz mówi o tangu. O starej gwardii i tak dalej. Potrzebował jeszcze przyjść tutaj i zanurzyć się w tej atmosferze. Jest człowiekiem upartym, z obsesją na punkcie swojej pracy – zaśmiała się cicho, łagodnie. – Obawiam się, że teraz stanie się nieznośny, a ja będę miała dość tanga, przeklinając tego, kto je wymyślił.

Zrobiła kilka kroków i zatrzymała się, jakby ciemność naraz wydała jej się zbyt niepewna.

– Czy to naprawdę jest niebezpieczne przedmieście?

Max uspokoił ją. Nie bardziej niż inne, powiedział. W Barracas mieszkają ubodzy, pracowici ludzie. Bliskość Riachuelo i nabrzeży w La Boca, leżących niedaleko rzeki, sprawia, że tutaj spotyka się takie miejsca jak La Ferroviaria. Jednak kiedy idzie się drogą w głąb lądu, wszystko wygląda normalnie – czynszowe domy, rodziny imigrantów, ludzie pracujący albo przynajmniej starający się pracować. Kobiety w chodakach i klapkach, mężczyźni popijający mate, całe rodziny w koszulach i fartuchach, wystawiające ławeczki i wiklinowe krzesła przed dom, żeby posiedzieć w chłodzie letniego wieczoru po cienkiej kolacji, wachlując się tekturą do rozpalania w piecu i pilnując dzieci bawiących się na ulicy.

– Tutaj blisko, przecnicę stąd – dodał – jest gospoda El Puentecito, gdzie ojciec przyprowadzał nas na niedzielny obiad, kiedy lepiej mu szły interesy.

– Czym zajmował się pana ojciec?

– Wieloma rzeczami, ale sukcesu nie miał w żadnej. Pracował w fabrykach, miał magazyn złomu, woził mąkę i mięso... Miał pecha, był jednym z tych, którzy rodzą się naznaczeni klęską i nigdy im się nie udaje pozbyć tego piętna. Pewnego dnia miał dość tej walki, wrócił do Hiszpanii i zabrał nas ze sobą.

– Czuje pan nostalgię za tą dzielnicą?

Fordanser zmrużył oczy. Bez wysiłku przypomniał sobie zabawy na brzegu Riachuelo, pośród kawałków łodzi i na wpół zatopionych barek, kiedy brodząc po płytkiej wodzie, wyobrażał sobie, że jest piratem. I tylko z daleka zazdrościł synowi właściciela kutra Colombo, który był jedynym dzieckiem mającym rower.

– Raczej za dzieciństwem – powiedział szczerze. – Myślę, że dzielnica nie ma takiego znaczenia.

– Ale to pańskie strony.

– Tak... moje.

Mecha ruszyła przed siebie i Max podążył za nią, zbliżyli się do mostu, idąc po brukowanej drodze, gdzie odległe światła pobłyskiwały od czasu do czasu na szynach tramwajowych.

– No tak – w jej głosie pojawiła się sympatia, a może i współczucie. – Pana początki były godne, choć ubogie.

– Żaden ubogi początek nie jest godny.

– Proszę tak nie mówić.

Zaśmiał się przez zęby. Niemal do siebie. W pobliżu wody chór świerszczy i żab stał się niemal ogłuszający. W powietrzu teraz czuć było wyraźniej wilgoć i zauważył, że kobieta ma dreszcze. Jej jedwabny szal został w magazynie, na oparciu krzesła.

– Co pan robił od tamtego czasu? Od powrotu do Hiszpanii.

– Po trochu wszystko. Parę lat byłem w szkole. Potem opuściłem dom i znajomy znalazł mi pracę boya w hotelu Ritz w Barcelonie. Pięćdziesiąt peset miesięcznie. Plus napiwki.

Mecha Inzunza, ze skrzyżowanymi rękami, ciągle drżała w wilgotnym powietrzu. Bez słowa Max zdjął marynarkę, zostając tylko w kamizelce i koszuli, okrył ramiona kobiety, która też nic nie powiedziała. Spojrzeniem Max przebiegł po linii jej długiej, nagiej szyi, którą nagle światło z drugiej strony mostu obrysowało poniżej krótkich włosów. Przez chwilę widział, jak to samo światło odbija się w jej źrenicach, które na kilka sekund znalazły się bardzo blisko. Mimo dymu tytoniowego, potu i dusznej atmosfery w knajpie pachniała delikatnie. Czystą skórą i perfumami, które nie całkiem jeszcze wyparowały.

– Wiem wszystko o hotelach i boyach – ciągnął dalej, odzyskując zimną krew. – Ma pani przed sobą specjalistę w noszeniu listów do skrzynki, spędzaniu nocnych zmian bez ulegania pokusie pobliskich kanap,

przynoszeniu zamówień i chodzeniu po westybulach i salonach, uparcie wykrzykując: „Pan Martínez proszony do telefonu”, gotowy odszukać owego Martineza w tym krótkim czasie, jaki trwa cierpliwość tego, kto czeka ze słuchawką przy uchu...

– Coś takiego – wydawała się rozbawiona. – Zna pan to wszystko, świetnie to sobie wyobrażam.

– Zdziwiłaby się pani. Patrząc z zewnątrz, trudno zgadnąć, co się dzieje za podwójnym rzędem złotych guzików albo pod wątpliwej bieli gorsem kelnera, który w milczeniu podaje koktajl.

– Jestem zaniepokojona... W pana słowach brzmi echo bolszewizmu.

Max roześmiał się. Usłyszał, że ona też się śmieje, obok niego.

– To nieprawda, że panią zaniepokoiłem. Choć powinienem.

Rękawiczka Mechy Inzunzy, którą włożyła zamiast chusteczki do górnej kieszonki w marynarce Maxa, kiedy szedł tańczyć tango, odcinała się w mroku, przypominając wielki biały kwiat umieszczony w butonierce. Ta rękawiczka wydawała się ustanawiać między nimi, pomyślał, pewien związek, niemal intymnej natury. Pewien rodzaj dodatkowego współnictwa, milczącego i subtelного.

– Tu, gdzie teraz jestem – ciągnął, przyjmując znów lekki ton – też jestem specjalistą w dziedzinie napiwków... Pani mąż i pani, w związku z państwa pozycją społeczną, często je dajecie; nie wiecie zapewne, że klienci dzielą się na tych jedno-, dwu-, a nawet pięciopesetowych. To autentyczna klasyfikacja hotelowa, nieznaną tym, którzy myślą, że po prostu są wysocy lub niscy, są blondynami, brunetami, przemysłowcami, podróżnikami, milionerami albo inżynierami drogowymi. Zdarzają się nawet klienci dziesięciocentymowi, proszę sobie wyobrazić, w pokojach kosztujących sto peset dziennie... To jest rzeczywista kategoryzacja, całkiem różna od pozostałych. Tych konwencjonalnych.

Chwilę zwlekała z odpowiedzią. Jakby zastanawiała się poważnie nad tą sprawą.

– Dla fordansera – odezwała się w końcu – napiwki też są ważne, jak sądzę.

– Oczywiście. Dama zadowolona z walca potrafi dyskretnie wsunąć do kieszeni marynarki banknot, który rozwiąże problemy jednej nocy albo i całego tygodnia.

Nie potrafił uniknąć cierpkiego tonu, mówiąc o tym – pewnego echa żalu, którego przecież nie miał powodu ukrywać. Kobieta słuchająca go bardzo uważnie dostrzegła to.

– Max, proszę posłuchać... Nie mam, tak jak większość ludzi, mężczyzn przede wszystkim, przesądów wobec zawodowych fordanserów. Ani nawet wobec żigolaków... Przecież w dzisiejszych czasach nawet kobieta ubrana u Lelonga czy Patou nie może sama iść do restauracji ani zatańczyć.

– Proszę się nie usprawiedliwiać przede mną. Ja nie mam kompleksów. Straciłem je dawno temu w podłych hotelach, w zimnych, pełnych wilgoci pokojach z podartą pościelą, i tylko z połówką butelki wina, żeby się rozgrzać.

Nastąpiła chwila milczenia. Max odgadł następne pytanie sekundę wcześniej, niż je zadała.

– I z kobietą?

– Tak. Czasem też z kobietą.

– Proszę poczęstować mnie papierosem.

Wyjął papierośnicę. Zostały jeszcze trzy, stwierdził niemal po omacku.

– Proszę, niech mi go pan zapali.

Tak zrobił. Przy świetle płomienia stwierdził, że kobieta wpatruje się w niego uparcie. Kiedy zgasił zapałkę, ciągle olśniony światłem płomienia,

kilka razy zaciągnął się dymem, po czym wsunął papierosa w usta kobiety, która tym razem nie użyła cygarniczki.

– Co pana skłoniło, żeby wsiąść na Cap Polonio?

– Napiwki... I kontrakt, naturalnie. Wcześniej pływałem już na kilku statkach. Linie do Buenos Aires i Montevideo mają przyjemną atmosferę. Są to długie podróże i pasażerki potrzebują rozrywek na pokładzie. Mój latynoski wygląd oraz fakt, że dobrze tańczę tango i inne modne kawałki, bardzo mi pomagają. I znajomość obcych języków.

– Jakimi językami pan mówi?

– Po francusku. I radzę sobie po niemiecku.

Kobieta wyrzuciła papierosa.

– Jest pan bardzo dobrze wychowany, choć zaczynał jako boy hotelowy... Gdzie się pan nauczył dobrych manier?

Max roześmiał się. Patrzył, jak gaśnie maleńki żar u jej stóp.

– Z lektury kolorowych magazynów: plotki z wielkiego świata, moda, kronika towarzyska... I rozglądałem się wokół. Słuchałem uważnie rozmów i podglądałem dobre maniery u tych, którzy je mają. Miałem też kilku przyjaciół, którzy mi bardzo pomogli.

– Lubi pan swoją pracę?

– Czasami. Tańczenie jest nie tylko sposobem zarabiania na życie. Jest też pretekstem, by móc obejmować piękne kobiety.

– I zawsze w nienagannym smokingu lub fraku?

– Jasne. To mój strój roboczy. – Był o krok, żeby dodać: „za który jeszcze jestem dłużny krawcowi na rue Danton”, ale się powstrzymał. – Tak samo do tanga, jak fokstrota czy black-bottoma.

– Jestem rozczarowana. Wyobrażałam sobie, jak pan tańczy perwersyjne tanga w najgorszych lokalach przy Pigalle... W miejscach

gdzie ruch zaczyna się dopiero, kiedy zostają zapalone latarnie, pod którymi spacerują dziwki, sutenerzy i apasze.

– Widzę, że orientuje się pani w tych klimatach.

– Mówiłam już, że La Ferroviaria nie jest pierwszym nieodpowiednim miejscem, jakie odwiedzam. Niektórzy nazywają to bezwstydnym upodobaniem do rozpusty.

– Mój ojciec mawiał: „Został treserem i zjadł go lew, którego tresował”.

– Rozsądny gość z pana ojca.

Ruszyli z powrotem, niespiesznie, w kierunku latarni oświetlającej róg, na którym znajdowała się La Ferroviaria. Kobieta szła nieco przodem, z pochyloną twarzą. Zagadkowa.

– A co o tym sądzi pani mąż?

– Armando jest równie ciekawy jak ja. Albo prawie.

Fordanser zastanowił się nad zawłościami sensu słowa „ciekawość”. Pomyślał o niejakim Juanie Rebenque, stającym z tupetem niebezpiecznego typu z przedmieścia przed ich stolikiem, i o zimnej arogancji, z jaką ona podjęła wyzwanie. Pomyślał też o jej biodrach pod cienkim jedwabiem sukni, wirujących wokół ciała oprycha. „Teraz pańska kolej”, powiedziała rozmyślnie wyzywająco, kiedy wróciła.

– Znam plac Pigalle i całą resztę – powiedział Max. – Choć zawodowo bywałem w innych miejscach. Pracowałem do marca w rosyjskim kabarecie na rue de Liège na Montmartrze, nazywał się Szeherazada. Wcześniej byłem w Kasmecie i Casanovie. I na herbatkach w Ritzu, a w sezonie – w Deauville i w Biarritz.

– Świetnie. Ma pan aż nadto pracy, jak widzę.

– Nie skarzę się. Teraz, w epoce tanga, jest modne bycie Argentyńczykiem. A przynajmniej wygląd Argentyńczyka.

– Dlaczego mieszkał pan we Francji, a nie w Hiszpanii?

– To długa historia. Znudziłaby panią.

– Nie sędzę.

– Może znudziłaby mnie samego.

Zatrzymała się. Teraz elektryczna latarnia oświetlała rysy jej twarzy. Czyste linie, znowu to stwierdził. Nadzwyczajnie spokojne. Nawet w półmroku każdym porem tej kobiety emanowała przynależność do klasy wyższej. Jej najbardziej konwencjonalne gesty wydawały się dziełem dawnego malarza czy rzeźbiarza. Elegancką niedbałością mistrza.

– Może kiedyś tam gdzieś spotkaliśmy się – powiedziała Mecha.

– To prawdopodobne, ale niemożliwe.

– Dlaczego?

– Już powiedziałem na statku: zapamiętałbym panią.

Popatrzyła na niego uważnie, nie odpowiadając. Podwójny refleks w nieruchomych źrenicach.

– Bardzo – odezwał się – podoba mi się naturalność, z jaką przyjmuje pani słowa o pani nadzwyczajnej urodzie.

Mecha Inzunza przez chwilę jeszcze milczała, patrząc na niego tak samo jak wcześniej. Choć teraz zdawała się uśmiechać, pojawił się lekki cień wykreślony elektrycznym światłem z jednej strony jej ust.

– Rozumiem powód pana sukcesu wśród kobiet. Jest pan przystojnym mężczyzną... Nie ma pan wyrzutów sumienia, że łamał pan serca dojrzałych dam i młodziutkich dziewcząt?

– Wcale.

– Słusznie. Wyrzuty sumienia są rzadkie u mężczyzn, kiedy w grę wchodzi pieniądze albo seks, a u kobiet – kiedy idzie o mężczyzn... Poza tym my, kobiety, wcale nie czujemy tak niesłychanej wdzięczności za

rycerskie czyny i uczucia, jak uważają mężczyźni. I często udowadniamy to, zakochując się w łajdakach albo grubiańskich chamach.

Podeszła do wejścia do magazynu i zatrzymała się tam, wyczekująco, jakby nigdy wcześniej sama nie otwierała drzwi.

– Niech mnie pan zaskoczy, Max. Jestem cierpliwa. Gotowa czekać, żeby mnie pan zadziwił.

Wyciągnął rękę, żeby popchnąć drzwi, zbierając całą swoją zimną krew. Gdyby nie wiedział, że kierowca obserwuje ich z samochodu, próbowałby ją pocałować.

– Pani mąż...

– Rany boskie. Niechże pan zapomni o moim mężu.

Wspomnienie poprzedniej nocy w La Ferroviarii towarzyszyło ruchom brzytwy po brodzie fordansera. Została mu do zgolenia plama piany na lewym policzku, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Poszedł otworzyć, nie przejmując się swoim wyglądem – był w spodniach i butach, ale miał tylko podkoszulek, szelki zwisały po bokach – i znieruchomiał, z ręką na klamce, z ustami otwartymi z zaskoczenia i niedowierzania.

– Dzień dobry – powiedziała.

Była ubrana w dzienny strój, o prostych, lekkich liniach, z apaszką w białe grochy na niebieskim tle, kapeluszem cloche okalającym owal jej twarzy. Patrzyła rozbawiona, ze śladem uśmiechu, na brzytwę, którą trzymał w prawej ręce. Potem uniosła spojrzenie do jego oczu, zatrzymując się nieco na obcisłym podkoszulku, opuszczonych szelkach i resztkach piany na twarzy.

– Może przeszkadzam – dodała z rozbijającym spokojem.

Max wreszcie był w stanie zareagować. Ze względną jasnością umysłu wymamrotał przeprosiny za swój wygląd i wpuścił ją do środka, zamknął

drzwi, odłożył brzytwę obok miednicy, przykrył narzutą nieposłane łóżko, poprawił szelki i włożył koszulę bez kołnierzyka, i kiedy ją zapinał, starał się myśleć jak najszybciej i uspokoić się.

– Przepraszam za bałagan. Nie mogłem przypuszczać...

Kobieta nie odzywała się, tylko patrzyła, co Max robi, i wydawało się, że jest rozbawiona jego zmieszaniem.

– Przyszłam po moją rękawiczkę.

Max zamrugał, próbując zrozumieć.

– Pani rękawiczkę?

– Tak.

Ciągle zdezorientowany, w końcu pojął, o czym mówi, i otworzył szafę. Rękawiczka była tam, wystawała niczym chusteczka z górnej kieszeni marynarki, w której był wczoraj wieczorem. Wisiała obok szarego garnituru z kamizelką, flanelowych spodni i strojów wieczorowych – fraka i smokingu, których używał do pracy; były tam też czarne buty, pół tuzina krawatów i skarpetek – tego ranka zacerował kilka, używając kubka do picia mate – trzy białe koszule i pół tuzina nakrochmalonych kołnierzyków i mankietów. To było wszystko. W lustrze na drzwiach szafy zauważył, że Mecha Inzunza przygląda się jego ruchom, i poczuł wstyd, że widziała, jak skromna jest jego garderoba. Zrobił gest demonstrujący chęć włożenia marynarki, jednak kobieta ruchem głowy zaprzeczyła.

– Nie ma potrzeby... Bardzo proszę. Jest zbyt gorąco.

Zamknął szafę, podszedł do kobiety i podał jej rękawiczkę. Wzięła ją, niemal nie patrząc, trzymała ją w ręku, lekko uderzając nią o skórzaną torbę. Stała, rozmyślnie nie zwracając uwagi na jedyne w pokoju krzesło, równie spokojna, jakby była w salonie hotelu, w którym bywała przez całe życie. Rozglądała się wokół, powoli studiując każdy detal, prostokąt słońca wpadającego przez okno na zniszczone kafelki podłogi i oświetlającego

zniszczonej skrzyni z nalepkami linii morskich i hoteli trzeciej kategorii, w których noclegi wliczone były do kontraktu; maszynkę elektryczną marki Primus na marmurowym blacie komody, przyrządy do golenia, pudełko pasty do zębów i tubkę brylantyny Stacomb, leżące obok miednicy. Na szafce nocnej przy łóżku, pod naftowym kinkietem – prąd elektryczny w hotelu Caboto był wyłączany o jedenastej wieczorem – leżał paszport Republiki Francuskiej, papierośnica z obcymi inicjałami, pudełko zapalek z Cap Polonio i portfel – jego wnętrze nie było widoczne, pomyślał z ulgą Max – w którym było tylko siedem banknotów o nominale pięćdziesięciu pesos i trzy o nominale dwudziestu.

– Rękawiczka jest ważna – powiedziała. – Nie można jej, ot tak, porzucić.

Nadal przyglądała się wszystkim szczegółom. Potem całkiem spokojnie zdjęła kapelusz, a jej wzrok, jakby przypadkiem, zatrzymał się na fordanserze. Lekko przechyliła głowę na bok, a on z podziwem popatrzył raz jeszcze na długą, elegancką linię jej szyi, która wydawała się jeszcze bardziej naga pod włosami obciętymi na wysokości karku.

– To ciekawe miejsce, gdzie byliśmy wczoraj... Armando chciałby tam wrócić.

Max z pewnym wysiłkiem zareagował na jej słowa.

– Dziś wieczorem?

– Nie, dziś musimy pójść na koncert do teatru Colón... Może jutro mógłby pan?

– Oczywiście.

Pewnym ruchem usiadła na brzegu łóżka, ignorując wolne krzesło. Trzymała w dłoniach rękawiczkę i kapelusz, po chwili odłożyła je na bok, obok torby. Kiedy siedziała, spódnica odsłaniała jej kolana w pończochach koloru cielistego, okrywających szczupłe, długie nogi.

– Kiedyś – powiedziała Mecha Inzunza – czytałam coś o porzuconych damskich rękawiczkach.

Wyglądała na rzeczywiście zamyśloną, jakby nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym.

– Para rękawiczek to nie to samo co jedna – dodała. – Dwie można zapomnieć przypadkowo. Tymczasem jedną...

Urwała, patrząc na Maxa.

– Umyślnie? – zasugerował.

– Podoba mi się w panu to, że nigdy nie mogłabym nazwać pana głupim.

Fordanser wytrzymał, bez mrugnięcia, utkwione w nim spojrzenie oczu w kolorze miodu.

– A mnie się podoba, jak pani na mnie patrzy – powiedział łagodnie.

Zobaczył, jak unosi brew, jakby szacując, co wynika z tego komentarza. Następnie Mecha Inzunza skrzyżowała nogi i oparła ręce po bokach, na narzucie. Wydawała się zirytowana.

– Doprawdy? Coś takiego... Sprawia mi pan zawód – w jej głosie był chłód. – Obawiam się, że to brzmi pyszałkowato. Niewłaściwie.

Tym razem nie odpowiedział. Nadal stał przed kobietą nieruchomo. Wyczekująco. Po chwili wzruszyła ramionami, obojętnie, jak ktoś, kto się poddaje, nie odgadując absurdalnej zagadki.

– Proszę mi opowiedzieć, jak na pana patrzę.

Max nagle się uśmiechnął, pozornie całkiem szczerze. To była jego najlepsza mina grzecznego chłopca, wypróbowana setki razy przed lustrami tanich hoteli i beznadziejnych pensjonatów.

– Pani spojrzenie budzi litość nad tymi mężczyznami, na których żadna kobieta nigdy tak nie patrzyła.

Ledwo mógł ukryć swoje zakłopotanie, widząc, jak kobieta wstaje, jakby zamierzała zaraz wyjść. Rozpaczliwie zastanawiał się szybko, gdzie popełnił błąd. Jaki gest czy słowo były niewłaściwe. Ale Mecha Inzunza, zamiast wziąć swoje rzeczy i wyjść z pokoju, zrobiła trzy kroki w jego stronę. Max zapomniał, że miał jeszcze na twarzy mydło do golenia, był więc zaskoczony, kiedy wyciągnęła rękę, dotknęła jego policzka i odrobinę białej piany palcem wskazującym położyła mu na czubku nosa.

– Wygląda pan jak ładny błazen.

Rzucili się na siebie bez słów czy namysłu, gwałtownie, pozbywając się wszystkiego, co przeszkadzało spotkaniu skóry, otwierali sobie drogę do ciała tego drugiego; kiedy ściągnęli narzutę z łóżka, zapach kobiety dołączył do zapachu mężczyzny, którym przesycona była zmięta po nocy pościel. Potem rozpoczęła się twarda walka zmysłów, długie zderzenie potrzeb i odkładanych pragnień, zawzięte starcie, bezlitosne po obu stronach, które wymagało od Maxa zachowania zimnej krwi, kiedy walczył na trzech równoległych frontach – o zachowanie koniecznego spokoju, kontrolę nad reakcjami kobiety i uciszanie jej jęków, tak żeby cały pensjonat Caboto nie został natychmiast poinformowany o tym, co się działo. Prostokąt słońca wpadającego przez okno powoli poruszał się, aż objął łóżko, a oni, oślepieni, nieruchomieli od czasu do czasu, z wyczerpanymi ustami, językami, rękami i biodrami, pijani śliną i zapachem tego drugiego, lśniący od ich zmieszanego potu, który w tym oślepiającym świetle przypominał szklany szron. I w każdej chwili przyglądali się sobie z bardzo bliska, wyzywająco, to zadziwieni, to niedowierzający, wobec straszliwej rozkoszy, która ich łączyła, łapali powietrze, niczym zapaśnicy w przerwie walki, przerywanym oddechem, z pulsowaniem krwi w skroniach, i znów przystępowali do wzajemnego

ataku, z łapczywością kogoś, kto w końcu rozwiązuje, niemal rozpaczliwie, skomplikowaną sprawę osobistą, odkładaną od dawna.

Ze swej strony, w przebłyskach świadomości, kiedy łapał się konkretnych szczegółów albo myśli, pozwalających mu, gdy się na nich skupiał, na zachowanie dłużej kontroli nad sobą, Max zanotował w pamięci tamtego ranka dwa osobliwe fakty: w chwilach intensywnej rozkoszy Mecha Inzunza szeptała nieprzyzwoitości całkiem niestosowne u damy, a na jej delikatnej, ciepłej skórze, cudownie wrażliwej w odpowiednich miejscach, widoczne były niebieskawe ślady, wyglądające na ślady bicia.

Przed chwilą zapaliły się żarówki w lampionach z kartonu i papieru, po tym jak słońce zaszło ponad skarpą otaczającą Marinę Grande w Sorrento. Przy sztucznym świetle, mniej wyraźnym i dokładnym od tego, które właśnie zgasło z ostatnim fioletowym blaskiem na niebie i na brzegu wody, z twarzy kobiety siedzącej naprzeciwko Maxa Costy zdają się znikać najświeższe skazy. Słabe lampki elektryczne oświetlające stoliki w trattorii Stéfano wymazują ślad minionych lat i przywracają dawne precyzyjne linie, nadzwyczajnie piękne, twarzy, jaką Mecha Inzunza miała kiedyś.

– Nigdy nie sądziłam, że szachy mogą zmienić moje życie do tego stopnia – mówi. – Właściwie to syn zmienił moje życie. Szachy są tylko dodatkową okolicznością... Być może, gdyby został muzykiem czy matematykiem, rezultat byłby taki sam.

Temperatura jest jeszcze przyjemna. Kobieta ma odsłonięte ramiona, lekki kremowy żakiet zawieszony na oparciu krzesła, jest w prostej, jednoczęściowej sukni z fioletowej bawełny, długiej i eleganckiej, która podkreśla jeszcze szczupłą figurę, jakby rozmyślnie ignorując modę na krótkie spódniczki i żywe kolory, jaką przejęły w ostatnich czasach nawet kobiety w pewnym wieku. Na szyi ma sznur pereł, trzykrotnie zawinięty.

Siedząc nieruchomo naprzeciwko niej, Max okazuje zainteresowanie większe, niż wymagałaby tego zwykła grzeczność. Trzeba byłoby dobrze się przyjrzeć, żeby rozpoznać kierowcę doktora Hugentoblera w spokojnym, szpakowatym dżentelmenie, uważnie wsłuchanym, lekko pochylonym nad stolikiem, z kieliszkiem, w którym ledwo umoczył usta, wierny staremu zwyczajowi: jak najmniej alkoholu, kiedy grasz o dużą stawkę. Nienaganne maniere i ciemny, dwurzędowy blezer, spodnie z szarej flaneli, bładoniebieska koszula Oxford i krawat z brązowej dzianiny.

– Może nie taki sam – ciągnie Mecha Inzunza. – Zawodowe szachy to świat skomplikowany. Wymagający. Potrzebne są pewne szczególne cechy. To specjalna forma życia. Silnie wpływa na wszystkich, którzy są blisko szachistów.

Znów przerywa, zamyślona, i pochyla głowę, przesuwając palcem – krótkie, zadbane paznokcie, bez lakieru – po brzegu swojej pustej filiżanki po kawie.

– W moim życiu – dodaje po chwili – było wiele takich sytuacji, nagłych zatrzymań i radykalnych zwrotów, wyznaczających następne etapy. Śmierć Armanda podczas wojny w Hiszpanii była jednym z takich momentów. Odzyskałam pewien rodzaj wolności, której wcale nie pragnęłam ani nie potrzebowałam – przerywa, spogląda na Maxa i robi wieloznaczny gest, może rezygnacji. – Inny taki moment to chwila, kiedy odkryłam, że mój syn ma nadzwyczajny talent szachowy.

– Słyszałam, że poświęciłaś mu życie.

Kobieta odsuwa filiżankę na bok i odchyła się do tyłu, na oparcie krzesła.

– To chyba przesada. Dziecko to coś takiego, czego nie da się wyjaśnić innym ludziom. Nigdy nie miałaś dzieci?

Max uśmiecha się. Dobrze pamięta, że zadała mu to samo pytanie w Nicei, blisko trzydzieści lat temu. A on odpowiedział w ten sam sposób.

– Nie, o ile wiem... Dlaczego szachy?

– To była obsesja Jorgego od dzieciństwa. Jego radość i udręka. Wyobraź sobie, że widzisz, jak ktoś, kogo z całej duszy kochasz, próbuje rozwiązać problem równocześnie skomplikowany i tobie nieznany. Bardzo chcesz mu pomóc, ale nie wiesz jak. Szukasz więc kogoś, kto mógłby zrobić dla niego to, czego ty zrobić nie możesz. Nauczycieli, pomocnych osób...

Rozgląda się wokół z zamyślnym uśmiechem, podczas gdy Max całą uwagę poświęca jej ruchom i słowom. Dalej, w stronę nabrzeża rybackiej przystani, stoliki kolejnej restauracji, trattorii Emilia, są wszystkie wolne, a kelner o znudzonym wyglądzie rozmawia przy drzwiach z kucharką. Tylko grupka Amerykanów śmieje się i głośno rozmawia na tarasie trzeciej jeszcze restauracyjki, położonej na drugim końcu plaży, z której dochodzą dźwięki adaptera albo szafy grającej i głos Edoarda Vianello śpiewającego *Abbronzatissima*.

– To coś podobnego do sytuacji, w jakiej jest matka dziecka uzależnionego od narkotyków... Widząc, że nie jest w stanie zapobiec braniu, postanawia sama mu je dostarczać.

Jej spojrzenie gubi się gdzieś z tyłu, za Maxem i rybackimi łodziami wyciągniętymi na piasek, tam gdzie dalekie światła otaczają zatokę i wspinają się po odległym czarnym zboczu Wezuwiusza.

– Nie potrafiłam znieść jego cierpienia przy szachownicy – ciągnie. – Nawet teraz źle to znoszę. Najpierw chciałam temu zapobiec. Nie należę do matek, które popychają własne dzieci do granic niemożliwego, po to by przez nie realizować własne ambicje. Wręcz przeciwnie. Starłam się

odsunąć go od gry... Ale kiedy zrozumiałam, że to niemożliwe, bo gra po kryjomu i zakaz mógłby spowodować nasze oddalenie, nie wahałam się.

Lambertucci, właściciel, pojawia się na wypadek, gdyby czegoś potrzebowali, ale Max przeczy ruchem głowy. Nie znasz mnie, uprzedził go po południu, telefonicznie zamawiając stół. Przyjdę o ósmej, kiedy już sobie pójdzie *capitano* i schowasz szachy. Oficjalnie byłem w twoim lokalu tylko parę razy, więc dziś wieczorem żadnych poufałości. Chcę dyskretną, spokojną kolację: makaron z małżami, na drugie świeżą rybę z rusztu, białe wino, dobre i chłodne, i niech nie wpadnie do głowy twojemu bratankowi pojawić się z gitarą, żeby morderować 'O sole mio. Resztę pewnie kiedyś ci wytłumaczę. Albo i nie.

– Kiedy go karałam – ciągnie swoją opowieść Mecha Inzunza – czasami wchodziłam do jego pokoju i widziałam, jak leży nieruchomo, patrząc w sufit. Zdałam sobie sprawę, że nie musiał mieć przed sobą bierka. Grał w wyobraźni, wykorzystując sufit jako szachownicę... Przeszłam więc na jego stronę, używając wszelkich dostępnych mi środków.

– Jak mały był wtedy? Czytałem, że zaczął grać bardzo wcześnie.

– Początkowo był nerwowym dzieckiem. Bardzo nadpobudliwym. Płakał rozpaczliwie, kiedy popełniał błąd i przegrywał. Najpierw ja, potem jego nauczyciele zmuszaliśmy go, żeby się zastanawiał, zanim poruszy figurę. Już widoczny był jego przyszły charakterystyczny styl – elegancki, błyskotliwy, szybki, zawsze gotowy stracić w ataku swoje bierki.

– Jeszcze jedną kawę? – proponuje Max.

– Tak, proszę.

– W Nicei żyłaś na kawie i papierosach.

Kobieta uśmiecha się słabo. Bez wyrazu.

– To ostatnie dawne zwyczaje, jakie zachowałam. Choć teraz staram się je ograniczać.

Pojawia się Lambertucci i przyjmuje zamówienie z nieodgadnioną miną i nieco przesadną poprawnością, przyglądając się kątem oka kobiecie. Wydaje się, że podoba mu się, bo ukradkiem puszcza do niego oko, po czym dołącza do kelnera i kucharki z sąsiedniej trattorii, i rozmawiają o swoich sprawach. Czasami odwraca się lekko w ich stronę i Max odgaduje jego myśli: ciekawe, co dziś kombinuje ten stary pirat. Niesamowicie wystrojony, ale jakby tak od niechcienia, i do tego w towarzystwie.

– Zazwyczaj sądzi się, że szachy to genialne improwizacje – mówi Mecha Inzunza – ale tak nie jest. Potrzebne są naukowe metody, żeby badać wszystkie możliwe sytuacje w poszukiwaniu nowych idei... Wielki szachista zna kolejne posunięcia tysięcy partii, własnych i cudzych, i stara się je ulepszać nowymi otwarciami lub wariantami, studiując swoich poprzedników, podobnie jak się uczy języków albo algebry. W tym celu musi odwołać się do pomocy swojej ekipy, analityków, strategów, wszystkich, o których mówiłam ci dziś rano. Zależnie od chwili Jorge otacza się różnymi osobami. Jedną z nich jest jego mistrz. Emil Karapetian, który zawsze nam towarzyszy.

– Rosjanin też ma pomocników?

– Wszelkiego rodzaju. Towarzyszy mu nawet pracownik ambasady z Rzymu, wyobraź sobie. Dla Związku Radzieckiego szachy są sprawą wagi państwowej.

– Słyszałem, że wynajmują cały budynek mieszkalny, tuż przy ogrodzie hotelowym. I że nawet są tam ludzie z KGB.

– Nie dziw się. Świta Sokołowa składa się z jakiegoś tuzina osób, choć nagroda Campanelli jest jedynie przygrywką do mistrzostw świata... Za kilka miesięcy w Dublinie Jorge będzie dysponował czterema, pięcioma

analitykami i osobistymi asystentami. Możesz kalkulować, ilu ludzi przywiozą Rosjanie?

Max upija łyk ze swojego kieliszka.

– Ile osób wy macie?

– Jesteśmy we trójkę, jeśli i mnie liczyć. Poza Karapetianem towarzyszy nam Irina.

– Ta dziewczyna?... Myślałem, że jest narzeczoną twojego syna.

– Bo tak jest. Ale poza tym jest świetną szachistką. Ma dwadzieścia cztery lata.

Max skinął głową, jakby słyszał to pierwszy raz.

– Rosjanka?

– Jej rodzice są Jugosłowianami, ale urodziła się w Kanadzie. Należała do reprezentacji tego kraju podczas olimpiady w Tel Awiwie i należy do grona dwunastu, piętnastu najlepszych szachistek w świecie. Ma tytuł arcymistrzowski. Ona i Emil Karapetian stanowią twarde jądro ekipy naszych analityków.

– Podoba ci się jako przyszła synowa?

– Mogło być gorzej – kobieta odpowiada rzeczowo, nie podejmując gry zaproponowanej przez Maxa uśmiechem. – To skomplikowana dziewczyna, tak jak wszyscy szachiści. Ma w głowie mnóstwo rzeczy, których ani ty, ani ja nigdy nie będziemy mieli... Ale dobrze się rozumieją z Jorgem.

– Jest dobrym pomocnikiem, analitykiem, czy jak to się nazywa?

– Tak, bardzo.

– A jak to przyjmuje mistrz Karapetian?

– Dobrze. Na początku był zazdrosny i ujadął niczym pies pilnujący swojej kości. To dziewczyna, narzekał. I tak dalej. Ona jednak jest sprytna. Umiała go obłaskawić.

– A ciebie?

– Och, ja to co innego. – Mecha Inzunza dopija resztkę swojej kawy. – Ja jestem matką, rozumiesz?

– Pewnie.

– Ja się tylko przyglądam z daleka... Uważnie, ale z daleka.

Słysząc głosy Amerykanów, którzy przechodzą za plecami Maxa, zmierzając w stronę rampy prowadzącej na mury i do starej części Sorrento. Potem zalega cisza. Kobieta w zamyśleniu przygląda się białym i czerwonym kwadratami na obrusie, przypominając gracza siedzącego nad szachownicą.

– Pewnych rzeczy nie mogę dać mojemu synowi – dodaje naraz, podnosząc głowę. – I nie myślę tylko o szachach.

– Jak długo tak będzie?

Tak długo, jak długo on będzie chciał, odpowiada kobieta bez wahania. Dopóki Jorge będzie potrzebował jej blisko. Kiedy nadejdzie chwila, żeby skończyć, ma nadzieję, że na czas zda sobie z tego sprawę i wycofa się dyskretnie, bez dramatyzowania. W Lozannie ma wygodny dom, pełen książek i płyt. Bibliotekę i życie w pewien sposób odłożone na później, ale zarządzane przez te wszystkie lata. Miejsce, żeby zgasnąć w spokoju, kiedy nadejdzie ten moment.

– Jeszcze ci bardzo daleko. Zapewniam cię.

– Zawsze byłeś pochlebcą, Max... Eleganckim draniem i przystojnym oszustem.

Pochyla głowę, jakby zjadliwy komplement naprawdę go zmartwił. Cóż miałbym ci odpowiedzieć, mówi jego światowa mina. W naszym wieku.

– Dawno temu przeczytałam coś – dodaje kobieta – co sprawiło, że pomyślałam o tobie. Mówię z pamięci, ale szło to mniej więcej tak:

„Mężczyźni, których pieściło wiele kobiet, przejdą do doliny cieni, mniej cierpiąc i mniej się bojąc”... Co ty na to?

– Retoryka.

Milczenie. Teraz ona przygląda się uważnie twarzy mężczyzny, jakby starając się go rozpoznać mimo wszystko. Jej oczy błyszczą delikatnie w świetle papierowych lampionów.

– Naprawdę nigdy się nie ożeniłeś, Max?

– To ograniczyłoby, jak sądzę, moją zdolność spokojnego przejścia w dolinę cieni, kiedy przyjdzie na mnie kolej.

Głośny śmiech kobiety, spontaniczny i żywy, jak śmiech dziewczyny, sprawia, że Lambertucci, kelner i kucharka, ciągle rozmawiający w sąsiedniej trattorii, odwracają głowy.

– Przeklęty szachraj! Zawsze byłeś dobry w takich ripostach... Zdolny, żeby błyskawicznie przywłaszczyć sobie cudze rzeczy.

Max dotyka mankietów koszuli, żeby się upewnić, czy w sposób odpowiedni wystają spod rękawów marynarki. Nie znosi tego współczesnego obyczaju pokazywania niemal całych mankietów, podobnie jak nie lubi dopasowujących szwów w talii, krzyczących krawatów, koszul z długimi spiczastymi kołnierzykami i wąskich spodni z rozszerzanymi nogawkami.

– Przez te wszystkie lata naprawdę pomyślałaś kiedyś o mnie?

Pyta, patrząc w złote tęczówki kobiety. Ta znów lekko pochyla głowę, ciągle go obserwując.

– Przyznaję, że tak. Czasami.

Max odwołuje się do najskuteczniejszego ze swoich środków: białe pęknięcie, pozornie spontaniczne, które w dawnych czasach ożywiało uśmiechem jego twarz, wywołując piorunujący efekt, bez względu na stopień odporności adresatek.

– Nie tylko przy *Tangu Starej Gwardii*.

– Oczywiście.

Kobieta potwierdziła ruchem głowy i słabym uśmiechem na ustach, podejmując grę. To dodaje Maxowi nieco animuszu i pozwala mu cieszyć się szczęściem, jak torreadorowi, który czując aplauz publiczności, przedłuża walkę. Puls bije dobrym rytmem w jego starych arteriach, zdecydowanie i mocno, tak jak w odległych czasach pełnych przygód, z odrobiną optymistycznej euforii, podobnej do tej, którą wywołują po niespokojnie przespanej nocy dwie aspiryny popite kawą.

– Jednak – argumentuje z całkowitym spokojem – to jest dopiero nasze trzecie spotkanie, po tym na Cap Polonio, w Buenos Aires w dwudziestym ósmym i w Nicei dziewięć lat potem.

– Może zawsze miałam słabość do łajdaków.

– Byłem młody, Mecho.

Mina, która towarzyszy jego odpowiedzi, jest kolejnym dzokerem w jego repertuarze: pochylona głowa, bardzo skromnie, plus niedbały gest lewej ręki, jakby starał się odepchnąć to, co zbyteczne. Czyli wszystko, co go otacza, poza siedzącą naprzeciw kobietą.

– Tak. Młody i elegancki łajdak, jak mówię. Z tego żyłeś.

– O nie – protestuje Max uprzejmie. – To mi pomagało żyć, co nie jest tym samym... To były ciężkie czasy. Właściwie wszystkie czasy takie są.

Powiedział to, patrząc na naszyjnik, a Mecha Inzunza zauważyła jego spojrzenie.

– Pamiętasz?

Max przybiera minę szlachcica doznającego obrazy, albo prawie.

– Naturalnie, że pamiętam.

– I powinieneś, to jasne. – Kobieta dotyka przez moment pereł. – To ten sam co w Buenos Aires... Który skończył w Montevideo. Ten sam co zawsze.

– Nie mógłbym go zapomnieć – dawny fordanser robi odpowiednią, melancholijną pauzę. – Nadal jest wspaniały.

Teraz kobieta zdaje się nie słyszeć pochłonięta swoimi wspomnieniami.

– I tamta sprawa w Nicei... Ależ ty mnie wykorzystałeś... Jakaż głupia byłam. Twoja sprawka kosztowała mnie przyjaźń z Suzi Ferriol, między innymi. Później już nie słyszałam o tobie. Nigdy więcej.

– Pamiętaj, że byłem poszukiwany. Musiałem zniknąć. Ci zabici mężczyźni... Byłoby szaleństwem zostać tam wtedy.

– Doskonale pamiętam. Wszystko. Do tego stopnia, że zrozumiałam, jakim to było dla ciebie doskonałym pretekstem.

– Mylisz się. Ja...

Teraz ona unosi dłoń.

– Nie zapuszczaj się, proszę, tą drogą. Jeszcze mógłbyś popsuć tę miłą kolację.

Kobieta przedłuża gest i całkiem naturalnie wyciąga dłoń ponad stołem, żeby dotknąć twarzy Maxa, gładząc ją zaledwie przez moment. Ten instynktownie lekko całuje jej palce, kiedy ona cofa rękę.

– Mój Boże... To fakt. Byłaś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Mecha Inzunza otwiera torebkę, wyjmuje paczkę murattich i wsuwa jednego do ust. Pochylając się nad stołem, Max jej go zapala złotym dupontem, który kilka dni temu leżał w gabinecie doktora Hugentoblera. Kobieta wypuszcza dym i opiera się na krześle.

– Nie bądź durniem.

– Nadal jesteś piękna – nalega Max.

– Nie bądź jeszcze większym durniem. Popatrz na siebie. Ty też nie jesteś już taki sam.

Teraz Max jest szczery. Albo mógłby być.

– W innych okolicznościach ja...

– To wszystko były przypadki. W innych okolicznościach nie miałbyś najmniejszych szans.

– Na co?

– Dobrze wiesz. Na zbliżenie się do mnie.

Długa przerwa. Kobieta unika wzroku Maxa i pali, patrząc na lampiony, domy rybaków stojące wzdłuż plaży, góry sieci i łodzie leżące na piasku w mroku przy brzegu.

– Twój pierwszy mąż rzeczywiście był draniem.

Mecha Inzunza zwleka z odpowiedzią, dwa razy zaciąga się papierosem, potem zapada długie milczenie.

– Zostaw go w spokoju – odzywa się w końcu. – Armando nie żyje od blisko trzydziestu lat. Poza tym był znakomitym kompozytorem. Na dodatek on dawał mi tylko to, czego sama pragnęłam. Tak samo jak ja robię z moim synem.

– Zawsze byłem pewien, że to on cię...

– Zdeprawował?... Nie gadaj głupstw. Oczywiście, że miał swoje upodobania. Dziwaczne czasami. Nic jednak nie zmuszało mnie do tej gry. Ja miałam swoje gusty. W Buenos Aires, tak samo jak w każdym innym miejscu, zawsze byłam panią swoich czynów. I pamiętaj, że nie było go ze mną w Nicei. Zabili go w Hiszpanii. Albo mieli to zrobić wkrótce.

– Mecha...

Położył rękę na dłoni, którą kobieta oparła na obrusie. Ta wysuwa ją powoli, żeby nie robić gwałtownych gestów.

– Niech ci tylko nie wpadnie do głowy, Max, mówić mi, że byłam wielką miłością twojego życia, bo wstanę i sobie pójdę.

5. ODŁOŻONA PARTIA

– To miasto nie jest takie, jak myślałam – powiedziała Mecha.

Było gorąco, upał spotęgowany bliskością Riachuelo. Max zdjął kapelusz, żeby ochłodzić wilgotny safian, i szedł, trzymając go w jednej ręce, podczas kiedy drugą miał do połowy wsuniętą do kieszeni marynarki. Kroki jego i kobiety czasem były równe, zbliżali się na chwilę i potem znów oddalali.

– Są różne Buenos Aires – zauważył. – Choć właściwie są tylko dwa: miasto sukcesu i miasto porażki.

Byli razem na obiedzie niedaleko La Ferroviarii, w gospodzie El Puentecito, o piętnaście minut jazdy samochodem od pensjonatu Caboto. Przedtem, schodząc do pierce-arrowa – milczący Petrossi siedział za kierownicą i ani razu nie spojrzał na Maxa przez lusterko wsteczne – Mecha i fordanser wstąpili do pewnej spelunki obok stacji kolejowej na aperitif, który pili, opierając się o bar z białego marmuru, pod wielką fotografią Sportivo Barracas i kartonem z zaleceniem: *Prosimy o porządek, kulturę i nieplucie na ziemię*. Kobieta zamówiła sok z granatu z wodą gazowaną, a on wermut cora z kropelkami amer picon; otaczały ich pełne ciekawości spojrzenia oraz hiszpańskie i włoskie głosy mężczyzn z miedzianymi łańcuszkami na kamizelkach, którzy grali w karty, palili i oczyszczali sobie gardło, odchrząkując i trafiając śliną do spluwaczek. Potem kobieta namówiła Maxa, żeby zaprowadził ją do skromnej restauracji, tej, o której mówił poprzedniego wieczoru, gdzie jego ojciec w niedziele zabierał całą rodzinę. Na miejscu Mecha wydawała się zadowolona z garnka ravioli i mięsa z rusztu, które popijali, idąc za radą przytomnego galisyjskiego kelnera, małą butelką lekko cierpkiego, aromatycznego wina z Mendoza.

– Kiedy się Kocham, nabieram apetytu – powiedziała kobieta swobodnie.

Podczas obiadu patrzyli na siebie zmęczeni, porozumiewawczo, więcej nie wspominając otwarcie tego, co zdarzyło się w pensjonacie przy alei Admirala Browna. Mecha zachowywała się swobodnie – wykazywała absolutne opanowanie, zauważył Max z zadziwieniem – a fordanser zastanawiał się nad konsekwencjami, aktualnymi i przyszłymi. Myślał o tym przez resztę obiadu, maskując się rutyną dobrych manier i ujmującą grzecznością, choć często gubił rachubę wstrząsany wewnętrznym dreszczem pod wpływem żywych wspomnień, bliskich i bardzo intensywnych, delikatnego, ciepłego ciała kobiety, która patrzyła na niego znad kieliszka podnoszonego do ust. Zamyślona, jakby studiowała z nową ciekawością mężczyznę siedzącego przed nią.

– Mam ochotę się przejść – powiedziała chwilę później. – Po Riachuelo.

Chciała pochodzić trochę w pobliżu La Boca, zatrzymała Petrossiego i ruszyli oboje północnym brzegiem od Vuelta de Rocha, w ślad za nimi samochód, który z milczącym szoferem za kierownicą toczył się powoli lewą stroną ulicy. W oddali, daleko za poczerniałym drewnem szkieletu z nagimi wręgami starego żaglowca na wpół zatopionego przy brzegu – Max pamiętał, że bawił się tam, będąc dzieckiem – wznosiła się wysoka konstrukcja mostu Avellaneda.

– Przyniosłam ci prezent – odezwała się kobieta.

Podarła Maxowi małą paczuszkę. Niewielkie, podłużne etui, stwierdził po zerwaniu opakowania. Skórzana skrzyneczka z zegarkiem na rękę w środku: wspaniałe, kwadratowy Longines ze złotą, z rzymskimi cyframi i sekundnikiem.

– Dlaczego? – zapytał.

– Taki kaprys. Zobaczyłam go na wystawie jednego ze sklepów na ulicy Florida i zaciekała mnie myśl, jak będzie wyglądał na twojej ręce.

Pomogła mu ustawić godzinę, nakręcić go i dopasować do nadgarstka. Dobrze wygląda, stwierdziła Mecha. Bardzo dobrze, oczywiście, ze skórzanym paskiem ze złotą sprzączką na opalonej ręce fordansera. Przedmiot wytworny, stosowny dla Maxa. Stosowny dla ciebie, nalegała. Twoje ręce są odpowiednie, żeby nosić zegarki takie jak ten.

– Przypuszczam, że nie pierwszy raz dostajesz prezent od kobiety.

Przyglądała mu się bez mrugnięcia okiem. Udając obojętność.

– Nie wiem... Nie przypominam sobie.

– Pewnie. Nie wybaczyłabym ci, gdybyś sobie przypomniał.

Na brzegu widać było kawiarnie i bary, niektóre wieczorami wątpliwej famy. Spod wąskiego, opadającego ronda kapelusza okalającego jej twarz Mecha przyglądała się leniwym mężczyznom w koszulach, kamizelkach i czapkach, siedzącym przy stolikach obok drzwi albo na ławkach na placu, przy furmankach i zaparkowanych tam ciężarówkach. W takich miejscach, słyszał Max, jak przed laty mawiano w jego domu, człowiek poznaje filozofie narodów – melancholijnych Włochów, podejrzliwych Żydów, zawziętych i brutalnych Niemców, Hiszpanów odurzonych zazdrością i morderczą pychą.

– Nadal przypływają tu statkami, tak jak mój ojciec – powiedział. – Zdecydowani, żeby urzeczywistnić swoje marzenia... Wielu z nich pozostaje w drodze, niszcząc jak drewno tego statku, uwięzionego w błocie. Najpierw wysyłają pieniądze żonom i dzieciom zostawionym w Asturii, Kalabrii, Polsce... Potem życie ich tłamsi, powoli znikają. Gasną w nędzy w tawernach albo tanich burdelach. Siedząc przy stoliku, samotnie, przed butelką, która nigdy nie zadaje pytań.

Mecha patrzyła na cztery praczki idące z naprzeciwka z wielkimi koszami mokrej bielizny: twarze przedwcześnie postarzałe, ręce zniszczone od mydła i ścierek. Max mógłby nadać imię i opowiedzieć historię każdej z nich. Te same twarze i ręce albo inne, identyczne, towarzyszyły mu przez całe dzieciństwo.

– Kobiety, przynajmniej te z dobrym wyglądem, mają szansę lepiej się urządzić – dodał. – Przez jakiś czas, jasna sprawa. Zanim te, którym się poszczęści, staną się zwiędłymi matronami. Albo, jeśli mówimy o tangu, te, którym się nie poszczęści. Zresztą zależy, jak na to patrzeć.

Ostatni komentarz sprawił, że kobieta odwróciła się i znów popatrzyła na niego z uwagą.

– Dużo tu prostytutek?

– Zgadnij – Max gestem ogarnął całą okolicę. – To ziemia emigrantów, a wielu z nich to samotni mężczyźni. Istnieją organizacje specjalizujące się w przywożeniu tu kobiet z Europy... Najważniejsza z nich jest żydowska, Cwi Migdal. Jej specjalnością są Rosjanki, Rumunki, Polki... Kupują kobiety za dwa, trzy tysiące pesos i ten wydatek zwraca im się szybciej niż w rok.

Usłyszał śmiech Mechy. Suchy, bez humoru.

– Ile daliby za mnie?

Nie odpowiedział, zrobili kilka kroków w milczeniu.

– Czego spodziewasz się od przyszłości, Max?

– Życ jak najdłużej się da, myślę – wzruszył ramionami, szczerze. – Mieć to, czego mi potrzeba.

– Nie zawsze będziesz piękny i młody. A starość?

– Jakoś się o nią nie martwię. Wcześniej mam do załatwienia inne sprawy.

Spojrzał na nią kątem oka: szła, obserwując wszystko, z ustami lekko rozchylonymi, niemal z miną zaskoczenia tym, co widziała. Wyglądała, stwierdził Max, jak myśliwy z przygotowaną bronią, jakby chciała zarejestrować każdą scenę, tak by pozostała na zawsze w pamięci: domy z cegły i drewna, pokryte blaszanymi dachami, pomalowane na niebiesko i zielono, stojące wzdłuż zardzewiałych szyn kolejowych; krzaki wiciokrzewu wyrastające z podwórek przez płoty i mury zwieńczone potłuczonymi butelkami, platany i akacje o czerwonych kwiatach, ożywiające obraz ulicy. Kobieta poruszała się powoli, przypatrując się wszystkiemu ciekawym wzrokiem, ale z obojętnością w ruchach, podobnie jak w sposób równie naturalny trzy godziny wcześniej przechadzała się naga po pokoju Maxa, swobodnie, niczym królowa we własnej alkwie. Z prostokątem słonecznego światła, które wpadało przez okno i kontrastowo kreśliło wydłużone linie jej eleganckiego ciała, zadziwiającego i gibkiego, i złociło delikatne, kręcone włoski między udami.

– A ty? – zapytał Max. – Ty też nie zawsze będziesz piękna i młoda.

– Ja mam pieniądze. Miałam je, zanim wyszłam za mąż... To stare pieniądze, przyzwyczajone do siebie.

Ani chwili nie zwlekała z tą spokojną, obiektywną odpowiedzią. W ślad za jej słowami pojawiła się pogardliwa mina.

– Zdziwiłbyś się, jak bardzo posiadanie pieniędzy wszystko ułatwia.

Max roześmiał się.

– Potrafię to sobie wyobrazić.

– Wątpię, czy potrafisz.

Odsunęli się, żeby zrobić przejście sprzedawcy lodu. Szedł pochylony pod ciężarem ogromnego, spływającego kroplami bloku, opartego na ramieniu przykrytym gumową osłoną.

– Masz rację – powiedział Max. – Niełatwo jest wejść w skórę bogaczy.

– Armando i ja nie jesteśmy bogaczami. Jesteśmy tylko zamożni.

Max zastanowił się nad różnicą. Zatrzymali się przy poręczy biegnącej wzdłuż drogi nad zakolem rzeki Rocha. Spojrzeniem za siebie ustalił, że skuteczny Petrossi też zatrzymał samochód nieco dalej.

– Dlaczego wyszłaś za mąż?

– No cóż. – Patrzyła na statki, barki i gigantyczną konstrukcję mostu Avellaneda. – Armando to bardzo interesujący mężczyzna... Kiedy go poznałam, był już kompozytorem, który odniósł sukces. U jego boku mogłam przeżyć mnóstwo wspaniałych rzeczy. Przyjaciele, widowiska, podróże... To wszystko i tak bym zrobiła wcześniej czy później, ale dzięki niemu mogłam to przeżyć wcześniej. Wyjść z domu i otworzyć się na życie.

– Kochałaś go?

– Dlaczego mówisz w czasie przeszłym? – Mecha nadal patrzyła na most. – W każdym razie to pytanie dziwnie brzmi w ustach fordansera z hoteli i transatlantyków.

Max dotknął safianu w kapeluszu. Już wysechł. Włożył kapelusz na głowę, lekko na bakier, z rondem przechylonym nad prawe oko.

– Dlaczego ja?

Obserwowała jego ruchy, jakby każdy szczegół ją interesował. Z aprobatą. Kiedy usłyszała pytanie Maxa, jej oczy zabłysły rozbawieniem.

– Wiedziałam, że masz bliźnię, jeszcze zanim ją zobaczyłam.

Wyglądała, jakby miała się uśmiechnąć na widok zakłopotania mężczyzny. Kilka godzin wcześniej, bez pytań czy komentarzy, Mecha pieściła ten ślad na jego skórze, całowała go, zlizując krople potu błyszczące na jego nagim torsie, na bliźnie po postrzale, którego został ofiarą siedem lat wcześniej, kiedy mozolnie wspinał się wraz ze swymi

towarzyszami po żółtym zboczach, pośród skał i krzewów, w rzednącej mgle o świcie pewnego Dnia Zmarłych.

– Niektórzy mężczyźni mają coś w spojrzeniu i w uśmiechu – dodała Mecha po chwili, jakby to wymagało wyjaśnienia. – Mężczyźni z niewidzialną walizką, wyładowaną rzeczami nieuchwytnymi.

Teraz patrzyła na jego kapelusz, węzeł krawata, środkowy, zapięty guzik marynarki.

– Poza tym jesteś ładny i spokojny. Diabelnie przystojny...

Z jakiegoś powodu, który mu umykał, odniósł wrażenie, że doceniła jego milczenie w tej chwili.

– Podoba mi się, że zachowujesz zimną krew, Max – dodała. – Podobnie jak ja, w pewnym sensie.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego zamyślona. Skoncentrowana i nieruchoma. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego brody, wyraźnie nie przejmując się, że Petrossi widzi ją z samochodu.

– Tak – podsumowała. – Podoba mi się ta moja niezdolność, by ci zaufać.

Ruszyła przed siebie i Max zrobił to samo, szedł u jej boku, starając się zasymilować to, co się zdarzyło. Zmusić się do zredukowania własnego zakłopotania do rozsądnych granic. Minęli staruszka, który kręcił korbką starej katarynki marki Rinaldi, międlącej takty tanga *El choclo*, podczas kiedy koń ciągnący wózek lał solidny strumień spienionej uryny na bruk.

– Wrócimy pojutrze do La Ferroviarii?

– Jeśli twój mąż sobie życzy, tak.

Jej ton był już inny. Niemal frywolny.

– Armando jest pełen entuzjazmu... Wczoraj, kiedy wróciliśmy do hotelu, tylko o tym mówił; i do bardzo późna w nocy siedział w pizamie, nie mógł zasnąć, robił notatki, napełniał popielniczki, nucił pod nosem.

Bardzo rzadko widuję go w takim stanie... „Ten błazen Ravel schowa się ze swoim bołarem”, mówił, śmiejąc się... Jest rozdrażniony perspektywą dzisiejszego wieczoru w teatrze Colón. Patriotyczne Stowarzyszenie Hiszpańskie, czy coś takiego, organizuje koncert na jego cześć. A na koniec oficjalny wieczór tanga w luksusowym kabarecie o nazwie Folies Bergère, jeśli się nie mylę. W strojach wieczorowych. Wyobraź sobie ten horror.

– Idziesz z nim?

– Naturalnie. Nie może iść sam, kiedy te wszystkie wypomadowane suki z Garden Court będą krążyć wokół niego.

Spotkają się następnego dnia, dodała po chwili. Jeśli Max nie ma innych planów, wyślą po niego samochód na aleję Admirała Browna, około siódmej. Najpierw aperitif w Richmond na przykład, a potem pojedą na kolację do jakiegoś miłego lokalu w centrum. Słyszeli o eleganckiej, bardzo nowoczesnej restauracji, która nazywa się Las Violetas, jeśli się nie myli. I o jeszcze innej, mieszczącej się w wieżowcu na ulicy Florida, przy pasażu Güemes.

– Raczej nie. – Max nie miał ochoty spędzać czasu z Armandem de Troeye na nieznanym gruncie, przy towarzyskiej rozmowie. – Spotkamy się w Palace i pojedziemy prosto do Barracas... Mam kilka spraw do załatwienia w centrum.

– Jesteś mi winien tango. Tym razem ze mną.

– Pewnie.

Zamierzali przejść na drugą stronę ulicy i zatrzymali się, kiedy za ich plecami zadźwięczał dzwonek tramwaju. Wagony minęły ich z hałasem, pantograf przemykał pod elektrycznym kablem rozwieszonym na słupach i między budynkami; tramwaj był długi, zielony i pusty, poza motorniczym i konduktorem w mundurze, który spojrzał na nich z tylnego pomostu.

– Widzę ciemną dziurę w opowieści o twoim życiu, Max... Ta blizna i cała reszta. Jak dotarłeś do Paryża i jak stamtąd wyjechałeś.

Niewygodny temat, stwierdził. Ale może i miała prawo. Przynajmniej spytać. I nie zrobiła tego, aż do tej chwili.

– Nie ma tam wielkich tajemnic. Widziałaś bliznę... Zostałem postrzelony w Afryce.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Jakby rany postrzałowe wydawały się jej czymś normalnym wśród salonowych tancerzy.

– Dlaczego tam się znalazłeś?

– Pamiętaj, że przez jakiś czas byłem żołnierzem.

– Myślę, że żołnierze bywają w różnych miejscach. Dlaczego akurat ty właśnie tam?

– Chyba coś już ci opowiadałem na Cap Polonio... To było po klęsce w Anwar, koło Rifu. Po tylu tysiącach zabitych potrzebowali świeżego mięsa.

Przez krótką chwilę Max zastanawiał się, czy jest możliwe streszczenie tuzinem słów pojęć tak złożonych, jak niepewność, przerażenie, śmierć i strach. Oczywiście, nie jest.

– Wydawało mi się, że zabiłem człowieka – powiedział neutralnym tonem – i zaciągnąłem się do Legii Cudzoziemskiej... Potem dowiedziałem się, że on przeżył, ale już nie było wyjścia.

– Jakaś walka?

– Coś w tym rodzaju.

– Przez kobietę?

– Nie aż tak powieściowo. Był mi winien pieniądze.

– Dużo?

– Dość, żeby w niego wbić jego własny nóż.

Zobaczył iskry w jej złotych tęczówkach. Może z rozkoszy. Max sądził, że od kilku godzin zna ten blask.

– A dlaczego Legia?

Zmrużył powieki, wspominając fioletowe światło ulic i podwórek w Barcelonie, obawę przed natknięciem się na policjanta, lęk nawet na widok własnego cienia, plakat na murze pod numerem 9 na ulicy Prats de Molló: *Dla tych, których rozczarował los, dla tych, którzy nie mają pracy, dla tych, którzy nie mają w życiu celu ani nadziei. Honor i pożytek.*

– Płacili trzy pesety za każdy dzień służby – streścił krótko. – I kiedy człowiek zmienił tożsamość, był bezpieczny.

Mecha znów rozchyliła wargi łakoma jak przedtem. Ciekawa.

– A to dobre... Zaciągnąłeś się i jesteś innym człowiekiem?

– Coś w tym rodzaju.

– Musiałeś być bardzo młody.

– Skłamałem na temat wieku. Zresztą nie bardzo ich to interesowało.

– Podoba mi się taki system. Przyjmują kobiety?

Potem zainteresowała ją reszta jego życia i Max opowiedział pokrótce o niektórych fragmentach, będących etapami tej drogi, która doprowadziła go do salonu tanecznego na Cap Polonio: Oran, Vieux Port w Marsylii, tanie kabarety w Paryżu.

– Kim ona była?

– Ona?

– Tak. Kochanka, która nauczyła cię tańczyć tango.

– Dlaczego myślisz, że to kochanka, a nie nauczycielka tańca?

– Pewne rzeczy są oczywiste... Sposób tańczenia.

Przez chwilę milczał, analizując jej słowa, a potem zapalił papierosa i opowiedział nieco o Boske. Tyle, ile konieczne. W Marsylii poznał

węgierską tancerkę, która zabrała go do Paryża. Kupiła mu frak i przez jakiś czas razem tańczyli jako para w Le Lapin Agile i w innych kiepskich lokalach.

– Piękna?

Papieros miał gorzki smak i Max zaraz go wyrzucił do oleistej wody Riachuelo.

– Tak. Też przez jakiś czas.

Nie powiedział nic więcej, choć obrazy następowały po sobie w jego pamięci: wspaniałe ciało Boske, jej czarne włosy obcięte *à la* Louise Brooks, piękna twarz okolona rondami słomkowych i filcowych kapeluszy, roześmiana w gwarnych kawiarniach Montparnasse’u, gdzie, jak zapewniała z niesamowitą naiwnością, obalone zostały klasy społeczne. Zawsze prowokująca i płomienna w swoim francuskim, z chrapliwym głosem i akcentem marsylskim, gotowa na wszystko tancerka, okazjonalnie modelka, siedząca przed swoją *café-crème* albo nad kieliszkiem taniego dżinu, na wiklinowym krześle tarasu Dôme czy La Closerie des Lilas, pośród amerykańskich turystów, pisarzy, którzy nie piszą, i malarzy, którzy nie malują. *Je danse et je pose*, mawiała głośno, jakby reklamowała swoje ciało, szukając okazji dla pędzli i zdobycia sławy. Śniadania o pierwszej po południu – rzadko ona i Max kładli się przed świtem – w ulubionym miejscu, Chez Rosalie, gdzie zazwyczaj spotykała się z węgierskimi i polskimi przyjaciółmi, którzy zdobywali dla niej ampułki z morfiną. Zawsze wypatrywała, z żarliwym wyrachowaniem, czy nie pojawią się na bulwarach w pobliżu dobrze ubrani mężczyźni i kobiety w klejnotach, drogie futra i luksusowe samochody; tak samo przyglądała się każdej nocy klientom marnego kabaretu, w którym z Maxem tańczyła eleganckie tango, w jedwabiach i z białym krawatem, albo tango apaszów – koszula w prążki

i czarne pończochy. I zawsze oczekiwała na tę właściwą twarz i ostateczne słowo. Na okazję, która nigdy się nie zdarzyła.

– Co się stało z tą kobietą? – chciała się dowiedzieć Mecha.

– Została gdzieś z tyłu.

– Bardzo z tyłu?

Nie odpowiedział. Mecha dalej mu się przyglądała, oceniająco.

– Jak się stało, że znalazłeś się w pobliżu dobrego towarzystwa?

Max powoli wracał do Buenos Aires. Jego wzrok znów zogniskował się na ulicach La Boki ginących na placyku, na brzegach Riachuelo i na moście Avellaneda. Na twarzy kobiety przyglądającej mu się badawczo, zaskoczonej teraz grymasem, który właśnie wykrzywił mu rysy. Fordanser zamrugał, jakby jasność dnia podrażniła go, niczym rozdzierające światło w Barcelonie, Melilli, Oranie czy Marsylii. Jasność Buenos Aires raniła wzrok, olśniewając jego źrenice naznaczone innym światłem, słabszym i dawniejszym, z widokiem Boske leżącej w zmiętej pościeli, twarzą do ściany. Jej plecy, nagie i białe, nieruchome w szarym półmroku świtu brudnego jak samo życie. I Max zamykający drzwi za tym obrazem, po cichu, jakby po kryjomu zatrząskiwał pokrywę trumny.

– W Paryżu to nie jest trudne – dodał jedynie. – Tam towarzystwo jest wymieszane. Ludzie bogaci często pojawiają się w podłych lokalach... Jak twój mąż i ty w La Ferroviarii, choć bez żadnych pretekstów.

– Coś takiego. Nie wiem, jak mam to potraktować.

– Miałem przyjaciela w Afryce – ciągnął, nie zatrzymując się na zarzucie. – Też ci o nim opowiadałem na statku.

– Rosyjski arystokrata o długim nazwisku? Pamiętam. Mówiłeś, że nie żyje.

Skinął głową, niemal z ulgą. Łatwiej było mówić o tym niż o rozebranej Boske w mglistym świetle poranka na rue Furstenberg, ostatnim spojrzeniu

Maxa na strzykawkę, potłuczone ampułki, kieliszki, butelki i resztki jedzenia na stole, brudny mrok, podobny do wyrzutu sumienia. Ten rosyjski przyjaciel utrzymywał, że był carskim oficerem. Był w Białej Armii aż do upadku Krymu, stamtąd wyjechał do Hiszpanii, gdzie się zaciągnął do Legii, po jakiejś historii z hazardem i pieniędzmi. Był szczególnie człowiekiem – pogardliwy, elegancki, bardzo się podobał kobietom. Nauczył Maxa manier, dając mu pierwszy szlif – jak poprawnie wiązać krawat, jak składać chustkę do kieszonki, dokładny opis przystawek, od anchois po kawior, które należy podawać z zimną wódką. To zabawne, powiedział kiedyś, że da się przemienić kawał mięsa armatniego w kogoś, kto mógłby uchodzić za dżentelmena.

– Część jego rodziny zbiegła do Paryża, gdzie niektórzy zarabiali na życie jako portierzy hotelowi i taksówkarze. Innym udało się ocalić swoje pieniądze – między nimi był pewien kuzyn, właściciel kabaretów, gdzie tańczyło się tango. Pewnego dnia poszedłem do tego kuzyna, dostałem pracę i sprawy potoczyły się już gładko... Mogłem sobie kupić odpowiednie stroje, żyć całkiem przyzwoicie i trochę podróżować.

– A co się stało z twoim rosyjskim przyjacielem? Jak umarł?

Tym razem wspomnienia Maxa nie były ponure. Przynajmniej nie w sposób konwencjonalny. Wykrzywił wargi w grymasie pełnej zrozumienia melancholii, wspominając ten ostatni raz, kiedy widział kaprała legionistę Dołgorukiego-Bagraciona: zamkniętego z trzema dziewczynkami i butelką koniaku w najlepszym pokoju burdelu w Tauima, skąd wyruszył, kiedy tylko skończył z każdą z dziewczyn z osobna i razem, na spotkanie ostatniej przygody w życiu.

– Nudził się. Palnął sobie w głowę, bo się nudził.

Siedząc w niewielkim ogródku baru Ercolano, na placu pod palmami i zegarem zawieszonym na siedzibie Towarzystwa Sorrenckiego, Max, w okularach do czytania na nosie, przegląda dzienniki. Jest około południa, pora największego ruchu na starym mieście, od czasu do czasu wybuchy z rur wydechowych przerywają mu lekturę i powodują, że rozgląda się wokół. Dziś nikt nie powiedziałby, że sezon turystyczny wydał już ostatnie tchnienie – na tarasie w Fauno, po drugiej stronie placu, wszystkie stoliki są zajęte w porze aperitif, na rogu ulicy San Cesareo panuje spory ruch przy straganach z rybami, owocami i warzywami, a fiaty, vespy i lambretty krążą w hałaśliwych rojach po całym corso Italia. Tylko dorożki nieruchomo czekają na turystów, podczas gdy znudzeni woźnice rozmawiają, stojąc w grupce, palą i przyglądają się kobietom przechodzącym przed pomnikiem poety Torquata Tassa.

W „Il Mattino” zamieszczono obszerny reportaż z pojedynku Keller-Sokołów, podczas którego rozegrano już wiele przewidzianych partii. Ostatnia zakończyła się remisem, a to daje pozorną przewagę Rosjaninowi. Jak Lambertucci i *capitano* Tedesco tłumaczyli Maxowi, każda wygrana partia jest warta jeden punkt, natomiast kiedy jest remis, każdy z graczy zapisuje sobie pół punktu. W ten sposób Sokołów ma teraz dwa i pół punktu, wobec półtora punktu na koncie Kellera. To niepewna sytuacja, są zgodni wyspecjalizowani dziennikarze. Max od dobrej chwili czyta to wszystko z dużym zaciekawieniem, choć opuszcza wyjaśnienia techniczne kryjące się pod dziwnymi nazwami, takimi jak partia hiszpańska, wariant Petrosiana i obrona Nimzowitscha. To interesuje go znacznie mniej niż okoliczności, w jakich toczy się rywalizacja. „Il Mattino” i pozostałe gazety podkreślają napięcie, jakie towarzyszy pojedynkowi, wynikające mniej z rywalizacji o pięćdziesiąt tysięcy dolarów przeznaczonych dla zwycięzcy, a bardziej z warunków politycznych i dyplomatycznych. Jak właśnie Max

przeczytał, Rosjanie od dwóch dekad dzierżą berło w międzynarodowych szachach i tytuł mistrza świata przekazują sobie kolejni arcymistrzowie Związku Radzieckiego, gdzie szachy są narodowym sportem od czasów rewolucji bolszewickiej – pięćdziesiąt milionów szachistów wśród dwustu pięćdziesięciu kilku milionów mieszkańców, podaje jeden z artykułów – i ważnym argumentem zagranicznej propagandy, co oznacza, że każdy z turniejów cieszy się poparciem wszelkich służb państwowych. Jeden z komentatorów twierdzi, że Moskwa stawia wszystko na rozgrywki meczu Campanelli. Przede wszystkim dlatego że właśnie Jorge Keller będzie za pięć miesięcy walczył o tytuł mistrza świata z Sokołowem – nieformalna kapitalistyczna heterodoksja przeciwko rygorystycznej ortodoksji sowieckiej – co zapowiada, po pasjonującym prologu, jakim jest turniej w Sorrento, szachową walkę wieku.

Max pije łyk swojego *negroni*, przewraca strony dziennika i obrzuca powierzchownym spojrzeniem nagłówek – Beatlesi planują rozwiązanie zespołu, próba samobójstwa francuskiego rockmana Johnny’ego Hallydaya, minispódniczka i długie włosy rewolucjonizują Anglię... W sekcji polityki zagranicznej mowa jest o rewolucjach innego rodzaju: czerwoni hunwejbini wstrząsają Pekinem, czarnoskórzy domagają się praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych, grupa najemników została zatrzymana przed planowaną interwencją w Katandze. Na następnej stronie, pomiędzy nagłówkiem dotyczącym przygotowań do wysłania kolejnej misji kosmicznej Gemini – *USA wygrywają w wyścigu na Księżyc* – i reklamą paliwa samochodowego – „Dodaj mocy tygrysa swojemu silnikowi” – opublikowano czarno-białą fotografię wojenną: korpulentny żołnierz amerykański, widoczny od tyłu, niesie na rękach wietnamskie dziecko, które odwraca twarz i patrzy nieufnie w obiektyw.

Obok przejeżdża alfa giulia z otwartymi szybami i Maxowi wydaje się przez chwilę, że rozpoznaje dźwięki melodii dobiegającej z samochodowego radia. Podnosi wzrok znad zdjęcia żołnierza i dziecka – przypomniało mu obrazy innych żołnierzy i innych dzieci, przed czterdziestoma pięcioma laty – i spogląda zaskoczony na samochód odjeżdżający przedłużeniem corso Italia w kierunku żółtobiałej fasady Santa Maria del Carmine, podczas gdy jego mózg, jeszcze zajęty wiadomościami z dziennika, potrzebuje kilku sekund, żeby rozpoznać muzykę, jaką zarejestrował słuch, dobrze znane takty, wykonywane przez orkiestrę w aranżacji z perkusją i elektryczną gitarą, słynnego klasycznego utworu, znanego od czterech dekad w całym świecie jako *Tango Starej Gwardii*.

Kiedy Max zatrzymał się nagle, w pół tanecznego kroku, Mecha spojrzała mu krótko w oczy, przyłgnęła do niego wyzywająco, i kołysząc ciałem w jedną i drugą stronę, otarła udo wokół wystawionej w przód, nieruchomej nogi mężczyzny. Ten wytrzymał niewzruszenie dotyk ciała pod spódnicą z cienkiej krepy; nadzwyczajnie intymnie, choć La Ferroviaria w komplecie – jakiś tuzin spojrzeń obu płci – wydawała się uważnie śledzić każdy ich ruch. Potem fordanser zrobił krok w bok, który kobieta skopiowała natychmiast, z dezynwolturą i nadzwyczajną elegancją.

– To lubię – szepnęła. – Powolutku i spokojnie, niech im się nie wydaje, że się mnie boisz.

Max zbliżył usta do prawego ucha kobiety. Zadowolony z gry, pomimo ryzyka.

– Tu jest dużo kobiet – powiedział.

– Sam wiesz.

Jej bliskość, delikatny zapach dobrych perfum rozpuszczony na jej skórze, drobniutkie krople potu na górnej wardze i na linii włosów podsycaly pożądanie ożywiane niedawnymi wspomnieniami ciepłego, zmęczonego ciała, zapachu spełnionego seksu, potu na kobiecym ciele wilgotniejącym w rękach Maxa, cienka tkanina sukni, której spódnica kołysała się w rytm tanga. Było już późno i magazyn niemal opustoszał. Trzej muzycy w La Ferroviarii grali *Chiqué*, a na parkiecie były jeszcze tylko dwie pary, tańczące bez entuzjazmu, niby tramwaje powoli sunące po torach – kobieta okrągła i niska z młodym partnerem w marynarce i koszuli bez kołnierzyka ani krawatu i blondynka o słowiańskim wyglądem, z którą Max tańczył poprzednim razem. Miała na sobie tę samą bluzkę w kwiatki i poruszała się ze znudzoną miną w ramionach mężczyzny o rysach robotnika, w samej koszuli i kamizelce. Czasami w tanecznych ewolucjach pary zbliżały się do siebie i niebieskie oczy spotykały na chwilę wzrok Maxa. Obojętnie.

– Twój mąż za dużo pije.

– Do tego się nie wtrącaj.

Popatrzył z troską na naszyjnik z pereł, który założyła tego wieczoru, na dekolt czarnej sukni sięgającej ledwo do kolan. Potem, z identycznym niepokojem – La Ferroviaria nie była odpowiednim miejscem, żeby nosić klejnoty ani żeby za dużo pić – skierował szybkie spojrzenie na stół zastawiony butelkami, kieliszkami i pełnymi popielniczkami, gdzie Armando de Troeye palił i opróżniał całe szklanki dzinu z wodą sodową w towarzystwie niejakiego Juana Rebenque, człowieka, który dwa dni wcześniej tańczył z jego żoną. Kiedy tam przyjechali, przyglądał im się długo, a potem do nich podszedł, z poważną miną i swoim kreolskim wąsem, z czarnymi włosami przyglądzonymi błyszczącą brylantyną, ciemnymi oczami, niebezpiecznymi pod rondem kapelusza, którego nie

zdjął ani na chwilę. Podszedł do stolika bez pośpiechu, z dymiącym, do połowy wypalonym cygarem w ustach, krokiem miarowym i powolnym, charakterystycznym dla przedmieścia, trzymając jedną rękę w prawej kieszeni obcisłej, wykończonej atłasem marynarki, której lewy bok zniekształcał mu nieco zarys schowanego noża. Poprosił o pozwolenie, by dotrzymać towarzystwa panom i pani, równocześnie zamawiając u kelnerki, z władczością typową dla klienta przyzwyczajonego, że to nie on płaci rachunki, kolejną butelkę Llave z nietkniętą banderolą i pełen syfon. Na które chciałby mieć przyjemność ich zaprosić – na Maxa patrzył częściej niż na męża – jeśli nie mają nic przeciwko temu.

Zezowaty bandoneonista i jego koledzy zrobili pauzę i zachęceni przez de Troeye, przysunęli swoje stołki do stołu i dołączyli do towarzystwa, także Mecha i Max zajęli swoje krzesła. Stara pianola na rolki zastąpiła muzyków i trzeszcząc, odtworzyła rytm kilku niedających się rozpoznać tang. Muzycy wrócili do swoich instrumentów po wielu kolejkach kieliszków i wymienianych zdań, zaczęli grać *Noche de farra*, a Rebenque, przechylając jeszcze mocniej, w cwaniackim stylu, z filcowym kapeluszem zsuniętym na oczy, zaproponował Mechy wspólny taniec. Ta wymówiła się zmęczeniem, i choć uśmiech oprycha pozostał na twarzy niezmienny, jego niebezpieczne spojrzenie spoczęło na chwilę na Maksie, jakby jego obarczał odpowiedzialnością za ten afront. Rebenque dotknął rónda dwoma palcami, wstał i podszedł do jasnowłosej tancerki, która podniosła się ze zrezygnowaną miną i kładąc rękę na prawym ramieniu koleśia, zaczęła niechętnie tańczyć. Mężczyzna starannie wykańczał kroki, rozkoszując się swoim tańcem, z dymiącym papierosem w ręce, którą trzymał z tyłu na plecach, podczas kiedy drugą prowadził partnerkę, w sposób męski, silny, pozornie bez wysiłku. Nieruchomiał na parę sekund po każdej pauzie, po czym prowadził prawdziwą koronkę na parkiecie, krok wprzód i wstecz,

przerywane raz za razem i znów podejmowane, podczas kiedy kobieta o uległym ciele i obojętnym spojrzeniu – jedna noga widoczna była aż po udo przez boczne rozcięcie w zbyt krótkiej spódnicy, w paryskim stylu – poddawała się potulnie każdemu ruchowi narzuconemu przez mężczyznę, każdej ewolucji nóg, każdej pauzie.

– Jak ona ci się podoba? – zapytała Mecha Maxa.

– Bo ja wiem... Wulgarna. I zmęczona.

– Być może jest pod kontrolą jednej z tych okropnych organizacji, o których mówiłeś... Być może sprowadzili ją tutaj z Rosji, czy gdzieś stamtąd, i oszukali.

– Handel żywym towarem – sprecyzował Armando de Troeye, dość niepewnym językiem, wznosząc kolejną szklaneczkę dżinu. Wydawał się rozbawiony podobną możliwością.

Max spojrział na Mechę, żeby sprawdzić, czy mówiła serio. Po chwili wywnioskował, że nie. Że żartowała.

– Wygląda na dziewczynę z tej dzielnicy – odpowiedział. – Raczej z doświadczeniem niż bez niego.

Znów włączył się de Troeye, tym razem z nieprzyjemnym śmiechem. Nadmiar alkoholu zaczynał mącić mu spojrzenie.

– Jest ładna – powiedział kompozytor. – Wulgarna i ładna.

Mecha nadal przyglądała się tancerce: ta naśladowała, z ciałem ciasno przylegającym do ciała partnera, jego kocie kroki stawiane na skrzypiących deskach podłogi.

– Podoba ci się, Max? – spytała nagle.

Zgasił w popielniczce papierosa, którego palił, nie spiesząc się z odpowiedzią. Zaczynała go męczyć ta rozmowa.

– Niezła – przyznał.

– Jakiś ty nieprzyjemny! Poprzedniego wieczoru robiłeś wrażenie, jakby miło ci się z nią tańczyło.

Max spojrzał na karminowy ślad na brzegu szklanki Mechy, odstawionej na stolik, i na cygarniczkę z kości słoniowej, leżącej obok dymiącej popielnicy. Czuł smak tej intensywnej czerwieni w ustach – stał przecież, liżąc, całując i gryząc, ostatni ślad pomadki z ust Mechy podczas gwałtownego zbliżenia poprzedniego dnia w pensjonacie Caboto, gdzie aż do końca niemal nie było między nimi czułości; kiedy po ostatnim dreszczu szepnęła: „wyjdź, proszę”, tuż przy jego uchu, on posłusznie, zmęczony i już dochodząc, powoli wysunął się z jej ciała i opierając się na wilgotnej, gładkiej i przyjaznej skórze brzucha kobiety, rozlał się tam łagodnie.

– Dobrze tańczy tango – powiedział, wracając do La Ferroviarii. – O to ci chodzi?

– Ma ładne ciało – stwierdził de Troeye, kontemplując tancerkę poprzez szklankę uniesioną w niepewnej dłoni.

– Tak samo jak moje?

Mecha zwróciła się do fordansera; zadała to pytanie, patrząc mu w oczy, ze słabym uśmiechem na ustach, szorstko i wyniośle. Jakby męża tam nie było. Albo może właśnie dlatego, pomyślał Max z niepokojem, że tam był.

– Ma inny styl – stwierdził tak ostrożnie, jakby szedł z bagnetem na lufie mausera pośród mgły w Tassudzie.

– Jasne – powiedziała kobieta.

Max przyjrzał się ukradkiem mężowi – przeszli na ty kilka godzin wcześniej, po prostu, z inicjatywy de Troeye – pytając siebie w duchu, jak to się skończy. Kompozytora zdawała się interesować jedynie szklaneczka dżinu, w której prawie już moczył nos.

– Ty jesteś wyższa – ocenił, mlaskając językiem. – Prawda, Max? I chudsza.

– Jakże ci jestem wdzięczna, Armando – powiedziała kobieta. – Za twoją precyzję.

Mąż wzniósł w jej kierunku przesadnym gestem uprzejmy toast, niemal groteskowy, pełen treści, które umykały zrozumieniu fordansera, w milczeniu. Max zauważył, że czasami de Troeye wpatrywał się w pustkę, z oczami przymkniętymi od dymu papierosów, jakby pochłonięty kadencją muzyczną, słyszaną jedynie przez niego, licząc nuty czy akordy na palcach; stukał nimi o blat stołu z techniczną pewnością, niemającą nic wspólnego z ruchami człowieka, który za dużo wypił. Zastanawiając się, do jakiego stopnia rzeczywiście był nietrzeźwy, a na ile udawał, Max spojrzał na Mechę, a potem na Rebenquego i blondynkę. Muzyka ucichła, a oprych, odwróciwszy się plecami do partnerki, zbliżał się do nich ze swoją rytualną ostrożnością.

– Powinniśmy już iść – zasugerował fordanser.

Pomiędzy dwoma kolejnymi łykami de Troeye wrócił ze swojego półuśpienia, żeby pokazać, że pomysł mu się podoba.

– Do innego lokalu?

– Spać. Twoje tango jest prawie gotowe... La Ferroviaria dała już wszystko, co miała do zaoferowania.

Kompozytor zaprotestował. Rebenque, który usiadł między nim i Mechą, przyglądał się całej trójce z uśmiechem tak sztucznym, jakby był wymalowany na jego twarzy, starając się śledzić wątek rozmowy. Wyglądał na zirytowanego tym, że nikt nie chwalił, jak elegancko zatańczył tango z blondynką.

– A co ze mną, Max? – zapytała Mecha.

Zwróciła się do niego, dość skonfundowanego. Jej usta były lekko rozchylone, a płynny miód błyszczał wyzywająco. Poczul dreszcz nagłego pożądania, graniczącego z okrucieństwem; wiedział z absolutną pewnością,

że w innych czasach i w poprzednim życiu byłby zdolny zabić bez drgnięcia ręki wszystkich znajdujących się wokół, żeby zostać z nią sam na sam. Żeby zaspokoić pragnienie swojego naprężonego ciała, zerwać z kobiety niemal mokrą suknię, którą gorące, pełne dymu powietrze przyklejało do jej ciała, jakby to była ciemna skóra.

– A może – upierała się Mecha – jeszcze nie chce mi się spać.

– Moglibyśmy pójść do La Boca – zasugerował de Troeye wesoło, dokańczając swoją szklankę dzinu z miną kogoś, kto wraca z bardzo daleka. – Poszukać czegoś, co nas obudzi.

– Zgoda. – Kobieta wstała i zabrała szal z oparcia krzesła, podczas kiedy jej mąż wyciągał portfel. – Zabierzmy ze sobą tę blondynkę, wulgarną i śliczną.

– To nie jest dobry pomysł – zaprotestował Max.

Starli się spojrzeniem, Mecha i on. O co ci, do licha, chodzi?, milcząco pytał fordanser. Jej pogarda wystarczyła za odpowiedź. Możesz grać dalej, mówiła jej twarz. Poproś o następną kartę albo wycofaj się. Wszystko będzie zależeć od twojej ciekawości i odwagi. Znasz już nagrodę.

– Wręcz przeciwnie. – De Troeye liczył banknoty dziesięciopesowe niepewnymi palcami. – Zaproszenie panienki to wspaniały pomysł.

Rebenque zaproponował, że przyprowdzi tancerkę i on też będzie im towarzyszył, jako że, powiedział, państwo dysponują dużym automobilem i miejsca wystarczy dla wszystkich. Znał dobry lokal w La Boca, dodał. Casa Margot. Mają tam najlepsze ravioli w całym Buenos Aires.

– Ravioli o tej porze? – zapytał de Troeye zakłopotany.

– Kokainę – przetłumaczył Max.

– Tam – zakończył Rebenque w zaufaniu – będziecie mogli otrzeźwić się, ile tylko zechcecie.

Mówił bardziej do Mechy i Maxa niż do męża; jakby instynkt pozwalał mu zidentyfikować prawdziwego przeciwnika. Ze swej strony fordanser obawiał się przyklejonego uśmiechu oprycha, władczego gestu, jakim sprowadził do nich blondynkę – miała na imię Melina, poinformował, i była z pochodzenia Polką – i tego spojrzenia, jakie rzucił na portfel Armanda de Troeye, który został schowany do wewnętrznej kieszeni marynarki, po tym jak wyjął on z niego pięćdziesiąt pesos, zostawione zmięte na stoliku, łącznie z hojnym napiwkiem.

– Za duży tłum – powiedział Max cicho, wkładając kapelusz na głowę.

Musiał usłyszeć to Rebenque, bo skierował do niego powolny, obrażony uśmiech, pełen zapowiedzi najgorszego. Ostry jak brzytwa.

– Znasz tę dzielnicę, kolego?

Nie umknęła uwagi Maxa subtelna zmiana w sposobie zwracania się. Z pana na kolegę. Widać było wyraźnie, że noc się dopiero zaczyna.

– Trochę – odpowiedział. – Mieszkałem trzy przecznice stąd. Jakiś czas temu.

Oprych uważnie mu się przyjrzał, zatrzymując wzrok na białych mankietach jego koszuli. Na perfekcyjnym węźle krawata.

– Ale akcent masz hiszpański.

– Kosztowało mnie to sporo pracy.

Przez chwilę obserwowali się nawzajem w milczeniu, z flegmą typową dla tej dzielnicy, po czym Rebenque strząsnął popiół z cygara długim paznokciem małego palca. Z pewnymi sprawami nie należy się spieszyć, obaj nauczyli się tego na tych samych ulicach. Max szacował, że facet może mieć z dziesięć, dwanaście lat więcej od niego. Zapewne był jednym z tych starszych chłopaków z dzielnicy, którym jako dzieciak w szarym szkolnym fartuchu i z tornistrem na plecach zazdrościł swobody i możliwości sterczenia w drzwiach sal bilardowych, wieszania się z tyłu

tramwajów Południowego Towarzystwa Elektrycznego, po to żeby nie płacić za bilet, niemal zbójckiego czatowania na wózki z czekoladkami Águila i kradzieży tłustych rogalików z wystawy piekarni El Mortero.

- Na jakiej ulicy mieszkałeś, kolego?
- Vieytes. Naprzeciwko przystanku sto piątki.
- Do licha – potwierdził oprych. – Niemal sąsiad.

Blondynka trzymała faceta pod rękę, jej piersi sterczały z zawodową swobodą pod niedokładnie zapiętą bluzką. Ramiona okryła chustką z marnej tkaniny, udającą szale z Manili, i przyglądała się Maxowi i małżonkom de Troeye z nowym zaciekawieniem, przez które otwierała szeroko oczy i unosiła w górę wydepilowane brwi, zredukowane do cienkiej kreski narysowanej czarnym ołówkiem. Było jasne, że perspektywa opuszczenia La Ferroviarii na chwilę wydawała się jej bardziej obiecująca niż rutyna tańczenia tanga po dwadzieścia centavos od kawałka.

– Alązanfan – odezwał się wesoło de Troeye, biorąc kapelusz i laseczkę i kierując się w stronę drzwi niepewnymi od alkoholu krokami.

Wyszli na dwór, szofer Petrossi przyprowadził pierce-arrowa pod drzwi i wszyscy wsiedli do tylnej części limuzyny. De Troeye jechał na dużej kanapie, pomiędzy Mechą i tancerką, Max i Rebenque naprzeciwko nich, na ławeczce. Melina, dobrze wiedząc, kto płaci za tę zabawę, już panowała nad sytuacją, posłuszna milczącym wskazówkom przekazywanym w półmroku sprytnym spojrzeniem oprycha. Max patrzył na to napięty jak sprężyna, kalkulując wszystkie za i przeciw. Problemy, jakie mogły się pojawić, i najskuteczniejsze sposoby opuszczenia niepewnego gruntu, o właściwej porze, w dobrym stanie i bez rany od noża w pachwinie. W tej okolicy, jak doskonale wiedział każdy urodzony na przedmieściu, gdzie przecięcie tętnicy udowej sprawia, że każdy krępulec okazuje się bezużyteczny.

Partia zostaje przerwana po dziesiątej wieczorem. Na dworze już jest ciemno, a w szybach wielkich okien hotelu Vittoria odbijają się sceny z salonu, na tle świateł zapalonych w willach i hotelach położonych na zboczach ponad zatoką Sorrento. Max Costa, siedząc wśród publiczności, przygląda się wielkiej drewnianej tablicy, odwzorowującej szachownicę i bierki, łącznie z ostatnim ruchem Sokołowa, wykonanym na chwilę przed tym, zanim sędzia podszedł do stolika. Rosjanin coś zanotował na kopercie, podniósł się od stołu i opuścił salę, natomiast Keller został na miejscu, studiując szachownicę. Po chwili Chilijczyk też zanotował coś na kartce, nie ruszając niczego na szachownicy, i włożył kartkę do tej samej koperty, którą zamknął, oddał sędziemu i wstał od stolika. Zdarzyło się to przed chwilą i kiedy Keller znika w bocznych drzwiach, a publiczność przerywa ciszę pomrukami i oklaskami, Max podnosi się i rozgląda wokół zakłopotany, próbując ustalić, co właściwie się stało. Z daleka widzi, że Mecha Inzunza, która siedziała w pierwszym rzędzie pomiędzy młodą Iriną Jasenović i grubym mężczyzną, arcymistrzem Karapetianem, wstaje i razem z nimi idzie w ślad za synem.

Max wychodzi na korytarz przed salą rozgrywek nagle przemieniony w gwarny hol, chodzi pomiędzy kibicami, słuchając komentarzy dotyczących ostatniej partii, już piątej w pojedynku o nagrodę Campanelli. Pokój prasowy mieści się w pobliżu; przechodząc obok drzwi, słyszy komentarz włoskiego dziennikarza radiowego, który przez telefon relacjonuje:

– Czarny goniec Kellera wydawał się kamikadze... Wcale nie poświęcenie skoczka najbardziej przykuło uwagę, ale odważny rajd gońca poprzez szachownicę pełną zasadzek... To mógł być śmiertelny cios, jednak Sokołowa ocaliła zimna krew. Jakby na to czekał, jednym ruchem Sowiecki Mur zablokował atak i natychmiast słowem „*Niczja?*”

zapropował remis... Chilijczyk odrzucił propozycję i dokończenie partii zostało przełożone na jutro.

W drugim, mniejszym saloniku, do którego publiczność nie ma dostępu i przed którego drzwiami stoi tłum ciekawych kibiców, Max widzi Kellera siedzącego nad szachownicą z Karapetianem, młodą Jasenović, sędzią i kilkoma innymi osobami, i razem zdają się rekonstruować czy też analizować rozgrywaną partię. Maxa zaskakuje kontrastująca z powolnością każdego ruchu wykonywanego w salonie szybkość, z jaką Keller, Karapetian i dziewczyna teraz poruszają figurami, niemal pędem, powtarzając zagrania, odwracając je i planując kolejne, równocześnie dyskutując o tym czy innym ruchu.

– To się nazywa analiza *post mortem* – mówi Mecha.

Max odwraca się i widzi ją tuż obok, przy drzwiach. Nie zauważył, jak podeszła.

– Brzmi dość pogrzebowo.

Kobieta zagląda do saloniku zamyślona. Jak zazwyczaj w Sorrento – a on dobrze wie, że nie zawsze tak było – ubiera się, nie zważając na aktualną kobiecą modę obowiązującą w każdym wieku. Dziś ma na sobie ciemną spódnicę i mokasyny, a ręce trzyma wsunięte do kieszeni zamszowej kurtki, bardzo ładnej i z pewnością bardzo drogiej. Sama kurtka musiała kosztować jakieś dwieście tysięcy lirów. Przynajmniej.

– Czasem rzeczywiście jest to pogrzeb – mówi kobieta. – Zwłaszcza po przegranej. Analizuje się każde posunięcie, ocenia, które było słuszne, czy nie było lepszego wariantu.

Z wnętrza dobiega stukot bierek głośno skaczących po szachownicy. Czasem słyhać jakiś komentarz albo żart Kellera, po którym rozlega się śmiech. Stukot nadal trwa, szybki, nawet kiedy jakaś bierka spada na ziemię, szachista szybko ją podnosi i odstawia na miejsce.

– To nieprawdopodobne. Co za szybkość.

Kobieta kiwa głową zadowolona. A może dumna, tylko okazuje to dyskretnie. Jak wszyscy mistrzowie klasy jej syna, wyjaśnia, Jorge Keller pamięta każdy ruch w partii i każdy możliwy wariant. Właściwie jest w stanie odtworzyć w pamięci każdą z rozegranych w życiu partii. I większość partii, jakie rozegrał jego przeciwnik.

– Teraz analizuje błędy i dobre zagrania, tak swoje, jak i Sokołowa – dodaje. – Ale robi to raczej dla publiki: przyjaciół i dziennikarzy. Potem przeprowadzi kolejną analizę, za zamkniętymi drzwiami, razem z Emilem i Iriną. Dużo poważniejszą i złożoną.

W tym miejscu zatrzymuje się, zamyślona, z głową przechyloną lekko w bok, kiedy patrzy na syna.

– Jest zmartwiony – mówi odmiennym niż dotychczas tonem.

Max obserwuje Jorgego Kellera, a potem znów kobietę.

– Wcale nie robi takiego wrażenia – stwierdza.

– Został naprawdę zaskoczony, bo przeciwnik przewidział ruch gońcem.

– Coś o tym słyszałem. Goniec kamikadze.

– No tak. Tego zazwyczaj się oczekuje od Jorgego. Tak zwane przebłyski geniuszu... A naprawdę wszystko było starannie zaplanowane. On i jego ekipa od dawna planowali to zagranie, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja... Wykorzystanie słabości odkrytej u Sokołowa, kiedy staje przed gambitem Marshalla.

– Obawiam się, że nic nie wiem o tym Marshallu – przyznaje Max.

– Chcę powiedzieć, że nawet mistrzowie świata mają swoje słabe punkty. Praca analityków polega na pomaganiu graczowi, by je odkryć i wykorzystać na własną korzyść.

Otwierają się przeszklone drzwi sąsiedniego saloniku i pojawiają się Rosjanie: najpierw idą asystenci, potem mistrz świata w towarzystwie

jakiegoś tuzina różnych osób. W głębi widać stół i szachy w nieładzie. Z pewnością oni też dokonali swojej analizy, choć w przeciwieństwie do Kellera, robili to za zamkniętymi drzwiami, jedynie w obecności kilku dziennikarzy ze swojego kraju, którzy teraz udają się do pokoju prasowego. Sokołow, z dymiącym papierosem w palcach, przechodzi bardzo blisko Maxa, krzyżuje swój wilgotny niebieski wzrok ze spojrzeniem matki przeciwnika i kieruje w jej stronę krótkie skinienie głowy.

– Rosjanie mają tę przewagę, że otrzymują subwencje ze swojej federacji i dostają poparcie całego aparatu państwowego – wyjaśnia Mecha. – Popatrz na tego grubaska w szarej marynarce; to *attaché* do spraw kultury i sportu w ich ambasadzie w Rzymie... Kolejny w orszaku jest arcymistrz Koliszkin, prezes Radzieckiej Federacji Szachowej. Ten jasnowłosy wielkolud nazywa się Rostow, niemal został mistrzem świata, a teraz jest analitykiem Sokołowa... I możesz nie mieć wątpliwości, w tej grupie jest przynajmniej kilku agentów KGB.

Patrzą, jak Rosjanie oddalają się korytarzem w stronę holu i budynku mieszkalnego obok ogrodów hotelowych, gdzie ich ekipa zajmuje osobne apartamenty.

– Zachodni szachiści tymczasem – dodaje kobieta – sami muszą zarabiać na życie albo poświęcać swój czas na robienie czegoś, dzięki czemu mogą grać... Jorge miał szczęście.

– Bez wątplenia. Miał ciebie.

– No cóż... Można i tak powiedzieć.

Patrzy jeszcze w korytarz, zastanawiając się, czy dodać coś czy nie. W końcu odwraca się do Maxa i uśmiecha się z nieobecną miną. Zamyślona.

– Co się stało? – pyta Max.

– Myślę, że nic. To, co zwykle w takiej sytuacji.

– Wyglądasz na zmartwioną.

Kobieta waha się jeszcze chwilę. W końcu jej szczupłe i eleganckie dłonie ze starczymi plamkami na grzbiecie robią nieokreślony gest.

– Przed chwilą Jorge, wychodząc, powiedział: „Coś jest nie w porządku”. Nie podoba mi się, jak to mówił... Jak na mnie patrzył.

– A ja wcale nie widzę, żeby twój syn był zmartwiony.

– On taki jest. Lubi sobie tworzyć taki wizerunek. Sympatyczny i towarzyski, sam widzisz. Beztroski, jakby nic go to nie kosztowało. Ale nie wyobrażasz sobie, ile godzin pracuje, uczy się, jakiego dokonuje wysiłku. I ciągle w tym wyczerpującym stresie.

Układa na twarzy zmęczoną minę, jakby stres wyczerpywał ją także.

– Chodź. Zaczepniemy powietrza.

Wychodzą korytarzem na taras, gdzie prawie wszystkie stoliki są zajęte. Poza balustradą, na której świeci zapalona latarnia, Zatoka Neapolitańska stanowi okrąg ciemności, nad którym migoczą odległe światła. Max daje znak *maitre*'owi, który prowadzi ich do stolika, gdzie siadają. Potem zamawia dwa koktajle z szampana u usłużnego kelnera, który zastępuje *maitre*'a.

– Co się właściwie dziś stało? Dlaczego partia została przerwana?

– Bo wyczerpali czas. Każdy gracz dysponuje czterdziestoma ruchami albo dwiema i pół godziną gry. Kiedy ktoś wyczerpie swój regulaminowy czas, przegrywa, a gdy wykona czterdzieści posunięć, partia jest przekładana na następny dzień.

Max pochyla się nad stolikiem, żeby zapalić papierosa, którego kobieta wsunęła do ust. Potem zakłada nogę na nogę, starając się nie zniekształcić kantu na spodniach: to gest mechaniczny, z czasów kiedy elegancja była jeszcze jego narzędziem pracy.

– Nie zrozumiałem, o co chodzi z tymi zamkniętymi kopertami.

– Przed odejściem Sokołów zanotował miejsca figur na szachownicy, żeby móc jutro odtworzyć dzisiejszą sytuację. Teraz ruch będzie miał Jorge. Zatem kiedy zdecydował, jaki będzie jego następny ruch, też zanotował to w tajemnicy i kartkę w zamkniętej kopercie przekazał sędziemu. Jutro sędzia otworzy kopertę i wykona na szachownicy ruch zapisany przez Jorgego, po czym uruchomi zegar i powrócą do gry.

– Czyli pierwszy ruch będzie miał Rosjanin?

– Właśnie.

– Chyba ma o czym myśleć dziś w nocy.

Wszyscy mamy o czym myśleć, odpowiada Mecha. Kiedy się przekłada partię, sekretne zagranie staje się problemem dla obu przeciwników: jeden zastanawia się, z jakim ruchem przyjdzie mu się zmierzyć, a drugi próbuje ustalić, czy ruch, który zapisał, jest najlepszym z możliwych posunięć, czy przeciwnik go nie odkrył i czy nie będzie miał przygotowanej reakcji.

– Czyli – stwierdza – to oznacza kolację, śniadanie i obiad z kieszonkową szachownicą przed nosem, wielogodzinną pracę z asystentami, myślenie o tym pod prysznicem, kiedy myjesz zęby, kiedy budzisz się w środku nocy... Najgorszą obsesją szachisty jest przerwana i odłożona partia.

– Taka jak nasza – zauważa Max.

Nie zwracając uwagi na popielniczkę, jak to ma w zwyczaju, Mecha strząsa na ziemię popiół z papierosa, po czym znów się zaciąga. Jak zawsze, kiedy jest mało światła, jej skóra zdaje się młodnieć, a twarz pięknieje. Spojrzenie oczu w kolorze miodu, takich samych jak te, które pamięta, nie odrywa się od niego.

– Tak, w pewnym sensie – odpowiada kobieta. – To też była odłożona partia... W dwóch częściach.

W trzech, myśli Max. Następna właśnie się toczy. Ale tego nie mówi.

Kiedy samochód zatrzymał się między ulicami Garibaldi i Pedro de Mendoza, ciemność rozjaśniał młody, wąski księżyc, konkurując z różową poświatą latarni świecącej pomiędzy gałęziami drzewa. Wsiadając z samochodu, Max ukradkiem zbliżył się do Mechy, przytrzymał ją za ramię i szybko rozpiął zamek naszyjnika z pereł, który wpadł do drugiej ręki, a następnie wsunął go do kieszeni marynarki. Zobaczył oczy kobiety, zaskoczone i szeroko otwarte, pomiędzy mrokiem i odległym światłem elektrycznym, położył palce na jej ustach, uciszając słowa, które zamierzała wypowiedzieć. Potem, kiedy już odchodzili od samochodu, fordanser podszedł do otwartej szyby.

– Zatrzymaj to – powiedział cicho.

Petrossi wziął naszyjnik bez komentarza. Daszek czapki zasłaniał mu twarz, Max nie mógł więc dobrze widzieć jego miny. Za ledwie błysk w oku. Niemal porozumiewawczy, jak mu się wydało.

– Może mi pan pożyczyć pistolet?

– Jasne.

Kierowca otworzył schowek i podał Maxowi mały, ciężki browning, na którym nikiel rozbłysnął na chwilę w mroku.

– Dziękuję.

Max dołączył do reszty, udając, że nie widzi pytającego spojrzenia Mechy, jakie mu rzuciła, kiedy się pojawił.

– Sprytny chłopiec – szepnęła.

Mówiąc to, chwyciła go całkiem naturalnie pod ramię. O dwa kroki w przód Rebenque zachwalał zalety eteru Squibb, sprzedawanego w aptekach, którego wystarczyło, jak mówił, wlać odrobinę do szklanki i wachać pomiędzy dwoma kieliszkami, żeby poczuć się jak w niebie. Choć ravioli od Margot – uśmiech cwaniaka, który już jest prawdziwym kumplem – są niepokonane. Chyba że państwo woleliby coś mocniejszego.

– Jak bardzo mocnego? – chciał wiedzieć de Troeye.

– Opium, przyjacielu. Albo haszysz, jeśli państwo wolą. Nawet morfina. Jest wszystko.

Przeszli na drugą stronę ulicy, starając się nie potknąć na opuszczonych szynach kolejowych, pomiędzy którymi rosły chwasty. Max czuł krzepiący ciężar broni w kieszeni, kiedy patrzył na plecy oprycha, obok którego de Troeye szedł tak zadowolony, jakby się przechadzał po ulicy Florida, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy i ze stukającą obcasami tancerką, uwieszoną mu u ramienia. Dotarli do Casa Margot, który był wałącą się rudera z śladami dawnej świetności, stojącą obok małej restauracji już zamkniętej o tej porze, z wejściem zasypanym odpadkami krewetek i śmieciami, widocznym poprzez rozwieszane pranie. Czuć było wilgoć i rybnie głowy, zjełczałe ciastka, ale też błoto Riachuelo, smołę i rdzę na kotwicach.

– To najlepsze miejsce w La Boca – powiedział Rebenque, a Max odniósł wrażenie, że jest jedynym, który wyczuł w tych słowach ironię.

Kiedy znaleźli się w środku, wszystko przebiegło bez zbędnych ceregieli. Lokal był dawnym burdelem, przemienionym w palarnię, a Margot, starsza kobieta o obfitych kształtach, z włosami ufarbowanymi na miedzianorudy kolor, po kilku słowach, jakie jej szepnął do ucha oprych, rozplynęła się w uprzejmościach i usłużności. Na ścianie w westybulu, zauważył Max, wisiały trzy zaskakujące portrety San Martina, Belgrano i Rivadavii, jakby chciano nadać nieco formalnego charakteru zamtuzowi dla doborowej klienteli, kiedy budynek pełnił jeszcze swoją poprzednią funkcję. Ale to było wszystko, co można by tam nazwać porządnym. Na całym parterze rozciągał się zadymiony, ciemny salon, zamiast elektrycznością oświetlany starymi lampami naftowymi, z których wyziewy tworzyły dziwną atmosferę. Czuć było zapach nafty zmieszanej

z produktem owadobójczym Bufach, tytoniem i haszyszem, którym przesiąkały ubrania, zasłony i meble, a na to nakładał się pot około pół tuzina par – niektóre składały się z dwóch mężczyzn – tańczących bardzo powoli, niemal nieruchomo, obojętnych na muzykę, puszczaną przez młodego Chińczyka o pejsach przyciętych w szpic, w stylu typowego filmowego zdrajcy, który pilnował gramofonu, zmieniał płyty i nakręcał korbką sprężynę. Casa Margot, uznał Max, potwierdzając swoje wcześniejsze obawy, było jednym z tych miejsc, gdzie przy pojawieniu się pierwszego problemu noże i brzytwy mogły wyskoczyć spod kamizelek, zza pasków, ze spodni, a nawet z butów.

– Wspaniałe i autentyczne – podziwiał de Troeye.

Mecha też wydawała się zachwycona miejscem. Przyglądała się wszystkiemu błyszczącymi oczami, z lekkim uśmiechem i rozchyłonymi ustami, jakby oddychanie tą atmosferą ożywiało jej zmysły. Czasem jej spojrzenie spotykało się ze wzrokiem fordansera, odkrywając mieszaninę podniecenia, wdzięczności i obietnic. Max poczuł, że w jednej chwili jego pożądanie stało się natychmiastowe i fizyczne, zajmując miejsce niepokoju, którego powodami były i lokal, i towarzystwo. Z rozkoszą patrzył z bardzo bliska na biodra Mechy, gdy właścicielka prowadziła ich wszystkich na górne piętro, do pokoju umeblowanego w stylu tureckim, oświetlonego dwiema lampami stojącymi na niskim stoliku, z leżącymi na podłodze dywanami pełnymi wypalonych dziur i dwiema wielkimi otomanami. Kilka butelek tak zwanego szampana i dwa pęczki papierosów przyniósł ogromny kelner z przedziałkiem na środku głowy, wyglądający na odpustowego siłacza, po czym wszyscy rozsiedli się na otomanach, poza Rebenquem, który zniknął z szefową, bo – jak powiedział z uśmiechem – musiał poszukać prosa dla kanarków. Wtedy fordanser podjął już decyzję i wyszedł na korytarz, żeby poczekać, jak będzie wracał. Z dołu przez schody

dobiegały takty *Caminito del taller* wyrwanych przez igłę gramofonu z rowka w bakelicie. Wkrótce pojawił się oprych – niósł tytoń zwinięty z haszyszem i jakieś pół tuzina półgramowych torebek z olejowanego papieru.

– Muszę pana poprosić o przysługę – powiedział Max. – Jak mężczyzna mężczyznę.

Facet popatrzył na niego z nagłą obawą, szacując jego zamiary. Uśmiech ciągle przyklejony pod kreolskim wąsem stygł mu na wargach.

– Od jakiegoś czasu jestem z tą panią – ciągnął Max bez zmruczenia oka. – A mężowi podoba się Melina.

– I co?

– Pięć to liczba nieparzysta.

Ten drugi wydawał się zastanawiać nad naturą liczb parzystych i nieparzystych.

– Daj spokój – odezwał się w końcu. – Masz mnie za durnia, kolego.

Gwałtowny ton nie zaniepokoił Maxa. Jeszcze nie. Byli tylko, na razie, dwoma podmiejskimi kundlami, jeden ubrany znacznie lepiej niż drugi, obwąchującymi się na ulicy. Można się dogadać.

– Za wszystko się zapłaci – powiedział, akcentując wszystko, kiedy patrzył na półgramowe torebki i haszysz. – To i tamto. Wszystko, ile trzeba.

– Mąż to nadziany frajer – stwierdził Rebenque zamyślony, jakby się dzielił refleksją. – Widziałeś jego buty? Dupek rzyga forszą, jak w Paryżu.

– Wróci do hotelu z pustym portfelem. Ma pan moje słowo.

Ostatnie zdanie zdawało się podobać oprychowi, przyglądał się Maxowi znowu z uwagą. W Barracas i w La Boca dane słowo każdy rozumie. Tu bardziej szanowało się słowo niż w Palermo czy Belgrano.

– Co się stało z naszym panem? – oprych dotknął białej chustki, którą nosił związaną na szyi, niby krawat. – Już go nie ma na sobie.

– Widać zgubiła. Ale o tym nie ma mowy, to inna liga.

Facet patrzył mu ciągle w oczy, nie tracąc zimnego uśmiechu.

– Melina to droga lala... Trzydziestka za noc – przeciągał sylaby, niczym w rytm tanga, tak jakby ambicja wzmocniła jego akcent. – Prawdziwy pączuś.

– Pewnie. Proszę się nie martwić. Wszystko się opłaci.

Oprych dotknął runda kapelusza i przesunął trochę w tył, a zza ucha wyjął niedopałek cygara. Nadal patrzył na Maxa podejrzliwie.

– Ma pan moje słowo – ten powtórzył.

Rebenque pochylił się milcząco i zapalił zapałkę o podeszwę buta. Potem wrócił do obserwacji swojego rozmówcy, poprzez pierwsze kłęby dymu. Max wsunął rękę do kieszeni spodni, dokładnie pod ciężar browninga.

– Mógłby się pan czegoś napić na dole – zaproponował – posłuchać ładnej muzyki i zapalić dobre cygaro. Całkiem spokojnie... A potem się spotkamy.

Facet patrzył na schowaną rękę. Może domyślał się kształtu broni.

– Jestem raczej spłukany, kolego. Daj pan kilka papierków zaliczki.

Max spokojnie wyjął rękę z kieszeni. Dziewięćdziesiąt pesos. Tyle mu zostało, poza czterema banknotami pięćdziesięciopesowymi, schowanymi za lustrem w pokoju hotelowym. Rebenque wziął pieniądze bez liczenia, w zamian dał mu sześć torebek kokainy. Po trzy peso za każdą, powiedział obojętnie, a haszysz jest w prezencie od firmy. Potem się rozliczą. Przy podliczaniu wszystkiego.

– Dużo tam sody? – spytał Max, patrząc na ravioli.

– Tyle co zwykle. – Oprych postukał się w nos długim paznokciem małego palca. – Ale wchodzi bardzo dobrze, jak po maśle.

– Daj się jej pocałować, Max.

Fordanser odmówił. Stał, w zapiętej marynarce, opierając się o ścianę, przy jednej z tureckich otoman, obok okna wychodzącego na ciemność nad ulicą Garibaldiego. Aromatyczny dym z haszyszu, który unosząc się w łagodnych spiralach, sprawiał, że przymykał oczy. Krótco pociągnął papierosa, który palił się w jego palcach.

– Wolalbym, żeby całowała twojego męża... On bardziej się jej podoba.

– Zgoda – zaśmiał się Armando de Troeye, opróżniając kieliszek szampana, który trzymał w ręce. – Niech mnie całuje.

Kompozytor siedział na drugiej otomanie, w kamizelce i koszuli, z podwiniętymi rękawami i rozluźnionym węzłem krawata, marynarka leżała byle jak na ziemi. Abażury na lampach naftowych pozostawiały pokój w zielonkawym mroku i rzucały mieniące się, oleiste blaski na skórę obu kobiet. Mecha była przy swoim mężu, opierała się leniwie na poduszkach z fałszywego adamaszku, siedziała z odsłoniętymi ramionami i skrzyżowanymi nogami. Zdjęła buty i od czasu do czasu podnosiła do ust papierosa z haszyszem, zaciągając się głęboko.

– Całuj go, no już. Całuj mojego mężczyznę.

Melina, tancerka tanga, stała pomiędzy dwiema otomanami. Chwilę wcześniej wykonała rodzaj karykatury tańca jakby w rytm muzyki dobiegającej z dołu, prawie niesłyszalnej przez zamknięte drzwi. Była bosa, oszołomiona haszyszem, w bluzce rozpiętej na piersiach, które kołysały się, ciężkie i twarde. Pończochy i bielizna leżały na dywanie, wyglądały jak zmięte ścinki czarnego jedwabiu, a po ostatnich krokach cichego,

wyuzdanego tańca trzymała jeszcze w dłoniach sięgającą teraz do pól uda wąską spódnicę, w apaszowskim stylu.

– Pocałuj go – upierała się Mecha. – W usta.

– Tak nie całuję – protestowała Melina.

– Jego tak... Albo zaraz sobie stąd pójdiesz.

Śmiał się de Troeye, kiedy dziewczyna podeszła do niego, odgarniając jasne włosy z twarzy, weszła na otomanę, siadła na nim okrakiem i zaczęła całować jego usta. Żeby robić to w tej pozycji, musiała unieść jeszcze wyżej spódnicę, a zielone oleiste światło naftowe zabłysło na skórze jej gołych nóg.

– Miałeś rację, Max – powiedział kompozytor cynicznie. – Ja jej się bardziej podobam.

Wsunął dłonie pod bluzkę i pieścił piersi tancerki. Dzięki dwom torebkom kokainy, które otwarte i puste, leżały na orientalnym stoliku, kompozytor wydawał się całkiem przytomny, mimo ogromnych ilości alkoholu, jakie o tej porze już miał we krwi. Jego upojenie można było dostrzec jedynie, zauważył fordanser z zainteresowaniem niemal profesjonalnym, w pewnej niezręczności ruchów i w sposobie mówienia, kiedy z trudem znajdował słowa, które utknęły mu na języku.

– Naprawdę nie chcesz spróbować? – zaproponował znów de Troeye.

Max uśmiechnął się wymijająco, ostrożnie i bardzo spokojnie.

– Później... Może później.

Mecha milczała, z dymiącym papierosem w ustach, kiwając jedną z bosych stóp. Max zauważył, że nie patrzy na Melinę i de Troeye, ale na niego. Jej twarz była bez wyrazu, może trochę zamyślona, jakby scena z mężem i inną kobietą była jej obojętna albo zносиła ją tylko z powodu fordansera. Mając jedynie na celu obserwowanie jego podczas tego wszystkiego.

– Na co czekasz? – odezwała się naraz.

Powoli wstała, poprawiając dół sukni gestem niemal oficjalnym, papieros z haszyszem mając ciągle w ustach, chwyciła Melinę za ramiona, podniosła ją, odsuwając od męża, i zaprowadziła do Maxa. Kobieta pozwalała ze sobą robić wszystko, posłuszna jak karne zwierzę, z odsłoniętymi piersiami, do których pot lepił rozpiętą bluzkę.

– Ładna i wulgarna – powiedziała Mecha, patrząc Maxowi w oczy.

– Gównu mnie obchodzi – odpowiedział niemal ze słodyczą.

To był pierwszy raz, kiedy z jego ust padło ostre słowo w towarzystwie małżonków de Troeye. Mecha przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie, trzymając obie ręce na ramionach Meliny, potem popchnęła ją lekko, tak że wilgotne, ciepłe piersi tancerki oparły się na torsie Maxa.

– Bądź dla niego dobra – szepnęła Mecha kobiecie do ucha. – To miły chłopak z tych okolic... I świetnie tańczy.

Melina niezdarnie szukała, lekko zamulona, ust mężczyzny, ten jednak odsunął ją z niesmakiem. Wyrzucił przez okno niedopałek i z bliska wytrzymał spojrzenie Mechy, niewyraźne w zielonkawej poświacie lamp. A ona przyglądała mu się z pozornym chłodem, jakby profesjonalnym, zauważył. Z najwyższym zaciekawieniem, niemal naukowym. Tymczasem tancerka rozpięła marynarkę i kamizelkę Maxa, potem zajęła się guzikami przy szelkach i w pasku spodni.

– Niepokojący, grzeczny chłopiec – upierała się Mecha zagadkowo.

Naciskała rękami na ramiona Meliny, nakłaniając ją do klęknienia przed Maxem i zbliżenia twarzy do jego członka. W tym momencie za plecami kobiet rozległ się głos de Troeye:

– Nie zostawiajcie mnie z boku, do jasnej cholery.

Niewiele razy widział Max tak ogromną pogardę jak ta, która rozblęśla w oczach Mechy, kiedy odwróciła się do męża, nie otwierając ust. Oby,

pomyślał przelotnie, nigdy żadna kobieta na mnie nie spojrzała w ten sposób. Ze swojej strony, wzruszając ramionami, de Troeye, ograniczony do roli widza, napełnił kolejny kieliszek szampanem, opróżnił go jednym haustem i zabrał się do rozwijania kolejnego raviola z kokainą. Mecha znów odwróciła się do Maxa, a kiedy tancerka, potulnie klęcząc, dotarła już do celu swoich manewrów z niewielką gorliwością zawodową – miała przynajmniej wilgotny, ciepły język, docenił przytomnie Max – Mecha upuściła papierosa na dywan i zbliżyła usta do warg mężczyzny, nie dotykając ich, a tęczęwki jej oczu zabarwiły się od zielonkawej jasności naftowego płomienia. Pozostała tak dłuższą chwilę, nieruchomo patrząc na niego z bardzo bliska, szyja i twarz wycięte w świetle, usta o niecały cal od warg Maxa, którego zmysły pobudzało subtelne pulsowanie jej oddechu, bliskość szczupłego, delikatnego ciała, zapach haszyszu przenikającego przez skórę. Bardziej to niż niezręczne poczynania Meliny ożywiło jego pożądanie; i kiedy zeszytniał, napinając ubranie, Mecha, która najwyraźniej czekała na ten moment, gwałtownie odsunęła tancerkę i z całą siłą przylgnęła do ust Maxa, pociągając go na otomanę, a za ich plecami zabrzmiał uradowany śmiech jej męża.

– Chyba nie chcą państwo jeszcze iść – powiedział Juan Rebenque. – Tak wcześniej.

Jego niebezpieczny uśmiech zagroził im drogę do wyjścia, wyraźnie odsłaniając złe zamiary. Stał pośrodku korytarza, wyzywająco, z pochylonym rondem kapelusza i z rękami w kieszeniach spodni. Od czasu do czasu opuszczał wzrok na swoje buty, jakby chciał się upewnić, że ich błysk jest odpowiedni do tej sytuacji. Max, który to przewidział, popatrzył na kształt noża pod lewą połą marynarki oprycha. Potem zwrócił się do de Troeye.

– Ile masz przy sobie?

Na twarzy kompozytora były wyraźne oznaki dewastacji po nocy: zaczerwienione oczy, broda z wyraźnym zarostem, krawat zawiązany byle jak. Melina puściła jego ramię i opierała się o ścianę w korytarzu, z miną znudzoną i obojętną, jakby jej myśli w całości zaprzętała wizja łóżka, w którym można spędzić nieprzerwanie dwanaście godzin.

– Zostało mi jakieś pięćset pesos – mruknął de Troeye skonsternowany.

– Daj mi je.

– Wszystko?

– Wszystko.

Kompozytor był zbyt zmęczony i odurzony alkoholem, żeby protestować. Posłusznie, niezręcznym gestem, wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki i pozwolił, żeby Max chłodno go opróżnił. Ten zaś czuł na sobie spojrzenie Mechy – stała nieco z tyłu za nimi w korytarzu, z szalem zarzuconym na ramiona, obserwując całą scenę – ale nie spojrzał na nią ani przez moment. Musiał skupić się na pilniejszych sprawach. I do tego niebezpiecznych. Pierwszą i najważniejszą było z jak najmniejszymi problemami dotrzeć do pierce-arrowa, gdzie czekał Petrossi.

– Oto, proszę – powiedział do oprycha.

Ten policzył banknoty bez mrugnięcia okiem. Kiedy skończył, postukał nimi w palce jednej ręki zamyślony. Potem schował je do kieszeni i jego uśmiech zrobił się szerszy.

– Koszty były wyższe – odezwał się flegmatycznie, przeciągając wyraźnie sylaby. Nie patrzył na de Troeye, ale na Maxa. Jakby to była osobista sprawa między nimi.

– Nie sędzę – odrzekł Max.

– Radzę pomyśleć, kolego. Melina to śliczna dziewczyna, prawda? Trzeba też było zdobyć olejowane papierki i całą resztę – popatrzył na

Mechę bezczelnie. – Pani, pan i ten głupek mieliście przyjemną noc...
Postarajmy się, żeby taka była dla wszystkich.

– Nie zostało ani centa – powiedział Max.

Facet uśmiechnął się szerzej, doceniając użycie terminu należącego do miejscowego słownictwa.

– A pani?

– Nie nosi pieniędzy.

– Wydaje mi się, że miała perły.

– Ale już nie ma.

Zbir wyjął ręce z kieszeni i rozpiął marynarkę. Kiedy to zrobił, kościana rączka noża mignęła w wykroju kamizelki.

– Trzeba to będzie sprawdzić. – Patrzył na złotą dewizkę, błyszczącą na ubraniu de Troeye. – Chciałbym też spytać o godzinę, bo mój zegarek stanął.

Max spojrział uważnie na mankiety koszuli i na kieszenie oprycha.

– Nie wygląda pan na kogoś, kto nosi zegarek.

– Nie, bo stanął lata temu... Po co miałbym nosić stojący zegarek?

Nie warto, myślał Max, dać się zabić za zegarek. Ani nawet za naszyjnik z pereł. Było jednak w uśmiechu łotra coś, co go irytowało. Być może zbyt wiele rezonu. Nadmierna pewność niejakiego Juana Rebenque, że jedynie on stąpa po swoim terenie.

– Wspominałem już, że jestem z Barracas, z ulicy Vieytes?

Uśmiech faceta pociemniał, jakby nagle gęsty wąż rzucił cień na usta. I co z tego, mówiła jego twarz. Tym bardziej teraz, w środku nocy.

– Nie wtrącaj się – rzucił oschle.

Jego wyraz twarzy sprawił, że nagłe przejście na ty było niepokojące. Max przeanalizował to powoli, umieszczając groźbę na gruncie, na którym

padła. Postawa faceta, hol, drzwi, ulica z oczekującym ich samochodem. Nie można wykluczyć, że Rebenque ma w pobliżu jakiegoś kumpla gotowego przyjść mu w sukurs.

– Jeśli dobrze pamiętam, w naszej dzielnicy szanowaliśmy zwyczaje – dodał Max bardzo spokojnie. – Słowo miało swoją wagę.

– I co?

– Kiedy chciałeś zegarek, to go kupowałeś.

Na twarzy oprycha nie było już uśmiechu. Jego miejsce zajął niebezpieczny grymas. Okrutnego wilka, który zaraz będzie kąsał.

– Jesteś durniem czy tylko udajesz?

Kciuk muskał tkaninę kamizelki, jakby już się piął w drodze do kościanej rączki. Jednym rzutem oka fordanser obliczył odległości. Dzieliły go trzy kroki od noża faceta naprzeciwko, który musiał wyciągnąć go jeszcze z pochwy. Niemal niedostrzegalnie Max przesunął się w bok, stając mu na lewej flance, by w ten sposób móc się lepiej bronić ramieniem i ręką. Nauczył się tego rodzaju obliczeń – milczącej i niezbędnej wstępnej choreografii – w burdelach dla legionistów w Afryce, kiedy w powietrzu latały rozbite butelki i noże. Gdy się szczeka, lepiej być psem.

– O mój Boże... Przestańcie się bawić w koguciki – zabrzmiał głos Mechy za jego plecami. – Chce mi się spać. Dajcie mu zegarek i chodźmy stąd.

Nie chodziło o koguciki, dobrze wiedział Max, ale nie była to odpowiednia pora na tłumaczenia. Zbira to dławilo już od dawna, prawdopodobnie właśnie z powodu Mechy. Pewnie od pierwszego razu kiedy ją zobaczył. Od tanga. Nie mógł wybaczyć, że tej nocy został wyłączony z gry, a alkohol, który zapewne towarzyszył mu podczas oczekiwania, nie polepszył sprawy. Zegarek, naszyjnik powierzony Petrossiemu, dziewięćdziesiąt pesos Maxa i te pięćset, które właśnie oddał

de Troeye, były tylko pretekstem, żeby wyciągnąć nóż, który uciskał go pod pachą. Chciał przed Mechą zademonstrować, jaki jest twardy.

– Wyjdźcie – odezwał się Max do kobiety i jej męża, nie odwracając się. – Prosto do samochodu.

Być może to była kwestia tonu. Sposób, w jaki wytrzymał zacięte spojrzenie Rebenquego. Mecha nie powiedziała nic więcej. Po paru sekundach Max zauważył kątem oka, że i ona, i jej mąż przeszli bliżej niego, w stronę drzwi, przyklejeni do ściany.

– Co za pośpiech – powiedział oprych. – A przecież mamy dużo czasu.

Gardzę nim, bo znam go jak zły szeląg, pomyślał Max. Ja sam mógłbym nim być. Jego błąd polega na myśleniu, iż dobrze skrojony garnitur powoduje, że się różnimy. Że zaciera się pamięć.

– Wyjdźcie na ulicę – powtórzył do obojga de Troeye.

Kciuk zbira przysunął się jeszcze bliżej noża. Był o centymetr od rękojeści, kiedy Max włożył prawą dłoń do kieszeni marynarki, dotykając ciepłego metalu browninga, kaliber 6,35 – do jego magazynku po kryjomu wsunął nabój, zanim zeszli do holu. Jednym palcem, bez wyjmowania z kieszeni, odbezpieczył go. Spod ronda kapelusza czarne zamysłone spojrzenie Rebenquego śledziło każdy ruch fordansera. W tle, pośród dymnej mgły salonu, z gramofonu zaczęły płynąć pierwsze takty tanga *Mano a mano*.

– Nikt stąd nie wyjdzie – odezwał się butnie zbir.

Potem zrobił krok do przodu, zapowiadając tym gestem stalowe ruchy w powietrzu. Już wsuwał prawą dłoń w wycięcie kamizelki, kiedy Max ustawił mu browninga przed nosem. Mierząc między oczy.

– Od kiedy to wymyślono – powiedział spokojnie – już nie ma twardzieli.

Oznajmił to bez hałasu czy arogancji, cichym głosem, dyskretnie, jakby chodziło o zwierzenia między kumplami, twarzą w twarz. Wierząc równocześnie, że nie zadrży mu ręka. Facet patrzył w czarny otwór lufy z poważną miną. Niemal w zamyśleniu. Wyglądał na zawodowego gracza, pomyślał Max, który zastanawia się, ile asów zostało w talii leżącej na stole. Musiał uznać, że niewiele, bo po chwili odsunął palce od rękojeści noża.

– Nie byłbyś taki chojrak, gdybym też miał gnata – zauważył, wpatrując się w niego przebiegle.

– Pewnie, że nie – przyznał Max.

Jeszcze przez chwilę facet wytrzymał jego spojrzenie. W końcu wskazał ruchem brody na drzwi.

– Zjeżdżać!

Powrócił mu uśmiech na usta. W tym samym stopniu zrezygnowany, co niebezpieczny.

– Wsiadajcie do samochodu – polecił Max Mechy i jej mężowi, ciągle mierząc do zbira.

De Troeye wyszli – przy szybkim stukocie obcasów po drewnianej podłodze – a zbir nawet nie rzucił na nich okiem. Jego źrenice nadal były utkwione w fordanserze, pełne najgorszych i nieprawdopodobnych obietnic.

– Nie chciałbyś spróbować, kolego?... W dzielnicy jest dość noży. To są narzędzia dla mężczyzn. Ktoś może ci pożyczyć.

Max uśmiechnął się szorstko.

– Może innego dnia. Dziś się spieszę.

– Wielka szkoda.

– Tak.

Wyszedł na ulicę, nie przyspieszając kroku, chowając pistolet i wdychając z ulgą i przyjemnością świeże, wilgotne powietrze świtu. Pierce-arrow stał przed wejściem z zapalonym silnikiem i włączonymi światłami; a kiedy fordanser wsiadł do niego z głośnym trzaśnięciem drzwiczek, Petrossi zwolnił hamulec, wrzucił bieg i ruszył z głośnym piskiem opon. Gwałtowny ruch spowodował, że Max upadł na tylne siedzenie pomiędzy de Troeye.

– O mój Boże – mruzczał mąż zadziwiony. – Co za noc, kompletna, ze wszystkim.

– Przecież chciałeś starą gwardię, może nie?

Rozparta na skórzanych poduszkach Mecha pokładała się ze śmiechu.

– Chyba się właśnie zakochałam w Maksie... Nie masz nic przeciwko, Armando?

– Absolutnie. Ja też go kocham.

Przepiękne ciało. Wspaniałe. Być może te właśnie słowa dokładnie opisywały widok śpiącej nieruchomo kobiety, który Max kontemplował w półmroku sypialni, w zmiętej pościeli. Nie ma takiego malarza ani fotografa, stwierdził fordanser, który byłby zdolny wiernie oddać te linie wydłużone i doskonale, zestawione przez naturę z wyborną perfekcją na nagich plecach, ramionach ułożonych pod idealnymi kątami, obejmujących poduszkę, w łagodnym łuku bioder, ciągnącym się w nieskończoność w kształcie smukłych nóg, które lekko rozłożone, odsłaniały nieco, kiedy się patrzyło z tyłu, jej seks. I jako idealne centrum, w którym zbiegały się wszystkie długie linie i łagodne łuki, nagi kark, subtelny, z włosami obciętymi dokładnie nad nim, który Max delikatnie musnął wargami, zanim wstał, żeby upewnić się, czy Mecha śpi.

Kiedy się ubrał, zgasił papierosa, którego palił, i poszedł do łazienki – marmur i białe kafelki – gdzie zawiązał krawat przed wielkim lustrem wiszącym nad umywalką. Następnie przeszedł przez sypialnię, zapinając kamizelkę i rozglądając się za marynarką i kapeluszem, które zostawił w angielskim salonie ogromnego apartamentu w Palace, obok włączonej lampy i mahoniowej sofy, gdzie Armando de Troeye, w wymiętym ubraniu, z odpiętym kołnierzykiem i w skarpetkach, spał skulony jak pijany włóczęga na ulicznej ławce. Hałas kroków sprawił, że kompozytor otworzył oczy i poruszył się półprzytomny na obiciu z czerwonego aksamitu.

– Co się dzieje, Max? – spytał z drewnianym, ospałym językiem.

– Nic się nie dzieje. Zostawiłem Petrossiemu naszyjnik Mechy, idę po niego.

– Grzeczny chłopiec.

De Troeye zamknął oczy i odwrócił się. Max przez chwilę jeszcze go obserwował. Pogarda, jaką żywił do tego człowieka, konkurowała z zadziwieniem tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin. Przez chwilę czuł chęć, żeby stłuc go, bez litości czy wyrzutów sumienia, to jednak – stwierdził chłodno – nie wnosi niczego praktycznego do całej sytuacji. Inne sprawy były pilniejsze. Zastanawiał się nad nimi długo, nieruchomo leżąc obok zmęczonej, śpiącej Mechy, a świeże wspomnienia i doznania przemykały mu przez głowę niczym kamienie unoszone wartkim prądem strumienia: droga przez hotelowy hol, podtrzymywanie męża, nocny portier dający im klucz, winda i wejście do pokoju, pomruki i tłumione śmiechy. A potem de Troeye patrzący na nich szklanym wzrokiem ogłuszonego zwierzęcia, kiedy kobieta i Max rozbierali się, żeby do siebie przywrzeć w namiętym uścisku, przy kompletnym braku skrępowania, sycąc się wzajemnie ustami i ciałem, i gdy cofali się, potykając, do sypialni, gdzie nie zamykając drzwi, zerwali narzutę z łóżka,

a on zanurzył się w ciele kobiety z rozpaczliwą niecierpliwością, bardziej przypominając porachunki niż akt namiętności czy miłości.

Bardzo ostrożnie zamknął za sobą drzwi, starając się robić jak najmniej hałasu, i wyszedł na korytarz. Stąpał po dywanie tłumiącym odgłos jego kroków, ominął windę i zszedł szerokimi marmurowymi schodami, zastanawiając się nad następnymi ruchami. Nie było prawdą, że perły Mechy zostały w limuzynie. Wysiadając z samochodu przed hotelem, kiedy mówił szoferowi, żeby poczekał i zawiózł go potem do pensjonatu Caboto, Max oddał Petrossiemu pistolet i odebrał naszyjnik, który wsunął do kieszeni tak, że ani Mecha, ani jej mąż tego nie widzieli. Tam był cały czas i tam nadal czuł go Max w swojej lewej kieszeni marynarki, której dotykał, przechodząc pod kolumnadą w holu, pozdrawiając lekkim uniesieniem brwi nocnego portiera i wychodząc na zewnątrz, gdzie Petrossi drzemał w samochodzie w świetle latarni – czapka na sąsiednim siedzeniu, na złożonym egzemplarzu dziennika „La Nación” – z odrzuconą do tyłu na skórzanym oparciu głową, którą podniósł, kiedy Max zastukał kostkami palców w szybę.

– Proszę mnie zawieźć na aleję Admirala Browna... Nie, proszę nie wkładać czapki. Potem może pan jechać do domu.

Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Od czasu do czasu, kiedy światła odbijały się od fasad czy murów, rozjaśniając szarość zaczynającego się świtu, Max dostrzegał we wstecznym lusterku milczące spojrzenie kierowcy, które czasami krzyżowało się z jego wzrokiem. Kiedy pierce-arrow zatrzymał się przed pensjonatem, Petrossi wyszedł, żeby otworzyć drzwiczki przed Maxem, a ten wysiadł, z kapeluszem w ręce.

– Dziękuję, panie Petrossi.

Szofer patrzył na niego obojętnie.

– Nie ma za co.

Max zrobił krok w kierunku drzwi, ale nagle, odwracając się, stanął.

– Poznanie pana było przyjemnością – dodał.

W niewyraźnym świetle nie mógł być pewien, ale miał wrażenie, że Petrossi uśmiechał się.

– Wzajemnie, proszę pana. Cała przyjemność po mojej stronie.

Teraz nadeszła kolej Maxa, żeby się uśmiechnąć.

– Ten browning jest bardzo dobry. Proszę o niego dbać.

– Dobrze, że się panu przydał.

Lekka niepewność przemknęła przez spojrzenie szofera, kiedy fordanser spontanicznym gestem zdejmował z nadgarstka Longines'a.

– To nic takiego – powiedział, oddając mu go. – Ale nie mam ani peso w kieszeni.

Petrossi obracał zegarek w palcach.

– To nie jest konieczne – zaprotestował.

– Wiem, że nie. I dlatego jest naprawdę konieczne.

Dwie godziny po tym jak spakował walizki i wezwał taksówkę do pensjonatu Caboto, Max Costa wsiadał na nabrzeżu portowym na parowy prom Carrera, łączący oba brzegi La Platy; a nieco później, po załatwieniu formalności paszportowych i celnych, wychodził na ląd w Montevideo. Policyjne śledztwo, które kilka dni później odtworzyło krótki pobyt fordansera w urugwajskiej stolicy, wykazało, że na trasie z Buenos Aires poznał kobietę narodowości meksykańskiej, zawodową pieśniarkę, na kontrakcie w teatrze Royal Pigalle. Zamieszkał z nią w luksusowym apartamencie hotelu Plaza Victoria, skąd zniknął następnego dnia, pozostawiając swój bagaż i wysoki rachunek – pobyt, różne usługi, kolacja z szampanem i kawiozem – którym rozwścieczona Meksykanka musiała stawić czoło, absolutnie wbrew swojej woli, kiedy następnego dnia obudził

ją goniec z najlepszego w mieście sklepu futrzarskiego z płaszczem z gronostajów, który Max kupił dla niej poprzedniego wieczoru i który zgodnie z wydanymi instrukcjami należało przynieść do hotelu następnego dnia, kiedy zostaną otwarte banki.

A w tym czasie Max był już na pokładzie transatlantyku pływającego pod włoską banderą, Conte Verde, który kierował się w stronę Europy, z postojem w Rio de Janeiro; kiedy trzy dni później zszedł na ląd w tym brazylijskim mieście, zaginął po nim wszelki ślad. Ostatnim wydarzeniem przed opuszczeniem Montevideo, jak udało się ustalić, była sprzedaż naszyjnika z pereł Mechy Inzunzy pewnemu rumuńskiemu jubilerowi, właścicielowi sklepu antykwarycznego na ulicy Andes, znanemu paserowi kradzionych przedmiotów. Rumun, który nazywał się Troianescu, zeznał przed policją, że zapłacił za naszyjnik – dwie setki oryginalnych, doskonałych pereł – trzy tysiące funtów szterlingów. Co oznaczało, że według cen rynkowych zapłacił nieco ponad połowę jego rzeczywistej wartości. Wyglądało, że młodzieniec, który mu go sprzedał w kawiarni Vaccaro, polecony przez znajomego innego znajomego, bardzo się spieszył ze sfinalizowaniem transakcji. Miły chłopiec, to prawda. Dobrze ubrany i kulturalny. Z sympatycznym uśmiechem. Gdyby rzecz nie dotyczyła dwustu pereł i nie toczyła się w takim pośpiechu, pomyślałby, że ma przed sobą prawdziwego dżentelmena.

6. PROMENADA ANGLIKÓW

Po kolacji w hotelu Vittoria wychodzą na spacer, korzystając z dobrej pogody. Mecha przedstawiła Maxa całemu towarzystwu – „Drogi przyjaciel od tak wielu lat, że już nie pamiętam ilu” – a on włączył się do grupy bez wysiłku, z pewnością siebie, jaką zawsze okazywał, żeby dobrze wypaść w każdej sytuacji: sympatyczna naturalność, na którą składały się dobre manery i ostrożna pomysłowość; za ich pomocą otwierał wiele drzwi w dawnych czasach, kiedy każdy dzień był wyzwaniem i walką o przeżycie.

– Zatem mieszka pan w Amalfi? – zainteresował się Jorge Keller.

Max zachowuje absolutny spokój.

– Tak. Sezonowo.

– To piękne miejsce. Naprawdę zazdrozczę panu.

Miły chłopiec, stwierdza Max. W dobrej formie fizycznej, jak młodzi Amerykanie, którzy zdobywają uniwersyteckie trofea, ale ma też porządną europejską patynę. Zdjął krawat, rękawy ma podwinięte do łokci i z marynarką zarzuconą na ramiona niespecjalnie pasuje do wizerunku, jaki zazwyczaj przychodzi do głowy, kiedy się myśli o szachowym mistrzu świata. Nie wygląda na kogoś przejmującego się odłożoną partią. Przy kolacji był zabawny i swobodny, żartował ze swoim mistrzem i asystentem Karapetianem, który przy deserze postanowił wrócić do pokoju, żeby przeanalizować różne warianty tajnego ruchu i posunąć do przodu pracę, do jakiej będą się musieli zabrać jutro po śniadaniu razem z Kellerem i Iriną Jasenović. Zresztą właśnie Karapetian, zanim odszedł, zasugerował im pójście na spacer. Rozerwij się chwilę, zabierz ze sobą Irinę.

– Jak długo pracujecie razem? – spytał Max, obejrzawszy się za odchodzącym asystentem.

– Zbyt długo – westchnął Jorge żartobliwym tonem, jak uczeń mówiący o nauczycielu, który się właśnie odwrócił. – A to znaczy przeszło połowę mojego życia.

– Słucha bardziej jego niż mnie – zauważyła Mecha.

Młodzieniec roześmiał się.

– Ty jesteś tylko moją matką... A Emil to mój więzienny strażnik.

Max patrzył na Irinę Jasenović, zastanawiając się, w jakim stopniu ona może być kluczem do celi tego więzienia, o którym mówi Keller. Właściwie nie jest ładna, stwierdził. Atrakcyjna, może, dzięki swojej młodości, krótkiej spódniczce, bardzo w stylu *swinging London*, czarnym, lekko skośnym oczom. Robiła wrażenie milczącej i słodkiej. Bystra dziewczyna. Bardziej niż na zakochanych, ona i Keller wyglądali na młodych kumpli, którzy porozumiewają się bez słów, spojrzeniami czy znakami za plecami dorosłych, jakby łączące ich szachy były wspólnymi psotami. Inteligentnymi i skomplikowanymi harcami.

– Chodźmy się napić – proponuje Mecha. – O, tam.

Rozmawiając, przeszli przez San Antonio i ulicą San Francisco do ogrodów hotelu Imperial Tramontano, gdzie na estradzie pośród bugenwilli, palm i magnolii oświetlony lampionami zespół muzyczny gra dla jakichś trzydziestu osób – w koszulkach polo, swetrach na ramionach, minispódniczkach i dżinsach – zajmujących stoliki ustawione wokół parkietu położonego tuż przy spadku klifu, ponad czarnym pejzażem zatoki i odległymi światłami Neapolu w głębi.

– Mama nigdy o panu nie wspominała, o ile sobie przypominam... Jak się poznaliście?

– Na statku, pod koniec lat dwudziestych. W drodze do Buenos Aires.

– Max tańczył tam – dodaje Mecha.

– Tańczył?

– Tak, tańczył zawodowo, ze starszymi paniami i z dziewczynami, robił to zresztą bardzo dobrze... W dużym stopniu przyczynił się do powstania słynnego tanga mojego pierwszego męża.

Młody Keller przyjmuje te informacje obojętnie. Albo nie interesuje go tango, wnioskuje Max, albo nie lubi, jak jego matka wspomina życie z poprzednią rodziną.

– Ach, tak – reaguje chłodno. – Tango.

– A czym się pan teraz zajmuje? – interesuje się Irina.

Szofer doktora Hugentoblera układa odpowiedni wyraz twarzy, między przekonującym i niekonkretnym.

– Interesami – odpowiada. – Mam klinikę na północy.

– Całkiem niezłe – komentuje Keller. – Od fordansera do właściciela kliniki i willi w Amalfi.

– Z różnymi pośrednimi etapami, nie zawsze pełnymi sukcesów – precyzuje Max. – W ciągu czterdziestu lat wiele się zdarza.

– Poznał pan mojego ojca? Ernesta Kellera?

Nieokreślona mina, jakby się starał przywołać jego wspomnienie.

– To możliwe... Nie jestem pewien.

Wzrok Maxa napotyka spojrzenie Mechy.

– Poznałeś go na Riwierze – mówi kobieta spokojnie. – Podczas hiszpańskiej wojny domowej, w domu Suzi Ferriol.

– Tak, to prawda... Jasne.

Cała czwórka prosi o napoje – soki, woda mineralna i *negroni* dla Maxa. Kiedy kelner wraca z pełną tacą, perkusista uderza w bębny i talerze, brzmiały dwie gitary elektryczne i piosenkarz – dojrzały amant z tupecikiem i w fantazyjnej marynarce, naśladowujący styl Gianniiego Morandiego – zaczyna śpiewać *Fatti mandare dalla Mamma*. Jorge Keller i dziewczyna

wymieniają szybki pocałunek i wychodzą na parkiet, gdzie wśród innych par poruszają się zwinnie w szybkim rytmie twista.

– Niewiarygodne – odzywa się Max.

– Co ci się wydaje niewiarygodne?

– Twój syn. Jego sposób bycia. Zachowanie.

Kobieta patrzy na niego ironicznie.

– Masz na myśli kandydata do tytułu szachowego mistrza świata?

– No właśnie.

– Rozumiem. Spodziewałeś się bladego, nieśmiałego chłopca, w obłoku sześćdziesięciu czterech czarno-białych pól.

– Tak, kogoś w tym rodzaju.

Mecha kręci głową. Nie miej złudzeń, uprzedza go. Ten obłok jest przy nim. Choć wcale tak nie wygląda, chłopak ciągle rozgrywa odłożoną partię. Tym, co niewątpliwie różni go od innych, jest sposób, w jaki stawia czoło problemom. Niektórzy wielcy mistrzowie separują się od świata i życia i podobnie jak mnisi koncentrują się. Ale Jorge Keller jest inny. Jego sposób gry właśnie polega na projekcji szachów na świat i życie.

– Pod fałszywym pozorem normalności i witalności – kończy – tworzy swoją koncepcję przestrzeni i świata, która nie ma nic wspólnego z twoją ani z moją wizją.

Max potakuje skinieniem głowy, obserwując Irinę Jasenović.

– A ona?

– To dziwna dziewczyna. Nawet mnie nie udaje się dociec, co dzieje się w jej głowie... To świetna szachistka, bez dwóch zdań. Skuteczna i lotna... Ale nie wiem, na ile jej sposób bycia jest naturalny, a w jakim stopniu wpływa na nią związek z Jorgem. Nie wiem, jaka była przedtem.

– Nigdy nie sądziłem, że wśród kobiet też zdarzają się dobre szachistki... Myślałem zawsze, że to męski sport.

– Wcale tak nie jest. Wiele kobiet ma tytuł arcymistrzów, zwłaszcza w Związku Radzieckim. Tyle tylko że niewiele z nich osiąga światowe tytuły.

– Dlaczego?

Mecha pije łyk wody i zamyśla się na chwilę. Emil Karapetian, mówi w końcu, ma na ten temat swoją teorię. Rozegranie kilku partii nie jest tym samym co zagranie turnieju czy mistrzostw świata – to wymaga długotrwałego wysiłku, pełnej koncentracji i niezwyklej stabilności emocjonalnej. Kobietom, które podlegają wahaniom biologicznym, utrzymanie takiego regularnego stanu przez tygodnie czy nawet miesiące trwania turniejów, przychodzi znacznie trudniej. Takie czynniki jak macierzyństwo czy cykle menstruacyjne mogą załamać równowagę konieczną podczas najważniejszych rozgrywek szachowych. Dlatego jest ich tak niewiele na najwyższych szczeblach.

– Zgadzasz się z nim?

– Trochę tak.

– Irina też tak myśli?

– Nie, absolutnie. Uważa, że nie ma żadnej różnicy.

– A twój syn?

– Zgadza się z jej opinią. Uważa, że to kwestia utartych zachowań i przyzwyczajień. Jest przekonany, że opinia zmieni się w najbliższych latach, zarówno jeśli idzie o szachy, jak i o wszystkie inne sprawy... Które zresztą już się zmieniają z rewolucją młodzieżową, księżycem w zasięgu ręki, muzyką, polityką i tak dalej.

– Pewnie ma rację – przyznaje Max.

– Mówisz, jakbyś tego żałował.

Patrzy na niego z zainteresowaniem. Jej słowa zabrzmiały bardziej jak prowokacja niż jak zwykły komentarz. Max odpowiada z elegancją. Melancholijnie.

– Każda epoka ma swoją chwilę – mówi rozważnym tonem. – I swoich ludzi. Moja skończyła się dawno temu, a ja nie znoszę przeciągających się finałów. Powodują, że człowiek traci dobre maniery.

Mechę odmładza uśmiech, stwierdza Max, jakby wygładzał jej cerę. A może dzieje się tak za sprawą porozumiewawczego błysku w oczach, identycznego z tym, który pamięta.

– Nadal układasz ładne zdania, drogi przyjacielu. Zawsze się zastanawiałam, skąd je bierzesz.

Dawny fordanser lekko traktuje to pytanie, jakby odpowiedź była oczywista.

– Chyba łapię je to tu, to tam... Sztuka polega na ich użyciu w odpowiedniej chwili.

– Natomiast twoje maniery pozostają nienagane. Zachowałeś urok tego samego *charmeur*'a, jakiego poznałam czterdzieści lat temu na tym statku, białym i czystym, jakby świeżo wygotowanym... Przed chwilą mówiłeś o twojej epoce, nie włączając mnie do niej.

– Ty ciągle jesteś żywa. Wystarczy na ciebie spojrzeć, przy twoim synu i całej reszcie.

W pierwszym zdaniu zabrzmiał jakby żal i Mecha zastanawia się nad tym. Może nagle zaniepokojona. Przez chwilę Max czuje, jak słabnie jego osłona, żeby więc zyskać na czasie, pochyla się nad stołem i napełnia wodą szklankę kobiety. Kiedy opiera się na krześle, wszystko znów jest pod kontrolą. Ona jednak nadal przygląda mu się przenikliwie.

– Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz. Tym gorzkim tonem. Przecież nie poszło ci tak źle.

Max robi nieokreślony gest. To też, myśli, jest rodzajem gry w szachy. Być może przez całe życie nie robiłem niczego innego.

– Zmęczenie, to chyba właściwe słowo – odpowiada ostrożnie. – Mężczyzna powinien wiedzieć, kiedy nadchodzi właściwy moment, żeby rzucić palenie, picie albo życie.

– Następne ładne zdanie. Czyje ono jest?

– Zapomniałem – teraz się uśmiecha, znów panuje nad sytuacją. – Może nawet moje, wyobraź sobie. Jestem zbyt stary, żeby pamiętać.

– Powinien też wiedzieć, kiedy rzucić kobietę?... W swoim czasie byłeś w tym ekspertem.

Patrzy na nią z odmierzoną mieszaniną czułości i wyrzutu; ale Mecha gestem przeczy, odrzucając porozumienie, jakie tym spojrzeniem jej proponuje.

– Nie wiem, na co się skarżysz – upiera się. – Albo udajesz, że się skarżysz. Twoje życie było niebezpieczne... Mogłeś skończyć zupełnie inaczej.

– Chcesz powiedzieć: w nędzy?

– Albo w więzieniu.

– Poznałem i to, i to – przyznaje. – Niewiele i krótko, ale poznałem.

– To niesamowite, jakie zmiany zaszły w twoim życiu... Jak ci się to udało?

Max znów układa wieloznaczny wyraz twarzy, który może obejmować wszelkie dające się wyobrazić możliwości. Czasem jeden zbędny szczegół rujnuje najlepszy montaż.

– Po wojnie kilka razy mi się poszczęściło. Przyjaciele, interesy.

– I może jakaś kobieta z pieniędzmi?

– Raczej nie... Nie pamiętam.

Mężczyzna, którym Max był w innych czasach, teraz zapaliłby papierosa z powściągliwą miną, stwarzając wygodną pauzę. Ale już nie pali, natomiast poczuł w koktajlu *negroni* alkohol, jakby chodziło o strzał w żołądek. Zatem ogranicza się do wysiłku, by zachować niewzruszoną twarz. A myśli zajmuje marzenie o łyżeczce sodы rozpuszczonej w szklance ciepłej wody.

– Nie czujesz, Max, nostalgii? Za tamtymi czasami.

Kobieta obserwuje swojego syna i Irinę, nadal tańczących w świetle lampionów w parku. Teraz rocka. Max widzi, jak ruszają się na parkiecie, a potem przygląda się liściom żółciejącym w mroku albo tym leżącym na ziemi obok stolików.

– Czuję nostalgię za młodością – odpowiada – albo raczej za tym, co w młodości było możliwe... Z drugiej strony odkryłem, że jesień uspokaja. W moim wieku pozwala czuć się bezpiecznie, z dala od wiosennych zrywów.

– Nie bądź tak absurdalnie uprzejmy. Powiedz: w naszym wieku.

– Nigdy w życiu.

– Głuptas z ciebie.

Chwila miłego milczenia, znów porozumiewawczego. Mecha wyjmując z kieszeni kurtki papierosy i kładzie je na stole, nie zapalając.

– Wiem, o czym mówisz – odzywa się wreszcie. – Ze mną jest tak samo. Któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że na ulicach jest więcej nieprzyjemnych ludzi, że hotele nie są już tak eleganckie ani podróże tak zabawne... Że miasta są brzydsze, a mężczyźni grubiańscy i nieatrakcyjni... A na koniec wojna w Europie zmiotła wszystko, co zostało.

Znów milczy dobrą chwilę.

– Na szczęście był Jorge – dodaje.

Max kiwa głową w roztargnieniu, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Nie komentuje głośno, ale uważa, że kobieta się myli. Przynajmniej jeśli idzie o niego. Jego problemem nie jest nostalgia za minionym światem, ale coś dużo bardziej prozaicznego. Przez większą część swojego życia próbował, dostosowując się do scenerii, żyć w jej świecie, który waląc się, pociągnąłby go w ruiny. Kiedy to się w końcu stało, było zbyt późno, żeby zaczynać od początku: życie przestało być rozległym terenem łowieckim, pełnym kasyn, drogich hoteli, transatlantyków i luksusowych pociągów ekspresowych, gdzie forma przedziałka we włosach albo sposób zapalania papierosa mogły decydować o szansie na szczęście młodego śmiałka. Hotele, podróże, miejsca, mężczyźni grubiańscy i nieatrakcyjni, powiedziała Mecha z nadzwyczajną precyzją. Starej Europy, która tańczyła na dancinгах i w hotelach *Palace Bolero* Ravela i *Tango Starej Gwardii*, nie można już było oglądać poprzez kieliszek szampana.

– Mój Boże, Max... Byłeś nadzwyczajnie przystojny. Z tą swoją pewnością siebie, bardzo elegancką i równocześnie łajdacką.

Patrzy na niego z niezwykłą uwagą, jakby szukała w jego postarzałej twarzy tamtego przystojnego młodzieńca, którego znała. Posłusznie, popisując się swoim salonowym stoicyzmem – na ustach delikatny grymas światowca, ulegającego przed tym, co nieuniknione – poddaje się temu badaniu.

– Niezwykła historia, prawda? – konstatuje kobieta łagodnie. – Ty i ja... My, Cap Polonio, Buenos Aires i Nicea.

Z całkowicie zimną krwią, bez słowa, Max pochyła się lekko nad stołem, ujmuje dłoń kobiety i ją całuje.

– To nieprawda, co mówiłam kilka dni temu. – Mecha odwdzięcza się za jego gest promiennym spojrzeniem. – Jak na swój wiek, świetnie

wyglądasz.

Max wzrusza ramionami z właściwą skromnością.

– To nieprawda. Jestem, jak wielu innych, staruszkciem, który poznał smak miłości i porażek.

Jej głośny śmiech przyciąga spojrzenia od sąsiednich stolików.

– Przeklęty pirat! To też nie było twoje.

Max nawet nie mrugnie okiem.

– Udowodnij.

– Mówiąc to, odmłodziłaś trzydzieści lat... Robiłaś takie same niewzruszone miny, kiedy przesłuchiwała cię policja?

– Jaka policja?

Teraz śmieją się oboje. Max też. Serdecznie.

– Ale ty rzeczywiście dobrze wyglądasz – potem mówi. – Byłaś... Byłaś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Najbardziej elegancką i najdoskonalszą. Wydawało się, że istnieje jakiś reflektor, który śledzi każdy twój krok i stale cię oświetla. Jak te aktorki filmowe, które wydają się odgrywać mity przez nie same stworzone.

Nagle Mecha poważnieje. Po chwili Max widzi, jak na jej twarzy pojawia się gorzki uśmiech, jakby patrzyła z daleka.

– Reflektor zgasł dawno temu.

– To nieprawda – protestuje Max.

Kobieta znów się śmieje, teraz już inaczej.

– No, dosyć tego. Jesteśmy starymi hipokrytami, którzy okłamują się, kiedy młodzi tańczą.

– Zatańczysz?

– Nie wygłupiaj się... Stary, bezczelny i głupi.

Muzyka zmieniła rytm. Piosenkarz z tupecikiem i w fantazyjnej marynarce teraz odpoczywa, słycać dźwięki instrumentalnej wersji *Crying in the Chapel* i pary obejmują się na parkiecie. Jorge Keller i Irina też tak tańczą. Dziewczyna opiera głowę na ramieniu szachisty, ręce trzyma skrzyżowane na jego karku.

– Wyglądają na zakochanych – komentuje Max.

– Sama nie wiem, czy to właściwe słowo. Powinieneś zobaczyć, jak analizują partię nad szachownicą. Ona potrafi być nieprzejednana, a on rzuca się jak wściekły tygrys... Często Emil Karapetian musi występować w roli arbitra. Ale taka kombinacja okazuje się skuteczna.

Max odwrócił się i obserwuje ją uważnie.

– A ty?

– No cóż... Jak już ci mówiłam, ja jestem matką. Pozostaję z boku, tak jak teraz. Obserwuję ich. Uważnie zaspokajam potrzeby. Zajmuję się logistyką... Ale cały czas wiem, gdzie jestem.

– Mogłabyś żyć swoim życiem.

– A kto ci powiedział, że to nie jest moje życie?

Stuka lekko paznokciami o paczkę papierosów. Wreszcie wyjmuję jednego i Max usłużnie go jej zapala.

– Twój syn jest bardzo do ciebie podobny.

Mecha wypuszcza dym, nagle przyglądając mu się podejrzliwie.

– W czym?

– Z wyglądu, bez wątpienia. Szczupły, wysoki. W jego oczach, kiedy się uśmiecha, jest coś, co przypomina ciebie... Jaki był jego ojciec, ten dyplomata? Naprawdę niewiele pamiętam. Taki elegancki, miły człowiek, prawda? Ledwo pamiętam go z tej kolacji w Nicei. Nic więcej.

Mecha słucha go poprzez szare spirale, które rozwiewa lekka bryza znad pobliskiego morza.

– Ty mógłbyś być jego ojcem... Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

– Nie opowiadaj głupstw, proszę cię.

– To wcale nie głupstwa. Pomyśl chwilę. Ile lat ma Jorge? Dwadzieścia osiem... Nic ci to nie mówi?

Max wierci się na krześle zakłopotany.

– Proszę cię. Mógłby...

– Mógłby być synem kogokolwiek, chciałeś powiedzieć?

Naraz wydaje się zirytowana. Zamyślona. Gwałtownie gasi papierosa, miażdżąc niedopałek w popielniczce.

– Możesz być spokojny. To nie jest twój syn.

Mimo wszystko Max nie może porzucić tej myśli. Zastanawia się ponuro. Liczy posepnie w pamięci.

– Tym ostatnim razem, w Nicei...

– Daj już spokój, na Boga... Do diabła z tobą i z tą Niceą.

Poranek był chłodny i piękny. Przed oknem pokoju w Hôtel de Paris w Monte Carlo drzewa kołysały gałęziami i gubiły pierwsze jesienne liście z powodu mistrala, który od dwóch dni wiał pod bezchmurnym niebem. Uważając na każdy szczegół garderoby – włosy wygładzone brylantyną, świeży zapach masażu twarzy – Max kończył się ubierać: zapiął kamizelkę i włożył marynarkę od garnituru z brązowego szewiotu po siedem gwinei, uszytego na miarę pięć miesięcy wcześniej w Londynie w firmie Anderson & Sheppard. Potem wsunął białą chusteczkę do górnej kieszeni, ostatni raz poprawił węzeł krawata w czerwone i szare prążki, ocenił połysk skórzanych butów koloru kasztanowego i wsadził do kieszeni przedmioty leżące na komodzie: długopis parker duofold, szylkretową papierošnicę – ta

miała wygrawerowane już jego inicjały – z dwudziestoma tureckimi papierosami, skórzany portfel zawierający dwa tysiące franków, *carte de saison* prywatnego towarzystwa w kasynie i kartę członkowską Sporting Clubu. Pozłacana benzynowa zapalniczka dunhilla leżała na stojącym przy oknie stoliku śniadaniowym, na dzienniku z ostatnimi wiadomościami z hiszpańskiej wojny domowej – *Oddziały Franco próbują odzyskać Belchite*, głosił nagłówek. Włożył zapalniczkę do kieszeni, dziennik wrzucił do kosza, wziął w rękę filcowy kapelusz i bambusową laseczkę, po czym wyszedł na korytarz.

Schodząc z ostatnich stopni wspaniałych schodów, pod witrażową kopułą nad hotelowym westybuliem zobaczył dwóch mężczyzn. Siedzieli w kapeluszach na głowach na jednej z kanap stojących po prawej stronie, przy drzwiach do baru. Początkowo wziął ich za policjantów. W wieku trzydziestu pięciu lat – przed siedmioma laty przestał pracować jako zawodowy tancerz w luksusowych hotelach i na transatlantykach – Max posiadał zawodowy instynkt i wyczuwał ryzykowne sytuacje. Szybkie spojrzenie na dwóch typów przekonało go, że to właśnie taka sytuacja: widząc go, mężczyźni zamienili między sobą kilka słów, a teraz przyglądali mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Niby przypadkowo, żeby uniknąć niestosownej sceny w holu – może i zatrzymania, choć w Monako miał czyste konto – Max skierował się w stronę mężczyzn, udając, że idzie do baru. Kiedy znalazł się na ich wysokości, obydwaj wstali.

– Czy pan Costa?

– Tak.

– Nazywam się Mauro Barbaresco, a mój przyjaciel to Domenico Tignanello. Możemy chwilę porozmawiać?

Ten, który mówił – poprawnym hiszpańskim, choć z wyraźnym włoskim akcentem – miał silne ramiona, orli nos i żywe spojrzenie i ubrany

był w szary, trochę przyciasny garnitur ze spodniami wypchanymi na kolanach. Ten drugi, niższy i tęższy, z wyraźnym pieprzykiem na lewym policzku, był w ciemnym, prążkowanym garniturze – wymiętym i wyświechtanym na łokciach – ze zbyt szerokim krawatem i w brudnych butach. Obaj byli dobrze po trzydziestce.

– Mam do dyspozycji pół godziny. Potem jestem umówiony.

– To wystarczy.

Uśmiech na twarzy z orlim nosem był zbyt przyjacielski, żeby mógł działać uspokajająco – Max wiedział z doświadczenia, że uśmiechnięty policjant jest bardziej niebezpieczny od poważnego – ale jeśli ci dwaj są po stronie prawa i porządku, to z pewnością nie w sposób konwencjonalny. Jednakże to, że znali jego nazwisko, nie było niczym dziwnym. W Monte Carlo zarejestrował się jako Máximo Costa, jego wenezuelski paszport był autentyczny i wszystko było w porządku. Miał też na koncie czterysta trzydzieści tysięcy franków w tutejszym oddziale Barclays Banku, a w sejfie hotelowym kolejne pięćdziesiąt tysięcy, świadczące, że jest gościem szanowanym, a przynajmniej wypłacalnym. Jednak w tych dwóch mężczyznach było coś złowieszczonego. Jego węch, wyćwiczony na trudnych terenach, wyczuwał kłopoty.

– Możemy pana zaprosić na jednego?

Max spojrział w głąb baru – barman Emilio, stojąc za ladą, potrząsał szejkerem, a liczni klienci pili swoje aperitify, siedząc na skórzanych krzesłach, pośród ścian ozdobionych szklanymi aplikacjami i panelami z lakierowanego drewna. Nie było to odpowiednie miejsce na rozmowę z tymi dwoma, wskazał więc obrotowe drzwi wychodzące na ulicę.

– Chodźmy naprzeciwko. Do Café de Paris.

Przeszli przez plac przed kasynem, gdzie portier, cieszący się dobrą pamięcią do napiwków, pozdrowił Maxa. Północny wiatr barwił morze na

kolor niebieski, intensywniejszy niż zazwyczaj, a góry otaczające postrzępionymi plamami szarości i ochry kształt linii brzegu wydawały się czystsze i bliższe w tym rozległym pejzażu pełnym willi, hoteli i kasyn, jakim jest Lazurowe Wybrzeże – bulwar długości sześćdziesięciu kilometrów, zamieszkały przez spokojnych kelnerów oczekujących gości, powolnych krupierów oczekujących graczy, szybkie kobiety oczekujące mężczyzn z pieniędzmi i przez przytomnych pieczeniarzy, którzy tak samo jak Max, czekają na okazję, żeby wykorzystać to wszystko dla własnego pożytku.

– Znosi się na zmianę pogody – zauważył mężczyzna zwany Barbaresco do swojego kolegi, patrząc w niebo.

Z jakiegoś powodu, nad którym się nie zastanawiał, Max odniósł wrażenie, że w tych słowach zabrzmiała groźba albo ostrzeżenie. W każdym razie pewność nieuchronnych kłopotów stawała się coraz wyraźniejsza. Starając się zachować zimną krew, wybrał stolik pod jednym z parasoli w ogródku kawiarni, w najspokojniejszej części. Imponująca fasada kasyna znalazła się po lewej stronie, a Hôtel de Paris i Sporting Club – na przeciwnej pierzei placu. Usiedli, podszedł kelner i zamówili napoje: Barbaresco i Tignanello – patriotycznie dwa cinzano, Max – koktajl Riwiera.

– Chcemy panu złożyć pewną propozycję.

– Mówiąc „my”, kogo ma pan na myśli?

Włoch zdjął kapelusz, po czym dłonią przejechał po głowie. Czaszkę miał łąsą i opaloną. Przy jego szerokich ramionach nadawała mu atletyczny wygląd. Sportowy.

– Jesteśmy pośrednikami – powiedział.

– Czyimi?

Znużony uśmiech. Włoch patrzył, nie dotykając go, na ciemnoczerwony napój, postawiony przed nim przez kelnera. Jego melancholijny towarzysz wziął swoją szklankę i podniósł ją ostrożnie do ust, jakby nie ufał plasterkowi cytryny, który był w środku.

– Wszystko w swoim czasie – odparł Barbaresco.

– No tak. – Max zamierzał zapalić papierosa. – Co to za propozycja?

– Pewna praca na południu Francji. Bardzo dobrze płatna.

Nie zapalając nawet ognia, Max wstał zupełnie spokojnie, zawołał kelnera i poprosił o rachunek. Miał zbyt duże doświadczenie z prowokatorami, szpiclami i tajniakami, żeby przeciągać tę sytuację.

– Miło było panów poznać... Już mówiłem, że mam spotkanie. Życzę miłego dnia.

Obaj mężczyźni siedzieli nadal, nieporuszeni. Barbaresco wyjął z kieszeni dokument tożsamości i pokazał mu go.

– To poważna sprawa, panie Costa. Oficjalna.

Max spojrzał na legitymację. Było tam zdjęcie jej właściciela, przyklepione obok godła Włoch i liter SIM.

– Mój kolega ma swoją, identyczną... Prawda, Domenico?

Drugi mężczyzna skinął głową, ponuro, jakby nie pytano go o dokument, ale o stadium jego gruźlicy. Też zdjął kapelusz i ukazał tłuste czarne i kręcone włosy, podkreślające jego śródziemnomorski wygląd. Z Sycylii albo Kalabrii, pomyślał Max. Z całą melancholią właściwą dla swojej rasy, wymalowaną na twarzy.

– I są prawdziwe?

– Jak najświętsza hostia.

– Jakikolwiek by były, włoska jurysdykcja kończy się w Ventimiglia, o ile wiem.

– Jesteśmy tu z wizytą.

Max z powrotem usiadł. Jak każdy, kto czytał gazety, wiedział o terytorialnych roszczeniach Włoch, które od czasu przejęcia władzy przez Mussoliniego domagały się przywrócenia dawnej granicy na południu Francji i zwrotu terytoriów aż do rzeki Var. Był też świadomy, że w atmosferze wynikającej z politycznych napięć w Europie i nad Morzem Śródziemnym oraz wojny domowej w Hiszpanii nabrzeżny pas obejmujący Monako i francuskie wybrzeże aż po Marsylię był prawdziwym mrowiskiem włoskich i niemieckich agentów. Wiedział też, że skrót SIM oznaczał Servizio Informazioni Militare, czyli włoską służbę wywiadu wojskowego, pod którą to nazwą krył się tajny wywiad zagraniczny faszystowskiego rządu.

– Zanim przejdziemy do sedna, panie Costa, chcielibyśmy pana poinformować, że wiemy o panu wszystko.

– Jak bardzo wszystko?

– Sam pan oceni.

Po tym wstępie Barbaresco wypił swój wermut – trzy długie łyki, służące za pauzy – streszczając z podziwu godną starannością, w ciągu około dwóch minut, przebieg kariery zawodowej Maxa w ostatnich latach we Włoszech. Co obejmowało, pośród wielu drobniejszych spraw, kradzież biżuterii pewnej Amerykanki o nazwisku Howells w jej apartamencie przy via del Babuino w Rzymie, inną kradzież w Gran Hotelu w tym samym mieście, której ofiarą była obywatelka belgijska, otwarcie sejfów w pewnej willi w Bolzano, posiadłości markizy Greco de Andreis, oraz grabież klejnotów i pieniędzy należących do brazylijskiej sopranistki Florindy Salgado w apartamencie hotelu Danieli w Wenecji.

– I ja zrobiłem to wszystko? – powiedział Max całkiem spokojnie. – Co pan powie?

– Właśnie to panu mówię.

– Wydaje się dość dziwne, że nie aresztowaliście mnie do tej pory...

Tyle popełnionych przestępstw i tyle dowodów przeciwko mnie...

– Nie było mowy o dowodach, panie Costa.

– Ach nie?!

– Właściwie nigdy nie zostało udowodnione ani jedno z podejrzeń wobec pana.

Zakładając nogę na nogę, Max wreszcie zapalił papierosa.

– Nawet pan nie wie, jak mnie to uspokaja... Teraz proszę mówić, czego ode mnie chcecie.

Barbaresco obracał w dłoniach kapelusz. Podobnie jak jego towarzysz, ręce miał silne, z palcami o krótkich paznokciach. I zapewne, w razie konieczności, były one niebezpieczne.

– Jest pewna sprawa – zaczął Włoch. – Problem, który musimy rozwiązać.

– Tu, w Monako?

– W Nicei.

– Co mam z tym wspólnego?

– Choć ma pan paszport wenezuelski, jest pan z pochodzenia Argentyńczykiem i Hiszpanem. Ma pan dobre kontakty i swobodnie porusza się w pewnych kręgach. I dodatkowa zaleta – nigdy nie miał pan problemów z francuską policją, podobnie jak z naszą. Czyli ma pan porządne krycie, prawda, Domenico?

Drugi człowiek znów skinął głową, z rutynową tępotą na twarzy. Wyglądał na przyzwyczajonego, że jego kolega bierze na siebie dialogową część ich pracy.

– I spodziewacie się, że co miałbym zrobić?

– Że wykorzysta pan swoje talenty na naszą korzyść.

– Talenty mam rozmaite.

– Konkretnie – Barbaresco znów spojrzął na swojego towarzysza, jakby prosił go o potwierdzenie, choć ten nie odezwał się słowem ani nie zmienił wyrazu twarzy – interesuje nas pana zdolność do ingerencji w życie pewnych nieostrożnych osób, zwłaszcza jeśli idzie o kobiety z pieniędzmi. Nieraz okazał pan nadzwyczajne talenty do chodzenia po murach, wyważania okien i otwierania wcześniej zamkniętych sejfów... Ten ostatni szczegół nas doprawdy zaskoczył, porozmawialiśmy więc z pana starym znajomym Enrikiem Fossataram, który rozwiązał nasze wątpliwości.

Max zgasił papierosa z niewzruszoną miną.

– Nie znam nikogo takiego.

– To raczej dziwne, bo wydaje się, że on wysoko pana ceni, prawda, Domenico? Określał pana jako miłego chłopca i doskonałego dżentelmena.

Max utrzymał nieprzenikniony wyraz twarzy, uśmiechając się w duchu na wspomnienie Fossatara, chudego typu o bardzo poprawnych manierach, który pracował w Conforti, firmie produkującej sejfy, dopóki nie zaczął wykorzystywać swojej wiedzy technicznej do ich rabowania. Spotkali się w kawiarni hotelu Capsa w Bukareszcie w trzydziestym pierwszym roku, jednocząc swoje umiejętności przy niejednej lukratywnej okazji. To on nauczył Maxa wykorzystywania diamentowych ostrzy do cięcia szyb i witryn, używania narzędzi ślusarskich i otwierania sejfów. Enrico Fossataro szczylił się tym, że zawsze pracował doskonale czysto, sprawiając jak najmniejsze, konieczne tylko, kłopoty swoim ofiarom. „Ludzi bogatych się okrada, ale nie torturuje – mawiał. – Są zazwyczaj ubezpieczeni od kradzieży, ale nie od zniewag”. Aż do swojej rehabilitacji społecznej – skończył, wstępując, podobnie jak wielu jego rodaków, do partii faszystowskiej – Fossataro był prawdziwą legendą w eleganckim

półświatku przestępczym Europy. Żarliwy czytelnik, pewnego razu przerwał w połowie rabunek pewnego domu w Veronie i pozostawił wszystko tak, jak zastał, odkrywszy, że jego właścicielem był Gabriele d'Annunzio. Słynny też stał się pewien nocny epizod, podczas którego uśpiono chusteczką z eterem nianię, a Fossataro karmił butelką obudzone niemowlę, podczas gdy jego wspólnicy obrabiali dom.

– Czyli – zakończył Barbaresco – poza wyrobieniem towarzyskim i manierami żigolaka ma pan jeszcze coś. Fach, który Francuzi w swojej delikatności nazywają *cambricoleur*. Jednak w białych rękawiczkach.

– Powiniennem okazać zaskoczenie?

– Nie trzeba, nie mamy specjalnej zasługi w tym, że wszystko o panu wiemy. Mój kolega i ja dysponujemy całym aparatem państwowym. Jak pan wie, włoska policja jest najskuteczniejsza w całej Europie.

– Może się równać tylko z Gestapo i NKWD, jak słyszałem. Pod względem skuteczności.

Twarz Włocha się zachmurzyła.

– Ma pan zapewne na myśli ludzi z OVRA, faszystowskiej policji politycznej. Mój kolega i ja jesteśmy karabinierami. Rozumie pan? Należymy do służb wojskowych.

– Niezwykle mnie to uspokaja.

Przez kilka sekund ciszy, jaka nastąpiła, Barbaresco z wyraźną przykrością rozważał ironię zawartą w słowach Maxa. Wreszcie zrobił minę mówiącą, że sprawę odkłada na później.

– Chodzi o ważne dla nas dokumenty – wyjaśnił. – Należą do pewnej osoby znanej w świecie międzynarodowych finansów. Z dość skomplikowanych powodów związanych z sytuacją w Hiszpanii dokumenty te znajdują się w pewnym domu w Nicei.

– I panowie chcecie, żebym je dla was zdobył?

– Właśnie.

– Mam je ukraść?

– Tu nie chodzi o kradzież, ale o odzyskanie ich. O to, żeby wróciły do właściciela.

Pod maską pozornej obojętności Max ukrywał rosnącą ciekawość. Nie było możliwe nie zaciekawić się.

– Co to za dokumenty?

– Dowie się pan we właściwym czasie.

– I dlaczego właśnie ja?

– Jak wcześniej wspomniałem, obraca się pan swobodnie w tych środowiskach.

– Bierzecie mnie za Rocambole’a czy co?

Z nieznanego powodu wspomnienie nazwiska powieściowej postaci wywołało słaby uśmiech na twarzy tego o nazwisku Tignanello, który na chwilę porzucił ponurą minę, równocześnie drapiąc się po pieprzyku na policzku. Potem popatrzył na Maxa z miną kogoś, kto cały czas czeka na złą wiadomość.

– To jest szpiegostwo... Jesteście panowie szpiegami.

– To brzmi melodramatycznie. – Szczypiąc materiał dwoma palcami, Barbaresco daremnie próbował odświeżyć nieistniejący kant na spodniach. – Właściwie jesteśmy zwykłymi funkcjonariuszami włoskiego państwa. Z dietami, rachunkami za poniesione koszty i tak dalej – zwrócił się do tego drugiego – prawda, Domenico?

Maxowi wcale nie wydawało się to takie proste. Przynajmniej w części dotyczącej jego osoby.

– Szpiegostwo w czasie wojny jest karane śmiercią – powiedział.

– We Francji nie ma wojny.

- Ale może być już wkrótce. Nadchodzą kiepskie czasy.
- Dokumenty, które ma pan odzyskać, dotyczą Hiszpanii...

W najgorszym razie ryzykuje pan deportacją.

- Nie mam ochoty na deportację. Lubię Francję.
- Zaręczam, że ryzyko jest minimalne.

Max patrzył to na jednego, to na drugiego z prawdziwym zaskoczeniem.

– Sądziłem, że tajni agenci dysponują własnym personelem do takich zadań.

– O to właśnie, mój kolega i ja, staramy się w tej chwili – Barbaresco uśmiechał się cierpliwie. – Żeby stał się pan częścią naszego personelu. Myśli pan, że jak to się załatwia, jeśli nie w ten sposób? Raczej nie przychodzą kandydaci mówiący: „Chcę zostać szpiegiem”. Czasem przekonuje ich patriotyzm, czasem pieniądze... Nie ma dowodów, żeby okazywał pan sympatię dla którejkolwiek ze stron walczących w Hiszpanii. Prawdę mówiąc, wygląda, że jest to panu obojętne.

– Właściwie jestem bardziej Argentyńczykiem niż Hiszpanem.

– Może to właśnie jest powód. W każdym razie jeśli odrzucimy motywy patriotyczne, pozostają nam ekonomiczne. A w tym obszarze wykazywał się pan stałymi przekonaniami. Mamy zgodę, by zaproponować panu znaczną sumę.

Max splótł palce rąk spoczywających na kolanie nogi założonej jedna na drugą.

– Jak znaczną?

Pochylając się lekko nad stolikiem, Barbaresco ściszył głos.

– Dwieście tysięcy franków w wybranej przez pana walucie i zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy w czeku wystawionym przez Crédit Lyonnais w Monte Carlo... Czek może pan otrzymać w tej chwili.

Max popatrzył z nieuważną tkliwością zawodową na napis nad sklepem jubilerskim mieszczącym się obok kawiarni. Jego właściciel, Żyd o nazwisku Gompers, z którym od czasu do czasu robił interesy, każdego wieczoru skupował od graczy z kasyna sporą część biżuterii, jaką sprzedawał im rano.

– Mam w tej chwili kilka bieżących spraw. Musiałbym je przerwać.

– Sądzymy, że zaproponowana suma jest satysfakcjonującą rekompensatą.

– Potrzebuję czasu do zastanowienia.

– Nie ma czasu. Dysponuje pan tylko trzema tygodniami na załatwienie całej sprawy.

Spojrzenie Maxa przeniosło się z lewej strony na prawą, z fasady kasyna na Hôtel de Paris i przyległy budynek Sporting Clubu, ze stałym rzędem rolls-royce'ów, daimlerów i packardów stojących wzdłuż placu, z szoferami rozmawiającymi w grupkach przy schodach. Trzy noce wcześniej trafił mu się tam właśnie łut szczęścia: pewna Austriaczka, dojrzała, ale jeszcze bardzo piękna, rozwiedziona z fabrykantem sztucznych skór z Klagenfurtu, z którą umówił się na spotkanie w Błękitnym Ekspresie za cztery dni, i traf w Sportingu, kiedy kulka z kości słoniowej zatrzymała się na liczbie 26 i pozwoliła Maxowi wygrać osiemnaście tysięcy franków.

– Powiem to panu inaczej. Bardzo wygodnie pracuje mi się samodzielnie. Żyję swoim życiem i nie wpadłoby mi do głowy, żeby pracować dla jakiegokolwiek rządu. Wszystko jedno, czy to rząd faszystów, narodowych socjalistów, bolszewików czy doktora Fu Manchu.

– Naturalnie, może pan się zgodzić lub nie – mina Barbaresco mówiła coś wręcz przeciwnego. – Powinien pan jednak rozważyć kilka spraw. Pańska odmowa sprawiłaby przykrość naszemu rządowi. Prawda, Domenico? A to niewątpliwie mogłoby wpłynąć na zachowanie naszej

policji, gdyby pan, z jakiegokolwiek powodu, zdecydował się stanąć na włoskiej ziemi.

Max szybko dokonał w myśli kalkulacji. Zakazane Włochy oznaczały rezygnację z ekscentrycznych Amerykanek na Capri i na wybrzeżu Amalfi, znudzonych Angielek wynajmujących wille w pobliżu Florencji, niemieckich i włoskich nuworyszów uwielbiających kasyna i hotelowe bary, pozostawiających swoje żony w Cortina d'Ampezzo i na weneckim Lido.

– I nie tylko to – ciągnął swój wywód Barbaresco. – Mój kraj pozostaje w doskonałych relacjach z Niemcami i innymi krajami Europy Środkowej. Nie wspominając nawet o bardziej niż prawdopodobnym zwycięstwie generała Franco w Hiszpanii... Jak pan wie, policje bywają znacznie skuteczniejsze niż Liga Narodów. I czasem współpracują między sobą. Żywe zainteresowanie pańską osobą z pewnością zaniepokoiłoby też inne kraje. W takim przypadku teren, na którym – jak pan mówi – pracuje pan wygodnie i samodzielnie, w bardzo przykry sposób niezwykle by się skurczył... Wyobraża pan sobie?

– Wyobrażam – przyznał zgodnie Max.

– A teraz proszę sobie wyobrazić odwrotny przypadek. Dobrzy przyjaciele i rozległe tereny łowieckie... Nie licząc pieniędzy, które zainkasuje pan za tę pracę.

– Potrzebuję więcej szczegółów. Muszę się rozejrzeć, do jakiego stopnia jest wykonalne to, co mi panowie proponują.

– Otrzyma pan tę informację pojutrze, w Nicei. Ma pan zarezerwowany pokój w hotelu Negresco, wiemy, że zawsze tam się pan zatrzymuje. To nadal dobry hotel, prawda? Chociaż my wolimy hotel Ruhl.

– Panowie będziecie w Ruhl?

– Chcielibyśmy. Ale nasi szefowie są zdania, że luksusy należą się tylko takim gwiazdom jak pan. My będziemy w skromnym domu wynajętym niedaleko portu. Prawda, Domenico? Szpiedzy w wieczorowych strojach i z gardenią w butonierce to raczej specjalność kinowa. Tego Anglika, który kręci filmy, Hitchcocka i innych podobnych głupców.

Cztery dni po rozmowie w Café de Paris, siedząc pod parasolem w La Frégate przy Promenadzie Anglików w Nicei, Max – białe bawełniane spodnie, dwurzędowa granatowa marynarka i leżące na sąsiednim krześle laseczka i panama – mrużył oczy olśniony odbiciem słońca na wodzie zatoki. Otaczały go jasne fasady budynków w tonach bieli, kremu i różu, a morze lśniło słońcem tak mocno, że ludzie tłumnie sunący chodnikiem po przeciwnej stronie Promenady wydawali się procesją anonimowych cieni odcinających się w światłości.

Ledwo wyczuwa się w atmosferze koniec sezonu, stwierdził. Pracownicy miejskich służb oczyszczania zmiatali suche liście z ziemi i pejzaż barwił się o wschodzie i zachodzie słońca jesiennymi tonami perłowej szarości. Mimo to na drzewach jeszcze były pomarańcze, dzięki mistralowi niebo pozostawało bezchmurne, morze miało kolor ultramaryny, a deptak biegnący wzdłuż kamienistej plaży, naprzeciwko szeregu hoteli, restauracji i kasyn, każdego dnia pełen był spacerowiczów. W przeciwieństwie do innych miejscowości na wybrzeżu, gdzie luksusowe sklepy już zaczynały się zwijać, pawilony kąpielowe demontowano, znikwały markizy i zadaszenia z ogródków przyhotelowych, w Nicei *saison* trwał przez całą zimę. Pomimo fali turystów na płatnych wakacjach, która od czasu zwycięstwa Frontu Ludowego najeżdżała południe Francji – półtora miliona robotników tego roku skorzystało ze zniżek kolejowych – miasto zachowało swoich mieszkańców, którzy byli tam zawsze: zamożnych emerytów, angielskie małżeństwa ze swoimi psami, starsze damy

maskujące kapeluszami i woalkami zniszczenia dokonane przez czas, czy rosyjskie rodziny, które choć zmuszone do sprzedaży swoich luksusowych willi, jeszcze zajmowały skromne apartamenty w centrum miasta. Nawet w samym środku letniego sezonu Nicea nie przebierała się w letnie kostiumy – nagie plecy, pizamy plażowe i szmaciane buty, robiące furorę w pobliskich miejscowościach, tu były źle widziane; amerykańscy turyści, hałaśliwi paryżanie i Angielki z klasy średniej, starające się uchodzić za dystyngowane damy, przejeżdżali przez to miasto, nie zatrzymując się nawet w drodze do Cannes czy Monte Carlo, podobnie jak niemieccy i włoscy biznesmeni, którzy zdobyli majątki w cieniu nazizmu i faszyzmu, zalewający Riwierę swoim grubiaństwem nuworyszów.

Jedna z sunących postaci odcinających się w odbitym od wody świetle oderwała się od pozostałych i w miarę zbliżania się do tarasu, gdzie siedział Max, przybrała kontury, własne rysy twarzy i zapach Wortha. Zanim podeszła, Max podniósł się, poprawiając węzeł krawata, z uśmiechem szerokim i jasnym jak światło, które zalewało wszystko wokół, i wyciągnął obie ręce w stronę nowo przybyłej.

– Na miłość boską, baronowo! Wyglądasz prześlicznie.

– *Flatteur!*

Asia Schwarzenberg zajęła krzesło, zdjęła okulary przeciwsłoneczne, poprosiła o szkocką z wodą perrier i popatrzyła na Maxa swoimi wielkimi migdałowymi, lekko słowiańskim oczami. Max wskazał menu leżące na stoliku.

– Pójdziemy do restauracji czy wolisz zjeść coś lekkiego?

– Coś lekkiego. Z przyjemnością tu zostanę.

Max przejrzał kartę, która z tyłu ozdobiona była wizerunkiem Palais Méditerranée i kilku palm z Promenady, namalowanym przez Matisse'a.

– Foie-gras i Château d'Yquem?

– Świetnie.

Kobieta uśmiechała się, ukazując białe zęby, z siekaczami lekko zabarwionymi karminową szminką, której ślady zostawiała wszędzie: na papierosach, brzegach kieliszków, kołnierzykach koszul mężczyzn, których całowała na pożegnanie. I tylko to – poza Worthem, doskonale pasującym do ubiorów, choć były to perfumy zbyt intensywne jak na gust Maxa – mogło u niej szokować. W odróżnieniu od fałszywych tytułów prezentowanych przez międzynarodowe awanturnice na Riwierze, szlachectwo baronowej Anastazji Aleksandrownej von Schwarzenberg było autentyczne. Jeden z jej braci, przyjaciel księcia Jusupowa, należał do zabójców Rasputina, a pierwszy mąż został zamordowany przez bolszewików w 1918 roku. Tytuł baronowej pochodził z jej drugiego małżeństwa zawartego z pruskim arystokratą, który zmarł na atak serca, popadłszy w ruinę, kiedy jego koń Marauder przegrał o długość łba w Grand Prix de Deauville w 1923 roku. Właściwie bez środków, choć ze świetnymi znajomościami, Asia Schwarzenberg – bardzo wysoka, szczupła, o eleganckich manierach – pracowała przez jakiś czas jako modelka dla kilku z najważniejszych francuskich domów mody. Stare, oprawne kolekcje „Vogue’a” i „Vanity Fair”, które można jeszcze było znaleźć w czytelnich na transatlantykach i w dużych hotelach, pełne były jej wyrafinowanych zdjęć zrobionych przez Edwarda Steichena albo przez braci Séebergerów. I jest prawdą, że choć już się zbliżała do pięćdziesiątki, jej sposób ubierania się – ciemnogrnatowe bolero do luźnych kremowych spodni, które Max swoim wyrobionym okiem zidentyfikował jako pochodzące od Hermès’a albo Schiaparelli – nadal był olśniewający.

– Potrzebny jest mi kontakt – powiedział Max.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Kobieta. Mieszka tu, w Nicei.

– Coś trudnego?

– Dość. Wielkie pieniądze i wysoka pozycja. Chciałbym dotrzeć do jej otoczenia.

Kobieta słuchała uważnie, z elegancją. Zapewne liczy swoje zyski, pomyślał Max. Od lat, poza sprzedawaniem staroci, które według jej zapewnień należały do jej rosyjskich przodków, żyła z ułatwiania znajomości – zaproszenia na bale, kontakty potrzebne do wynajęcia willi albo stolika w ekskluzywnej restauracji, reportaże w magazynach mody i tym podobne sprawy. Na Riwierze baronowa Asia Schwarzenberg była kimś w rodzaju towarzyskiej stręczycielki.

– Nie pytam o twoje zamiary – powiedziała – bo potrafię je sobie wyobrazić.

– Tym razem rzecz nie jest prosta.

– Czy ją znam?

– Nie zajmowałbym ci czasu, gdyby było inaczej... A poza tym kogóż ty nie znasz, Asiu Aleksandrownno?

Przyniesiono foie-gras i wino, Max zrobił więc umyślnie pauzę, żeby zjeść obiad, a kobieta nie okazała zniecierpliwienia. Przed pięcioma laty krótko flirtowali, gdy poznali się w Embassy w Saint-Moritz. Nie doszło do niczego poważniejszego, bo oboje równocześnie zdali sobie sprawę, że to drugie jest poszukiwaczem przygód, bez grosza. Po tamtej nocy znaleźli się – kobieta w futrze z norek narzuconym na suknię z lamy, on w doskonałym fraku – u Hanselmana, jedząc ciastka z gorącą czekoladą. Od tamtej pory utrzymywali przyjacielskie stosunki, z obopólną korzyścią, nie depcząc sobie wzajemnie po piętach.

– Macie wspólne zdjęcie zrobione tego lata w Longchamps – powiedział wreszcie Max. – Widziałem je w „Marie Claire” czy którymś z podobnych magazynów.

Baronowa ze szczerym zadziwieniem uniosła bardzo wydepilowane brwi, wyznaczone pędzelkiem i tuszem na śladach pęsety i *cold-creamu*.

– Susana Ferriol?

– Właśnie.

Wiklina na fotelu baronowej lekko zaskrzypiała, kiedy kobieta rozparła się na nim, zakładając nogę na nogę.

– To polowanie na grubego zwierza, kochany.

– Dlatego proszę o to ciebie.

Max wyjął papierośnicę i poczęstował kobietę. Pochylił się, żeby podać jej ogień, po czym sam też zapalił.

– Jeśli chodzi o mnie, żaden problem. – Baronowa paliła, zamyślona. – Znam Suzi od lat... Czego od niej chcesz?

– Nic specjalnego. Szukam okazji, żeby zobaczyć jej dom.

– Tylko tyle?

– Tak, reszta to moja sprawa.

Wypuścił kłęb dymu. Powoli. Ostrożnie.

– O reszcie nie chcę nic wiedzieć – zaznaczyła. – Ale uprzedzam cię, że nie jest to łatwa kobieta. Nie wiadomo o żadnej przygodzie, której byłaby bohaterką... Choć prawda jest taka, że przez tę wojnę w Hiszpanii wszystko stoi do góry nogami. Cały czas przyjeżdżają i odjeżdżają jacyś ludzie, uchodźcy i inni... Prawdziwe pandemonium.

Słowo „uchodźca” mogło wprowadzać w błąd, pomyślał Max. Przywodziło na myśl biedaków ze zdjęć robionych przez korespondentów wojennych – twarze wieśniaków ze łzami w zmarszczkach skóry, rodziny uciekające przed bombardowaniami, brudne dzieci śpiące na nędznych zawiniątkach z ubraniami, rozpacz i nieszczęście ludzi, którzy stracili wszystko prócz życia. Tymczasem spora część Hiszpanów poszukujących

schronienia na Riwierze nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Wygodnie urządzeni w tym klimacie, bardzo podobnym do klimatu ich ojczyzny, wynajmowali wille, apartamenty albo pokoje hotelowe, opalali się w słońcu i bywali w drogich restauracjach. I nie tylko tam. Przed czterema tygodniami, przygotowując pewną sprawę, która nie zakończyła się w sposób zadowalający – nie samymi sukcesami była znaczonej kariera Maxa – miał okazję spotkać wielu z tych uchodźców we Florencji: aperitif w Casone, kolacja w Picciolo albo w Betti. Dla tych, którym udało się wyjść cało i zachować swoje konta w zagranicznych bankach, wojna domowa była jedynie przejściową niewygodą. Odległą burzą.

– A czy znasz też Tomasa Ferriola?

– Pewnie, że znam. – Kobieta uniosła palec w ostrzegawczym geście. – Uważaj na niego.

Max wspomniał rozmowę, jaką przeprowadził tego ranka z dwoma włoskimi szpiegami w kawiarni Monnot na placu Masséna, obok miejskiego kasyna. Barbaresco i Tignanello siedzieli przed wielkimi lemoniadami *frappé*, wyłuszczać ustami tego pierwszego – drugi siedział milcząco i melancholijny, tak samo jak w Monte Carlo – szczegóły pracy do wykonania. Susana Ferriol jest kluczową postacią, wyjaśnił Barbaresco. Jej willa w Nicei, pod wzgórzem Boron, jest czymś w rodzaju prywatnego sekretariatu dla poufnych interesów jej brata. Tam też mieszka Tomás Ferriol, kiedy przyjeżdża na Lazurowe Wybrzeże, w sejfie w gabinecie przechowuje swoje dokumenty. Pańska praca polega na wejściu do kręgu jej znajomych, zbadaniu atmosfery i zdobyciu tego, co jest nam potrzebne.

Asia Schwarzenberg nadal obserwowała Maxa z zaciekawieniem, jakby oceniała jego możliwości. Nie wyglądała na chętną, by postawić na niego choćby szton pięciofrankowy.

– Ferriol – dodała po krótkiej przerwie – nie należy do tych, którzy pozwalają, żeby zawracać w głowie jego siostrzyczce.

Max przyjął ostrzeżenie bez mrugnięcia okiem.

– Jest w Nicei?

– Jeździ w tę i z powrotem. Miesiąc temu spotkaliśmy się tu kilka razy – w La Réserve i na przyjęciu u Dulce Martínez de Hoz, w domu, który wynajęła na lato w Antibes... Większą część czasu spędza między Hiszpanią, Szwajcarią i Portugalią. Jego kontakty z rządem w Burgos są bardzo ścisłe. Mówi się, a ja w to wierzę, że nadal jest głównym bankierem generała Franco. Wszyscy wiedzą, że to on sfinansował podstawowe koszty wojskowego przewrotu w Hiszpanii...

Max patrzył na samochody stojące wzdłuż krawężnika i na cienie przesuwane się po bulwarze w odbitym świetle. Przy sąsiednim stoliku siedziała para z chudym psem w kolorze cynamonu, z arystokratycznym pyskiem. Jego pani, dziewczyna w lekkiej sukni i jedwabnym turbanie, ciągnęła smycz, żeby pies nie lizał butów mężczyzny siedzącego przy następnym stoliku, zajętego nabijaniem fajki, ze wzrokiem zagubionym gdzieś za reklamą nad wejściem do agencji Cooka.

– Daj mi kilka dni – powiedziała baronowa. – Muszę się zastanowić nad sposobem.

– Nie mam zbyt wiele czasu.

– Zrobię, co się da. Rozumiem, że pokrywasz wszystkie koszty.

Skinął z nieobecną miną. Mężczyzna przy pobliskim stoliku zapalił fajkę i patrzył teraz na nich, być może przypadkowo, jednak Max poczuł się nieswojo. Nieznajomy mężczyzna coś mu przypominał, stwierdził, choć nie był w stanie zdecydować co.

– Nie wyjdzie ci to tanio – przypomniała baronowa. – I mówię ci, że Suzi Ferriol to wyższa półka.

Max znów spojrzał na nią.

– Jak bardzo wysoka? Myślałem o sumie sześciu tysięcy franków.

– Osiem tysięcy, mój drogi. Wszystko bardzo podrożało.

Osobnik z fajką zdawał się stracić całe zainteresowanie nimi, palił, przyglądając się osobom poruszającym się wzdłuż promenady. Dyskretnie, korzystając ze stolika jako osłony, Max wyjął kopertę, którą miał przezornie przygotowaną w wewnętrznej kieszeni marynarki, i dodał tysiąc franków z portfela.

– Jestem pewien, że wszystko załatwisz za siedem tysięcy.

– Tak – uśmiechnęła się baronowa. – Tyle wystarczy.

Wsunęła kopertę do torebki i pożegnali się. Max, stojąc, poczekał, aż kobieta odejdzie, zapłacił rachunek, włożył kapelusz i ruszył pomiędzy stolikami, przechodząc obok mężczyzny z fajką, który nie zwracał już na niego najmniejszej uwagi. Chwilę później, kiedy stał na ostatnim z trzech stopni łączących taras z chodnikiem, wreszcie sobie przypomniał. Widział tego mężczyznę rano, jak siedział naprzeciwko kawiarni Monnot, a pucybut glansował jego buty, w czasie kiedy on sam rozmawiał z włoskimi szpiegami.

– Jest pewien problem – odzywa się naraz Mecha Inzunza.

Od dobrej chwili rozmawiają o banalnych sprawach, spacerując powoli w pobliżu San Francesco i ogrodów hotelu Imperial Tramontano. Jest już dobrze po południu i zamglone słońce chyli się ponad urwiskami nad Mariną Grande, po lewej stronie, wyzłacając wilgotne powietrze nad zatoką.

– Poważny problem – dodaje po chwili.

Właśnie skończyła palić papierosa, na żelaznej poręczy oderwała żar od niedopałka, który rzuciła w przestrzeń. Max, zaskoczony tonem

i zachowaniem kobiety, przygląda się jej nieruchomemu profilowi. Kobieta mruży oczy, wpatrując się w morze z upartym skupieniem.

– Chodzi o ten ruch Sokołowa – mówi w końcu.

Max słucha jej, nie całkiem rozumiejąc. Nie wie, o czym mówi. Wczoraj została dokończona przerwana partia, z wynikiem remisowym. Pół punktu dla każdego z graczy. Tyle wie o sprawie.

– Kanalie – mruczy pod nosem Mecha.

Po braku rozumienia pojawia się zamęt. W głosie kobiety słychać pogardę z nutą żalu. Coś nowego, stwierdza Max. Choć słowo „nowe” nie jest całkiem dokładne. Tępy z odległej wspólnej przeszłości wyłaniają się powoli z zapomnienia. Max już poznał to kiedyś. Całe życie temu, cały świat. Ten chłód i dobrze wychowaną pogardę.

– On znał to posunięcie.

– Kto?

Z rękami w kieszeniach tuniki kobieta wzrusza ramionami, jakby odpowiedź była oczywista.

– Rosjanin. Wiedział, jak zagra Jorge.

Potrzebował chwili, żeby pojąć sens jej słów.

– Chcesz mi powiedzieć...

– Że Sokołow był przygotowany. I to nie pierwszy raz.

Długa chwila milczenia. Zdziwienie.

– To mistrz świata. – Wysiłając wyobraźnię, Max stara się przetrwać tę wiadomość. – To normalne, takie rzeczy się zdarzają.

Kobieta odwraca wzrok od zatoki i patrzy na niego, nie otwierając ust. Nie ma nic normalnego, mówi jej spojrzenie, w tym, że takie rzeczy się zdarzają.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – pyta Max.

– Dlaczego właśnie tobie?

– Tak, dlaczego mnie?

Kobieta pochyla głowę zamyślona.

– Bo być może będę cię potrzebowała.

Jeszcze rośnie zaskoczenie Maxa, stojącego z ręką opartą na poręczy nad urwiskiem. W jego postawie jest coś niepewnego, jakby nagła świadomość niespodziewanego zawrotu głowy, niemal groźnego. Szofer doktora Hugentoblera ma konkretne plany dotyczące swojego życia towarzyskiego w Sorrento i nie ma w nich miejsca na to, by Mecha Inzunza go potrzebowała, wręcz przeciwnie.

– Do czego?

– Wszystko w swoim czasie.

Max stara się uporządkować myśli. Zaplanować ruchy zgodnie z tym, czego jeszcze nie wie.

– Myślę sobie...

Mecha przerywa mu spokojnie.

– Od pewnego czasu zastanawiam się, do czego jesteś zdolny.

Powiedziała to łagodnie, wytrzymując jego spojrzenie, jakby doszukując się odpowiedzi. Niewypowiedzianej.

– Wobec czego?

– Wobec mnie, teraz.

Gest niedbałego protestu, ledwo wypowiedzianego. Ten lepszy Max, ten ze wspaniałych czasów, demonstruje lekkie zranienie. Odrzucając wszelkie dające się wyobrazić wątpliwości na temat jego reputacji.

– Bardzo dobrze wiesz...

– O nie. Wcale nie wiem.

Mecha odsunęła się od barierki i idzie pod palmami w stronę San Francesco. Po krótkiej chwili bezruchu, niemal teatralnego, on też rusza, zrównuje z nią krok, idzie obok z milczącym wyrzutem.

– Naprawdę nie wiem – powtarza Mecha zamyślona. – Ale nie o to chodzi... Nie tym się martwię.

Ciekawość Maxa niweczy jego pozę szlachetnej rezygnacji. Uprzejmym, swobodnym gestem wyciąga ramię, żeby przepuścić swoją towarzyszkę przed dwiema gadatliwymi Angielkami, które robią sobie zdjęcia.

– Czy ma to coś wspólnego z twoim synem i Rosjanami?

Kobieta nie odpowiada od razu. Zatrzymała się na rogu fasady klasztoru, przed niewielkim łukiem prowadzącym na patio. Wygląda, jakby zastanawiała się nad możliwością pójścia dalej albo nad stosownością powiedzenia słów, które zaraz wypowiada:

– Mają konfidenta. U nas, wewnątrz. Kogoś, kto ich informuje, jak Jorge przygotowuje się do rozgrywek.

Max mruga, oszołomiony.

– Szpiega?

– Tak.

– Tu, w Sorrento?

– A gdzie, jeśli nie tu?

– Przecież to niemożliwe. W ekipie jesteście tylko Karapetian, Irina i ty... Czy jest ktoś jeszcze, kogo nie znam?

Kobieta ponuro przeczy ruchem głowy.

– Nie. Tylko my.

Przechodzi pod łukiem, Max za nią. Mijają mroczny korytarz i wychodzą w zieloną jasność pustego dziedzińca klasztorowego, otoczonego

kolumnami i kamiennymi ostrołukami, tworzącymi ramę dla drzew i ogrodu. Chodzi o to tajemne posunięcie, wyjaśnia Mecha, ścisząc głos. To, którego zapis jej syn zostawił w zamkniętej kopercie, w rękach sędziego, kiedy partia została przerwana. Cały wieczór i następny poranek minęły na analizowaniu tego posunięcia i jego wariantów, roztrząsaniu wszelkich możliwych odpowiedzi Sokołowa. Systematycznie Jorge, Irina i mistrz Karapetian przestudiowali wszystkie spodziewane ruchy i przygotowali możliwe reakcje na każdy z nich. Zgodzili się, że najprawdopodobniej Sokołow po przeanalizowaniu nowej sytuacji na szachownicy – co zajmie mu przynajmniej dwadzieścia minut – odpowie gońcem i zbiję pionka. To stworzy okazję do zastawienia na niego pułapki królową i skoczkiem; jedyną z tego ucieczką byłaby ryzykowna zagrywka gońcem, bardzo charakterystyczna dla wyobraźni i gry *à la* kamikadze Kellera; jednak kompletnie niezwykła dla konserwatywnego stylu grania jego przeciwnika. A jednak, kiedy sędzia otworzył kopertę i wykonał owo posunięcie, Sokołow odpowiedział ruchem, który prowadził go prosto w zasadzkę, czyli zbił pionka gońcem. Keller zagrał skoczkiem i damą, zastawiając przewidzianą pułapkę. A wtedy, bez mrugnięcia okiem, po zaledwie ośmiu minutach analizy sytuacji, której rozbiór zabrał całą noc Kellerowi, Irinie i Karapetianowi, Sokołow zagrał gońcem najbardziej ryzykowny z wariantów. Ten właśnie, którego – jak sądzili – nigdy by nie spróbował.

– Czy to może być przypadek?

– W szachach nie ma przypadków. Tylko błędy i zręczność.

– Czy chcesz powiedzieć, że Sokołow wiedział, jak zagra twój syn i jak zapobiec niebezpieczeństwu?

– Tak. Pomysł Jorgego był wyrafinowany i błyskotliwy. Zagranie umykające powszechnej logice. Niemożliwe do rozwiązania w osiem

minut.

– A może są w to zamieszane jakieś inne osoby, na przykład personel hotelowy? Albo mają ukryte mikrofony?

– Nie. Wszystko sprawdziłam. To ktoś od nas.

– Święty Boże.... Nie ma innych możliwości? Albo Karapetian, albo dziewczyna?

Mecha milczy zatopiona w kontemplacji drzew na patio.

– To niewiarygodne – stwierdza Max.

Kobieta odwraca do niego twarz niemal zaskoczona, przybierając grymas zdziwienia i pogardy.

– Dlaczego miałyby być niewiarygodne? Po prostu życie, zwykłe zdrady. – Wydaje się nagle zasmucona. – Ciebie to nie powinno zaskakiwać w najmniejszym stopniu.

Max postanawia ominąć tę rafę.

– Wyobrażam sobie, że to raczej Karapetian.

– Prawdopodobieństwo jest takie samo też dla Iriny.

– Mówisz serio?

Zamiast odpowiedzi kobieta okazuje zimny, niechętny uśmiech nadający się do różnorodnych interpretacji.

– Dlaczego miałiby zdradzić Jorgego jego mistrz czy jego dziewczyna? – zastanawia się Max.

Mecha robi zniecierpliwiony gest, jakby nie chciało się jej mówić oczywistości. A potem wymienia neutralnym tonem różne możliwości: motywy osobiste, polityka, pieniądze. Chociaż, dodaje po chwili, w zdradzie najmniej ważne są powody. Przyjdzie czas na ich ustalenie. Sprawą najpilniejszą jest ochrona jej syna. Pojedynek w Sorrento dobiega połowy, jutro będzie rozgrywana szósta partia.

– I to wszystko dzieje się w chwili, kiedy niedługo będzie szło o tytuł mistrza świata. Wyobraź sobie szkody. Krzywdę.

Angielki, które robiły zdjęcia, teraz wchodzą na patio. Mecha i Max idą po dziedzińcu, oddalając się od nich.

– Gdyby nie to podejrzenie – dodaje kobieta – pojechalibyśmy do Dublina sprzedani przeciwnikowi.

– Dlaczego zwierzasz mi się z tego wszystkiego?

– Już ci powiedziałam. – Znow ten zimny uśmiech. – Być może będę cię potrzebować.

– Nie rozumiem do czego. Ja i szachy...

– Nie chodzi tylko o szachy. To też ci powiedziałam: na wszystko przyjdzie czas.

Znow się zatrzymują. Kobieta oparła się plecami o kolumnę, a Max przygląda się jej z dawną fascynacją. Pomimo upływu lat Mecha Inzunza wiernie odpowiada modelowi swojej kasty. Nie jest już tak piękna jak trzydzieści lat wcześniej, jednak jej wygląd ciągle przywodzi na myśl spokojną gazelę o harmonijnych, eleganckich ruchach. Stwierdzenie to wywołuje u niego uśmiech lekkiej melancholii. Jego uwaga dokonuje cudu stopienia cech kobiety stojącej przed nim z tymi, które pamięta – jednej z tych niezwykłych kobiet, dla których w odległej już przeszłości wyrafinowany wielki świat był oddanym współnikiem, olśniewającą scenerią i znudzonym dłużnikiem. Magia dawnej urody znow rozkwita pod jego zadziwionym spojrzeniem, niemal triumfująca, pośród zwiędłej skóry, zmarszczek, plam czasu i starości.

– Mecha...

– Cicho. Daj spokój.

Max milczy przez chwilę. Nie mieliśmy na myśli tego samego, dochodzi do wniosku. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Co zrobicie z Iriną albo z Karapetianem?

– Mój syn całą noc myślał nad tym, razem przeanalizowaliśmy wszystko dziś rano... Chodzi o zagranie-pułapkę.

– Pułapkę?

Kobieta wyjaśnia ściszym głosem, bo Angielki, idąc przez ogród, bardzo się do nich zbliżyły. Zaplanują określone posunięcie albo więcej posunięć i sprawdzą odpowiedzi przeciwnika. Patrząc na reakcje Sokołowa, będzie można ustalić, czy któryś z analityków jego przeciwnika uprzedził go.

– Czy to pewny sposób?

– Nie całkiem. Rosjanin może udawać zakłopotanie albo może nie potrafić ukryć faktu, że znał już planowane posunięcie. Może też sam rozwiązać problem. Ale być może da nam jakieś wskazówki. Samoobrona Sokołowa może być dla nas użyteczna. Zwróciłeś uwagę na jego pełne pogardy traktowanie Jorgego? Mój syn denerwuje go swoją młodością i zuchwałością postępowania. To może okazać się jednym ze słabych punktów mistrza świata. Sądzi, że jest bezpieczny. A teraz zaczynam rozumieć dlaczego.

– Kogo poddacie próbie? Irinę czy Karapetiana?

– Oboje. Jorge wymyślił dwa nowe teoretyczne rozwiązania dla tej samej, bardzo skomplikowanej pozycji, jakie nigdy wcześniej nie były stosowane w rozgrywkach mistrzowskich. Oba odpowiadają pewnemu ulubionemu otwarciu Sokołowa i one będą punktem wyjścia pułapki... Zasugeruje Karapetianowi, żeby przeanalizował jeden z tych pomysłów, a Irinie – drugi. Żeby uwierzyli, że oboje pracują nad tą samą ideą, zabroni im rozmawiać między sobą, pod pretekstem uniknięcia możliwego zarażenia się podobnym sposobem myślenia.

– A potem zagra jeden lub drugi wariant, tak? Żeby w ten sposób odkryć zdrajcę?

– To bardziej skomplikowane, ale możesz tak to ująć w skrócie... Właśnie. Po tym jak odpowie Sokołow, Jorge rozpozna, na który wariant był przygotowany.

– Wyglądasz na osobę pewną, że Irina nie będzie podejrzewała, co planuje twój syn. Kiedy się dzieli poduszkę, dzieli się też tajemnice.

– Przemawia twoje dawne doświadczenie?

– Przemawia zdrowy rozsądek. Kobiet i mężczyzn.

Nie znasz Jorgego, odpowiada kobieta, uśmiechając się ledwo widocznie. Jego zdolności do hermetyzmu, kiedy w grę wchodzi szachy. Jego nieufności wobec wszystkiego i wszystkich. Swojej dziewczyny, swojego mistrza. Nawet wobec matki. I tak bywa na co dzień, w normalnych czasach. Wyobraź sobie, jak to wygląda w tych dniach, przy tej niepewności.

– Nieprawdopodobne.

– Bynajmniej. To szachy.

Teraz, kiedy w końcu zrozumiał, Max spokojnie rozważa możliwości: Karapetian i dziewczyna, tajemnice, które przekraczają wagę poduszki, obawy i zdrady. Szkoła życia.

– Nadal nie wiem, po co mi to wszystko opowiadasz. Dlaczego mi ufasz. Nie widzieliśmy się od trzydziestu lat... Teraz prawie mnie nie znasz.

Odsunęła się od kolumny, w ten sposób jej twarz zbliżyła się do jego twarzy. Niemal go dotyka, szepcząc, i przez chwilę, pomimo upływu lat, mimo śladów czasu i starości, Max czuje echo przeszłości, kiedy przebiega go dreszcz dawnego podniecenia spowodowanego bliskością tej kobiety.

– Zasadzka Iriny i Karapetiana nie jest jedynym przewidzianym posunięciem... W razie potrzeby trzeba będzie zastosować wariant późniejszy, który analityk z poczuciem humoru mógłby nazwać „obroną Inzunzy”... Albo może „wariantem Maxa”. I ten właśnie ruch, mój drogi, będzie należał do ciebie.

– Dlaczego ja?

– Dobrze wiesz dlaczego... A może jesteś takim głupcem, że nie. Może i nie wiesz.

7. O ZŁODZIEJACH I SZPIEGACH

Zatoka Aniołów zachowała swój intensywnie niebieski kolor. Wysokie skały zamku w Nicei chroniły brzeg przed mistralem ledwo marszczącym wodę w tej części wybrzeża. Opierając się o kamienny murek na Rauba-Capeù, Max odwrócił wzrok od białych żagli jachtu wypływającego z portu i spojrzał na Mauro Barbaresco stojącego obok w rozpiętej marynarce, z luźnym węzłem krawata i z rękami w kieszeniach pomiętych spodni, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Oczy Włocha były podkrążone ze zmęczenia, a jego twarz wyraźnie potrzebowała brzytwy i mydła fryzjera.

– Chodzi o trzy listy – mówił ten ostatni. – Napisane na maszynie, włożone do koperty i schowane do sejfu w biurze Ferriola w willi jego siostry... Jest tam więcej dokumentów oczywiście. Nas jednak interesują tylko te.

Max spojrzał na drugiego mężczyznę. Domenico Tignanello nie wyglądał lepiej niż jego towarzysz: stał kilka kroków dalej, oparty z wyraźnym zmęczeniem o drzwiczki fiata 514 z francuskimi numerami rejestracyjnymi – starego, czarnego, z brudnymi błotnikami – i patrzył z przygnębieniem na pomnik poległych podczas Wielkiej Wojny. Wygląd obu wskazywał, że mieli za sobą ciężką noc. Max wyobraził sobie, jak bezsennie zarabiają na swoją marną pensję drugoplanowych szpiegów, śledząc kogoś – być może jego – albo jadą zaa niedalekiej granicy, siedzą za kierownicą, paląc papierosa za papierosem w poblasku reflektorów samochodowych, które oświetlają wijącą się ciemną wstęgę asfaltu, wytyczoną pomiędzy podłużnymi plamami białej farby na drzewach wzdłuż drogi.

– Nie może być pomyłki z listami – ciągnął Barbaresco. – Chodzi o te trzy, i żadne inne. Musi się pan upewnić, zanim je pan weźmie, potem

proszę odłożyć kopertę na miejsce... Tomás Ferriol nie powinien zorientować się od razu, co mu zginęło.

– Potrzebuję dokładnego opisu.

– Łatwo je pan zidentyfikuje, są napisane na oficjalnym papierze. Są do niego skierowane i datowane między 20 lipca i 14 sierpnia ubiegłego roku, kilka dni po wojskowym powstaniu w Hiszpanii. – Włoch zawahał się przez chwilę, czy powinien dodać coś jeszcze. – Są podpisane przez hrabiego Ciano.

Max przyjął informację bez mrugnięcia okiem, wsunął laseczkę pod ramię, wyciągnął z kieszeni papierośnicę, lekko postukał końcówką papierosa o wieczko i włożył go do ust, nie zapalając. Wiedział, tak samo jak wszyscy, kim jest hrabia Galeazzo Ciano. Jego nazwisko znajdowało się w nagłówkach gazet i często można było spotkać jego twarz w ilustrowanych magazynach i kronikach filmowych: piękny, ciemnowłosey, bardzo przystojny, zawsze w mundurze albo w stroju wieczorowym, zięć Duce – ożeniony z córką Mussoliniego – był ministrem spraw zagranicznych faszystowskich Włoch.

– Dobrze byłoby wiedzieć coś więcej o sprawie. O co chodzi w tych listach?

– Niewiele więcej musi pan o nich wiedzieć. To zastrzeżone wiadomości o pierwszych operacjach wojskowych w Hiszpanii i wyrazy sympatii, z jaką mój rząd przyglądał się patriotycznemu zrywowi generałów Mola i Franco... Z powodów, które nie są sprawą ani naszą, ani pańską, listy te muszą zostać odzyskane.

Max słuchał z najwyższą uwagą.

– Dlaczego tutaj są te listy?

– Tomás Ferriol przebywał w Nicei w ubiegłym roku właśnie podczas lipcowego buntu. Willa na wzgórzu Boron była w tych dniach jego

rezydencją, a lotnisko w Marsylii jego portem podczas licznych podróży małym, wynajętym samolotem, poruszającym się pomiędzy Lizboną, Biarritz i Rzymem. To normalne, że tajna korespondencja przechodziła tędy.

– Wyobrażam sobie, że chodzi o listy kompromitujące. Dla niego albo dla nas.

Zniecierpliwionym ruchem Barbaresco przejechał dłonią po nieogolonych policzkach.

– Nie płacimy panu za wyobraźnię, panie Costa. Poza informacjami niezbędnymi panu do wykonania tej pracy treść listów nie jest dla pana istotna. Dla nas zresztą też nie. Proszę wyteżyc swoje talenty na wymyślenie, w jaki sposób je pan zdobędzie.

Przy ostatnich słowach dał znak koledze, a ten odszedł od auta i nieśpiesznie zbliżył się do nich. Wyjął z samochodowego schowka kopertę i jego melancholijny wzrok z nieufnością spoczął na Maksie.

– Oto dane, o które nas pan prosił – powiedział Barbaresco. – Znajdzie pan tutaj plany domu i ogrodu. Sejf pochodzi z firmy Schützling, jest wmurowany w szafie w głównym biurze.

– Z którego roku?

– Trzynastego.

Max trzymał kopertę w rękach. Była zamknięta. Schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki bez otwierania.

– Ile osób służby pracuje w domu?

Nie otwierając ust, Tignanello uniósł dłoń z rozcapierzonymi palcami.

– Pięć – sprecyzował Barbaresco. – Pokojówka, guwernantka, kierowca, ogrodnik i kucharka. Tylko troje pierwszych mieszka w domu. Śpią na górnym piętrze. Jest też strażnik w budce przy wejściu.

– Psy?

– Nie, siostra Ferriola nienawidzi psów.

Max obliczył w myśli czas potrzebny na otwarcie schützlinga. Dzięki nauce odebranej od starego współnika Enrica Fossatara dawny fordanser miał w swoim życiorysie dwa sejfy produkcji Ficheta i jeden Rudiego Meyera, nie licząc pół tuzina kaset z konwencjonalnymi zamkami. Sejfy Schützlinga były produkcji szwajcarskiej, o lekko przestarzałej mechanice. W najlepszych warunkach i bez popełniania błędów, używając odpowiedniej techniki, nie będzie potrzebował więcej niż godziny. Choć zdawał sobie sprawę, że problem nie polegał na tej godzinie, ale na sposobie dotarcia do sejfu i potem dysponowania tą godziną. Żeby pracować spokojnie i bez przeszkód. Bez stresu.

– Potrzebny mi będzie Fossataro.

– Po co?

– Klucze. To sejf z licznikami. Proszę mu powiedzieć, że potrzebuję kompletu rączek.

– Czego?

– On będzie wiedział. Potrzebuję też większej zaliczki. Mam zbyt wiele wydatków.

Barbaresco zachował milczenie, jakby nie usłyszał ostatnich słów. Przyglądał się swojemu koledze, który znów stał oparty o fiata i patrzył na pomnik zabitych w wojnie światowej: wielką białą urnę pod łukiem wydrążonym w skalistym murze, ponad napisem *La ville de Nice à ses fils morts pour la France*.

– Domenico ma przykre wspomnienia – skomentował Barbaresco. – Stracił dwóch braci pod Caporetto.

Zdjął kapelusz i znużonym gestem przesunął dłonią po czaszce. Teraz patrzył na Maxa.

– Nigdy nie był pan żołnierzem?

– Nigdy.

Nawet nie mrugnął. Włoch wpatrywał się w niego, obracając w dłoniach kapelusz, jakby to pomogło zgłębić szczerść odpowiedzi. Być może bycie żołnierzem pozostawia na zawsze ślad, pomyślał Max. Jak kapłaństwo. Albo prostytutka.

– A ja byłem – powiedział Barbaresco po chwili. – W Isonzo. Walczyłem przeciw Austriakom.

– Bardzo ciekawe.

Włoch znów spojrzał na niego pytająco i z wyrzutem.

– Podczas tej wojny byliśmy aliantami Francuzów – dodał po chwili milczenia. – Inaczej będzie podczas następnej.

Max uniósł brwi z odpowiednią dozą naiwności.

– To będzie następna?

– Może pan być pewien. Przy całej arogancji Anglików, połączonej z francuską głupotą... Z Żydami i komunistami konspirującymi po cichu. Rozumie pan, o czym mówię? To nie może się dobrze skończyć.

– Jasne. Żydzi i komuniści. Na szczęście w Niemczech jest Hitler. No i nie zapominajmy o waszym Mussolinim.

– Może pan być pewien. Faszystowskie Włochy...

Nagle przerwał, nieufnie, jakby właśnie uznał spokojną zgodność Maxa za podejrzaną. Skierował spojrzenie na wejście do starego portu i na latarnię morską wznoszącą się na końcu falochronu, a potem odwrócił wzrok na wydłużony łuk plaży i miasta, ciągnący się po drugiej stronie Rauba-Capeù, w oddali, w dół od zielonych dolin, nakrapianych różowymi i białymi willami.

– To miasto znów będzie nasze – zmrużył posępnie powieki. – Pewnego dnia.

– Nie mam nic przeciwko temu. Ale przypominam panu, że potrzebuję więcej pieniędzy.

Kolejne milczenie. Pozornie z trudem Włoch powoli wracał ze swoich patriotycznych snów.

– Ile?

– Następne dziesięć tysięcy franków. Francuskie czy wasze, to miasto jest bardzo drogie.

Mężczyzna przybrał niezbyt zobowiązującą minę.

– Zobaczymy, co się da zrobić... Czy już pan poznał Susanę Ferriol? Znalazł pan sposób, by się do niej zbliżyć?

Oślaniając płomień w zagłębieniu dłoni, Max zapalił papierosa, którego od dobrej chwili trzymał w palcach.

– Jestem zaproszony jutro na kolację.

Nagle, pełne uznania spojrzenie Barbaresco. Było szczere.

– Jak się to panu udało?

– Nieistotne. – Max wypuścił dym, który natychmiast porwała bryza. – Potem, kiedy już zbadam teren, wszystko panom zrelacjonuję.

Włoch uśmiechnął się krzywo, obserwując spode łba nieskazitelnie wyprasowany garnitur szyty na miarę, koszulę i krawat od Charveta, lśniąca skórę butów Scheera, kupionych w Wiedniu. W jego spojrzeniu, jak się zdało Maxowi, przebijały równocześnie błyski podziwu i zawiści.

– Proszę nie zwlekać z relacją ani z działaniem. Czas pracuje przeciwko nam wszystkim, panie Costa. Na naszą szkodę. – Włożył kapelusz i gestem głowy wskazał swojego kolegę. – To obejmuje i Domenica, i mnie. Obejmuje też i pana.

– Rosjanie w Sorrento grają o wiele więcej niż tylko o nagrodę – twierdzi Lambertucci. – Przy tej całej zimnej wojnie, bombach atomowych

i tak dalej nie odpuszczą szachów... To jasne, że chcą trzymać wszystkie sroki za ogon.

Z kuchni, tłumiony przez zasłonę z wielokolorowych plastikowych pasków, dociera dźwięk radia z piosenką *Ragazzo triste*, śpiewaną przez Patty Pravo. Przy jednym ze stolików stojących obok drzwi na ulicę *capitano* Tedesco zgarnie bierki z szachownicy, z przygnębioną miną – tego wieczoru przegrał dwie partie – podczas gdy właściciel lokalu rozlewa do trzech szklanek zawartość butelki czerwonego wina.

– Ludzie z Kremla – ciągnie Lambertucci, stawiając szklanki na stoliku – chcą pokazać, że ich najwięksi mistrzowie są lepsi od zachodnich szachistów. A to miałyby dowodzić, że Związek Radziecki też jest lepszy i w końcu osiągnie zwycięstwo polityczne, a jeśli trzeba, to i wojskowe.

– I mają rację? – pyta Max. – Rosjanie są lepsi w szachach?

Jest w samej koszuli, rozpięty kołnierzyk, marynarka na oparciu krzesła, słucha uważnie. Lambertucci przybiera zarozumiałą minę na cześć Rosjan.

– Nie brak im powodów do zadowolenia. Mają Międzynarodową Federację w kieszeni, całą przekupioną... W tej chwili tylko Jorge Keller i Bobby Fischer stanowią poważne zagrożenie.

– Ale ich styl weźmie górę wcześniej czy później – sędzi *capitano*, który zamknął pudełko szachów i popija swoje wino. – Ci chłopcy nowatorscy, nieformalni grają w nowy sposób, z większą wyobraźnią. Wyciągają starych mastodontów z ich zamkniętych schematów, gry pozycyjnej i zmuszają ich do stąpania po nieznanym terenie.

– W każdym razie – zauważa Lambertucci – póki co to oni rządzą. Tal, który był Łotyszem, został pokonany przez Botwinnika, który z kolei przegrał z Ormianinem Petrosianem rok później. I wszyscy są z Rosji. Czy, dokładnie rzecz biorąc, ze Związku Radzieckiego. A teraz Sokołow jest

mistrzem świata – Rosjanie i Rosjanie, jeden po drugim. I w Moskwie nie życzą sobie zmiany tej sytuacji.

Max podnosi szklaneczkę do ust i patrzy na zewnątrz. Pod trzciniowym daszkiem żona Lambertucciego rozkłada obrusy w kratkę i ustawia świece w pustych butelkach po winie, w oczekiwaniu na gości, których nadejście, ze względu na porę roku, jest coraz mniej prawdopodobne.

– W takim razie – Max ostrożnie wrzuca temat – szpiegostwo zapewne często się zdarza w takich przypadkach...

Lambertucci spędza muchę, która przysiadła mu na przedramieniu, i drapie się po starym abisyńskim tatużu.

– Jest czymś całkiem normalnym – potwierdza. – Każdy turniej jest kłębkim intryg i spisków, godnym filmu szpiegowskiego... A i szachiści są pod stałą presją. Radzieccy gracze pędzą życie pełne przywilejów, dopóki są oficjalnymi mistrzami, jednak kiedy przegrywają, narażają się na represje. KGB nie wybacza.

– Pamiętacie Strielcowa? – mówi Tedesco. – Tego piłkarza.

Fłaszka wina robi następną rundkę wokół stołu, podczas kiedy *capitano* Tedesco i Lambertucci opowiadają o przypadku Strielcowa: jeden z najlepszych piłkarzy świata, klasy Pelé, został zniszczony z powodu złamania podstawowej zasady – odmówił przejścia ze swojej drużyny, którą była Torpedo, do Dynamo Moskwa, nieoficjalnej ekipy KGB. Został zmontowany przeciwko niemu pod byle pretekstem proces karny i zesłano go do obozu pracy na Syberii. Kiedy wrócił po pięciu latach, jego kariera sportowa była skończona.

– Takie są ich metody – kończy Lambertucci. – Z Sokołowem będzie tak samo. Przy szachownicy wydaje się spokojnym człowiekiem, jednak wewnątrz musi buzować... Otoczony tą całą ekipą analityków, doradców

i ochroniarzy, odbierając telefony od Chruszczowa, który go dopinguje i mówi, że cały proletariacki raj śledzi jego grę.

Tedesco okazuje pełną zgodność.

– Prawdziwy sowiecki cud – mówi – polega na tym, że ten człowiek mimo tego wszystkiego potrafi się skupić i dobrze grać w szachy.

– Czy obejmuje to też brudną grę? – ostrożnie pyta Max.

Rozmówca uśmiecha się krzywo, mrużąc swoje jedyne oko.

– Ją obejmuje przede wszystkim. Od dziecinnych zagrywek po skomplikowane i wypracowane operacje.

I opowiada o kilku z nich. W poprzednich mistrzostwach świata, kiedy Sokołow spotykał się z Cohenem w Manili, pracownik ambasady radzieckiej siedział w pierwszym rzędzie i robił zdjęcia z lampą błyskową, żeby przeszkadzać Izraelczykowi. Mówiono też, że podczas olimpiady w Warnie Rosjanie mieli ze sobą parapsychologa, który siedział na widowni i rozpraszał myśli przeciwników ich ekipy. I twierdzi się, że Sokołowowi, kiedy bronił tytułu z Jugosłowianinem Monfilowiciem, doradcy przysyłali wskazówki w jogurtach, które jadł podczas rozgrywek.

– Ale najlepsza historia – dodaje – jest ta o Bobkowie, szachiście, który uciekł ze Związku Radzieckiego podczas turnieju w Reykjaviku: w hotelowej pralni zakażono jego slipki bakterią, która powoduje rzeżączkę.

To właściwy moment, decyduje Max. Żeby przejść do rzeczy.

– A jak to jest – rzuca, niemal przypadkiem – ze szpiegami, którzy docierają do ekip analityków przeciwnika?

– Analityków? – Lambertucci spogląda na niego z zaciekawionym wyrazem twarzy. – No, no, no, Max... Widzę, że jesteś już zaznajomiony z terminologią.

– Trochę czytam w ostatnich dniach.

To się zdarza, potwierdzają rozmówcy. Znane są głośne przypadki, jak zeznania jednego z asystentów Norwega Aronsena, który starł się z Petrosianem niedługo przedtem, jak ten przegrał z Sokołowem walkę o tytuł mistrzowski. Analitykiem był angielski szachista o nazwisku Byrne, który przyznał się, że przekazywał informacje ludziom podającym się za rosyjskich bukmacherów, przyjmujących zakłady po dwa tysiące rubli za partię. Potem okazało się, że te raporty naprawdę trafiały do KGB, a stamtąd do asystentów Petrosiana.

– Czy tutaj może dziać się coś podobnego?

– Biorąc pod uwagę, czym Rosjanie ryzykują w Sorrento i w mistrzostwach świata – mówi Tedesco – może dziać się wszystko... Nie zawsze rozgrywka toczy się na szachownicy.

Żona Lambertucciego wchodzi z miotłą i śmietniczką i wyrzuca ich na ulicę, żeby przewietrzyć lokal i pozamiatać między stolikami. Dopijają swoje wino i wychodzą na zewnątrz. W oddali, za stolikami i zadaszeniem, silver cloud doktora Hugentoblera ukazuje swojego srebrnego anioła na wiśniowej masce.

– Twój szef ciągle w podróży? – pyta Lambertucci, podziwiając samochód.

– Na razie tak.

– Zazdroszczę ci systemu pracy. Jak ci się to podoba, *capitano*? Parę tygodni pracy, a potem kolejne tygodnie spokoju, czas tylko dla ciebie, dopóki nie wróci szef.

Śmieją się wszyscy trzej, idąc po falochronie i po kamiennym nabrzeżu, gdzie właśnie przybił rybacki kuter, do którego powoli zbliża się grupa ciekawskich zainteresowanych ładunkiem.

– Co jest tak niezwykłego u Kellera i Sokołowa? – interesuje się Lambertucci. – Przedtem, Max, nigdy nie interesowałeś się szachami.

– Nagroda Campanelli obudziła moją ciekawość.

Lambertucci puszcza oko do Tedesco.

– Campanella z jednej strony, a pewnie z drugiej ta pani, z którą przyszedł tu na kolację.

– Najwyraźniej nie była to *gospoia* – dogaduje *capitano*.

Max spogląda na niego, a ten uśmiecha się jak królik. Potem znów zwraca się do Lambertucciego.

– Już mu powiedziałaś?

– No pewnie! Komu jak nie jemu miałbym mówić?! Poza tym nigdy nie widziałem cię takiego eleganckiego jak na tej kolacji. A ja musiałem udawać, że cię wcale nie znam! Bóg jeden wie, coś ty kombinował.

– Nadstawiałeś dzielnie ucha, żeby to sprawdzić.

– Nie mogłem powstrzymać śmiechu, widząc, jakiego robisz z siebie amanta, w twoim wieku... Przypominałeś mi Vittoria De Sikę grającego fałszywego arystokratę.

Stoją na nabrzeżu przy rybackiej łodzi. Załoga zdejmuje z pokładu skrzynki, a bryza wiejąca znad skłębionych sieci z linkami i haczykami niesie zapach rybich łusek, soli i smoły.

– Jesteście jak dwie kumoszki... Plotkary.

Lambertucci kiwa zgodnie głową, prostodusznie.

– Daruj sobie wstępy, Max. Mów, o co chodzi.

– To tylko... Była... To moja znajoma sprzed lat.

Szachiści wymieniają porozumiewawcze spojrzenie.

– A przy tym to matka Kellera – dodaje Lambertucci. – I nie rób takiej miny, bo znamy ją ze zdjęć w gazetach. Nietrudno było ją rozpoznać.

– To nie ma nic wspólnego z szachami. Ani z jej synem... Mówię wam, to dawna znajomość.

Ostatnie słowa wywołują u obu słuchaczy sceptyczne miny.

– Dawna znajomość – kwituje Lambertucci – przez którą od pół godziny opowiadamy o rosyjskich szachistach i KGB.

– Swoją drogą, to pasjonujący temat – potwierdza Tedesco. – Nie da się ukryć.

– Dobrze, zgoda... Dajcie już spokój.

Lambertucci zgadza się, ciągle z kpiną w głosie.

– Jak chcesz. Każdy ma swoje małe sekrety, to twoja sprawa. Ale będzie cię to trochę kosztować... Chcemy dostać bilety na rozgrywki w Vittori. Są koszmarnie drogie, dlatego nie mogliśmy tam pójść. Teraz, kiedy masz dojście, sprawa się zmienia.

– Zrobię, co będę mógł.

Rozmówca wypala do końca papierosa, tak że niedopałek parzy mu palce. Potem rzuca go do wody.

– Szkoda, że czas leci. Była piękną kobietą, co? Od razu widać.

– Tak słyszałem. – Max patrzy, jak niedopałek unosi się na powierzchni oleistej wody przy nabrzeżu. – Że była bardzo piękna.

Przez wielkie okno wychodzące na Morze Śródziemne południowe słońce oświetlało duży prostokąt drewnianej podłogi obok nóg stolika Maxa. Siedział na swoim ulubionym miejscu w restauracji Jetée-Promenade – luksusowej budowli na filarach umieszczonych w morzu, naprzeciwko hotelu Ruhl, skąd można było podziwiać całe nicejskie wybrzeże i plażę przy Promenadzie Anglików, jakby obserwator znajdował się na statku zakotwiczonym kilka metrów od brzegu. Okno przy jego stoliku wychodziło na wschodnią część Zatoki Aniołów i w oddali wyraźnie widać było wzgórze zamkowe, wyjście z portu i daleki przylądek nicejski, gdzie pośród okrytych zielenią skał wiła się droga do Villefranche.

Cień zobaczył wcześniej niż mężczyznę. Pierwsze, co zauważył, to zapach angielskiego tytoniu. Max siedział pochylony nad talerzem, kończąc sałatę, kiedy doleciał do niego dym z fajki, cicho skrzypnęła podłoga i ciemna postać odbiła się na świetlistym prostokącie. Podniósł wzrok i napotkał uprzejmy uśmiech, okrągłe szylkretowe oprawki okularów i rękę z fajką – w drugiej był zmięty kapelusz panama – wskazującą na wolne krzesło po drugiej stronie stolika, naprzeciwko niego.

– Dzień dobry... Pozwoli pan, że się na chwilę przysiądę?

Niezwykłość prośby, wymówionej doskonałym hiszpańskim, zaskoczyła Maxa. Patrzył na przybysza – choć słowo „intruz” byłoby właściwsze – z widelcem jeszcze w górze, nie znajdując odpowiedzi na tę impertynencję.

– Oczywiście, że nie – wreszcie odezwał się, przytomniejąc.

Mężczyzna nadal stał, z niezdecydowaną miną, jakby spodziewał się innej odpowiedzi. Wciąż się uśmiechał, choć teraz bardziej był to grymas zaskoczenia i zastanowienia. Nie wydawał się zbyt wysoki. Gdybym stał, pomyślał Max, byłbym wyższy ponad głowę. Jego wygląd był zadbane i niegroźny, podkreślony jeszcze okularami, brązowym garniturem z kamizelką i muszką, które wydawały się luźne na jego kościstej sylwetce, robiącej wrażenie kruchości. Idealny przedziałek pośrodku głowy, który wydawał się wytyczony od linijki, dzielił dokładnie na połówki jego czarne, zaczesane do tyłu włosy, lśniące od brylantyny.

– Obawiam się, że źle zacząłem – powiedział nieznajomy, nie gubiąc uśmiechu. – Proszę wybaczyć moją niezręczność i dać mi drugą szansę.

Powiedziawszy to, z całkowitą swobodą i nie czekając na odpowiedź, odszedł kilka kroków w tył i znów się zbliżył. Naraz przestał wydawać się niegroźny. Albo kruchy.

– Dzień dobry, panie Costa – powiedział spokojnie. – Nazywam się Rafael Mostaza i muszę z panem pomówić o niezwykle ważnej sprawie. Gdybym mógł usiąść, byłoby nam wygodniej rozmawiać.

Uśmiech pozostał identyczny, ale teraz był w nim dodatkowy błysk, jakby metaliczny, za szklami okularów. Max odłożył widelec na talerz. Zdążył już otrząsnąć się po początkowym zaskoczeniu, rozparł się na wiklinowym krześle, ocierając wargi serwetką.

– Mamy wspólne sprawy – nalegał mężczyzna. – I we Włoszech, i tutaj, w Nicei.

Max popatrzył na kelnerów w długich białych fartuchach, stojących daleko, przy donicach z kwiatami, umieszczonych obok drzwi. W restauracji nie było nikogo więcej.

– Proszę usiąść.

– Dziękuję.

Kiedy obcy człowiek usiadł na krześle i opróżnił fajkę, lekko uderzając nią o futrynę okna, Max wreszcie zdołał sobie przypomnieć. Widział go dwukrotnie w ostatnich dniach: kiedy rozmawiał z włoskimi agentami w kawiarni Monnot i podczas spotkania z baronową Schwarzenberg na tarasie w La Frégate naprzeciwko hotelu La Promenade.

– Proszę jeść dalej, bardzo proszę – odezwał się mężczyzna, równocześnie kręcąc przecząco głową w stronę zbliżającego się kelnera.

Rozparty na krześle Max przyglądał mu się ze skrywanym niepokojem.

– Kim pan jest?

– Właśnie panu powiedziałem. Rafael Mostaza, komiwojażer. Jeśli pan woli, proszę mówić mi Fito... Zazwyczaj tak się do mnie zwracają.

– Kto?

Mężczyzna puścił do niego oko, nie odpowiadając, jakby łączył ich wspólny, zabawny sekret. Max nigdy nie słyszał tego imienia.

– Komiwojażer, mówi pan.

– Właśnie.

– Czym pan handluje?

Poszerzył się uśmiech Mostazy, przypominający węzeł jego muszki – widoczny, sympatyczny i może trochę zbyt luźny. Jednak metaliczny refleks nadal był wyraźny w jego oczach, jakby szkło okularów chłodziło mu spojrzenie.

– W dzisiejszych czasach wszystkie gałęzie handlu wiążą się między sobą, nie sądzi pan? Ale to mniej ważne. Najważniejsza jest historia, którą chcę panu opowiedzieć... Opowieść o finansiście Tomasie Ferriolu.

Max wytrzymał bez mrugnięcia okiem te słowa, podnosząc kieliszek wina – doskonałego burgunda – do ust. Odstawił go dokładnie na ślad odbity na białym płótnie obrusa.

– Przepraszam... O kim, jak pan powiedział?

– Proszę, niech pan da spokój. Może mi pan wierzyć, to bardzo ciekawa historia... Pozwoli pan, że ją opowiem?

Max dotknął kieliszka wina, tym razem nie podnosząc go. Mimo otwartego okna naraz poczuł gwałtowne ciepło. Nieprzyjemne.

– Ma pan pięć minut.

– Niechże pan nie będzie taki skąpy... Proszę posłuchać i zobaczy pan, że da mi pan więcej czasu.

Dyskretnym tonem, przygryzając od czasu do czasu zgaszoną fajkę, Mostaza zaczął opowiadać. Tomás Ferriol, mówił, należał do grupy monarchistów, którzy w ubiegłym roku wspierali zamach wojskowy w Hiszpanii. Właściwie to on pokrył pierwsze wydatki frankistów, zresztą nadal to robi. Jak wszyscy wiedzieli, jego ogromny majątek sprawił, że został nieoficjalnym pierwszym bankierem strony buntowników.

– Niech pan przyzna, proszę – przerwał, wskazując fajką w stronę Maxa – że moja opowieść zaczyna pana interesować.

– Możliwe.

– Mówiłem panu! Jestem dobry w opowiadaniu historii.

I Mostaza ciągnął opowieść. Opozycja Ferriola wobec Republiki była nie tylko ideologiczna – wielokrotnie dążył do układu z kolejnymi rządami republikańskimi, nigdy jednak nie udało się dojść do porozumienia. Nie ufano mu, i nie bez powodu. W 1934 wszczęto śledztwo, w wyniku którego o mało co nie znalazł się w więzieniu, uniknął tego za sprawą mnóstwa pieniędzy i licznych wpływów. Od tego czasu jego poglądy polityczne można było streścić w słowach, jakich użył podczas pewnej kolacji z przyjaciółmi: „Republika albo ja”. I tym się właśnie zajmował od półtora roku: unicestwianiem Republiki. Wszyscy wiedzieli, że jego pieniądze stały za wydarzeniami z lipca ubiegłego roku. Po spotkaniu w Saint-Jean de Luz z wysłannikiem konspiratorów Ferriol zapłacił z własnej kieszeni, za pośrednictwem rachunku w banku Kleinwort, za samolot i pilota, który 18 i 19 lipca przewiózł generała Franco z Wysp Kanaryjskich do Maroka. I kiedy samolot ów był w powietrzu, pięć tankowców Texaco, które znajdowały się na pełnym morzu z transportem dwudziestu pięciu tysięcy ton ropy dla państwowego przedsiębiorstwa Campsa, zmieniło kurs i popłynęło do strefy znajdującej się pod kontrolą buntowników. Polecenie telegraficzne zawierało wiadomość: „*Don't worry about payment*” – nie martwcie się zapłatą. Płatność ta została uregulowana przez Tomasa Ferriola, podobnie jak wiele kolejnych płatności. Kalkuluje się, że tylko na paliwa i ropę dla powstańców finansista wydał około miliona dolarów.

– W grę wchodzi jednak nie tylko ropa – dodał Mostaza po pauzie, jaką uczynił, aby Max mógł przyswoić tę informację. – Wiemy, że Ferriol spotkał się z generałem Molą w jego kwaterze głównej w Pampelunie,

w pierwszych dniach buntu, żeby przekazać mu listę poręczeń na kwotę sześciuset milionów peset... Ciekawy szczegół, bardzo w jego stylu, polega na tym, że nie dał mu pieniędzy ani nawet ich nie zaproponował. Ograniczył się do zademonstrowania swojej solidnej pozycji poręczyciela. Zaofiarowania siebie jako gwaranta w każdej potrzebie... Co obejmowało jego przemysłowe i bankowe kontakty w Niemczech i we Włoszech.

Przerwał opowieść i ssął teraz fajkę, nie odrywając wzroku od Maxa, podczas kiedy kelner zbierał talerz po sałatce i serwował mu danie główne, antrykot *à la niçoise*. Prostokąt słońca przesunął się z ziemi w stronę białego obrusa na stole. Teraz jasny blask oświetlał od dołu twarz Mostazy, podkreślając brzydką bliznę poniżej szczęki po lewej stronie szyi, wcześniej niezauważoną przez Maxa.

– Buntownicy – ciągnął opowieść Mostaza, kiedy znów znaleźli się sami – też potrzebowali lotnictwa. Wojskowego wsparcia powietrznego, po pierwsze, do transportu powstańczych oddziałów z Maroka na półwysep, a po drugie, żeby bombardować tereny wroga. W czwartym dniu przewrotu generał Franco osobiście zamówił w Niemczech dziesięć junkersów, za pośrednictwem nazistowskiego *attaché* wojskowego akredytowanego we Francji i Portugalii. Włochami zajął się Ferriol. – Pochylił się nieco nad stołem, opierając się na łokciach. – Widzi pan, wreszcie dotarliśmy do końca.

Max usiłował zachować naturalność przy jedzeniu, choć było to bardzo trudne. Po dwóch kęsach odłożył nóż i widelec na talerz dokładnie w pozycji godziny piątej na zegarze. Następnie przejechał serwetką po ustach, oparł wykrochmalone mankiety koszuli na obrusie i spojrzał na Mostazę, bez komentarza. Włoska oferta, ten kontynuował opowieść po krótkiej przerwie, została przedstawiona przez ministra spraw zagranicznych hrabiego Ciano. Najpierw podczas rozmowy pomiędzy nim

i Ferriolem w Rzymie, a następnie poprzez wymianę listów, w których opisane zostały szczegóły operacji. Włochy dysponowały na Sardynii dwunastoma samolotami Savoia, a Ciano, po konsultacji z Mussolinim, obiecał ich przekazanie do Tetuanu i oddanie do dyspozycji siłom zbuntowanym w pierwszym tygodniu sierpnia, po zainkasowaniu miliona funtów szterlingów. Mola ani Franco nie mieli takiej sumy, ale Ferriol – owszem. Zapłacił więc część tej kwoty, a na resztę wystawił awal. 30 lipca dwanaście samolotów wyleciało w kierunku Maroka. Trzy zaginęły nad morzem, ale reszta dotarła na czas, żeby przetransportować arabskie oddziały i legionistów na półwysep. Cztery dni później włoski statek handlowy Emilio Morlandi, który wypłynął z La Spezia wynajęty przez Ferriola z transportem broni i paliwa do tych samolotów, przybił do portu w Melilli.

– Wspomniałem, że Włochy poprosiły o milion funtów za samoloty; jednak Ciano jest człowiekiem wiodącym życie na wysokim poziomie. Bardzo wysokim. Jego żona jest córką *Duce*, i to przynosi mu liczne korzyści, choć równocześnie zmusza do sporych wydatków... Rozumie pan?

– Doskonale.

– To dobrze, bo teraz nadchodzi ten moment, w którym pojawia się pana związek ze sprawą.

Kelner zabrał talerz Maxa z niemal nietkniętym daniem. Ten nadal siedział nieruchomo, z rękami opartymi na brzegu stołu, i przyglądał się swojemu rozmówcy.

– Co pozwala panu myśleć, że mam jakiś związek z tą sprawą?

Mostaza nie odpowiedział od razu. Jego spojrzenie spoczęło na butelce wina leżącej ukośnie w swoim wiklinowym koszyku.

– Co pan pije, jeśli wybaczy pan moją ciekawość.

- Chambertin – odrzekł Max nieporuszony.
- Rocznik?
- Tysiąc dziewięćset jedenasty.
- I korek wytrzymał?
- Ten tak.
- Wspaniale... Z przyjemnością napiłbym się trochę.

Max gestem przywołał kelnera, który przyniósł kieliszek i napełnił go. Mostaza odłożył fajkę na obrus i przyjrzał się winu pod światło, podziwiając intensywny kolor burgunda. Potem podniósł kieliszek do ust, smakując trunek z widoczną przyjemnością.

– Od dawna pana śledzę – powiedział nagle, jakby właśnie sobie przypomniał pytanie Maxa. – Te dwa typy, ci Włosi...

Zawiesił głos, dając szansę jego wyobraźni, by wymyślił, jak jeden trop przywiódł go do następnego.

- A potem sprawdziłem, ile mogłem, na temat pańskiej przeszłości.

Po tych słowach Mostaza podjął wątek opowieści. Hitler i jego rząd nienawidzili Ciano. Ten zaś, wykazując zdrowy rozsądek, zawsze wyrażał pogląd, że Włochy powinny trzymać się z dala od pewnych interesów Berlina. I nadal tak sądzi. Dlatego, jako osoba ostrożna, zachował w tajemnicy niektóre bankowe zasoby, zabezpieczone w odpowiednich miejscach. Na wszelki wypadek. Pewien sowicie zaopatrzone rachunek, jaki posiadał w Anglii, musiał zostać przeniesiony z powodów politycznych i teraz operował poprzez banki kontynentalne. Głównie szwajcarskie.

– Ciano zażądał czterech procent osobistej prowizji za samoloty Savoia – czterdziestu tysięcy funtów. Niemal miliona peset, która to suma została poręczona przez Ferriola środkami pochodzącymi z rachunku w Société Suisse z Zurychu, dopóki kwoty nie spłacono gotówką z zapasów złota przejętych z Banku Hiszpanii w Palma de Mallorca... I co pan sądzi?

– Że to dużo pieniędzy.

– Nawet więcej. – Mostaza wypił kolejny łyk wina. – To skandal polityczny na wielką skalę.

Pomimo całej zimnej krwi Max już nawet nie udawał braku zainteresowania.

– Rozumiem – powiedział. – O ile zostanie upubliczniony, chce pan powiedzieć.

– W tym cała rzecz. – Ruchem palca Mostaza zapobiegł, by kropla wina spłynęła po nóżce jego kieliszka na obrus. – Ci, którzy mówili mi o panu, panie Costa, opisali mi pana jako przystojnego mężczyznę i bardzo lotnego... To pierwsze nie robi na mnie wrażenia, jeśli pozwoli pan, że będę szczery. Moje upodobania generalnie są konwencjonalne. Cieszę się natomiast, że mogę potwierdzić tę drugą opinię. – Przerwał, by znów posmakować burgunda. – Tomás Ferriol to szczywany lis – kontynuował – i domagał się wszystkiego na piśmie. Sprawa była pilna, chodziło o pewny interes, a prowizja dla Ciano nie była żadną tajemnicą w Rzymie. Teść wie o wszystkim i nie sprzeciwia się, dopóki sprawy toczą się tak jak do tej pory, w sposób dyskretny... Zatem Ferriol obmyślił wszystko tak, by sprawa samolotów została udokumentowana, łącznie z trzema listami, w których Ciano własnoręcznym podpisem poświadcza ową czteroprocentową prowizję... Resztę łatwo potrafi pan sobie wyobrazić.

– Dlaczego chcecie teraz odzyskać te listy?

Z pełną satysfakcją minął Mostaza przyglądał się swojemu prawie pustemu kieliszkowi.

– Powody mogą być liczne. Wewnętrzne napięcia we włoskim rządzie, w którym stanowisko Ciano jest kontestowane przez inne faszystowskie rodziny. Ostrożność ministra na przyszłość, ponieważ teraz zwycięstwo strony zbuntowanej wydaje się całkiem możliwe. A może chęć odebrania

Ferriolowi materiałów, które mogą mu służyć do dyplomatycznego szantażu... Tak czy inaczej, Ciano chce odzyskać listy i pana zatrudniono po to, by je zdobyć.

Wszystko było tak zaskakująco oczywiste, że Max porzucił swoje wcześniejsze zastrzeżenia.

– Nadal nie rozumiem tego, co może mówiłem też tamtym. Dlaczego ja? Włochy muszą dysponować bardziej wytrawnymi szpiegami.

– Mnie sprawa wydaje się bardzo prosta. – Mostaza wziął fajkę ze stołu, wyciągnął gumową torebkę z tytoniem i przystąpił do napełniania główki, ubijając tytoń kciukiem. – Jesteśmy we Francji, a międzynarodowa sytuacja polityczna jest bardzo delikatna. Pan jest człowiekiem bez politycznej przynależności. Jakby w pewnym sensie apatrydą, można tak powiedzieć.

– Mam wenezuelski paszport.

– Mogę takich kupić pół tuzina, jeśli pozwoli pan na śmiałość. Poza tym ma pan przestępczą przeszłość, udowodnioną lub nie, w wielu krajach Europy i Ameryki... Jeśli coś nie poszłoby dobrze, odpowiedzialność spadnie na pana. Oni wszystkiemu zaprzeczą.

– A pan jaką rolę gra w tym wszystkim?

Mostaza, który wyjął pudełko zapalek i podpalał tytoń w fajce, spojrzał na niego zza pierwszych kłębow dymu. Niemal zaskoczony.

– Coś takiego, myślałem, że już pan to pojął. Ja pracuję dla hiszpańskiej Republiki. Jestem po stronie bohaterów pozytywnych... Zakładając, że można mówić o bohaterach pozytywnych i negatywnych w tego typu historiach.

Jako powierzchowny czytelnik – na pokładach transatlantyków, w pociągach i w hotelach – powieści w odcinkach publikowanych w kolorowych czasopismach Max zawsze łączył pojęcie szpiega

z wyrafinowanymi międzynarodowymi kokotami i z okrutnymi typami, którzy starali się być jak najmniej widziani w świetle dnia. Dlatego zaskoczyła go naturalność, z jaką Fito Mostaza zaproponował, że będzie mu towarzyszył w drodze powrotnej do hotelu Negresco, podczas miłego – takiego przymiotnika użył sam Mostaza – spaceru po Promenadzie. Nie miał żadnych obiekcji, zatem spory kawałek drogi szli jak starzy znajomi, rozmawiając na banalne tematy, wraz z całym tłumem poruszającym się o tej porze aleją między fasadami hoteli i brzegiem morza. Po drodze, całkiem spokojnie paląc fajkę i osłaniając pomietą panamą okulary, Mostaza dokończył wyłuszczenie szczegółów sprawy i odpowiadał na pytania Maxa, który mimo pozornego spokoju, nie tracąc czujności, zadawał je od czasu do czasu.

– Podsumujmy: zapłacimy panu więcej niż faszyści... Nie wspominając oczywiście wdzięczności Republiki.

– Jakąkolwiek miałyby ona wartość – pozwolił sobie na ironię Max.

Mostaza zaśmiał się słabo, przez zęby. Niemal dobrotliwie. Blizna pod szczęką nadawała dwuznaczny wyraz temu śmiechowi.

– Proszę nie być złośliwym, panie Costa. Przecież w sumie reprezentuję prawowity rząd Hiszpanii. Demokrację przeciw faszyzmowi, rozumie pan.

Machając laseczką, były fordanser patrzył na niego kątem oka. Gdyby nie okulary, hiszpański agent wyglądałby jak dżokej ubrany w prywatny strój, przez co wydawał się jeszcze bardziej drobny i kruchy, kiedy się poruszał. Jednak jednym z odruchów zawodowych Maxa było klasyfikowanie ludzi poprzez niewypowiedziane, a nawet niesformułowane detale. W jego niepewnym świetle gest czy konwencjonalne słowo miały tak samo małą wartość, jeśli idzie o pożyteczną wiedzę, jak ruch doświadczonego karciarza, który stwierdziłby, że ktoś potajemnie podaje karty jego przeciwnikowi. Były to różne kody, których zdolność

odczytywania Max nabył w miarę zdobywania doświadczenia. I trzy kwadransy, jakie spędził z Fito Mostazą, wystarczyły mu, by zauważyć, że jego dobrotliwy ton, sympatyczna naturalność człowieka mówiącego, że pracuje dla bohaterów pozytywnych, mogły okazać się bardziej niebezpieczne niż ponure prostactwo dwóch agentów włoskiego rządu. Których brak, schowanych za gazetami na jednej z ławek przy promenadzie i śledzących ich kroki, żeby stwierdzić, w jakim stopniu Fito Mostaza komplikuje im życie, bardzo go swoją drogą zaskoczył.

– Dlaczego sami nie ukradniecie państwo tych listów?

Mostaza przeszedł kilka kroków, nie odpowiadając. Potem zrobił swobodny gest.

– Wie pan, co zazwyczaj mawia Tomás Ferriol? Że nie interesuje go kupowanie polityków przed wyborami, kiedy nie ma pewności, czy dojdą do władzy czy nie. Taniej wychodzi kupowanie, kiedy już rządzą.

Zaciągnął się dymem z fajki energicznie, pozostawiając za sobą smugę tytoniowego zapachu.

– Jesteśmy w podobnej sytuacji – dodał w końcu. – Po co organizować całą operację, z jej wszystkimi kosztami i ryzykiem, jeśli możemy wykorzystać tę operację, która już się toczy?

Powiedziawszy te słowa, Mostaza zrobił kilka kroków, śmiejąc się cicho, podobnie jak wcześniej. Wydawało się, że podoba mu się obrót, jaki przybrała rozmowa.

– Republika nie cierpi na nadmiar pieniędzy, panie Costa. A nasze pesety bardzo się dewaluują. Jest w tym pewna poetycka sprawiedliwość, że Mussolini zapłaci panu większą część honorarium.

Max patrzył na rolls-royce'y i cadillaki zaparkowane przed imponującą fasadą Palais Méditerranée i ciągiem wielkich hoteli, które wydawały się ustawione aż po nieskończoność wzdłuż łagodnego łuku Zatoki Aniołów.

W tej części Nicei zostały usunięte z oczu zamożnego turysty wszystkie elementy mogące zakłócić komfortową wizję świata. Były tam tylko hotele, kasyna, bary, wspaniała plaża, bliskie centrum miasta z kawiarniami i restauracjami i wszystkimi luksusowymi zabudowaniami w willowych dolinach. Ani jednej fabryki, żadnego szpitala. Warsztaty, domy służby i robotników, więzienie i cmentarz, a nawet manifestacje, które ścierały się ze sobą ostatnimi czasy z *Międzynarodówką* albo *Marsylianką* na ustach, rozdając „Le Cri des Travailleurs” albo krzycząc: „Śmierć Żydom!”, przy porozumiewawczych uśmiechach żandarmów, wszystko to działo się daleko stąd, w dzielnicach, w których stopa ludzi spacerujących po Promenadzie Anglików nie powstała nigdy.

– Co miałoby mnie powstrzymać przed odrzuceniem pańskiej propozycji? Albo opowiedzeniem o niej Włochom?

– Nic pana nie powstrzymuje – przyznał Mostaza obiektywnie. – Proszę zwrócić uwagę, do jakiego stopnia jesteśmy gotowi grać czysto, w granicach możliwości. Bez gróźb czy szantażu. Ma pan wybór: współpracować lub nie.

– A jeśli się nie zdecyduję?

– Ach, to będzie zupełnie inna sprawa. W takim przypadku, rozumie pan, że zrobimy wszystko, żeby zmienić bieg rzeczy.

Max dotknął róna kapelusza, pozdrawiając dwoje znajomych – węgierskie małżeństwo mieszkające w sąsiednim pokoju w hotelu Negresco – z którymi właśnie się minęli.

– Jeśli tego – odezwał się cicho, z ironią w głosie – nie nazywa pan groźbą...

Mostaza odpowiedział gestem przesadzonej rezygnacji.

– To skomplikowana gra, panie Costa. Nie mamy nic przeciwko panu, chyba że pańskie czyny postawią pana po stronie wroga. Dopóki tak się nie

stanie, może pan być pewien naszej najlepszej woli.

– Objawiającej się większą sumą pieniędzy, niż dają Włosi, wspomniał pan wcześniej.

– Oczywiście, o ile nie będzie to kwota z księżyca.

Posuwali się wolno po promenadzie. Cały czas mijali eleganckich ludzi, mężczyzn w lekkich, dobrze skrojonych garniturach, kobiety obojętnie prowadzące na smyczy pieski najczystszej krwi.

– To dziwne miasto – stwierdził Mostaza na widok dwóch dobrze ubranych pań idących z chartem rosyjskim. – Pełne kobiet, do których normalni mężczyźni nie mają dostępu. Inaczej niż my, naturalnie... Różnica polega na tym, że ja muszę za to płacić, a pan – wręcz przeciwnie.

Max rozejrzał się wokół: mężczyźni, kobiety, bez różnicy. Wszyscy byli ludźmi, dla których obecność pięciu banknotów tysiącfrankowych w portfelu nie byłaby żadną nowością. Samochody z błyszczącymi okuciami powoli przejeżdżały obok, świetnie się komponując w jasnym pejzażu, któremu dodawały urody. Cała promenada wypełniona była szumem dobrze wyregulowanych silników, rozmów pozbawionych lęków. Dobrobytem drogim i spokojnym. Wiele mnie kosztowało, pomyślał gorzko, żeby tu dotrzeć. Żeby poruszać się po tym komfortowym pejzażu, z dala od przedmieść o zapachu stęchłego żarcia, daleko ode mnie odsuniętych przez miejsca takie jak to. I postaram się, żeby nikt nigdy już mnie tam nie odesłał.

– Proszę nie sądzić, że wszystko polega na zapłaceniu więcej czy mniej – mówił Mostaza. – Według moich szefów liczy się też, jak sądzę, mój wdzięk osobisty. Muszę być dla pana przekonujący. Wy tłumaczyc panu, że nie jest tym samym pracować dla takich kanalii jak Mussolini, Hitler czy Franco i dla prawowitego rządu Hiszpanii.

– Proszę sobie darować tę część.

Mostaza znów się zaśmiał tak samo jak poprzednio. Słabo, przez zęby.

– Zgoda. Zostawmy na boku ideologie... Skupmy się na moim osobistym wdzięku.

Zatrzymał się, żeby opróżnić fajkę lekkimi uderzeniami główki o balustradę oddzielającą chodnik od plaży. Następnie schował ją do kieszeni marynarki.

– Lubię pana, panie Costa... W ramach pańskiego mętnego zawodu jest pan *a decent chap*, jak to nazywają Anglicy. A przynajmniej na kogoś takiego pan wygląda. Od jakiegoś czasu badam pańską biografię i przyglądam się pana manierom. Będzie miło z panem pracować.

– A co z kwestią sprzeczności interesów? – spytał Max. – Włosi mogą się pogniewać. I nie bez powodu.

Mostaza wyostrzył uśmiech w odpowiedzi. Tylko na chwilę – złowieszczy, niemal nieprzyjemny błysk. Blizna na szyi wydała się jeszcze głębsza w ostrym świetle na promenadzie.

– Nie mogę panu odpowiedzieć w tej chwili – powiedział Max. – Potrzebuję czasu do namysłu.

Rozbłysły dwukrotnie szkła w cieniu panamy. Mostaza pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Proszę bardzo. Proszę spokojnie się zastanowić, spokojnie pracować ze swoimi kolegami faszystami. Z dyskretnym zainteresowaniem będę obserwował postępy, bez niepokojenia pana. Nie jest naszym zamiarem, jak mówiłem wcześniej, do czegokolwiek pana zmuszać. Wolimy zaufać pańskiemu rozsądkowi i sumieniu... W każdej chwili, nawet w ostatnim momencie, będzie pan miał okazję, żeby przyjąć moją propozycję. Nie ma pośpiechu.

– Gdzie pana znajdę w razie potrzeby?

Mostaza szerokim, nieokreślonym gestem ogarnął przestrzeń równie dobrze oznaczającą miejsce, gdzie się właśnie znajdowali, jak i całe południe Francji.

– W tych dniach, kiedy pan będzie podejmował decyzję, ja muszę się zająć inną, zaległą sprawą w Marsylii. Będę wyjeżdżał i wracał. Ale proszę się nie martwić... Będziemy w kontakcie.

Wyciągnął wyczekująco prawą dłoń do Maxa, który poczuł jej silny, szczery uścisk. Zbyt silny, pomyślał. Zbyt szczery. Po czym Fito Mostaza odszedł żwawym krokiem. Przez chwilę Max widział jego drobną, zwinną postać, zręcznie wymijającą przechodniów. Potem tylko dostrzegł jasny kapelusz poruszający się pomiędzy ludźmi i wkrótce stracił go z oczu.

Wstał piękny, słoneczny dzień, taki jak poprzednie, i Zatoka Neapolitańska lśni tonami błękitu i srebra. Kelnerzy poruszają się po tarasie hotelu Vittoria z tacami pełnymi dzbanków z kawą, bułeczek, marmolady i masła, pomiędzy żelaznymi stolikami, nakrytymi białymi obrusami. Przy stoliku stojącym w zachodnim narożniku kamiennej balustrady jedzą śniadanie Max Costa i Mecha Inzunza. Ona ubrana jest w zamszowy żakiet, ciemną spódnicę i belgijskie mokasyny firmy Loafer. On w swoim codziennym porannym stroju, jaki nosi od czasu, kiedy mieszka w hotelu: flanelowe spodnie, ciemny blezer i jedwabna apaszka na szyi. Starannie uczesane siwe włosy, jeszcze wilgotne po wzięciu prysznica.

– Czy problem już jest rozwiązany? – pyta Max.

Są sami przy swoim stoliku, sąsiednie też są wolne. Mimo to kobieta ścisza głos.

– Być może i tak... Dziś wieczorem przekonamy się, czy to zadziała.

– Irina ani Karapetian niczego się nie domyślają?

– Nic a nic. Pretekst, żeby nie zarażali się nawzajem pomysłami, na razie ciągle jeszcze działa.

Max w zamyśleniu rozsmarowuje odrobinę masła na trójkątnej grzance. Spotkanie z kobietą było przypadkowe. Czytała książkę, która teraz leży na stoliku – *The Quest for Corvo*, tytuł nic mu nie mówi – pomiędzy jego pustą filiżanką a popielniczką z logotypem hotelu i dwoma niedopałkami murattich. Zamknęła książkę, kiedy minął przeszklone drzwi do salonu Liberty i podszedł przywitać się z nią, a ona poprosiła, żeby usiadł.

– Mówiłaś, że miałbym coś zrobić.

Patrzy na niego kilka sekund, uważnie, jakby starała się sobie przypomnieć.

– Wariant Maxa? Na wszystko przyjdzie czas.

Max gryzie grzanekę i pije łyk kawy z mlekiem.

– Czy Karapetian i Irina już pracują nad pomysłami twojego syna? – pyta, otarłszy wargi serwetką. – W związku z tą zasadzką, o której mówiłaś.

– Właśnie nad tym siedzą. Każde osobno, tak jak zaplanowaliśmy. Oboje sądzą, że analizują tę samą sytuację, ale wcale tak nie jest... Jorge zażądał, żeby nie rozmawiali między sobą na ten temat, pod pretekstem, że nie chce, by jedno wpływało na myśli drugiego.

– Które zrobiło większe postępy?

– Irina. I Jorge jest zadowolony, bo mniej mu się podoba pomysł, że to ona... W następnej partii użyje jej teoretycznej nowinki, żeby jak najszybciej rozwiązać wątpliwości.

– A co z Karapetianem?

– Powiedział Emilowi, żeby nadal pracował nad swoim wariantem, dłużej i bardziej dogłębnie, bo chce go ewentualnie użyć później, w Dublinie.

– Myślisz, że Sokołow wpadnie w tę zasadzkę?

– To prawdopodobne. Właśnie tego spodziewa się po Jorgem: poświęcenie bierek i głęboki atak, ryzykowny i błyskotliwy... Styl Kellera.

W tej chwili Max widzi z daleka, jak Karapetian, z plikiem gazet pod pachą, idzie w stronę salonu. Wskazuje go Mechy, ta śledzi arcymistrza spojrzeniem bez wyrazu.

– Byłoby mi smutno, gdyby to był on – komentuje.

Max nie potrafi opanować zdziwienia.

– Woląabyś, żeby to była Irina?

– Emil jest z Jorgem od czasu, kiedy ten był jeszcze dzieckiem. Bardzo wiele mu zawdzięcza. Wiele mu zawdzięczamy.

– Ale ci młodzi... No, ich miłość i tak dalej.

Mecha spogląda na ziemię zasłaną popiołem z jej papierosów.

– Ach, no tak – mówi.

Potem zaczyna opowiadać o kolejnym kroku, co będzie, kiedy Sokołow złapie haczyk. Nie ma zamiaru niepokoić informatora, kiedy już się okaże, które z dwojga nim jest. W obliczu pojedynku o tytuł mistrza świata warto zachować dyskrecję, tak by Sokołow nie podejrzewał, że intruza odkryli jeszcze w Sorrento. Natomiast po Dublinie, jasna sprawa, szpieg, ktokolwiek nim jest, nie będzie już pracował z Jorgem. Są sposoby, żeby rozstać się po cichu lub z hałasem, zależnie, co okaże się wygodniejsze. Tak bywało już wcześniej: pewien francuski analityk miał zbyt długi język w trakcie turnieju kandydatów w Curaçao, kiedy chłopak grał z Petrosianem, Talem i Korcznojem. Wtedy to właśnie Emil Karapetian dostrzegł, co się święci, i wskazał intruza. Udało się całą sprawę załatwić w taki sposób, że nikt nie podejrzewał powodu rozstania.

– A może chodzi o podstawienie kozła ofiarnego – zauważa Max. – Manewr Karapetiana, żeby podejrzenia padły na kogoś innego.

– Myślałam o tym – odpowiada Mecha ponuro. – Jorge też się nad tym zastanawia.

Jednak jej syn wiele zawdzięcza mistrzowi, dodaje po chwili. Miał trzynaście lat, kiedy udało się jej przekonać Karapetiana, żeby z nim zaczął pracować. Piętnaście lat razem – kieszonkowe szachownice ustawiane w każdym miejscu, gra w pociągach, na lotniskach, w hotelach. Przygotowywanie partii, studiowanie otwarć, wariantów, ataków i obron.

– Przez ponad połowę życia Jorgego widziałam, jak przy śniadaniu przed turniejami wymieniali się ostatnimi przemyśleniami na temat zagrań i pozycji, powtarzając plany opracowane w nocy lub improwizując na gorąco.

– Wolalabyś, żeby to była ona – powtarza Max łagodnie.

Wydaje się, że Mecha nie usłyszała komentarza.

– Nigdy nie był cudownym dzieckiem... Czy raczej nie był całkiem wyjątkowy. Ludzie sądzą, że wielcy szachiści posiadają inteligencję większą niż reszta ludzkości, ale to nie jest prawda. Jorge bardzo wcześnie pokazał, że dysponuje zdolnością skupienia uwagi na wielu rzeczach równocześnie, co Niemcy określają długim słowem *Verteilung*, i że potrafi myśleć abstrakcyjnie o ciągach liczbowych.

– Gdzie poznali się z Iriną?

– Na turnieju w Montrealu, półtora roku temu. Chodziła wtedy z Henrym Trenchem, szachistą z Kanady.

– I co się wydarzyło?

– Spotkali się na przyjęciu wydanym przez organizatorów, a potem Irina i Jorge spędzili całą noc, siedząc na ławce w parku, rozmawiając aż do świtu o szachach... Po czym rzuciła Trencha.

– Można odnieść wrażenie, że dobrze im razem, prawda? Ona go uspokaja w sytuacjach takich jak ta.

– Pomaga mu – przyznaje Mecha. – Poza tym on nie jest graczem obsesyjnym. Nie należy do takich, którzy pozwalają opanować się niepewności albo napięciu podczas długich partii. Pomaga mu poczucie humoru i rzeczowość. Jedno z jego ulubionych zdań brzmi: „Nie zamierzam oszaleć z tego powodu”... Taka postawa bardzo ogranicza możliwość patologicznego rozwoju sytuacji. Uspokaja go, powiedziałaś... – Przerzywa na chwilę i zamyśla się z pochyloną głową. – Wydaje mi się, że tak – stwierdza w końcu. – Że Irina przyczynia się do tego.

– Jeśli właśnie jego dziewczyna przekazuje informacje Rosjanom, może też wpływać na jego koncentrację, prawda? Na jego wydajność.

Mechy nie martwi ten aspekt problemu. Jej syn, wyjaśnia, jest gotów pracować z równą intensywnością nad różnymi sprawami, na pozór równocześnie, nigdy jednak nie traci rozeznania, co jest najważniejsze. Szachy. Jego zdolność koncentracji według priorytetów jest zadziwiająca. Wydaje się zatopiony w odległych marzeniach, nagle mruga, otrząsa się z uśmiechem i wraca. Ta możliwość odpłynięcia i powrotu jest jego cechą najbardziej charakterystyczną. Bez tych krótkich spieć przywracających normalność jego życie byłoby zupełnie inne. Stałby się człowiekiem ekscentrycznym albo nieszczęśliwym.

– Dlatego – dodaje po chwili milczenia – tak samo, jak potrafi skupić się w sposób ponadludzki, jest też zdolny pogrążyć się w dywagacjach niemających nic wspólnego z rozgrywaną partią. W myśli rozgrywa inne partie, oczekując na kolejne posunięcie. Chłodno zastanawia się nad sprawą intruza, myśli o podróży albo o filmie... Rozwiązuje inne problemy lub je relatywizuje. Pewnego razu, kiedy był mały, siedział przez dwadzieścia minut nieruchomo nad szachownicą, analizując zagranie. A kiedy jego

przeciwnik zaczął okazywać zniecierpliwienie, podniósł wzrok i spytał: „Oj, czy to kolej na mój ruch?”.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak myślisz... Czy to ona przekazuje informacje?

– Mówiłam ci: istnieje takie samo prawdopodobieństwo, że to Irina, jak to, że to Karapetian.

Max unosi brwi, jakby chciał przyznać prawo istnienia temu, co oczywiste.

– Wygląda na zakochaną.

– Wielkie nieba, Max! – Kobieta patrzy na niego z kpina, niemal zaskoczona. – I ty to mówisz?! Od kiedy miłość przeszkadza w zdradzie?

– Podaj mi jakiś konkretny powód. Dlaczego miałyby go sprzedać Rosjanom?

– To pytanie dziwnie brzmi w twoich ustach. Dlaczego miałyby go sprzedać Emil?

Uniosła obojętnie wzrok, a Max podążył za jej spojrzeniem. Trzy piętra wyżej, stojąc pod jednym z łuków na tarasie w przyległym budynku, Jorge Keller i dziewczyna podziwiają widok. Są w białych hotelowych szlafrokach i wyglądają, jakby właśnie wstali. Dziewczyna ujęła pod rękę chłopca i opiera się na jego ramieniu. Po chwili zauważają Mechę i Maxa i machają do nich. Mężczyzna odpowiada na pozdrowienia, podczas kiedy kobieta pozostaje bez ruchu i przygląda się im.

– Jak długo trwało twoje małżeństwo z jego ojcem, tym dyplomatą?

– Niedługo – odpowiada mu po chwili milczenia. – Zapewniam cię, że się starałam. Myślę, że posiadanie syna było powodem, żeby tym bardziej o to dbać... Bo w końcu każda kobieta w pewnym momencie swojego życia jest przejściowo ofiarą swojej macicy albo swojego serca. Z nim jednak nie udało się... Był tylko dobrym człowiekiem, nieznośnym nie

z powodu nadmiaru zalet, ale przez jego upór, żeby żadnej kobiecie nie odmówić. I jeszcze się tym chełpił.

Przerywa i dziwny uśmiech pojawia się na jej ustach. Opiera prawą rękę na obrusie, obok plamki od kropli kawy. Podobne kropki widać na wierzchu jej dłoni. Ślady lat, starości na zwiędłej skórze. Nagle wspomnienie jej skóry sprzed trzydziestu lat, jędrnej i ciepłej, staje się dla Maxa nieznośne. Żeby zamaskować swoje poruszenie, pochyla się nad stolikiem i sprawdza, czy coś jeszcze zostało w dzbanku.

– Ty nigdy taki nie byłeś, Max... Zawsze potrafiłeś... Do diabła. Wiele razy zastanawiałam się, skąd brałeś to swoje opanowanie. Tę całą swoją przezorność.

Max gestem proponuje kawę, a ona odmawia ruchem głowy.

– Taki przystojny – dodaje. – Mój Boże. Byłeś taki piękny... Rozsądny, przewrotny i taki przystojny...

Zakłopotany, z uwagą przygląda się zawartości swojej pustej filiżanki.

– Powiedz mi coś więcej o ojcu Jorgego.

– Mówiłam ci, że poznałeś go w Nicei, podczas kolacji w domu Suzi Ferriol... Pamiętasz go?

– Mgliście.

Powolnym, niechętnym ruchem Mecha zdejmuje dłoń z obrusa.

– Ernesto był bardzo kulturalny i dystyngowany, brakowało mu jednak talentu i wyobraźni Armanda... Jeden z tych mężczyzn, obok których jesteś i słyszysz, że mówią tylko o sobie, nawet ciebie wykorzystując jako pretekst. Może nawet czasem się zdarzyć, że cię zaciekawi to, co mówią, ale oni nawet nie wiedzą, że tak było.

– Często tak bywa.

– Ty nigdy taki nie byłeś... Zawsze potrafiłeś słuchać.

Max przybiera minę światowca: zawodowa skromność.

– Taktyki właściwe dla mojego fachu – przyznaje.

– Problem polega na tym, że wszystko się skomplikowało – ciągnie Mecha – i w końcu dopadła mnie ta paskudna uraza, do której jesteśmy zdolne my, kobiety, kiedy cierpimy. Właściwie nie cierpiałam tak bardzo, ale tego on wcale nie musiał wiedzieć. Wiele razy starał się uciec od tego, co nazywał miernością i porażką naszego związku, i tak samo jak znakomitej większości mężczyzn udawało mu się dotrzeć w tej ucieczce jedynie do pochwy innych kobiet.

Nie brzmiało to wulgarnie w jej ustach, zauważył Max. Tak samo jak wiele innych słów zarejestrowanych w jego pamięci. Słyszał, jak używała, w dawnych czasach, słów znacznie mocniejszych z tym samym, niemal technicznym chłodem.

– A mnie, owszem, udało się dotrzeć bardzo daleko, jak wiesz – ciągnie Mecha. – Mam na myśli pewien rodzaj amoralności. Brak moralności jako konkluzja... Jako świadomość jałowości i biernej niesprawiedliwości tego, co moralne.

Znów obojętnie spogląda na popiół na ziemi. Potem podnosi wzrok na kelnera, który informując, że zaraz zakończy się podawanie śniadań, pyta, czy może chcieliby jeszcze coś zamówić. Mecha patrzy, jakby nie rozumiała, co do niej mówi, albo jakby była bardzo daleko. W końcu przeczy ruchem głowy.

– Właściwie dwukrotnie poniosłam klęskę – mówi po odejściu kelnera. – Jako kobieta niemoralna przy Armandzie i jako kobieta moralna przy Erneście. Na szczęście dla mnie mój syn wszystko zmienił. Jego pojawienie się otworzyło przede mną nowe możliwości. Trzecią drogę.

– Wspominasz czasem swojego pierwszego męża?

– Armanda? Jakże mogłabym go zapomnieć? Jego słynne tango prześladowa mnie przez całe życie. Podobnie jak ciebie, w pewnym sensie. Nadal tu jest.

Max znów przerywa obserwację swojej pustej filiżanki.

– Z czasem dowiedziałem się tego, czego w Nicei jeszcze nie wiedzieliśmy – zauważa. – Że został zabity.

– Tak. W miejscowości Paracuellos, pod Madrytem. Wyciągnęli go z więzienia, żeby tam go rozstrzelać. – Wzrusza ramionami w sposób niemal niedostrzegalny, jakby godząc się z tragedią, która zdarzyła się tak dawno, że rany po niej zdążyły się już zagoić. – Jedna strona uznała biednego Garcíę Lorcę za swojego świętego, a druga – mojego męża... To, naturalnie, sprawiło, że jego legenda urosła. I uświęciło jego muzykę.

– Nie wróciłaś do Hiszpanii?

– Do tego smutnego, gorzkiego miejsca o zapachu zakrystii, rządzonego przez paskarzy i miernotę?... Nie, nigdy. – Patrzy na zatokę i uśmiecha się sarkastycznie. – Armando był człowiekiem wykształconym, kulturalnym i liberalnym. Twórcą wspaniałych światów... Gdyby dłużej żył, gardziłby tymi krwiożerczymi żołnierzami i mordercami w niebieskich koszulach, z pistoletem u pasa, tak samo jak analfabetami, którzy go zabili.

Po chwili ciszy zwraca się do niego, pytając:

– A ty? Jak ci się układało w życiu przez te wszystkie lata? Czy to prawda, że wracałeś do Hiszpanii?

Max układa na twarzy wieloznaczną minę, która obejmuje dynamiczne czasy, okazje stworzone przez nowobogackich żądnych luksusu, odbudowane wsie i miasta, hotele zwrócone ich właścicielom, interesy kwitujące pod osłoną nowych rządów i mnóstwo okazji dla tych, którzy potrafili je wyczuć. Ten dyskretny grymas jest jego sposobem streszczenia lat czynów i możliwości, wagonów pieniędzy krążących w tę i z powrotem,

pozostających do dyspozycji tych, którzy mieli talent i odwagę, żeby je zdobyć: czarny rynek, kobiety, hotele, pociągi, granice, uchodźcy, światy rozpadające się pośród ruin dawnej Europy, od jednej wojny do drugiej, jeszcze straszniejszej, z gorączkową jasnością, że nic nie będzie takie jak przedtem, kiedy to wszystko się skończy.

– Kiedyś. Podczas wojny światowej jeździłem między Hiszpanią i Ameryką.

– Nie bałeś się łodzi podwodnych?

– Bałem się potwornie, ale nie miałem wyboru. Sama rozumiesz, interesy.

Kobieta znów się uśmiecha, prawie porozumiewawczo.

– Tak, tak, rozumiem... Interesy.

Max pochyla głowę z rozmyślną prostotą świadomy, że kobieta patrzy na niego. Oboje wiedzą, że słowo „interesy” jest sposobem na określenie różnych spraw, choć Mecha nie jest pewna, jak bardzo różnych. Właściwie w czasie wojny w Europie Półwysep Iberyjski był dla Maxa Costy znakomitym terenem łowieckim. Mając wenezuelski paszport – wydał dużo pieniędzy, żeby kupić takie obywatelstwo, które chroniło go przed niemal wszystkim – używał swojego towarzyskiego obycia w restauracjach, na dansingach, popołudniowych herbatkach z orkiestrą, w barach i kabaretach, przy sportach zimowych i w sezonach letnich, w miejscach z intensywnym życiem towarzyskim, odwiedzanych przez piękne kobiety i mężczyzn z wypchanymi portfelami. W tamtych czasach jego pozycja zawodowa pozwalała mu na najwykwintniejsze ekstrema, a rezultatem było całe pasmo fantastycznych sukcesów. Czasy klęsk i upadku, nieszczęść, które zaciągną go na dno głębokiej studni, były jeszcze odległe. Tamta nowa, frankistowska Hiszpania otwierała pole do popisu – lukratywne operacje w Madrycie i Sewilli, wyrafinowane oszustwo w trójkącie Barcelona,

Marsylia i Tanger, pewna nadzwyczajnie bogata wdowa z Ameryki w San Sebastián i epizod z biżuterią w kasynie w Estorilu z odpowiednim zakończeniem w jednej z willi w Sintrze. Podczas tej ostatniej przygody – kobieta, niespecjalnie atrakcyjna, była kuzynką pretendenta do hiszpańskiej korony, Jana z Burbonów – Max znów tańczył, i to dużo. Wszystko, łącznie z *Bolerm Ravela* i *Tangiem Starej Gwardii*. I musiał tańczyć diabelnie dobrze, ponieważ kiedy już wszystko się skończyło, ofiara gorliwie broniła go przed oskarżeniami portugalskiej policji. Nie można nawet podejrzewać Maxa Costy, stwierdziła. To prawdziwy dżentelmen.

– Tak – potwierdza Mecha zamyślona, znów spoglądając na taras, z którego zeszli już młodzi. – Armando był zupełnie inny.

Max wie, że nie o nim mówi. Że kobieta nadal myśli o tamtej Hiszpanii, która zabiła Armanda de Troeye i do której nie miała ochoty już nigdy wracać. Mimo wszystko czuje pewien ucisk. Ślad dawnej irytacji na człowieka, z którym miał właściwie do czynienia tylko przez kilka dni – na pokładzie Cap Polonio i w Buenos Aires.

– Tak jak mówisz. Był wykształcony, liberalny, z wyobraźnią... Do dziś pamiętam ślady bicia na twojej skórze.

Kobieta, zauważając jego ton, spogląda na niego z naganą. Potem odwraca twarz w stronę zatoki, na ciemny stożek Wezuwiusza.

– Minęło dużo czasu, Max... To nie w twoim stylu.

Nie odpowiada. Ogranicza się do patrzenia na nią. Wokół oczu kobiety, przymkniętych przed blaskiem słońca, wyraźnie widać mnóstwo drobnych zmarszczek.

– Wyszłam za mąż bardzo młodo – dodaje Mecha. – I za jego sprawą pochyliłam się nad najciemniejszymi otchłaniami siebie samej.

– W pewnym sensie zepsuł cię.

Kobieta przeczy ruchem głowy, zanim odpowie.

– Nie. Choć może rzeczywiście, akcentując „w pewnym sensie”. To wszystko już we mnie było, zanim jeszcze go poznałam... Armando ograniczył się do postawienia przede mną lustra. Prowadzenia mnie po moich własnych ziemnych zaułkach. Choć może nawet i nie to. Być może jego rola ograniczyła się do uświadomienia mi ich istnienia.

– A ty zrobiłaś to ze mną.

– Lubieś patrzeć, tak samo jak ja. Przypomnij sobie tamte hotelowe lustra.

– Nie. Lubieś patrzeć, jak ty patrzyłaś.

Nagły śmiech, dźwięczny, wydaje się odmładzać złote oczy kobiety. Nadal jest zwrócona w stronę zatoki.

– Nie uległeś, mój drogi... Nigdy nie byłeś taki. Przeciwnie. Zawsze czysty, pomimo swoich bezceństw. Taki zdrowy. Lojalny i prostoliniowy w swoich kłamstwach i zdradach. Dobry żołnierz.

– Mój Boże, Mecha, ty byłaś...

– Teraz już nie ma znaczenia, jaka byłam – odwróciła się do niego, nagle poważna. – A ty nadal jesteś oszustem. I nie patrz tak na mnie. Zbyt dobrze znam to spojrzenie. Lepiej niż myślisz.

– Mówię prawdę – protestuje Max. – Nie sądziłem, że ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

– Dlatego wyjechałeś w ten sposób z Nicei? Nie czekając na nic?... Mój Boże. Głupi jak wszyscy. To był twój błąd.

Oparła się plecami o krzesło. Została tak dobrą chwilę, jakby szukała odbicia wspomnienia w postarzałych rysach mężczyzny siedzącego przed nią.

– Mieszkałeś na terytorium wroga – dodaje w końcu. – Kiedy trwała ciągła, otwarta wojna: wystarczyło spojrzeć ci w oczy. W takich sytuacjach my, kobiety, zauważamy, że jesteście śmiertelni, i spotykamy was zawsze

w drodze na jakiś front. I jesteśmy nawet gotowe, żeby was pokochać odrobinę więcej.

– Nigdy nie lubiłem wojen. Ludzie tacy jak ja zazwyczaj je przegrywają.

– Teraz już wszystko jedno. – Chłodno potakuje ruchem głowy. – Ale podoba mi się, że nie zniszczyłeś tego swojego uśmiechu grzecznego chłopca... Tej elegancji, jaką utrzymujesz, niczym ostatni szwadron pod Waterloo. Bardzo mi przypominasz mężczyznę, którego zapomniałam. Postarzałeś się, i wcale nie mówię o fizyczności. Mam wrażenie, że tak się dzieje z każdym, kto zdobył jakiś rodzaj pewności... Wielu rzeczy jesteś pewien, Max?

– Niewielu. Tylko tego, że ludzie wątpią, wspominają i umierają.

– To pewnie to. Wątpliwości pozwalają zachować młodość. Pewność to jakby złośliwy wirus. Zarazasz się tym na starość.

Znów położyła rękę na obrusie. Skóra nakrapiana życiem i latami.

– Wspomnienia, powiedziałeś. Ludzie wspominają i umierają.

– W moim wieku tak – potwierdza Max. – Już tylko tyle.

– A co z wątpliwościami?

– Niewiele. Tylko niepewność, a to nie to samo.

– A co ja ci przypominam?

– Kobiety, które zapomniałem.

Kobieta wydaje się dostrzegać jego irytację, bo przechyla nieco głowę na bok i obserwuje go z zaciekawieniem.

– Kłamiesz – mówi w końcu.

– Udowodnij!

– Zrobię to... Zapewniam cię, że to zrobię. Daj mi tylko parę dni.

Umoczył wargi w *gin-fizzie* i obserwował resztę gości. Przyszli już prawie wszyscy i ich liczba nie przekraczała dwudziestu. Było to spotkanie w strojach wieczorowych – panowie w smokingach, większość kobiet w sukniach z odsłoniętymi plecami. Niewiele dyskretnej biżuterii w każdym przypadku, kulturalne rozmowy, toczące się głównie po francusku albo hiszpańsku. Przyjaciele i znajomi Susany Ferriol. Było kilku uchodźców wojennych, jednak nie tego rodzaju, jacy zazwyczaj się ukazywali na zdjęciach w dziennikach; resztę stanowili członkowie klasy międzynarodowej rezydującej w Nicei i okolicach. Podczas tej kolacji gospodyni chciała przedstawić swoim miejscowym znajomym małżonków Coll, parę Katalończyków, którym udało się wydostać z czerwonej strefy. Na szczęście dla nich, poza mieszkaniem w jednym z budynków wybudowanych w Barcelonie przez Gaudiego, wieżą w Palamós, kilkoma fabrykami i magazynami teraz zarządzanymi przez tamtejszych robotników, Collowie posiadali też w europejskich bankach pieniądze niezbędne, by spokojnie czekać, aż sprawy na powrót będą takie jak dawniej. Kilka minut wcześniej Max był świadkiem żywej opowieści pani Coll – szerokie biodra i wielkie oczy, drobna i bystra – w której relacjonowała licznym gościom, jak razem z mężem wahali się między Biarritz i Niceą, wybierając to drugie ze względu na łagodny klimat.

– Kochana Suzi była tak miła, że znalazła dla nas willę do wynajęcia. Tu bliźiutko, w Boron... W Savoyu nie było źle, ale to nie to samo. Własny dom to zawsze własny dom... Poza tym dzięki Błękitnemu Ekspresowi do Paryża mamy jeden krok.

Max odstawił pusty kieliszek na stół obok wielkich okien, przez które można było podziwiać oświetlone otoczenie domu: drogę wysypaną drobnym żwirem i rotundę z wielkimi zielonymi roślinami naprzeciwko głównego wejścia, samochody ustawione rzędem pod palmami i cyprysami,

lśniące w świetle elektrycznych lamp, kierowcy tworzący rój papierosowych żarów przy kamiennych schodach – Max przyjechał chryslerem imperial baronowej Schwarzenberg, teraz siedzącej w sąsiednim salonie, zatopionej w rozmowie z pewnym brazylijskim aktorem. W dali, za drzewami ogrodu, Nicea otaczała zatokę świetlistym łukiem wokół ciemnej plamy morza, z maleńkim błyszczącym klinem mola, Jetée-Promenade, mieniącego się na niej niczym klejnot.

– Jeszcze jeden koktajl, proszę pana?

Odmówił gestem głowy, a kiedy kelner odchodził, rozejrzał się wokół. Niewielki jazz-band grał w salonie na powitanie gości, pośród zapachu kwiatów umieszczonych w niebieskich i czerwonych szklanych wazonach. Kolacja miała rozpocząć się za dwadzieścia minut. W jadalni, widocznej za przeszklonymi drzwiami, było nakryte dla dwudziestu dwóch osób. Zgodnie z umieszczonym przy wejściu kartonowym planem, pan Costa zajmował miejsce niemal na końcu stołu. W sumie tutaj jego jedyną rekomendacją było towarzyszenie baronowej Schwarzenberg, a w hierarchii towarzyskiej nie była to zbyt wysoka pozycja. Kiedy został przedstawiony Susanie Ferriol, ta obdarzyła go starannie dobranym uśmiechem i odpowiednimi słowami, właściwymi dla dobrej gospodyni, świadomej swoich obowiązków – to wielka radość móc pana gościć – po czym zaprosiła go dalej, przedstawiając kilku znajomym, doprowadziła w pobliże kelnerów i na razie o nim zapomniała. Susana Ferriol – Suzi dla przyjaciół – była kobietą ciemnowłosą i szczupłą, niemal równie wysoką jak Max, o twardych, kanciastych rysach twarzy, na której odznaczały się wyraziste czarne oczy. Jej strój nie był konwencjonalną suknią wieczorową: miała na sobie elegancki kostium ze spodniami, białe w srebrne paski, znakomicie podkreślający jej niezwykłą szczupłość, i Max byłby gotów postawić jedną ze swoich spinek z macicą perłową, że gdzieś do jego

podszewki była przyszyta metka firmy Chanel. Siostra Tomasa Ferriola poruszała się wśród przyjaciół z wyrafinowaną, ściszoną afektacją, której, bez cienia wątpliwości, była aż nadto świadoma. Jak komentowała baronowa Schwarzenberg, rozparta na tylnym siedzeniu samochodu w drodze na przyjęcie, elegancja jest do nabycia za pomocą pieniędzy, wykształcenia, pracowitości i inteligencji, jednak do używania jej w sposób całkiem naturalny, mój drogi – reflektory samochodowe oświetliły jej przewrotny uśmiech – potrzeba już w wieku niemowlęcym raczkować po perskich dywanach, i to autentycznych. Od kilku pokoleń przynajmniej. A Ferriolowie – ich ojciec zarobił pierwsze pieniądze podczas wojny światowej na przemyśle papierosów na Majorce – są bogaci dopiero w pierwszym pokoleniu.

– Naturalnie, są wyjątki. Ty jesteś jednym z nich, mój drogi. Niewielu mężczyzn widziałam tak przechodzących przez hotelowy hol, podających kobiecie ogień czy zamawiających u sommeliera wino, jak robisz to ty. A przecież urodziłam się w czasach, kiedy Leningrad jeszcze nazywał się Sankt Petersburg... Wyobraź sobie, ile się w życiu napatrzyłam!

Max zrobił kilka kroków przez salon, z ostrożnością myśliwego. Choć willa była jedną z typowych budowli z początku wieku, jej wnętrze zostało umeblowane prosto i funkcjonalnie, zgodnie z najnowszą modą: czyste, proste linie, nagie ściany, ozdobione jedynie kilkoma nowoczesnymi obrazami, meble ze stali, polerowanego drewna, skóry i szkła. Żywy wzrok dawnego fordansera, wyszkolony w fachu zaradności życiowej, rejestrował każdy szczegół dotyczący miejsca i gości. Stroje, dodatki, klejnoty, rozmowy. Zapach tytoniu. Pod pretekstem wyjmowania papierosa zatrzymał się pomiędzy salonem i holem, żeby przyjrzeć się schodom wiodącym na górne piętro. Według planów, które przestudiował w swoim pokoju w hotelu Negresco, trochę dalej znajdowały się biblioteka i biuro

używane przez Ferriola, kiedy przyjeżdżał do Nicei. Obejrzenie biblioteki nie nastęrczało trudności – drzwi były otwarte i w głębi można było podziwiać złocenia na grzbietach książek stojących na półkach. Zrobił kilka kroków z otwartą papierośnicą w ręce i znów się zatrzymał, tym razem w pozie jakby skupił się na słuchaniu pięciu muzyków ubranych w wieczorowe stroje, grających łagodnego swinga – *I Can't Get Started* – stojąc pośród donic z roślinami, obok witrażu wychodzącego z tej strony na ogród. Opierając się o framugę drzwi do biblioteki, obok pary Francuzów, którzy po cichu spierali się – kobieta była atrakcyjną blondynką ze zbyt mocnym makijażem na powiekach – wreszcie zapalił papierosa, zajrzał w głąb pokoju i zlokalizował drzwi do biura, które według otrzymanych informacji zazwyczaj były zamknięte na klucz. Dostęp nie jest zbyt trudny, stwierdził. Wszystko mieściło się na jednym piętrze i nie było krat. Sejf znajdował się w szafie ściiennej, obok jednego z okien. I to właśnie okno, niewidoczne z zewnątrz, mogło być jedną z dróg dostępu. Drugą – szklane, wychodzące na taras drzwi, obok których grał zespół. Diament albo śrubokręt do drzwi, wytrych do otwarcia zamka. Godzina wewnątrz, odrobina szczęścia i wszystko załatwione. Przynajmniej na tym etapie.

Zbyt długo był sam w holu, to niezbyt rozsądne. Zaciągnął się dymem, rozglądając się wokół leniwie. Docierali ostatni goście. Już wcześniej nawiązał kilka znajomości, uprzejme uśmiechy, kilka miłych słów. Odpowiednie spojrzenia, których adresatkami były kobiety, i szczery wygląd budzący sympatię mężów. Po kolacji kilka par będzie miało ochotę tańczyć, a to stwarza stuprocentowe okazje, zwłaszcza z mężatkami, które zazwyczaj miewają problemy, co otwiera drogę Maxowi i oszczędza mu konieczności rozmowy; tego wieczoru jednak nie zamierzał zapuszczać się na te niebezpieczne tereny. Nie może zwracać na siebie uwagi. Nie tutaj, w żadnym razie, przy tak wysokiej stawce. Mimo to, przechadzając się,

czuł na sobie spojrzenia kobiet. Ciche komentarze: kim jest ten przystojny mężczyzna, i tak dalej. W tych czasach Max miał już trzydzieści pięć lat i od piętnastu żył, interpretując spojrzenia. Wszyscy łączyli jego obecność na tym przyjęciu z przelotnym romanssem z Asią Schwarzenberg, i dobrze było, że tak myśleli. Postanowił podejść do grupy złożonej z dwóch mężczyzn i kobiety, którzy rozmawiali – kobieta i jeden z mężczyzn siedzieli na sofie ze skóry i metalu, drugi stał obok. Już, zaraz po swoim przyjściu, żartował z tym, który teraz siedział – był to zażywny mężczyzna, z jasnym wąsikiem, o włosach przystrzyżonych na jeża, który dał mu swoją wizytówkę: Ernesto Keller, wicekonsul Chile w Nicei. Kobieta też nie była mu obca, widział ją nie tylko tego wieczoru. Aktorka, chyba sobie przypomniał. Też Hiszpanka. Piękna i poważna. Conchita jakaś. Może Monteagudo. Albo Montenegro. Przez chwilę, ciągle stojąc bez ruchu, zobaczył swoje odbicie w wielkim lustrze w prostej, owalnej ramie, wiszącym nad wąskim szklanym stołem: olśniewająca biel koszuli pomiędzy klapami z czarnego atłasu, chusteczka w górnej kieszonce i odpowiedni fragment wykrochmalonych mankietów wystających z każdego z rękawów żakietu od smokingu, dopasowanego w pasie; jedna ręka wsunięta niedbale do prawej kieszeni spodni, druga uniesiona z dymiącym papierosem, odsłaniając kawałek paska i złotego, ultracienkiego chronometru firmowanego Patek-Philippe, wartego osiem tysięcy franków. Potem popatrzył na dywan w wielkie białe i brązowe romby pod lakierowaną skórą swoich butów i pomyślał – nadal często mu się to zdarzało – o swoim przyjacielu kapralu Borysie Dołgorukim-Bagracionie. Co by powiedział, czy raczej jak by się roześmiał, między dwoma kieliszkami koniaku, gdyby zobaczył go tutaj, w tym stroju. Od chłopaczka, który bawił się na brzegu Riachuelo w Buenos Aires albo od żołnierza unoszącego karabin ponad ciałami zabitych towarzyszy,

zmumifikowanymi przez słońce na wapiennym stoku góry Arrouit, Max Costa przebył długą drogę, by stąpać teraz po dywanie w willi na Lazurowym Wybrzeżu. I jeszcze trzeba będzie przejść trudny odcinek do drzwi biura, które czekały zamknięte, w głębi biblioteki, niezgłębione jak samo przeznaczenie. Łapczywie zaciągnął się dymem papierosa, dochodząc do wniosku, że nieszczęścia i ryzyka związane z pewnymi drogami nigdy nie znikają – wspomnienie Fito Mostazy, nakładające się na widok dwóch włoskich szpiegów, znów go zaniepokoiło. I że jedynym naprawdę łatwym dniem jest ten, który każdego wieczoru, zapadając w niespokojny i przerywany sen, udaje mu się zostawić za sobą.

I wtedy poczuł blisko delikatny zapach kobiecych perfum. Arpège, rozpoznał je instynktownie. Odwracając się – minęło dziewięć lat od Buenos Aires – zobaczył obok siebie Mechę Inzunzę.

8. LA VIE EST BRÈVE

– Nadal palisz te tureckie papierosy – zauważyła kobieta.

Patrzyła na niego bardziej zaintrygowana niż zdziwiona, jakby starała się poukładać rozrzucone przedmioty na ich właściwych miejscach: jego dobrze skrojony strój wieczorowy, jego rysy. Odbicia elektrycznych lamp wydawały się zawieszane na rzęsach kobiety. Podobny efekt świetlny, wpływającego blasku pobliskich żarówek, widoczny był na jedwabiu koloru kości słoniowej, który przylegał do jej ramion i bioder, z odsłoniętymi rękami i głębokim dekoltem na plecach. Miała opaloną skórę i włosy zgodne z modą, trochę dłuższe niż w Buenos Aires, lekko pofalowane, z przedziałkiem i odsłoniętym czołem.

– Co ty tu robisz, Max?

Odezwała się po chwili milczenia. Właściwie nie było to pytanie, ale wniosek, a jego sens był oczywisty: w żadnym razie to nie może się dziać naprawdę. Żadna droga życiowa mężczyzny, którego Mecha Inzunza poznała na pokładzie Cap Polonio, nie mogła go w sposób naturalny przywieść do tego domu.

– Odpowiedz... Co ty tu robisz?

Była teraz pewna twardość w jej naleganiu. A Max, po początkowym osłupieniu – z pierwszymi oznakami paniki – zaczynał odzyskiwać zimną krew, zrozumiał, że byłoby błędem nadal milczeć. Opanowując pragnienie, żeby się wycofać i osłonić – czuł się jak surowy małż, którego właśnie polano sokiem z cytryny – spojrzął na dwa bliźniacze odbłyśki w kolorze miodu, starając się wszystko przykryć uśmiechem.

– Mecha – powiedział.

Był to jedynie sposób, żeby zyskać na czasie. Jej imię i uśmiech. Myślał bardzo szybko czy raczej starał się to robić. Bez skutku. Rzucił krótkie,

ostrożne spojrzenie, prawie niezauważalne, w jedną i w drugą stronę, sprawdzając, czy ich rozmowa nie wzbudza ciekawości reszty zaproszonych. Kobieta dostrzegła ten gest, a złote gwiazdy stały się jeszcze twardsze w jej oczach, pod brwiami wydepilowanymi do dwóch cienkich nitek, pociągniętych brązową kredką. Nadal jest przepiękna, pomyślał absurdalnie. Dojrzała i bardziej kobieca. Potem popatrzył na lekko rozchylone wargi, pomalowane na intensywnie czerwony kolor – nadal jednak wyglądała na bardziej wyczekującą niż wściekłą – i jego spojrzenie zsunęło się na jej szyję. Dostrzegł wtedy naszyjnik, piękne perły o delikatnym, niemal matowym blasku, trzykrotnie zawinięte wokół szyi. Tym razem osłupienie na jego twarzy było widoczne. Albo był identyczny z tym, który sprzedawał dziewięć lat temu, albo był to ten sam naszyjnik.

Być może to go ocaliło, myślał później. Wyraz osłupienia, jaki miał, patrząc na perły. Nagły błysk triumfu w jej oczach, kiedy zdawała się odgadywać jego myśli, jakby je widziała przez szybę. Ironiczne spojrzenie zastępujące pogardę, a potem cichy, powstrzymywany chichot, który najpierw wprowadził w drżenie jej usta, żeby zaraz zmienić się w gromki śmiech. Podniosła rękę – w drugiej trzymała małą wąską torebkę z wężowej skóry – i długie, szczupłe palce z paznokciami pomalowanymi na kolor identyczny z tym, jaki miała na ustach, bez żadnych ozdób poza złotą obrączką, oparła na perłach.

– Odzyskałam go tydzień później, w Montevideo. Armando odnalazł go dla mnie.

Wspomnienie męża mignęło przelotnie we wspomnieniach Maxa. Od czasów Buenos Aires widywał jego zdjęcia w kolorowych magazynach, a nawet kilka razy w kronikach filmowych w kinie, z podkładem muzycznym jego słynnego tanga.

– Gdzie on jest?

Rozejrzał się wokół, mówiąc to z niepokojem, zastanawiając się, do jakiego stopnia obecność Armanda de Troeye mogłaby pogorszyć jego położenie; uspokoił się, widząc, jak kobieta wzrusza ramionami nagle zasmucona.

– Nie ma go tu... Jest teraz daleko.

Max był człowiekiem pomysłowym, lata złagodziły jego charakter różnymi skomplikowanymi przypadkami. Utrzymanie kontroli nad emocjami oznaczało bardzo często możliwość ucieczki znad granicy nieszczęścia. W tej chwili, kiedy starał się myśleć szybko i precyzyjnie, pewność, że okazanie niepokoju przybliży go bardziej, niż powinno, do francuskiego więzienia, wystarczyła mu za wsparcie techniczne. Podsuwając drogę do odzyskania panowania nad sytuacją albo ograniczenia strat. Paradoksalnie, podpowiedział mu instynkt, naszyjnik może mnie ocalić.

– Naszyjnik – powiedział.

Odezwał się tak, nie wiedząc, co powie dalej, znów po to by zyskać na czasie i zająć obronną pozycję. Ale to wystarczyło. Kobieta znów dotknęła pereł. Tym razem nie roześmiała się, ale spojrzała wyzywająco. Z triumfującym uśmiechem.

– Argentyńscy policjanci bardzo dobrze nas potraktowali. Kiedy mój mąż poszedł zgłosić zniknięcie pereł, skontaktowali go ze swoimi urugwajskimi kolegami... Armando wybrał się do Montevideo i odzyskał naszyjnik od człowieka, któremu go sprzedałeś.

Max skończył palić swojego papierosa i z dymiącym niedopałkiem w palcach szukał miejsca, gdzie mógłby go odłożyć, w taki sposób, jakby wymagało to całej jego uwagi. Wreszcie zgasił go w popielniczce z grubego rżniętego kryształu, stojącej na jednym z pobliskich stolików.

– Już nie tańczysz?

Wreszcie stanął z nią twarzą w twarz. Patrząc jej w oczy z całą otwartością, na jaką mógł się zdobyć. I pewnie zrobił to z wystarczającym zaangażowaniem, bo po pytaniu zadany drwiącym tonem kobieta popatrzyła na niego w zamyśleniu, po czym pokiwała głową jakby w cichej odpowiedzi na myśl, której on nie przeniknął. Jakby zadziwiona i równocześnie rozbawiona opanowaniem mężczyzny. Jego spokojną bezczelnością.

– Teraz prowadzę inne życie – powiedział.

– Riwiera to niezłe miejsce, żeby je prowadzić... Skąd znasz Suzi Ferriol?

– Przyszedłem tu ze znajomą.

– Jaką znajomą?

– Asią Schwarzenberg.

– Aha.

Goście zaczęli przechodzić do jadalni. Młoda blondynka, która kłóciła się po francusku, przeszła obok, za nią jej towarzysz; popłynęła smuga kiepskich perfum, mężczyzna sprawdzał godzinę na kieszonkowym zegarku.

– Mecha. Jesteś...

– Daj spokój, Max.

– Słyszałem tango. Tysiąc razy.

– Tak. Pewnie.

– Chciałbym ci wytłumaczyć pewne sprawy.

– Wytłumaczyć? – Kolejny podwójny złoty błysk. – To u ciebie niezwykle... Widząc cię tu, pomyślałam, że może przez te lata zmieniłeś się na lepsze. Wolę twój cynizm od wyjaśnień.

Max uznał, że lepiej będzie nie komentować tych słów. Stał przy kobiecie wyprostowany i pozornie spokojny, z czterema palcami prawej ręki wsuniętymi do kieszeni marynarki. Zobaczył, jak się uśmiecha lekko, jakby śmiała się z siebie samej.

– Przez chwilę obserwowałam cię z daleka – powiedziała – zanim tu podeszłam.

– Nie widziałem cię. Przykro mi.

– Wiem, że mnie nie widziałeś. Byłeś skupiony, zamyślony... Co tu robiłeś? O czym myślałeś?

Nie zdradzi mnie, stwierdził Max. Przynajmniej nie dziś wieczorem. Albo nie przed kawą i papierosem. Jednak mimo tej chwilowej pewności był świadomy, że stąpa po grząskim terenie. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Żeby ustalić, czy pojawienie się na scenie Mechy Inzunzy nie komplikuje wszystkiego.

– Od razu cię rozpoznałam – ciągnęła kobieta. – Tylko zastanawiałam się, co robić.

Wskazała na drugą stronę holu, skąd prowadziły schody na pierwsze piętro. Obok nich stały donice z wielkimi fikusami i stół, z którego kelner zbierał puste kieliszki.

– Schodząc po schodach, zauważyłam cię, bo nie siedziałeś. Jako jeden z niewielu... Są mężczyźni, którzy siadają, i tacy, którzy zazwyczaj stoją. Nie ufam tym drugim.

– Od kiedy?

– Od kiedy cię znam... Nie przypominam sobie, żebym widziała, jak siedzisz. Ani na pokładzie Cap Polonio, ani w Buenos Aires.

Zrobili kilka kroków w kierunku jadalni, zatrzymując się przy drzwiach, żeby sprawdzić swoje miejsca na kartonowym planie stołu. Max zganił

siebie w myślach, że nie sprawdził wcześniej wszystkich nazwisk wypisanych dookoła stołu. Jej nazwisko tam było: Pani Inzunza.

– A ty? Co tutaj robisz? – zapytał.

– Mieszkam niedaleko, z powodu sytuacji w Hiszpanii... Wynajęłam dom w Antibes i od czasu do czasu odwiedzam Suzi. Znamy się jeszcze ze szkoły.

W jadalni goście zajmowali swoje miejsca wokół stołu, na którym srebrna zastawa lśniła na obrusie obok kryształowych świeczników w kształcie czerwonych, zielonych i niebieskich spirali. Susana Ferriol, która usadzała gości, widząc Mechę i Maxa razem, najwyraźniej była lekko zaskoczona, zdziwiona, że on – Max był pewien, że gospodyni nawet nie zapamiętała jego imienia – rozmawia na stronie z jej przyjaciółką.

– A ty, Max?... Jeszcze mi nie powiedziałeś, co robisz w Nicei. Choć mogę się domyślić.

Uśmiechnął się. Ze światową wyrozumiałością, z sympatią. Wyliczoną co do milimetra.

– Może się mylisz w swoich domysłach.

– Widzę, że udoskonałeś ten uśmiech. – Teraz mierzyła go od stóp do głów z pełnym ironii podziwem. – Co jeszcze udoskonałeś przez te wszystkie lata?

Z daleka widzi Irinę Jasenović nieopodal katedry w Sorrento: okulary przeciwsłoneczne, wzorzysta minisukienka, płaskie sandały. Dziewczyna ogląda wystawę sklepu z odzieżą przy corso Italia i Max pozostaje w pobliżu, obserwując ją z drugiej strony ulicy, dopóki dziewczyna nie ruszy w kierunku placu Tasso. Właściwie nie śledzi jej z określonego powodu, czuje tylko chęć, żeby dyskretnie jej się przyjrzeć, od kiedy wie o możliwym powiązaniu jej z rosyjskim szachistą. Może to kwestia

ciekawości. Chęć zbliżenia się do splotów intrygi. Miał już okazję uczynić to w stosunku do Emila Karapetiana, kiedy po śniadaniu spotkał go w jednym z saloników w hotelu – zobaczył jego okazałą postać w jednym z foteli, otoczoną czasopismami. Wszystko skończyło się wymianą uprzejmych pozdrowień, komentarzem na temat pięknej pogody i krótką pogawędką o przebiegu rozgrywek, podczas której Ormianin odłożył na kolana otwarty dziennik i pogadał chwilę, bez specjalnego entuzjazmu – nawet w sprawach dotyczących szachów Karapetian nie wykazuje skłonności do rozmów składających się z czegoś więcej niż monosylaby – z kulturalnym panem o siwych włosach i miłym uśmiechu, który jak się wydaje, pozostaje w przyjaznych stosunkach z matką jego wychowanka. Po chwili, kiedy Max wstał i zostawił w spokoju swojego rozmówcę z nosem zatopionym w otwartym dzienniku, doszedł jedynie do wniosku, że Ormianin ślepo wierzy w wyższość swojego byłego ucznia nad rosyjskim przeciwnikiem; i że niezależnie od wyniku pojedynku w Sorrento Karapetian jest pewien, że Jorge Keller będzie mistrzem świata w ciągu kilku miesięcy.

– To są szachy przyszłości – streścił swój pogląd dla Maxa, w jednym z dłuższych zdań wyartykułowanych podczas tej rozmowy. – Po jego przejściu przez szachownice świata defensywny styl Rosjan zawsze już będzie trącił naftaliną.

Karapetian nie wygląda na zdrajcę, to wniosek Maxa. Z pewnością nie jest kimś, kto sprzeda swojego byłego ucznia za trzydzieści rublowych srebrników. Mimo to doświadczenie nauczyło kierowcę doktora Hugentoblera, znającego życie na koszt własny lub swoich bliźnich, jak cienkie są nici powstrzymujące ludzką istotę przed zdradą lub oszustwem. Przede wszystkim jak łatwo może wpłynąć na zdrajcę, który jeszcze się zastanawia nad podjęciem decyzji, jakiś ruch samego zdradzanego. Nikt nie

jest bezpieczny, stwierdza z niemal mechaniczną ulgą, idąc po corso Italia i utrzymując dystans za dziewczyną Jorgego Kellera. Kto może powiedzieć, patrząc sobie w oczy w lustrze: nigdy nie zdradziłem i nigdy nie zdradzę?

Dziewczyna siada przy jednym ze stolików w Fauno. Po chwili zastanowienia Max podchodzi do niej z miną, jakby to spotkanie było całkiem przypadkowe, i nawiązuje rozmowę. Wcześniej, instynktownie, dyskretnie rozgląda się wokół. Nie żeby spodziewał się radzieckich agentów ukrytych za palmami na placu, ale dlatego że ten rodzaj ostrożności należy do dawnych odruchów i wynika z pożytecznego wykształcenia. To, że stary wilk stracił kły i ma wyliniały ogon, stwierdza w myśli z przewrotnym humorem, nie oznacza, że teren, na którym poluje, przestał obfitować w niemiłe niespodzianki.

Wspomnienia młodych kobiet, myśli, siadając. To, co zapamiętał. To, co wie. To inne pokolenie, albo wiele pokoleń, stwierdza, patrząc na krótką spódniczkę dziewczyny i jej nagie kolana, kiedy zamawia *negrone* i rozmawiają o błahostkach.

– Sorrento jest bardzo przyjemne... Byliście już w Amalfi? A na Capri? – Dawne, skuteczne uśmiechy, uprzejme miny, tysiąc razy wypróbowane i sprawdzone. – O tej porze roku jest mniej turystów... Zapewniam, że warto pojechać.

Niespecjalnie ładna, stwierdza raz jeszcze. Ani brzydka. Naprawdę młoda. Raczej po prostu ma świeżą skórę i wygląd jak z reklamy Peggy Sage. Atrakcyjność dwudziestu kilku lat, dla tych, którzy uważają, że dwadzieścia kilka lat to coś atrakcyjnego. Irina zdjęła okulary przeciwsłoneczne – przesadnie wielkie, z białymi oprawkami – i Max zauważył, że jej makijaż ogranicza się do gęstej czerni wokół wielkich, wyrazistych oczu. Włosy ma zebrane szeroką opaską, z takimi samymi opartowskimi wzorami jak te na sukience. Pospolita twarz, teraz uprzejma.

Szachy nie mają wpływu na charakter, stwierdza Max w myśli. Ani u mężczyzn, ani u kobiet. Wyższy intelekt, matematyczny umysł, nadzwyczajna pamięć, wszystko to może całkiem naturalnie ukryć się za zdawkowym uśmiechem, nieciekawym słowem, pustą miną. Za pospolitym wyglądem zwykłych mężczyzn i kobiet, w normalnym biegu życia. Szachiści nie są nawet inteligentniejsi od reszty śmiertelników, słyszał, jak mówiła Mecha Inzunza kilka dni wcześniej. To tylko inny rodzaj inteligencji. Aparaty radiowe nadające na innej długości fali.

– Nigdy bym sobie nie wyobraził, że Mecha tak będzie się troszczyć o swojego syna w świecie szachów – odzywa się Max, badając teren. – Inaczej ją zapamiętałam. Taką, jaka była kiedyś.

Irina wydaje się zainteresowana. Pochyliła się i opiera łokcie na stoliku, obok szklanki z coca-colą, w której pływają kostki lodu.

– Od dawna się nie widzieliście?

– Całe lata – potwierdza. – Nasza przyjaźń trwa od bardzo dawna.

– Zatem, co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Sorrento.

– Tak, bardzo szczęśliwy.

Podchodzi kelner z drinkiem. Dziewczyna przygląda się Maxowi z ciekawością, kiedy ten podnosi kieliszek do ust.

– Czy znał pan ojca Jorgego?

– Przelotnie. Krótko przed wojną. – Powoli odstawia kieliszek na stół. – Właściwie lepiej znałem jej pierwszego męża.

– De Troeye? Tego muzyka?

– Tak, właśnie. Tego, który skomponował to słynne tango.

– No tak, jasne. Tango.

Dziewczyna patrzy na dorożki stojące na placu w oczekiwaniu na klientów. Znudzeni dorożkarze siedzą w cieniu, pod palmami.

– To musiał być fascynujący świat. Te suknie, ta muzyka... Mecha mówiła, że był pan znakomitym tancerzem.

Max robi swobodny gest, w połowie drogi między grzecznym protestem i dystygowaną skromnością. Nauczył się go trzydzieści lat wcześniej, na jednym z filmów Alessandra Blasettiego.

– Dawałem sobie radę.

– Jaka ona była wtedy?

– Elegancka. Prześliczna. Jedna z najatrakcyjniejszych kobiet, jakie znałem.

– Jest mi trudno wyobrazić ją sobie taką. To matka Jorgego.

– A jaka jest w roli matki?

Milczenie. Irina dotyka palcem lodu w swojej szklance, nie pijąc.

– Nie jestem najodpowiedniejszą osobą, myślę. Żeby o tym mówić.

– Jest zbyt zaborcza?

– Ona go ukształtowała, w pewnym sensie. – Dziewczyna znów przez chwilę nie odpowiadała. – Bez jej wysiłków Jorge nie byłby tym, kim jest. Ani tym, kim może być.

– Byłby szczęśliwszy, chce pani powiedzieć?

– No nie, proszę. Nic takiego. Jorge jest szczęśliwym człowiekiem.

Max potakuje uprzejmie głową, znów zwilżając wargi w drinku. Nie musi wysilać pamięci, żeby przypomnieć sobie szczęśliwych ludzi, których żony, w innych czasach, zdradzały ich z nim.

– Ona nigdy nie chciała stworzyć potwora, jak to bywa z innymi matkami – dodaje Irina po chwili. – Zawsze starała się go wychowywać jak zwykłego chłopca. Przynajmniej próbowała, żeby to godzić z szachami. I udało się jej, przynajmniej częściowo.

Powiedziała to, patrząc na plac, ostatnie słowa wymawiając szybciej, z przejętą miną, jakby Mecha Inzunza mogła się tam pojawić w każdej chwili.

– Czy rzeczywiście był wyjątkowym dzieckiem?

– Proszę sobie wyobrazić. Mając cztery lata, nauczył się pisać, obserwując, jak to robi jego matka, a w wieku pięciu lat znał wszystkie kraje i ich stolice... Bardzo szybko zdała sobie sprawę, nie tylko kim może zostać, ale też kim w żadnym wypadku zostać nie powinien... I ciężko nad tym pracowała.

Słowo „ciężko” zdaje się na chwilę spinać jej rysy.

– I nadal to robi – dodaje. – Przez cały czas... Jakby się obawiała, że może on wpaść do studni.

Nie powiedziała: „do jakiejś studni”, zauważa Max. Hałas przejeżdżającej właśnie obok z trzaskiem silnika lambretty powoduje, że się wzdryga.

– Nie brak jej racji – dodaje jakby zmartwiona, cichym głosem. – Widziałam wielu tam wpadających.

– Przesadza pani. Zbyt pani młoda.

Na jej twarzy pojawia się uśmiech, który dodaje jej dziesięć lat, szybki i niemal brutalny. Potem znów się odpręża.

– Gram od szóstego roku życia – mówi. – Widziałam, jak wielu szachistów źle kończyło. Stawali się własnymi karykaturami poza szachownicą. Zostanie najlepszym wymaga piekielnej pracy. Zwłaszcza jeśli nigdy nie udaje ci się tego osiągnąć.

– Marzyła pani o tym, żeby być najlepszą?

– Dlaczego mówi pan w czasie przeszłym?... Nadal gram w szachy.

– Przepraszam. Nie wiem. Wydawało mi się, że zostanie analitykiem to tak jak bycie pomocnikiem torreadora w Hiszpanii. Osoby, którym nie

udało się być najlepszymi, zostają pomocnikami. Ale nie chciałem pani obrazić.

Dziewczyna patrzy na ręce Maxa. Plamy starości na wierzchu. Krótkie, zadbane paznokcie.

– Pan nie wie, czym jest klęska.

– Słucham? – Max musi powstrzymać wybuch śmiechu. – Czego nie wiem?

– Wystarczy na pana spojrzeć. Na pański wygląd.

– Aha.

– Siedzenie nad szachownicą i patrzenie na skutki jednego błędu taktycznego. Unaocznienie sobie, z jaką łatwością rozplywa się talent i życie.

– Rozumiem... Ale niech pani na to nie stawia dużych pieniędzy. W kwestii porażek szachiści nie mają wyłączności.

Wydaje się, że dziewczyna nie usłyszała jego słów.

– Ja też znałam na pamięć wszystkie kraje świata i ich stolice – mówi. – Czy coś takiego. Ale sprawy nie zawsze wychodzą tak, jak byśmy chcieli.

Teraz uśmiecha się niemal bohatersko. Do szanownej publiczności. Tylko młoda dziewczyna, myśli Max, może się uśmiechać w ten sposób. Wierząc w efekt takiego uśmiechu.

– To trudne dla kobiety – dodaje Irina i uśmiech znika z jej twarzy. – Ciągle to trudne.

Promienie słoneczne, które przesuwają się od jednego stolika do drugiego, teraz padają prosto na jej twarz. Mruży oczy i żeby je ochronić, wkłada okulary.

– Poznanie Jorgego dało mi nową szansę. Żeby to wszystko przeżywać z bliska.

- Kocha go pani?
- To impertynencja... Myśli pan, że wiek daje panu do tego prawo?
- Jasne. Musi mieć jakieś dobre strony.

Milczenie. Hałas ruchu ulicznego. Klakson w oddali.

- Mecha mówi, że był pan przystojnym mężczyzną.
- Pewnie byłem. Jeśli ona tak mówi.

Teraz promienie słońca dosięgają Maxa, który widzi swoje odbicie w wielkich szklach ciemnych okularów dziewczyny.

- Tak – mówi Irina neutralnie. – Oczywiście, że Kocham Jorgego.

Zakłada nogę na nogę i Max przez chwilę przygląda się jej kolanom, gołym i młodym. Płaskie sandały odkrywają stopy o paznokciach pomalowanych na ciemnoczerwony, niemal fioletowy kolor.

– Czasem obserwuję go, jak siedzi nad szachownicą – ciągnie dziewczyna – i wykonuje swój ruch, ryzykując tak, jak tylko on potrafi, i wtedy myślę, że Kocham go bardzo, bardzo... Kiedy indziej widzę, jak popełnia błąd, zamiast zrobić to, co wspólnie opracowaliśmy, jak w ostatniej chwili zmienia zamiar albo waha się, co zrobić... I wtedy nienawidzę go z całej duszy.

Milknie na chwilę, jakby się zastanawiała, czy ostatnie słowa precyzyjnie oddały sens.

- Wydaje mi się, że kiedy nie gra w szachy, Kocham go bardziej.
- To naturalne. Jesteście młodzi.
- Nie... Młodość nie ma z tym nic wspólnego.

Teraz milczenie trwa tak długo, że Max uznaje rozmowę za skończoną. Przywołuje kelnera ruchem palców w górze, oznaczającym prośbę o rachunek.

– Wie pan co? – nagle odzywa się Irina. – Każdego ranka, kiedy Jorge rozgrywa mecz, jego matka schodzi dziesięć minut przed śniadaniem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane na jego przyjście.

Max ma wrażenie, że słyszy w jej głosie pewne rozgoryczenie. Echo żalu. Dobrze zna to echo.

– I co? – pyta łagodnie.

– I tyle – Irina kręci głową, a odbicie Maxa tańczy na ciemnych szklach. – Kiedy on schodzi, ona już tam siedzi, wszystko jest przygotowane: sok pomarańczowy, owoce, kawa i grzanki. Wszystko na niego czeka.

Czerwone i zielone światła statku opuszczającego port w Nicei poruszały się wolno pomiędzy ciemnymi plamami morza i nieba, odcinając się w rozbłyskach latarni morskiej. Oddzielone od portu przez ciemną bryłę wzgórza zamkowego miasto rozciągało się po drugiej stronie, wyznaczając kontur Zatoki Aniołów, niczym świetlista linia, lekko zakrzywiona od południa, od której oderwało się kilka błyszczących punkcików, żeby wspiąć się na niewidoczne pobliskie wzniesienia.

– Zimno mi. – Mecha Inzunza poczuła dreszcz.

Siedziała za kierownicą samochodu, którym – samodzielnie prowadząc – tam przyjechała: jasna plama sukni i szala z haftowanego jedwabiu, o długich frędzlach, który miała zarzucony na ramiona. Na sąsiednim siedzeniu Max pochylił się do przodu, zdejmując marynarkę, i zarzucił ją kobiecie na ramiona. W samej koszuli i cienkiej kamizelce od smokinga, on też poczuł poranny chłód przenikający do środka przez szpary w pokrywie kabrioletu.

Mecha szukała czegoś w torebce, w ciemności. Usłyszał, jak mnie pustą paczkę po papierosach. Wykończyła je po kolacji, paląc w samochodzie,

kiedy tu dotarli. I wydawało się, że minęła już cała wieczność, stwierdził Max, od chwili kiedy zajął swoje miejsce przy stole, pomiędzy bardzo szczupłą Francuzką, dojrzałą i elegancką, projektantką biżuterii dla firmy Van Cleef & Arpels, i młodą blondynką z tandetnymi perfumami, piosenkarką i aktorką o nazwisku Eva Popescu, która okazała się miłą towarzyszką przy stole. Przy kolacji Max poświęcał uwagę obu kobietom, choć w końcu więcej rozmawiał z młodą blondynką, która wyraziła radość, że przystojny sąsiad, siedzący po jej lewej ręce, był z pochodzenia Argentyńczykiem – szaleję na punkcie tanga, ogłosiła. Kobieta śmiała się często, zwłaszcza kiedy Max zaczął naśladować, w sposób naprawdę dowcipny, różne sposoby zapalania papierosów przez aktorów kinowych, takich jak Leslie Howard czy Laurence Olivier, albo kiedy rzucił kilka zabawnych anegdot – był dobrym gawędziarzem, a jego francuski z hiszpańskim akcentem podobał się kobietom – które rozśmieszyły i przyciągnęły ku nim zainteresowanie projektantki biżuterii. Przy każdym wybuchu śmiechu młodej Popescu, i w innych chwilach przy kolacji, Max ukrywał swój niepokój, czując spojrzenie Mechy Inzunzy z drugiego końca stołu, gdzie siedziała obok Chilijczyka z jasnym wąsem. A przy deserze widział, jak wypić dwie kawy i wypaliła cztery papierosy.

Potem wszystko potoczyło się gładko. Nie chcąc niczego forsować, Mecha i Max unikali się od chwili, kiedy wszyscy opuścili jadalnię. Później, gdy rozmawiał z małżonkami Coll, młodą Popescu i chilijskim dyplomata, gospodyni podeszła do grupki i powiedziała baronowej, że jej ukochana przyjaciółka, która przyjechała sama ze swojego domu w Antibes, teraz zbiera się do wyjazdu, bo nie czuła się całkiem dobrze, i ona też byłaby bardzo wdzięczna Asi Aleksandrownie, gdyby jej znajomy mógł towarzyszyć jej przyjaciółce, bo właśnie się dowiedziała, że są starymi znajomymi. Max potwierdził, wykazując swoją gotowość, na co

Asia Schwarzenberg przystała, po krótkim, niemal niedostrzegalnym początkowym wahaniu. Naturalnie, że nie ma nic przeciwko temu, oświadczyła z uroczą miną osoby gotowej do niesienia pomocy. Z drugiej strony, dodała ze światową złośliwością, Max jest doskonałym towarzystwem dla każdej damy czującej się źle, a nawet dla tych czujących się dobrze. Pojawiły się wyrozumiałe uśmiechy, prośby o wybaczenie, wyrazy wdzięczności i po długim, taksującym spojrzeniu baronowej na Maxa – to nadzwyczajne, jak udają ci się te wszystkie sztuczki, zdawała się mówić zadziwiona – ten odszedł w towarzystwie Susany Ferriol, która przyglądała mu się kątem oka z nowym, źle ukrywanym zaciekawieniem, w kierunku holu, gdzie czekała Mecha Inzunza owinięta swoim szalem. Po oficjalnych pożegnaniach wyszli na zewnątrz, gdzie ku zaskoczeniu mężczyzny nie było wielkiego samochodu z kierowcą, ale mały, dwumiejscowy citroën 7C z uruchomionym silnikiem, właśnie przyprawiony przez służącego. Mecha zatrzymała się przed otwartymi drzwiczkami, żeby pomalować szminką usta przed wyjętym z torebki lusterkiem, w świetle latarni oświetlających schody i rotundę. Po czym wsiedli do samochodu, kobieta prowadziła przez pięć minut w milczeniu, a Max patrzył na jej profil odbijający się na tle oświetlanych reflektorami murów willi, aż do chwili kiedy samochód zatrzymał się nad morzem w punkcie widokowym w pobliżu Lazareto, pomiędzy sosnami i agawami, skąd widoczne było światło latarni morskiej i wyjście z portu, ciemna plama wzgórza zamkowego i w tyle oświetlona Nicea. Kobieta zgasła silnik i zaczęli rozmawiać. Nadal rozmawiali, między długimi chwilami milczenia, podczas których palili w ciemności. Niemal nie widzieli się nawzajem, w półmroku odległych świateł albo w blasku żaru papierosów. Nie patrzyli na siebie.

– Daj mi jednego z tych twoich tureckich papierosów, proszę.

Zachowała ślady tonu i swobodnych manier, jakie Max podziwiał na pokładzie Cap Polonio, charakterystycznych dla młodych kobiet z jej pokolenia, podsycanych przez kino, powieści i ilustrowane magazyny kobiece. Ale dziewięć lat później nie była już dziewczyną. Musiała mieć jakieś trzydzieści dwa, trzydzieści trzy lata, liczył, wspominając. Dwa mniej niż on.

– Oczywiście, przepraszam.

Wyjął papierośnicę z wewnętrznej kieszeni marynarki, po omacku poszukał papierosa i zapalił go płomieniem z dunhilla. Potem, jeszcze nie gasząc płomienia, wypuścił pierwszy kłęb dymu i włożył papierosa bezpośrednio do ust kobiety. Przed zgaszeniem zapalniczki dostrzegł jej nieruchomy profil zwrócony w stronę morza, przy każdym błysku latarni morskiej oświetlany w mroku.

– Nie powiedziałaś mi, gdzie jest twój mąż.

Całą noc próbował zadać jej to pytanie. Pomimo upływu lat zbyt wiele wspomnień tłoczyło się w jego pamięci. Zbyt wiele intensywnych obrazów. Nieobecność Armanda de Troeye w pewnym sensie zniekształcała obecną sytuację. Sprawiała, że wszystko było jakby niekompletne. Jeszcze bardziej nierzeczywiste.

Żar papierosa rozbłysnął dwukrotnie, zanim Mecha odpowiedziała.

– Jest uwięziony w Madrycie... Został zatrzymany kilka dni po przewrocie wojskowym.

– Mimo swojej sławy?

Zabrzmiał gorzki śmiech. Niemal niesłyszalny.

– Raczej z jej powodu. To przecież Hiszpania. Zapomniałeś?... Raj zawiści, barbarzyństwa i okrucieństwa.

– Mimo wszystko to absurd. Dlaczego on? Nie wiedziałem, żeby prowadził jakąś działalność polityczną.

– Nigdy polityka nie miała dla niego znaczenia. Wśród jego przyjaciół są zarówno republikanie i lewicowcy, jak prawicowi monarchiści. Weź jednak pod uwagę urazy biorące się z tego, że zdobył międzynarodową sławę... Poza tym wywiad opublikowany w „Le Figaro”, gdzie mówił o bałaganie i braku autorytetu rządu, przysporzył mu wielu dodatkowych wrogów. I jakby tego jeszcze było mało, szef służb wywiadowczych Republiki jest komunistą, też kompozytorem, tyle że nieprawdopodobnie miernym. Teraz już wiesz wszystko.

– Sądziłem, że jego sława będzie go chronić. Wpływowi przyjaciele, międzynarodowa sława...

– On też tak sądził. I ja też. Ale myliliśmy się.

– Byłaś przy tym?

Mecha pokręciła głową. Przewrót wojskowy zaskoczył ich w San Sebastián, a kiedy Armando de Troeye zobaczył, jaki obrót przybierają sprawy, przekonał ją, żeby wyjechała za granicę. Planowali, że spotkają się w Biarritz, ale Armando chciał najpierw pojechać samochodem do Madrytu, żeby uporządkować sprawy rodzinne. Został zatrzymany, gdy tylko przyjechał, zadenuncjowany przez portierkę.

– Masz od niego wiadomości?

– Dostałam tylko list, napisany trzy miesiące temu w więzieniu Modelo. Wygląda na to, że nadal tam jest. Starłam się interweniować za pośrednictwem przyjaciół, też się tym zajmuje Picasso i Międzynarodowy Czerwony Krzyż... Próbowaliśmy też wymienić go na pewnego więźnia z drugiej strony, ale na razie bez rezultatów. I to mnie martwi. Dociera wiele informacji na temat egzekucji po obu stronach.

– Masz środki, żeby utrzymać ten sposób życia?

– To, co się zdarzyło w Hiszpanii, można było przewidzieć znacznie wcześniej, więc Armando podjął pewne kroki. I znam odpowiednich ludzi,

żeby wszystko szło, jak należy, dopóki to szaleństwo nie minie.

Max patrzył na błyski latarni, nic nie mówiąc. Zastanawiał się nad odpowiednimi ludźmi, których ratowały pieniądze, a także nad tym, co goście Susany Ferriol rozumieją przez sformułowanie: „iść, jak należy”. Przestał o tym myśleć, kiedy poczuł znany ucisk, bardzo dawny, nieokreślonego żalu. Właściwie, stwierdził, wydanie Armanda de Troeye przez portierkę i odprowadzenie go przez milicję do więzienia nie było czymś nie do pomyślenia, jeśli wziąć pod uwagę, jak się sprawy mają na świecie. Ktoś musi zapłacić od czasu do czasu w imieniu odpowiednich ludzi albo na ich rachunek. I wychodzi to nawet dość tanio. Mimo to terminowi „szaleństwo” użytemu przez Mechę do określenia sytuacji w Hiszpanii nie brakowało precyzji. Ze swoim wenezuelskim paszportem Max pojechał do Barcelony kilka miesięcy temu w interesach. Pięć dni wystarczyło, żeby przekonał się, jakim smutnym spektaklem jest Republika pogrążająca się w chaosie: separatyści katalońscy, komuniści, anarchiści, sowieccy agenci, każdy na swój rachunek, mordujący się nawzajem z dala od pól bitewnych. Wyrównywanie rachunków z większą zaciekłością niż ta okazywana w walce z frankistami. Zazdrość, barbarzyństwo i okrucieństwo, nazwała to Mecha z absolutną precyzją. Bardzo trafna diagnoza.

– Na szczęście nie mam dzieci – mówiła kobieta. – Niewygodnie by się uciekało z nimi na ręku, gdy płonie Troja... Masz jakieś dzieci?

– Nie, o ile wiem.

Krótkie milczenie. Niemal ostrożne, wydało mu się. Już domyślał się następnego pytania.

– Też się nie ożeniłeś, tak?

Uśmiechnął się do siebie. Mecha nie widziała jego twarzy.

– Też nie. O ile wiem.

Nie zareagowała na dowcip i znowu nastąpiła cisza. Światła Nicei migotały na czarnej spokojnej wodzie, dziesięć metrów poniżej kamiennej barierki otaczającej punkt widokowy.

– Kiedyś wydawało mi się, że widziałam cię z daleka. Na wyścigach w Longchamps, trzy lata temu... Mogło tak być?

– Mogło – skłamał; nigdy nie był w Longchamps.

– Poprosiłam mojego męża o lornetkę, ale już nie udało mi się ciebie dostrzec. Zniknąłeś mi.

Max patrzył w ciemność w kierunku teraz niewidocznych skał Lazareto. Willa Susany Ferriol odcinała się na czarno w oddali, pomiędzy cieniami sosen. Będzie musiał tam wrócić, pomyślał, kiedy zdecyduje się to zrobić. Gdyby dostał się od strony morskiego brzegu, wydaje się, że dość prosto mógłby przeskoczyć mur w jakimś dyskretnym miejscu. W każdym razie trzeba się będzie temu wszystkiemu uważnie przyjrzeć w świetle dnia. Przystudiować każdy szczegół terenu. Sposób wejścia do willi, a przede wszystkim wyjścia z niej.

– Dziwne mam twoje wspomnienie, Max... *Tango Starej Gwardii*. Nasza krótka przygoda.

Wrócił powoli do sensu słów kobiety. Do jej nieruchomego profilu w mroku.

– Od lat słyszę tę melodię – mówiła dalej kobieta. – Wszędzie, w każdym miejscu.

– Myślę, że twój mąż wygrał ten zakład z Ravelem, prawda?

– Naprawdę to pamiętasz? – wydawała się zaskoczona. – Pamiętasz rywalizację między tangiem i bolem?... To było bardzo zabawne. Ravel porządnie się zachował. W noc premiery, która odbyła się w Salle Pleyel w Paryżu, przyznał się do swojej klęski, zapraszając na kolację do Le Grand Véfour wszystkich, ze Strawińskim i resztą przyjaciół.

- Twój mąż skomponował wspaniałe tango. Jest doskonałe.
- Właściwie to stworzyliśmy je we trójkę... Tańczyłeś je kiedyś?
- Wiele razy.
- Z innymi kobietami, naturalnie.
- Jasne.

Mecha położyła głowę na oparciu fotela.

– Co się stało z moją rękawiczką? Tą białą, pamiętasz? Tą, której użyłeś jako poszetki do marynarki... Odzyskałam ją?

- Wydaje mi się, że tak. Nie pamiętam, żeby ją zachował.
- Szkoda.

W ręce opartej na kierownicy trzymała papierosa, nad którym światło latarni morskiej wykrawało spirale dymu.

– Tęsknisz za mężem? – spytał Max.

– Czasami. – Mecha chwilę zwlekała z odpowiedzią. – Ale Riwiera to dobre miejsce. Rodzaj legii cudzoziemskiej, do której przyjmuje się tylko ludzi z pieniędzmi: hiszpańskich uchodźców z jednej lub z drugiej strony, albo z obu stron; Włochów, którym nie podoba się Mussolini; bogatych Niemców uciekających przed nazizmem... Jedyna niedogodność dla mnie polega na tym, że od przeszło roku nie mogę pojechać do Hiszpanii. Ta głupia, okrutna wojna.

– Nie ma przeszkód, żebyś pojechała do strefy narodowej, gdybyś chciała. Granica w Hendaya jest otwarta.

– Głupota i okrucieństwo dotyczą obu stron.

Żar papierosa znów zamigotał. Potem odkręciła szybę w oknie i rzuciła niedopałek w ciemność.

- W każdym razie nigdy nie byłam zależna od Armanda.
- Masz na myśli jedynie pieniądze?

– Widzę, że drogie ubrania nie maskują twojej impertynencji, mój drogi.

Wiedział, że kobieta patrzy na niego, ale zatrzymał wzrok na odległym migotaniu latarni morskiej. Mecha poruszyła się lekko, a on znów poczuł bliskość jej ciała. Ciepłego, przypomniał sobie. Szczupłego, delikatnego i ciepłego. Podziwiał jej nagie plecy w domu Susany Ferriol, dekolt z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, odsłonięte ręce, kontur szyi, kiedy pochylała głowę, jej ruchy podczas rozmów z innymi gośćmi, uprzejmy uśmiech. I jej nagle powaga, kiedy spostrzegła jego wzrok z drugiego krańca jadalni czy salonu, i wtedy zatrzymywały się na nim złote refleksy.

– Poznałam Armanda, będąc jeszcze dzieckiem. Należał do niego cały świat i miał dużo wyobraźni.

Wspomnienia tłukły się po głowie Maxa bezładnie, z nieprzyjemną siłą. Nadmiar wrażeń, stwierdził. Wolał to określenie od słowa „uczucia”. Dokonał wysiłku, żeby odzyskać kontrolę. Żeby skupić się na tym, co kobieta mówi.

– Tak – powiedziała z naciskiem. – Wyobraźnia była najlepszym, co miał Armando... Przynajmniej na początku.

Zostawiła otwarte okno, przez które wpadała nocna bryza. Po chwili, kręcąc korbką, podniosła szybę.

– Zaczął mi opowiadać o innych kobietach, które poznał – ciągnęła. – Dla mnie to była jakby gra... Podniecała mnie. To było wyzwanie.

– Też cię bił. Sukinsyn.

– Nie mów tak... Ty tego nie rozumiesz. To wszystko było częścią gry.

Znów się poruszyła i Max usłyszał delikatny szelest jedwabiu na skórze fotela. Kiedy wychodzili z domu Susany Ferriol, dotknął jej pasa krótkim, uprzejmym gestem, przepuszczając ją w drzwiach, po czym przeszedł, żeby przed nią zejść po schodach. W tamtej chwili, gdy był spięty, uważny wobec szczególnej sytuacji, te wrażenia – a może też były to uczucia,

pomyślał – umknęły mu niezauważenie. Teraz, w niemal intymnym półmroku w samochodzie, wspomnienie, jak suknia wieczorowa otulała jej biodra, obudziło w nim prawdziwe pożądanie, skrajnie fizyczne. Straszliwe pragnienie jej skóry, ciała.

– W końcu przeszliśmy od słów do czynów – mówiła kobieta. – Oglądać i być oglądanym.

Wrócił do jej słów, jakby przychodził z daleka, i chwilę mu zajęło uprzytomnienie sobie, że nadal mówiła o Armandzie de Troeye. O dziwnym związku, w którym przynajmniej jednego epizodu Max był świadkiem i niespodziewanie uczestnikiem w Buenos Aires.

– Odkryłam, może z jego pomocą, swoje mroczne skłonności. Upodobania, których inaczej nawet bym sobie nie potrafiła wyobrazić... A to tylko ożywiało jego pragnienia.

– Dlaczego opowiadasz mi o tym?

– Pytasz, dlaczego teraz? Dlaczego dziś?

Milczała przez dobrą chwilę. Wydawała się zaskoczona tym, że jej przerwał. Albo pytaniem. Jej głos brzmiał matowo, kiedy znów się odezwała.

– Tamtej ostatniej nocy w Buenos Aires...

Naraz przerwała. Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu, przeszła w mroku pod sosnami i zatrzymała się przy kamiennej balustradzie, ponad skałami i morzem. Max zaczekał chwilę, zakłopotany, potem poszedł za nią.

– Wyuzdanie – usłyszał jej głos. – Co za brzydkie słowo.

W świeżym, nocnym powietrzu światła Nicei zdawały się migotać w oddali tłumione rytmicznie błyskami latarni. Mecha otuliła się czarną marynarką smokingu, dołem widać było jasne frędzle szala. W samej koszuli i kamizelce Max poczuł zimno. Nic jej nie mówiąc, poszedł

jeszcze bliżej, rozchylił klapy marynarki na ramionach kobiety i sięgnął po papierośnicę do wewnętrznej kieszeni. Dotknął przy tym niechcący, na moment, jej piersi pod szalem i jedwabiem sukni. Mecha ulegle nie reagowała.

– Pieniądze wszystko ułatwiały. Armando mógł mi kupić wszystko. Każdą sytuację.

Max postukał końcówką ostatniego papierosa o zamkniętą papierośnicę i włożył go do ust. Wyobrażał sobie bez specjalnego wysiłku – dość widział i robił ostatniej nocy w Buenos Aires – jakie sytuacje miała na myśli. Krótki błysk zapalniczki oświetlił z bardzo bliska perły naszyjnika, tuż obok dłoni, którymi osłaniał płomień.

– Dzięki niemu poznałam rozkosze, które przedłużały rozkosz – dodała kobieta. – Dodawały jej intensywności i konsystencji... Może i brudu.

Max poruszył się zażenowany. Nie chciał tego słuchać. Choć przecież, stwierdził ze złością, on sam brał w tym udział. Był koniecznym współpracownikiem, może wspólnikiem: La Ferroviaria, Casa Margot, blondynka tańcząca tango, Armando de Troeye, pełen po uszy alkoholu i kokainy, na sofie w apartamencie hotelu Palace, podczas kiedy oni bezwstydnie spółkowali pod jego zamglonym spojrzeniem. Jeszcze teraz, kiedy to wspominał, podnieciło go tamto pożądanie.

– I wtedy pojawiłeś się ty – ciągnęła Mecha – na tamtym parkiecie, który kołysał się razem z transatlantykiem... Z tym swoim uśmiechem grzecznego chłopca. I ze swoim tangiem. Dokładnie w chwili kiedy powinieneś był się pojawić. A jednak...

Poruszyła się nieco, cofając się w stronę odległego blasku latarni morskiej, której światło łukiem odsuwało się teraz po skałach Lazareto i po murach nadmorskich willi.

– Jakże byłeś głupi, mój drogi.

Max oparł się o balustradę. Nie takiej rozmowy spodziewał się tej nocy. Żadnych oskarżeń ani gróźb, stwierdził. Sporo czasu spędził, przygotowując się raczej na tę drugą ewentualność niż na tę. Gotów stawić czoło pretensjom i urazie, naturalnym u zdradzonej, a przez to niebezpiecznej kobiety, ale nie tej dziwnej melancholii dźwięczącej w słowach i milczeniach Mechy Inzunzy. Naraz zdał sobie sprawę, że słowo „zdrada” było nie na miejscu. Mecha ani przez chwilę nie czuła się zdradzana. Nawet tamtego ranka w hotelu Palace, kiedy obudziła się i stwierdziła, że zniknął razem ze sznurem pereł.

– Ten naszyjnik... – zaczął, ale zamilkł, uświadamiając sobie własną niezręczność.

– O mój Boże! – Wzgarda kobiety była bezgraniczna. – Wyrzuciłabym go do morza w tej chwili, gdyby jeszcze warto było cokolwiek ci udowodniać.

Nagle smak tytoniu stał się gorzki w ustach Maxa. Najpierw poczuł się zakłopotany, z otwartymi ustami, jakby przerwał w pół słowa, a potem poczuł dziwną i nagłą czułość. Bardzo podobną do wyrzutu sumienia. Podszedłby do Mechy, żeby pogłaskać ją po włosach, gdyby tylko mógł. Gdyby tylko mu na to pozwoliła. Ale wiedział, że nie pozwoli.

– Co zamierzasz, Max?

Teraz był to inny ton. Dużo twardszy. Jej chwila słabości, stwierdził, trwała zaledwie przez kilka słów. Z innym niż zazwyczaj niepokojem, którego istnienia u siebie jeszcze chwilę wcześniej nie podejrzewał, zastanowił się, ile potrwa jego słabość. Owo ciepłe pulsowanie, jakie zauważył przed chwilą.

– Nie wiem. My...

– Nie mówię o nas – znów słychać było podejrzliwość. – Jeszcze raz cię pytam, czego tu szukasz, w Nicei, w domu Suzi Ferrol.

– Asia Schwarzenberg...

– Wiem, kim jest baronowa. Nie jesteście parą. Nie pasuje do ciebie.

– To stara znajoma. Zbieg okoliczności.

– Posłuchaj, Max. Suzi jest moją przyjaciółką. Nie wiem, co knujesz, ale mam nadzieję, że z nią nie ma to nic wspólnego.

– Nic nie knuję. Wobec nikogo. Mówiłem ci, że teraz prowadzę inne życie.

– Lepiej, żeby tak było. Bo jestem gotowa zadenuncjować cię przy najlżejszym choćby podejrzeniu.

Zaśmiał się przez zęby. Niepewnie.

– Nie zrobiłabyś tego – zaryzykował.

– Nie radzę ci ryzykować sprawdzania. To nie jest parkiet na Cap Polonio.

Zrobił krok w stronę kobiety. Tym razem bez wyrachowania. W szczerym odruchu.

– Mecha...

– Nie podchodź.

Zdjęła marynarkę i upuściła ją na ziemię. Ciemna plama u stóp Maxa. Biały szal cofał się powoli, niby duch, pomiędzy cieniami sosen.

– Chcę, żebyś zniknął z życia mojego i moich znajomych. Natychmiast.

Kiedy podnosił marynarkę z ziemi, usłyszał hałas zapalnego silnika Citroëna i oślepiły go reflektory, a jego cień odbił się na kamiennej balustradzie. Potem zapuszczają opony na szutrowej drodze i samochód odjechał w stronę Nicei.

Droga powrotna do hotelu szosą z Lazareto do portu była długa i niewygodna, szedł z podniesionymi kłapami smokingu, żeby ochronić się przed chłodem świtu. Max miał szczęście i pośród cieni na nabrzeżu

Cassini spotkał fiakra z woźnicą śpiącym na koźle, i siedząc już pod płóciennym dachem, wjechał w górę po zboczu Rauba-Capeù uśpiony kołysaniem, a także stukotem końskich kopyt na smołowanej nawierzchni, podczas kiedy fioletowy pasek zaczynał rozdzielać ciemne plamy morza i nieba. To też jest historia mojego życia, pomyślał, lub jego części: poszukiwanie taksówki o świcie, który ma zapach kobiety albo zmarnowanej nocy, przy czym jedno nie pozostaje w sprzeczności z drugim. W kontraście do nielicznych świateł rozjaśniających port i przedmieścia Nicei, gdy minął wzgórze zamkowe, ukazała się przed jego oczami odległa linia krzywa świecących latarni na Promenadzie Anglików, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Na wysokości Ponchettes poczuł głód i ochotę na papierosa, odprawił więc woźnicę, przeszedł pod arkadami w pasażu Saleya i minął cmentarny zapach resztek targu kwiatowego pod ciemnymi gałęziami młodych platanów w poszukiwaniu jakiejś kawiarni, które tam otwierały się bardzo wcześnie.

Zapłacił dwanaście franków za paczkę gauloise'ów i trzy za grzanekę i filiżankę kawy ze śmietanką ze świeżo zagotowanego mleka, po czym zapalił papierosa przy jednym z okien wychodzących na ulicę, podczas kiedy za oknem szarzały cienie, a dwaj magistraccy czyściciele, po zmieceniu kwiatów, łądyg i zwiędłych liści, podłączyli szlauch do miedzianego kranu i zmywali bruk. Max zastanowił się nad zdarzeniami minionej nocy i nad tym, co miało się stać w następnych dniach, próbując umieścić w rozsądnych wymiarach znaczenie nieprzewidzianego czynnika, który właśnie do jego planów i życia wprowadziła Mecha Inzunza. Żeby odzyskać kontrolę nad czynami i emocjami, starał się skupić na technicznych szczegółach tego, co go czekało, na dyscyplinie wobec zagrożeń i możliwych wariantów. To jedyny sposób, pomyślał. Tylko tak może stawić czoło zamętowi, ryzyku popełnienia błędów, które mogłyby

doprowadzić do nieszczęścia. Pomyślał o włoskich agentach, o człowieku, który twierdzi, że nazywa się Fito Mostaza, i poruszył się na niewygodnym krześle, jakby poranny chłód przeniknął przez szybę w oknie i wstrząsnął jego ciałem. Stawka w tej grze jest zbyt wysoka, stwierdził, żeby Mecha Inzunza, jej wspomnienia i ich konsekwencje zdołały przyćmić jego osąd spraw. Żeby to, co się zdarzyło dziewięć lat wcześniej, i to, co zdarzyło się ostatniej nocy, w niewłaściwej kombinacji, zmąciło jego spokój bardzo potrzebny do wielu innych rzeczy.

Przez pięć minut rozważał możliwość ucieczki. Wróci do hotelu, spakuje walizki i jak najszybciej wyruszy w stronę nowych terenów łowieckich, gdzie poczeka na lepsze czasy. Zastanawiając się nad tą opcją, rozejrzał się wokół, jakby w poszukiwaniu pomysłów. Potrzebował dawniej znanych zabezpieczeń, rzeczy pewnych w jego malowniczym fachu i bujnym życiu. Zobaczył przyklejone pinezkami do ściany dwa plakaty turystyczne, jeden reklamujący koleje francuskie, a drugi – Lazurowe Wybrzeże. Max patrzył na nie, z papierosem w ustach i przymkniętymi oczami, zamyślony. Bardzo lubił pociągi – stanowczo bardziej niż transatlantyki czy elitarne i zamknięte towarzystwo korzystające z samolotów handlowych – ich stałą ofertę przygody, życie zawieszane między dwiema kolejnymi stacjami, możliwości nawiązania lukratywnych kontaktów, dystyngowaną klientelę wagonów restauracyjnych. Palenie papierosa na wąskim łóżku w wagonie sypialnym, w samotności albo w towarzystwie kobiety, i słuchanie stukotu kół na łączeniach szyn. Z jednego z ostatnich wagonów sypialnych, jakie zapamiętał – Orient Ekspres na trasie ze Sztambułu do Wiednia – wysiadł o czwartej pewnego zimnego poranka na dworcu w Bukareszcie, wcześniej ubrawszy się w tajemnicy i zamknąwszy cicho drzwi do przedziału wychodzące na korytarz, zostawiając za sobą walizkę i fałszywy paszport u konduktora;

miał przy sobie za to klejnoty o wartości dwóch tysięcy funtów szterlingów, które wypychały mu kieszenie płaszcza. Co do drugiego plakatu, to kiedy na niego patrzył, pojawił mu się uśmiech na twarzy. Rozpoznawał miejsce, z którego artysta malował pejzaż: był to punkt widokowy pośród sosen nad zatoką Saint-Juan, gdzie można było podziwiać spory kawałek terenu, który półtora roku temu, z przyzwoitą prowizją za pośrednictwo i we współpracy ze starym węgierskim przyjacielem Sándorem Esterházym, Max pomógł sprzedać bogatej Amerykance – pani Zundel, właścicielce firmy Zundel & Strauss, Santa Barbara, Kalifornia – przekonując ją podczas zażyłej znajomości, podsycanej ruletką w kasynach, tangami i światłem księżyca, że warto zainwestować cztery miliony franków w te nadmorskie grunty. Pomijając jednak dość ważny szczegół, że przybrzeżny pas szerokości stu metrów należy do innych właścicieli i nie stanowi części zakupionej ziemi.

Nie wyjedzie, postanowił. Świat staje się zbyt mały, a słowa „wyjechać daleko” mają coraz mniej sensu. To miejsce jest tak samo dobre jak każde inne, a nawet lepsze: ma łagodny klimat i przyjemne sąsiedztwo. Jeśli w Europie wybuchnie wojna, to będzie świetny punkt, żeby przeczekać burzę albo wyciągnąć z niej korzyści. Max doskonale znał teren, miał czystą kartotekę lokalną, a w każdym miejscu na świecie spotyka się te same groźby, niebezpieczeństwa i policję. Każda okazja ma swoją cenę, stwierdził. Swoją kręcącą się ruletkę. Co obejmowało listy hrabiego Ciano do Tomasa Ferriola, niebezpieczny uśmiech Fito Mostazy i niepokojącą powagę włoskich szpiegów. A od kilku godzin, jako sprawę niezłałatwioną, także Mechę Inzunę.

La vie est brève:

Un peu de rêve,

Un peu d'amour.

Fini! Bonjour!

Zanucił przez zęby, w roztargnieniu. Fatalistycznie. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo zostawić daleko za sobą biedny czynszowy dom w dzielnicy Barracas, afrykańskie góry pokryte wysuszonymi zwłokami, gdzie nawet hieny nie miały nastroju do śmiechu. Pewien rodzaj mężczyzn – i on do niego należał – nie ma innego wyboru jak tylko drogi bez powrotu. Niepewne podróże z biletem w jedną stronę. Z tą myślą dopił resztę kawy i wstał, a dawna profesjonalna pewność siebie, starannie przez niego wypracowana, zaczęła wracać. Jakiś czas temu Maurizio, portier z hotelu Danieli w Wenecji, który przez czterdzieści lat patrzył, jak przed jego stolikiem zatrzymywali się i brali klucze najbogatsi ludzie świata, powiedział, chowając do kieszeni nad wyraz hojny napiwek podsunięty mu przez Maxa: „Jedyną poważną pokusą, panie Costa, jest kobieta. Zgadza się pan? Całą resztę można negocjować”.

Trochę marzeń,

Trochę miłości...

Wyszedł z kawiarni bez pośpiechu, z rękami w kieszeniach i następnym papierosem w ustach, w kierunku przystanku tramwajowego, po zmoczonej ziemi odbijającej szarość poranka. Przyjemnie jest być szczęśliwym, pomyślał. I mieć świadomość, kiedy się nim jest. Pasaż Saleya nie pachniał już zwiędłymi kwiatami, tylko wilgotnym brukiem i młodymi drzewami, z których kapą poranna rosa.

Siedząc pośród publiczności, pod cherubinami i błękitnym niebem namalowanymi na suficie salonu w hotelu Vittoria, Max śledzi przebieg partii na ściennej szachownicy, gdzie odtwarzane są kolejne ruchy graczy. Od czasu kiedy rozległ się ostatni trzask zegara – trzynaste posunięcie

Jorgego Kellera – panuje absolutna cisza. Delikatne oświetlenie estrady, na której znajdują się stolik, dwa krzesła, szachownica i szachiści, pozostawia w cieniu całą resztę sali. Na zewnątrz zapada zmierzch i gałęzie drzew rosnących przy drodze schodzącej do portu w Sorrento, widoczne nad urwiskiem przez wielkie okna, barwią się teraz czerwona poświata.

Maxowi nie udało się zgłębić szczegółów toczącej się przed nim partii. Wie, ponieważ opowiadała mu o tym Mecha Inzunza, że Jorge Keller, grający czarnymi, musi wykonać określone ruchy pionkiem i gońcem, jako preludium do innych, bardziej złożonych i ryzykownych manewrów. Tam też zaczną się riposty, przewidziane zgodnie z informacjami, jakimi dysponuje Sokołow, jeśli uzyskał je na podstawie analizy Iriny. Po stracie pionka ze strony Kellera jego przeciwnik powinien się spodziewać niebezpiecznego ataku gońca na skoczka – Max sądzi, że zidentyfikował go po lewej stronie od białych bierok na szachownicy; i w takim przypadku właściwą reakcją, żeby temu zapobiec i unieszkodliwić cały manewr, byłoby przesunięcie o dwa pola jednego z białych pionków.

– Te dwa pola zdradziłyby Irinę – streściła sytuację Mecha po południu, kiedy spotkali się w holu przed rozpoczęciem partii. – Każde inne zagranie wskazuje na Karapetiana.

Po prawej stronie Maxa, ze swoim jedynym okiem utkwionym w tablicy obrazującej rozmieszczenie bierok, *capitano* Tedesco pali, używając zwiniętego papierka jako popielniczki. Od czasu do czasu, pytany przez Maxa, pochyła się w jego stronę, żeby skomentować po cichu jakieś ustawienie albo posunięcie. A przy nim, ze splecionymi dłońmi i kręcąc młynka kciukami, Lambertucci – który na tę okazję włożył marynarkę i krawat – w intensywnym skupieniu śledzi każdy szczegół partii.

– Sokołow absolutnie panuje nad środkiem – mówi Tedesco bardzo cicho. – Jeśli tylko Keller wypuści gońca, będzie miał okazję, żeby zmienić

całą sytuację, tak mi się zdaje.

– I zrobi to?

– Tak daleko nie sięgam. Tacy goście jak oni są zdolni przewidzieć dużo więcej ruchów naprzód, niż ja jestem w stanie sobie w ogóle wyobrazić.

Lambertucci, słysząc opinię swojego przyjaciela, potwierdza wszystko kolejnym szeptem:

– Zapowiada się jedna z typowych zagrywek Kellera. No tak. Jeśli tylko uda mu się posunąć naprzód, ten goniec pachnie dynamitem.

– A co się dzieje z czarnym pionkiem? – jest ciekawy Max.

Obaj jego znajomi patrzą na tablicę, potem na niego z zakłopotaniem.

– Z którym pionkiem? – pyta *capitano*.

Bardziej niż szachownicy, gdzie działają nieznane siły, których mechanizmów nie rozumie, Max przygląda się szachistom. Sokołow, z papierosem palącym się w jego palcach, żółtych od nikotyny, pochyla jasnowłosą i smutną głowę, w czasie kiedy jego wilgotnie niebieskie oczy studiują ustawienie figur. Z kolei zaś Jorgego Kellera nie ma przy szachownicy. Z rozluźnionym węzłem krawata, zostawiwszy marynarkę wiszącą na oparciu krzesła, właśnie się podniósł – Max zauważył, że często podczas długiego oczekiwania wstaje, żeby rozprostować zdrętwiałe ciało – i zrobił kilka kroków z rękami w kieszeniach, z roztargnioną miną, wpatrując się w ziemię, jakby mierząc ją swoimi długimi krokami sportowych butów. Na początku partii wszedł pewnie, nie patrząc na nikogo, jak zwykle ze swoją butelką oranżady. Podał rękę przeciwnikowi, który już czekał, siedząc na miejscu, postawił butelkę na stoliku i spojrzął, jak Sokołow rozpoczyna, po czym poruszył swojego pionka. Przez większość czasu siedzi nieruchomo, z głową pochyloną tak, że czoło opiera na rękach założonych przed szachownicą, pije łyk oranżady prosto z butelki, albo wstaje, żeby się przejść kilka kroków, tak jak to robi teraz.

Natomiast Rosjanin nie opuścił swojego miejsca ani na chwilę. Rozparty na krześle, patrzy często na swoje dłonie, jakby szachownica wcale nie była mu potrzebna, gra z całkowitym spokojem – opanowany, odprężony, jakby uzasadniając swój przydomek Sowieckiego Muru.

Przytłumiony dźwięk uderzenia filcu o drewno, a po nim trzask zegara, kiedy Sokołow naciska sprężynę, przez którą zaczyna się liczyć czas przeciwnika, powodują, że Keller wraca na swoje krzesło. Hamowany pomruk, niemal niesłyszalny, przebiega salę. Młody człowiek patrzy na czarny pionek, którego przeciwnik właśnie mu zbił i który stoi obok pozostałych zbitych bierek. Ten ruch, natychmiast odtworzony na tablicy przez asystenta sędziego, otwiera wolną drogę jednemu z gości Kellera, do tej pory blokowanemu.

– To źle wróży – szepce *capitano*. – Myślę, że Rosjanin popełnił błąd.

Max patrzy na Mechę siedzącą w pierwszym rzędzie, nie widzi jednak jej twarzy, tylko krótkie siwe włosy i nieruchomą głowę. Obok niej dostrzega profil Iriny. Oczy dziewczyny nie patrzą na tablicę, ale są utkwione w szachownicy i w graczach. Siedzący na krześle obok Emil Karapetian patrzy z wpółotwartymi ustami i z wyrazem całkowitej koncentracji na twarzy. Na końcu pierwszego rzędu i po części w drugim radziecka delegacja jest tu w komplecie, około pół tuzina ludzi, kalkuluje Max. Przyglądając się im po kolei – ubrania, które wyszły już z mody na Zachodzie, białe koszule, wąskie krawaty, dymiące papierosy, nieprzeniknione twarze – trudno nie zadać sobie pytania, ilu z nich pracuje dla KGB. Albo czy jest ktoś, kto tego nie robi.

Nie minęło pięć minut od ostatniego ruchu Rosjanina, jak Keller przesuwa swojego gońca w poblizę białych pionka i skoczka.

– No to ruszył – mruczy Tedesco wyczekująco.

– Gra na zwłokę – szepce Lambertucci. – Można podziwiać zimną krew Rosjanina. Nawet nie mrugnął.

Przez widownię znów przebiega krótki szmer, po którym następuje kompletna cisza. Sokołow zastanawia się, absolutnie niewzruszony, poza tym że właśnie zapalił papierosa i teraz przygląda się z większą uwagą szachownicy; być może ten biały pionek, o czym wie Max, zawiera w sobie klucz do tego, co może się zdarzyć. I w momencie kiedy Keller, po wypiciu łyka oranżady, zamierza znów wstać, jego przeciwnik przesuwając pionek o dwa pola. Porusza nim szybko, agresywnie i uderza w przycisk zegara niemal brutalnie. Jakby robił to specjalnie po to, żeby zmusić przeciwnika do pozostania na krześle. Tak też się dzieje. Chłopak zatrzymuje się w pół gestu, patrzy na Rosjanina – ich spojrzenia spotykają się pierwszy raz od początku partii – siada na miejscu, powoli.

– Niemal w jednej chwili – mruczy pod nosem Tedesco zadziwiony, pojmując w końcu format zagrania.

– Co się dzieje? – pyta Max.

Capitano zwleka z odpowiedzią, przypatrując się szybkiej wymianie śmiertelnych posunięć, niemal wyzywającej, której dokonują teraz gracze. Goniec za pionka, skoczek za gońca, pionek za skoczka. Szast, szast, szast. Trzask zegara co trzy, cztery sekundy, jakby wszystko zostało wcześniej ustalone. I pewnie tak właśnie było, stwierdza Max.

– Ten biały pionek wymusił zmianę, hamując atak gońca – odzywa się wreszcie Tedesco.

– Zatrzymał go w miejscu – potwierdza Lambertucci.

– I zobaczył to piorunem, w jednej chwili.

Keller trzyma jeszcze w dłoni ostatnią ze zbitych bierok przeciwnika. Odkłada ją na bok, do innych, pije długi łyk oranżady i lekko pochyla głowę, jakby nagle poczuł zmęczenie po długim wysiłku. Potem, niby

przypadkowo, odwraca się na chwilę do swojej matki, Iriny i Karapetiana z twarzą pozbawioną wyrazu. Nie porzucając swojej melancholijnej miny, Sokołow opiera łokcie na stole i pochylając się do młodego człowieka, porusza wargami, mówiąc do niego coś po cichu.

– Co się dzieje? – Max jest zaintrygowany.

Tedesco kręci głową, jakby wszystko już było załatwione.

– Myślę, że proponuje mu remis...

Keller zastanawia się nad rozgrywką. Wydaje się, że nie słucha tego, co mówi Rosjanin, z wyrazu jego twarzy niczego nie można wywnioskować. Być może zastanawia się, czy jest jeszcze jakiś możliwy ruch do zrobienia, stwierdza Max. Może myśli o czymś innym. O kobiecie, która go zdradziła, na przykład, i dlaczego. W końcu potakuje ruchem głowy i nie patrząc na przeciwnika, ściska mu rękę, kiedy obaj wstają ze swoich miejsc. W odległości pięciu kroków od swojego syna w pierwszym rzędzie Mecha Inzunza nie poruszyła się już od kilku minut. Z kolei mistrz Karapetian nadal siedzi z otwartymi ustami i wydaje się zbity z tropu. Siedząca między nimi dwojgiem Irina wpatruje się uparcie w szachownicę i w puste krzesła, bez wyrazu.

9. WARIANT MAXA

Mecha Inzunza zatrzymuje się przy kiosku z gazetami przy via San Cesareo i kupuje gazety. Max staje obok niej, z ręką w kieszeni szarej sportowej marynarki, przyglądając się, jak Mecha szuka strony z artykułami na temat partii rozegranej poprzedniego dnia. Pod tytułem *Remis w szóstej rundzie*, w czterech kolumnach „Il Mattino” drukuje zdjęcie graczy, kiedy odchodzili od szachownicy – Rosjanin poważny, niewzruszenie patrzący na twarz Kellera, ten zaś z kolei z twarzą odwróconą w bok, jakby myślał o czymś niezwiązanym z grą albo patrzył na kogoś, kogo obiektyw nie objął.

– Nadal trwa bardzo trudny poranek – mówi Mecha, zamykając dziennik. – Siedzą i rozmawiają we trójkę, Emil, Jorge i Irina.

– Ona nie podejrzewa niczego?

– Absolutnie. Dlatego się spierają. Emil wczoraj nie mógł pojąć, dlaczego mój syn zagrał w ten sposób. Siedzą nad szachownicą, odtwarzają raz za razem całą sytuację... Kiedy ich zostawiłam, Irina wyrzucała Jorgemu, że ten zgodził się na remis.

– Trenuje cynizm?

Idą ulicą w dół. Mecha włożyła gazety do dużej torby z płótna i skóry, którą niesie na ramieniu; jest w kurtce z zamszu i jedwabnej chuście drukowanej we wzory w jesiennych barwach.

– Nie całkiem – odpowiada. – Partia była w takim punkcie, że mógł kontynuować, ale nie chciał bardziej ryzykować. Potwierdzenie faktu, że Irina pracuje dla Rosjan, trochę go osłabiło... Być może nie potrafiłby wytrzymać presji aż do końca. Dlatego przyjął propozycję Rosjanina.

– W każdym razie dobrze to zniósł. Wyglądał bardzo pewnie na estradzie.

– Chłopak potrafi nad sobą panować. Był na to przygotowany.

– A wobec dziewczyny trzyma fason?

– Lepiej niż ona. I wiesz co? W jej przypadku nie jest to udawanie ani hipokryzja. Ty czy ja wykopalibyśmy Irinę po takiej próbie. Ja byłabym gotowa udusić ją, prawdę mówiąc... Naprawdę mam ochotę to zrobić. Natomiast Jorge siedzi z nią nad szachownicą, analizują i omawiają każde zagranie, całkiem spokojnie o tym rozmawiają.

Ulica, długa i wąska na pewnych odcinkach, staje się jeszcze węższa tam, gdzie sklepy wystawiają swoje towary na zewnątrz. Od czasu do czasu Max zostaje w tyle, żeby przepuścić osoby nadchodzące z przeciwnika.

– Czy to nie jest zbyt mocny cios? – pyta. – Będzie mógł nadal skupiać się na grze, jak dotąd?

– Nie znasz go. W jego przypadku jest zrozumiały ten chłód. On dalej gra. To wszystko jest tylko partią szachów, która czasami toczy się na estradzie w salonie, a czasem gdzie indziej.

Przechodzą przez obszary cienia i słońca, fragmenty ulicy czasem oświetlane promieniami odbijającymi się od wysokich fasad domów. Przy ulicy na zmianę widać to sklepy z wyrobami skórzanymi, to pamiątki turystyczne, a między nimi sklepy spożywcze, rybne, wędliniarskie i warzywniaki, a zapach skóry miesza się z aromatami korzeni i jedzenia.

– Nie powiedział nic na ten temat – dodaje Mecha po chwili milczenia – ale jestem pewna, że teraz w swoich myślach już gra z dwoma przeciwnikami. Z Rosjaninem i z Iriną... Coś w rodzaju symultanki.

Znów milknie, spogląda na sklep z damskimi strojami – tendencja hippie, len z Positano – bez specjalnego zainteresowania.

– Później – ciągnie – kiedy skończy się już pojedynek w Sorrento, Jorge podniesie wzrok znad szachownicy i przeanalizuje wszystko, co się tu

zdarzyło. Własne emocje. To będzie dla niego trudny moment. Ale do tego czasu jestem spokojna.

– Teraz rozumiem pewność Sokołowa – dodaje Max. – Pewien rodzaj arogancji, jaki okazywał podczas ostatnich partii.

– Popełnił błąd. Powinien był trochę zaczekać przed wykonaniem ruchu. Zrobić trochę teatru. Nawet mistrzowi świata nie mogłoby zająć mniej niż dwadzieścia minut zrozumienie niezwyklej złożoności tej pozycji i podjęcie odpowiedniej decyzji... A jemu zajęło to tylko sześć.

– Zbyt ni pośpiech?

– Raczej próżność. Przy dłuższej analizie można byłoby pomyśleć, że Sokołow samodzielnie doszedł do takiego rozwiązania, co kazałoby nam wątpić w winę Iriny. Ale mam wrażenie, że Jorge doprowadził go do szału.

– Wstawał tak często z krzesła, żeby go sprowokować?

– Naturalnie.

Znajdują się blisko Loggia del Sedile Dominova, gdzie pół tuzina turystów słucha przewodnika mówiącego po niemiecku. Mijają grupę i skręcają w lewo, w wąski cień via Giuliani. Biało-czerwona dzwonnica Duomo wznosi się na końcu, silnie oświetlona; zegar na niej umieszczony wskazuje jedenastą dwadzieścia rano.

– Nie spodziewałem się, że mistrz świata popełnia takie błędy – stwierdza Max. – Sądziłem, że są mniej tacy...

– Jak zwykli ludzie?

– Właśnie.

Wszyscy popełniają błędy, odpowiada kobieta. A po kilku krokach dodaje zamyślona: „Mój syn bardzo go irytuje”. Napięcie przed mistrzostwami świata, wyjaśnia Maxowi, jest olbrzymie. Spaceruje Jorgego wokół stołu, jego sposób grania, jakby nie kosztowało go to żadnego wysiłku. Całe to jego pozorne lekceważenie stałych zachowań. Rosjanin

jest jego przeciwieństwem: sumienny, systematyczny, ostrożny. Z tych, którzy wszystko osiągają z wysiłkiem. A wczoraj wieczorem, pomimo zwykłego dla niego spokoju, mistrz świata, mając oparcie w swoim tytule, swoim rządzie i w Międzynarodowej Federacji Szachowej, nie mógł opanować chęci, żeby dać nauczkę pretendentowi, dziecku rozpieszczonemu przez zachodnią prasę i kapitalizm. Pokazać, gdzie jest jego miejsce. Poruszył pionka dokładnie w chwili, kiedy Jorge zamierzał znów wstać od stołu. Właśnie że zostaniesz, oznaczał ten ruch. Będziesz tu siedział i myślał.

– Są przecież omylni – kończy, jakby mówiła to wszystko do siebie. – Nienawidzą i kochają, jak wszyscy.

Max i kobieta idą obok siebie. Czasem dotykają się ramionami.

– A może nie. – Mecha pochyla głowę na chwilę, jakby zobaczyła rysę na własnej argumentacji. – Może wcale nie są tacy jak wszyscy.

– A jak Irina? Zachowuje się normalnie?

– Całkiem bezczelnie. – Kobieta nagle staje się sztywna i śmieje się sarkastycznie. – Spokojnie w swojej roli wiernej współpracownicy i zakochanej dziewczyny. Gdybyśmy nie wiedzieli tego, co wiemy, wierzyłabym w jej niewinność... Nawet sobie nie wyobrażasz, na jakie aktorstwo stać kobietę, kiedy gra o wysoką stawkę.

Max doskonale sobie wyobraża, choć się nie odzywa. Ogranicza się do milczącego grymasu, wspominając kobiety w hotelowych pokojach, rozmawiające przez telefon ze swoimi mężami lub kochankami, nagie w pościeli, opierające głowę na tej samej poduszce, na której i on, zadziwiony, słuchając ich, był oparty. Z całkowicie zimną krwią, nawet nie drżał im głos, choć tkwiły w potajemnych związkach, trwających dni, miesiące albo lata. W tych samych okolicznościach każdy mężczyzna odsłoniłby się już po kilku słowach.

– Zastanawiam się, czy ten rodzaj zdrady nie powinien być ścigany prawem – mówi Max.

– Przez kogo? – Kobieta znów śmieje się sceptycznie. – Włoską policję? Międzynarodową Federację Szachową? Poruszamy się po prywatnym terenie. Gdybyśmy dysponowali konkretnymi dowodami, moglibyśmy urządzić skandal, może nawet anulować mecz, jeśli Jorge przegra. Ale nawet posiadając dowody, niczego byśmy nie osiągnęli. Tylko atmosfera byłaby zepsuta na pięć miesięcy przed mistrzostwami świata. A Sokołow nadal byłby w tym samym miejscu.

– A Karapetian? Czy wie o Irinie?

Jorge rozmawiał z mistrzem ostatniej nocy, potwierdza Mecha. I nie był specjalnie zaskoczony. To się zdarza, powiedział. Swoją drogą, nie jest to pierwszy przypadek szpiegostwa, z jakim się styka. Ormianin jest spokojnym człowiekiem. Praktycznym. Nie jest zwolennikiem pomysłu, by natychmiast wyrzucić dziewczynę.

– Uważa, a mój syn się z nim zgadza, że najlepiej będzie, jeśli Irina i Rosjanie nadal będą pewni swego. Podawać jej zmanipulowane informacje, przygotowywać fałszywe otwarcia... Wykorzystywać ją jako podwójnego agenta, bez jej wiedzy.

– Przecież będą musieli się zorientować – przypuszcza Max.

– Oszustwo może potrwać jeszcze przez kilka partii. Za nami jest już sześć: dwie wygrał Sokołow, jedną Jorge i były trzy remisy, czyli jest różnica jednego punktu. Zostają jeszcze cztery partie do rozegrania. A to stwarza interesujące możliwości.

– I co się może zdarzyć?

– Gdybyśmy przygotowali odpowiednie pułapki, a Rosjanin w nie wpadł, nieprawda mogłaby zadziałać jeszcze ze dwa razy. Najpierw pewnie uznaliby, że to kwestia przypadku, brak precyzji albo zmiany wprowadzone

w ostatniej chwili. Przy drugim, trzecim razie mogą zacząć podejrzewać. Gdyby wszystko było zbyt oczywiste, doszliby do wniosku, że Irina działa w porozumieniu z Jorgem albo że jest przez nas manipulowana... Ale istnieje jeszcze jedna opcja: nie nadużywać naszej aktualnej wiedzy. Dozować truciznę za pośrednictwem Iriny i dotrzeć do Dublina z nią w ekipie, cały czas wykorzystując ją.

– I to się da zrobić?

– Jasne. To są szachy. Sztuka kłamania, zabijania i wojny.

Mijają zatłoczone i pełne ruchu corso Italia. Motocykle i samochody, dym z rur wydechowych. Przechodząc na drugą stronę, Max ujmuje kobietę pod rękę. Kiedy wchodzi na chodnik, Mecha znajduje się bardzo blisko, opiera się w poufałym geście na jego ramieniu. Przeglądają się, stojąc w ten sposób, w wystawie sklepowej pełnej telewizorów. Po chwili, z rozkoszną swobodą, kobieta puszcza rękę Maxa.

– Sprawą najważniejszą jest tytuł mistrza świata – ciągnie wątek całkiem spokojnie. – To tutaj jest tylko wstępna potyczka, badaniem, czymś w rodzaju nieoficjalnego finału z kandydatem do tytułu. Byłoby fantastycznie, gdybyśmy dotarli do Dublina, tak żeby Rosjanie ciągle ufali Irinie. Wyobraź sobie Sokołowa, który już tam odkrywa, że jego szpieg jest pod naszą kontrolą jeszcze od Sorrento... Taki cios może być decydujący. Śmiertelny.

– A Jorge wytrzyma takie napięcie? Dziewczynę przy sobie przez następnych pięć miesięcy?

– Nie znasz mojego syna, jego zimnej krwi, gdy stawką są szachy... Irina teraz jest tylko pionkiem na szachownicy.

– Co z nią zrobicie potem?

– Nie wiem. – Znów w jej głosie brzmi metaliczna ostrość. – I wcale mnie to nie obchodzi. Kiedy skończą się mistrzostwa, zamkniemy tę

sprawę, to oczywiste. Zobaczymy, czy publicznie, czy między nami. Ale jako szachistka w międzynarodowej klasie Irina jest skończona. Lepiej dla niej będzie zagrzebać się gdzieś w najdalszej dziurze. Użyję wszystkiego, co mam, żeby tak się stało... Zaduszę w jej norze, tam gdzie się ukryje, tę małą dziwkę.

– Zastanawiam się, co ją do tego skłoniło. Od jak dawna pracuje dla Sokołowa.

– Mój drogi... Z Rosjanami i z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

Powiedziała to ze śmiechem bez wesołości, niemal przykrym. W odpowiedzi Max przybiera elegancki i pogodny wyraz twarzy.

– Rosjanie właśnie budzą moją ciekawość – uściśla. – Miałem z nimi mniej styczności niż z kobietami.

Kobieta na te słowa wybuchła głośnym śmiechem.

– Na Boga, Max! Choć już nie ten wiek ani nie masz wypomadowanych włosów, nadal jesteś nieznośnym prostakiem... *Maquereau* z tanga.

– Gdybym to jeszcze mógł nim być. – Teraz i on się śmieje, poprawiając jedwabną apaszkę doktora Hugentoblera, którą nosi pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli.

– Mogli Irinę podstawić zaraz na początku, jako coś w rodzaju inwestycji długoterminowej – stwierdza Mecha, wracając do tematu. – Albo też zwerbowali ją później, mogło być tysiąc powodów, pieniądze, obietnice... Dziewczyna taka jak ona, z talentem do szachów i poparciem Rosjan, którzy kontrolują Międzynarodową Federację Szachową, miałyby przed sobą świetlaną przyszłość. A jest równie ambitna jak wielu innych.

Są przed otwartą teraz furką z kutego żelaza prowadzącą do katedry.

– Ciężko jest trzymać się na drugim planie – dodaje kobieta. – I wizja, że to się zmieni, jest bardzo kusząca.

Dźwięczą dzwony z kamiennej kampanili. Mecha podnosi wzrok, a potem wchodzi do wnętrza, nakrywając głowę chustką. On idzie za nią, po czym razem znajdują się w obszernej, pustej nawie głównej, gdzie rozbrzmiewa echo powolnego stukotu butów Maxa na marmurowej posadzce.

– I co zrobisz?

– Pomogę Jorgemu, jak zwykle... Pomogę mu grać. I wygrać. I tutaj, i w Dublinie.

– Kiedyś nadejdzie koniec, myślę.

– Czego?

– Twojej obecności przy nim.

Mecha podziwia ozdobny sufit kościoła. W sączącej się z bocznych świetlików jasności błyszczą złocenia i błękit, okalające sceny biblijne. W głębi, w mroku, migoce lampka przed tabernakulum.

– Gdzie jest ten koniec, dowiem się, kiedy do niego dotrzemy.

Okružają kolumnę i idą bez celu boczną nawą, oglądając kaplice i obrazy. Czuć zapach stęchlizny i ciepłego wosku. W jednej z nisz, ponad zapalonymi świeczkami, znajdują się wota morskie i obrazki cudów, wykonane z mosiądzu i wosku.

– Pięć miesięcy w kłamstwie to dużo czasu – upiera się Max. – Myślisz, że twój syn będzie gotów aż tyle udawać?

– Dlaczego nie? – Patrzy na niego z zaskoczeniem, wyglądającym na szczere. – Może Irina teraz robi coś innego?

– Mam na myśli też jego emocje. Śpią w tym samym pokoju, w jednym łóżku ze sobą.

Dziwny, zdystansowany grymas pojawia się na twarzy Mechy. Niemal okrutny.

– On nie jest taki jak my. Mówiłam ci. Żyje w swoim, niedostępnym świecie.

Z zakrystii wychodzi ksiądz, przechodzi przez nawę i żegna się przed ołtarzem głównym, obrzuciwszy ich ciekawym spojrzeniem. Mecha ścisza głos do szeptu, kiedy idą z powrotem w stronę wyjścia na ulicę.

– Kiedy w grę wchodzi szachy, Jorge potrafi zachowywać przerażające opanowanie... Jakby przechodził z jednego pokoju do innego, niczego ze sobą nie zabierając.

Kiedy przekraczają próg, oślepia ich światło. Mecha opuszcza chustkę na ramiona i luźno ją związuje.

– Jak Rosjanie potraktują Irinę, kiedy wszystko wyjdzie na jaw? – pyta Max.

– A, to w ogóle mnie nie interesuje... Mam nadzieję, że wsadzą ją na Łubiankę albo w inne straszne miejsce, a potem wywiozą gdzieś na Syberię.

Minęła żelazną kratę, wyprzedzając go, a teraz idzie szybko chodnikiem przy corso Italia, jakby przypomniawszy sobie o jakiejś pilnej sprawie. Przyspieszając kroku, Max dogania ją.

– To wszystko nas prowadzi, jak mi się wydaje – słyszy jej słowa, kiedy zrównuje się z nią – do zastosowania wariantu Maxa.

Powiedziawszy te słowa, zatrzymuje się tak nagle, że Max przygląda się jej zdezorientowany. Kobieta zaskakuje go, zbliżając swoją twarz tak bardzo, że niemal dotyka twarzy Maxa. Jej tęczówki są teraz twarde jak bursztyn.

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił – mówi całkiem cicho. – Albo dokładnie rzecz biorąc, dla mojego syna.

Czarny fiat zatrzymał się na placu Rossetti, przy wieży katedry Świętej Reparaty i wysiedli z niego trzej mężczyźni. Max, który słysząc silnik, podniósł wzrok znad stron „L’Eclaireur” – manifestacje robotników we Francji, procesy i egzekucje w Moskwie, obozy koncentracyjne w Niemczech – popatrzył spod runda kapelusza i zobaczył, jak zbliżają się powoli, ten wysoki i chudy pomiędzy dwoma innymi. Kiedy już dochodzili do jego stolika, stojącego na rogu rue Centrale, złożył dziennik i zawołał kelnera.

– Dwa razy pernod z wodą.

Stanęli przy stoliku i patrzyli na niego. Pomędzy Maurem Barbaresco i Dominikiem Tignanello stał wysoki i chudy mężczyzna, ubrany w elegancki dwurzędowy brązowy garnitur, na głowie miał kapelusz borsalino w mysim kolorze, lekko przechylony na oko z zawadiacką beczelnością. Rogi kołnierzyka jego koszuli w szerokie niebieskie i białe pasy połączone były pod krawatem złotą spinką. W jednej ręce trzymał niewielką skórzaną torbę w rodzaju tych, jakie zazwyczaj noszą lekarze. Mężczyzna i Max przyjrzeni się sobie dłuższą chwilę, bardzo poważnie. Wszyscy czterej znajdowali się w tej samej konfiguracji – jeden siedział, reszta stała – nie wypowiedziawszy ani słowa, kiedy przyszedł kelner z napojami, zabrał ze stolika pustą szklankę i postawił dwa kieliszki anyżówki, dwie szklanki zimnej wody, łyżeczki i kostki cukru. Max położył łyżeczkę na szklance, na niej kostkę i polał wodą, która zaczęła spływać po kropelce z rozpuszczonym cukrem do zielonkawego likieru. Następnie postawił szklankę przed wysokim, chudym mężczyzną.

– Rozumiem – powiedział – że lubisz w ten sam sposób co zwykle.

Twarz człowieka wydała się jeszcze chudsza, kiedy uśmiech rozplątał mu twarz, niczym szybkie pchnięcie nożem, ukazując rząd rzadkich

pożółkłych zębów. Potem zsunął kapelusz na tył głowy, usiadł i uniósł szklankę do ust.

– Nie wiem, co piją twoi koledzy – mówił Max, powtarzając tę samą operację ze swoim napojem. – Nigdy nie widziałem, żeby pili pernod.

– Dla mnie nic – powiedział Barbaresco, również siadając.

Max smakował mocną słodką anyżówkę. Drugi z Włochów, Tignanello, nadal stał, rozglądając się wokół z tą samą co zazwyczaj melancholijną podejrzliwością. W odpowiedzi na spojrzenie swojego towarzysza odszedł od stolika w kierunku kiosku z gazetami; skąd, jak sądził Max, mógł obserwować dyskretnie cały plac.

Znów przyglądał się wysokiemu, chudemu mężczyźnie. Miał on długie nos i wielkie oczy, bardzo głęboko osadzone w oczodołach. Jest znacznie starszy niż ostatnim razem, pomyślał. Ale uśmiech ma ten sam.

– Mówią, że zostałeś faszystą, Enrico – powiedział łagodnie.

– Kimś trzeba być w dzisiejszych czasach.

Mauro Barbaresco rozparł się nieco mocniej na krześle, jakby nie był pewien, czy będzie mu się podobała ta rozmowa.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował.

Max i Enrico Fossataro, popijając pernod, nadal patrzyli na siebie nawzajem. Przy ostatnim łyku Włoch uniósł nieco szklaneczkę, jakby wznosząc toast, i dopił resztę drinka. Max zrobił to samo.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – powiedział – oszczędźmy sobie uwag o tym, ile to już czasu minęło, jak bardzo jesteśmy zniszczeni, i tak dalej.

– Zgoda – pokiwał głową Fossataro.

– Co teraz robisz?

– Wcale nieźle mi idzie. Mam oficjalny etat w Turynie... Jestem urzędnikiem w piemonckiej administracji.

– Polityka?

Włoch przybrał minę teatralnie oburzoną. Porozumiewawczą.

– Bezpieczeństwo publiczne.

– Aha.

Max uśmiechnął się, wyobrażając to sobie. Fossataro w biurze. Lis opiekujący się kurami. Ostatni raz widzieli się trzy lata temu, na wspólnej akcji, rozgrywanej na dwóch planach: w pewnej willi na wzgórzach za Florencją i w apartamencie hotelu Excelsior – Max najpierw wykorzystywał swój urok w hotelu, a Fossataro nocną technikę w willi – z widokiem na Arno i szwadrony czarnych koszul, defilujące po placu Ognissanti i śpiewające *Giovinezze* po uprzednim pobiciu na śmierć kilku nieszczęśników.

– To schützling – wyjaśnił zwyczajnie. – Z roku tysiąc dziewięćset trzynastego.

– Już mi wspominano: stylowy sejf, imitacja drewna, z fałszywą ramą na zamkach... Pamiętasz mieszkanie przy rue de Rivoli? To, gdzie mieszkała ta ruda Angielka, którą zabrałeś na kolację do Procope?

– Tak, tyle że wtedy ty zajmowałeś się ślusarstwem. Ja poświęciłem czas damie.

– Wszystko jedno. To prosty model.

– Propozycja, żebyś ty się tym zajął, nie będzie przyjęta, obawiam się. Nie na tym poziomie.

Rozmówca znów odsłonił zęby. Zapadnięte, ciemne oczy wyglądały tak, jakby prosiły o zrozumienie.

– Mówię ci, to nie są trudne sejfy. Zamki skokowe, nie zapadkowe: trzy liczniki i klucz. – Poklepał się po kieszeniach marynarki i wyjął kilka rysunków skopiowanych na powielaczu. – Mam tu plany. Pojmiesz wszystko w jednej chwili... Będziesz to robił w dzień czy w nocy?

- W nocy.
- Jakim czasem dysponujesz?
- Niedługim. Przydałoby się coś szybkiego.
- Będziesz mógł wywiercić otwory wiertarką?
- Nie mogę używać żadnych narzędzi. W domu będą ludzie.

Fossataro zmarszczył czoło.

– Tylko na dotyk potrzebowałbyś przynajmniej godziny. A pamiętasz tamten sejf Panzera w Pradze? Mało nie oszaleliśmy.

Max uśmiechnął się. Wrzesień trzydziestego drugiego. Przez pół nocy męczył się i pocił w łóżku przed oknem wychodzącym na kopułę Świętego Mikołaja, z pewną kobietą, dopóki nie zasnęła. A Fossataro pracował w ciszy piętro niżej, przy świetle elektrycznej latarki, w gabinecie jej nieobecnego męża.

– Jasne, że pamiętam – uśmiechnął się.

– Przyniosłem listę oryginalnych kombinacji tego modelu, co może ci oszczędzić czasu i pracy. – Schylił się po teczkę, którą trzymał między nogami, i podał mu ją. – Przyniosłem ci też w pęczku komplet stu trzydziestu płaskich kluczy obrobionych fabrycznie.

– Coś takiego! – Teczka była bardzo ciężka. Max ustawił ją obok stóp na ziemi. – Jak je zdobyłeś?

– Zdziwiłbyś się, jak użyteczne bywa oficjalne biuro we Włoszech.

Max wyjął z kieszeni szylkretową papierośnicę i położył ją na stole. Fossataro bezczelnie otworzył ją i włożył sobie do ust papierosa.

– Dobrze wyglądasz. – Odłożył papierośnicę i gestem wskazał Barbaresco, który słuchał rozmowy, nie odzywając się ani słowem. – Mój przyjaciel Mauro mówi, że świetnie ci idzie.

– Nie mogę się skarżyć. – Max pochylił się, żeby podać mu ogień swoją zapalniczką. – A raczej nie skarżyłem się do niedawna.

– Czasy mamy skomplikowane, mój drogi.

– Dobrze, że mi to mówisz.

Fossataro kilka razy zaciągnął się papierosem i popatrzył na niego z przyjemnością, doceniając jakość tytoniu.

– To nie są źli chłopcy. – Wskazał Tignanellego, stojącego nadal przy kiosku z prasą, po czym zrobił gest obejmujący także Barbaresco. – Mogą być niebezpieczni, naturalnie. Ale kto nie jest? Tego smutnego *terrone* znam słabiej, ale Mauro i ja swego czasu mieliśmy kontakty zawodowe... Prawda?

Barbaresco nie odezwał się. Zdjął kapelusz i przejechał dłonią po ciemnej, łysej czaszce. Wydawał się zmęczony, jakby chciał, żeby ich pogawędka już się skończyła. On i jego towarzysz, pomyślał Max, zawsze wyglądają na zmęczonych. Może to cecha charakterystyczna włoskich szpiegów, stwierdził. Zmęczenie. Być może ich angielscy, francuscy czy niemieccy koledzy okazują więcej entuzjazmu dla swojej pracy. Pewnie tak. Wiara porusza góry, mówi się. A jej posiadanie bywa przydatne w pewnych zawodach.

– Dlatego przyszedł zapytać mnie o zdanie, kiedy twoje nazwisko pojawiło się w tej sprawie – ciągnął Fossataro. – Powiedziałem, że jesteś dobrym chłopcem i że podobasz się kobietom. Że strój wieczorowy wygląda na tobie lepiej niż na kimkolwiek innym i że tańcząc, przyćmiewasz na parkiecie zawodowych tancerzy... Dodałem, że z twoim wyglądem i stylem ja wycofałbym się z zawodu przed wiekami – nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wyprowadzać na spacer pieska jakiejś milionerki.

– Raczej powiedziałeś za dużo – uśmiechnął się Max.

– To możliwe. Zrozum jednak moją sytuację. Obowiązek wobec ojczyzny. *Credere, obbedire, combattere...* Te sprawy.

Nastąpiła chwila milczenia, którą Fossataro wykorzystał, żeby wypuścić doskonały krążek papierosowego dymu.

– Zakładam, że wiesz albo podejrzewasz, iż Mauro nie nazywa się Barbaresco.

Max spojrział na wspomnianego człowieka, który niewzruszenie przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Wszystko jedno, jak się nazywam – powiedział tenże.

– Tak – przyznał Max obiektywnie.

Fossataro wypuścił kolejne kółko dymu, tym razem mniej doskonałe.

– Nasz kraj jest dość skomplikowany – stwierdził. – Stroną pozytywną jest to, że zawsze potrafimy się dogadać, między Włochami. *Guardie e ladri...* Tak samo przed Mussolinim, przy nim i po nim, jeśli kiedyś odejdzie.

Barbaresco nadal słuchał, bez wyrazu, i Max nawet zaczął jakoś go lubić. Wracając do porównań szpiegów, wyobraził sobie tę samą rozmowę prowadzoną przy jego kolegach: angielski agent okazałby patriotyczne oburzenie, Niemiec patrzyłby na nich z pogardą i zdumieniem, a Hiszpan przytakiwałby Fossatarowi we wszystkim, a zaraz potem pobiegłby zadenuncjować go, żeby zdobyć czyjaś przychylność albo dlatego że zazdrościłby mu krawata. Otworzył papierośnicę i poczęstował Barbaresca, ten jednak odmówił ruchem głowy. Za jego plecami Tignanello poszedł z gazetą usiąść na jednej z drewnianych ławek na placu, jakby rozboleły go nogi.

– Wyrobiłeś sobie świetne kontakty, Max – mówił Fossataro. – Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziesz miał nowych przyjaciół... Po właściwej stronie. Warto myśleć o przyszłości.

– Tak jak ty to zrobiłeś.

Powiedział to pozornie bez ukrytych intencji zajęty przypalaniem papierosa, jednak Fossataro przyjrzał mu się uważnie. Cztery sekundy później Włoch ułożył na twarzy melancholijny uśmiech kogoś, kto posiada niezłomną wiarę w nieskończoną głupotę ludzkiego gatunku.

– Starzeję się, mój drogi. Świat, jaki znaliśmy, który nas żywił, jest skazany na śmierć. A jeśli wybuchnie kolejna wojna w Europie, zmiecie wszystko. Uważasz tak samo jak ja?

– Tak uważam.

– Postaw się więc na moim miejscu. Mam pięćdziesiąt dwa lata, to zbyt wiele, żeby ciągle łamać zamki i w ciemności zabierać cudze rzeczy... Do tego siedem z nich spędziłem w więzieniach. Jestem wdowcem, moje dwie córki to stare panny. To najbardziej zachęca człowieka do patriotyzmu. Chce się prostować ramię rzymskim gestem, pozdrawiając każdego, kto stanie przed tobą... We Włoszech jest przyszłość, jesteśmy po dobrej stronie tego świata. Mamy pracę, rosną budynki, stadiony, buduje się pancerniki, a komunistom dajemy rycynę i kopa w dupę – powiedziawszy to, Fossataro, żeby rozluźnić poważną atmosferę rozmowy, puścił oko do Barbaresca, który przysłuchiwał się z niezmaconą powagą. – Ma też wiele plusów fakt, że *carabinieri* są po twojej stronie.

Przeszły, stukając obcasami, w kierunku rue Centrale dwie dobrze ubrane kobiety: kapelusze, torby, wąskie spódnice. Jedna z nich była bardzo ładna i przez chwilę jej spojrzenie napotkało oczy Maxa. Fossataro śledził kobiety wzrokiem, dopóki nie skręciły za rogiem. Nigdy nie należy łączyć seksu z interesami, takie słowa Max słyszał często z jego ust w innych czasach. Chyba że seks ułatwia interesy.

– Pamiętasz Biarritz? – spytał go Fossataro. – Tę sprawę w hotelu Miramar?

Uśmiechał się, rozpamiętując. Przez to jego twarz wydawała się młodsza, ożywił się wyraz zapadniętych oczu.

– Jak dawno to było? – dodał. – Pięć lat temu?

Max skinął głową. Zadowolenie na twarzy Włocha brało się ze wspomnienia drewnianych pomostów nad brzegiem morza, barów na plaży z nieskazitelными kelnerami, kobiet w obcisłych kombinezonach o szerokich nogawkach, opalonych nagich pleców, znajomych twarzy, imprez z artystami filmowymi, śpiewaczkami, biznesmenami i ludźmi ze świata mody. Tak jak Deauville i Cannes, Biarritz było w lecie znakomitym terenem łowieckim, pełnym rozlicznych okazji dla tych, którzy potrafili je złapać.

– Ten aktor i jego narzeczona – przypomniał Fossataro, ciągle uśmiechnięty.

Potem z dezynwolturą opowiedział Barbarescowi, jak to w roku 1933 razem z Maxem przystąpili do pewnego wyrafinowanego przedsięwzięcia związanego z artystką filmową o nazwisku Lili Damita, którą Max poznał w klubie golfowym Chiberta i której poświęcił trzy poranki na plaży, popołudnia w barze i wieczory na parkietach dansingów. Aż kluczowej nocy, gdy wszystko było przygotowane, żeby zabrać ją na dansing w hotelu Miramar, kiedy tymczasem Fossataro miał się dostać do jej willi i zabrać klejnoty i pieniądze, szacowane na sumę piętnastu tysięcy dolarów, jej narzeczony, znany aktor hollywoodzki, nagle pojawił się w drzwiach hotelu, porzuciwszy plan filmowy. Na korzyść Maxa zagrały dwa szczęśliwe fakty. Po pierwsze, zazdrosny narzeczony wlał w siebie mnóstwo alkoholu podczas podróży, dzięki czemu, kiedy jego wybranka wysiadła z taksówki pod rękę z Maxem, jego równowaga nie była kompletna i cios wymierzony w szczękę przystojnego uwodziciela trafił w pustkę z powodu nagłego potknięcia. A po drugie, Enrico Fossataro

przebywał w odległości dziesięciu metrów od rozgrywającej się właśnie sceny, za kierownicą wynajętego samochodu, gotów, by wyruszyć na zdobycie willi. W takich okolicznościach jednak wysiadł z samochodu, zbliżył się do grupy i kiedy Lili Damita rozdzierała się niczym kokosza, której zmasakrowano pisklę, Fossataro wspólnie z Maxem spuścili Amerykaninowi systematyczne, spokojne manto, pod pełnym rozkoszy spojrzeniem portierów i boyów hotelowych – aktor, który zazwyczaj nadużywał alkoholu, nie cieszył się sympatią personelu – akonto straconych właśnie piętnastu tysięcy dolarów.

– Wiesz, jak się nazywał ten facet? – Fossataro nadal mówił do Barbaresca, który zaczął się najwyraźniej interesować opowieścią. – Był to sam Errol Flynn. – Roześmiał się gromko, klepiąc Maxa po ramieniu. – Jak nas tu widzisz, ten gość i ja spraliśmy po pysku samego kapitana Blooda!

– Wiesz, Max, co to jest książka? W szachach. Nie jakaś tam książka, tylko KSIĄŻKA?

Są w ogrodzie przy hotelu Vittoria, spacerują po bocznej alejce biegnącej niczym tunel pod drzewami, pomiędzy które wdzierają się gwałtownie plamy słońca. W oddali, za pnączami obrastającymi pergole, mewy szybują ponad urwiskami Sorrento.

– Szachista to jego historia – kontynuuje opowieść Mecha Inzunza. – Jego partie i jego analizy. Za każdym ruchem na szachownicy kryją się setki godzin studiów, niezliczone otwarcia, zagrania, warianty, owoc pracy ekipy albo samego gracza. Arcymistrz zna na pamięć tysiące zagrań – rozgrywki swoich poprzedników, partie rywali... To wszystko, obok pamięci, jest usystematyzowane i służy jako materiał do pracy.

– Swego rodzaju *vademecum*? – interesuje się Max.

– Tak, właśnie.

Nieśpiesznie wracają do hotelu. Kilka pszczoł unosi się pośród oleandrów. Kiedy głębiej wchodzi w ogród, za ich plecami cichnie hałas ruchu na placu Tasso.

– Nie zdarza się tak, żeby szachista podróżował czy grał bez osobistego archiwum – mówi dalej kobieta. – To jest coś, co wozi z miejsca na miejsce... Książka arcymistrza zawiera dorobek całego życia: otwarcia i warianty, opracowanie gry jego przeciwników, analizy... Bywają to zeszyty albo segregatory. Archiwum Jorgego to osiem grubych notesów, oprawionych w skórę, zapisanych przez niego w ciągu ostatnich siedmiu lat.

Zatrzymują się przy rozarium, gdzie ławka z kafelków otacza stół pokryty suchymi liśćmi. Bez książki, dodaje Mecha, kładąc torbę na stole i siadając, szachista staje się bezbronny. Nawet ci o najlepszej pamięci nie mogą pamiętać wszystkiego. Książka Jorgego zawiera informacje, bez których byłoby mu trudno stawić czoło Sokołowowi – partie, analizy ataku i obrony. Praca wielu lat.

– Wyobraź sobie, na przykład, że Rosjanin wyjątkowo nie lubi królewskiego gambitu, czyli otwarcia polegającego na oddaniu pionka. I że Jorge, który nigdy jeszcze nie zastosował królewskiego gambitu, rozważa możliwość jego użycia podczas turnieju w Dublinie.

Max stoi przed nią, uważnie słucha.

– Czy to wszystko znalazłoby się w książce?

– Jasne. Wyobrażasz sobie nieszczęście, gdyby książka Jorgego dostała się jego rywalowi? Tyle daremnej pracy. Jego tajemnice i analizy w rękach Sokołowa.

– Czy nie dałoby się odtworzyć książki?

– Potrzeba na to drugiego życia. Nie wspominam nawet, jaki to psychologiczny balast, jeśli zdajesz sobie sprawę, że ten drugi zna twoje

plany i wie, co masz w głowie.

Kobieta patrzy w dal za plecami Maxa, który odwraca się nieco, żeby podążyć za jej spojrzeniem. Budynek mieszkalny zajmowany przez radziecką delegację jest bardzo blisko, w odległości jakichś trzydziestu kroków.

– Nie mów, że Irina oddała książkę Jorgego Rosjanom...

– Nie, na szczęście nie. W takim wypadku mój syn byłby skończony, grając z Sokołowem i tu, i w Dublinie. Jest inna sprawa.

Krótką ciszą. Żółte tęczęwki, jeszcze jaśniejsze w świetle przenikającym przez kratki pergoli, zatrzymują się na Maksie.

– I tutaj pojawia się ty – mówi kobieta.

Słowa te wypowiada, uśmiechając się ledwo dostrzegalnie, dziwnie. Nieprzenikniona. Max podnosi rękę, jakby prosił o ciszę, żeby usłyszeć jakąś nutę albo słaby głos.

– Obawiam się, że...

Już miał przerwać po ostatnim słowie niezdolny dokończyć zdanie, ale wyprzedza go Mecha, niecierpliwa. Otworzyła torbę i szpera w niej.

– Chciałabym, żebyś dla mojego syna zdobył książkę Rosjanina.

Maxowi opadła szczęka. Dosłownie.

– Chyba nie całkiem rozumiem.

– Zaraz ci wytłumaczę. – Wyjmuje z torby paczkę murattich i bierze papierosa do ust. – Chcę, żebyś ukradł książkę Sokołowa.

Powiedziała to z całkowitym spokojem. Max machinalnie szuka zapalniczki; jednak przerywa gest, staje nieruchomo z ręką w kieszeni oszołomiony.

– Jak mam to zrobić?

– Wejść do apartamentów Rosjanina i zabrać ją.

– Tak po prostu?

– Tak.

Słysząc wyraźniej bzyczenie pszczół, blisko. Obojętny na ten dźwięk Max dalej wpatruje się w kobietę. Czuje nagłą ochotę, żeby usiąść.

– I dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo takie rzeczy robiłeś już wcześniej.

Siada obok niej ciągle półprzytomny.

– Nigdy nie kradłem żadnej rosyjskiej książki szachowej.

– Ale kradłeś wiele innych rzeczy. – Mecha wyjęła pudełko zapalek z torby i sama zapala sobie papierosa. – Niektóre moje.

Max wyjmując rękę z kieszeni i przesuwa nią po brodzie. Co to za historia, myśli w kompletnym zamęcie. W co, do diabła, tym razem się łąduje albo w co chcą go władować.

– Byłeś żigolakiem i złodziejem – dodaje Mecha obiektywnie, wypuszczając dym.

– Już nie jestem... Teraz już tego nie robię.

– Ale wiesz, jak się to robi. Przypomnij sobie Niceę.

– Bzdury. Minęło blisko trzydzieści lat od Nicei.

Kobieta nic nie mówi. Pali i patrzy na niego całkiem spokojnie, jakby wszystko już zostało powiedziane i teraz sprawy nie zależały od niej. Dobrze się bawi, myśli Max, nagle przerażony. Cała sytuacja i moje otumanienie bawią ją. I to wcale nie wygląda na żart.

– Chcesz powiedzieć, że mam się dostać do apartamentów radzieckiej delegacji, poszukać książki szachowej Sokołowa, wziąć ją i oddać tobie? Jak mam to zrobić?... Rany boskie, w jaki sposób miałbym to zrobić?

– Masz umiejętności i doświadczenie. Potrafisz to załatwić.

– Popatrz na mnie. – Pochyliła się, dotykając swojej twarzy, jakby wszystko było na niej widoczne. – Nie jestem już taki, jakiego pamiętasz. Ani taki jak w Buenos Aires, ani taki jak w Nicei. Teraz mam...

– Coś do stracenia? – Patrzy na niego z nieskończonego dystansu, zimno i pogardliwie. – To chcesz mi powiedzieć?

– Dawno już przestałem ryzykować w ten sposób. Żyję sobie spokojnie, bez problemów z policją. Wycofałem się całkowicie.

Gwałtownie wstaje zniecierpliwiony, robi kilka kroków obok stołu. Przygląda się uważnie murom w kolorze ochry – naraz wydają mu się złowieszcze – budynku zajmowanego przez Rosjan.

– Poza tym jestem za stary na pewne sprawy – dodaje ze szczerym smutkiem. – Brakuje mi sił i ducha.

Odwrócił się do Mechy. A ona nadal siedzi, patrzy na niego i pali, całkiem opanowana.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – protestuje Max. – Powiedz... Dlaczego miałbym ryzykować, w moim wieku?

Kobieta otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuje i nie odzywa się. Pozostaje tak kilka sekund zamyślona, z palącym się papierosem w palcach, obserwuje Maxa. I w końcu, z nieskończoną pogardą i w nagłej furii, jakby w jednej chwili chciała odreagować długo powstrzymywaną wściekłość, miażdży gwałtownie papierosa na marmurowym stole.

– Bo Jorge jest twoim synem. Kretynie.

Pojechał spotkać się z nią do Antibes, nazywając ostrożnością odruch usprawiedliwiania się przed samym sobą. Byłoby niebezpieczne, gdyby w tych dniach pozostawił ją poza kontrolą. Gdyby jakiś komentarz czy zwierzenie skierowane do Susany Ferriol zagroziły jego sytuacji. Nie było trudno zdobyć jej adres. Wystarczył telefon do Asi Schwarzenberg i jej

krótkie dochodzenie, żeby dwa dni po spotkaniu z Mechą Inzunzą Max wysiadł z taksówki przed ogrodzeniem willi otoczonej krzewami wawrzynów, akacjami i mimozami, w pobliżu La Garoupe. Przeszedł przez ogród drogą z ceglanego tłucznia, gdzie stał dwuosobowy citroën, pomiędzy cyprysami, których korony plotły siatkę cieni odcinających się od spokojnej, lśniącej powierzchni bliskiego morza, aż do domu stojącego na niewielkim wzgórzu nad klifem – budynek w typie bungalowu, z rozległym tarasem i werandą solarium, pod wysokimi łukami, wychodzącymi na ogród i zatokę.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Przyjęła go z zaskakującą naturalnością, kiedy służąca otworzyła mu drzwi i zniknęła w milczeniu. Miała na sobie japoński obcisły spodniem, dopasowany w talii, który wydłużał jej wysmukłe linie, układając się delikatnie na biodrach. Podlewała donice na wewnętrznym patio i jej bose stopy zostawiały wilgotne ślady na białych i czarnych płytkach, kiedy prowadziła Maxa do salonu umeblowanego w stylu *camping*, robiącym furorę na Riwierze w ostatnich latach – składane siedzenia i stoły, meble w ścianach. Szkło, chrom i kilka samotnych obrazów na gołych białych ścianach w pięknym, przestronnym domu o niezwyklej prostocie linii; na mieszkanie wśród nich pozwalały tylko wielkie pieniądze. Mecha poczęstowała go drinkiem, palili i za cichym obopólnym porozumieniem rozmawiali o sprawach banalnych, jakby ostatnie rozstanie po kolacji u Susany Ferriol przebiegło najnormalniej na świecie – o willi wynajmowanej, dopóki będzie trwała obecna sytuacja w Hiszpanii, o tym, że to znakomite miejsce na spędzenie zimy, o mistralu utrzymującym całkowity błękit nieba pozbawionego chmur. Potem, kiedy wyczerpały się frazesy i powierzchowna rozmowa zaczęła się stawać kłopotliwa, Max zaproponował wyjście na obiad do którejś z pobliskich miejscowości, Juan-les-Pins albo Eden Roc, żeby

spokojnie pogadać. Mecha pozwoliła upłynąć długiej chwili ciszy po tej propozycji, powtórzyła z pełną namysłu miną ostatnie wyrazy i w końcu powiedziała Maxowi, żeby sobie nalał drinka, kiedy ona pójdzie się przebrać przed wyjściem. Nie jestem głodna, rzekła. Ale dobrze mi zrobi spacer.

I tu właśnie byli, spacerowali między gęstymi piniami zakorzenionymi w piasku, pośród skał i pasm wodorostów na brzegu, gdzie między krótkimi falami odbijało się światło słońca w zenicie, naprzeciwko turkusowej zatoki, otwartej na nieskończoność, po plaży ciągnącej się aż do starych murów Antibes. Mecha zmieniła spodnium na czarne spodnie i marynarską koszulkę w biało-niebieskie paski, włożyła przeciwsłoneczne okulary – ledwie zauważalny cień makijażu na powiekach pod ciemnymi szklami – żwir na ścieżce chrząścił pod podeszwami jej sandałów i brązowych brogów Maxa, idącego w samej koszuli, z mankietami dwukrotnie wywiniętymi na opalonych nadgarstkach, z włosami zaczesanymi brylantyną i bez kapelusza, z marynarką złożoną i przewieszoną przez ramię.

– Nadal tańczysz tango, Max?

– Czasami.

– *Tango Starej Gwardii* też?... Ciągle jesteś w tym dobry, jak sądzę.

Opuścił wzrok zbity z tropu.

– Już nie jest tak jak kiedyś.

– Nie potrzebujesz tego, żeby zarobić na życie, chciałeś powiedzieć?

Wolał nie odpowiadać. Myślał o tym, jak poruszała się w jego ramionach w sali tanecznej na Cap Polonio przy pierwszym spotkaniu. O słońcu oświetlającym jej szczupłe ciało w pokoju pensjonatu w alei Admirała Browna. O jej ustach i języku, bezwstydnym i gwałtownym, kiedy odepchnęła od niego tancerkę tanga w Buenos Aires i zajęła jej

miejsce. O nieprzytomnym spojrzeniu jej męża, jego obrzydliwym śmiechu, kiedy spółkowali na jego oczach, a on patrzył na nich wzrokiem zamglonym przez alkohol i narkotyki, i później, kiedy zachłannie kochali się, obscenicznie nadzy i bez zahamowań, w hotelowym pokoju. Myślał też o setkach okazji, w jakich wspominał to wszystko przez dziewięć lat, jakie minęły od tamtego czasu, za każdym razem kiedy jakaś orkiestra zaczynała grać pierwsze takty melodii skomponowanej przez Armanda de Troeye albo kiedy słyszał ją w radiu czy z płyty. Tango to – po raz ostatni tańczył je pięć tygodni temu w hotelu Carlton w Cannes z córką niemieckiego przemysłowca zajmującego się produkcją stali – prześladowało Maxa przez pół świata, przyprawiając go zawsze o poczucie pustki, braku czy straty, okrutną, nieznośną fizycznie, tęsknotę za ciałem Mechy Inzunzy. Za jej złotymi oczami, szeroko otwartymi i patrzącymi na niego z bardzo bliska, skamieniałymi z rozkoszy. Za cudownym ciałem, zawsze ciepłym i wilgotnym w jego pamięci, które wspominał niezwykle intensywnie i które znów było blisko, choć w tak nieoczekiwany i dziwny sposób.

– Opowiedz mi o sobie – odezwała się kobieta.

– O której z moich części?

– O tej – zrobiła w jego stronę gest, jak się wydaje obejmujący wszystko – którą stworzyłeś w ciągu tych lat.

Max zaczął opowiadać, ostrożnie, bez zanedbań i przesady. Zgrabnie mieszał rzeczywistość i fikcję, swobodnie wplatał zabawne anegdoty i malownicze sytuacje, które maskowały chropowate szczegóły jego życia. Przystosowywał, z wrodzoną naturalnością, swoją autentyczną historię do losów postaci, którą właśnie odgrywał – człowieka interesów, któremu sprzyja szczęście, światowca, stałego klienta kolei żelaznych, transatlantyków i drogich hoteli w Europie i Ameryce Południowej, z ogładą zdobytą przez upływ czasu i kontakt z ludźmi kulturalnymi

i zamożnymi. Opowiadał, nie wiedząc, czy kobieta wierzy mu czy nie, w każdym jednak razie starał się unikać wszelkich aluzji do nielegalnej strony swojej działalności oraz do konsekwencji realnych czynów, takich jak krótki pobyt w więzieniu w Hawanie, szczęśliwie szybko zakończony; zatrzymanie, bez większego znaczenia, przez policję w Krakowie, wskutek samobójstwa siostry bogatego polskiego kuśnierza; albo strzał, który nie sięgnął celu, oddany po wyjściu z pewnej berlińskiej szulerni, po nie całkiem legalnej grze, mogącej uchodzić za oszustwo. Nie mówił też o pieniądzach, jakie z równą łatwością zdobył i wydał w ciągu tych wszystkich lat, o oszczędnościach, jakimi dysponował w Monte Carlo, stanowiących rezerwę na czarną godzinę, ani o swej długiej i korzystnej znajomości z rozpruwaczem sejfów Enrikiem Fossataro. Ani też oczywiście nie wspominał o parze zawodowych złodziei, kobiecie i mężczyźnie, których poznał w znanym barze Chambre d'Amour w Biarritz jesienią trzydziestego pierwszego roku, o swej przelotnej spółce z nimi i zerwaniu, kiedy kobieta – melancholijna i atrakcyjna Angielka nazywająca się Edith Casey, wyspecjalizowana w obrabianiu zamożnych kawalerów – nawiązała z własnej woli bliski kontakt z ekipą Maxa, aż po dużą bliskość, źle widzianą przez jej towarzysza, wyrafinowanego, choć brutalnego Szkota, który przedstawiał się na przemian jako McGill i McDonald i którego mniej lub bardziej uzasadniona zazdrość położyła kres rocznej wspólnej działalności, po bardzo nieprzyjemnej scenie; wówczas właśnie Max, ku zaskoczeniu pary wspólników – zawsze mającej go za spokojnego i kulturalnego młodzieńca – został zmuszony do użycia kilku brudnych chwytów, poznanych w Legii w Afryce, wskutek których ów McGill czy McDonald, czy jak się tam naprawdę nazywał, wylądował jak długi na dywanie jednego z pokoi hotelu Golf w Deauville, z krwawiącym nosem,

podczas gdy Edith Casey, wrzeszcząc, przeklinała Maxa, który tymczasem wyszedł na hotelowy korytarz, żeby zniknąć z ich życia na zawsze.

– A ty?

– No cóż... Ja.

Słuchała go w milczeniu, uważnie. Po pytaniu Maxa zrobiła wymijającą minę, uśmiechając się zza przeciwsłonecznych okularów.

– Wielki świat. Tak się to nazywa – prawda? – w kolorowych magazynach.

Miał ochotę wyciągnąć rękę i zdjąć jej okulary, żeby zobaczyć wyraz miodowych oczu, lecz nie odważył się.

– Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego twój mąż...

Zamilkł w tym miejscu, a ona się nie odezwała. Ciemne szkła odbijały Maxa, jakby pytająco. W oczekiwaniu na dokończenie zdania.

– Ten rodzaj... – zaczął mówić, ale zaraz przerwał zakłopotany. – Nie wiem. Ty i on.

– Z innymi, chciałeś powiedzieć?

Cisza. Długa. Słysząc było głos cykad pod sosnami.

– Buenos Aires to nie był pierwszy raz ani też ostatni – odezwała się w końcu Mecha. – Armando na swój sposób widzi życie. I związki erotyczne.

– Bardzo to specyficzny sposób w każdym razie.

Głośny śmiech bez wesołości. Suchy. Uniosła nieco ręce gestem zaskoczenia.

– Nigdy nie podejrzewałabym cię o purytanizm w tych sprawach, Max... Nikt by nie powiedział w Buenos Aires.

Stopą rysowała na piasku. Może to serce, stwierdził. Ale kobieta zamazała rysunek, kiedy wydawało się, że rysuje strzałę, która je przebija.

– Na początku to była gra. Prowokacja. Wyzwanie wobec moralności i wychowania. Potem stało się to częścią całości.

Zrobiła kilka kroków w stronę brzegu, pomiędzy strzępami wodorostów, w końcu wydawało się, że oślepiający turkus wody otacza ją.

– To działo się stopniowo, powoli, od początku. Nazajutrz po naszej nocy poślubnej Armando tak to urządził, żeby pokojówka, która przyniosła nam śniadanie, zobaczyła nas, jak się kochamy w łóżku, nadzy. Śmialiśmy się jak szaleni.

Oślepiony, próbując zobaczyć jej twarz pod światło, Max musiał ręką osłonić oczy. Nie udało mu się jednak dostrzec jej wyrazu, jedynie cień w blasku zatoki, ona zaś ciągnęła opowieść monotonicznie. Niemal obojętnie.

– Pewnego razu po kolacji poszliśmy do domu. Towarzyszył nam znajomy, pewien włoski muzyk, bardzo przystojny, o kręconych włosach i tęsknym spojrzeniu. Nazywał się D’Ambrosio. Armando tak wszystko zorganizował, żebyśmy Włoch i ja kochali się przy nim. Dołączył do nas po dłuższej chwili uważnego obserwowania, z uśmiechem i dziwnym błyskiem w oczach. Z tą swoją szczególną inklinacją do matematycznej elegancji.

– Czy zawsze było to dla ciebie... przyjemne?

– Nie zawsze. Zwłaszcza na początku. Nie da się zapomnieć, z dnia na dzień, całego konwencjonalnego, katolickiego, przyzwoitego wychowania. Armando lubił przekraczać granice...

Max poczuł, że język przykleił mu się do podniebienia. Świeciło mocne słońce, a on czuł straszliwe pragnienie. Miał nagle dziwnie złe samopoczucie, niemal fizyczny niepokój. Usiadłby tu na miejscu, na ziemi, ryzykując ruinę dobrego wyglądu swoich spodni. Żałował, że kapelusz został w willi. Choć wiedział, że nie wzięło się to wcale ze słońca ani upału.

– Byłam bardzo młoda – dodała. – Czułam się jak aktorka, która występując na scenie, szuka uznania publiczności, liczy na głośne oklaski.

– Byłaś zakochana. To wiele wyjaśnia.

– Tak... Wydaje mi się, że w tamtych czasach kochałam go. Bardzo.

Pochyliła głowę, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. Potem rozejrzała się wokół, jakby w poszukiwaniu obrazu czy słowa. Może wyjaśnienia. W końcu przybrała minę pełnej ironii rezygnacji.

– Upłynęło sporo czasu, zanim dotarło do mnie, że to dotyczy także mnie, nie tylko jego. Moich mrocznych zakamarków. Czasem nawet mnie bił. Albo ja jego. W innym przypadku nigdy nie posunęłabym się tak daleko. Nawet po to żeby sprawić mu przyjemność... Kiedyś w Berlinie doprowadził do tego, że przespałam się z dwoma młodymi kelnerami z pewnego baru na Tauentzienstrasse. Tamtej nocy nawet mnie nie dotknął. Zazwyczaj przychodził do mnie, kiedy inni kończyli, tym razem jednak został na miejscu, paląc i przyglądając się, do samego końca... Wtedy pierwszy raz czułam prawdziwą rozkosz z tego, że jestem obserwowana.

Opowiedziała to bez modulowania głosu, tonem neutralnym. Można by powiedzieć, że czyta, pomyślał Max, tekst ulotki farmaceutycznej. Wydawało się jednak, że obserwuje uważnie, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa. Była to ciekawość techniczna i chłodna, stwierdził zdziwiony. Niemal antropologiczna. Kontrast z jego uczuciami, w tej chwili w niezwykłym zamięcie, był tak gwałtowny jak ogrom światła zestawiony z czarnym zarysem cienia. Czuł zazdrość o tę kobietę, stwierdził bardziej ze strachem niż zakłopotaniem. Była to przedziwnie beznadziejna sytuacja, nowa, nieznaną do tego dnia. Nagłe niezaspokojone pragnienie. Zwierzęcy żal i wściekłość.

– Armando wyszkolił mnie w tym – mówiła kobieta. – Z metodyczną cierpliwością, bardzo dla niego charakterystyczną, nauczył mnie, jak używać głowy do seksu. Pokazał, jak niezmierzone są możliwości z tego

wynikające. Fizyczność jest tylko częścią, mówił. Niezbędną materializacją, nieuniknionym skutkiem całej reszty. To kwestia harmonii.

Zatrzymali się na chwilę. Wrócili do ubitej drogi biegnącej między plażą i sosnami i Mecha zdjęła sandały, żeby wytrząsnąć z nich piasek, opierając się z całkowitą naturalnością na męskim ramieniu.

– Potem szłam spać i słuchałam, jak pracuje przy fortepianie w swojej pracowni, aż do świtu. I podziwiałam go tym bardziej.

Udało mu się odkleić język od podniebienia.

– Nadal używasz głowy?

Jego głos zabrzmiał ochryple. Sucho. Niemal czuł, ból wymawiając te słowa.

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie ma tu twojego męża. – Szerokim gestem ogarnął całą zatokę, Antibes i resztę świata. – Wydaje się, że trochę czasu upłynie, zanim wróci. Z tą całą swoją matematyczną elegancją.

Mecha patrzyła na niego uparcie, z wrogą przestrogą w spojrzeniu.

– Chcesz wiedzieć, czy sypiam z innymi mężczyznami? Albo kobietami? Mimo że jego nie ma... Tak, robię to, Max.

Nie mam ochoty być tutaj, pomyślał zadziwiony samym sobą. Nie tutaj, w tym świetle, które zakłóca mój zdrowy rozsądek. Które wysusza moje myśli i mój język.

– Tak – powtórzyła – czasem robię to.

Znów się zatrzymała na tle olśniewającego blasku odbijającego się na plaży. Delikatna bryza od morza poruszała jej włosy, na skórze opalanej słońcem Riwiery.

– Tak samo jak Armando – dodała matowym głosem. – Albo jak i ty sam.

W szklach jej ciemnych okularów odbijały się linia brzegu, zieleń sosnowego lasu i plaża zakończona turkusowym błękitem. Max przyglądał się jej uważnie, zatrzymując się na linii jej ramion i tułowia w koszulce w paski, z wilgotnymi śladami potu pod pachami. Była jeszcze piękniejsza niż w Buenos Aires, stwierdził niemal z rozpaczą. Tak bardzo, że wydawała się nierealna. Musiała już skończyć trzydzieści dwa lata, idealny wiek dojrzałej, doskonałej samicy. Mecha Inzunza należała do tej klasy kobiet, pozornie nieosiągalnych, o których marzy się pod pokładami statków i w okopach na frontach wojen. Przez tysiące lat mężczyźni walczyli, palili miasta i zabijali, żeby zdobyć kobiety takie jak ona.

– Tu niedaleko jest pewne miejsce – odezwała się naraz. – Nazywa się pensjonat Semaphore... W pobliżu latarni morskiej.

Popatrzył na nią początkowo zmieszany. Mecha wskazywała drogę w lewo, biegnącą pośród sosen, obok białej willi otoczonej palmami i agawami.

– To tanie miejsce, dla przyjezdnych turystów. Z małą restauracją przy drzwiach, pod magnolią. Wynajmują pokoje.

Max był opanowanym mężczyzną. Jego charakter i życie ukształtowały go w ten sposób. I tylko to opanowanie pozwoliło mu utrzymać proste kolana i zamknięte usta, kiedy stał nieruchomo naprzeciw kobiety. Obawiając się, by nie zerwać, niezręcznym słowem albo nieodpowiednim gestem tej cienkiej nici, od której wszystko zależało.

– Chcę iść z tobą do łóżka – powiedziała krótko Mecha, wobec jego milczenia. – I chcę tego natychmiast.

– Dlaczego? – wreszcie udało mu się wydusić z siebie.

– Bo przez tych dziewięć lat często pojawiałeś się przy mnie, kiedy używałam głowy.

– Mimo wszystko?

- Mimo wszystko – uśmiechnęła się. – I mimo naszyjnika z pereł.
- Byłaś już kiedyś wcześniej w tym pensjonacie?
- Zadajesz zbyt dużo pytań. I wszystkie głupie.

Uniosła dłoń i położyła palce na wyschniętych wargach Maxa. Delikatny dotyk, pełen nadzwyczajnych zapowiedzi.

– Pewnie, że byłam – powiedziała po chwili. – Jest w nim taki pokój z wielkim lustrem na ścianie. Doskonałym do patrzenia.

Żaluzja z drewnianych poziomych deszczulek, z odstępami między nimi. Poprzez szpary przenikało popołudniowe słońce, wyświetlając ciąg pasm światła i cienia na łóżku i na ciele śpiącej kobiety. Starając się jej nie obudzić, Max odwrócił do niej twarz, żeby z bliska popatrzeć na profil, przez który biegł pasek słońca, jej w pół otwarte usta i chrapki nosa poruszane delikatnym oddechem, nagie piersi z ciemnymi aureolami i maleńkimi kropelkami potu, które w pasmach słońca pobłyskiwały między nimi. I powierzchnię gładkiej skóry, lekko zapadniętej na brzuchu i rozwidlającej się na udach, tam gdzie z jej seksu na prześcieradła o zapachu ciała i ciepłego potu długich objęć powoli spływało nasienie mężczyzny.

Unosząc nieco głowę nad poduszką, Max spojrzał dalej, żeby przypatrzeć się odbiciu dwóch nieruchomych ciał w dużym lustrze na ścianie, którego tafelę zarysowały czas i zaniedbanie, pasującym do reszty byle jakich mebli – komody, bidetu i miednicy, zakurzonej lampy z poskręcanyimi kablami elektrycznymi przyczepionymi porcelanowymi izolatorami do ściany, gdzie odbarwiony plakat turystyczny zapraszał bez specjalnego przekonania – żółty zachód słońca pośród sosen w kolorze fiołków – do odwiedzenia Villefranche. Jeden z pokoi, które wydają się urządzone specjalnie z myślą o komiwojażerach, ludziach uciekających

przed wymiarem sprawiedliwości, samobójcach lub kochankach. Gdyby nie kobieta śpiąca obok niego i gdyby nie paski słońca wpadające przez żaluzję, byłby to przygnębiający widok dla Maxa, który pamiętał podobne miejsca odwiedzane nie dla kaprysu, ale z konieczności. Jednak od chwili kiedy przestąpili próg, Mecha wyglądała na uradowaną, jakby cieszył ją obrzydliwy pokój bez bieżącej wody, do którego klucz oddała im senna właścicielka po otrzymaniu czterdziestu franków, bez proszenia o dokumenty i bez zadawania pytań. Głos kobiety stał się bardziej chrapliwy, a jej skóra cieplejsza, kiedy tylko zamknęli drzwi, a Max poczuł się zaskoczony, gdy w połowie jego uwagi, że piękny widok przez otwarte okno rekompensuje smutny wygląd pokoju, podeszła bardzo blisko, z rozchylonymi ustami, jakby brakowało jej tchu, i przerwała jego taktyczne gawędzenie, zdejmując bluzkę w paski, unosząc ramiona i odsłaniając w tym ruchu piersi jaśniejsze od reszty opalonego ciała.

– Jesteś tak piękny, że patrzenie na ciebie aż boli.

Stojąc tak z odsłoniętymi piersiami, uniosła dłoń i odwróciła jego twarz w bok, popychając brodę palcem, żeby lepiej go zobaczyć.

– Dziś nie mam naszyjnika – dodała po chwili szeptem.

– Szkoda – udało mu się powiedzieć.

– Jesteś sukinsynem, Max.

– Tak... Czasami.

Wszystko potem działo się w sposób systematyczny, w złożonym ciągu spotkań ciała, śliny, dotyku i potem wilgoci. Już w chwili kiedy gwałtownym ruchem nóg odrzuciła daleko ostatnią część garderoby i rzuciła się na łóżko, z którego Max tuż wcześniej zerwał kape, stwierdził, że kobieta jest fantastycznie podniecona, gotowa przyjąć go natychmiast. Wydaje się, stwierdził, że ten pokój hotelowy czyni cuda. Nie ma jednak pośpiechu, pomyślał, trzymając się kurczowo resztki przytomności, jaką

jeszcze zachował. Starał się więc opóźnić wstępne etapy, ze świadomością, że pożądanie rozsadzające każdy jego nerw i mięsień bolesnymi dreszczami – zaciskał zęby tak, że aż dzwoniły, kiedy dyszał z rozkoszy i powstrzymywanej furii – może mu spłatać niemiłego figła. Dziewięciu lat nie można załatwić w trzydzieści minut. Użył więc całej swojej stanowczości i doświadczenia, aby przedłużyć tę sytuację, pieśczoły, zbliżenia, niemal skrajną brutalność, jaką ona narzucała chwilami – dwukrotnie spoliczkowała go, kiedy starał się ją opanować – jęki rozkoszy i przerywane oddechy, kiedy łapali powietrze pomiędzy kolejnymi pieśczołami, dwa czy dwadzieścia nowych sposobów całowania, lizania, gryzienia. Max zapomniał o lustrze na ścianie, ale ona nie; i w końcu dostrzegł jej spojrzenia rzućane w tamtą stronę, jej odwróconą w bok twarz, w czasie kiedy on pochłonięty był jej ciałem czy ustami: obserwowała siebie i obserwowała jego. Aż wreszcie i Max odwrócił twarz i zobaczył siebie, zaabsorbowanego czymś, co wydawało się okrutną walką, naprężony tors na ciele kobiety, z ramionami tak napiętymi, jakby mięśnie i ścięgna miały zaraz popękać, starający się ją unieruchomić i kontrolować siebie, podczas kiedy ona miotła się ze zwierzęcą siłą, gryząc i wymierzając ciosy, aż do chwili gdy naraz, wpatrując mu się w oczy poprzez lustro, uważnie obserwując jego reakcje, poddała się uległa, posłuszna, przyjmując go w końcu, albo znów, w ciele nabrzmiałym rozkoszą, kapitulując na coraz dłużej, ulegając najdawniejszemu rytuałowi całkowitego oddania. Po tym jak Max oglądał siebie i ją w lustrze, odwrócił twarz, żeby znów patrzeć na nią z bliska, na rzeczywisty obraz nieledwie dwa cale od jego oczu i ust, dostrzegł w miodowych tęczówkach drwiący błysk i na ustach wyzywający uśmiech, które podważały wszystko – pozorną dominację mężczyzny i jej własną uległość. Wtedy Maxa opuściła reszta opanowania i, niczym zwyciężony gladiator, zagłębił twarz w szyi

kobiety, stracił świadomość, co się dzieje wokół, i rozlał się powoli, intensywnie, wreszcie bezbrinnie, w mrocznym i ciepłym brzuchu Mechy Inzunzy.

10. STUKOT KOŚCI SŁONIOWEJ

Max nie miał dobrej nocy. Bywały już lepsze, pomyślał tamtego ranka, otrząsając się z niespokojnego snu. Nadal tak myślał, jeżdżąc elektryczną maszynką Brauna po brodzie i obserwując w lustrze hotelowej łazienki podkrążone oczy na zmęczonej twarzy, ślady świeżego niepokoju, dodane do zniszczeń dokonanych przez czas i życie. Kiepskie połączenie klęsk, bezsilności i niespodzianek ostatniej godziny, nowej niepewności, kiedy wszystko już zostało – lub on tak to oceniał – zamortyzowane; kiedy już jest za późno, by zmieniać etykiety na tym, co się przeżyło. Kiedy źle spał ostatniej nocy, kręcąc się w pościeli na zmiennej granicy snu i jawy, wiele razy wydawało mu się, że słyszy, jak walą się stare pewności z trzaskiem podobnym do tłuczenia sterty porcelany spadającej na ziemię. Cały owoc jego burzliwego życia, wszystko to, co jeszcze parę godzin temu uważał za ocalałe z kolejnych katastrof, polegało na pewnego rodzaju światowym dystansie, traktowanym jako wytworny spokój. Lecz ten sam cichy fatalizm, ostatni szaniec, stan ducha, który do wczoraj był jego jedynym dorobkiem, właśnie rozbił się w drzazgi. Spokojny sen zmęczonego weterana wyścigu był ostatnim przywilejem, którym aż do minionej rozmowy z Mechą Inzuną w hotelowym ogrodzie Max mógł cieszyć się w swoim wieku, bez obawy, że życie mu i tego odmówi.

Jego pierwszym odruchem, wynikającym z dawnego instynktu, reakcją na zapach niebezpieczeństwa, była ucieczka: natychmiast skończyć tę absurdalną przygodę bez sensu – nie pozwala sobie nazwać jej romantyczną, zawsze brzydził się tym słowem – i wrócić do swojej pracy w Villa Oriana, zanim wszystko zbyt się skomplikuje, a droga usunie mu się spod stóp. Zapomnieć, z miną gracza potrafiącego przegrywać, którym kiedyś był, pogodzić się z tym, co jest, i z pokorą przyjąć, że nie będzie już

tym, kim być nie może. Są jednak pewne odruchy, stwierdza. Istnieją instynkty, ciekawostki, które raz gubią ludzi, innym zaś razem sprawiają, że kulka wpada do odpowiedniej przegródki w ruletce. Drogi, które wbrew radom wynikającym z najbardziej podstawowej ostrożności nie dają się ominąć, kiedy tylko spocznie na nich wzrok. Kiedy kuszą odpowiedziami na pytania nigdy wcześniej niesformułowane.

Jedna z tych odpowiedzi może znajdować się w sali bilardowej hotelu Vittoria. Od jakiegoś czasu szuka jej i jest zdziwiony, że jest w tym miejscu. Emil Karapetian skierował go tam właśnie, kiedy Max spytał, czy nie widział Jorgego Kellera. Spotkali się przed chwilą na tarasie. Ormianin jadł śniadanie razem z Iriną, w takim spokoju – dziewczyna przywitała Maxa z uprzejmym uśmiechem – że stało się jasne, iż młoda analityczka nie wie o odkryciu jej związków z Rosjanami.

– Bilard? – Max był zdziwiony. Nie miało to wiele wspólnego z wizerunkiem szachisty, jaki sobie stworzył.

– To część treningu – wyjaśnił Karapetian. – Czasem biega albo pływa. A kiedy indziej zamyka się i ćwiczy karambole.

– Nigdy bym nie pomyślał.

– My też nie. – Ormianin wzruszył silnymi ramionami, raczej bez humoru. Max zauważył, że stara się nie patrzeć zbyt długo na Irinę. – Ale taki jest Jorge.

– I gra sam?

– Prawie zawsze.

Sala bilardowa znajduje się na pierwszym piętrze, za czytelnią: lustro, które wzmacnia światło wpadające przez wielkie okno wychodzące na taras, stojak na kije i francuski stół bilardowy pod wąską, zawieszoną poziomo mosiężną lampą. Pochylony nad stołem Jorge Keller rozgrywa karambol za karambolem, a towarzyszy mu jedynie delikatny dźwięk

uderzeń kija i dużo mocniejszy odgłos kul odbijających się z monotonną wręcz precyzją. Stojąc w drzwiach, Max obserwuje szachistę: jest skupiony i jego uderzenia są precyzyjne, kolejne zagrania wynikają z siebie w sposób automatyczny, jakby każdy stukot potrójnych odbić kości słoniowej był wprowadzeniem do następnych ruchów na zielonym suknie w sekwencji, która – gdyby tylko chciał – mogłaby trwać w nieskończoność.

Max wpatruje się w młodego człowieka zachłannie, rejestruje każdy najmniejszy szczegół; uważnie doszukuje się wszystkiego, czego mógł nie zauważyć wcześniej. Na początku, w zwykłym odruchu obronnym, przywołuje wspomnienie odległych, zatartych już rysów Ernesta Kellera, chilijskiego dyplomaty, którego poznał tamtej jesieni 1937 roku podczas kolacji w domu Susany Ferriol – pamięta, że był jasnowłosy, dystyngowany i miły – i stara się je dopasować do wyglądu chłopaka będącego – według prawa i wszystkich oficjalnych dokumentów – jego synem. Potem stara się złożyć jego wspomnienie z obrazem Mechy Inzunzy sprzed dwudziestu dziewięciu lat, zastanawiając się, co za sprawą genetyki przeszło z niej na syna, który w tej chwili stoi nieruchomo przy stole, analizując pozycję bil, podczas gdy kredą naciera końcówkę kija. Szczupły, wysoki, wyprostowany. Jak jego matka, naturalnie. Ale też jak Max dawno temu. Są podobni i sylwetką, i wzrostem. Faktem jest, stwierdza z nagle ściśniętym żołądkiem, że czarne gęste włosy opadające chłopakowi na czoło, gdy pochyla się nad brzegiem stołu bilardowego, odpowiadają w równie niewielkim stopniu wspomnieniom włosów Mechy Inzunzy – od pobytu na Cap Polonio Max pamięta je jako płowokasztanowate, niemal pszeniczne – jak i kolorowi włosów mężczyzny, którego nazwisko nosi. Gdyby szachista czesał się do tyłu i używał brylantyny, tak jak Max, kiedy miał czuprynę równie czarną i gęstą jak on teraz, miałby fryzurę niemal identyczną. Identyczną z tą, którą nosił w jego wieku, kiedy ręką przesuwiał po skroni,

by je przyglądać, kiedy ruszał powoli w rytm pierwszych taktów orkiestry, stukał obcasami i z uśmiechem na twarzy zapraszał na parkiet kobietę.

To niemożliwe, stwierdza ze złością, odrzucając tę myśl. Przecież on nawet nie umie grać w szachy. Jest wściekły na siebie, że nadal stoi w miejscu, na progu sali bilardowej, doszukując się własnych rysów w chłopaku. Takie rzeczy zdarzają się tylko w kinie, teatrze i w powieściach radiowych. Gdyby to była prawda, coś zauważyłby przy pierwszym spotkaniu albo przy pierwszej rozmowie. Coś zadrżałoby w nim, poczułby jakiś znak, jakiś dreszcz. Może nawet pokrewieństwo. Albo po prostu wspomnienie. Trudno uwierzyć, żeby naturalne instynkty pozostały zupełnie nieporuszone wobec faktów tego kalibru. Wobec prawdopodobnych dowodów. Zew krwi, jak nazywało się to w starych melodramatach o milionerach i sierotkach. Tymczasem Max nie usłyszał owego wezwania w żadnym momencie. Nawet teraz go nie słyszy ogłuszony dotkliwą pewnością niewytłumaczalnej pomyłki, z przykrym niesmakiem, którego doświadcza silniej niż kiedykolwiek w życiu. Coś takiego nie jest możliwe. Bez względu na to, czy Mecha Inzunza kłamie czy nie – a najprawdopodobniej kłamie – to jakaś koszmarna i niebezpieczna bzdura.

– Dzień dobry.

Mimo wszystko łatwo nawiązuje rozmowę. Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie miał z tym kłopotu, a bilard to dla niego całkiem pewny grunt. Max porusza się po nim swobodnie jeszcze od swoich czasów w Barcelonie, kiedy jako boy hotelowy stawiał trzy pesety z zarobionych napiwków na trzydzieści jeden i na inne rodzaje bilardu w spelunkach Dzielnicy Chińskiej – kobiety stojące w drzwiach, alfonsi pod krawatem ze szpilką albo w elastycznych szelkach, z cerą przetłuszczoną od potu i dymu papierosowego, w zielonkawym świetle padającym na sukno spod

zabrudzonych przez muchy abażurów, dymiące papierosy w rękach trzymających kije, stukot odbijających się bil, przekleństwa i złorzeczenia, które czasami nie miały nic wspólnego z grą, a raczej z odgłosami dochodzącymi z zewnątrz, kiedy w całym lokalu zapadała cisza, żeby móc słyszeć tupot tanich butów, gwizdy policji, pojedyncze strzały z pistoletów, hałas kolb długich strzelb uderzających o ziemię.

– Gra pan w bilard, Max?

– Trochę.

Jorge Keller z profilu prezentuje się sympatycznie, co jeszcze podkreśla kosmyk włosów opadający na czoło i przez to nadający mu swobodny, nieformalny wygląd. Jednak uśmiech, którym wita nowo przybyłego, kontrastuje z jego pełnym dystansu spojrzeniem, skupionym na uderzaniu kul z kości słoniowej w następujących po sobie kolejnych kombinacjach.

– Proszę wziąć kij, jeśli ma pan ochotę.

Jest dobrym bilardzistą, stwierdza Max. Systematycznym i pewnym. Może szachy mają z tym coś wspólnego – chłopak ma wizję całości i przestrzeni, zdolność koncentracji i inne cechy charakterystyczne dla szachistów. Faktem jest też, że z szokującą łatwością rozgrywa kolejne karambole, jakby potrafił je przewidzieć na wiele ruchów naprzód, zanim kule ustawią się w odpowiednich pozycjach.

– Nie wiedziałem, że i w tym jest pan dobry.

– Wolałbym, żeby mówił mi pan po imieniu – odpowiada Keller.

– Nie wiedziałem, że jesteś dobrym bilardzistą.

– Właściwie to wcale nie jestem. Zupełnie czym innym jest taka zabawa niż gra z przeciwnikiem, na trzy bandy.

Max idzie do stojaka i wybiera kij.

– Dalej rozgrywamy serię amerykańską? – pyta chłopak.

– Jak sobie życzysz.

Jorge kiwa głową i kontynuuje grę. Delikatnymi uderzeniami kija rozgrywa karambol za karambolem wzdłuż całej jednej bandy, starając się ustawiać bile jak najbliżej jedna drugiej.

– To mój sposób, żeby się skupić – mówi, nie podnosząc spojrzenia znad gry. – Żeby pomyśleć.

Max obserwuje go z zainteresowaniem.

– Ile karamboli przewidujesz?

– To zabawne, że pan o to pyta – uśmiecha się Keller. – Czy to bardzo widać?

– Niewiele wiem o szachach, ale to musi być coś podobnego, jak mi się zdaje. Przewidywanie posunięć i karamboli.

– Przynajmniej trzy. – Chłopak wskazuje na bile, kąty i bandy. – Tutaj i tutaj... Może pięć.

– Naprawdę to jest podobne do szachów?

– Nie żeby to było podobne, ale obie gry mają coś wspólnego. W każdej sytuacji istnieje wiele możliwości. Staram się przewidzieć następne ruchy i je wykonać. Tak samo jak w szachach, to kwestia logicznego myślenia.

– W ten sposób trenujesz?

– Nazywanie tego treningiem byłoby przesadą... Ale dobrze mi to robi. Pomaga ćwiczyć myślenie przy minimalnym wysiłku.

Zatrzymuje się po chybieniu łatwego karambolu. Jest jasne, że zrobił to przez grzeczność: bile leżą dość blisko siebie. Max wyciąga kij i pochyła się nad stołem, uderza i kość słoniowa cicho stuka. Pięciokrotnie bila pośrednia odbija się od bandy, wyznaczając precyzyjny kąt przy każdym uderzeniu.

– Panu też nieźle idzie – komentuje chłopak. – Dużo pan grywał?

– Trochę. Więcej w młodości niż teraz.

Max chybia szósty karambol. Keller smaruje kredą koniec kija i pochyla się nad stołem.

– Przechodzimy na trzy bandy?

– Zgoda.

Bile zderzają się teraz z większą siłą. Młody człowiek robi cztery kolejne karambole, jeden za drugim, a przy ostatnim celowo lokuje bilę rozgrywaną przez Maxa w trudnym położeniu względem dwóch pozostałych.

– Poznałem twojego ojca. – Max przygląda się krytycznie pozycji trzech bil. – Dawno temu, na Riwierze.

– Niedługo mieszkaliśmy razem. Moja matka wcześniej się rozwiodła.

Max mocno uderza kijem, starając się posłać bilę w przeciwnym kierunku w stosunku do pozostałych.

– Kiedy go poznałem, ciebie jeszcze nie było na świecie.

Chłopak nie odpowiada. Milczy, podczas kiedy Max robi drugi karambol i nie widząc możliwości, by zrobić trzeci, umieszcza bilę Kellera w bardzo trudnej pozycji, osaczoną w kącie.

– Irina... – zaczyna Max.

Przeciwnik, który unosił już koniec kija w górę do pionowego uderzenia, przerywa ruch i patrzy na Maxa, jakby się zastanawiał, co on może wiedzieć.

– Znam twoją matkę od bardzo wielu lat – usprawiedliwia się Max.

Keller kilkakrotnie porusza kijem w górę i w dół, niemal dotykając bili, jakby się nie mógł zdecydować na uderzenie.

– Wiem – odpowiada. – Od czasów Buenos Aires, jeszcze z jej poprzednim mężem.

Wreszcie uderza niepewnie i chybia. Obserwuje przez chwilę stół, potem odwraca się do Maxa z posępną miną. Jakby obwiniał go za swój błąd.

– Nie wiem, co mama powiedziała panu o Irinie.

– Niewiele... Albo dość.

– Pewnie ma swoje powody. Ale jeśli o mnie chodzi, uważam, że to nie pańska sprawa. Pana rozmowy z matką mnie nie interesują.

– Nie chciałem...

– Jasne. Wiem, że pan nie chciał.

Max obserwuje ręce młodego człowieka – szczupłe, o długich palcach. Paznokieć palca wskazującego jest lekko zaokrąglony, tak samo jak u niego.

– Kiedy byłeś dzieckiem, ona...

Keller unosi kij, przerywając mu.

– Czy mogę być z panem szczerzy, Max? Tutaj idzie gra o moją przyszłość. Mam swoje problemy, i zawodowe, i osobiste. Nagle pojawia się pan, człowiek, o którym nigdy nie wspominała. I z którym – nie wiem, z jakiego powodu – łączy ją zadziwiająca bliskość.

Ostatnie słowa rzuca w powietrze i patrzy na stół bilardowy, jakby naraz sobie przypomniał, że tu właśnie stoi. Max bierze czerwoną bilę leżącą w pobliżu, z roztargnieniem waży ją w ręce i odkłada na miejsce.

– Nic ci o mnie nie mówiła?

– Bardzo niewiele: stary przyjaciel, z czasów tanga... To wszystko. Nie wiem, czy w swoim czasie mieliście romans czy nie. Ale znam ją i wiem, kiedy ktoś jest dla niej ważny. A to się prawie nie zdarza. – I choć to nie jest jego kolej, Keller pochyla się nad stołem, uderza kijem i kula odbija się od trzech band i robi piękny, czysty karambol. – Kiedy moja matka spotkała tu pana, przez całą noc nie zmrużyła oka. Słyszałem, jak kręci się po pokoju...

Następnego rana jej sypialnia śmierdziała tytoniem jak nigdy, a popielniczki pełne były niedopałków.

Kość słoniowa odbija się z cichym stukotem. Keller, skupiony, odgarnia włosy, ociera koniec kija o grzbiet dłoni opartej na suknie i znów uderza. Nigdy się nie denerwuje, powiedziała Mecha ostatnim razem, kiedy o nim rozmawiali. Nie ma złych myśli ani nie wie, co to smutek. Po prostu gra w szachy. I to ma po tobie, Max, nie po mnie.

– Pewnie może pan zrozumieć, że jestem ostrożny – mówi młody człowiek. – Już mam dość kłopotów, więcej, niż potrafię udźwignąć.

– Posłuchaj. Nigdy nie chciałem... Po prostu mieszkam tutaj. To niezwykle zbieg okoliczności.

Keller wydaje się nie słuchać. Obserwuje białą rozgrywającą, która znalazła się w skomplikowanej pozycji.

– Nie chcę być niegrzeczny... Jest pan miły. Wszyscy pana lubią. I jak powiedziałem, w pewien dziwny sposób moja matka wydaje się pana bardzo cenić. Jest jednak coś, co mnie niepokoi. Co mi się nie podoba.

Uderzenie kijem, tym razem gwałtowne, zaskakuje Maxa. Białe rozpierzchają się, uderzając we wszystkie bandy, i zatrzymują się w niemożliwych pozycjach.

– Może to kwestia pańskiego uśmiechu – dodaje Keller. – Jest tylko grymasem ust. Pańskie oczy wydają się robić coś innego.

– Ty uśmiechasz się podobnie.

Max żałuje zaraz, jak tylko wypowiedział te słowa. Żeby zamaskować irytację swoją niezręcznością, udaje, że studiuje białe z wielką uwagą.

– Dlatego wspominam o tym – mówi Keller obiektywnym tonem. – Jest tak, jakbym już kiedyś widział ten uśmiech.

Milknie na chwilę, poważnie zastanawiając się nad właśnie wypowiedzianymi słowami.

– A może – dodaje – chodzi o sposób, w jaki moja matka czasem na pana patrzy.

Ukrywając swoje zmieszanie, Max pochyla się nad stołem, próbuje odbić bilę o trzy bandy, ale chybia.

– Melancholia? – Keller naciera kredą czubek kija. – Smutek wspólny dla obojga?... Czy można to nazwać tymi słowami?

– Być może. Nie wiem.

– Nie podoba mi się to spojrzenie mojej matki. Jak smutek może być wspólny?

– Tego też nie wiem.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, co było między wami. Choć nie jest to odpowiednie miejsce ani chwila.

– Proszę ją spytać.

– Już to zrobiłem... „Ach, Max”, odpowiada tylko. Kiedy się zatnie w sobie, jest jak zegarek w zamrażarce.

Gwałtownie, jakby nagle stracił zainteresowanie bilardem, chłopak odkłada kredę na brzeg stołu. Po czym podchodzi do stojaka przy ścianie i odstawia kij na swoje miejsce.

– Mówiliśmy przedtem o przewidywaniu karamboli i kolejnych ruchów – mówi po chwili milczenia. – A od chwili kiedy się pan pojawił, jest coś, co każe mi panu nie dowierzać. Zbyt wiele zagrożeń osacza mnie z każdej strony... Chciałbym prosić, żeby zniknął pan z życia mojej matki, ale to byłoby nadużyciem z mojej strony. Nie mam prawa. Proszę więc, żeby trzymał się pan z daleka ode mnie.

Max, który też odstawił swój kij, gestem uprzejmie protestuje.

– W żadnym momencie nie chciałem...

– Wierzę, owszem. Ale to jest mi obojętne... Proszę się trzymać z daleka. – Keller wskazuje stół bilardowy, jakby jego pojedynek z Sokołowem rozgrywał się tam właśnie. – Przynajmniej dopóki to się nie skończy.

Od wschodu, za latarnią morską nicejskiego portu i za wzgórzem Boron, pojawiały się pojedyncze chmury, które powoli zbierały się nad morzem. Pochylając się, żeby osłonić swoją fajkę przed wiatrem, Fito Mostaza zapalił ją i wypuścił parę kłębow dymu, spojrzał w stronę zamglonego horyzontu i puścił oko do Maxa, ponad szklami szylkretowych okularów.

– Pogoda się zmienia – powiedział.

Stali pod statuą króla Karola Feliksa, przy żelaznej barierce biegnącej wzdłuż drogi, z której można było obserwować port. Mostaza umówił się z Maxem w niewielkiej kawiarence, która jednak okazała się zamknięta, kiedy do niej przyszedł; czekał więc na ulicy, patrząc na statki zacumowane u nabrzeży, na wysokie budynki w głębi i wielki napis reklamujący Galleries Lafayette. Po kwadransie zobaczył, jak Mostaza zbliża się – drobny, zwinny, nieśpiesznie wspinał się po zboczu Rauba-Capeù, kapelusz miał swobodnie zsunięty na tył głowy, rozpięta marynarka ukazywała koszulę z muszką pod szyją, ręce trzymał w kieszeniach spodni. Widząc, że kawiarnia jest zamknięta, Mostaza zrobił minę cichej rezygnacji, wyjął gumową torebkę z kieszeni i przystąpił do napełniania fajki tytoniem, stając obok Maxa, rzucając wokół ciekawe spojrzenie, jakby sprawdzał, na co Max patrzył, kiedy na niego czekał.

– Włosi się niecierpliwą – odezwał się Max.

– Znów się pan z nimi spotkał?

Max był pewien, że Mostaza znał odpowiedź na to pytanie.

– Wczoraj rozmawialiśmy krótko.

– Tak – przyznał mężczyzna po chwili, pomiędzy dwoma pociągnięciami fajki. – Coś słyszałem.

Patrzył w zamyśleniu na przycumowane statki, paki, beczki i sterty skrzyń obok szyn kolejowych ciągnących się wzdłuż nabrzeża. Po chwili, nie odrywając wzroku od portu, odwrócił się nieco.

– Podjął już pan decyzję?

– Opowiedziałem im o panu. I pańskiej propozycji.

– To naturalne. – Wokół fajki pojawił się na twarzy Mostazy filozoficzny uśmiech. – Ubezpiecza się pan, jak tylko to możliwe. Rozumiem to.

– Cieszę się, że okazuje pan aż tyle zrozumienia.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi, drogi przyjacielu. Mamy nasze obawy, nasze ambicje, nasze środki ostrożności... Jak przyjęli pana rewelacje?

– O tym mnie nie poinformowali. Wysłuchali uważnie, popatrzyli na siebie i mówiliśmy o innych sprawach.

Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem.

– Dobrzy chłopcy. Zawodowcy, jasna rzecz. Spodziewali się tego... Miło pracować z takimi ludźmi. Albo przeciwko nim.

– Gratuluję postawy *fair play* – rzucił ironicznie Max z goryczą. – Moglibyście się spotkać we trzech i dogadać. Albo się wzajemnie podziurawić, po przyjacielsku, między kolegami. Bardzo ułatwiłoby mi to życie.

Mostaza roześmiał się.

– Na wszystko przyjdzie czas, drogi przyjacielu... Tymczasem proszę mi powiedzieć, na co wreszcie pan się zdecydował. Faszyści czy Republika?

– Ciągle jeszcze się zastanawiam.

– To logiczne. Jednak kończy się panu czas. Kiedy zamierza pan wejść do tamtego domu?

– Za trzy dni.

– Jest jakiś specjalny powód?

– Wyjazd gospodyni na kolację do znajomych. Dowiedziałem się, że Susana Ferriol będzie poza domem dobrych kilka godzin.

– A co ze służbą?

– Dam sobie radę.

Mostaza przyglądał mu się, pociągając fajkę, jakby oceniał prawidłowość każdej odpowiedzi. W końcu zdjął okulary, wyjął z górnej kieszeni marynarki chusteczkę i zaczął je bardzo pilnie czyścić.

– Będę miał do pana prośbę, panie Costa... Cokolwiek pan postanowi, proszę powiedzieć swoim włoskim przyjaciółom, że zdecydował się pan pracować dla nich. Proszę jak najdokładniej im mnie opisać.

– Mówi pan serio?

– Całkowicie.

Mostaza spojrział na szkła pod światło i z satysfakcją włożył je sobie na nos.

– Nawet więcej – dodał. – Chciałbym pana prosić, żeby naprawdę pracował pan dla nich. Czysta gra.

Max wyjął i otworzył papierośnicę.

– Chce pan powiedzieć, że mam oddać Włochom dokumenty?

– Tak właśnie. – Szpieg całkiem naturalnie przyjmował jego zadziwione spojrzenie. – W sumie to oni zorganizowali wszystko. I pokrywają wszystkie koszty. Moim zdaniem tak będzie sprawiedliwie, nie sądzi pan?

– A co z panem?

– O mnie proszę się nie martwić. To już moja sprawa.

Max schował papierośnicę, nie wyjmując papierosa. Minęła mu ochota, żeby zapalić czy w ogóle żeby zostawać w Nicei. Gdzie jest najniebezpieczniejsza część zasadzki, zastanawiał się. W którą część tej pajęczyny zamierzają mnie złapać. Albo i pożreć.

– Umówił się pan tu ze mną, żeby mi to powiedzieć?

Mostaza lekko dotknął jego łokcia, zapraszając, żeby zbliżył się nieco do żelaznej bariery osłaniającej spadek w stronę portu.

– Proszę, niech pan spojrzy – ton jego głosu był niemal serdeczny. – Tu poniżej to nabrzeże nosi nazwę Infernet... Wie pan, kim był ów Infernet? Nicejskim marynarzem, który w bitwie pod Trafalgarem dowodził okrętem Intrépide. Odmówił admirałowi Dumanoir ucieczki i walczył aż do końca... Widzi pan ten statek handlowy zacumowany do nabrzeża?

Max odparł, że tak, widzi go – był to statek transportowy o czarnym kadłubie i kominie z dwoma niebieskimi paskami. Mostaza opowiedział pokrótce historię tego statku. Nosił nazwę Luciano Canfora i miał w swoich ładowniach materiały i sprzęt wojenny przeznaczone dla oddziałów Franco – sól amonową, bawełnę, sztaby mosiądzu i miedzi. Przewiduje się, że statek w ciągu kilku dni wypłynie w kierunku Palma de Mallorca, a prawdopodobnie za jego ładunek zapłacił Tomás Ferriol. Wszystko zostało zorganizowane, dodał Mostaza, przez grupę frankistowskich agentów z bazą w Marsylii i radiostacją krótkofalową na pokładzie jachtu zacumowanego w porcie w Monte Carlo.

– Dlaczego mi pan o tym mówi? – zapytał Max.

– Bo ten statek i pan macie ze sobą coś wspólnego. Ci, którzy go wynajęli, sądzą, że popłynie do swojego portu docelowego na Balearach, nie wiedząc, że sprawy bardzo się skomplikują i statek popłynie do Walencji. Właśnie pracuję nad przekonaniem kapitana i pierwszego

mechanika, że bardziej im się opłaca, pod każdym względem, przejść na stronę Republiki... Jak pan widzi, panie Costa, nie tylko z pana powodu kiepsko śpię.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego mówi mi pan o tym.

– Bo taka jest prawda... Bo jestem pewien, że w jednym z pańskich przyływów przezornej szczerości opowie pan o tym swoim włoskim przyjaciołom, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Max zdjął kapelusz i ręką przygładził włosy. Pomimo chmur zbierających się nad morzem i wschodniego wiatru czuł, że jest mu gorąco. Nagle i nieprzyjemnie.

– Żartuje pan oczywiście.

– Bynajmniej.

– Czy to nie stanowiłoby zagrożenia dla pańskich działań?

Mostaza wycelował w jego pierś ustnik fajki.

– Drogi przyjacielu, to jest część całej operacji. Proszę dbać o zdrowie, a mnie powierzyć koronkową robotę... Proszę tylko, żeby nadal pan był taki jak dotychczas – dobry chłopiec, lojalny wobec każdego, kto do pana podejdzie, starający się wykaraskać z tego zamieszania, najlepiej jak potrafi. Nikt nie będzie mógł panu niczego zarzucić. Jestem pewien, że Włosi docenią pana szczerość, podobnie jak ja.

Max przyjrzał mu się nieufnie.

– Nie pomyślał pan, że mogą chcieć pana zabić?

– Pewnie, że pomyślałem. – Mężczyzna śmiał się przez zęby, jakby wszystko było oczywiste. – W moim fachu to jeszcze jeden, dodatkowy czynnik ryzyka.

Potem przerwał i milczał przez chwilę. Niemal marzycielski. Przyglądał się Lucianowi Canforze, po czym odwrócił się do Maxa. Stanowiąc

kontrast do muszki, jego uśmiech przypominał fretkę wężącą po najróżniejszych norach.

– W tego rodzaju intrygach zdarza się czasami – dodał, dotykając blizny pod szczęką – że giną ludzie. I każdy, z całą skromnością, może okazać się równie niebezpieczny jak ktokolwiek inny... Czy panu na przykład nigdy nie zdarzyło się być niebezpiecznym?

– Niespecjalnie.

– Szkoda. – Przyglądał mu się z nową ciekawością, jakby właśnie oceniał jakiś wcześniej niezauważony szczegół. – Dostrzegam w pana charakterze coś... Pewne warunki.

– A może nie jest mi to potrzebne? Daję sobie radę w sposób pokojowy.

– Zawsze tak było?

– Wystarczy na mnie popatrzeć.

– Zazdroszczę panu. Naprawdę. Też bym chciał być taki.

Mostaza pociągnął kilka razy fajkę, bezowocnie, i wyjąwszy ją z ust, popatrzył niepewnie na jej główkę.

– Wie pan co? – ciągnął, obmacując kieszenie. – Pewnego razu spędziłem całą noc w pociągu, w wagonie pierwszej klasy, rozmawiając z dystyngowanym dżentelmenem. Na dodatek bardzo miłym człowiekiem. Przypomina mi go pan... Dobrze się nam rozmawiało. O piątej rano spojrziałem na zegarek i stwierdziłem, że już dość. Wyszedłem zapalić fajkę w korytarzu i ktoś, kto czekał na zewnątrz, wszedł do przedziału i strzelił w głowę miłemu, dystyngowanemu dżentelmenowi.

Wyjął pudełko zapalek i znów zapalił fajkę skupiony na tym zajęciu.

– To musi być wspaniałe, prawda? – powiedział, potrząsając zapalką, żeby ją zgasić.

– Nie wiem, co pan ma na myśli.

Mężczyzna patrzył na niego z zaciekawionym, wypuszczając gęste kłęby dymu.

– Zna pan Pascala? – zapytał naraz.

– Tak samo jak szpiegów – odparł Max. – Albo i słabiej.

– Był filozofem... Siła much, pisał. Wygrywają bitwy.

– Nie rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć.

Mostaza przywołał na twarz pełen szacunku uśmiech, ironiczny i zarazem melancholijny.

– Proszę mi wierzyć, że zazdrozczę panu. Poważnie... Pewnie czuje się pan bezpiecznie, jako człowiek, który stoi po trzeciej stronie i obojętnie przygląda się pejzażowi. Który uważa, że nie ma nic wspólnego ze swoimi przyjaciółmi faszystami ani ze mną. Który stara się przed każdym usprawiedliwić, nie zajmując żadnej pozycji, a potem śpi spokojnie. Sam albo w towarzystwie, to już nie moja sprawa... Ale spokojnie.

Max poruszył się rozdrażniony. Miał ochotę uderzyć w ten zimny uśmiezek, absurdalnie porozumiewawczy, który znajdował się pół metra przed nim. Wiedział jednak, że mimo kruchego wyglądu jego właściciela uśmiech ten nie należał do tych, które łatwo się bije.

– No tak – powiedział. – Będę wulgarny.

– Niech się pan nie hamuje. Proszę bardzo.

– Pańska wojna, pańskie statki i pańskie listy hrabiego Ciano gównie mnie obchodzą.

– Pochwalam pańską szczerą – przyznał Mostaza.

– Mam gdzieś pańskie pochwały. Widzi pan ten zegarek? Widzi pan ten garnitur uszyty w Londynie? Widzi pan krawat kupiony w Paryżu? Dużo trudu kosztowało mnie osiągnięcie tego wszystkiego. Nauczenie się, jak nosić je ze swobodą. Mnóstwo krwi i potu... A teraz, kiedy mi się udało,

okazuje się, że całe mnóstwo ludzi w ten czy inny sposób stara się uparcie posłać to wszystko w diabły.

– Rozumiem... Jednak pańska opłaczalna i ambitna Europa usycha niczym zwiędła lilia.

– No to dajcie mi trochę czasu, do licha, żebym się mógł nią nacieszyć. Mostaza wydawał się rozważać obiektywnie tę sugestię.

– Tak – przyznał. – Może i ma pan rację.

Z rękami opartymi na balustradzie Max wychylił się na zewnątrz, w stronę portu, jakby próbował wdychać najwięcej, jak to możliwe, morskiej bryzy. Oczyszczyć płuca. W dali, poza La Réserve, pośród białych i ochrowych willi rozsianych na zielonym zboczu góry Boron, na skale ponad brzegiem można było dostrzec dom Susany Ferriol.

– Dałem się złapać w coś, co mi się nie podoba – dodał po chwili. – I jedynym, czego chcę, jest raz wreszcie to skończyć. I przestać oglądać was wszystkich.

Mostaza mlasnął językiem jakby współczująco.

– No to mam złe wieści – odezwał się. – Bo nie da się przestać nas oglądać. Jesteśmy przyszłością, tak samo jak maszyny, samoloty, czerwone sztandary, czarne koszule albo brunatne, albo niebieskie... Przybył pan zbyt późno na bankiet, który już jest skazany na śmierć. – Fajką wskazał na chmury zbierające się nad morzem. – Tu, blizutko, zanoszą się burze. A burza ta zmiecie wszystko i kiedy się skończy, nic już nie będzie takie jak kiedyś. I na nic się zdadzą te wszystkie kupione w Paryżu krawaty.

– Nie wiem, czy Jorge jest moim synem – mówi Max. – Właściwie nigdy nie będę tego wiedział.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Mecha Inzunza. – Masz tylko moje słowo.

Siedzą przy stoliku w ogródku na Piazzecie na Capri, obok stopni prowadzących do kościoła i wieży zegarowej, stojącej przy chodniku wznoszącym się od portu. Dotarli tu po południu stateczkiem płynącym pół godziny z Sorrento. Był to pomysł Mechy. Jorge odpoczywa, powiedziała, a ja już od lat nie byłam na wyspie. I zaproponowała Maxowi, żeby przyjechali tu razem.

– W tamtych czasach ty... – zaczyna Max.

– Że byli też inni mężczyźni, chcesz powiedzieć?

Max nie odpowiada od razu. Patrzy na ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach albo powoli spacerujących w świetle zachodzącego słońca. Od stolików dobiegają fragmenty rozmów prowadzonych po angielsku, włosku i niemiecku.

– Choćby tamten Keller – stwierdza, jakby po długim i skomplikowanym rozumowaniu doszedł w końcu do tego wniosku. – Oficjalny ojciec.

Mecha śmieje się pogardliwie. Bawi się końcówkami zarzuconej na szyję jedwabnej apaszki. Jest ubrana w szary sweter, a przez czarne spodnie widać kształt jej długich nóg, szczuplejszych niż dwadzieścia dziewięć lat temu. Na stopach ma czarne pilgrymy, bez sprzączki, na oparciu krzesła wisi torba z płótna i skóry.

– Posłuchaj, Max. Nie jestem zainteresowana, żebyś uznawał ojcostwo w tym momencie życia, tak twojego, jak i mojego.

– Nie chciałbym...

Kobieta unosi dłoń, przerywając mu.

– Mogę sobie wyobrazić, czego chcesz i czego nie. Ograniczyłam się do odpowiedzi na twoje pytanie... Dlaczego miałbym to zrobić, powiedziałeś. Dlaczego miałbyś ryzykować z Rosjanami i kraść im książkę.

– Nie dla mnie już takie sztuczki.

– Może i tak.

Mecha wyciąga dłoń roztargnionym gestem w stronę kieliszka stojącego na stole obok kieliszka Maxa. A on patrzy znów na skórę zniszczoną wiekiem, podobnie jak jego własna. Na starcze plamy na grzbiecie dłoni.

– Byłeś bardziej interesujący – dodaje kobieta, zamyślona – kiedy ryzykowałeś.

– I dużo, dużo młodszy – odpowiada Max bez chwili zwłoki.

Patrzy na niego ironicznie.

– Tak bardzo się zmieniłeś? Albo zmieniliśmy się? Nic nie zostało z dawnego mrowienia w czubkach placów? Bicia serca, szybszego niż normalnie?

Przygląda się gestowi eleganckiej rezygnacji, jaki mężczyzna uczynił zamiast odpowiedzi: ruch harmonizujący z niebieskim swetrem zarzuconym z wykalkulowaną niedbałością na ramiona, na białe bawełniane polo, z szarymi lnianymi spodniami, siwymi włosami zaczesanymi jak kiedyś do tyłu z nieskazitelnym przedziałkiem.

– Zastanawiam się, jak ci się udało – dodaje kobieta. – Jaki szczęśliwy traf pozwolił ci zmienić życie... I jak miała na imię. Czy raczej miały. Te, które za to zapłaciły.

– Nie było żadnej. – Max pochyla lekko głowę niezadowolony. – Szczęśliwy traf, nic więcej. Sama to powiedziałaś.

– Dostatnie życie.

– Właśnie.

– Tak jak marzyłeś.

– Nie aż tak. Ale nie narzekam.

Mecha patrzy na schody prowadzące z Piazzetty do pałacu Cerio, jakby pośród chodzących tam ludzi szukała znajomej twarzy.

– To twój syn, Max.

Milczenie. Kobieta kończy wino drobnymi łykami, jakby zamyślona.

– Nie zamierzam wyrównywać z tobą rachunków – mówi po chwili. – Nie jesteś odpowiedzialny za jego życie ani za moje... Jedynie podsunęłam ci sposób, w jaki możesz mu pomóc. Coś ważnego.

Max sprawia wrażenie, jakby zajmował się zmarszczkami na spodniach, żeby ukryć zakłopotanie.

– Zrobisz to, prawda? – pyta Mecha.

– Może trochę jego ręce – przyznaje Max w końcu. – I włosy też przypominają moje... Może też coś w jego sposobie poruszania się.

– Nie zastanawiaj się już nad tym, proszę. Uwierz albo nie. Ale nie bądź żałosny.

– Nie jestem żałosny.

– Owszem, jesteś. Żałosny staruszek, próbujący wyzwolić się spod nagłego, późnego ciężaru. Choć żadnego ciężaru nie ma.

Wstaje, zabierając torbę, i patrzy na zegar na wieży.

– Vaporetto odpływa piętnaście po siódmej. Przejdźmy się jeszcze na koniec.

Max wkłada okulary, żeby przeczytać rachunek. Potem chowa je do kieszeni spodni, wyjmując portfel i zostawia dwa tysiąclirrowe banknoty na stoliku.

– Jorge nigdy cię nie potrzebował – mówi Mecha. – Miał mnie.

– I twoje pieniądze. Dostatnie życie.

– To brzmi jak wyrzut, mój drogi. Choć, jeśli dobrze pamiętam, ty zawsze goniłeś za pieniędzmi. One miały pierwszeństwo przed wszystkimi innymi możliwymi rzeczami. A i teraz, kiedy wydajesz się je mieć, wcale się od nich nie odżegnujesz.

Idą do kamiennej barierki. Sady cytrynowe i winnice schodzą aż do skarpy, czerwieniejąc w świetle barwiącym Zatokę Neapolitańską. Krążek słońca zaczyna tonąć w morzu, obrysowując odległy kształt wyspy Ischia.

– Jednak dwa razy pozwoliłeś umknąć okazjom... Jak mogłeś być wobec mnie tak głupi? Tak niezdarny i ślepy?

– Byłem zbyt zajęty, myślę. Uważaniem, jak przeżyć.

– Brakowało ci cierpliwości. Nie byłeś zdolny, żeby poczekać.

– Ty chodziłaś innymi drogami – Max ostrożnie dobiera słowa. – W miejscach dla mnie niedostępnych.

– Mogłeś to zmienić. Choć byłeś tchórzem... W końcu ci się to udało, niechcący.

Przebiega ją dreszcz, jakby poczuła zimno. Max, dostrzegłszy to, proponuje jej sweter, ona jednak odmawia ruchem głowy. Jedwabną chustką okrywa krótkie siwe włosy, związuje ją pod brodą. Po czym opiera się, obok mężczyzny, o kamienną barierkę.

– Kochałeś mnie kiedyś, Max?

Zaskoczony, nie odpowiada. Uparcie wpatruje się w czerwone morze, starając się oddzielić w swoich myślach sens pojęcia „wyrzuty sumienia” od słowa „melancholia”.

– Jakże jestem głupia! – Kobieta głaszcze jego dłoń przelotnym gestem. – Jasne, że tak. Kochałeś mnie.

„Smutek” to kolejne właściwe słowo, stwierdza Max. Pewien rodzaj wilgotnego, wewnętrznego lamentu za tym, co było, a nie jest. Za ciepłem i ciałem, teraz już niemożliwymi.

– Nawet nie wiesz, ile straciłeś przez te wszystkie lata – ciągnie Mecha. – Patrzenie, jak rośnie twój syn. Oglądanie świata jego oczami, w miarę jak je otwierał.

– Jeśli to prawda, dlaczego ja?

– Dlaczego miałam go z tobą, pytasz?

Nie od razu odpowiada. Kościelny dzwon rozbrzmiewa dźwiękami, których echo ciągnie się ponad zboczami wzgórz wyspy. Kobieta znów spogląda na zegarek, odchodzi od poręczy i idzie w stronę kolejki linowej łączącej Piazzetę z przystanią.

– Zdarzyło się – mówi, kiedy Max siada obok niej na ławeczce w wagonie, którego są jedynymi pasażerami. – To wszystko. Potem musiałam podjąć decyzję i podjęłam ją.

– Zostawić go sobie.

– To dobre określenie. Zostawić go sobie. Tylko dla mnie.

– Ojciec...

– No tak. Ojciec. Jak to mówisz, był odpowiedni. Przydatny w pierwszym okresie. Ernesto był dobrym człowiekiem. Dobrym dla dziecka... Potem ta potrzeba zniknęła.

Lekko trzęsąc, kolejka zjeżdża pomiędzy ścianami roślinności, z widokiem na przedwieczorną zatokę. Reszta krótkiej trasy upływa w ciszy, przerywanej wreszcie przez Maxa.

– Dziś rano rozmawiałem z twoim synem.

– Dziwne. – Kobieta wydaje się naprawdę zaskoczona. – Byliśmy razem na obiedzie i nic nie wspomniał.

– Prosił, żebym się trzymał z daleka.

– A czego się spodziewałeś? To inteligentny chłopiec. Jego instynkt działa nie tylko w szachach. Czuje w tobie coś dwuznacznego. W twojej obecności i we wszystkim. Właściwie wydaje mi się, że wyczuwa to przeze mnie. Ty jesteś mu obojętny. Ale moje zachowanie wobec ciebie go niepokoi.

Kiedy docierają do portu, słońce już zaszło i przystań zaczyna szarzeć pośród mroków. Idą wzdłuż nabrzeża, patrząc na łodzie rybackie stojące na

kotwicy przy brzegu.

– Jorge wyczuwa, że między nami istnieją jakieś szczególne więzy.

– Szczególne?

– Dawne. Jakieś splątane.

Powiedziawszy to, chwilę milczy. Max przezornie nie nagabuje, nie ma odwagi odezwać się.

– Wcześniej zadałeś mi pytanie – dodaje kobieta w końcu. – Dlaczego, jak sądzisz, postanowiłam mieć to dziecko?

Teraz Max milczy. Odwraca się w jedną stronę, potem w drugą, w końcu uśmiecha się zakłopotany, uznając się za pokonanego. Ona jednak nadal uważnie czeka na odpowiedź.

– Właściwie, ty i ja... – Max zaczyna niepewnie.

Znów cisza. Mecha przygląda mu się w gasnącym świetle, w którym cały świat wokół zdaje się powoli umierać.

– Od tego pierwszego tanga w salonie na statku – stwierdza Max – nasz związek był dość dziwny.

Kobieta nadal przygląda mu się uważnie, teraz z pogardą tak absolutną, że Max musi dołożyć niemal fizycznego wysiłku, żeby nie odwrócić wzroku.

– To wszystko? Dziwny, mówisz? Na miłość boską... Byłam w tobie zakochana, od kiedy zatańczyliśmy to tango... Prawie całe życie.

Zmierzch zapadał także dwadzieścia dziewięć lat wcześniej, nad Zatoką Nicejską, kiedy Max Costa i Mecha Inzunza przechadzali się po Promenadzie Anglików. Niebo zachmurzyło się całkowicie i ostatni blask gasł szybko wśród ciemnych chmur, roztopiając w tym samym tonie dolną linię nieba i wzburzone morze, grzechoczące przesuwanymi przez fale kamykami na plaży. Grube pojedyncze krople, zapowiadające gęstą deszcz,

spadały plamami na ziemię, przydając smutnego wyglądu nieruchomym liściom palm.

– Wyjeżdżam z Nicei – powiedział Max.

– Kiedy?

– Za trzy, cztery dni. Kiedy skończę pewien interes.

– Wrócisz?

– Nie wiem.

Nie dodała nic więcej na ten temat. Szła pewnie na obcasach, mimo że ziemia była mokra, z rękami w kieszeniach szarego prochowca z ciasno związanym paskiem, który podkreślał jeszcze szczupłość jej talii. Z włosami zebranymi pod czarnym beretem.

– A ty zostajesz w Antibes? – zainteresował się Max.

– Tak. Pewnie przez całą zimę. Przynajmniej, jak długo trwa ta sytuacja w Hiszpanii i czekam na wiadomości od Armanda.

– Wiesz coś więcej?

– Nic.

Max zawiesił sobie parasol na przedramieniu. Po czym zdjął kapelusz, żeby strząsnąć z niego krople deszczu, i z powrotem włożył go na głowę.

– Przynajmniej żyje.

– Żył kilka tygodni temu. Teraz – nie wiem.

Palais Méditerranée zapalił właśnie światła. Jakby w odpowiedzi na ten znak nagle zabłyśły latarnie wzdłuż szerokiego łuku promenady, przeplatając jasność i mrok na fasadach hoteli i restauracji. Na wysokości Ruhla, pod płócienną osłoną przejścia do La Jetée-Promenade, przy którym stał na straży portier w mundurze, trzech młodzieńcy w wieczorowych strojach próbowali szczęścia, czatując na nadjeżdżające samochody i wysiadające z nich kobiety udające się do wnętrza, skąd rozbrzmiewała

muzyka. Wyraźnie było widać, że żaden z nich nie miał stu franków na opłacenie wejścia. Wszyscy trzej popatrzyli na Mechę ze spokojną zachłannością, a jeden podszedł do Maxa, prosząc go o papierosa. Pachniał tanią wodą kolońską. Był bardzo młody i dość przystojny, o czarnych włosach i ciemnych oczach, wyglądał na Włocha. Ubrany był tak jak inni: dwurzędowa marynarka, dopasowana w talii, sztywny kołnierzyk i muszka. Smoking wyglądał na wypożyczony i buty pozostawiały wiele do życzenia, młodzieniec jednak zachowywał niesamowitą, pełną kultury powagę, graniczącą z bezczelnością, co wywołało uśmiech Maxa. Zatrzymał się, rozpiął swojego burberry, wyjął szylkretową papierośnicę, otworzył ją i poczęstował chłopaka.

– Proszę wziąć więcej, dla kolegów – zaproponował.

Tamten spojrzał na niego z lekkim zmieszaniem, po czym wziął trzy papierosy, podziękował, rzucił ostatnie spojrzenie na Mechę i wrócił do pozostałych chłopców. Max szedł dalej. Kątem oka zauważył, że kobieta obserwuje go rozbawiona.

– Dawne wspomnienia – powiedziała.

– Oczywiście.

Kiedy się oddalali, gasły ostatnie nuty melodii rozbrzmiewającej w La Jetée-Promenade i orkiestra rozpoczęła następną.

– Nie do wiary – roześmiała się Mecha, biorąc pod ramię Maxa. – To wszystko specjalnie przygotowałeś dla mnie... Łącznie z żigolakami.

Max też się roześmiał zadziwiony tak samo jak kobieta: dźwięki *Tanga Starej Gwardii* dobiegały z sali balowej kasyna, poprzez rumor toczących się kamieni na plaży.

– Chcesz wejść i zatańczyć? – zażartował Max.

– Nawet nie myśl o tym.

Szli bardzo wolno, słuchali.

– Jest piękne – powiedziała kobieta, kiedy przestali słyszeć melodię. –
Lepsze od Ravela.

Kawałek szli w ciszy. Potem Mecha przycisnęła nieco ramię Maxa.

– Bez twojego udziału nie byłoby tego tanga.

– Bardzo wątpię – zaprotestował. – Jestem pewien, że twój mąż nigdy
nie skomponowałby go, gdyby nie ty. To twoje tango, nie jego.

– Nie gadaj głupstw.

– Tańczyłem z tobą, nie zapominaj. W tym magazynie w Buenos
Aires... Pamiętam, jak on na ciebie patrzył. Jak wszyscy na ciebie patrzyli.

Było już zupełnie ciemno, kiedy minęli most nad Paillon. Po ich lewej
stronie, w dali za ogrodem, latarnie oświetlały plac Masséna. Tramwaj
przejechał w dali, pomiędzy gęstymi, posępnymi drzewami, prawie
niewidoczny, gdyby nie iskry lecące z pantografu.

– Powiedz mi, Max. – Kobieta dotykała szyi osłoniętej kołnierzem
prochowca. – Czy zamierzałeś zabrać mój naszyjnik od samego początku,
czy wymyśliłeś to na poczekaniu.

– Wymyśliłem na poczekaniu – skłamał.

– Kłamiesz.

Spojrzał jej w oczy z całkowitą szczerością.

– W żadnym wypadku.

Niemal nie było ruchu: konne dorożki z podniesionym dachem i latarnią
w szklanej osłonie, rozgniatające mokre liście, od czasu do czasu reflektory
samochodowe oślepiające swoją mokrą i zamgloną jasnością. Nieuważnie
przeszli przez asfalt, zostawiając za sobą promenadę, i weszli w uliczki
w pobliżu alei Saleya.

– Jak się nazywał tamten lokal? – zapytała Mecha. – Ten z tangiem.

– La Ferroviaria. Tuż obok dworca Barracas.

- Myślisz, że jeszcze działa?
- Nie wiem. Nigdy więcej tam nie wróciłem.

Grube krople deszczu znów zaczęły padać na kapelusz Maxa. Jeszcze nie warto było otwierać parasola. Przyspieszyli kroku.

– Chciałabym znów posłuchać muzyki w takim miejscu, z tobą... Są takie w Nicei?

- Takie spelunki, chciałaś spytać?
- Chciałam powiedzieć, specjalne miejsca, głuptasie. Trochę wyuzdane.
- Jak ten pensjonat w Antibes?
- Na przykład.
- Z lustrem czy bez lustra.

Jakby w odpowiedzi, zmusiła go do zatrzymania się i pochylenia twarzy. Pocałowała go w usta. Był to szybki, intensywny pocałunek, obciążony bagażem wspomnień i nagłych potrzeb. Max poczuł, że zaczyna mącić mu myśli nagłe pożądanie.

- Jasne – powiedział spokojnie. – Takie miejsca są wszędzie.
- Wymień jedno.
- Tutaj znam tylko Lions at the Kill. To knajpa na starym mieście.
- Zachwyca mnie nazwa. – Mecha zrobiła porozumiewawczy gest, jakby chciała bić brawo. – Chodźmy tam zaraz.

Max ujął jej ramię, nakłaniając ją w ten sposób, by ruszyła dalej.

– Myślałem, że idziemy na kolację. Zarezerwowałem stolik w Bouttau, przy katedrze.

Mecha przytuliła twarz do jego ramienia, niemal zagradzając mu drogę.

– Nienawidzę tej restauracji – powiedziała. – Zawsze przychodzi właściciel przywitać się.

- I co w tym złego?

– Bardzo dużo. Wszystko zaczęło się psuć, kiedy kapelusznicy, fryzjerzy i kucharze postanowili bratać się z klientami.

– I tancerze tanga – dodał Max, śmiejąc się.

– Mam lepszy pomysł – zaproponowała Mecha. – Zamówmy coś na szybko w La Cambouse – ostrygi i butelkę chablis. Potem zaprowadzisz mnie w tamto miejsce.

– Jak chcesz. Ale schowaj naszyjnik i bransoletkę do torby, zanim tam wejdziemy... Nie prowokujmy losu.

Stali przy jednej z latarni na alei Saleya, kiedy kobieta uniosła twarz. Jej oczy błyszczały, jakby były z mosiądzu czy miedzi.

– Czy tam też będą mężczyźni tacy jak dawniej?

– Obawiam się, że nie – uśmiechnął się Max fatalistycznie. – Tam są mężczyźni tacy jak dzisiaj.

Lions at the Kill nie było złą nazwą, jednak obiecywało więcej, niż mogło dać. Był tam tani szampan w kubelkach z lodem, ciemne, zakurzone zakamarki, piosenkarka o nieokreślonej płci i zachrypniętym głose, ubrana na czarno i naśladująca Edith Piaf, a począwszy od godziny dziesiątej, liczne numery ze striptizem. Atmosfera była sztuczna, wymyślona, pomiędzy późnym stylem apaszowskim i zgniłym surrealizmem. Stoły zajmowali jacyś amerykańscy i niemieccy turyści, bezmyślnie spragnieni emocji, kilku marynarzy z Villefranche i trzech, czterech facetów o wyglądzie filmowych alfonsów, z bokobrodami wygolonymi w szpic i w ciemnych garniturach w prążki, którzy – jak podejrzewał Max – byli opłacani przez właściciela za to, że robili odpowiednią atmosferę. Mecha, znudzona, nie wytrzymała dłużej niż do połowy drugiego striptizu – obfita Egipcjanka, o wielkich białych i trzęsących się piersiach; Max poprosił więc

o rachunek, zapłacił dwieście franków za butelkę, której niemal nie tknęli, i znów wyszli na dwór.

– I to wszystko? – Mecha wyglądała na rozczarowaną.

– Jeśli idzie o Niceę, tak. Albo prawie.

– No to zabierz mnie do prawie.

W odpowiedzi Max otworzył parasol, wskazując na koniec ulicy. Padał deszcz i spływał rynnami. Byli na ulicy Saint-Joseph, w pobliżu skrzyżowania z drogą prowadzącą na zamek. Pod jedyną latarnią stały dwie kobiety, chroniące się pod daszkiem zamkniętej kwiaciarni. Szli powoli w ich stronę, trzymając się pod rękę, otoczeni szumem deszczu. Jedna z kobiet wycofała się do sąsiedniej bramy, widząc, jak nadchodzą; druga pozostała nieruchoma, kiedy się zbliżali. Była szczupła i wysoka. Ubrana w kurtkę z karakułowym kołnierzem i czarną spódnicę, bardzo obcisłą, do połowy łydki. Spódnica wiernie naśladowała kształt jej bioder, podkreślając długie nogi, które wydawały się jeszcze dłuższe przez buty o grubej podeszwie i wysokie obcasy na koturnie.

– Jest ładna – powiedziała Mecha.

Max spojrzał na twarz kobiety. W świetle latarni wyglądała młodo, z ciemną plamą uszminek ust. Na powiekach miała makijaż, rzęsy pomalowane gęstym tuszem, brwi wydepilowane i zredukowane do linii narysowanej kosmetyczną kredką, widocznej pod wąskim rondem przemokniętego kapelusza. Na twarzy miała drobniutkie kropelki deszczu.

– Może i jest ładna.

– Ma zgrabne ciało, gibkie... Dość elegancka.

Dotarli na jej wysokość i kobieta przyjrzała się im: szybki, profesjonalny rzut oka na Maxa, naraz matowy i obojętny, kiedy stwierdziła, że on i jego towarzysza idą pod rękę. Potem spojrzenie zaciekawione, oceniające Mechę po stroju i wyglądzie. Prochowiec i beret

nie pozwalały zbyt wiele zobaczyć, Max jednak dostrzegł, że popatrzyła na jej buty i torbę, jakby z wyrzutem, że niszczy je na tym deszczu.

– Spytaj ją, ile bierze – szepnęła Mecha.

Pochyliła się do Maxa, mówiąc to, niemal zaciekle, nie odrywając wzroku od kobiety. Popatrzył na Mechę z konsternacją.

– To nie nasza sprawa.

– Spytaj.

Kobieta usłyszała ich rozmowę – po hiszpańsku – albo odgadła jej treść. Jej spojrzenie wędrowało z niego na nią, jakby już rozumiała. Grymas uśmiechu, pomiędzy pogardliwym i zachęcającym, pojawił się na fioletowawym karminie ust. Torba i buty Mechy przestały być ważne. Już nie wyznaczały dystansu ani barier.

– Ile? – spytała ją Mecha, przechodząc na francuski.

Z zawodową ostrożnością kobieta odpowiedziała, że to zależy od nich. Od czasu trwania usługi i upodobań pana. Albo pani. Przesunęła się, żeby schować się lepiej przed deszczem, i odsunęła się od światła, patrząc ponad ramionami pary, z ręką opartą na biodrze.

– Zrobisz to z nim, a ja będę patrzeć – powiedziała Mecha z całkowitym chłodem.

– Nie ma mowy – zaprotestował Max.

– Cicho bądź.

Kobieta wymieniła sumę. Max przyglądał się jej długim, szczupłym nogom, opiętym długą ołówkową spódnicą. Zupełnie wbrew sobie był podniecony. Ale nie z powodu prostytutki, tylko zachowania Mechy. Przez chwilę wyobraził sobie pokój wynajmowany na godziny gdzieś w pobliżu, łóżko z brudną pościelą, on wchodzący w to szczupłe, zwinne ciało, podczas kiedy Mecha patrzy na nich uważnie, naga. Potem zwraca się do niej, jeszcze z wilgocią drugiej kobiety na skórze, i wchodzi w nią. Żeby

znów zamieszkać w tym surowym ciełe, organicznym, doskonałym genetycznie, które czuł teraz, pulsujące zachłannością przy swoim ramieniu.

– Zabierz ją z nami – nagle zażądała Mecha.

– Nie – powiedział Max.

W hotelu Negresco, kiedy gęstniał deszcz, silnie stukocząc o szyby, rzucili się na siebie z gwałtowną, rozpaczliwą namiętnością, podobną do walki – milcząca zachłanność, w której były tylko pomruki, szamotanie, jęki, spotkanie rozpalonych, napiętych ciał, ciepła ślina między nagłymi, bezwstydnymi przekleństwami, które Mecha sączyła do ucha mężczyzny z obsceniczną dosadnością. Wspomnienie wysokiej, szczupłej kobiety towarzyszyło im cały czas, tak intensywnie, jakby rzeczywiście była z nimi, oglądając i będąc oglądaną, posłuszna wobec ich ciał pokrytych potem, splecionych w systematycznym, namiętym szaleństwie.

– Ja bym ją chłostała, kiedy ty byś się w niej poruszał – szeptała Mecha bez tchu, zlizując pot z szyi Maxa. – Gryzłabym jej plecy, torturowała... Tak. Krzyczałyby.

W momencie skrajnego zapamiętania zaczęła bić Maxa po twarzy tak mocno, że puściła mu się krew z nosa, a kiedy próbował zatamować źródło czerwonych kropli plamiących pościel, ona rzuciła się do całowania go z taką furją, że sprawiła mu większy jeszcze ból, sama z ubrudzonymi krwią ustami i nosem, oszalała niczym wilczyca rozrywająca zębami swoją ofiarę; tymczasem on, trzymając się kurczowo prętów wezglowia łóżka, szukał punktu oparcia, żeby odzyskać kontrolę nad krawędzią przepaści, zaciskając zęby i próbując stłumić wycie zwierzęcego lęku, stare jak sam świat, wydobywające się z jego trzewi. Opóźniając jak najdłużej nieodparte, nieodwracalne pragnienie, by się rozpląnąć, aż po utratę

świadomości, w tej studni bez duszy, bez świata, bez dna, w tej kobiecie, która ciągnęła go w szaleństwo i zapomnienie.

– Napiłabym się czegoś – powiedziała później, gasząc papierosa.

Max uznał, że to dobry pomysł. Włożyli ubrania na skórę o intensywnym zapachu ciała i seksu i zeszli szerokimi schodami do okrągłego holu z barem wyłożonym drewnem, który Adolfo, hiszpański barman, właśnie zamierzał zamykać. Uniesiona brew rozluźniła się, kiedy rozpoznał, kto nadchodzi: od lat dla Adolfa Max należał do tego wybranego towarzystwa, określonego nie w sposób formalny, nawet nie poprzez status ekonomiczny, które kelnerzy, taksówkarze, szefowie sal w restauracjach, kwiaciarki, pucybuci, portierzy w hotelach i cały personel niezbędny do funkcjonowania mechanizmu wielkiego świata potrafili rozpoznać na pierwszy rzut oka, za sprawą doświadczenia lub instynktu. I ta życzliwość wcale nie była przypadkowa. Świadomy korzyści płynących ze współpracy z tymi kręgami w życiu kogoś takiego jak on Max starał się zacieśniać więzy z nimi przy każdej okazji poprzez zręczną kombinację – naturalną, swoją drogą, dla jego charakteru – eleganckiego kumplostwa, stosunku pełnego poszanowania i odpowiednich napiwków.

– Trzy *west-indian*, Adolfo. Dwa dla nas, trzeci dla ciebie.

Choć barman zaproponował, że przygotuje stół – specjalnie dla nich zapalił brązowe kinkiety na ścianie – usiedli na stołkach przy barze, pod drewnianą balustradą górnego piętra, i pili w milczeniu, bardzo blisko jedno drugiego, patrząc sobie w oczy.

– Pachniesz mną – powiedziała Mecha. – Nami.

Tak było. Intensywny zapach, bardzo zmysłowy. Max, pochylając twarz, uśmiechnął się – nagła szeroka biała rysa na opalonej skórze, gdzie zaczynał pojawiać się świeży zarost. Mimo że Mecha upudrowała twarz

przed wyjściem, miała czerwonawe ślady delikatnych zadrapań jego zarostem na brodzie, szyi, ustach.

– Jakiś ty przystojny, draniu.

Dotknęła jego nosa, jeszcze słabo krwawiącego, a potem odbiła czerwony ślad palca na jednej z małych haftowanych serwetek leżących na barze.

– A ty jesteś jak sen – powiedział Max.

Upił ze swojego kieliszka łyk drinka – zimnego, doskonałego. Adolfo miał znakomitą rękę do koktajli.

– Śniłem o tobie, kiedy byłem chłopcem – dodał zamyślony.

Brzmiało to szczerze i rzeczywiście tak było. Mecha spojrzała na niego uważnie, z lekko rozchylonymi ustami, z łagodnym, przyspieszonym oddechem. Max położył dłoń na jej talii i pod krepą w kolorze malwy czuł doskonałą linię jej biodra.

– Za wszystko się płaci – zażartowała, chowając serwetkę splamioną krwią.

– Mam nadzieję, że już zapłaciłem z góry. Jeśli jest inaczej, faktura będzie zabójcza.

Położyła palce na jego wargach, uciszając go.

– *Goûtons un peu ce simulacre de bonheur*^[1] – powiedziała.

Znów zamilkli. Max z rozkoszą smakował koktajl i bliskość kobiety, namacalną świadomość jej skóry i ciała. Ciszę powiązaną z niedawną rozkoszą. Nie była to wcale złuda szczęścia, stwierdził w myśli. Czuł się naprawdę szczęśliwy, zadowolony, że żyje, że jego droga nie została przecięta aż do tej chwili. Ta długa, pełna wpadek, niekończąca się droga. Myśl o oddaleniu się od niej budziła w nim nieznośny żal. Graniczący z wściekłością. Marzył, żeby jak najdalej znaleźli się obaj Włosi i Fito Mostaza. Marzył, żeby zobaczyć ich trupy.

– Jestem głodna – powiedziała Mecha.

Patrzyła na Adolfa z miną osoby przyzwyczajonej, że do niej należy cały świat, wraz z obsługą. Barman przeprosił, uprzejmym tonem, właściwym dla jego zawodu. Wszystko już jest zamknięte o tej porze, powiedział. Jednak, dodał po chwili namysłu, jeśli państwo zechcą mi towarzyszyć, można spróbować temu zaradzić. Zgasił światło i konspiratorskim spojrzeniem zachęcił ich, by poszli za nim przez tylne wyjście i zeszli po słabo oświetlonych stopniach prowadzących do piwnicy. Ruszyli za nim, trzymając się za ręce, rozbawieni nieoczekiwaną przygodą, przez długi korytarz i opustoszałą kuchnię, do stołu, na którym obok sterty błyszczących garnków leżała hiszpańska szynka – prawdziwa *serrano* z Alpujarry, podkreślił z dumą Adolfo, zdejmując ściereczkę, którą była przykryta – do połowy już skrojona.

– Jest pan dobry w używaniu noża, panie Maksie?

– Znakomity! Urodziłem się w Argentynie, więc sobie wyobraź!

– W takim razie proszę pokroić, jeśli pan łaskaw. Pójdę po butelkę burgunda.

Kiedy tylko wrócili do pokoju, Max i Mecha niecierpliwie znów zrzucili ubranie i kochali się z nowym pożądaniem, jakby to był pierwszy raz. Resztę nocy spędzili w stanie półsnu, pieścąc się przy każdym przebudzeniu, uważnie wsłuchani w wymagające pragnienia tego drugiego. Potem, przy pierwszym świetle brzasku wpadającym przez okno, zasnęli wyczerpani, tym razem już inaczej, snem głębokim, w którym trwali, dopóki Max nie otworzył oczu i nie patrząc na zegarek, podszedł do okna, gdzie przez firanki sączyła się szara jasność i szum deszczu padającego na zewnątrz. Samotny pies biegał w oddali po otoczkach na plaży. Za szybami zalanyymi kroplami deszczu, łączącymi się w drobne strumyki, morze było niczym płyta ołowianej mgły, a zmoczone pióropusze palm

pochylały się melancholijnie nad błyszczącym asfaltem Promenady Anglików. Max odwrócił się, żeby popatrzeć na wspaniałe ciało nagiej kobiety śpiącej na brzuchu w zmiętej pościeli, i wiedział, iż to niebieskoszare światło, przytłumione jesiennym deszczem, wróży, że już niedługo straci ją na zawsze.

Jak Max dobrze wie, delegacja radziecka nie mieszka w budynkach hotelu Vittoria w Sorrento, ale w apartamentach w domu przylegającym do ogrodu. Cały budynek zajmują Rosjanie, zgodnie z informacjami udzielonymi przez recepcjonistę Spadaro. Michaił Sokołow zajmuje obszerny apartament na najwyższym piętrze – z balkonem, z którego ponad ogromnymi stuletnimi piniami i za budynkami znajdującymi się nad skarpą można podziwiać panoramę całej Zatoki Neapolitańskiej. Tam mieszka mistrz i tam przygotowuje swoje zagrania, wspólnie z asystentami.

Siedząc pod pergolą zarośniętą bluszczem, ze starą lornetką Dienstgläser Wehrmachtu, pożyczoną od *capitano* Tedesco, Max śledzi budynek Sowietów, udając, że obserwuje ptaki. Konkluzje nie są zbyt zachęcające: dotarcie tam konwencjonalnymi drogami wydaje się niemożliwe. Poświęcił całe popołudnie poprzedniego dnia, żeby się o tym przekonać, co powiedział wieczorem Mechy Inzunzie po kolacji, kiedy siedzieli w ogrodzie w tym samym miejscu. Świta Rosjanina zajmuje niższe piętra, wyjaśnił Max, wskazując oświetlone dolne kondygnacje. Są tylko jedne schody i jedna winda, stanowiące komunikację ze wspólnym holem. Dowiedziałem się też, że zawsze jest tam ktoś na straży. Nikt nie może dotrzeć do pokoju Sokołowa niezauważony.

– Musi być jakiś sposób – zaprotestowała Mecha. – Dziś wieczorem podczas rozgrywki.

– Obawiam się, że to zbyt szybko. Jeszcze nie wiem, jak to zrobić.

– Pojutrze znów będą grali, skończą w nocy... Masz zatem czas. Zawsze dawałeś sobie świetnie radę z zamkami. Masz... Nie wiem. Narzędzia? Wytrych?

Całe lata doświadczenia zawodowego widać było w sposobie, w jaki Max wzruszył ramionami.

– Zamki nie stanowią problemu. Od ulicy jest nowoczesny Yale, łatwy do otwarcia. Ten w mieszkaniu jest jeszcze prostszy – stary, tradycyjny.

Zamilkł i patrzył na ciemny budynek zatroskanym wzrokiem. Jak alpinista spoglądający na najtrudniejszą ścianę stojącą przed nim góry.

– Problemem jest, jak tam dotrzeć – streścił kłopot. – Jak wejść, żeby żaden cholerny bolszewik tego nie zauważył.

– Bolszewik! – zaśmiała się. – Już nikt tak nie mówi.

Błysk. Mecha zapaliła papierosa. Trzeciego w czasie, który spędzili w ogrodzie.

– Musisz spróbować, Max. Robiłeś to wiele razy.

Milczenie. Unosił się słaby zapach dymu papierosowego.

– Przypomnij sobie Niceę – powiedziała. – Dom Suzi Ferriol.

To zabawne, pomyślał Max. Albo paradoksalne. Że używa tego jako argumentu.

– Nie tylko Niceę – odparł spokojnie. – Ale wtedy miałem o połowę mniej lat niż teraz.

Zamilkł na chwilę, obliczając prawdopodobieństwo tego, co niemożliwe. W ciszy ogrodu słyhać było odległą muzykę dobiegającą z jednego z barów na placu Tasso.

– Jeśli mnie złapią...

Przerwał ponuro. Właściwie wypowiedział głośno te słowa niemal nieświadomie.

– Byłoby nieprzyjemnie – przyznała kobieta. – Nie ma wątpliwości.

– Nie bardzo się martwię nieprzyjemnościami – uśmiechnął się z niepokojem do własnych myśli. – Zastanawiałem się nad tym. Boję się, nie chcę skończyć w więzieniu.

– Dziwne, że to mówisz.

Wyglądała na rzeczywiście zdziwioną. Max zrobił zrezygnowany gest.

– Zawsze się bałem, za każdym razem; ale teraz mam sześćdziesiąt cztery lata.

W oddali nadal rozbrzmiewała muzyka. Szybka, nowoczesna. Zbyt daleko, żeby Max mógł rozpoznać melodię.

– To nie jest tak jak w kinie – ciągnął. – A ja nie jestem Carym Grantem z tego bzdurnego filmu o złodzieju hotelowym... W prawdziwym życiu nie ma szczęśliwych zakończeń.

– Głuptasie! Byłeś dużo przystojniejszy niż Cary Grant.

Ujęła jego rękę i ścisnęła ją w swoich delikatnych, kościstych dłoniach. Ciepłych. Max uważnie wsłuchiwał się w odległą muzykę. Z pewnością, stwierdził z grymasem, nie było to tango.

– Wiesz co?... Przypominałaś tamtą dziewczynę, tę aktorkę. Albo ona była podobna do ciebie... Zawsze przywodziła mi ciebie na myśl – taka szczupła, elegancka. Nadal ją przypominasz. Tak. Albo ona ciebie.

– On jest twoim synem, Max. Przynajmniej to miej za pewnik.

– Może i jest – odrzekł. – Ale popatrz tylko.

Uniósł rękę kobiety do swojej twarzy, zachęcając, żeby dotknęła jego skóry. Poczowała dotyk upływu czasu.

– Może jest jakaś inna droga. – Jej dotknięcie wydawało się pieszczotą. – Może powinieneś obejrzeć wszystko jutro, w dziennym świetle. Znajdziesz jakąś szansę.

– Jeśli jest jakaś szansa. – Niemal jej nie słuchał. – Gdybym był młodszy i zwinniejszy... Zbyt wiele trybu przypuszczającego, obawiam się.

Mecha cofnęła rękę z jego twarzy.

– Oddam ci wszystko, co mam, Max. Ile tylko zażadasz.

Spojrzał na nią zaskoczony. Widział jej profil w mroku, obrysowany odległymi światłami i żarem papierosa.

– Tak się mówi, jasne – zauważył.

Profil poruszył się. Teraz podwójne miedziane błyski patrzyły na Maxa. Oczy kobiety, ze spojrzeniem w nim utkwionym.

– Tak, tak się mówi. – Żar papierosa stał się dwukrotnie intensywniejszy. – Ale dam ci wszystko. Dałabym.

– Nawet filiżankę kawy w twoim domu w Lozannie?

– Oczywiście.

– Nawet naszyjnik z pereł?

Znów milczenie. Długie.

– Nie wygłupiaj się.

Żar upadł na ziemię i zgasł. Znów wzięła go za rękę. Odległa muzyka na placu ucichła.

– Cholerny świat – powiedział. – Sprawiasz, że czuję się uwodzicielski jak głupek. Ujmujesz mi lat.

– Staram się.

Zawahał się troszkę. Tylko troszkę. Bolały go usta od trzymania za zębami tego, co chciał wyznać.

– Jestem bez grosza, Mecha.

Pozwoliła, żeby minęło kilka sekund.

– Wiem.

Maxowi zapało dech. Był przerażony i zaskoczony.

– Skąd wiesz? – Doszło wreszcie do wewnętrznego wybuchu, i była to panika. – Co wiesz?

Chciał wyswobodzić rękę, wstać. Uciec stąd. Ale kobieta zatrzymała go łagodnie.

– Że nie mieszkasz w Amalfi, ale tu, w Sorrento. Że pracujesz jako kierowca w domu zwanym Villa Oriana. Że nie układało ci się ostatnimi laty.

Na szczęście siedzę, pomyślał Max, opierając swobodną rękę na ławce. Chyba bym padł plackiem na ziemię. Jak dureń.

– Wszystko sprawdziłam, kiedy pojawiłeś się w hotelu – powiedziała Mecha.

Skonfundowany, starał się uporządkować myśli i emocje: poniżenie, wstyd. Osłupienie. Te wszystkie dni niepotrzebnego udawania, ośmieszania się. Błazeńskiego puszenia się.

– Wiedziałaś przez cały czas?

– Niemal.

– I dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Z wielu powodów. Po pierwsze, z ciekawości. Fascynujące było odnajdywanie takiego Maxa jak kiedyś – eleganckiego, obłudnego, niemoralnego.

Zamilkła na chwilę. Nadal trzymała jego dłoń.

– Poza tym dobrze się z tobą czuję – dodała na koniec. – Zawsze tak było.

Max wyswobodził dłoń i wstał.

– Inni też wiedzą?

– Nie. Tylko ja.

Brakowało mu powietrza. Chciałby głęboko odetchnąć, pozbyć się sprzecznych emocji. Może potrzebował kieliszka. Czegoś mocnego. Żeby poruszyło go od wewnątrz i wywróciło na nice.

Mecha nadal siedziała, całkiem spokojnie.

– Gdyby nie Jorge, w innych okolicznościach... No cóż. Byłoby zabawnie. Być z tobą. Patrząc, o co ci chodzi. Dokąd próbujesz dotrzeć. – Zamilkła na chwilę. – Co zamierzałeś?

– Teraz nie jestem pewien. Może przeżyć jeszcze raz dawne czasy.

– Pod każdym względem.

– Może i pod każdym...

Wstała powoli. Niemal z wysiłkiem, zdawało się Maxowi.

– Dawne czasy umarły. Wyszły z mody, tak samo jak nasze tango. Są równie martwe jak chłopcy z dawnych lat, jak ty sam... Jak my.

Chwyliła go pod ramię tak samo jak dwadzieścia dziewięć lat temu, tamtej nocy, kiedy poszli do Lions at the Kill w Nicei.

– Schlebia mi – dodała – że z mojego powodu zmartwychwstajesz.

Ujął jej dłoń i delikatnie podniósł ją do ust. Uprzejmy szept. Jej głos brzmiał, jakby w nim był uśmiech.

– Że próbujesz sprawić, żebym znów spojrzała na ciebie tak, jak patrzyłam kiedyś.

Słońce stało już wysoko. Z lornetką przy twarzy Max nadal wpatrywał się w blok mieszkalny sąsiadujący z hotelem Vittoria. Właśnie obszedł budynek, obserwując drzwi wychodzące na główną alejkę ogrodu, a teraz stoi pośród bugenwilli i drzew cytrynowych, badając jego drugą stronę. W pobliżu jest niewielki staw i altanka z ławką. Podchodzi do altanki i stamtąd ogląda tę część, która poprzednio była ukryta. Teraz cała fasada jest widoczna, łącznie z balkonem Sokołowa i spadzistym dachem

pokrytym czerwoną dachówką i otoczonym rynną, na której widać biegnący po niej piorunochron. Rynna i piorunochron, stwierdza Max, wymagają, żeby ktoś wchodził tam i utrzymywał je w odpowiednim stanie technicznym. Z odrobiną nadziei przegląda każdy metr fasady. I to, co tam widzi, wywołuje u niego dawny uśmiech, nagle odmładzający, który zdaje się wymazywać zniszczenia dokonane przez czas na jego twarzy: żelazne stopnie wtopione w ścianę, wznoszące się od ogrodu.

Chowa lornetkę do futerału i zbliża się do budynku jak zwykły przechodzień. Podchodząc do stopni, podnosi wzrok. Są zardzewiałe, ślady rdzy są też na ścianie, ale wyglądają solidnie. Pierwszy jest niedaleko ziemi, ponad klombem z kwiatami. Odległość do dachu to jakieś czterdzieści metrów, a stopnie są dość oddalone od siebie. Wysilek wydaje się do udźwignięcia: dziesięć minut wspinaczki w ciemności, przy zachowaniu wszelkiej ostrożności. Nie byłoby źle, myśli, zabrać ze sobą pętlę ze sznura z karabińczykiem, którym można byłoby ją przypiąć w połowie drogi, żeby odpocząć, gdyby zanadto się zmęczył. Reszta sprzętu nie byłaby duża: lekki plecak, lina wspinaczkowa, kilka narzędzi, latarka i odpowiedni strój. Patrzy na zegarek. Sklep żelazny Porta Marina i pozostałe sklepy w centrum są już czynne. Będzie też potrzebował sportowego obuwia i pasty, żeby wszystko zabarwić na czarno.

Tak samo jak w lepszych czasach, myśli, odwracając się od budynku i odchodząc przez ogród, podnieca go myśl o działaniu albo o jego zbliżaniu się, czuje dawne i dobrze znane łaskotanie niepewności, łagodzone kieliszkiem czy papierosem, w czasach kiedy świat był jeszcze łowiskiem zarezerwowanym dla ludzi inteligentnych i śmiałych. Kiedy życie miało aromat tureckich papierosów, eleganckich koktajli w barze hotelu Palace, kobiecych perfum. Rozkoszy i zagrożenia. A teraz, kiedy Max wspomina to wszystko, każdy stawiany krok sprawia, że wydaje mu

się, jakby znów stąpał lekko, z odzyskaną zręcznością. Ale nie to jest najlepsze. Kiedy patrzy przed siebie, zauważa, że znów pojawił się jego cień. Słońce przedostające się poprzez wysokie korony sosen wyświetla ten długi, zdecydowany cień, taki sam jak dawniej. Przyszyty do jego stóp, na tym samym miejscu, gdzie był w innych czasach. Bez wieku, bez oznak starości ani zmęczenia. Bez oszustwa. I odzyskując utracony cień, dawny fordanser wybucha takim śmiechem, jakim już dawno się nie śmiał.

[1] Posmakujmy trochę tej złudy szczęścia (fr).

11. ZWYCZAJE STAREGO WILKA

W Nicei nadal padał deszcz. Ponure szare światło spowijające stare miasto sprawiało, że pranie rozwieszona na balkonach przypominało strzępy smutnego życia. W płaszczu zapiętym na wszystkie guziki pod szyję i z otwartym parasolem Max Costa przeszedł przez plac Gesù, unikając kałuż rozpryskującej się wody, i skierował się w stronę kamiennych stopni przed kościołem. Mauro Barbaresco stał tam oparty o zamknięte drzwi, z rękami w kieszeniach prochowca błyszczącego od deszczu, spoglądając na niego pytająco spod przemokniętego runda kapelusza.

– To będzie dziś w nocy – powiedział Max.

Nie odzywając się słowem, Włoch skierował się w stronę rue de la Droite. Max poszedł za nim. Na rogu był bar, a dwie bramy dalej wąskie ciemne przejście w kształcie tunelu. W milczeniu przeszli przez odkryte patio i weszli dwa piętra w górę po schodach, których drewniane stopnie skrzypiały pod ich stopami. Na drugim podejście Barbaresco otworzył drzwi i zaprosił Maxa do środka. Ten postawił parasol oparty o ścianę, zdjął kapelusz i strzepnął z niego krople deszczu. Dom, mroczny i nieprzyjemny, miał zapach gotowanych jarzyn i mokrych, brudnych ubrań. Korytarz prowadził do drzwi kuchni i do drugich, uchylonych drzwi, przez które widać było sypialnię z nieposłanym łóżkiem i salon z dwoma starymi fotelami, komodą, krzesłami i stołem jadalnym z resztkami śniadania. Przy stole, w rozpiętej kamizelce i w koszuli z rękawami zawiniętymi do łokci, siedział Domenico Tignanello i oglądał komiksy w „Gringoire”.

– Mówi, że dziś to zrobi – powiedział Barbaresco.

Melancholijna twarz jego kolegi jakby się nieco ożywiła. Pokiwał aprobuszająco, odłożył tygodnik na stół i w formie propozycji wskazał ruchem

głowy na dzbanek z kawą, oliwę i talerz z resztkami tostów. Max odmówił, rozpinając płaszcz. Przez otwarte okno wpadała sina jasność, która pozostawiała w mroku kąty pokoju. Barbaresco zdjął prochowiec i wyjrzał przez okno obramowany tym mętным światłem.

– Co słyhać u pana hiszpańskiego przyjaciela? – zapytał, rozglądając się przez okno.

– Ani nie jest moim przyjacielem, ani nie widziałem go potem – odparł Max spokojnie.

– Od czasu spotkania w porcie?

– Właśnie.

Włoch powiesił swój prochowiec na oparciu krzesła obojętny na to, że spływająca z niego woda tworzyła na parkiecie kałuże.

– Dokonaliśmy pewnych ustaleń – powiedział. – Wszystko, co panu powiedział, jest prawdą: radiostacja, którą mają w Monte Carlo, próba uprowadzenia Luciano Canfory do jednego z portów republikańskich... Nie możemy tylko ustalić, na razie, jego prawdziwej tożsamości. Nasze służby nie mają w archiwach żadnego Rafaela Mostazy.

Max przybrał neutralną minę. Niczym niewzruszony krupier.

– Myślę, że możecie go śledzić. Sam nie wiem... Może zrobić mu zdjęcie.

– Być może tak zrobimy. – Barbaresco dziwnie się uśmiechał. – W tym celu jednak musimy wiedzieć, kiedy znów się z panem spotka.

– Nie mamy niczego zaplanowanego. Pojawia się albo mnie wzywa, kiedy chce. Ostatnio zrobił to za pośrednictwem listu zostawionego w recepcji hotelu Negresco.

Włoch spojrział na niego zaskoczony.

– Ale nie wie, że wejdzie pan dziś do domu Susany Ferriol?

- Wie, ale nawet tego nie skomentował.
- W takim razie w jaki sposób zamierza dostać te dokumenty?
- Nie mam pojęcia.

Włoch wymienił niepewne spojrzenie ze swoim kolegą i znów popatrzył na Maxa.

– To ciekawe, prawda? Wcale mu nie przeszkadza to, że wszystko nam pan opowiada. A nawet zachęca pana do tego. I dziś się nie pojawił.

– Może i tak – zgodził się Max. – Jednak nie mnie to oceniać. To wy, panowie, jesteście szpiegami.

Wyjął papierośnicę, otworzył ją i przyglądał się papierosom, jakby wybór któregoś z nich miał w tej chwili zasadnicze znaczenie. Wreszcie zdecydował się włożyć jednego do ust i schował papierośnicę, nie częstując ich.

– Zakładam, że znacie się na swojej robocie – stwierdził, uruchamiając zapalniczkę.

Barbaresco podszedł znów do okna, jego sylwetka odcinała się na jego tle, i obserwował otoczenie. Wyglądał na zmartwionego. Z nowymi powodami do niepokoju.

- To nie jest normalne, oczywiście. Żeby odkrywać karty w ten sposób.
- Może chce pana chronić – zasugerował jego towarzysz.
- Mnie? Przed kim?

Domenico Tignanella przyglądał się ponuro owłosieniu na swoich przedramionach. Znów milczący, jakby wysiłek otwarcia ust całkowicie go wyczerpał.

– Przed nami – odrzekł Barbaresco ze swojego miejsca. – Przed swoimi ludźmi. Albo przed samym panem.

– Jak już panowie to ustalicie, poinformujcie mnie. – Max wypuścił spokojnie kłąb dymu. – Ja mam inne sprawy do roztrząsania.

Włoch usiadł na jednym z foteli. Zamyślony.

– Nikt nam nie wytnie żadnego numeru, prawda? – odezwał się w końcu.

– Ma pan na myśli mnie czy Mostazę?

– Pana, naturalnie.

– Proszę mi powiedzieć jak. Nie mam wyboru. Gdybym jednak był na waszym miejscu, starałbym się go odszukać. I wszystko z nim wyjaśnić.

Barbaresco wymienił kolejne spojrzenie ze swoim towarzyszem. Potem skierował pełen żalu wzrok na garnitur widoczny pod rozpiętym płaszczem Maxa.

– Wszystko wyjaśnić... Brzmi to elegancko w pańskich ustach.

Ci dwaj, w swoich pomiętych ubraniach, ze śladami zmęczenia pod zaczerwienionymi oczami, niestarannie ogoleni, wyglądali, jakby zawsze pojawiali się po nieprzespanej nocy. I prawdopodobnie tak właśnie było.

– I tu zbliżamy się do spraw najważniejszych – dodał Barbaresco. – Jak pan zamierza dostać się do tego domu?

Max spojrział na mokre buty Włocha, z podeszwami spękanyymi na czubkach. Przy tym deszczu jego skarpetki musiały być jak gąbka.

– To już moja sprawa – odparł. – Muszę tylko wiedzieć, gdzie się spotkamy, żebym mógł oddać panom listy, jeśli uda mi się je zdobyć. Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

– Tutaj jest odpowiednie miejsce. Będziemy całą noc czekać na pana. W barze na dole jest telefon. Jeden z nas może tam zostać, dopóki nie zamkną, na wypadek gdyby zaszły jakieś zmiany albo zdarzyło się coś nieprzewidzianego... Dostanie się pan do willi bez problemów?

– Sądzę, że tak. W Cimiez jest wydawana kolacja, w pobliżu dawnego hotelu Régina. Susana Ferriol jest jednym z gości. To daje mi całkiem sporo czasu.

– Ma pan wszystko, czego panu potrzeba?

– Wszystko. Ten pęk kluczy przywieziony przez Fossatara jest doskonały.

Tignanello podniósł powoli wzrok i utkwiał go w Maksie.

– Chciałbym widzieć, jak pan to robi – powiedział nieoczekiwanie. – Jak pan otwiera ten sejf.

Max uniósł brwi zaskoczony. Błysk zainteresowania rozświetlał ponurą południową twarz Włocha. Wyglądał niemal sympatycznie.

– Mnie też – potwierdził jego towarzysz – mówił Fossataro, że jest pan w tym dobry... Spokojny i opanowany, to były jego słowa. Z sejfami i z kobietami.

Coś mu przypominali, stwierdził w duchu Max. Ci dwaj przywodzili mu na myśl jakiś obraz, który ciągle pozostawał mglisty. Odbijający ich wygląd i sposób bycia. Nie był jednak w stanie zobaczyć go wyraźnie.

– Znudziłoby panów patrzenie – powiedział. – I jedno, i drugie wymaga pracy powolnej i rutynowej. Wymaga cierpliwości.

Na twarzy Barbaresca pojawił się uśmiech. Doceniał taką odpowiedź.

– Życzymy panu szczęścia, panie Costa.

Max spojrzał na nich przeciągle. Wreszcie odkrył, o jaki obraz mu chodziło: zmokłe psy na deszczu.

– Myślę, że to prawda. – Znów wyjął z kieszeni papierośnicę, otworzył ją i poczęstował ich. – Że mi go życzycie.

Pojawia się po południu, kiedy Max przygotowuje sprzęt na nocną wyprawę. Kiedy słyszy pukanie, spogląda przez wizjer, wkłada marynarkę

i otwiera drzwi, a Mecha Inzunza stoi tam z uśmiechem na ustach, z rękami w kieszeniach dzianinowej tuniki. Jej widok, jakby nie upłynęło tak wiele czasu – choć może to Maxowi miesza się przeszłość i teraźniejszość – przywołuje wspomnienie tamtego dalekiego poranka przed niemal czterdziestu laty, w pensjonacie Caboto w Buenos Aires, kiedy przyszła do niego pod pretekstem odebrania rękawiczki, którą włożyła do kieszonki jego marynarki, na kształt dość niesamowitego białego kwiatu, zanim wyszedł tańczyć tango w La Ferroviarii. Nawet sposób, w jaki weszła i poruszała się po jego pokoju – spokojna, ciekawa, obserwująca wszystko powoli – przypomina tamto zachowanie, przechylenie głowy podczas oglądania skromnego i uporządkowanego świata Maxa, zatrzymanie się przed otwartym oknem wychodzącym na pejzaż Sorrento, gasnący uśmiech na ustach na widok przedmiotów, które on, z metodyczną drobiazgowością żołnierza przygotowującego sprzęt przed bitwą – swoją drogą, poprzez ten stary rytuał wojenny znów poczuł, z wątpliwą przyjemnością, dreszcz niepokoju przed nadchodzącą akcją – rozłożył na łóżku: mały, lekki plecak, elektryczna latarka, nylonowa żyłka alpinistyczna długości trzydziestu metrów, z zawiązanymi już węzłami, torba z narzędziami, ciemne ubranie i sportowe buty, które tego popołudnia zabarwił na czarno buteleczką pasty.

– O mój Boże – odzywa się Mecha. – Ty rzeczywiście to zrobisz.

Powiedziała to w zamyśleniu zafascynowana, jakby do tej chwili absolutnie nie wierzyła w obietnice Maxa.

– Pewnie – odpowiada zwyczajnie.

Nie ma żadnego udawania, niczego sztucznego w tonie jego głosu. Nie stara się też stroić bohaterskich min. Od kiedy podjął decyzję i znalazł – lub sądził, że znalazł – metodę, jak to zrobić, pozostaje w stanie wewnętrznego spokoju. Technicznego fatalizmu. Stare przyzwyczajenie, gesty powtarzane w minionych czasach, łączące się z młodością i siłą, przywróciły mu

w ostatnich godzinach nadzwyczajną pewność siebie. Miły spokój, dawny, odnowiony, w którym ryzyko przygody, niebezpieczeństwa pomyłki lub fatalnego przypadku rozmywają się wobec intensywności tego, co nieuchronne. Mecha Inzunza, Jorge Keller ani nawet szachowa książka Michaiła Sokołowa nie zajmują głównego miejsca w jego myślach. Tym, co się teraz liczy, jest wyzwanie, jakie Max Costa – czy ten ktoś, kim był w dawnych czasach – rzuca postarzałej twarzy siwowłosego mężczyzny, którego czasami ogląda w lustrze.

Kobieta przygląda mu się uważnie. Nowym spojrzeniem, ma wrażenie Max. Czy spojrzeniem, które, jak sądził, już nie było możliwe.

– Partia zaczyna się o szóstej – mówi w końcu. – Będziesz miał dwie godziny ciemności, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Przy odrobinie szczęścia może i więcej.

– Ale może też mniej?

– Może.

– Czy twój syn wie, że to zrobię?

– Nie.

– A Karapetian?

– Też nie.

– A co z Iriną?

– Wspólnie z nią przygotowali otwarcie, które nie zostanie wykonane, albo nie całkiem. Rosjanie będą uważać, że Jorge zmienił plan w ostatniej chwili.

– Nie będą niczego podejrzewali?

– Nie.

Kobieta dotyka linki górskiej, jakby nagle dostrzegła możliwość niezwykłych sytuacji, jakich wcześniej sobie nie wyobrażała. Nagle wydaje

się zaniepokojona.

– Max, posłuchaj... To, co przed chwilą powiedziałeś, to prawda. Partia może skończyć się wcześniej, niż przewidujemy. Jakiś niespodziewany remis, z powodu wiecznego szacha, albo porzucenie rozgrywki... To naraziłoby cię na ryzyko, że będziesz tam jeszcze, kiedy wrócą Sokołow i jego ludzie.

– Rozumiem.

Mecha wydaje się wahać jeszcze bardziej.

– Jeśli zobaczysz, że sprawy się komplikują, zapomnij o książce – mówi na koniec. – Zniknij stamtąd najszybciej, jak to możliwe.

Max patrzy na nią z wdzięcznością. Cieszy się, że usłyszał te słowa. Tym razem jego duch starego komedianta sprawia, że przybiera odpowiednią, stoicką minę.

– Mam nadzieję, że będzie to długa partia – mówi. – Z analizą *post mortem*, jak to nazywacie.

Kobieta przygląda się torbie z narzędziami. Jest w niej jakieś pół tuzina potrzebnych przyrządów, łącznie z diamentowym nożem do cięcia szyb.

– Dlaczego to robisz, Max?

– To mój syn – mówi bez namysłu. – Sama mi powiedziałaś.

– Kłamiesz. Nic cię nie obchodzi, czy jest twoim synem czy nie.

– Może jestem ci to winien.

– Winien? Ty?

– Być może kiedyś cię kochałem.

– W Nicei?

– Zawsze.

– W dziwny sposób, drogi przyjacielu... Dziwny i wtedy, i teraz.

Mecha usiadła na łóżku, obok sprzętu Maxa. Nagle on czuje potrzebę, żeby wyjaśnić wszystko to, co ona wie aż nadto dobrze. Pozwolić sobie, by pojawiły się pewne dawne pretensje.

– Nigdy nie zastanawiałaś się, jak widzą świat ludzie bez pieniędzy, prawda? Jak otwierają każdego ranka oczy i stawiają czoło życiu.

Patrzy na niego zaskoczona. W głosie Maxa nie ma szorstkości, tylko zimna, obiektywna pewność.

– Nigdy nie czułaś pokusy – ciągnie dalej Max – żeby wydać prywatną wojnę tym, którzy śpią spokojnie, nie martwiąc się, co będą jutro jedli... Tym, którzy się zbliżają, kiedy człowiek jest im potrzebny, wynoszą cię na piedestał, a potem nie pozwalają, żebyś mógł stać z podniesionym czołem.

Max podszedł do okna i wskazuje pejzaż Sorrento, luksusowe wille wznoszące się pośród zieleni przylądka Capo.

– Miałem taką pokusę – dodaje. – Były takie czasy, kiedy sądziłem, że mogę wygrać. Nie być więcej ogrywanym w czasie toczącego się, absurdalnego karnawału... Dotykać skóry dobrej jakości na siedzeniach w luksusowych samochodach, pić szampana z kieliszków z delikatnego kryształu, pieścić piękne kobiety... To wszystko, co ty i twoi dwaj mężowie mieliście od samego początku, za sprawą zwykłego, głupiego przypadku.

Przerywa na chwilę i spogląda na nią. Z tego miejsca, w tym świetle, kiedy tak siedzi na łóżku, wydaje się niemal piękna, znowu.

– Dlatego nigdy nie miało znaczenia, czy cię kochałem czy nie.

– Dla mnie miałyby to znaczenie.

– Mogłaś sobie pozwolić na taki luksus. Kolejny z wielu. A ja musiałem martwić się innymi rzeczami. Miłość nie była sprawą najpilniejszą.

– A teraz?

Podchodzi do niej zrezygnowany.

– Mówiłem ci kilka dni temu. Przegrałem. Mam teraz sześćdziesiąt cztery lata, jestem zmęczony i boję się.

– Rozumiem... Tak, naturalnie. Robisz to dla siebie. Z tej samej przyczyny, dla której zamieszkałeś w tym hotelu. Nawet ja nie jestem tak naprawdę powodem.

Max usiadł przy kobiecie na krawędzi łóżka.

– Właśnie ty jesteś – protestuje. – Może w sposób pośredni. To, jaka byłaś, i to, jacy byliśmy... Kim byłem.

Kobieta patrzy na niego niemal ze słodyczą w spojrzeniu.

– Jak żyłeś przez te lata?

– Lata klęski?... W stałym, powolnym odwróceniu, aż do miejsca gdzie jestem. Niczym pokonane wojsko, które jeszcze walczy, wycofując się i ginąc.

Przez chwilę Max z przyzwyczajenia ma ochotę dodać do tych słów bohaterski półuśmiezek; jednak rezygnuje z tego. To zbędne. Swoją drogą, wszystko, co powiedział, to prawda. I wie, że ona wie o tym.

– Po wojnie miałem dobry okres – kontynuuje. – Wszędzie można było robić interesy, odbudowa, nowe możliwości. Ale to był tylko miraż. Na scenie pojawił się inny typ ludzi. Inny rodzaj sukinsynów. Nie byli lepsi, ale bardziej prostacy. Właściwie opłacało się być chamem, w pewnych miejscach... Przystosowanie kosztowało mnie dużo wysiłku, popełniłem sporo błędów. Zaufałem ludziom, którym ufać nie powinienem.

– Trafiłeś do więzienia?

– Tak, ale nie miało to znaczenia. To mój świat zniknął. Albo raczej już zniknął, kiedy dopiero zaczynałem dotykać go opuszkami palców. A ja nie zdałem sobie z tego sprawy.

Mówi jeszcze trochę o tym, siedząc blisko kobiety, która słucha go uważnie. Dziesięć czy piętnaście lat streszczonych w niewielu słowach,

obiektywne, zwięzłe streszczenie zmiernych. Rządy komunistyczne, dodaje, skończyły ze starymi, znanymi sceneriami w Europie Środkowej i na Bałkanach, próbował więc szczęścia w Hiszpanii i Ameryce Południowej, jednak bez sukcesu. Kolejną szansę spotkał w Stambule, gdzie wszedł w spółkę z pewnym właścicielem barów, kawiarni i kabaretów, choć to też nie skończyło się dobrze. Potem przez jakiś czas mieszkał w Rzymie, jako dojrzały towarzysz pań; był kimś w rodzaju eleganckiego haczyka na amerykańskie turystki i zagraniczne aktorki, bez specjalnego znaczenia: Strega i Doney na via Veneto, restauracja Da Fortunato przy Panteonie, Rugantino na Trastévere, albo towarzyszył im podczas zakupów na via Condotti, na procent od sprzedaży.

– Ostatni łut szczęścia spotkał mnie przed kilkoma laty, w Portofino – stwierdza. – Czy raczej sądziłem, że mnie spotkał. Udało mi się zdobyć trzy i pół miliona lirów.

– Od kobiety?

– Zdobyłem je, niech to wystarczy. Dwa dni później przyjechałem do Monte Carlo, zamieszkałem w tanim hotelu. Miałem przecucie. Tego samego wieczoru poszedłem do kasyna i napełniłem sobie kieszenie sztonami. Zacząłem wygrywać i chciałem pójść ostro. Następnym dwanaście kolejek nie trafiłem ani razu i wstałem od stolika, drżąc cały.

Mecha obserwuje go uważnie. Zaskoczona.

– Wszystko wtedy straciłeś?

Na pomoc Maxowi przychodzi stary uśmiech światowca, rozmarzony i porozumiewawczy równocześnie.

– Zostały mi jeszcze dwa sztony na piętnaście tysięcy franków, przeszedłem więc do ruletki w innej sali, żeby cokolwiek odzyskać. Kulka już się kręciła, a ja stałem ze sztonami w ręce, nie mogąc się zdecydować.

Wreszcie podjąłem decyzję, i w ten sposób zostawiłem tam wszystko... Sześć miesięcy później byłem w Sorrento, pracując jako szofer.

Uśmiech powoli zniknął mu z twarzy. Teraz jego wargi mrozi wyraz bezgranicznej rozpacz.

– Jestem zmęczony, powiedziałem ci wcześniej. Ale nie mówiłem jak bardzo.

– Powiedziałaś też, że się boisz.

– Dziś boję się mniej. Albo tak mi się wydaje.

– Wiesz, że twój wiek odpowiada dokładnie ilości pól na szachownicy?

– Nie wpadłem na to.

– Taka jest prawda. Jak ci się wydaje? To może być dobry znak?

– Albo i zły. Jak w mojej opowieści o ostatniej ruletce.

Mecha przez chwilę milczy. Potem pochyla głowę, przygląda się swoim dłoniom poplamionym przez czas.

– Kiedyś, w Buenos Aires, piętnaście lat temu, zobaczyłam mężczyznę, który bardzo cię przypominał. Miał taki sam chód i gesty. Siedział w barze hotelu Alvear z przyjaciółmi, widziałam, jak wysiadał z windy... Zaskakując wszystkich, chwyciłam płaszcz i pobiegłam za nim. Przez piętnaście minut naprawdę myślałam, że to ty. Poszłam za nim aż na Recoletę i zobaczyłam, jak wchodzi do La Biela, kawiarni kierowców rajdowych, znajdującej się tam na rogu. Weszłam za nim. Siedział przy jednym z okien, a kiedy się zbliżałam, podniósł wzrok i spojrzał na mnie... Od razu zrozumiałam, że to nie ty. Minęłam jego stół dużym łukiem, wyszłam drugim wejściem i wróciłam do hotelu.

– To wszystko?

– To wszystko. Choć myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi.

Patrzę na siebie z bliska, z pełną spokojną intensywnością. W innych czasach i w jakimś poprzednim życiu, myśli Max, stalibyśmy oparci o elegancki bar i byłaby to właściwa chwila, żeby zamówić kolejnego drinka albo żeby się pocałować. Ona go całuje. Bardzo delikatnie, powoli zbliżając twarz. W policzek.

– Uważaj na siebie dziś w nocy, Max.

Łuk elektrycznych świateł na Promenadzie Anglików oddalał się powoli we wstecznym lusterku, wyznaczając granicę ciemnej mgły nad Zatoką Nicejską. Kiedy minął Lazareto i La Réserve, Max zatrzymał samochód w punkcie widokowym nad morzem, wyłączył wycieraczki i zgasił reflektory. Deszcz padający pomiędzy koronami sosen odbijał się od składanego dachu peugeota 201, którego wynajął bez kierowcy tego popołudnia. Sprawdziwszy godzinę na ręcznym zegarku przy świetle zapałki, pozostał nieruchomo, paląc papierosa, podczas gdy jego wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Droga otaczająca wzgórze Boron była całkiem pusta.

Wreszcie się zdecydował. Wyrzucił papierosa i wysiadł z samochodu z ciężką torbą z narzędziami zawieszoną na ramieniu i z paczką pod pachą, w kapeluszu ociekającym deszczem, zapinając pod szyją gumowany ciemny prochowiec nałożony na całkiem czarne ubranie, sweter i spodnie, poza butami Keds z gumową podeszwą, zazwyczaj bardzo wygodnymi, które jednak przemokły po kilku pierwszych krokach. Szedł drogą zgięty, osłaniając się przed deszczem; dochodząc w pobliże rezydencji rysujących się w ciemności, stanął, żeby się zorientować w terenie. W pobliżu był tylko jeden punkt światła – wilgotny krąg elektrycznej latarni zapalanej przed domem o wysokich murach. Żeby go ominąć, zszedł z drogi i ruszył ścieżką wijącą się pomiędzy opuncjami i krzakami, rękami starając się badać przestrzeń tak, żeby nie postawić fałszywego kroku i nie wpaść do

wody uderzającej w skalisty klif poniżej jego stóp. Dwukrotnie wbił sobie kolce opuncji w palce i ssąc rany, poczuł smak krwi. Deszcz bardzo mu przeszkadzał, ale kiedy porzucił ścieżkę i wrócił na drogę, stał się nieco rzadszy. Teraz światło pozostawało w tyle, słabo oświetlało róg kamiennego muru. A trzydzieści kroków przed nim wznosił się pogrążony w mroku dom Susany Ferriol.

Uklęknął przy murze z cegieł, pod ciemnymi sylwetkami palm. Rozwinął paczkę, zawierającą gruby wełniany koc, przypasał do siebie koc i torbę, żeby mu nie przeszkadzały i wspiął się po wilgotnym pniu. Odległość między drzewem i murem była nie większa niż metr, jednak zanim ją pokonał, zarzucił złożony koc na wierzch muru najeżonego kawałkami potłuczonych butelek. Następnie skoczył tam, poczuł pod kocem szklane krawędzie, teraz już nieszkodliwe, i upadł na drugą stronę, tocząc się, żeby rozłżyć siłę uderzenia i nie uszkodzić sobie nóg. Podniósł się, cały umoczony, strzepał z siebie wodę i błoto. Słabe światło błyskało w oddali, pomiędzy drzewami i roślinami w ogrodzie, oświetlając żelazną bramę wychodzącą na drogę, budkę strażnika i żwirową ścieżkę prowadzącą ku okrągłemu klombowi przed głównym wejściem. Trzymając się z dala od tej oświetlonej przestrzeni, Max obszedł dom od tyłu. Szedł ostrożnie, nie chciał robić hałasu, pluskając w kałużach czy potykając się o kwietniki i donice z roślinami. Z tym deszczem i błotem, pomyślał, wszędzie zostawię ślady, na zewnątrz i wewnątrz domu, łącznie ze śladami opon peugeota na pobliskim punkcie widokowym. Ciągłe myśląc o tym z niepokojem, zdejmował płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz, chowając je pod niewielkim daszkiem pod oknem, przez które zamierzał się włamać. I choćby Susana Ferriol długo zwlekała z powrotem z kolacji w Cimiez, z pewnością zauważy w domu ślady jego wtargnięcia. Jednak przy odrobinie

szczęścia, kiedy pojawi się policja, żeby zbadać wszystkie ślady, on będzie już daleko stąd.

W Sorrento zaczynała zapadać noc. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i to sprzyja planom Maxa. Wychodzi ze swojego pokoju w hotelu Vittoria z dużą torbą podróżną w ręku i w marynarce od garnituru na ciemnym ubraniu. Dyżurny recepcjonista, zajęty rozkładaniem korespondencji do odpowiednich przegródek, niemal go nie zauważa. Hol i schody prowadzące do ogrodu wyglądają na puste, uwaga wszystkich skupiona jest na partii szachów, którą rozgrywają Keller i Sokołow w salonie hotelowym. Już na zewnątrz Max mija furgonetkę RAI, dociera do ogrodu i swobodnie oddala się drogą prowadzącą do ogrodzenia i placu Tasso. W połowie drogi, kiedy widzi już światła samochodów i latarnie placu, schodzi na bok, poszukując altany, z której dwa dni wcześniej obserwował apartamenty zajmowane przez rosyjską delegację. Teraz budynek jest niemal pogrążony w ciemności, widać tylko latarnię zapaloną nad głównym wejściem i jedno oświetlone okno na drugim piętrze.

Jego serce tłucze się z trudem, zbyt szybko. Jest roztrzęsiony, jakby wypił dziesięć kaw. W rzeczywistości wziął pół godziny wcześniej dwie tabletki amfetaminy, kupione bez recepty, ale za to z odpowiednio szanownym uśmiechem, w jednej z aptek przy corso Italia, przekonany, że w najbliższych godzinach nie zaszkodzi mu zachowanie dodatkowych rezerw energii i jasności umysłu. Mimo to, oddychając głęboko i nieruchomo wyczekując, stara się uspokoić bicie serca. Otaczająca go ciemność, wyzwanie tego, czego się podjął, pewność, że wiek uciska jego oskrzela i utwardza arterie, sprowadzają na niego niepokój, jest bliski omdlenia. Czuje niepewność graniczącą ze zwykłym strachem. W samotności, pośród cieni w ogrodzie, każdy z zaplanowanych kroków wydaje mu się teraz czymś niemożliwym. Przez chwilę stoi bez ruchu

przytłoczony, aż wreszcie nierówny rytm serca wydaje się nieco uspokajać. Trzeba podjąć decyzję, myśli w końcu. Cofnąć się albo iść naprzód. Bo nie ma zbyt wiele czasu. Zrezygnowanym ruchem otwiera suwak torby i wyjmuje plecak, który ma w środku; otwiera go i zdejmuje zwykłe buty, żeby zastąpić je tenisówkami uczernionymi pastą. Zdejmuje też marynarkę i ukrywa ją wśród krzaków. Jest teraz ubrany całkiem na czarno, ukrywa też jasną plamę siwych włosów, zawiązując na głowie chustkę z ciemnego jedwabiu. W pasie robi pętlę z nylonowej linki stalowym karabińczykiem, żeby zabezpieczyć się na wypadek zmęczenia podczas wchodzenia. Muszę naprawdę żałośnie wyglądać, myśli z sarkastyczną miną. Żeby w moim wieku udawać wyborowego włamywacza! Święty Boże. Gdyby tak zobaczył doktor Hugentobler, jak jego szanowny szofer wdrapuje się po ścianach! Potem, zdając się na to, co zdarzyć się musi, wkłada plecak na ramiona, rozgląda się w jedną i w drugą stronę, wychodzi z altany i zbliża się do budynku, starając się nie opuszczać głębokiego cienia rzucanego przez drzewka cytrynowe i palmy. Nagle światła samochodu, który wjechał do ogrodu i kieruje się w stronę głównego budynku hotelowego, oświetlają jego postać w krzakach. To sprawia, że cofa się w dający schronienie mrok. Chwilę później, znów w ciemności, wychodzi z ukrycia i dociera do budynku Rosjan. Tam, u stóp ściany, ciemność jest kompletna. Po omacku Max szuka pierwszego żelaznego stopnia. Kiedy go znajduje, poprawia plecak na ramionach i opierając stopy o ścianę, bardzo powoli, odpoczywając na każdym stopniu, starając się nie czynić żadnego dodatkowego wysiłku, który mógłby wyczerpać jego siły, wchodzi na dach.

W Nicei sejf schützling – wielki, pomalowany na brązowo – był dokładnie taki, jak go opisał Enrico Fossataro. Stał w mahoniowej szafie na jednej ze ścian biura, oparty na ziemi i otoczony przez półki z książkami, segregatorami i teczkami. Jego wygląd był imponujący: ślepa stalowa tafla,

bez zamków ani widocznych pierścieni. Max przyjrzał się jej przez chwilę w snopie światła elektrycznej latarki. Przy cokole sejfu leżał gruby dywan we wschodnie wzory, to bardzo dobrze, pomyślał, dywan zamortyzuje metaliczny dźwięk kluczy, kiedy będę musiał próbować je jeden po drugim. Skierował światło na zegarek na nadgarstku i sprawdził godzinę. To będzie powolna praca, wymagająca delikatnego dotyku i ogromnej cierpliwości. Znowu poruszył latarką, żeby oświetlić ślady wody i błota, wyznaczające na parkiecie i na dywanie drogę od okna, które z powrotem zamknął, po wcześniejszym otwarciu przy użyciu śrubokręta. Tyle brudu było kłopotem, choć na szczęście okno to należało do gabinetu i wszystko, łącznie ze śladami, znajdowało się w tym samym pokoju. Nie będzie problemu, jak długo drzwi wychodzące na bibliotekę pozostaną zamknięte. Podszedł więc do nich i ostrożnie upewnił się, że są zamknięte na klucz.

Pozostał bez ruchu, ze skupioną uwagą jakieś pół minuty, aż jego tętno rozsadzające skronie uspokoiło się i zaczął wyraźniej wszystko słyszeć. Szum deszczu zagłuszy część hałasu, jaki mógłby spowodować, otwierając sejf, ale równocześnie może też ukryć przed nim, do chwili kiedy będzie już zbyt późno, inne dźwięki, które by go zaalarmowały, gdyby ktoś zbliżał się do gabinetu. W każdym razie o tej porze ryzyko było minimalne: kucharka i ogrodnik spali poza domem, guwernantka odpoczywała na górnym piętrze, a szofer musiał być za kierownicą samochodu, czekając na Susanę Ferriol w Cimiez. Tylko pokojówka powinna być na parterze, oczekując powrotu swojej pani. Zazwyczaj pozostawała, zgodnie z informacjami zdobytymi przez Maxa, w pokoju przylegającym do kuchni, słuchając radia.

Zdjął kapelusz i prochowiec, położył torbę z narzędziami na dywanie i dotknął zimnego metalu kasy pancernej. Sejfy Schützlinga nie miały widocznych mechanizmów zamykających, były one ukryte pod obudową

okalającą drzwiczki jakby ramą. Przy odpowiednim ucisku część ramy przesunęła się, odsłaniając mechanizm: cztery zamki na klucz ustawione pionowo, pierwszy konwencjonalny, pozostałe z kombinacjami liczników. Max musiał najpierw otworzyć trzy dolne zamki, a to wymagało czasu. Zabrał się więc do roboty. Umieścił odpowiednio latarkę, wybrał jeden z kluczy z pęku, jaki miał w torbie z narzędziami, i zaczął sprawdzać, próbując ten sam klucz w każdym z trzech zamków – który z nich najbardziej śpiewał, który był najwrażliwszy i najintensywniej przekazywał brzmienia mechanizmu. Mokre spodnie i buty powodowały, że cały trząsał się z zimna, co mu przeszkadzało, na dodatek dłonie, pokaleczone po drodze kolcami opuncji, długo nie mogły wrócić do właściwego stanu. Po wypróbowaniu w każdym liczniku pozycji od 0 do 19, zdecydował zacząć od tego na dole. Następnie przekręcał klucz po trosze z lewej strony w prawo i powtórzył operację z pozostałymi dwoma licznikami. Kiedy już ustalił sektory, w których prawdopodobnie znajdowały się właściwe ustawienia, powrócił do pierwszego licznika. Teraz wszystko wymagało już większej precyzji, a pokaleczone palce przeszkadzały mu, od czasu do czasu brudził klucz krwią. To też go opóźniało, przeklinał siebie w duchu, że na dworze nie używał rękawiczek – zauważenie tych niemal niewyczuwalnych wibracji wymagało bardzo czułego dotyku. Wreszcie ustawił pierwszą tarczę na otwierającym numerze, i kiedy na niego trafił, znów spojrzął na zegarek. Dwadzieścia cztery minuty na najtrudniejszy element. Enrico Fossataro potrzebowałby trzeciej części tego czasu, ale wszystko szło lepiej, niż przewidywał. Z uśmiechem satysfakcji rozprostował na chwilę palce, pomasażował obolałe opuszki i wprowadził klucz do drugiego licznika. Kwadrans później wszystkie trzy tarcze były ustawione we właściwych pozycjach. Wtedy zgasił latarkę i zatrzymał się, żeby odpocząć. Leżąc na plecach na dywanie, pozostał tak kilka minut,

wsluchując się w ciszę panującą w domu. W tym czasie starał się nie myśleć o niczym poza sejfem stojącym tuż obok. Szum deszczu ustał na zewnątrz i wewnątrz nikt się nie poruszał. Z przyjemnością zapaliłby papierosa, ale nie był to odpowiedni moment. Wstając z westchnieniem, roztarł nogi ściernięte z zimna w mokrych spodniach i butach i wrócił do roboty.

Teraz najważniejsza była cierpliwość. Jeśli klucze były właściwe, to pomiędzy tymi stu trzydziestoma przywiezionymi przez Fossatara do Nicei znajduje się ten, który otwiera zamek znajdujący się na licznikach. Żeby go odnaleźć, najpierw trzeba było ustalić, do której grupy należy, a potem wypróbować wszystkie z tej grupy, jeden po drugim. To oznaczało, że będzie potrzebował czasu mniej więcej między jedną minutą a godziną. Max znów spojrzął na zegarek. Jeśli nie będzie komplikacji, dysponował rozsądnym marginesem czasu. Zaczął więc wkładać klucze.

Zamek zadziałał przy kluczu numer 107, niemal pół godziny później. Dał się słyszeć lekki trzask mechanizmów poniżej, a kiedy Max pociągnął do siebie ciężkie drzwiczki, te otwarły się z cichą łatwością. Snop światła latarki elektrycznej oświetlił półki z pudełkami z grubego kartonu oraz teczkami. W pudełkach było nieco biżuterii i pieniądze, w teczkach – dokumenty. Całą uwagę skupił na tych ostatnich. Barbaresco i Tignanella pokazali mu listy podobne do tych, których szukał, z oficjalnym nagłówkiem włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, po to by mógł je rozpoznać. Odnalazł je w jednej z teczek: trzy listy napisane na maszynie, włożone do papierowych kopert, z datami i numerami kancelaryjnymi. Zbliżając do nich latarkę, sprawdził nagłówki, tekst i podpisy, a także ich opisy, napisane na maszynie – G. Ciano. Chodzi o te listy, nie było wątpliwości. Skierowane do Tomasa Ferriola, z datami 20 lipca, 1 i 14 sierpnia 1936 roku.

Wyjął listy, a teczkę odłożył na miejsce. Barbaresco i Tignanello mówili mu, żeby starał się zostawić wszystko tak, jak zastał, żeby Ferriolowie nie od razu zdali sobie sprawę, co zginęło. A nawet, zanim wszystko otworzył, Max zanotował pozycje tarcz liczników, żeby po zamknięciu sejfu ustawić je tak jak były na początku – niektórzy właściciele sprawdzali te pozycje przed otwarciem sejfu. Teraz jednak, kiedy poruszał snopem światła latarki po gabinecie, po sforsowanym oknie i widocznych wszędzie śladach wody i błota, zrozumiał, że nie jest możliwe ukrycie włamania. Potrzebowałby wielu godzin, żeby wszystko posprzątać, nie miał też czym tego zrobić. No i czas mu się kończył. Susana Ferriol mogła już zaczynać żegnać się z gospodarzami w Cimiez.

Kartonowe pudła nie zawierały niczego specjalnego. W jednym było trzydzieści tysięcy franków i gruby plik banknotów hiszpańskiej Republiki, które w odróżnieniu od banknotów drukowanych w strefie narodowej, miały coraz mniejszą wartość. Co do klejnotów, Max zrozumiał, że Susana Ferriol musiała mieć inny sejf w swojej sypialni, bo w schützlingu schowanych było tylko kilka przedmiotów: złote puzderko, kieszonkowy zegarek myśliwski Losada, szpilka do krawatu z dużą perłą. A także futerał z pięćdziesięcioma złotymi funtami szterlingami i stara broszka w kształcie ważki, ze szmaragdami, rubinami i szafirami. Z miną pełną wątpliwości Max ponownie oświetlił wszystkie ślady, jakie pozostawił w gabinecie. Wszystko jedno, pomyślał, w tym stanie rzeczy i o tej porze. Broszka i monety były towarem niebezpiecznym, łatwo rozpoznawalnym, gdyby policja złapała go z nimi. Ale pieniądze to tylko pieniądze. Ich ślad ginął, kiedy przechodziły z rąk do rąk: nie miały cech charakterystycznych ani innego właściciela niż ten, kto je nosił przy sobie. Zatem przed zamknięciem sejfu, starciem śladów ściereczką i schowaniem narzędzi zabrał trzydzieści tysięcy franków.

Niebo jest rozgwieżdżone. Nocny widok Sorrento i zatoki jest wspaniały z dachu budynku mieszkalnego, Max jednak nie jest w położeniu pozwalającym mu na rozkoszowanie się pejzażami. Zmęczony po wysiłku, nadwerżony dźwiganiem plecaka, leży przy brzegu dachu, starając się odzyskać równy oddech. W dali za rozświetlonymi oknami budynków hotelu Vittoria morze stanowi ogromną ciemną plamę, nakrapianą maleńkimi światełkami, wyznaczającymi linię brzegu w stronę odległego blasku nad Neapolem.

Odsapnąwszy chwilę, z nieco uspokojonym szalonym pulsowaniem krwi w sercu – tej nocy gratuluje sobie bardziej niż kiedykolwiek, że jedenaście lat wcześniej rzucił palenie – Max rusza przed siebie. Zdejmuje plecak, wyjmuje z niego linkę alpinistyczną z węzłami co pół metra i szuka jakiegoś solidnego oparcia, gdzie mógłby ją napiąć. Słaby blask niedalekich świateł hotelowych pozwala mu się dość pewnie poruszać podczas poznawania dachu, tak żeby się nie potknąć i nie spaść. Wreszcie mocuje linkę do cementowej podstawy piorunochronu i dla bezpieczeństwa okręca ją o metalową rurkę na kominie. Potem znów wkłada plecak na ramiona, liczy sześć kroków w lewo i leżąc na brzegu oraz trzymając jedną ręką linkę, patrzy w dół. Sześć, siedem metrów niżej, dokładnie pionowo pod miejscem gdzie się znajduje, jest pokój rosyjskiego szachisty. Wewnątrz nie widać żadnego światła. Przyglądając się czarnej pustce rozciągającej się pod balkonem, Max pozostaje nieruchomy, drżąc ze strachu, podczas gdy puls znów zaczyna mu szaleć. To już nie są czasy na takie ćwiczenia, myśli. A już na pewno nie dla niego. Ostatnim razem kiedy znajdował się w podobnej sytuacji, miał piętnaście lat mniej. W końcu oddycha głęboko i łapie linkę. Mijając brzeg dachu, obija sobie kolana i łokcie, ale mimo to powoli, węzeł po węźle, opuszcza się w dół.

Mimo obaw – cały czas boi się, że zawiodą go ręce albo że dostanie zawrotów głowy – zejście okazuje się łatwiejsze, niż się spodziewał. Pięć minut później jest na balkonie, stoi twardo na ziemi i bada przeszklone drzwi prowadzące do ciemnego pokoju. Bardzo byłoby miło, gdyby się okazało, że drzwi są otwarte, myśli, wkładając cienkie gumowe rękawiczki. Tak jednak nie jest. Zatem odwołuje się do pomocy szklarskiego noża z diamentową końcówką, który w swoim czasie dobrze się sprawdzał – mocuje gumową przyssawkę do tego fragmentu szyby, który ma zostać usunięty, po czym rysuje półokrąg średnicy piędzi, którego środek pokrywa się z miejscem, gdzie się znajduje wewnętrzna zasuwka. Potem delikatnie stuka i usuwa wycięty kawałek szyby, delikatnie odkłada go na ziemię, wkłada rękę, uważając, żeby nie zaciąć się szkłem, i odsuwa zasuwkę. Drzwi otwierają się bez trudności, droga do ciemnego i pustego pokoju stoi otworem.

Teraz Max działa szybko, zgodnie ze starą metodą. Ku jego zdziwieniu serce bije mu spokojnie i równo, jakby w tej fazie akcji wiek nie miał znaczenia, a znów ożywione stare przyzwyczajenia pozwalają mu odzyskać siły i profesjonalny spokój, które jeszcze chwilę wcześniej wydawały się niemożliwe. Poruszając się z nadzwyczajną przezornością, żeby o nic się nie potknąć, zasuwca zasłony w oknach i wyjmując z plecaka elektryczną latarkę. Pokój jest bardzo duży, panuje w nim jednak zaduch zamkniętej przestrzeni i starego tytoniu. Rzeczywiście, na niskim stoliku stoi popielniczka pełna niedopałków, obok puste filiżanki i szachownica z nieuporządkowanymi bierkami. Kiedy kręci się po pokoju, snop światła pada na fotele, dywany, obrazy i drzwi prowadzące do sypialni i łazienki. A także na powierzchnię lustra, w którym kiedy się doń zbliża, Max widzi odbicie własnej postaci ubranej na czarno, tajemniczej i nieruchomej. Niemal zakłopotanej nagłym pojawieniem się intruza.

Odsuwając snop światła latarki od lustra, jakby zrezygnował z rozpoznania siebie w odbiciu, Max powoduje, że jego postać pogrąża się znów w mroku. Światło pada teraz na biurko pokryte książkami i papierami. Podchodzi do niego i zaczyna szukać.

Panowała jeszcze noc i ciągle padał deszcz w Nicei, kiedy Max zaparkował peugeota przy kościele Gesù i, osłonięty prochowcem i kapeluszem, przeszedł przez plac, idąc obojętnie po kałużach, w których rozpryskiwały się krople deszczu. Nie widać było żywego ducha. Deszcz zdawał się materializować w żółtawej zamglonej farbie domu na rogu rue de la Droite, wokół elektrycznej latarni świecącej się przy wejściu do teraz zamkniętego baru. Max dotarł do drugiej, otwartej bramy. Przeszedł przez wewnętrzny dziedziniec i zostawił za sobą szum deszczu padającego na zewnątrz.

W sieni było niewiele światła – goła, brudna żarówka oświetlająca podłogę na tyle, że wiedział, gdzie stawia stopy. Druga żarówka świeciła się na górnym podejściu. Kiedy wchodził po schodach, drewniane stopnie skrzypiały pod mokrymi butami, na których widoczne były jeszcze resztki błota z niedawnej wyprawy. Czuł się brudny, zmoknięty i wykończony, chciał już to wszystko mieć za sobą. Zamknąć sprawę, na chwilę położyć się i przespać, zanim chwyci walizkę i zniknie. Pomyśleć chłodno o swojej przyszłości. Kiedy wchodził na podest, rozpiął prochowiec i strząsnął wodę z kapelusza. Potem przekręcił gałkę mosiężnego dzwonka przy drzwiach i poczekał, bez rezultatu. To zbiło go nieco z tropu. Znów pokręcił gałką i usłyszał dźwięk we wnętrzu. Nic. Normalnie Włosi powinni niecierpliwie czekać na niego. Nikt jednak nie otwierał.

– Cieszę się, że pana widzę – usłyszał głos za plecami.

W zaskoczeniu Max upuścił kapelusz na ziemię. Fito Mostaza siedział na stopniach prowadzących na wyższe piętro, wyglądał na zrelaksowanego. Był w ciemnym, prążkowanym garniturze z szerokimi ramionami i, jak zazwyczaj, w muszce. Nie miał płaszcza ani kapelusza.

– Stwierdzam, że jest pan poważnym człowiekiem – dodał. – I słownym.

Mówił z twarzą zamyśloną, nieuważną, jakby zajmowały go inne rzeczy. Obojętny wobec zaskoczenia Maxa.

– Ma pan to, czego szukał?

Max patrzył na niego przez dobrą chwilę, nie odpowiadając. Starał się znaleźć miejsce Mostazy i siebie samego w tym wszystkim.

– Gdzie oni są? – spytał w końcu.

– Kto?

– Barbaresco i Tignanello... Włosi.

– Ach, oni.

Mężczyzna potarł brodę dłonią, uśmiechając się niemal niedostrzegalnie.

– Nastąpiła zmiana planów – powiedział.

– Nie słyszałem o żadnych zmianach. Mam się z nimi spotkać. Taki jest plan.

Szkła okularów Mostazy rozbłysły, kiedy pochylił nieco głowę, jakby zamyślony, i ponownie ją podniósł. Wyglądało to tak, jakby zastanawiał się nad słowami Maxa.

– Oczywiście... Plany i obowiązki, naturalnie...

Wstał jakby niechętnie, otrzepując spodnie. Potem poprawił sobie muszkę i zszedł do miejsca, gdzie stał Max. W jego prawej dłoni pobłykiwał klucz.

– Naturalnie – powtórzył, otwierając drzwi.

Uprzejmie ustąpił przejścia Maxowi. Ten wszedł i pierwszym, co zobaczył, była krew.

Ma ją. Tak łatwo było znaleźć zeszyty z zapisami partii Michaiła Sokołowa, że przez chwilę Max zaczął wątpić, czy to aby na pewno jest to, czego szukał. Nie ma jednak wątpliwości. Dokładne obejrzenie zapisków z świetle latarki, z okularami do czytania na nosie, rozwiewa niepewność. Wszystko zgadza się z opisem podanym przez Mechę Inzunzę: cztery grube tomy, oprawione w tkaninę i karton, przypominające bardzo zużyte księgi rachunkowe, pełne odręcznych notatek cyrylicą, drobnym, ścisłym pismem – diagramy partii, notatki, odnośniki. Zawodowe tajemnice mistrza świata. Te cztery zeszyty były na widoku, leżały jeden na drugim, pośród papierów i książek na biurku. Max nie zna rosyjskiego, ale łatwo mu było zidentyfikować ostatnie notatki z czwartego zeszytu – pół tuzina linijek w zapisie kryptograficznym – D4T, P3TR, A4T, CxPR – obok niedawnego wycinka z „Prawdy” na temat jednej z partii rozgrywanych między Sokołowem i Kellerem w Sorrento.

Z zeszytami – Mecha nazywała je książką – w plecaku, a ten znów na ramionach, Max wychodzi na balkon i patrzy w górę. Linka dalej pewnie tam wisi. Pociąga ją, żeby sprawdzić czy nadal jest dobrze przytwierdzona, a potem chwyta ją gotów wspiąć się po niej na dach; kiedy jednak dokonuje pierwszego wysiłku, zdaje sobie sprawę, że nie da rady. Może nawet wystarczy mu siły, żeby dotrzeć na dach, ale trudno mu będzie minąć gzyms i rynnę, gdzie schodząc, poobijał sobie kolana i łokcie. Czyli źle obliczył swoje możliwości. Albo swoje siły. Chwila słabości sprawi, że spadnie w pustkę. No i trudność pokonania powrotnej drogi po żelaznych stopniach na ścianie, schodzenia w ciemności, nie widząc, gdzie stawia stopy. Bez innego zabezpieczenia niż własne ręce.

Ta pewność słabości uderza go wybuchem paniki, powodującej suchość w ustach. Trwa tak jeszcze chwilę nieruchomy, trzymając w rękach linkę. Niezdolny, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Potem, pokonany, odsuwa ręce. Przyznaje, że wpadł we własną pułapkę. Nadmiar zaufania, niezdolność, żeby przyznać się do starości i niezdarności. Nigdy nie dotrze na dach tą drogą, i dobrze to wie.

Myśl, nakazuje sobie w duchu, przerażony. Pomyśl dobrze i zrób to szybko, bo inaczej już stąd nie wyjdiesz. Pozostawia linkę na miejscu – nie da się jej usunąć, będąc na dole – i wraca do pokoju. Jest tylko jedno wyjście – to przekonanie pozwala mu się skupić na kolejnych krokach, jakie należy uczynić. Wszystko zależy, stwierdza, od dyskrecji. I od szczęścia. Od tego, ile osób jest budynku i gdzie się znajdują. Od tego, czy strażnik, którego Rosjanie zostawiają zazwyczaj na parterze, znajdzie się pomiędzy apartamentem Sokołowa i wyjściem na ogród. Starając się nie robić najmniejszego hałasu, stawiając najpierw piętę, a potem resztę gumowej podeszwy, Max mija pokój, wychodzi na korytarz i ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Na zewnątrz jest światło i długi dywan, prowadzący do windy i schodów, ułatwiający mu bezgłośnie przejście. Na podeście zatrzymuje się i nasłuchuje odgłosów z klatki schodowej. Panuje spokój. Schodzi, zachowując ciągle ostrożność, rozglądając się ponad poręczą schodów, żeby upewnić się, czy droga nadal jest wolna. Nie jest już w stanie rozróżnić dźwięków, bo jego serce znów zaczęło łomotać, a puls w skroniach stał się ogłuszający. Już dawno naprawdę się nie pocił, myśli. Jego skóra nigdy nie była nadmiernie potliwa, teraz jednak czuje pod czarnymi spodniami i swetrem, że jego bielizna jest całkiem mokra.

Zatrzymuje się przed ostatnim odcinkiem, starając się uspokoić. Pośród pulsowania krwi, tłukącej mu się w głowie, ma wrażenie, że słyszy odległe, przytłumione dźwięki. Jakby włączone radio albo telewizor. Znów pochyla

się nad poręczą schodów, schodzi po ostatnich stopniach i bardzo ostrożnie podchodzi do rogu korytarza. Po drugiej stronie są drzwi – bez wątpienia prowadzą one do ogrodu. Po lewej stronie ciągnie się ciemny korytarz, a po prawej widoczne są dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi, niemal matowe szyby pozwalają dostrzec światło za nimi. Stąd też pochodzi dźwięk radia czy też telewizora, który teraz słyhać wyraźniej. Max zdejmuje chustkę, którą nadal miał zawiązaną na głowie, i używa jej do otarcia potu z twarzy, po czym chowa ją do kieszeni. W ustach czuje taką suchość, że język niemal drapie go w podniebienie. Zamyka oczy na parę sekund, głęboko oddycha trzy razy, przechodzi przez korytarz, otwiera po cichu drzwi i wychodzi na zewnątrz. Świeże, nocne powietrze, zapach roślin w ogrodzie witają go spod drzew niczym wybuch optymizmu, energii i życia. Podtrzymując plecak, rusza biegiem przed siebie, w mrok.

– Przepraszam za bałagan – powiedział Fito Mostaza, zamykając drzwi.

Max nie odpowiedział. Patrzył z przerażeniem na ciało Maura Barbaresca. Włoch leżał na plecach, w samej koszuli, na ziemi w wielkiej kałuży na wpół zakrzepłej krwi. Jego twarz miała kolor wosku, oczy były wpółotwarte i szkliste, miał rozchylone usta, a jego gardło było rozkrojone głębokim cięciem.

– Proszę wejść dalej – zaproponował Mostaza. – I proszę uważać na krew. Można się pośliznąć.

Przeszli korytarzem aż do pokoju w głębi, gdzie znajdowały się zwłoki drugiego Włocha. Leżał na progu kuchni, twarzą do ziemi, z jedną ręką wyprostowaną pod kątem prostym, a drugą pod ciałem, z twarzą zanurzoną w kałuży krwi o barwie między czerwoną i szarobrunatną, która długim strumieniem spływała pod stół i krzesła. W pokoju panował gęsty, niemal metaliczny zapach stojącego czasu.

– Pięć litrów krwi na każde ciało, mniej więcej – odezwał się Mostaza z chłodnym niezadowoleniem, jakby rzeczywiście przeproszał. – To razem dziesięć. Niech pan popatrzy, jaki to potop.

Max opadł na pierwsze napotkane krzesło. Mężczyzna popatrzył na niego z uwagą, po czym wziął butelkę wina stojącą na stole, nalał pół szklanki i poczęstował Maxa. Ten odmówił ruchem głowy. Sam pomyślał, żeby pić wobec takiego widoku, powodował torsje.

– Proszę, przynajmniej łyk – nalegał Mostaza. – Dobrze to panu zrobi.

Max posłuchał go, ledwo umoczył wargi i odstawił szklankę na stół. Mostaza, stojąc przy drzwiach – krew sięgała na odległość stopy od jego butów – wyjął z kieszeni fajkę i spokojnie nabijał ją tytoniem.

– Co tu się stało? – udało się Maxowi wyartykułować pytanie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zawodowe przywileje – wskazał zwłoki ustnikiem fajki. – Ich zawodu.

– Kto to zrobił?

Mostaza spojrział na niego z lekkim zaskoczeniem, jakby to pytanie zbiło go nieco z tropu.

– Ja, oczywiście.

Max wstał jednym skokiem, przewracając krzesło, ale natychmiast znieruchomiał, bo widok przedmiotu, który ten drugi wyjął właśnie z kieszeni, sparaliżował go. Ściskając w lewej ręce niezapaloną jeszcze fajkę, w prawej trzymał pistolet – mały, błyszczący, niklowany. Jednak nie było w tym żadnej groźby. Jedynie pokazywał mu go na dłoni, nieszkodliwym gestem, jakby prosząc o wybaczenie. Nie mierzył do niego ani nawet nie trzymał palca na spuście.

– Proszę podnieść krzesło i usiąść... Nie urządzajmy dramatu.

Max zrobił to, co tamten kazał. Kiedy znów usiadł, pistolet zniknął w prawej kieszeni Mostazy.

– Ma pan to, po co pan poszedł? – zapytał tamten.

Max patrzył na ciało Tignanellego, z twarzą zanurzoną w rozległej kałuży na wpół zakrzepłej krwi. Z jednej z nóg spadł mu but, leżący teraz na ziemi trochę dalej. Odsłonięta skarpetka miała dziurę na pięcie.

– Nie zabił ich pan tym pistoletem – powiedział Max.

Mostaza, który zapalał właśnie fajkę, popatrzył na niego znad kłębu dymu, potrząsając równocześnie zapalką, żeby zgasić płomień.

– Nie, oczywiście, że nie – potwierdził. – Pistolet, nawet tak niewielkiego kalibru jak ten, robi dużo hałasu... Nie należało niepokoić sąsiadów. – Rozpiął marynarkę, ukazując rękojeść noża, widocznego na jego boku, obok szelek. – Ten sposób jest bardziej brudny, owszem. Ale dużo bardziej dyskretny.

Skierował zamyślony wzrok w stronę kałuży krwi u swoich stóp. Wyglądało to tak, jakby zastanawiał się nad tym, czy „brudny” było odpowiednim słowem.

– Nie było to przyjemne, zapewniam pana – dodał po chwili.

– Dlaczego tak? – dopytywał Max.

– Później porozmawiamy o tych sprawach, jeśli pan pozwoli. A teraz proszę mi powiedzieć, czy udało się panu zdobyć listy hrabiego Ciano... Ma je pan przy sobie?

– Nie.

Mostaza poprawił palcem oprawki okularów na nosie i popatrzył na niego przez kilka sekund, jakby oceniając go.

– Coś takiego – odezwał się w końcu. – Ostrożność czy porażka?

Max zachował milczenie. W tej chwili zajmował się obliczaniem, ile warte będzie jego życie, kiedy odda listy. Prawdopodobnie tyle samo co życie tych nieszczęśników wykrwawionych tu na ziemi.

– Proszę wstać i obrócić się – wydał polecenie Mostaza.

W jego tonie było pewne zniecierpliwienie, choć nadal nie wydawał się niebezpieczny. Jedynie zajęty czynnościami kłopotliwymi, choć nieuniknionymi. Max posłusznie wykonał polecenia i zaraz otoczyły go kłęby dymu, kiedy Hiszpan podszedł do niego od tyłu i zrewidował, bez sukcesu, podczas gdy Max gratulował sobie w duchu przezorności, dzięki której listy zostawił schowane pod siedzeniem w samochodzie.

– Może się pan odwrócić... Gdzie one są? – Z fajką w zębach, co zniekształcało jego słowa, Mostaza wycierał o marynarkę ręce umoczone wodą z prochowca Maxa. – Proszę przynajmniej powiedzieć, czy ma je pan.

– Tak, mam.

– Rewelacja! Cieszy mnie, że to słyszę. Teraz, drogi przyjacielu, proszę mi powiedzieć gdzie i skończymy to raz na zawsze.

– Co pan rozumie, pod pojęciem „skończyć”?

– Niechże nie będzie pan taki nieufny, człowieku! Tyle retoryki! Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się rozstali jak cywilizowani ludzie.

Max spojrzał znów na zwłoki Tignanella. Przypomniawszy sobie jego ponurą, melancholijną twarz. Smutnego człowieka. Niemal wzruszał go widok, jak leży twarzą do ziemi, we własnej krwi. Spokojny i bezbronny.

– Dlaczego ich pan zabił?

Mostaza uniósł brew, skonsternowany, i wydawało się, że ten wyraz twarzy pogłębiał jego bliznę pod szczęką. Otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś nieprzyjemnego, choć zaraz to przemyślał. Obrzucił

szybkim spojrzeniem główkę fajki, stwierdzając odpowiednie tempo spalania tytoniu, potem popatrzył na ciało Włocha.

– To nie jest powieść – ton jego głosu wykazywał cierpliwość. – Nie zamierzam poświęcać ostatniego rozdziału na wyjaśnianie, jak wszystko przebiegło. Ani pan nie musi wiedzieć nic więcej, ani ja nie mam czasu na detektywistyczne pogawędki... Niech mi pan powie, gdzie są listy, zamknijmy wreszcie tę sprawę.

Max wskazał na trupa.

– Mnie też pan załatwi w ten sposób, kiedy już oddam listy?

Mostaza wyglądał, jakby poważnie zastanawiał się nad tym pytaniem.

– Ma pan rację – przyznał. – Nie ma pan żadnych gwarancji, fakt. Nie sądzę, żeby wystarczyło panu moje słowo, prawda?

– Pana sąd jest poprawny.

– No tak. –

Mlasnął, pociągając fajkę w zamyśleniu. – Muszę wprowadzić kilka poprawek do mojej biografii – powiedział w końcu. – W rzeczywistości nie pracuję dla Republiki hiszpańskiej, tylko dla rządu w Burgos. Dla przeciwnej strony.

Puścił oko, jakby żartobliwie, przez szkła okularów. Było oczywiste, że cieszy go konfuzja widoczna na twarzy rozmówcy.

– Tak czy owak – dodał – wszystko zostaje w rodzinie.

Max patrzył na niego ciągle zadziwiony.

– Przecież to byli Włosi... Faszystowscy agenci. Byli pańskimi sprzymierzeńcami.

– No, widzę, że jest pan rzeczywiście dość naiwny. Na tym poziomie w pracy nie ma już sprzymierzeńców. Oni chcieli dostać listy dla swoich zwierzchników, ja chcę je dostać dla moich... Chrystus głosił, że mamy być

braćmi, nigdy jednak nie mówił, że mamy być kolesiami. Listy z prośbą o prowizję za samoloty to dobry atut w rękach moich szefów, jak sądzę. Pewny sposób, żeby trzymać Włochów, albo przynajmniej ich ministra spraw zagranicznych, za jaja.

– To dlaczego nie poprosiliście o nie bezpośrednio Ferriola, waszego bankiera?

– Nie mam pojęcia. Ja dostaję polecenia, nie zwierzenia. Myślę, że Ferriol też gra o swoje. Będzie się zapewne starał odegrać swoimi metodami. I na Włochach, i na Hiszpanach. W sumie jest człowiekiem interesów.

– Po co była ta cała dziwna opowieść o statku?

– O Luciano Canforze?... Pewna zaległa sprawa, którą pan pomógł mi rozwiązać. Jest prawdą, że kapitan i pierwszy oficer chcieli zawieźć ładunek do jednego z portów na terenie rządowym; sam ich przekonałem do tego, przedstawiając się jako agent Republiki. Byli podejrzani, więc polecono mi sprawdzić ich lojalność... Potem wykorzystałem pana, żeby przekazać tę informację Włochom, którzy zadziałali szybko. Zdrajcy zostali zatrzymani, a statek płynie tam, dokąd miał płynąć.

Max wskazuje zwłoki Tignanella.

– A oni? Koniecznie trzeba było ich zabijać?

– Technicznie rzecz biorąc, tak. Nie mogłem kontrolować całej sytuacji, z trzema zaangażowanymi osobami, na dodatek dwie z nich to zawodowcy... Nie miałem innego wyjścia, jak nieco oczyścić teren.

Wyjął fajkę z ust. Wyglądała na wygasłą. Delikatnie uderzył nią o stół, z główką odwróconą do dołu, by ją opróżnić. Po czym jeszcze raz pociągnął i schował fajkę do kieszeni, po przeciwnej stronie niż pistolet.

– Skończmy to wreszcie – powiedział. – Proszę mi oddać listy.

– Sam pan widział, że nie mam ich tutaj.

– A pan zobaczył moje argumenty. Gdzie one są?

Nie miało sensu dalej zaprzeczać, stwierdził Max. Poza tym było to niebezpieczne. Mógł jedynie zaryzykować, by zyskać na czasie.

– W odpowiednim miejscu.

– Proszę mnie tam zaprowadzić.

– A co potem? Co się ze mną stanie?

– Nic specjalnego. – Patrzył, jakby podejrzliwość tamtego była obrazą. – Jak mówiłem, pan pójdzie w swoją stronę, a ja w swoją. Każdy wróbel na swoją gałąź.

Maxa przebiegł dreszcz, poczuł się bezbronny do bólu, na chwilę ugięły się pod nim kolana. Okłamał zbyt wielu mężczyzn i zbyt wiele kobiet w swoim życiu, żeby nie rozpoznać symptomów. W oczach Mostazy wyczytał swoją niepewną przyszłość.

– Nie wierzę panu – zaprotestował słabo.

– Wszystko jedno, nie ma pan wyboru. – Mężczyzna poklepał się po kieszeni, przypominając, że tam trzyma pistolet. – Nawet jeśli pan myśli, że pana zabiję, można wybrać, czy zrobię to teraz czy później... Choć jeszcze raz powtarzam, że nie mam takiego zamiaru. Kiedy dostanę już listy, nie będzie to miało sensu. Byłoby gestem zbytecznym. Nadmiernym.

– A co z moimi pieniędzmi?

Był to tylko jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek, żeby zyskać na czasie. Przeciągnąć sprawę. Mostaza jednak uznał rozmowę za skończoną.

– To już nie mój kłopot. – Wziął do ręki płaszcz i kapelusz leżące na jednym z krzeseł. – Chodźmy.

Znów poklepał się po kieszeni, drugą ręką wskazując drzwi. Nagle spoważniał i zeszywniał. Max wyprzedził go, omijając ciało i plamę krwi Tignanella, ruszył korytarzem, aż dotarł do zwłok Barbaresco. Wyciągając rękę w stronę klamki, z Mostazą za plecami, spojrział ostatni raz na szkliste

oczy i rozwarte usta Włocha, znów doświadczając owego dziwnego uczucia litości i opuszczenia, które poczuł już wcześniej. Zaczynał lubić tych dwóch, pomyślał. Zmokłe psy na deszczu.

Drzwi stawiały lekki opór. Max pociągnął je gwałtowniej i kiedy nagle ustąpiły, cofnął się o krok. Mostaza, który szedł z tyłu, wkładając płaszcz, też postąpił krok do tyłu, ostrożnie, z jedną ręką w rękawie, a drugą wsuniętą do połowy w kieszeń z pistoletem. I wtedy wdepnął w kałużę krzepnącej krwi i potknął się. Nie długo, jedną chwilę, starał się złapać równowagę. I właśnie w tej chwili Max zrozumiał z ponurą jasnością, że to jedyna okazja, jaka spotyka go tej nocy. I wtedy, w przypiływie ślepej rozpacz, rzucił się na niego.

Obaj pośliznęli się na krwi i upadli na podłogę. Max wiedział, że nie może dopuścić, by jego przeciwnik wyjął pistolet, jednak po chwili zmagania spostrzegł, że ten drugi sięga po nóż. Na szczęście druga ręka Mostazy uwieczona była w rękawie płaszcza; Max wykorzystał to, by zyskać lekką przewagę, uderzając przeciwnika w twarz, w okulary. Te zbiły się z trzaskiem, wywołując jęk Mostazy, który wczepił się w Maxa z całych sił, starając się znaleźć na górze. Jego chude, twarde ciało, pozornie tylko kruche, było jednak skrajnie niebezpieczne. Nóż w jego dłoni byłby równoznaczny z wyrokiem śmierci. Max uderzył go na tyle szczęśliwie, żeby zatrzymać atak, i znów się starli, jeden starał się złapać drugiego i bić, a drugi – uwolnić ramię uwieczone w płaszczu. Obaj ślizgali się we krwi Barbaresco. Zrozpaczony, słabnący ze zmęczenia, świadomy, że kiedy Mostaza wyswobodzi rękę, on będzie mógł zostać uznany za trupa, poczuł, że na pomoc przychodzą mu stare, zapomniane odruchy chłopaka z ulicy Vieytes i żołnierza, który kiedyś musiał walczyć nożem w burdelach dla legionistów. To, co sam robił, i to, co widział, jak robią inni. I z całą energią, jaką udało mu się zebrać, wbił kciuk w oko przeciwnika. Palec

zatopił się głęboko, przy miękkim trzasku i zwierzęcym ryku Mostazy, którego opór nagle osłabł. Max próbował podnieść się, jednak pośliznął się na krwi. Znow spróbował, wreszcie udało mu się znaleźć nad przeciwnikiem, jęczącym jak udręczone zwierzę. Wtedy, używając prawego łokcia jako broni, Max uderzał w twarz Mostazy z całych sił, aż ból stał się nieznośny, mężczyzna przestał się bronić, a jego twarz znalazła się na ziemi, na boku, spuchnięta i potłuczona.

Max opadł na podłogę wykończony. Pozostał tak dłuższą chwilę, starając się odzyskać siły, a w końcu poczuł, że traci przytomność i wszystko wokół ciemnieje. Powoli omdlewał, jakby wpadał do głębokiej, bezdennej studni. Kiedy oprzytomniał, małe okienko w korytarzu wpuszczało brudnoszary półcień, być może zapowiadający świt. Odsunął się od nieruchomego ciała i na czworakach zaczął się przesuwać w kierunku podestu przy schodach. Zostawiał za sobą smugę własnej krwi, bo – jak stwierdził, dotykając się z bolesną niezręcznością – miał powierzchowną ranę na udzie, tuż obok biegnącej tam tętnicy. Nie wiadomo jak, Fito Mostazie w ostatniej chwili udało się wyciągnąć nóż.

12. BŁĘKITNY EKSPRES

Dzwoni telefon w pokoju w hotelu Vittoria. To niepokoi Maxa. Już drugi raz w ciągu kwadransa, a jest dopiero szósta rano. Za pierwszym razem kiedy odebrał, żaden głos nie odpowiedział po drugiej stronie – tylko cisza, a po niej kliknięcie przerwane połączenia. Tym razem nie podnosi słuchawki, pozwala dzwonić telefonowi aż do chwili, kiedy powraca cisza. Wie, że nie jest to Mecha Inzunza, bo ustalili, że nie będą się kontaktować. Tak postanowili wczoraj wieczorem, w ogródku przed Fauno. Partia skończyła się o wpół do jedenastej w nocy. Wkrótce potem Rosjanie musieli zauważyć kradzież, wyciętą szybę i linkę zwisającą z dachu. Jednak kiedy już po jedenastej, po wzięciu prysznic i zmianie ubrania, ciągle spięty Max szedł przez ogród w stronę placu Tasso, budynek zajmowany przez radziecką delegację nie zdradzał oznak żadnego ożywienia. Okna były rozświetlone, ale wszędzie zdawał się panować spokój. Być może Sokołow nie wrócił do swojego apartamentu, pomyślał, odchodząc w stronę ogrodzenia. Albo może – co mogło okazać się bardziej niebezpieczne niż policyjne wozy stojące przy wejściu – Rosjanie postanowili załatwić sprawę w sposób bardziej dyskretny. Po swojemu.

Mecha siedziała przy jednym ze stolików w głębi, jej zamszowy żakiet wisiał na oparciu krzesła. Max usiadł obok, nic nie mówiąc, zamówił u kelnera *negrone* i rozejrzał się wokół z pełnym zadowolenia spokojem, unikając pytającego wzroku kobiety. Jego jeszcze wilgotne włosy zaczesane były z wyszukaną kokieterią, a jedwabna apaszka wystawała spod rozpiętego kołnierzyka koszuli, pomiędzy klapami granatowej marynarki.

– Dziś wygrał Jorge – Mecha odezwała się po chwili.

Max był pełen podziwu dla jej opanowania. Spokoju.

– To dobra wiadomość – powiedział.

W końcu popatrzył na nią. Przy tym uśmiechnął się i Mecha odgadła znaczenie uśmiechu.

– Masz ją – stwierdziła krótko.

Nie było to pytanie. Uśmiechnął się trochę szerzej. Od lat nie pojawiał się na jego ustach taki wyraz triumfu.

– Och, mój kochany – powiedziała kobieta.

Nadszedł kelner z kieliszkiem. Max wypił łyk koktajlu, szczerze rozkoszując się jego smakiem. Dość dużo dżinu, zauważył z przyjemnością. Dokładnie taki był mu potrzebny.

– Jak było? – chciała wiedzieć Mecha.

– Niewygodnie. – Odstawił drinka na stolik. – Mój wiek przestał być odpowiedni na pewne perypetie. Tak jak przypuszczałem.

– Jednak zdobyłeś ją. To znaczy książkę.

– Tak.

Oparła się o blat stołu z łapczywą miną.

– I gdzie jest?

– W odpowiednim miejscu, tak jak ustaliliśmy.

– Nie powiesz mi gdzie?

– Jeszcze nie. Przez kilka godzin, dla bezpieczeństwa.

Patrzyła na niego intensywnie, rozważając sens tej odpowiedzi, i Max wiedział, co myśli. Przez chwilę dostrzegł w jej spojrzeniu dawną i niemal znajomą nieufność. Trwała jednak ledwo sekundę. Po czym Mecha pochyliła nieco głowę, jakby prosząc o wybaczenie.

– Masz rację – przyznała. – Lepiej, żebyś jeszcze mi jej nie dawał.

– Jasne. Już wcześniej o tym rozmawialiśmy. Tak jak ustaliliśmy.

– Zobaczymy, jak to przyjmą.

– Właśnie przeszedłem obok ich domu... Wydaje się, że panuje spokój.

– Może jeszcze nie wiedzą.

– Jestem pewien, że wiedzą. Wszędzie zostały moje ślady.

Poruszyła się na krześle zaniepokojona.

– Coś poszło nie tak?

– Przenieśliśmy własne siły – przyznał szczerze. – Przez co musiałem improwizować.

Patrzy na ogrodzenie hotelu, w tyle za reflektorami samochodów i skuterów jeżdżących po placu. Wyobraził sobie Rosjan rozważających, co się stało, najpierw zaskoczonych, potem wściekłych. Wypił kilka łyków, żeby uśmierzyć lęk. Był niemal zdziwiony, że nie słyszy policyjnych syren.

– Byłem o krok, żeby zostać tam, jak w potrzasku – wyznał po chwili. – Jak dureń. Wyobrażasz sobie?... Rosjanie wracają po rozgrywkę, a ja tam siedzę i czekam.

– Mogą cię zidentyfikować? Mówiłeś, że zostawiłeś ślady.

– Nie miałem na myśli odcisków palców ani niczego takiego. Mówiłem o takich śladach, jak wycięta szyba, linka... Nawet ślepy by zauważył zaraz po wejściu do pokoju. Dlatego jestem pewien, że o tej porze już wiedzą.

Rozejrzał się niepewnie wokół. Ogródek zaczynał pustoszeć, choć kilka stolików ciągle było zajętych.

– Niepokoi mnie to, że nie ma tam żadnego ruchu – dodał. – To znaczy żadnej reakcji. Może cię teraz właśnie śledzą. I mnie też.

Rozejrzała się wokół, jej wzrok spochmurniał.

– Nie mają powodu, żeby łączyć mnie z tą kradzieżą – stwierdziła po chwili namysłu.

– Dobrze wiesz, że nie zajmie im wiele czasu skojarzenie faktów. A jeśli mnie zidentyfikują, jestem załatwiony.

Jedną rękę opierał na stoliku – kościstą, z plamami wieku. Były też na niej ślady jodyny na palcach i nadgarstku, w miejscach zadrapań, których się nabawił, wchodząc na dach i spuszczając się na balkon Sokołowa. Ręka jeszcze go bolała.

– Może powinienem wynieść się z hotelu – powiedział po chwili. – Zniknąć na jakiś czas.

– Wiesz co, Max? – Pogładziła delikatnie czerwonawe plamy na jego ręce. – To wszystko mi wygląda jak *déjà vu*. Nie masz takiego wrażenia? Sytuacja, która się powtarza.

W głosie kobiety brzmiała słodczy, nieskończone ciepło. Miodowe oczy odbijały blask lampionów kawiarnianego ogródka. Na twarzy Maxa pojawił się rozmarzony wyraz.

– No tak – przyznał. – Przynajmniej częściowo.

– Gdyby można było cofnąć czas, być może wszystko... Nie wiem. Inaczej by było.

– Nigdy nie jest inaczej. Każdy niesie swoje jarzmo. Wszystko jest tak, jak miało być.

Zawołał kelnera i zapłacił rachunek. Potem wstał, żeby odsunąć krzesło Mechy.

– Wtedy, w Nicei... – zaczęła mówić.

Max ułożył jej żakiet na ramionach. Opuszczając ręce, przesunął palcami po jej skórze, jakby szybką pieszczotą.

– Błagam, nie wspominaj Nicei – to był szept niemal zażyły; już dawno nie odzywał się tak do żadnej kobiety. – Nie dzisiaj, proszę. Nie teraz.

Uśmiechał się, mówiąc te słowa. Ona też to zrobiła, kiedy odwróciwszy się, zauważyła jego uśmiech.

– Będzie bolało – powiedziała Mecha.

Poląła ranę kilkoma kroplami jodyny, a Maxowi wydało się, że wylała płynne żelazo na jego udo. Paliło go jak sto diabłów.

– Boli – odezwał się.

– Uprzedzałam.

Siedziała obok niego, na brzegu sofy z płótna i stali, w salonie willi w Antibes. Miała na sobie szlafrok, długi, elegancki, dopasowany w talii. Lekka jedwabna koszula wystawała pod rozpięciem, ukazując fragment gołych nóg. Była bosa. Jej ciało wydzielало przyjemny zapach niedawnego snu. Kiedy Max zadzwonił do drzwi, obudził najpierw pokojówkę, potem ją. Teraz pokojówka wróciła do swojego pokoju, a on leżał na plecach w mało bohaterskiej pozycji: spodnie i slipki spuszczone do kolan, odsłonięte genitalia, na prawym udzie rana zadana nożem Mostazy nie była głęboka, mierzyła jakieś pół dłoni długości.

– Ktokolwiek to był, chybił o kilka centymetrów... gdyby rana była głębsza, mogłeś się wykrwawić.

– Tak.

– Czy to on tak ci załatwił twarz?

– On.

Obejrzał się w lustrze w pokoju hotelu Negresco – fioletowa obwódka oka, krew na nosie i spuchnięta warga – dwie godziny wcześniej, kiedy przyjechał, żeby opatrzyć rany, łyknąć dwie tabletki weramonu, szybko pozbierać swoje rzeczy i zapłacić rachunek, ozdobiony hojnym napiwkami. Potem stał chwilę pod szklanym daszkiem przed wejściem, na który jeszcze spadały pojedyncze krople deszczu, rozglądał się nieufnie po ulicy, uważając na jakiegokolwiek niepokojące znaki pod latarniami oświetlającymi promenadę i fasady pobliskich hoteli. W końcu uspokoił się, włożył bagaże do peugeota, włączył silnik i wyruszył w noc, a reflektory omiatały

światłem pomalowane na biało pnie sosen wzdłuż drogi do Antibes i La Garoupe.

– Dlaczego tu przyjechałeś?

– Nie wiem. Albo i wiem. Musiałem chwilę odpocząć. Pomyśleć.

Rzeczywiście, takie były jego zamiary. Dużo miał spraw do przemyślenia. Na przykład, czy Mostaza żył czy też nie. Czy pracował sam, czy też jest więcej ludzi, którzy teraz mogą już go szukać. To samo dotyczyło Włochów. Bezpośrednie i długofalowe konsekwencje, wszystkie po kolei, z których nawet przy najlepszych chęciach nie dawało się wyciągnąć choć jednej przyjemnej perspektywy. Do tego trzeba dodać naturalną ciekawość władz, kiedy zostaną odkryte trupy – dwa na pewno, może trzy – w domu przy rue de la Droite: zastanawiać się będą dwie tajne służby w całości i policja francuska, kto jest w to wszystko zamieszany. I jak wisienka na torcie, jakby tego było mało, nieprzewidywalna reakcja Tomasa Ferriola, kiedy się dowie, że listy od hrabiego Ciano zniknęły.

– Dlaczego ja? – spytała Mecha. – Dlaczego przyjechałeś do mnie?

– Nie znam w Nicei nikogo, komu mógłbym zaufać.

– Szuka cię żandarmeria?

– Nie. A przynajmniej jeszcze nie. Ale nie policja martwi mnie dzisiejszej nocy.

Przyglądała mu się uważnie. Podejrzliwie.

– Co ci chcą zrobić? I dlaczego?

– Nie o to chodzi, co chcą mi zrobić. Chodzi o to, co ja zrobiłem i co inni mogą sądzić, że zrobiłem... Muszę odpocząć parę godzin. Opatrzeć toto. Potem wyjadę. Nie chcę ci komplikować życia.

Wskazała zimno ranę, plamy krwi i jodyny na ręczniku, który rozłożyła na sofie, zanim kazała Maxowi tam się wyciągnąć.

– Pojawiasz się w moim domu o świcie z rozkrojoną nogą, straszysz moją pokojówkę... Tego nie nazywasz komplikowaniem, prawda?

– Mówię, że zaraz wyjadę. Jak tylko się trochę zorganizuję i kiedy będę wiedział dokąd.

– Wcale się nie zmieniłeś, prawda? A ja jestem idiotką. Wiedziałam od chwili, kiedy cię zobaczyłam w domu Suzi Ferriol: ten sam Max co w Buenos Aires... Jaki naszyjnik z pereł zabierasz teraz?

Położył dłoń na jej ręce. Jego mina, między szczerą a bezbronną, należała do najskuteczniejszych w całym zazwyczaj używanym repertuarze. Lata ćwiczeń. Sukcesów. Za jej pomocą przekonałby głodnego psa, żeby mu oddał kość.

– Czasem trzeba zapłacić za rzeczy, których się nie zrobiło – powiedział, wytrzymując jej spojrzenie.

– A niech cię szlag! – Wyrwała rękę w przyływie furii. – Jestem pewna, że nie płacisz ani połowy. I że zrobiłeś niemal wszystko albo wszystko.

– Pewnego dnia ci opowiem. Przysięgam.

– Nie będzie żadnego pewnego dnia, jeśli tylko uda mi się go uniknąć!

Chwycił ją delikatnie za nadgarstek.

– Mecha...

– Zamknij się. – Znów się wyswobodziła. – Pozwól mi to skończyć, a potem wyrzucę cię na ulicę.

Kładąc gazę z plastrem na ranie, dotknęła palcami uda mężczyzny. A ten poczuł ciepły kontakt skóry i pomimo rany jego ciało zareagowało na bliskość kobiety, pachnącej niedawnym snem i jeszcze rozgrzanym łóżkiem. Nieruchoma, siedząc na brzegu sofy tak obojętnie i bez wyrazu, jakby patrzyła na coś, co nie ma nic wspólnego z nimi obojgiem, Mecha podniosła wzrok do jego oczu.

– Sukinsyn – mruknęła.

Po czym rozpięła szlafrok, uniosła jedwabną koszulę i weszła okrakiem na Maxa.

– Pan Costa?

Nieznajomy człowiek stoi w progu pokoju hotelu Vittoria. Drugi jest w korytarzu. Stare mechanizmy alarmowe włączają się, zanim jeszcze rozum ustali konkretne zagrożenie. Z fatalizmem kogoś, kto już wcześniej znajdował się w podobnych sytuacjach, Max potakuje ruchem głowy, nie otwierając ust. Nie umyka jego uwagi, że stopa człowieka w progu jakby przypadkowo wysuwa się naprzód, żeby zapobiec zamknięciu drzwi. Max jednak nie ma zamiaru ich zamykać. Wie, że byłoby to daremne.

– Czy jest pan sam?

Wyraźny obcy akcent. To nie jest policjant. Albo przynajmniej – Max zachłannie segreguje wszelkie za i przeciw – nie jest to włoski policjant. Człowiek z progu już nie jest na progu, ale w pokoju. Wchodzi z całkowitą naturalnością, rozglądając się wokół, podczas kiedy ten z korytarza zostaje na swoim miejscu. Ten, który wszedł, jest wysoki, o kasztanowych, długich i prostych włosach. Ma duże dłonie o brudnych, obgryzionych paznokciach; na małym palcu lewej ręki nosi grubą złotą obrączkę.

– Czego panowie chcecie? – pyta w końcu Max.

– Żeby pan pojechał z nami.

Akcent jest słowiański. Rosyjski bez wątpienia. Jaki inny miałby być? Max cofa się w stronę telefonu stojącego na nocnej szafce, przy łóżku. Człowiek patrzy na jego ruch obojętnie.

– Nie opłaca się panu robić skandalu.

– Proszę stąd wyjść.

Max wskazuje drzwi, nadal otwarte, za którymi stoi ten drugi, w korytarzu – niski wzrost, niepokojące bary zapaśnika ukryte pod kurtką z czarnej skóry, zbyt wąską. Ręce lekko odsunięte od tułowia, gotowe reagować na każdą nieprzewidzianą ewentualność. Ten z prostymi włosami unosi dłoń z obrączką, jakby miał w niej nieodparte argumenty.

– Jeśli woli pan włoską policję, nie ma sprawy. Może pan wybrać, co bardziej panu odpowiada. My chcemy tylko porozmawiać.

– O czym?

– Dobrze pan wie o czym.

Max myśli przez pięć sekund, próbując nie ulegać panice. Rozszalał się jego puls i czuje, że uginają mu się nogi w kolanach. Usiadłby na łóżku, gdyby nie miało to zostać od razu zinterpretowane jako kapitulacja albo dowód. Jako wyraźne przyznanie się. Przez chwilę klnie w myślach na siebie. To niewybaczalne, że został tutaj, wykazując brak zdolności przewidywania, niczym mysz ciesząca się serem, podczas kiedy sprężyna w pułapce już działa. Nie wyobrażał sobie, że tak szybko go rozpoznają. Że od razu go zidentyfikują.

– Na każdy temat możemy rozmawiać i tutaj – odzywa się wreszcie.

– Nie. Pewni dżentelmeni chcieliby spotkać się z panem w innym miejscu.

– A co to za miejsce?

– Tu niedaleko. Pięć minut samochodem.

Gość z prostymi włosami powiedział to, stukając palcem w tarczę zegarka na rękę, jakby to był dowód na dokładność i dobrą wolę. Po czym spogląda na człowieka w korytarzu, który wchodzi do pokoju, spokojnie zamyka drzwi i zabiera się do przeszukiwania wnętrza.

– Nigdzie nie jadę – protestuje Max, udając stanowczość, której nie czuje w najmniejszym stopniu. – Nie macie prawa.

Spokojnie, jakby jego zainteresowanie mieszkańcem tego pokoju na chwilę zostało zawieszony, człowiek o prostych włosach patrzy, co robi jego towarzysz. A ten otwiera szuflady w komodzie i ogląda wnętrze szafy z metodyczną efektywnością. Potem zagląda pod materac i na dno łóżka. Wreszcie robi przeczący gest i wypowiada cztery słowa w języku słowiańskim, z których Max rozumie tylko rosyjskie *niczego* – nic.

– To teraz bez znaczenia – człowiek o prostych włosach wraca do przerwanej rozmowy. – Czy mamy prawo czy nie... Mówiłem, że może pan wybrać. Rozmowa z tymi dżentelmenami, o których wspomniałem, czy raczej z policją.

– Nie mam nic do ukrycia przed policją.

Obaj intruzi stoją teraz bez ruchu i milczą, patrząc na niego zimno; Max zaczyna się bardziej bać braku ruchu niż ciszy. Po chwili ten z prostymi włosami drapie się po nosie. Rozmyślając.

– Zróbmy tak, panie Costa – mówi w końcu. – Wezmę pana pod jedno ramię, a mój kolega pod drugie i w ten sposób zejdziemy do holu, wsiądziemy do auta, które stoi przed hotelem. Być może będzie pan się opierał, żeby nam towarzyszyć, ale może i nie... Jeśli będzie się pan opierał, będzie rozróżba i dyrekcja hotelu zawiadomi policję w Sorrento. A wtedy pan weźmie na siebie swoją odpowiedzialność, a my swoją. Jeśli natomiast pójdzie pan dobrowolnie, wszystko odbędzie się dyskretnie i bez przemocy... Jaka decyzja?

Max stara się zyskać na czasie. Pomyśleć. Ułożyć w głowie rozwiązanie, ucieczki możliwe i niemożliwe.

– Kim panowie jesteście? Kto was przysłał?

Mężczyzna robi gest zniecierpliwienia.

– Przysłali nas amatorzy szachów. Osoby pokojowe, które chciałyby z panem porozmawiać o kilku budzących wątpliwości zagraniach.

– Nic nie wiem na ten temat. Nie interesują mnie szachy.

– Poważnie? Kto by powiedział... Bo dość się pan pofatygował, jak na swój wiek.

Mówiąc to, mężczyzna o prostych włosach bierze marynarkę Maxa, która wisiała na krześle, i podaje mu ją ruchem zniecierpliwionym, niemal ze złością. Jak ktoś, kto wyczerpuje ostatnie zapasy swojej uprzejmości.

Walizka leżała na łóżku gotowa do zamknięcia: buty we flanelowych pokrowcach, bielizna, złożone koszule, trzy garnitury zwinięte w górnej części. Torba podróżna z dobrej skóry, do kompletu z walizką. Max właśnie zamierzał opuścić dom Mechy Inzunzy w Antibes, żeby się udać na stację kolejową w Nicei, bo miał zarezerwowane miejsce z Błękitnym Ekspresie. Trzy listy hrabiego Ciano były schowane w walizce, której skórzaną wyściółkę oderwał, po czym bardzo delikatnie przylepił z powrotem. Nie zdecydował jeszcze, co z nimi zrobić, choć paliło go ich posiadanie. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić nad ich przeznaczeniem. Żeby ocenić zasięg i wymiar tego, co zdarzyło się poprzedniej nocy w willi Susany Ferriol i w domu przy rue de la Droite. I żeby oszacować konsekwencje.

Zawiązał właśnie windsorski węzeł na nieskazitelnie białym gorsie – był w koszuli i szelkach, z kamizelką jeszcze niezapiętą – i przez chwilę przyglądał się swojej twarzy w lustrze w sypialni: włosy błyszczące od brylantyny, z przedziałkiem wysoko, świeżo ogolona broda, pachnąca płynem Floïd. Na szczęście prawie niewidoczne były ślady walki z Fito Mostazą: zmaląła opuchlizna wargi, podbite oko wyglądało już znacznie lepiej. Odrobina makijażu – Max użył pudru Mechy – maskowała fioletowy ślad przyciemniający górną powiekę.

Kiedy się odwrócił, zapinając kamizelkę oprócz dolnego guzika, kobieta stała w drzwiach, ubrana do wyjścia, z filiżanką kawy w dłoniach. Nie słyszał, kiedy przyszła, nie wiedział też, jak długo go obserwowała.

– O której godzinie odjeżdża pociąg? – spytała Mecha.

– O wpół do ósmej.

– Jesteś zdecydowany wyjechać?

– Oczywiście.

Wypiła łyk kawy i przyglądała się, zamyślona, filiżance.

– Nadal nie wiem, co się wczoraj stało... Dlaczego tu przyjechałeś.

Max uniósł otwarte dłonie, żeby je jej pokazać. Nie mam nic do ukrycia, miał znaczyć ten gest.

– Już ci mówiłem.

– Nic mi nie powiedziałeś. Tylko tyle, że miałeś poważny problem i nie mogłeś zostać w Negresco.

Skinął głową. Od dobrej chwili przygotowywał się na tę rozmowę. Dobrze wiedział, że nie pozwoli mu wyjechać, zanim nie zada mu kilku pytań, i jest prawdą, że zasługiwała na kilka odpowiedzi. Wspomnienie jej ciała i ust, nagiej skóry tuż obok niego zmałyły mu myśli, rozpraszając go na moment. Mecha Inzunza była tak piękna, że oddalenie się od niej wymagało niemal przemocy fizycznej. Przez chwilę rozważał różnicę między słowami „miłość” i „pożądanie”, pośród całej niepewności, podejrzeń i przejmującego strachu, bez cienia pewności co do przyszłości czy choćby terażniejszości. Ta ponura ucieczka, której kierunku ani konsekwencji nawet nie potrafił przewidzieć, umieszczała wszystko inne na drugim planie. Najpierw trzeba było znaleźć się w bezpiecznym miejscu, a potem zastanawiać się nad znamieniem, jakie odcisnęła ta kobieta na jego ciele i umyśle. Być może to jest miłość, oczywiście. Max nigdy wcześniej nie kochał, więc nie mógł tego wiedzieć. Być może jest miłością to

nieznośne rozdarcie, pustka wobec nieuchronności rozstania, pustoszący smutek wdzierający się na miejsce instynktu, który nakazuje znaleźć bezpieczne miejsce i przeżyć. Być może ona też go kocha, pomyślał naraz. Jakoś po swojemu. Być może, pomyślał też, nie spotkają się nigdy więcej.

– To prawda – odrzekł w końcu. – Poważny problem... Raczej ciężka sprawa. Która zakończyła się brudną rozprawą. Dlatego powinienem zniknąć na jakiś czas.

Wpatrywała się w niego niemal bez mrugania powiekami.

– A co ze mną?

– Pewnie tu zostaniesz, wyobrażam sobie. – Max zrobił wieloznaczny gest, który mógł obejmować równie dobrze ten pokój, jak i całą Niceę. – Wiem, gdzie cię szukać, jak się wszystko uspokoi.

Ciągle nieruchome złote tęczęwki kobiety wyrażały śmiertelną powagę.

– I to wszystko?

– Posłuchaj. – Max włożył marynarkę. – Nie chcę, żeby to brzmiało dramatycznie, ale być może teraz gra idzie o moje życie. Bez być może. Z pewnością ryzykuję życiem.

– Szukają cię?... Kto?

– Nie jest łatwo to wyjaśnić.

– Mam czas. Mogę wysłuchać wszystkiego, co zechcesz mi powiedzieć.

Pod pretekstem sprawdzania, czy bagaż jest już gotowy, Max unikał jej spojrzenia. Zamknął walizkę i zacisnął na niej paski.

– Masz w takim razie szczęście. A ja go nie mam. Ani czasu, ani nastroju. Jeszcze mam chaos w głowie. Zdarzyły się rzeczy, których się nie spodziewałem... Sprawy, z którymi nie wiem, co zrobić.

W jakimś odległym miejscu w domu zadźwięczał dzwonek telefonu. Dzwonienie rozległo się czterokrotnie, po czym ustało nagle, zanim Mecha

zdążyła zwrócić na nie uwagę.

– Szuka cię policja?

– Nie, o ile wiem. – Max wytrzymał przenikliwe spojrzenie w sposób odpowiednio niewzruszony. – Nie ryzykowałbym podróży pociągiem w takim wypadku. Ale wszystko może się zmienić i wolę, żeby już mnie tu nie było, kiedy się to stanie.

– Ciągłe nie odpowiadasz na moje pytanie. Co ze mną?

Pojawiła się pokojówka. Telefon do pani. Mecha oddała jej filizankę i razem odeszły w głąb korytarza. Max postawił walizkę na ziemi, zamknął torbę podróżną i położył ją obok walizki. Potem podszedł do toaletki po przedmioty, które tam zostawił – zegarek, pióro wieczne, portfel, zapalniczkę i papierośnicę. Zapinał na nadgarstku pasek od Patek-Philippe’a, kiedy Mecha wróciła. Podniósł wzrok i zobaczył, że stoi w drzwiach oparta o framugę, dokładnie tak samo jak stała przedtem, natychmiast jednak zauważył, że coś nie jest w porządku. Że ma jakieś wiadomości, które wcale nie są dobre.

– Dzwonił Ernesto Keller, mój znajomy z chilijskiego konsulatu – potwierdziła z lodowatym spokojem. – Powiedział, że dziś w nocy włamano się do domu Suzi Ferriol.

Max znieruchomiał, z palcami zajętyymi jeszcze sprzączką paska od zegarka.

– Coś takiego... – udało mu się powiedzieć. – I jak ona się czuje?

– Ona czuje się dobrze – z tonu głosu Mechy mogłyby zwisać sople lodu. – Nie było jej w willi, kiedy to się stało, wyjechała na kolację do Cimiez.

Max podniósł wzrok, wyciągnął rękę i wziął pióro Parkera z całym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć. Albo go udać.

– Ukradziono coś wartościowego?

– To ty mógłbyś mi powiedzieć.

– Ja? – Sprawdził, czy skuwka jest mocno dociśnięta, i wsunął pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki. – A skąd miałbym wiedzieć?

Znów patrzył jej w oczy, już opanowany. Spokojny. Ciągle oparta o framugę, teraz założyła ręce na piersi.

– Oszczędź mi swojego repertuaru niedomówień, dwuznaczności i kłamstw – zażądała. – Nie jestem w nastroju na ten cały śmietnik.

– Zapewniam cię, że w żadnym momencie...

– A niech cię szlag! Wiedziałaś, jak tylko cię zobaczyłam wtedy w domu Suzi. Wiedziałaś, że coś knujesz, ale nie podejrzewałam, że dokładnie tam.

Podeszła do Maxa. Pierwszy raz, od kiedy się znali, zobaczył, że jej twarz jest wykrzywiona z wściekłości. Gwałtowna furia napinała jej rysy, ściemniała jej wyraz.

– Ona jest moją przyjaciółką... Co jej ukradłeś?

– Mylisz się.

Stała przed nim nieruchomo, prawie agresywna, jej oczy błyskały groźnie. Max zebrał całą swoją wolę, żeby nie cofnąć się o krok.

– Mylę się tak samo jak w Buenos Aires, chcesz powiedzieć? – zapytała.

– Nie o to chodzi.

– No to powiedz mi, o co chodzi. Ile wspólnego ma włamanie z twoim wczorajszym stanem. Z twoją raną i pobiciem... Ernesto mówił, że kiedy Suzi dotarła do domu, już tam nie było złodziei.

Nie odpowiedział. Starał się ukryć swoje zdenerwowanie, udając, że sprawdza zawartość portfela.

– Co się zdarzyło później, Max? Jeśli tam nie było przemocy, to gdzie się zdarzyła? I z kim się biłeś?

Nadal milczał. Nie miał więcej pretekstów, żeby nie patrzeć jej w oczy, bo Mecha zabrała papierośnicę i zapalniczkę Maxa i właśnie zapalała papierosa. Potem gwałtownie rzuciła oba przedmioty na stolik. Zapalniczka potoczyła się i spadła na ziemię.

– Wydam cię policji.

Wypuściła dym wprost na niego, z bardzo bliska, jakby opluła go dymem.

– I nie patrz tak na mnie, bo wcale się ciebie nie boję... Ani ciebie, ani twoich wspólników.

Max schylił się, żeby podnieść zapalniczkę. Od uderzenia wygięła się pokrywka, stwierdził.

– Nie mam wspólników. – Włożył zapalniczkę do kieszeni kamizelki, a papierośnicę do marynarki. – I nie chodzi o kradzież. Nagle okazało się, że jestem zamieszany w coś, czego wcale nie szukałem.

– Całe życie tego szukasz, Max.

– Nie tego. Zapewniam cię, nie tym razem.

Mecha nadal stała bardzo blisko, twardo patrzyła na niego. I Max zrozumiał, że nie uchylił się przed tym, czego kobieta żądała. Z jednej strony, miała pełne prawo, żeby się czegoś dowiedzieć. Z drugiej jednak, zostawić ją w Nicei, w takim stanie furii i niepewności, byłoby dodaniem zbędnego ryzyka do sytuacji i tak bardzo kiepskiej. Potrzebował kilku dni spokoju. Rozejmu. Przynajmniej kilku godzin. I kto wie, stwierdził, może uda się ją do tego wykorzystać. Bo przecież, tak samo jak reszta kobiet na świecie, nie prosiła o nic więcej, jak tylko o to, żeby ją przekonał.

– To skomplikowana sprawa – przyznał, udając ogromny wysiłek, jaki kosztowało go to wyznanie. – Zostałem wykorzystany. Nie miałem wyboru.

Zrobił precyzyjną pauzę, odmierzoną co do sekundy. Mecha słuchała, uważnie wyczekując, jakby gra szła o życie jej, nie Maxa. A teraz, wahając się kolejną chwilę, czy dodać resztę opowieści, był szczery. Może to błąd, że tak się zapędziłem, pomyślał. Nie miał jednak czasu, by dłużej rozważać swoją wątpliwość. Trudno mu było wymyślić inne wyjście.

– Dwóch ludzi zostało zabitych... Może trzech.

Mecha ledwo zareagowała. Rozchyliła tylko wargi z dymiącym papierosem, jakby potrzebowała więcej powietrza, żeby oddychać.

– Mają związek z włamaniem do Suzi?

– Częściowo. Raczej tak. Zupełnie.

– Wie o tym policja?

– Myślę, że jeszcze nie. Choć o tej porze może już wiedzieć. Nie znam sposobu, żeby to ustalić.

Palce Mechy lekko drżały, kiedy powoli wyjmowała papierosa z ust.

– Ty ich zabiłeś?

– Nie. – Patrzył na nią bez mrugnięcia, stawiając wszystko na tę jedną kartę. – Żadnego z nich.

Miejsce nie jest specjalnie przyjemne – stara willa z ogrodem pełnym krzaków i chwastów. Leży na przedmieściach Sorrento, pomiędzy Annunziatą i Marciano, wciśnięta między dwa zbocza przesłaniające widok na morze. Dotarli tu fiatem 1300 krętą, wyboistą drogą: mężczyzna o prostych włosach za kierownicą, człowiek w czarnej skórzanej kurtce z tyłu, obok Maxa; a teraz znajdują się w pokoju o zaniedbanych ścianach, gdzie stare malowidła niszczeją na łuszczącym się gipsie pośród plam wilgoci. Jedynym meblowaniem są dwa krzesła i Max siedzi na jednym z nich, pomiędzy dwoma towarzyszami, nadal stojącymi. Jest jeszcze czwarty mężczyzna, który zajmuje to drugie krzesło, na wprost Maxa: blada

cera, gęsty rudawy wąsik i niepokojące stalowe oczy, otoczone oznakami zmęczenia. Z rękawów niemodnej marynarki wystają białe dłonie, wąskie i długie, przywodzące na myśl macki kalmara.

– A teraz – mówi ten człowiek – proszę mi powiedzieć, gdzie się znajduje książka arcyministra Sokołowa.

– Nie wiem, jaką książkę ma pan na myśli – odpowiada Max spokojnie. – Zgodziłem się tu przyjechać, żeby wyjaśnić to dziwne nieporozumienie.

Mężczyzna patrzy na niego bez wyrazu. Na ziemi, oparta o jedną z nóg krzeselka, stoi wytarta teczka z czarnej skóry. W końcu, ruchem lekko leniwym, pochyla się, bierze ją i kładzie sobie na kolanach.

– Dziwne nieporozumienie... Tak pan to nazywa?

– Właśnie.

– Ma pan tupet. Szczerze podziwiam. Choć nie jest to zaskakujące u osoby takiej jak pan.

– Nic pan o mnie nie wie.

Jedna z macek kalmara zatacza w powietrzu zakręconą linię, na kształt znaku zapytania.

– Nie wiem?... Jest pan w poważnym błędzie, panie Costa. Wiemy dużo. Na przykład to, że nie jest pan zamożnym człowiekiem, jakiego udaje, ale szoferem szwajcarskiego obywatela, posiadającego swoją rezydencję w Sorrento. Wiemy też, że nie do pana należy samochód wstawiony do garażu hotelu Vittoria... I to nie wszystko. Wiemy też, że w pana policyjnej kartotece zanotowano przypadki kradzieży, oszustw i inne drobne przestępstwa.

– To niedopuszczalne! Musieliście pomylić osoby.

To będzie właściwy moment, żeby zademonstrować swoje oburzenie, postanawia Max. Robi gest, jakby zamierzał wstać z krzesła, natychmiast

jednak czuje na ramieniu zdecydowaną rękę człowieka w czarnej skórzanej kurtce. Nie jest to jednak wrogi nacisk, zauważa. Raczej perswazja, jakby gest doradzający cierpliwość. Z kolei mężczyzna z rudawym wąsem otwiera teczkę i wyjmuje z niej podróżny termos.

– Wykluczone – stwierdza, zdejmując nakrętkę termosu. – Jest pan tym, kim jest. I proszę, niech pan nie nadweręża mojej inteligencji. Nie śpię od wczoraj, próbując rozwikłać ten cały zamęt. Musiałem sprawdzić pańską przeszłość, zbadać motywy obecności na turnieju Campanelli i związki z kandydatem do tytułu Kellerem. Wszystko.

– Nawet jeśli to prawda, co mam wspólnego z tą książką, o którą pan pyta?

Mężczyzna nalewa do kubka trochę gorącego mleka, wyjmuje z pudełeczka różową drażetkę, którą popija jednym łykiem. Rzeczywiście, wygląda na zmęczonego. Potem lekko kręci głową, jakby odradzał mu uparte przeczenie.

– Pan to zrobił. Wszedł pan na dach i zabrał ją.

– Książkę?

– Właśnie.

Max uśmiecha się chłodno. Z pogardą.

– Tak po prostu?

– Nie było to całkiem proste. Poświęcił pan temu sporo pracy. Rzecz podziwu godna, muszę przyznać. Pełny profesjonalizm.

– Niechże nie będzie pan śmieszny. Mam sześćdziesiąt cztery lata..

– Tak właśnie pomyślałem, kiedy dziś rano dostałem pańskie akta. Ale wychodzi na to, że jest pan w dobrej formie. – Spogląda na zadrapania na rękach Maxa. – Choć widzę, że trochę się pan pokaleczył.

Rosjanin dopija mleko, potrząsa kubkiem i nakłada go z powrotem na termos.

– Poważnie pan ryzykował – ciągnie, chowając termos. – I nie mówię tylko o możliwości przyłapania przez naszych ludzi w budynku, ale też o zejściu po linie z dachu na balkon i o całej reszcie... Nadal się pan nie przyznaje?

– Jakże miałbym się przyznać do podobnych wyczynów?

– Proszę posłuchać – w tonie głosu nadal brzmi perswazja. – Nasza rozmowa ma charakter nieoficjalny. Włoska policja nie została zawiadomiona o kradzieży. Posiadamy własne środki bezpieczeństwa... Wszystko może się stać całkiem proste, jeśli odda nam pan książkę, przy założeniu, że ciągle jeszcze ją pan ma lub że powie nam pan, komu ją oddał. Albo jeśli pan powie, dla kogo pracuje.

Max próbuje szybko myśleć. Być może zwrócenie książki byłoby jakimś rozwiązaniem, jednak równocześnie w ten sposób dostarczyłby Rosjanom dowód, że ich podejrzenia są słuszne. Biorąc pod uwagę, w jaki sposób Moskwa używa propagandy, zastanawia się, jak szybko upublicznią własną wersję sprawy, łącząc Maxa z Jorgem Kellerem, żeby zdyskredytować kandydata. Taki skandal byłby końcem kariery chłopaka, zamknąłby przed nim drogę do walki o tytuł mistrza świata.

– To notatki całego życia arcymistrza Sokołowa – ciągnie człowiek z rudawymi wąsami. – Ważne sprawy zależą od tych materiałów. Przyszłe partie... Proszę zrozumieć, że musimy je odzyskać ze względu na prestiż mistrza świata i dobre imię naszego kraju. To sprawa wagi państwowej. Kradnąc tę książkę, podniósł pan rękę na Związek Radziecki.

– Ale ja nie mam tej książki ani nigdy jej nie miałem. Nigdy nie wszedłem na dach ani do żadnego pokoju poza własnym.

Zmęczone oczy Rosjanina obserwują Maxa z zaciekawieniem i wytrwałością budzącymi niepokój.

– Czy to pańskie ostatnie słowo, na razie?

Sformułowanie „na razie” robi jeszcze groźniejsze wrażenie niż jego szare metaliczne oczy, choć towarzyszy mu niemal przyjacielski uśmiech. Max czuje, że jego pewność się chwieje. Sytuacja zaczyna przekraczać jego przewidywania.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym panu powiedzieć... Poza tym nie macie prawa mnie tu trzymać. Nie jesteśmy za żelazną kurtyną.

Ledwo wypowiedział te słowa, wie, że popełnił błąd. Ostatni ślad uśmiechu znika z ust jego rozmówcy.

– Proszę pozwolić, że coś panu powiem, panie Costa... Moja znajomość szachów jest, powiedzmy, kwestią poboczną. Natomiast rzeczywiście specjalizuję się w przemianach spraw skomplikowanych w proste... Moją funkcją u boku arcymistrza Sokołowa jest zapewnianie normalnego przebiegu rozgrywkom, w których bierze on udział. Gwarantowanie spokoju w jego otoczeniu. Do tej pory moja praca przebiegała bez zarzutu pod tym względem. Pan jednak tę normalność zakłócił. Stawia mnie pan w trudnej sytuacji, rozumie pan? Wobec szachowego mistrza świata, wobec moich szefów i wobec mojej własnej opinii zawodowej.

Max stara się maskować opanowującą go panikę. Wreszcie udaje mu się otworzyć usta i wyartykułować pięć słów.

– Proszę mnie zabrać na policję.

– Na wszystko przyjdzie czas. Na razie to my jesteśmy policją.

Rosjanin patrzy na mężczyznę o prostych włosach i Max czuje z lewej strony głowy brutalny, niespodziewany cios, pod którym bębenek w uchu dźwięczy tak, jakby właśnie pękł. Nagle leży na ziemi, przewrócone krzesło, twarz przyklejona do płyt podłogi. Oszołomiony, słyszy taki szum w głowie, jakby była jakimś szalonym ulem.

– Znajdziemy wygodniejszą pozycję, panie Costa – słyszy głos, który wydaje się dobiegać z bardzo daleka – do dalszej pogawędki.

Kiedy Mecha Inzunza zgasła silnik samochodu, wycieraczki też przestały działać i szyba zmatowiała pod kroplami deszczu, zniekształcając taksówki i dorożki stojące przed potrójnym łukiem wejścia na dworzec kolejowy. Choć jeszcze nie zapadła noc, latarnie na placu były zapalone; ich elektryczne światła mnożyły się na mokrym asfalcie w ołowianym odbiciu wieczoru zapadającego nad Niceą.

– Tu się pożegnamy – powiedziała Mecha.

Zabrzmiało to sucho. Bezosobowo. Max przyglądał się jej nieruchomemu profilowi, lekko pochylonemu nad kierownicą. Wzrok kobiety utkwiony był gdzieś na zewnątrz.

– Daj mi papierosa.

Sięgnął po papierośnicę do kieszeni płaszcza, zapalił abdul paszę i wsunął go w usta Mechy. Chwilę paliła w milczeniu.

– Myślę, że nieprędko się spotkamy – odezwała się w końcu.

To nie było pytanie. Max wykrzywił usta.

– Nie wiem.

– Co będziesz robił po przyjeździe do Paryża?

– Nadal będę w ruchu. – Grymas na twarzy pogłębił się. – Czym innym jest stabilny cel, a zupełnie czym innym cel ruchomy. Im bardziej będę im wszystko utrudniał, tym lepiej.

– Czy istnieje możliwość, że zrobią ci krzywdę?

– Może... Tak. Taka możliwość istnieje.

Odwróciła się do niego, rękę z dymiącym papierosem oparła na kierownicy. Krople wody plamiły jej twarz, wpadając przez szyby nakrapiane deszczem.

– Nie chciałabym, żeby cię skrzywdzili, Max.

– Nie zamierzam im tego ułatwiać.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co zabrałaś z domu Suzi Ferriol. Co sprawia, że nie jest to zwykła kradzież? Ernesto Keller mówił o pieniądzach i dokumentach.

– Nie musisz wiedzieć nic więcej. Po co masz być w to zamieszana?

– Już jestem. – Gestem objęła ich oboje, samochód i dworzec. – Jak widzisz.

– Im mniej będziesz wiedzieć, tym mniej będzie cię to dotyczyło. To papiery. Listy.

– Kompromitujące?

Max uprzedził oczywistą pogardę pytania.

– Nie tego rodzaju – powiedział. – Szantaż nie jest moją specjalnością.

– A pieniądze? Czy to prawda, że zabrałaś pieniądze?

– Też.

Mecha powoli pokiwała głową, kilka razy. Jakby potwierdzała własne myśli. A miała, obawiał się Max, dużo czasu do myślenia.

– Dokumenty Suzi... Co w nich może cię interesować?

– Należą do jej brata.

– W takim razie, uważaj – jej ton stał się suchy. – Tomás Ferriol nie należy do tych, którzy nadstawiają drugi policzek. I zbyt wysoko gra, żeby sobie pozwolić, by ktoś...

– Byle kto?

Mecha dokończyła papierosa, ignorując bezczelny uśmiezek Maxa. Potem pokręciła korbką otwierającą szybę w drzwiach i wyrzuciła niedopałek na zewnątrz.

– Nie będzie tolerował, żeby mu przeszkadzał ktoś taki jak ty.

– Wielu osobom przeszkadzałem w ostatnich dniach, mam wrażenie. Staną w kolejce, żeby dostać moją głowę.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Max popatrzył na zegarek na ręce: szósta pięćdziesiąt. Brakowało czterdziestu minut do odjazdu pociągu, który jechał z Monako, i lepiej było nie czekać na peronie, wystawiając się na niepotrzebne spojrzenia. Zarezerwował telefonicznie jednoosobowy przedział w pierwszej klasie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, rano będzie w Paryżu – wyspany, ogolony i świeży. Znów gotowy stawić czoło życiu.

– Kiedy wszystko się uspokoi, będę próbował negocjować – dodał. – Jakoś wykorzystać to, co znalazło się w moich rękach.

– To zabawne... Znalazło się, mówisz. Jakby spadło z nieba.

– Ja tego sam nie szukałem, Mecha.

– Masz ze sobą te dokumenty?

Zawahał się na chwilę. Po co jeszcze bardziej ją angażować.

– Wszystko jedno – powiedział. – Do niczego ci nie służy ta informacja.

– Myślałeś, żeby oddać je Ferriolowi? Dojść z nim do porozumienia?

– Oczywiście, że myślałem. Ale zbytne zbliżenie z nim jest ryzykowne.

Poza tym są jeszcze inni możliwi klienci.

– Klienci?

– Jest takich dwóch. A raczej było. Dwóch Włochów. Teraz nie żyją... To absurd, ale czasem mam wrażenie, że jestem im coś winien.

– Jeśli nie żyją, już nic nie jesteś im winien.

– Jasne... Im już nic. A jednak...

Zmrużył oczy i przypominał sobie. Biedacy. Szum deszczu, strugi wody spływające po szybach jeszcze wzmagaly jego melancholię. Znów popatrzył na zegarek.

– A co z nami, Max? Jesteś mi coś winien?

– Zobaczymy się, kiedy wszystko ucichnie.

– Może już mnie tu nie być. Może mój mąż zostanie wymieniony za kogoś. Mówi się też coraz więcej o kolejnej wojnie w Europie... Wszystko może się zmienić. Zniknąć.

– Muszę już iść – powiedział.

– Nie wiem, gdzie będę, kiedy wszystko, jak mówisz, ucichnie. Albo się skomplikuje.

Max położył rękę na klamce drzwiczek. Naraz zatrzymał się, jakby wyjście z samochodu oznaczało zatopienie się w próżni. Wstrząsnął nim dreszcz, poczuł się nagle słaby. Wystawiony na samotność i deszcz.

– Nie jestem zbyt czytany – powiedział, namyślając się. – Wolę kino. Kartkuję tylko krótkie opowiadania w podróży albo w hotelach, z tych, jakie są drukowane w magazynach... Ale jedną rzecz zapamiętałem na zawsze. Pewien poszukiwacz przygód mawiał: „Żyję z mojej szabli i mojego konia”.

Dokonywał wysiłku, żeby uporządkować myśli, szukając słów, które wyraziłyby dokładnie to, co starał się wyrazić. Kobieta słuchała w milczeniu, bez ruchu. W przerwach rozmowy słychać było tylko stukot kropel o maskę samochodu. Teraz bardzo powolny. Jakby Bóg płakał.

– Ze mną jest podobnie. Żyję z tego, co mam przy sobie. Z tego, co spotkam po drodze.

– Wszystko ma swój koniec – powiedziała łagodnie.

– Nie wiem, jaki będzie koniec, ale znam początek... Jako dziecko miałem niewiele zabawek, prawie wszystkie zrobione z pomalowanych puszek i pudełek po zapałkach. Czasem w niedzielę ojciec zabierał mnie na poranki do kina „Wolność”, seans kosztował trzydzieści centavos, dostawało się w prezencie cukierki i losy na loterię, w której nigdy nic nie wygrałem. Na ekranie, przy akompaniamencie muzyki granej przez

pianistę, widziałem nakrochmalone białe gorsy, dobrze ubranych mężczyzn, piękne kobiety, samochody, przyjęcia i lampki szampana...

Znów wyciągnął z kieszeni elegancką szylkretową papierośnicę, choć nie otworzył jej. Tylko się nią bawił, przejeżdżając palcem po złotych inicjałach MC, inkrustowanych w jednym z rogów.

– Zazwyczaj stawałem – ciągnął – przed cukiernią na ulicy California i wpatrywałem się w wystawę pełną ciastek, tortów, ciast... Albo szedłem bawić się na brzeg Riachuelo do La Boca, gdzie przyglądałem się marynarzom schodzącym ze statków: mężczyznom z tatuażami na ramionach, pochodzącym z miejsc, które wydawały mi się fascynujące.

Nagle przerwał zakłopotany. Właśnie zdał sobie sprawę, że mógłby ciągnąć tego typu wspomnienia w nieskończoność. Miał też świadomość, że nigdy przedtem tak dużo nie opowiadał o sobie. Nikomu. Nigdy nie było rzeczywistych wspomnień, prawdy.

– Są tacy ludzie, którzy marzą, żeby wyjechać, i mają odwagę. Ja to zrobiłem.

Mecha słuchała w milczeniu, jakby nie chciała przerwać cienkiej nici jego zwierzeń. Max westchnął głęboko, niemal z rozpaczą, i schował papierośnicę.

– Pewnie, że wszystko ma koniec, tak jak powiedziałaś. Ale nie wiem, gdzie jest ten mój.

Przestał patrzeć na światła i niewyraźne sylwetki na zewnątrz, odwrócił się do niej i całkiem naturalnie pocałował ją. Delikatnie. W usta. Mecha była mu powolna, nie odrzucała tego kontaktu. Delikatne ciepło, wilgotne, przez które Maxowi deszczowy pejzaż na zewnątrz wydał się jeszcze bardziej ponury. Potem, kiedy cofnął nieco twarz, patrzyli sobie w oczy, bardzo blisko siebie.

– Nie musisz wyjeżdżać – powiedziała bardzo cicho. – Tu jest tysiąc różnych miejsc... Blisko mnie.

Teraz on cofnął się nieco. Nie przestawał patrzeć na nią.

– W moim świecie – odezwał się – wszystko jest cudownie proste: jestem tym, kim zostawione przez mnie napiwki mówią, że jestem. I jeśli jedna tożsamość się popsuje albo wyczerpie, następnego dnia mam inną. Żyję na kredyt u obcych, bez specjalnego żalu i bez większych złudzeń.

– Mogłabym to zmienić... Nie pomyślałeś o tym?

– Posłuchaj. Dawno temu byłem na przyjęciu w pewnej willi, pod Weroną. Bardzo zamożni ludzie. Przy deserze, zachęceni przez gospodarzy goście zaczęli pośród śmiechów zdrapywać ze ścian gips, używając srebrnych łyżeczek do kawy, i odkryli freski namalowane pod spodem. Patrzyłem na nich, myśląc o absurdalności tego wszystkiego. I o tym, że nigdy nie mógłbym się czuć tak jak oni. Z ich srebrnymi łyżeczkami i malowidłami ukrytymi pod gipsem. I z ich śmiechem.

Przerwał na chwilę, żeby otworzyć okno i odetchnąć świeżym, wilgotnym powietrzem. Na murach dworca wisiały pośród plakatów reklamowych afisze polityczne Akcji Francuskiej i Frontu Ludowego; slogany ideologiczne pomiędzy reklamami bielizny, płynu do zębów i następnej premiery filmowej, pod tytułem *Abus de confiance*.

– Kiedy widzę te wszystkie czarne, brunatne, czerwone czy niebieskie koszule, z żądaniami, żeby zapisać się tu czy tam, myślę, że dawniej świat należał do bogatych, a teraz będzie należał do rozgoryczonych... Ja nie jestem ani taki, ani taki. Nie czuję nawet żalu, choćbym się starał. A mogę przysiąc, że próbuję.

Znów spojrzał na kobietę. Słuchała go ciągle bez ruchu. Posępnie.

– Myślę, że w dzisiejszym świecie jedyną możliwą wolnością jest obojętność – stwierdził Max. – Dlatego będę żył z mojej szabli i z mojego

konia.

– Wsiądź z samochodu.

– Mecha...

Kobieta odwróciła wzrok.

– Spóźnisz się na pociąg.

– Kocham cię. Tak myślę. Ale miłość nie ma nic wspólnego z tym wszystkim.

Mecha uderzyła obiema rękami w kierownicę.

– Idźże już wreszcie. Niech cię szlag.

Max włożył kapelusz i wysiadł z samochodu, zapinając płaszcz. Z tyłu wyjął walizkę i torbę podróżną i ruszył, nie otwierając ust i nie patrząc za siebie, pomiędzy kroplami deszczu. Czuł ogromny, przygnębiający smutek, rodzaj zapowiadającej się nostalgii za czymś, za czym kiedyś będzie się tęsknić. Przy wejściu na stację oddał bagaż chłopcu bagażowemu i szedł za nim pośród innych ludzi w stronę okienek kas biletowych. Potem poszedł za chłopcem w kierunku konstrukcji ze szkła i stali, przykrywającej perony. W tym momencie wśród kłębów pary wtoczyła się lokomotywa ciągnąca za sobą jakiś tuzin wagonów w ciemnoniebieskim kolorze ze złotym pasem namalowanym poniżej okien i z napisem „Compagnie Internationale des Wagons-Lits”. Metalowe wywieszki po obu stronach ukazywały trasę Monako – Marsylia – Lyon – Paryż. Max rozejrzał się wokół w poszukiwaniu niepokojących znaków. Dwóch żandarmów w ciemnych mundurach spokojnie rozmawiało przed drzwiami poczekalni. Wszystko wyglądało bezpiecznie, stwierdził, nikt specjalnie nie zwracał na niego uwagi. Choć to nie była żadna gwarancja.

– Który wagon, proszę pana? – zapytał bagażowy.

– Numer dwa.

Wsiadł do pociągu, oddał konduktorowi bilet razem ze stufrankowym banknotem – niezawodna metoda, żeby zyskać jego życzliwość na czas podróży – i kiedy kolejarz salutował do daszka swojego kepi, zginając się w pas w ukłonie, podał dwadzieścia franków chłopcu.

– Dziękuję panu.

– Nie, mój przyjacielu. To ja dziękuję panu.

Wszedłszy do przedziału, zamknął za sobą drzwi i nieco odsunął zasłonę, tylko na tyle, żeby raz jeszcze rozejrzeć się po peronie. Żandarmi nadal gawędzili w tym samym miejscu i nie zobaczył niczego niepokojącego. Ludzie żegnali się i wsiadali do pociągu. Była tam grupa zakonnicy machających chustkami i pewna atrakcyjna kobieta obejmująca mężczyznę przed wejściem do wagonu. Max zapalił papierosa i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Kiedy pociąg ruszył, podniósł wzrok na walizkę umieszczoną w siatce na bagaże. Pomyślał o listach ukrytych pod podszewką. I o tym, że chciałby dożyć, najlepiej na wolności, momentu, kiedy się z nimi rozstanie. Mecha Inzunza już została wymazana z jego pamięci.

Ból, właśnie to stwierdza Max, wcześniej czy później osiąga taki pułap, w którym jego natężenie przestaje się liczyć. Taki stan, w którym nie ma różnicy między dwudziestoma ciosami i czterdziestoma. Od tego momentu boli nie każdy kolejny cios, ale przerwy pomiędzy nimi. Bo torturą najtrudniejszą do zniesienia nie jest bicie, ale te chwile kiedy kat przerywa swoją robotę, żeby odetchnąć. Wtedy obolałe ciało cierpnie na myśl o biciu, odpręża się i rzeczywiście przeżywa ból, którego doświadczyło. Rezultat całego uprzedniego procesu.

– Książka, Max... Gdzie masz książkę?

Na tym etapie nierównej rozmowy – torturowanie dopuszcza także stosowanie innych swobód natury towarzyskiej – człowiek z rudawym wąsem, o rękach przypominających macki kalmara, zamienił formę pan na tykanie. Jego głos dociera do Maxa zniekształcony, z daleka, bo ma głowę nakrytą mokrym ręcznikiem, który zasłania mu powietrze, tłumi jęki i pochłania część ciosów, jakie dostaje, po to, żeby na jego ciele przywiązany do krzesła nie pozostały otwarte rany ani widoczne obrażenia. Reszta ciosów dosięga go w brzuch i żołądek, odsłonięte w pozycji, do której zmuszają go jego pęta. Wymierzają je człowiek z prostymi włosami i ten w czarnej skórzanej kurtce. Wie, że to oni, bo od czasu do czasu zdejmują mu ręcznik i zbolalymi, pełnymi łez oczami niewyraźnie widzi ich postacie przy sobie, jak rozcierają sobie kostki, podczas gdy ten trzeci obserwuje go, siedząc.

– Książka. Gdzie ona jest?

Właśnie zdjęli mu ręcznik z głowy. Max zachłannie wdycha powietrze, które dociera do jego zmaltretowanych płuc, choć każdy wdech pali go tak, jakby wnikał poprzez obdarte ze skóry ciało. Zamroczone oczy w końcu widzą wyraźnie twarz mężczyzny z rudawym wąsem.

– Książka – powtarza on. – Powiedz, gdzie ją masz, wtedy skończymy to raz na zawsze.

– Nie wiem... nic... o książkach.

Na własny rachunek, bez niczyjego polecenia i jako osobisty wkład do procesu, mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce serwuje nagłego kopniaka w podbrzusze Maxa. Ten zwija się w pętach, a nowy ból wybucha od dołu do góry, w pachwinach i w piersi, chciałby się skulić, choć na próżno, bo ramiona, tułów i nogi ma przywiązane do krzesła. Nagle zimny pot pokrywa mu ciało, a po kilku sekundach, po raz trzeci od kiedy wszystko się zaczęło, wymiotuje gorzką żółcią, która spływa mu po brodzie na

koszulę. Ten, który go uderzył, patrzy na niego z niesmakiem i odwraca się do mężczyzny z rudawym wąsem, oczekując nowych instrukcji.

– Książka, Max.

Jeszcze bez tchu, przeczy ruchem głowy.

– Coś takiego – pojawia się odrobina chłodnego podziwu w głosie Rosjanina. – Dziadek struga twardziela... W jego wieku.

Następny cios w to samo miejsce. Max znów się zwija w kolejnym spazmie bólu, jakby coś ostrego przewiercało mu wnętrzności. W końcu, po kilku sekundach agonii, nie może się powstrzymać i krzyczy – krótki, zwierzęcy skowyt, który przynosi mu nieco ulgi. Tym razem skurcze nie kończą się wymiotami. Głowa opada Maxowi na pierś, oddycha z bólem, nierówno. Szczęka zębami z powodu potu, który wydaje się zamarzać pod mokrym ubraniem w każdym z porów jego skóry.

– Książka... Gdzie ona jest?

Unosi nieco twarz. Jego serce kłusuje nieregularnie, raz z dłuższymi przerwami pomiędzy kolejnymi skurczami, to znów gwałtownie przyspieszając. Jest przekonany, że umrze w ciągu najbliższych minut, i zaskakuje go własna obojętność. Jego otepiała rezygnacja. Nigdy nie sądził, że tak to będzie wyglądało, myśli w chwili przytomności umysłu. Odejdzie ogłuszony przez ciosy, jak ktoś, kto pozwala unieść się strumieniowi w noc. Tak właśnie będzie. Przynajmniej na to wygląda. Kiedy ból i zmęczenie łamią mu ciało, jest to bardziej obietnica ulgi niż cokolwiek innego. Odpoczynek, w końcu. Długi, ostateczny sen.

– Gdzie jest książka, Max?

Kolejny cios, tym razem w pierś, a po nim eksplozja bólu, który wydaje się miażdżyć mu kręgosłup. Znów dostaje torsji, choć nie ma już nic, co mógłby zwymiotować. Bezwiednie oddaje mocz, plami spodnie, czuje ostre pieczenie, które wyrywa mu śmiertelny jęk z trzewi. Koszmarny ból głowy

zgniatą mu skronie, a splątane myśli zostawiają niewiele miejsca na spójne obrazy. Zamglone spojrzenie identyfikuje tylko białe pustynie, oślepiające błyski, ogromne przestrzenie, falujące niczym ciężka rtęć. A może pustka. Albo nicość. Chwilami, niby ulotne fragmenty, pojawiają się w tej nicości dawne obrazy Mechy Inzunzy, luźne kawałki przeszłości, dziwne dźwięki. Najczęściej powtarza się stukot trzech kul z kości słoniowej, uderzających o siebie na stole bilardowym – delikatny, monotony dźwięk, niemal przyjemny, który przynosi Maxowi dziwny spokój. Dodaje koniecznej siły, żeby podnieść brodę i spojrzeć w stalowe oczy człowieka siedzącego naprzeciwko.

– Schowałem ją... w cipie... twojej matki.

Po ostatnim słowie spluwa słabo w kierunku mężczyzny. Krótkie splunięcie, zakrwawione i żałosne, które nie osiąga celu i spada na ziemię, między jego własnymi kolanami. Człowiek o rudawym wąsie przygląda się ślinie na ziemi z zadziwioną miną. Zamyślony.

– Przyznaję, dziadku. Masz jaja.

Potem daje znak pozostałym dwóm, którzy znów nakrywają głowę Maxa mokrym ręcznikiem.

Błękitny Ekspres przecina noc, jadąc na północ, pozostawia w tyle Niceę i jej niebezpieczeństwa. Po wypiciu ostatniego łyku czterdziestoosmioletniego armaniaku i wytarciu ust serwetką Max położył na stole napiwek i wyszedł z wagonu restauracyjnego. Kobieta, z którą dzielił stół, wstała pięć minut wcześniej, oddalając się w kierunku tego samego co Max wagonu numer dwa. Przypadek sprawił, że spotkali się na pierwszej turze kolacji, zauważył ją wcześniej na stacji, jak obejmowała mężczyznę przed odjazdem pociągu. Była Francuzką, miała jakieś czterdzieści lat, z naturalną elegancją nosiła kostium, który wprawne oko

Maxa zidentyfikowało jako rzecz od Maggy Rouff, a jego zawodowemu, instynktownemu spojrzeniu nie umknęła złota obrączka, którą obok pierścionka z szafirem kobieta nosiła na lewej ręce. Nie było żadnej rozmowy, kiedy usiadł naprzeciwko niej, poza koniecznym *bonsoir*. Jedli w milczeniu, wymieniając od czasu do czasu krótkie konwencjonalne uśmiechy, kiedy spotkały się ich spojrzenia lub kiedy kelner ponownie napełniał winem ich kieliszki. Była atrakcyjna, stwierdził, biorąc z talerza serwetkę – duże oczy, wąskie brwi zabarwione ołówkiem i stosowny ślad krwistego karminu na wargach. Skończywszy filet *de bœuf-forestière*, odmówiła deseru i wyjęła paczkę gitanes'ów. Max pochylił się nad stołem, żeby podać jej ogień swoją zapalniczką. Miał pewien kłopot, żeby otworzyć wygiętą pokrywę, i pierwsze słowa wymienione na ten temat utorowały drogę powierzchownej, uprzejmej rozmowie: Nicea, deszcz, zimowy sezon, turystyka związana z płatnymi urlopami, Wystawa Międzynarodowa kończąca się właśnie w Paryżu. Przełamane pierwsze lody, przeszli do innego typu spraw. Rzeczywiście, mężczyzna, z którym żegnała się na peronie, był jej mężem. Mieszkali w Cap Ferrat niemal przez cały rok, choć każdego miesiąca spędzała tydzień w Paryżu ze względów zawodowych, była szefową działu mody magazynu „Marie Claire”. Pięć minut później kobieta zaśmiewała się, słuchając przygód Maxa, i patrzyła na jego usta, kiedy mówił. Nigdy nie myślał pan, żeby zostać modelem męskich strojów? – zapytała nieco później. W końcu spojrzała na swój maleńki zegarek na ręce, rzuciła komentarz o tym, jak późno się zrobiło, pożegnała się z szerokim uśmiechem i opuściła wagon restauracyjny. Bardzo miłym trafem zajmowali sąsiednie przedziały – numer 4 i numer 5. Przypadki w pociągach i w życiu.

Max przeszedł przez wagon z salonem barowym – o tej porze panowało tam ożywienie niczym u Ritza, minął platformę między wagonami, gdzie

głośniej słychać było turkot kół i monotony stukot dyferencjałów, zatrzymał się przy budce konduktora przeglądającego listę dziesięciu przedziałów, jakimi się zajmował, używając małej lampki, w świetle której błyskały złote lwy na kieszonce jego munduru. Konduktor był niskim, łysym mężczyzną, wąsatym i miłym, z blizną na czaszce, która – jak się dowiedział później Max, zapytawszy – pojawiła się wskutek rany od odłamka kuli, odniesionej nad Sommą. Porozmawiali chwilę o ranach wojennych, potem o wagonach sypialnych, pulmanach, pociągach i międzynarodowych liniach. Max wyjął papierośnicę we właściwym momencie, pozwolił, by konduktor podał mu ogień od zapalniczki wyjętej z pudełka z logotypem towarzystwa kolejowego, i kiedy skończyli papierosa i zwierzenia, każdy mijający ich pasażer myślałby, że się przyjaźnią od dziecka. Pięć minut później Max spojrzał na zegarek i tonem kogoś, kto zrobiłby podobną rzecz dla drugiego, poprosił konduktora, by swoim kluczem otworzył drzwi łączące przedziały numer 4 i 5.

– Nie mogę tego zrobić – słabo zaprotestował pracownik. – Regulamin tego zabrania.

– Wiem, drogi przyjacielu... Ale wiem, że zrobi pan to dla mnie.

Temu zdaniu towarzyszył dyskretny gest, niemal obojętny, którym włożył w dłoń rozmówcy dwa banknoty stufrankowe, niemal identyczne z tymi, które dał mu jako napiwek, wsiadając do pociągu w Nicei. Konduktor wahał się chwilę, choć wyraźnie widać było, że zastanawia się, jak z honorem ominąć zasady Compagnie Internationale des Wagons-Lits. W końcu wsunął banknoty do kieszeni i włożył na głowę kepi gestem światowca.

– Śniadanie o siódmej, proszę pana? – zapytał całkiem naturalnie, kiedy szli korytarzem.

– Tak. To doskonała pora.

Nastąpiła ledwo zauważalna przerwa.

– Serwis dla jednej czy dwóch osób?

– Dla jednej, jeśli pan tak uprzejmy.

Słyszając to, konduktor, który dotarł przed drzwi Maxa, spojrział na niego z wdzięcznością. Czuł się uspokojony – dało się to wyczytać w jego oczach – że można jeszcze pracować z dżentelmenami zachowującymi dobre maniery.

– Naturalnie, proszę pana.

Tej nocy, podobnie jak następnych, Max niewiele spał. Kobieta nazywała się Marie-Chantal Héliard; była zdrowa, namiętna i zabawna, odwiedzał ją przez cztery dni, jakie spędził w Paryżu. Była mu bardzo przydatna jako ewentualne alibi, poza tym udało mu się dostać od niej dziesięć tysięcy, które dodał do tych trzydziestu, jakie wziął z sejfu Tomasa Ferriola. Piątego dnia, po poważnym zastanowieniu się nad własną najbliższą przyszłością, Max podjął wszystkie pieniądze, jakie wcześniej złożył w Barclays Banku w Monte Carlo. Następnie kupił w biurze Cooka na rue de Rivoli bilet na pociąg do Hawru i drugi bilet, w pierwszej klasie, na transatlantyk Normandie do Nowego Jorku. Po zapłaceniu rachunku w hotelu Le Meurice włożył do grubej koperty listy hrabiego Ciano i wysłał je przez posłańca do włoskiej ambasady. Nie dołożył żadnego listu, kartki ani wyjaśniającego biletu. Jednak zanim zostawił kopertę recepcjoniście w hotelu, zatrzymał się na chwilę i uśmiechnął do swoich myśli. Następnie wyjął z kieszeni wieczne pióro i napisał na niej wielkimi literami w miejscu nadawcy nazwiska Maura Barbaresca i Domenica Tignanella.

Max stracił poczucie czasu. Po ciemności i bólu, przesłuchaniu i bezustannych ciosach jest zaskoczony, że do pokoju wpada jeszcze światło z zewnątrz, kiedy znów zdejmują mu mokry ręcznik z głowy. A ta boli

koszmarnie, tak bardzo, że oczy wydają się wychodzić z orbit przy każdym, nierównym pulsie krwi w skroniach i w sercu. Jednak od dobrej chwili nie biją go. Słyszy głosy mówiące po rosyjsku i rozróżnia niewyraźne postacie, kiedy jego oczy przyzwyczajają się do jasności. Gdy wreszcie udaje mu się zobaczyć je dokładnie, odkrywa, że w pokoju jest jeszcze piąty mężczyzna – jasnowłosy, przysadzisty, o wodnistoniebieskich oczach, które przyglądają mu się zaciekawione. Wygląd mężczyzny wydaje mu się znajomy, choć w obecnym stanie nie jest zdolny uporządkować wspomnień ani myśli. Po chwili blondyn przybiera minę niedowierzania i dezaprobaty. Potem kręci głową i zamienia kilka słów z mężczyzną z rudawym wąsem, który już nie siedzi na swoim krześle, tylko stoi i też patrzy na Maxa. Wygląda na to, że temu z wąsem nie podoba się to, co słyszy, odpowiada bowiem z irytacją i ze zniecierpliwieniem na twarzy. Ten drugi nalega, dyskusja staje się głośniejsza. Wreszcie blondyn wypowiada słowa, które zdają się rozkazem, kategorycznym i suchym, po czym wychodzi z pokoju w tym samym momencie, w którym Max rozpoznaje w nim arcymistrza Michaiła Sokołowa.

Ten z wąsem podchodzi do Maxa. Przygląda mu się krytycznie, jakby szacował straty. Muszą nie wydawać mu się nadmierne, bo wzrusza ramionami i kieruje kilka pełnych złości słów do swoich towarzyszy. Max znów się napręża, oczekując mokrego ręcznika i kolejnych ciosów; jednak nie dzieje się nic takiego. Człowiek o gładkich włosach przynosi szklanę wody i zbliża ją gwałtownie do ust więźnia.

– Masz dużo szczęścia – stwierdza ten z wąsem.

Max pije zachłannie, rozlewając wodę. Potem, kiedy płyn ścieka mu jeszcze po brodzie i piersi, patrzy na tego drugiego, który przygląda mu się z ponurą miną.

– Jesteś złodziejem, oszustem i osobą niepożądaną, z kryminalną przeszłością – mówi Rosjanin, zbliżając twarz tak bardzo, że niemal dotyka twarzy Maxa. – Jeszcze dziś, w swojej klinice nad jeziorem Garda, twój szef doktor Hugentobler zostanie poinformowany o wszystkim. Dowie się też, że pyszniłeś się w całym Sorrento jego ubraniami, jego pieniędzmi i jego rolls-royce'em. I co najważniejsze: Związek Radziecki nigdy nie zapomni tego, co zrobiłeś. Gdziekolwiek się znajdziesz, wszędzie będziemy ci utrudniać życie. Aż któregoś dnia ktoś zapuka do twoich drzwi, żeby skończyć to, czego my nie zrobiliśmy... Chcemy, żebyś o tym myślał każdej nocy, zasypiając, i każdego ranka, otwierając oczy.

Powiedziawszy to, mężczyzna z rudawym wąsem daje znak temu w czarnej skórzanej kurtce, w rękach którego słychać trzask otwierającego się noża. Ciągle otumaniony, jakby unosił się w obłoku mgły, Max czuje, że przecina mu pęta. Nieoczekiwana zmiana powoduje, że wydaje krótki jęk, po czym ćmiący ból zostaje przerwany dreszczem, jaki przebiega po jego zdrętwiałych rękach i nogach.

– A teraz wynoś się stąd i poszukaj sobie jakiejś naprawdę głębokiej dziury, żeby się ukryć, dziadku... I choćbyś miał jeszcze długo żyć, od dziś jesteś skończony. Jesteś trupem.

13. RĘKAWICZKA I NASZYJNIK

Z ogromnym wysiłkiem tutaj dotarł. Instynktownym gestem poprawia ubranie i stukając do drzwi, Max przygląda się swojemu odbiciu w lustrze na korytarzu, żeby sprawdzić rozmiar widocznych szkód. Żeby ustalić, jak bardzo się posunęły ból, starość i śmierć od ostatniego razu. Jednak w jego wyglądzie nie ma niczego nadzwyczajnego. Mokry ręcznik, stwierdza, patrząc w lustro z mieszaniną goryczy i ulgi, spełnił swoje zadanie: jedynymi śladami zajścia na jego bladej twarzy są fioletowe kręgi zmęczenia pod zapuchniętymi oczami. Oczy są zaczerwienione i rozgorączkowane, białka przekrwione, jakby setki drobniutkich żyłek popękało w ich wnętrzu. Najgorsze jednak jest niewidoczne, stwierdził, kiedy przy ostatnich krokach w stronę pokoju Mechy Inzunzy musiał się zatrzymać i oprzeć ręką o ścianę, żeby złapać oddech. Powolny, nieregularny puls męczy go, zmuszając przy każdym kroku do nadludzkiego wysiłku, skutkując zimnym potem zlewającym go pod ubranie, którego dotyk niemal rozdziera jego obolałą skórę. Fatalne samopoczucie sprawia, że jego kroki są niepewne, co udaje mu się maskować tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi woli idąc prosto przez hotelowy hol. Czuje przede wszystkim ogromne, niepoahamowane pragnienie, żeby się położyć gdziekolwiek, zamknąć oczy i długo spać. Zatopić się w spokoju i pustce, przyjemnie spokojnych jak śmierć.

– O mój Boże... Max.

Kobieta stoi w drzwiach pokoju, patrzy na niego przerażona. Uśmiech, który Max z całym wysiłkiem stara się utrzymać na twarzy, absolutnie jej nie uspokaja, szybko ujmuje go pod ramię, podtrzymując wbrew jego słabemu protestowi, kiedy z ogromnym wysiłkiem próbuje postawić następnych parę kroków bez jej pomocy.

– Co się dzieje? Jesteś chory?... Co ci się stało?

Nie odpowiada. Droga do łóżka wydaje mu się nieskończenie daleka, uginają się pod nim kolana. W końcu zdejmuje marynarkę i siada na kołdrze z niesłychaną ulgą, krzyżując ręce na brzuchu i powstrzymując jęk bólu, kiedy zgina ciało.

– Co ci zrobili? – Mecha wreszcie pojmuje, co się stało.

Nie pamięta, żeby się kładł, ale teraz leży twarzą do góry. Mecha siedzi na brzegu łóżka, z jedną ręką na jego czole, a drugą mierzy mu puls, patrząc na niego z troską.

– Rozmowa – udaje się wreszcie Maxowi wydobyć zdławiony głos. – To była tylko... rozmowa.

– Z kim?

Wzrusza ramionami obojętnie. Uśmiech towarzyszący temu gestowi znika jednak na zmarszczonej twarzy.

– Wszystko jedno z kim.

Mecha wyciąga rękę w stronę telefonu stojącego na szafce nocnej.

– Zadzwońię po lekarza.

– Zostaw lekarzy. – Chwyta ją słabo za rękę. – Jestem tylko zmęczony... Za chwilę już będzie dobrze.

– Czy to była policja? – Jej niepokój wydaje się mieć związek nie tylko ze stanem zdrowia Maxa. – Czy to ludzie Sokołowa?

– Żadnej policji. Póki co wszystko zostało w rodzinie.

– Cholerne świnię!

Max stara się ułożyć na twarzy stoicki uśmiech, ale osiąga jedynie krzywy grymas.

– Postaw się na ich miejscu – usprawiedliwia ich. – Niezła kabała.

– Zgłoszą kradzież?

– Nie odniosłem takiego wrażenia. – Dotyka ostrożnie obolałego brzucha. – Właściwie miałem przeciwne wrażenie.

Mecha patrzy na niego, jakby nie rozumiała. Wreszcie kiwa głową, głaszcząc go czule po zmierzwionych siwych włosach.

– Dotarła przesyłka? – pyta Max.

– Oczywiście, że dotarła. Jest dobrze schowana.

Nic prostszego, mówi Max w duchu. Niewinna paczka w ręku Tiziano Spadaro na nazwisko Mercedes Inzunzy, przyniesiona do pokoju przez hotelowego boya. Stare sposoby załatwiania spraw. Sztuka prostoty.

– Czy twój syn wie?... Wie, co zrobiłem?

– Wolę zaczekać, aż skończy się turniej. Dość ma kłopotów z Iriną.

– A co z nią? Czy już wie, że ją rozszyfrowaliście?

– Jeszcze nie. I mam nadzieję, że długo jeszcze niczego nie będzie podejrzewać.

Bolesny, nagły skurcz wywołuje jęk Maxa. Kobieta próbuje rozpiąć mu mokrą od potu koszulę.

– Pozwól, niech zobaczę, co tam masz.

– Nic – protestuje Max, odsuwając dłonie kobiety.

– Powiedz, co ci zrobili.

– Nic poważnego. Powtarzam: to była tylko rozmowa.

Podwójne złote odbicie jest w nim utkwione tak stale, że Max niemal może się w nim obejrzeć. Lubię, kiedy tak mi się przygląda, stwierdza Max. Bardzo lubię. Zwłaszcza dziś. Teraz.

– Nie powiedziałem ani słowa. Ani słowa, Mecha... Do niczego się nie przyznałem. Nawet do tego, że ja to ja.

– Wiem. Znam cię, Max... Wiem.

– Możesz mi nie wierzyć, ale nawet nie kosztowało mnie to zbyt wiele wysiłku. Było mi wszystko jedno, rozumiesz? Cokolwiek mi robili.

– Byłeś bardzo dzielny.

– To nawet nie była odwaga. Tylko to, o czym zawsze mówię. Obojętność.

Oddycha głęboko, starając się odzyskać straconą energię, choć przy każdym wdechu wszystko koszmarnie go boli. Czuje się tak zmęczony, że mógłby spać całymi tygodniami. Jego puls dalej bije nieregularnie, jakby jego serce od czasu do czasu całkiem się opróżniało. Wydaje się, że Mecha dostrzegła to, jest zatroskana. Wstaje i przynosi szklankę wody, którą on wypija drobnymi łykami, ostrożnie. Płyn przynosi ulgę rozpalonym ustom, ale sprawia ból, docierając do żołądka.

– Pozwól, że wezwę lekarza.

– Zapomnij o lekarzach... Potrzebuję tylko odpoczynku. Trochę snu.

– Jasne. – Mecha gładzi go po czole. – Śpij spokojnie.

– Nie mogę zostać w hotelu. Nie wiem, co się stanie... Choć nie zadenuncjują mnie otwarcie, będę miał kłopoty. Muszę wrócić do Villa Oriana oddać ubrania, samochód, wszystko...

Niespokojnym ruchem stara się dźwignąć, ona jednak zatrzymuje go z czułością.

– O nic się nie martw. Odpocznij. Wszystko może poczekać kilka godzin. Pójdę do twojego pokoju i spakuję bagaże. Masz klucz?

– Jest w marynarce.

Znów podchodzi ze szklanką i Max pije jeszcze trochę, choć zaraz ból żołądka staje się nieznośny. Potem, zmęczony, ponownie kładzie głowę na poduszce.

– Zrobiłem to, Mecha.

Słysząc w tych słowach lekką dumę. Kobieta dostrzega to i uśmiecha się z pełnym zadumy podziwem.

– Tak, zrobiłeś to. Bóg widział, że tak. Bardzo dobrze, idealnie.

– W odpowiedniej chwili powiedz swojemu synowi, że to byłem ja.

– Powiem mu. Możesz być spokojny.

– Powiedz mu, że wdrapałem się na górę i zabrałem im tę cholerną książkę. Teraz dziewczyna i książka są jeden do jednego, nie? Jak to mówicie w szachach, remis.

– Jasne.

Uśmiecha się z nadzieją.

– Może twój syn zostanie mistrzem świata... Może wtedy bardziej mnie polubi.

– Jestem o tym przekonana.

Max unosi się nieco, chwyta ją za nadgarstek z nagłym niepokojem.

– Teraz możesz mi już powiedzieć. On nie jest moim synem, prawda? Przynajmniej powiedz, że nie masz pewności, że nim jest.

– Śpij już. – Pomaga mu się znów położyć. – Stary łajdak. Cudowny kretyn.

Max odpoczywa. Chwilami zasypia głęboko, to znów pozostaje w półśnie. Czasem zrywa się i jęczy zdeorientowany, po koszmarach bez sensu i ładu. Ból fizyczny i ten pochodzący ze snów nakładają się na siebie i mieszają, współzawodnicząc w intensywności, i nie jest łatwo odróżnić wrażenia realne i te wyimaginowane. Za każdym razem, otwierając oczy, zastanawia się chwilę, gdzie też się znajduje – zewnętrzne światło powoli słabnie, w końcu zacierają się kształty przedmiotów w pokoju, teraz są tylko cienie. Kobieta jest ciągle przy nim oparta w głowach

nierozścielonego łóżka – cień nieco jaśniejszy spośród mroków otaczających Maxa, czuje ciepło jej bliskiego ciała, widzi żar papierosa.

– Jak się czujesz? – pyta Mecha, widząc, że się poruszył i nie śpi.

– Zmęczony. Ale dobrze się czuję... Takie spokojne leżenie bardzo mi pomaga. Potrzebowałem snu.

– Nadal go potrzebujesz. Zaśnij jeszcze. Ja czuwam.

Max chce rozejrzeć się wokół, ciągle zagubiony. Stara się przypomnieć sobie, jak tu dotarł.

– Gdzie są moje rzeczy? Gdzie walizka?

– Spakowana. Przyniosłam ją tutaj. Stoi przy drzwiach.

Max zamyka oczy z ulgą – spokój kogoś, kto przez chwilę nie musi o nic się troszczyć. W końcu przypomina sobie resztę.

– Tyle samo lat, ile pól na szachownicy, powiedziałaś.

– Tak, właśnie.

– To nie przez twojego syna... Nie dla niego to zrobiłem.

Mecha gasi papierosa.

– Nie tylko, chcesz powiedzieć.

– Tak. Może to właśnie chciałem powiedzieć.

Poruszyła się nieco, odsunęła od wezgłowia i położyła obok niego, bliżej.

– Nadal nie wiem, dlaczego zacząłeś to wszystko – mówi bardzo cicho.

Ciemność sprawia, że sytuacja staje się dziwna, myśli Max. Nierealna. Można by pomyśleć, że to dzieje się w innym czasie. W innym świecie. W innych ciałach.

– Dlaczego wprowadziłem się do hotelu i tak dalej?

– Właśnie.

Max uśmiecha się, ze świadomością, że ona nie widzi jego twarzy.

– Chciałem znów być tym, kim byłem kiedyś – odpowiada całkiem po prostu. – Czuć się tak jak wtedy... A wśród najbardziej absurdalnych pomysłów był i ten, żeby znów cię okraść.

Kobieta wydaje się zdziwiona. I sceptyczna.

– Chyba nie chcesz, żebym ci uwierzyła.

– Może słowo „okraść” nie jest precyzyjne. Na pewno nie. Ale miałem ochotę zrobić to. Nie dla pieniędzy, jasne. Nie dla...

– Tak – przerywa mu, w końcu przekonana. – Rozumiem.

– Pierwszego dnia zrewidowałem ten pokój. Szukałem twoich śladów, wyobraź sobie, po dwudziestu dziewięciu latach rozpoznawałem cię w każdym przedmiocie. I natknąłem się na naszyjnik.

Max oddycha bliskością kobiety, smakując to wrażenie. Przez chwilę zastanawia się, czy jej skóra – naga, zwiędła, z plamami czasu – nadal pachnie tak jak wtedy, gdy ją obejmował w Nicei czy w Buenos Aires. Na pewno nie, stwierdza. Nie ma wątpliwości. Tak samo jak jego skóra.

– Zamierzałem ukraść ci naszyjnik – mówi po chwili milczenia. – Tylko tyle. Uwieść cię po raz trzeci, w pewnym sensie. Zabrać go tak jak tamtej nocy, kiedy wróciliśmy z La Boca.

Mecha milczy przez chwilę.

– Ten naszyjnik nie jest już wart tyle co w czasach, kiedy się poznaliśmy – odzywa się w końcu. – Wątpię, czy teraz dostałbyś choćby połowę tamtej sumy.

– Nie o to chodzi. Czy jest wart mniej czy więcej. To byłaby forma... No cóż, nie wiem. Forma.

– Żebyś się poczuł młody i zwycięski?

Max przeczy ruchem głowy w ciemności.

– Żeby ci powiedzieć, że nie zapomniałem. Że nigdy nie zapomniałem.

Kolejne milczenie. Potem pytanie.

– Dlaczego nigdy nie zostałeś?

– Byłaś ucieleśnionym marzeniem – Max zastanawia się nad odpowiedzią, starając się znaleźć precyzyjne słowa. – Tajemnicą innego świata. Nigdy nie myślałem, że miałbym prawo.

– A miałeś. Widziałeś to na swoje własne, durne oczy.

– Nie widziałem. To było niemożliwe... Nie mieściło się w moim sposobie widzenia świata.

– Twoja szabla i twój koń, prawda?

Max szczerze stara się przypomnieć sobie, o co chodzi.

– Tego nie pamiętam – stwierdza.

– Jasne. A ja tak. Pamiętam każde twoje słowo.

– W każdym razie zawsze czułem się przechodniem w twoim życiu.

– Dziwne, że to mówisz. Bo to ja byłam pewna jedynie swojej przelotnej obecności w twoim życiu.

Kobieta wstaje, podchodzi do okna. Rozsuwa nieco zasłony i elektryczne światło, dobiegające z hotelowego tarasu, wycina jej ciemną, nieruchomą postać na tle szyby.

– Całe życie tym się żywiłam, Max. Naszym cichym tangiem w salonie z palmami na Cap Polonio... Rękawiczką, którą włożyłam ci do kieszonki tamtej nocy, kiedy poszliśmy do La Ferroviarii, tą, po którą przyszedłam do twojego pokoju w pensjonacie w Buenos Aires.

Max kiwa głową, choć ona nie może tego widzieć.

– Rękawiczka i naszyjnik... Tak. Pamiętam światło wpadające przez tamto okno na kafelki podłogi i na łóżko. Twoje nagie ciało i mój zachwyt, że jesteś taka piękna.

– Mój Boże – szepce kobieta jakby do siebie. – Byłeś taki przystojny. Elegancki i przystojny. Doskonały dżentelmen.

On śmieje się krzywo. Między zębami.

– Nigdy nim nie byłem – odpowiada.

– Byłeś nim znacznie bardziej niż większość mężczyzn, których znałam... Prawdziwy dżentelmen to taki mężczyzna, któremu nie zależy, czy jest postrzegany jako taki czy nie.

Znów podchodzi do łóżka. Zostawiła lekko uchyloną zasłonę za plecami i słaba jasność z zewnątrz rysuje jej kontury w mroku pokoju.

– To, co fascynowało mnie u ciebie od początku, to ta twoja ambicja, bez namiętności czy zachłanności... Ten spokojny brak nadziei.

Stoi obok łóżka i zapala kolejnego papierosa. Płomień zapałki oświetla jej kościste palce o wypielęgnowanych paznokciach, oczy patrzące na Maxa, czoło przecięte zmarszczkami pod krótkimi siwymi włosami.

– Mój Boże. Drżałam, jak tylko mnie dotykałeś.

Potrząsa płomieniem i zostaje tylko żar. I niczym bliźniacze, rozżarzone węgle, delikatne miedziane refleksy w złotych tęczęwkach.

– Byłem tylko młody – odpowiada Max. – Myśliwy chcący przeżyć. Ty, tak jak powiedziałem, byłaś piękna jak marzenie... Jeden z tych cudów, do których my, mężczyźni, mamy prawo tylko wtedy, gdy jesteśmy młodzi i zuchwali.

Kobieta stoi nadal przy łóżku, obok Maxa, jej sylwetka odcina się w mroku.

– To było niesamowite... Zresztą dalej tak masz – czerwona kropka papierosa dwukrotnie ożywa. – Jak ci się to nadal udaje, po tylu latach? Potrafiłeś żonglować gestami i słowami, jakbyś wkładał maskę inteligencji. Mówiłeś słowa, które prawdopodobnie wcale nie były twoje, pożyczone z magazynu albo wzięte z rozmowy obcych ludzi, a które u mnie

powodowały gęsią skórkę. I choć dwadzieścia sekund później już wszystko zapomniałam, gęsia skórka zostawała... Jeszcze tak mam. Popatrz, dotknij mnie. Jesteś staruszką, obitym i bez sił, a ze mną dzieje się przy tobie coś takiego. Przysięgam.

Zbliżyła rękę do Maxa, szukając jego dłoni. To z gęsią skórką to fakt, stwierdza Max. Ciepła i jeszcze miękka, mimo lat. W tym półmroku wysoka i szczupła sylwetka wydaje się taka sama jak ta, którą znał w innych czasach.

– Ten twój uśmiech, spokojny i bezczelny... Zuchwały też, owszem. Zachowałeś go, mimo wszystko. Stary uśmiech fordansera z wielkiego świata.

Kładzie się obok niego na kołdrze. Znow ten intymny zapach, ciepła bliskość. Czerwony punkt ożywa przy jej profilu, tak blisko, że Max czuje na twarzy gorący żar papierosa.

– Za każdym razem, pieszcząc mojego syna, kiedy był mały, miałam wrażenie, że pieszczę ciebie. Nadal mi się to zdarza, kiedy na niego patrzę. Widzę w nim ciebie.

Cisza. Potem słyszy jej śmiech, niemal radosny.

– Ten jego uśmiech, Max... Naprawdę, nie rozpoznasz tego uśmiechu?

Po tych słowach unosi się lekko, po omacku szuka popielniczki na szafce nocnej i gasi papierosa.

– Odpocznij, odpręż się – dodaje. – Zrób to raz w swoim życiu. Mówiłam ci, że ja czuwam.

Zwinęła się w kłębek, bardzo blisko, przytulona do niego. Max z rozkoszą przymyka oczy. Spokojny. Z jakiegoś niejasnego powodu, którego nie stara się zrozumieć, czuje potrzebę, żeby opowiedzieć jej pewną starą historię.

– Pierwszy raz byłem z kobietą, kiedy miałem szesnaście lat – wspomina powoli, cichym głosem – kiedy pracowałem jako boy w hotelu Ritz w Barcelonie... Byłem bardzo wysoki na swój wiek, a ona była dojrzałą, elegancką klientką. Jakoś wymyśliła, żebym przyszedł do niej do pokoju... Kiedy zrozumiałem, o co chodzi, starałem się, najbardziej jak potrafiłem. Na koniec, kiedy się ubierałem, dała mi banknot stupesetowy. Wychodząc, naiwnie przysunąłem twarz, żeby ją pocałować, ale zirytowana, odsunęła się, ze zniecierpliwioną miną... A później, kiedy spotkałem ją w holu, nawet nie raczyła na mnie spojrzeć. – Milknie na chwilę, szukając szczegółu czy odcienia, które dokładnie podsumują to, co właśnie opowiedział. – W ciągu tych pięciu sekund – dodaje na koniec – kiedy kobieta odsunęła swoją twarz, nauczyłem się rzeczy, których nigdy nie zapomniałem.

Teraz następuje długa cisza. Mecha słucha go spokojnie, w milczeniu, z głową przy jego ramieniu. W końcu porusza się, przytulając się mocniej do niego. Na jej delikatnym, niemal kruchym ciele czuje przez bluzkę jej małe, drobne piersi, zupełnie inne niż te, jakie pamięta. Z jakiegoś powodu wzrusza go to. Rozczula.

– Kocham cię, Max.

– Ciągle jeszcze?

– Ciągle jeszcze.

Instynktownie, łagodnie szukają nawzajem swoich ust, niemal z trudem. Melancholijny pocałunek. Spokojny. Pozostają nieruchomo, nadal w uścisku.

– Tak trudne miałeś te ostatnie lata? – pyta go później.

– Mogły być lepsze.

To zwięzły sposób ich opisanie, myśli, ledwo wypowiedziawszy te słowa. Potem cichym, beznamietnym głosem wymienia całą melancholijną

litanię: dekadencja fizyczna, konkurencja młodej krwi przystosowanej do nowego świata. I na koniec, żeby wszystko zamknąć, jakiś czas w więzieniu w Atenach, jako konsekwencja rozmaitych błędów i kolejnych nieszczęść. Nie siedział tam specjalnie długo, ale wychodząc z więzienia, był człowiekiem skończonym. Jego doświadczenie wystarczało, żeby przeżyć z drobnych oszustw i tanich zajęć, bywał też w miejscach, gdzie mógł się utrzymać z szulerki. Przez jakiś czas Włochy świetnie się do tego nadawały, ale w końcu nawet dobry wygląd go opuścił. Praca u doktora Hugentoblera, wygodna i pewna, była prawdziwym darem losu, teraz, niestety, całkowicie zaprzepaszczonym.

– Co z tobą będzie? – pyta Mecha po chwili milczenia.

– Nie wiem. Ale coś znajdę, tak myślę. Zawsze mi się udawało.

Porusza się w jego ramionach, jakby chciała zaprotestować.

– Mogłabym...

– Nie – unieruchamia ją, obejmując mocniej.

Znów leży spokojnie. Max ma otwarte oczy w ciemności, ona oddycha powoli, spokojnie. Przez chwilę wydaje się, że śpi. Potem znów się lekko porusza, dotykając czołem jego ust.

– Pamiętaj w każdym razie – szeptem – że jestem ci winna filiżankę kawy, jeśli któregoś dnia trafisz do Lozanny. Żeby się ze mną spotkać.

– Dobrze. Może kiedyś się pojawię.

– Pamiętaj, proszę.

– Tak... Będę pamiętał.

Przez chwilę Maxowi – oszołomionemu zbiegiem okoliczności – wydaje się, że gdzieś w oddali brzmią dobrze znane dźwięki tanga. Może to radio w którymś z sąsiednich pokoi, myśli. Albo muzyka na dole, na tarasie. Mija jeszcze chwila, zanim zdaje sobie sprawę, że to on nuci w myśli.

– To nie było złe życie – wyznaje bardzo cicho. – Przez większą część żyłem za pieniądze innych ludzi, choć nigdy nie gardziłem nimi ani się ich nie bałem.

– To niezły bilans.

– No i poznałem ciebie.

Kobieta odsuwa głowę od ramienia Maxa.

– Przestań, błażnie. Poznałeś zbyt wiele kobiet.

Jej głos jest rozbawiony, porozumiewawczy. Całuje ją delikatnie we włosy.

– Nie pamiętam żadnych kobiet. Ani jednej. Pamiętam tylko ciebie. Uwierzysz?

– Tak. – Znów opiera głowę na jego ramieniu. – Tej nocy ci wierzę. Być może ty też kochałeś mnie przez całe życie.

– To możliwe. Może teraz cię Kocham... Tylko, jak to wiedzieć?

– Właśnie... Jak to wiedzieć?

Promień słońca budzi Maxa, który otwiera oczy na światło ogrzewające mu twarz. Widzi jasność, wąski, oślepiający pas, wdzierający się pomiędzy zasłonami w oknie. Max porusza się wolno, najpierw ociężale, podnosi głowę z poduszki w pełnym bólu wysiłku i stwierdza, że jest sam. Na nocnej szafce podróżny zegar wskazuje wpół do jedenastej rano. Czuje zapach tytoniu, obok zegara stoi pusta szklanka i jakieś pół tuzina niedopałków w popielniczce. A więc spędziła, wnioskuje, przy nim resztę nocy. Czuwając nad jego snem, jak obiecała. Być może siedziała nieruchomo i milcząco, z papierosem, patrząc w pierwszym brzasku o świcie, jak śpi.

Podnosi się oszołomiony, dotykając swojego pomiętego ubrania, i kiedy rozpina koszulę, dostrzega, że siniaki nabrały brzydkiego, ciemnego tonu,

jakby połowa jego krwi wylała się pomiędzy skórę i ciało. Całe ciało, od pachwin po szyję, boli go i każdy krok, jaki stawia w kierunku łazienki, kiedy jego członki rozgrzewają się powoli, graniczy z męką. Obraz, jaki spotyka w lustrze, też nie jest taki jak w lepszych czasach – staruszek o czerwonych, szklistych oczach obserwuje go podejrzliwie z drugiej strony szyby. Max odkręca kran nad umywalką, wkłada głowę pod strumień zimnej wody i zostawia tak, żeby spływała przez dobrą chwilę, otrzeźwiając go. Wreszcie unosi twarz i zanim wytrze głowę ręcznikiem, znów przygląda się swoim postarzałym rysom, po których ścieka woda głębokimi bruzdami zmarszczek.

Powoli przechodzi przez pokój w stronę okna i kiedy rozsuwa zasłony, światło gwałtownie zalewa pomiętą kołdrę na łóżku, granatowy blezer wiszący na oparciu krzesła, spakowaną walizkę stojącą przy drzwiach i rzeczy Mechy rozłożone w całym pokoju – ubrania, torbę, książki, skórzany pasek, portmonetkę, magazyny. Po początkowym olśnieniu oczy Maxa przyzwyczajają się do jasności; teraz skupiają się na lazurowym połączeniu morza i nieba, linii brzegu i ciemnym stożku Wezuwiusza, rozmytym w szarościach i błękitach. Prom oddalający się w stronę Neapolu z pozorną powolnością rysuje na kobaltowej niebieskości zatoki białą linię prostą krótkiego kilwateru. A trzy piętra niżej, przy stoliku na hotelowym tarasie – ustawionym tuż przy klęczącej kobiecie z marmuru, patrzącej na morze – Jorge Keller i jego mistrz Karapetian grają w szachy, podczas gdy Irina przygląda się im, siedząc nieco dalej od stołu, z nagimi stopami na brzegu krzesła, ramionami obejmując kolana. Już z boku ich gry i życia.

Mecha Inzunza siedzi sama, jeszcze dalej, koło bugenwilli rosnącej przy balustradzie tarasu. Ma na sobie ciemną spódnicę i beżową tunikę narzuconą na ramiona. Na stoliku jest serwis do kawy i gazety, ona jednak nie patrzy na nie. Równie nieruchoma jak kamienna kobieta za nią, wydaje

się pochłonięta obserwacją pejzażu zatoki. Kiedy się jej przygląda, z czołem opartym o zimną szybę w oknie, Max widzi, że porusza się tylko raz – unosi rękę na kark, przejeżdża palcami po siwych krótkich włosach i pochyła głowę z zamyśloną miną, po czym podnosi twarz i siedzi znów nieruchomo, jak poprzednio, wpatrzona w morze.

Max odwraca się plecami do okna, podchodzi do krzesła i bierze marynarkę. Kiedy ją wkłada, jego wzrok pada na przedmioty leżące na komodzie. I widzi tam, rozmyślnie ułożony tak, żeby nie mógł go nie zauważyć, na długiej białej damskiej rękawiczce, perłowy naszyjnik błyskający delikatnymi matowymi refleksami w ostrym świetle wypełniającym pokój.

Stojąc przed rękawiczką i naszyjnikiem, starszy pan, który chwilę wcześniej patrzył na swoje odbicie w lustrze, czuje, jak napływają wspomnienia, obrazy, poprzednie wcielenia, które jego pamięć porządkuje w sposób zadziwiająco przejrzysty. Życie własne i tej kobiety składają się na nagły uśmiech, który równocześnie jest grymasem bólu, choć może to żal po rzeczach straconych i niemożliwych jest powodem tego melancholijnego uśmiechu. I znów na nowo chłopaczek o brudnych kolanach idzie prosto po zniszczonych deskach pokładu porzuconego statku stojącego w mule, młody żołnierz wspina się na zbocze pokryte trupami, zamykają się drzwi obok śpiącej kobiety w księżycowym świetle, w wizji niewyraźnej jak wyrzut sumienia. Następują po sobie, w zmęczonym uśmiechu wspominającego mężczyzn, pociągi, hotele, kasyna, nakrochmalone białe gorsy, nagie plecy i blask klejnotów pod kryształowymi żyrandolami, a para pięknych młodych ludzi, pełnych pożądania, z namiętnością gwałtowną jak samo życie, patrzy sobie w oczy, tańcząc jeszcze nienapisane tango w pustym, cichym salonie na transatlantyku płynącym pośród nocy. Wyznaczają nieświadomie,

poruszając się objęci w tańcu, obraz nierealnego świata, którego znużone światła zaczynają dogasać, raz na zawsze.

Ale to nie tylko to. Są też w pamięci mężczyzny patrzącego na rękawiczkę i naszyjnik palmy o zwichrzonych pióropuszech na deszczu, zmokły pies na plaży w szarej mgle, na wprost pokoju hotelowego, gdzie najpiękniejsza kobieta świata czeka, w zmiętej pościeli, pachnącej ciepłą intymnością i spokojem obojętnym na czas i życie, żeby nagi młodzieniec stojący przy oknie wrócił do jej doskonałego, gościnnego ciała, jedyne miejsce we wszechświecie, gdzie można zapomnieć o panujących w nim dziwnych zasadach. Potem, na zielonym suknie, trzy kule z kości słoniowej uderzają o siebie delikatnie, podczas kiedy Max uważnie przygląda się chłopcu, w którym, zadziwiony, rozpoznaje własny uśmiech. Widzi też, z bardzo bliska, podwójny blask płynnego miodu, oczu, które patrzą tak, jak nigdy na niego nie patrzyły oczy żadnej innej kobiety; i czuje wilgotny, ciepły oddech dotykający jego warg, a głos szepczący stare słowa, które brzmią tak, jakby były zupełnie nowe, wpuszcza krople balsamu na dawne blizny, wybaczenie kłamstw, niepewności i nieszczęść, pokoi w pensjonatach i obrzydliwych mieszkań, fałszywych paszportów, komisariatów, cel, ostatnich lat upokorzeń, samotności i klęski, z mętnym światłem nieskończonych świtów bez przyszłości, zamazujących cień, który chłopiec na brzegu Riachuelo, żołnierz maszerujący w słońcu, przystojny młodzian tańczący z pięknymi kobietami na luksusowych transatlantykach i w wielkich hotelach miał przyszyty do stóp.

I w ten sposób, z ostatnim śladem uśmiechu jeszcze na ustach, kołysząc się na fali przyboju tych wszystkich losów, które były jego, Max odsuwa naszyjnik z pereł, bierze białą damską rękawiczkę leżącą pod spodem i wkłada ją do górnej kieszonki marynarki z nagłym gestem eleganckiej kokieterii, wysuwając jej palce, jakby to był róg chusteczki albo płatki

kwiatu w butonierce. Potem rozgląda się wokół, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu, rzuca ostatnie spojrzenie na naszyjnik leżący na komodzie i szybkim skinieniem głowy w stronę okna żegna się z niewidoczną publicznością, jakby z tamtej strony miały nadejść wyobrażone brawa. Taka okazja, myśli, zapinając i wygładzając marynarkę, wymagałaby, żeby na zejście ze sceny, z odpowiednią do okoliczności obojętnością, zabrzmiały dźwięki *Tanga Starej Gwardii*. Ale to byłaby oczywista przesada, uznaje. Rzecz zbyt przewidywalna. Otwiera więc drzwi, bierze walizkę i odchodzi korytarzem, ku nicości, pogwizdując *Człowieka, który rozbił bank w Monte Carlo*.

Madryt, styczeń 1990

Sorrento, czerwiec 2012

PODZIĘKOWANIA

Wiele jest osób, bez których współpracy ta powieść nigdy by nie powstała. Do wejścia na terytorium tanga podstawą były w Buenos Aires rady Horacia Ferrera, Joségo Gobella, Marcela Oliveriego i Oscara Conde. Gabrielowi di Meglio z Eternautas zawdzięczam swoją pierwszą wizytę w dzielnicy Barracas, później uzupełnioną z Gabrielą Puccia, która oddała mi do dyspozycji wspomnienia swojego ojca Enrique'a Puccia. Pamiątniki te pozwoliły mi wyobrazić sobie przedmiejskie dzieciństwo Maxa Costy. Marco Tropea dostarczył ciekawych informacji o Włoszech lat sześćdziesiątych, natomiast wiele ważnych szczegółów dotyczących Francji w 1937 roku zawdzięczam przyjaźni z Étienne de Montety. Od Michele Polak z jej paryskiego antykwariatu uzyskałem książki i ulotki, które pozwoliły mi opisać życie na pokładzie transatlantyku Cap Polonio. Pojedynek Keller-Sokołow wiele zawdzięcza entuzjastycznej współpracy Leontxa Garcii, który ze wspaniałomyślnością rozwiązywał skomplikowane problemy taktyczne i otworzył przede mną drogę do mniej publicznej części spraw dotyczących najlepszych szachistów na świecie. Conchita Climent i Luis Salas dostarczyli mi materiału umożliwiającego zbudowanie zawodowego życiorysu kompozytora Armanda de Troeye, ambasador Julio Albi objaśnił mi pewne obyczaje dyplomatyczne z okresu międzywojennego, komisarz Juan Antonio Calabria rozwiązał problemy natury policyjnej, Asya Goncharova pomogła mi rozszyfrować skomplikowany język i charakter radzieckich szachistów, a dzięki doświadczeniu i radom Joségo Lopeza i Gabriela Lopeza otworzyłem pierwszy w życiu sejf. Moje podziękowania nie byłyby kompletne, gdybym nie wymienił przyjaciół, argentyńskiego pisarza i dziennikarza Jorge Fernandez Diaza i urugwajskiego wydawcy Fernanda Estevesa.

Spis treści

Karta tytułowa

1. Fordanser

2. Tanga, żeby cierpieć, i tanga, żeby zabić

3. Chłopcy z dawnych lat

4. Damskie rękawiczki

5. Odłożona partia

6. Promenada Anglików

7. O złodziejach i szpiegach

8. La vie est brève

9. Wariant Maxa

10. Stukot kości słoniowej

11. Zwyczaje starego wilka

12. Błękitny Ekspres

13. Rękawiczka i naszyjnik

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
El tango de la Guardia Vieja

© 2012, Arturo Pérez-Reverte
© 2012, Santillana Ediciones Generales, S. L.
Avenida de los Artesanos, 6. 28760 Tres Cantos, Madrid

Projekt okładki
Anna Pol

Fotografia na okładce
© Robbie Jack / Corbis

Opieka redakcyjna
Karolina Macios

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Jadwiga Grell

Copyright © for the translation by Joanna Karasek
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2013

ISBN 978-83-240-2773-6

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2013

Plik opracował i przygotował Woblink

